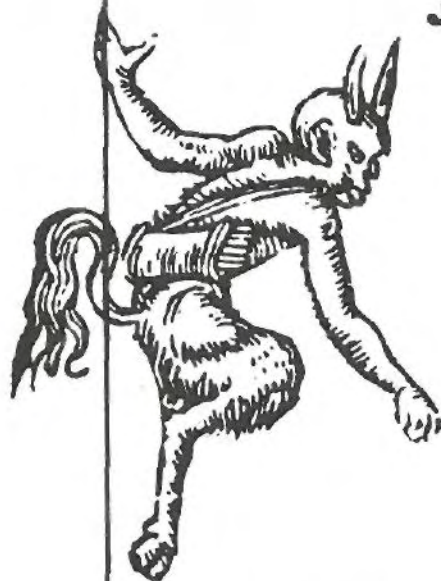


Atroki Średniowiecza

Józef Putek



Obyczaje · Przesady · Fanatyzm ·
Okrucieństwa i ucisk społeczny
w Polsce

Państwowy
Instytut
Wydawniczy
Warszawa 1985

Okładkę i strony tytułowe projektowała
Teresa Kawińska

Indeks zestawił
Zbigniew Bartnik

Książka Józefa Putka pt. Mroki średniowiecza ma już dziś poza sobą 5 wydań (1935, 1938, 1947, 1956, 1966). Wydanie obecne, szóste, zostało oparte na wydaniu z roku 1966.

Z całym uznaniem należy odnieść się do pionierskiej roli, jaką odegrała książka J. Putka; była to w okresie dwudziestolecia jedna z pierwszych prac przedstawiająca w śmiały sposób ponure relikty średniowiecza, tak długo pokutujące w naszych stosunkach. To duże znaczenie książki polegało na tym, że Autor poruszał problematykę niemal zupełnie pomijaną — rolę Kościoła w życiu dawnej wsi polskiej, obyczaje, przesady, fanatyzm, nietolerancję, okrucieństwo i ucisk społeczny.

Toteż pomimo że w ostatnich dziesięcioleciach stan badań nad dziejami dawnej wsi polskiej posunął się znacznie naprzód i mimo pewnych nieścisłości faktograficznych, Mroki średniowiecza spełniają nadal pożyteczną rolę poznawczą.

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956

Printed in Poland Państwowy Instytut
Wydawniczy, Warszawa 1985 r.
Wydanie czwarte
Nakład 50 000+300 egz. Ark. wyd. 24,3. Ark. druk. 28
Papier offset, kl. III 71 g, rola 61 cm
Oddano do składania w lipcu 1984 r.
Podpisano do druku w kwietniu 1985 r.
Wrocławskie Zakłady Graficzne Zakład nr 1,
Wrocław, ul. Kościuszki 29 Nr zam. 398/84 T-88
Cena zł 250.—

ISBN 83-06-01266-6

Klątwy kościelne

Klątwa kościelnym narzędziem walki politycznej i społecznej — Papież Grzegorz VII w walce z cesarzem Henrykiem IV — Kanossa — Sprawa św. Stanisława — Książęta i królowie polscy pod klątwami kościelnymi — Król Kazimierz Wielki i ksiądz Marcin Baryczka — Nuncjusz grozi klątwą królowi Władysławowi IV — Ziemie, miasta i wsie pod brzemieniem klątw — Nuncjusze organizatorami „strajków” żon szlacheckich — Klątwa na proboszcza w Lenczach jako wzór klątwy średniowiecznej — Rytuał klątwy — Klątwy jako środki egzekwowania przywilejów kleru — „Ramię świeckie” wspiera jurysdykcję kościelną — Szlachta ziemi sądeckiej pod klątwami — Klątwa w zatargach między dygnitarzami kościelnymi — Reakcja przeciw jurysdykcyjnemu przywilejom kleru — Sprawa Orzechowskiego — Walka o dziesięciny — Oddanie spraw o dziesięciny sądom państwowym i upadek znaczenia ekskomunik i interdyktów — Klątwy uniwersyteckie — Wyklęcie krakowskiej kapituły przez biskupa Sołtyka

Klątwa kościelna! Okrzyk ten w wieku XI—XIII działał jak grom, wzbudzał dreszcz, zgrozę i przerażenie. Niejednego „nagła krew zalała”, gdy się dowiedział o rzuconej na siebie klątwie. W śmierci jego widziano „palec boży”. Klątwa zwała z tronów, wypędzała z kraju, zamała stosunki między społeczeństwem, sprawiała, że mordowano się bez opamiętania. Przy pomocy klątwy kościelnej jeden zrzęczył, przebiegły czło-

wiek, siedzący w Rzymie na stolicy Piotrowej, był w stanie całą Europę zawichrzyć, instynkty zwierzęce wśród ludów pobudzić, by cel swój osiągnąć. On sam nie potrzebował mieć własnych wojsk, bo w jego interesie zabijali i dali się zabijać inni, których wyróżniał i którym błogosławił. Sprzymierzeńcem jego była głupota narodów, które lęk ogarniał, gdy im czytano z ambon i od ołtarzy bulle papieskie, wyklinające zwierchników i najwyższych dostojników państwowych. Ponury ceremoniał kościelny, towarzyszący ogłaszaniu bulli, podniecał wyobraźnię, zaś strach zabobonny przed piekłem oraz nieszczęściem ziemskim, mogącym spaść na wdających się z wyklętym, wprawiał wszystkich w popłoch. Trzeba było niezwyklej odwagi, aby wojsko, nieustraszone w boju, nie złękło się kropidła i nie uciekło od swego dowódcy, aby lud, który poprzysiągł wierność swemu władcy, nie odwrócił się od niego, nie zamordował go lub nie wypędził z kraju. Klątwa, w związku z przesadną lękliwością tłumów, stała się w ręku hierarchii kościelnej niezawodnym środkiem walki z jej przeciwnikami. Klątwa niszczyła wszelkie węzły, jakie łączyły wyklętego z rodziną, ze społeczeństwem, odbierała mu dorobek jego pracy, cześć i poważanie, jakim się cieszył wśród obywateli. Wyklęty osamotniony, bojkotowany przez ogół, narażony na utratę życia, albo ginął w tej walce nierównej, albo się musiał upokorzyć. Był to niezawodny system niszczenia wszelkich autorytetów, o ile stosowanie go z takich czy innych powodów wydawało się korzystne dla autorytatywnego reprezentanta i namiestnika boskiego na ziemi. Namiestnikom Boga, ogłaszającym klątwę, nie trzeba było zwracać się do „ramienia świeckiego” o wykonanie tego strasznego wyroku. Klątwa sama z siebie działała egzekucyjnie, stwarzała obóz przeciwny wyklętemu, umacniała go i prowadziła do zwycięstwa. Arcymistrzem w stosowaniu klątwy, jakiego drugiego ani przedtem, ani potem Kościół nie miał, był papież Grzegorz VII. Nie mając wojska, bogactw, korony cesarskiej czy królewskiej, stał się on jednak faktycznym władcą całego ówczesnego świata

chrześcijańskiego dzięki... umiejętnemu operowaniu klątwami kościelnymi. O drobną na pozór chodziło mu sprawę — o tzw. inwestyturę, czyli nadawanie przez cesarzy, królów i książąt niemieckich urzędu biskupiego wręczaniem symbolicznego pastorału i pierścienia. W roku 1075 wydaje więc dekret zabraniający duchowieństwu przyjmowania z rąk świeckich pierścienia i pastorału, a świeckim pod grozą klątwy zakazuje mieszania się w te sprawy. Gdy cesarz Henryk IV oburza się na to, Grzegorz VII wzywa go, niby swego wasala, aby się stawił w Rzymie do odpowiedzialności. Podrażniony cesarz, którego ojciec trzech papieży złożył z urzędu, zbiera biskupów, a ci składają z urzędu papieża. Powiadamia go o tym cesarz takim listem szyderyczym:

„Henryk, nie przez gwałt, lecz przez mądre zrządzenie Boga król, do Hildebranda, bynajmniej nie papieża, lecz fałszywego mnicha.

Na takie to pozdrowienie zasłużyłeś sobie dla obelgi, ponieważ żadnego stopnia w Kościele nie oszczędziłeś, lecz wszystkim im dałeś w udziale hańbę zamiast poszanowania, przekleństwo zamiast błogosławieństwa. Wystarczy z wielu spraw niektóre tylko i najznacniejsze przytoczyć: przełożonych Kościoła świętego, mianowicie arcybiskupów, biskupów, kapłanów i pomazańców pańskich, śmiałeś nie tylko zaczepić, lecz także jak parobków nogami podeptać. To wszystko znosiliśmy z uszanowania dla stolicy apostolskiej. Ty jednak naszą pokorę przedstawiłeś jako lęk, zatem też sam śmiałeś buntować się przeciw naszej królewskiej godności, której wydarciem nam groziłeś, tak jakbyśmy państwo od ciebie otrzymali, tak jakby korona królewska albo cesarska w twoim, a nie w boskim ręku była, w ręku Pana naszego Jezusa Chrystusa, który do panowania nas, a nie ciebie do kapłaństwa powołał. Gdyż tak wyniosłeś się: przez chytrą, sprzeczną z ślubami zakonnymi, zdobyłeś pieniądze, przez pieniądze łaskę tłumy, a przez jego łaskę moc oręża, przez to dorwałeś się do siedziby pokoju, a nawet pokój z jego stolicy przepędziłeś. Także i mnie, który aczkolwiek nie byłem godny, to jednak między pomazańcami Pana dla władzy zostałem ukoronowany, znieważyleś, gdy tradycja ojców świętych poucza, że tacy tylko przez Boga są sądzeni i z powodu żadnego potknięcia się usunięci być nie mogą, nawet choćbyśmy chcieli odsunąć się od prawdziwej wiary, od czego jednak jesteście dalekimi. Sam prawdziwy papież, święty Piotr, woła: Mieście bojaźni przed Bogiem, czcicie króla! Ty

zaś, ponieważ Boga się nie boisz, bezcześcisz mnie, swego pomazańca. Święty Paweł powiada: Jeżeli bym ja, albo anioł nawet z nieba, głosił wam inną ewangelię, aniżeli my głosiłiśmy, niech będzie przeklęty. Ty więc, potępiony przez to przekleństwo i przez werdykt naszych biskupów i nasz własny, ustąp i opuść przywłaszczoną stolicę Piotrową. Inny wstąpi na tron apostołski, który poza udawaną pobożnością nie skrywa gwałtu, lecz zwiastuje czystą naukę Piotra. Ja, król Henryk z Bożej łaski, i wszyscy nasi biskupi mówią ci: ustąp! ustąp!"

Nie przeraził się tymi nawoływaniami cesarza Grzegorz VII i nie ustąpił. Ten był mnich, syn wiejskiego cieśli, należycie doceniał ciemnotę ludów. Wypróbował ją jeden z jego poprzedników, papież Grzegorz V, rzuciwszy klątwę na Francję. Grzegorz VII nie rzucał interdyktu na cały kraj, nie chciał bowiem dotknąć jego skutkami oddanych mu zwolenników, za to rzucił klątwę na zwierzchnika kraju — cesarza Henryka. Był to pomysł szatański. Toteż ówczesny kardynał Damiani nazywał Grzegorza „przenajświętszym diabłem”, a późniejsi pisarze nazwisko jego Hildebrand przekreślił na „Höllensbrand” (ogień piekielny). Klątwa papieska na cesarza tak brzmiała:

„Święty Piotrze, księciu apostołów, nakłoń łaskawie ucho ku mnie i wysłuchaj mnie, Twojego sługę, którego od dzieciństwa wykarmiłeś i aż po dzień dzisiejszy ratowałeś z mocy złych, którzy mnie z powodu wierności dla Ciebie znienawidzili i nienawidzą. Ty i moja władczyni, Matka Boska, i święty Paweł, Twój brat między wszystkimi świętymi, są moimi świadkami, że mnie Twój święty rzymski Kościół przeciw woli powołał do zarządzania nim i że ja nie uważałem tego za żadną grabież wstąpić na Twoją stolicę, że ja raczej wolałbym życie moje skończyć jako pielgrzym niż Twoje miejsce dla siebie zagrabieć dla świeckiej ambicji. Toteż wierzę, że Ci się to spodobało z Twojej łaskawości, a nie dla mych czynów, i jeszcze się podoba, że chrześcijański lud, który mi osobliwie został powierzony, także osobliwie jako Twemu zastępcy jest mi posłuszny i że mi dla Ciebie od Boga została udzielona władza związywania i rozwiązywania na niebie i ziemi.

W tym zaufaniu, ku czci i ochronie Twojego Kościoła w imieniu Wszechmogącego Boga, Ojca, Syna i św. Ducha, mocą Twojej władzy i Twojej powagi, królowi Henrykowi, synowi cesarza Henryka, który

z niesłychaną dumą zbuntował się przeciw Twemu Kościołowi, zabraniam rządów nad całym niemieckim i włoskim państwem i rozwiązuję wszystkich chrześcijan z zaprzysiężonych zobowiązań, jakie świadczyli mu i będą świadczyć, zakazuję też każdemu, by mu służył jako królowi. Bo kto próbuje cześć Twego Kościoła uszczuplić, ten zasługuje, aby stracił cześć, którą zdaje mu się, że posiada. A ponieważ, jako chrześcijanin, nie chciał być posłuszny i nie wrócił do Boga, którego opuścił, lecz, owszem, z ekskomunikowanymi utrzymywał spółnictwo, dopuścił się wielu bezprawii, upomnieniami, które mu przepisałem dla jego zbawienia pod Twoim zaświadczeniem, wzgardził i oddzielił się od Kościoła w prostym zamiśle rozdzielania go, przeto na Twoim miejscu zwiążuję go węzłem klątwy i w ufności do Ciebie takim sposobem, aby wszystkie ludy wiedziały i dowiedziały się, że Ty jesteś Piotr, i że Syn żywego Boga zbudował Swój Kościół, i że bramy piekielne nie zwyciężą go."

Agitatorami, szerzącymi wieść o tej klątwie, stają się potężne i liczne, wiernie oddane papieżowi, zakony. Lud, rycerstwo, książęta idą za klątwą papieską. Cesarz został osamotniony. Najlepsi przyjaciele uciekają od niego. Jedyńą doradę zewsząd słyszy: „upokórz się przed papieżem, niech zdejmie z ciebie klątwę, a możemy powrócić do ciebie!" Zdradzony i opuszczony udaje się podczas srogiej zimy — przedzierając się przez Alpy — do Rzymu, aby przebłagać papieża i dostać rozgrzeszenie. W drodze dowiaduje się, że papież znajduje się w zamku margrabiny Matyldy tokańskiej, zwanym Kanossa. Przybywa pod ten zamek, lecz bramy mu nie otworzono. Przez trzy dni i noc, w połowie stycznia, stał cesarz przed zamkiem drżący z zimna i głodu, z odkrytą głową, boso i przybrany we włosiennicę. Z okien zamku przyglądał mu się papież, ciesząc się upokorzeniem swego przeciwnika. W czwartym dniu wpuszczono go do zamku, zaprowadzono przed ołtarz, gdzie go papież z klątwy rozgrzeszył, rozkazując wrócić do Niemiec i usprawiedliwić się oraz na przyszłość być mu posłusznym i poddanym.

Był to triumf niebывały. Papież Grzegorz, chociaż jeszcze na świętego nie został kanonizowany, przeszedł jednak do historii jako pogromca cesarza, a jakkolwiek po drugim wyklę-

ciu cesarza, gdy szczęście mu nie sprzyjało, uciec musiał z Rzymu i umrzeć na wygnaniu, to jednak Kanossa stała się ulubionym tematem opowiadań i naśladowań pomniejszych „grzegorzatek”, siedzących na stolicach biskupich. Prawie każdy z nich miał zatargi ze swymi panującymi, ze szlachtą, z ludem, nie tylko o inwestyturę, ale o dziesięciny, o podatki, a nawet o władzę rządu i sądenia. Klątwy kościelne „wielkie”, zwane ekskomunikami, i „małe”, zwane interdiktami, w walce tej odgrywają główną rolę. Społeczeństwo nieoświecone, zabobonne i przesądne ugięło się przed klerem, łamiącym je w myśl swoich celów i planów. Samo też społeczeństwo, tworząc prawa przewidujące ujemne skutki dla wyklętych, wikłało się w sieci przez siebie zastawione.

* *
* *

Krąży jeszcze do dziś legenda, sięgająca XI wieku, jakoby pierwszym wyklętym królem polskim miał być Bolesław Śmiały, rzekomy zabójca biskupa Stanisława Szczepanowskiego. Badania historyków, a głównie profesora krakowskiego uniwersytetu, Tadeusza Wojciechowskiego, inne, korzystne światło rzuciły na osobę króla Bolesława II. W świetle tych badań Stanisław Szczepanowski jako człowiek był „świętobliwy”, ale jako polityczny przywódca ówczesnych magnatów dopuścił się przestępstwa zdrady politycznej. „Pomazaniec”-biskup zdradził drugiego „pomazańca”-króla, gdyż patronował spiskom i buntował młodszego brata królewskiego, Władysława Hermana, łamiąc tym samym przysięgę wierności złożoną królowi oraz dopuszczając się zdrady przez wysługiwanie się królowi czeskiemu, Wratysławowi, które godziło w króla polskiego i w państwo polskie.

W Niemczech toczyła się wówczas wojna domowa. Po dwakroć wyklinany przez papieża cesarz Henryk IV, ów historyczny pielgrzym do Kanossy, walczył ze swym konkurentem do cesarskiej korony, Rudolfem, mając przy sobie sojusznika

króla czeskiego Wratysława. Bolesław Śmiały wykorzystał ten zamęt w Niemczech i uniezależnił się od cesarza niemieckiego nie płacąc mu „trybutów” i koronując się na króla, dotychczas bowiem tytułował się księciem. Bolesław Śmiały, jako przeciwnik wyklętego cesarza, stał się przez to politycznym sprzymierzeńcem papieża Grzegorza VII i Rudolfa. Cesarz natomiast nastawił na niego króla czeskiego Wratysława. Magnateria ówczesna, pod wodzą biskupa Szczepanowskiego i brata królewskiego Władysława Hermana, spiskowała z owym Wratysławem. Król Bolesław Śmiały przywódcę spisku, biskupa Szczepanowskiego, za zdradę polityczną zasądził na karę śmierci tzw. *truncatio membrorum*. Była to kara obcięcia uszu, nosa, rąk i nóg i wybicia oczu.

Ten straszny wyrok został wydany i wykonany nie przy ołtarzu na Skałce, lecz na pagórku wawelskim obok kościoła św. Michała, gdzie było miejsce zbierania się wieców sądowych. Król sądził i wyrokował, jednak wyroku śmierci nie wykonywał; wykonały go organa sądowe. Odpowiedzialność za ten wyrok spadła jednak na króla. Wyrok ten nie poprawił jego sytuacji. Zbuntowani magnaci wykorzystali tę sytuację do dalszej burzycielskiej akcji i ostatecznie król osamotniony uszedł z kraju na Węgry, gdzie umarł. Zdrada polityczna i bunty wydały jednak niedobre owoce; ziemię krakowską zagarnął król czeski, Wratysław, tytuł królewski przepadł, wróciła zależność księcia polskiego od cesarza niemieckiego, a krakowskie biskupstwo złączone zostało z diecezją praską. Takie były owoce polityki ówczesnych magnatów.

Papież Grzegorz VII króla Bolesława Śmiałego, swego politycznego sprzymierzeńca, nie wyklinał ani Stanisława Szczepanowskiego, swego politycznego wroga, na świętego nie kanonizował. Kanonizacja nastąpiła dopiero w roku 1254, gdy różni historycy pamięć o królu Bolesławie Śmiałym dostatecznie splugawili, istotny zaś powód wyroku i kary śmierci, wydanej na biskupa, zakryli opowieściami nieprawdziwymi i zmyślonymi legendami.



Przy pomocy klątw kościelnych załatwiał kler porachunki swoje także z innymi książętami i królami piastowskimi. Kościół ówczesny w rozbiciu politycznym państwa widział gwarancję swojej wolności. W tym wypadku interesy magnatów zbiegały się z interesami Kościoła. Ranke w *Historii papieży i papiestwa* przytacza pogląd polityczny, jaki na początku XII wieku wypowiedział ks. Gerohus: „przyjdzie jeszcze do tego, że złoty posąg królestwa zostanie zdruzgotany, a każde wielkie państwo rozłożone na cztery księstwa; wtedy dopiero będzie Kościół wolny i nieuciśniony pod osłoną wielkiego koronowanego kapłana". Nic dziwnego więc, że wyklęty był książę Władysław II, który chciał zjednoczyć Polskę, podzieloną po śmierci Bolesława Krzywoustego między jego synów, naraził się bowiem tym programem magnatom i klerowi. Arcybiskup gnieźnieński, Jakub ze Żnina, stronnik młodszych braci Władysława II, wraz z wojewodą Wszeborem pobili Władysława II i posiłkujących go Rusinów nad Pilicą. Wówczas to klątwa została użyta przez arcybiskupa jako oręż kościelny w walce z Władysławem II. Pobity Władysław II uciekł z kraju, a potem trafił za protekcjami obcych panujących do papieża. W roku 1148 zjechał do Polski legat papieski, Gwido, aby poprzeć sprawę Władysława II. Papież wyklął wówczas młodszych braci Władysława II, a nawet popierających ich biskupów, lecz bezskutecznie, gdyż ci nie podporządkowali się klątwie.

Podobnie jak z Władysławem II postępowało możnowładztwo i kler z jego bratem, księciem Mieszkiem III zwanym Starym, podburzając przeciw niemu brata najmłodszego, Kazimierza. W roku 1177 krakowski biskup Gedko wraz z wojewodą Stefanem wypędził go z Krakowa, a na wiecu w Łęczycy uznali papieża za najwyższą polityczną władzę w sprawach świeckich i do niego po uznanie buntu się udali, ograniczyli podatki i świadczenia duchowieństwa, znieśli prawo,

mocą którego skarb książęcy brał majątki spadkowe po biskupach — i wszystkie te uchwały narzucili pod zagrożeniem klątwy. Następca Mieszka, zwycięski buntownik Kazimierz, za to, że uznał te uchwały, nazwany był przez magnatów i biskupów Sprawiedliwym.

Z uchwał zjazdu w Łęczycy niewiele sobie robił książę krakowski, Władysław Laskonogi, objął on majątki spadkowe po śmierci biskupów wrocławskiego i krakowskiego, za co obłożył go klątwą w roku 1206 arcybiskup gnieźnieński, Henryk Kietlicz. W odpowiedzi na klątwę Władysław Laskonogi pozbawił duchownych przywilejów, zniósł sądy duchowne, podporządkował kler temu samemu prawu, jakie stosowane było do świeckich, oraz wziął w swe ręce rozdawnictwo urzędów kościelnych. Papież Innocenty II postanowił „knaźbnego" księcia zmusić do uległości przez rozciągnięcie interdyktu na cały kraj. Równało się to wówczas złożeniu księcia z tronu. Biskup poznański, Filip, nie posłuchał papieża, interdyktu nie ogłosił, za co papież pozbawił go urzędu biskupiego i osadził na biskupstwie oddanego sobie ks. Pawła. Ale książę Laskonogi biskupa tego wypędził. Tymczasem papież mianował dwóch zagranicznych komisarzy do wydania wyroku i potwierdzenia klątwy w razie dalszego oporu księcia. Książę odwołał się do papieża, do którego też apelował w interesie duchowieństwa arcybiskup gnieźnieński. Zatarg skończył się w roku 1210 porozumieniem, korzystnym dla księcia o tyle, że skarb książęcy zachował prawo dziedziczenia ruchomości po biskupach zmarłych bez pozostawienia testamentu, a w szczególności także złota i srebra, atoli Kościół uzyskał uwolnienie od ciężarów publicznych i sądownictwo nad swymi poddanymi.

W pierwszej połowie XIII wieku arcybiskup gnieźnieński, Fulko, wyklął księcia śląskiego, Bolesława Łysego. Spór dotyczył dziesięciny. Duchowieństwo pobierało od świeckich dziesięcinę snopową, niezwykle uciążliwą, toteż świeccy chcieli zmienić ją na dziesięcinę pieniężną. Nie chciał się na to zgodzić biskup wrocławski, Tomasz, dlatego książę uwięził go wraz

z kanonikiem i okuł w kajdany. Nie skończyło się na samej tylko klątwie, gdyż papież rozkazał biskupom w Gnieźnie i Magdeburgu urządzić wyprawę zbrojną na Bolesława Łysego, do czego ci okazali się niezdolni. Biskup Tomasz, przesiedziawszy pięć lat w więzieniu, zgodził się wreszcie na zamianę dziesięciny snopowej na pieniężną, a gdy zgodę przypieczętował wręczeniem księciu 2 tysięcy srebrnych marek, odzyskał wolność.

Między synem Bolesława Łysego, Henrykiem V, a biskupem wrocławskim doszło też do zatargu o podatki. Henryk żądał podatków od duchowieństwa, które ich płacić nie chciało. Dla poparcia oporu znowu padła klątwa na Henryka. Ale między klerem nie było wówczas jedności. Zakon franciszkański we Wrocławiu zakwestionował ważność klątwy. Skorzystał z tego książę i wypędziwszy z księstwa przeciwnych mu księży i biskupa, odwołał się do soboru w Lugdunie, gdzie sprawę wygrał. Po pięciu latach wrócił biskup z wygnania i płacił wraz z podległym mu duchowieństwem żądane przez księcia podatki.

Książę sieradzki, Leszek Czarny, który po śmierci Bolesława Wstydlwego objął ziemię krakowską i sandomierską, opierał się na miastach, a nie na możnowładztwie. Krakowski biskup, Paweł z Przemankowa, znany rozpustnik, spiskował przeciw niemu z Jadźwingami. Biskupa tego uwięził Leszek Czarny w zamku w Sieradzu, za co spadła na niego klątwa papieska. Widocznie Leszek uląkł się tej klątwy, bo biskupa zwolnił, który mu za to odpłacił zorganizowaniem buntu. Bunt ten dopiero przy pomocy krakowskich mieszczan został uśmierzony.

Za panowania króla Kazimierza Wielkiego rozogniły się spory między świeckimi a klerem o dziesięciny. Klątwy przeciw nie uiszczającym dziesięciny ziemianom były na porządku dziennym. Sytuację ziemian pogarszało postanowienie Statutu wiślickiego, według którego klątwa miała ujemne skutki dla wyklętego w dziedzinie prawa publicznego, gdyż zwalniała

poddanych od ich obowiązków poddańczych w stosunku do wyklętego. Skutków klątwy doświadczył też Kazimierz Wielki na sobie, gdyż wyklął go krakowski biskup, Bodzanta, za to, że opodatkował mu dobra kościelne. Dekret biskupi przyniósł królowi ks. Baryczka, którego król osądził na śmierć przez utopienie. Baryczkę zaszyto do worka wraz z dekretem biskupim i wrzucono do Wisły. Przy pośrednictwie arcybiskupa gnieźnieńskiego biskup Bodzanta pogodził się z królem Kazimierzem, który tyle wytargował na biskupie, iż klątwy jego nie miały się rozciągać na Kraków i Kazimierz, a nadto zniesiony został zwyczaj przerywania na trzy dni nabożeństw, jeżeli w jakimś miejscu wyklęty się pokazał.

Zatarg ten, którego epilogiem był srogi wyrok królewski, zasądzający księdza Baryczkę na karę śmierci przez utopienie za zniewagę majestatu królewskiego — podobnie jak zatarg Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim Stanisławem — doczekał się legendy urobionej przez kler, która gloryfikowała Baryczkę, a plugawiła króla Kazimierza. Legendy te zebrali Pruszczyński i Niesiecki, a za nimi ks. Florian Jaroszewicz zamieścił je w dziele *Matka Świętych — Polska*, wydanym w roku 1762. Związał on sprawę klątwy na króla „z jedną Żydowicą, Esterką, dla której Żydom wiele pozwalał, i różnych im przywilejów ponadawał. A chociaż tę sobie za czasem obrzydził, obaczywszy jej łeb parchami zlany, inne jednak wszeteczeństwa bezwstydnie i z pogorszeniem ludu swego pełnił. Nadto, gdy tenże król miasta zakładał i murował, nieznośnymi podatkami ludzi obciążał, pod którymi jęczyć musieli, bo nikt się nie ośmielił króla napomnieć albo strofować, i rozwięzłego pana na drogę wykierować.” Gdy inni milczeli, odważny Marcin Baryczka wielokrotnie króla za jego występki upominał, a gdy to nie pomogło, biskup Bodzanta wymógł u papieża Klemensa VI klątwę na króla, „do ogłoszenia jednak onej nie znalazł nikogo innego z kapłanów, prócz Marcina, któremu gdy to biskup polecił, uzbrojony posłuszeństwem szedł do króla. Stanął przy tronie jego i, ognistą uczyniwszy przemowę, klątwą

papieską od społeczności wiernych i obrzędów duchownych wyłączył." Król kazał Marcina pojmać i wtrącić do więzienia, gdzie długo siedział, a gdy Wisła w zimie stanęła, w wyciętej przerębli kazał go utopić. Od tego momentu zaczęły się dziać cuda. Nad przerębłą „póty anielskie głosy brzmiały i światłość niezwykajna istniała, póki się lód nie roztopił". Ciało Baryczki nienaruszone płynęło przeciw wodzie i wonność wdzięczną bardzo z siebie wydawało, a pogrzebane w kościele św. Katarzyny sprowadzało dla ludu dobrodziejstwa Boże. Król Kazimierz wraz z całą Polską, według opowieści księdza Jaroszewicza, stał się obiektem zemsty Bożej, pisze bowiem, że „zemścił się Pan Bóg wkrótce niewinnej śmierci sługi swego nad królem zapamiętałym, albowiem przez całe trzy lata srogim powietrzem morowym państwo jego karał, jako niegdy dla występku Dawida króla całą Palestynę. Także cztery prowincje ruskie oderwały się od królestwa, to jest Bełzka, Włodzimirska, Chełmska i Brzeska, sam zaś król w dzień Narodzenia Panny Maryi, łowami się bawiąc, zapędził się za jeleniem. Koń, na którym siedział, w charpęcinę wpadł pod nim, a wtem król nogę sobie złamał, i z tego szwanku prędko po tym nędznie umarł. A że był wyklęty, przeto historycy polscy ani pogrzebu jego nie wspominają. Na jego osobie piastowska zesłała familia. Marcina zaś Baryczki sława i na niebie, i na ziemi nie ustanie, którego się modlitwom oddawajmy."

Jednak nie Baryczka czy Bodzanta, lecz król, choć oplwany przez kler jako „wszetecznik”, „ciemieżyciel" i choć jako wyklęty powierzony „zemście Bożej", uznany został przez historię za Wielkiego. Prawi on o tym ustami Wyspiańskiego:

W szkarłatach mię spowito w złotej trumnie
i pochowano na wawelskiej górze,
a tam sarkofag stawiono w marmurze,
gdzie z berłem i w koronie spałem dumnie;
zaś wszystkie stany w żałobnej posturze,
niejako płaczki, zwracały się ku mnie,
nade mną, nad ostatnim z rodu, wznosząc lament.
Wielkość — ludowi przekazywał mój testament.

Książę opolski, Władysław, był nieprzychylnie usposobiony do kleru. Widząc, że z kościelnych dóbr duchowieństwo nie chce płacić podatków, odmówił ze swej strony płacenia duchowieństwu dziesięciny. Za to wyklął go biskup płocki Dobiesław. Również świeżo ochrzczonego, a zabobonemu królowi Jagielle biskup krakowski, Oleśnicki, dwukrotnie groził kłątwa, jeżeliby się ważył żądać z dóbr kościelnych tzw. stacji, czyli utrzymania i podwód dla wojska.

Kanclerz litewski, Albrecht Radziwiłł, w pamiętnikach swych zapisał pod datą sierpnia 1643 roku, jak to nuncjusz papieski, Philonardus, groźnie operował ostrzem kławy przeciw królowi Władysławowi IV. Król zabiegał za pośrednictwem nuncjusza, by papież z okazji kreowania 17 kardynałów bodaj jednego Polaka za promocją króla godnością tą przyozdobił. Papież zlekceważył protekcję królewską i żadnego Polaka nie uczynił kardynałem. Król rozżłoszczony na papieża i jego nuncjusza postawił temu ostatniemu pod mieszkaniem wartę, aby nikt do niego nie miał przystępu. Był jeszcze drugi powód gniewu królewskiego. Oto król chciał uczcić pamięć ojca swego, Zygmunta III, i postawić przy Zamku w Warszawie kolumnę ze statuą Zygmunta. W tym celu wykupił niektóre domy zakonne, aby je wyburzyć i miejsce na ustawienie kolumny uzyskać. Nuncjusz pod grozą kławy zakazał domy burzyć, pomimo to król kazał je rozrzucić. „Nuncjusz — jak podaje Radziwiłł — zawstydzony, nic nie mogąc wskórać, przeproszać musiał króla, ale już odtąd do króla nie był więcej przypuszczony." Nie jest to dziwnym, że nawet od 300 lat istniejąca na placu zamkowym w Warszawie Kolumna Zygmuntońska, na której szczycie dominuje statua „króla jezuitów", Zygmunta Wazy, dzierżącego w jednym ręku miecz, a w drugim krzyż — podminowana była bombą kławy kościelnej.

Znane też były na ziemiach polskich interdykty rzucane na cały kraj, a także na poszczególne miasta i wsie. Takim interdyktem obłożył arcybiskup gnieźnieński księstwo mazowieckie z powodu zatargu z Petraszem, wojewodzie płoc-

kim, który najechał dobra biskupie w Łowiczu. Zdjęcie interdyktu z księstwa zostało opłacone odstąpieniem biskupowi dwóch wsi i zapłaceniem odszkodowania.

Również i ziemie śląskie często nawiedzała powódź klątw. W latach 1335—1342 kolektor papieski, Gallard de Carceribus, ekskomunikował z powodu niepłacenia świętopietrza miasta: Wrocław, Głogów, Racibórz, Cieszyn, Żory, Gliwice i Koźle, oraz książąt: Bolka z Niemodlina, Konrada z Oleśnicy, Henryka z Jaworza, Jana ze Ścieniawy, Mikołaja z Raciborza, Bolka ze Świdnicy i Henryka z Żegania. Zaciekłość i bezwzględność kurii rzymskiej była tak wielka, że papież Benedykt XII polecił temuż kolektorowi rzucić klątwę nawet na biskupa, kapitułę i wszystkich kler w diecezjach kamieńskiej i wrocławskiej, również z powodu oporu w płaceniu świętopietrza. Księcia raciborskiego, Jana, i oświęcimskiego, Jana Scholastyka, wyklęto za zabór należnej scholasterii krakowskiej dziesięciny w kwocie 5280 grzywien, z czego papież za karę żądał połowy dla siebie.

Także na ziemię pomorską i chełmińską rzucono wówczas interdykt. Biskup warmiński z powodu niepłacenia daniny papieskiej, zwanej *servitium*, też był wyklęty, a w roku 1331 rozgrzeszono go z tej klątwy. Towarzyszami niedoli jego byli dwaj biskupi imieniem Jan, jeden z Poznania, drugi z Chełmna. Poznańskiego Jana rozgrzeszono w roku 1358, chełmińskiego zaś Jana w roku 1361.

W dniu 6 czerwca 1363 roku papież Urban V z Awinionu wystosował żądanie do króla Kazimierza, aby krakowskich kupców i mieszczan, zalegających z podatkami kościelnymi, świeckim ramieniem zniewolił do zapłacenia zaległości. Nie tylko mieszczanie, ale nawet proboszczowie zalegali z podatkami papieskimi, toteż ekskomunikowano plebanów z Nowego Zamku, Chłodnicy, Częstoborowic, Bychawy, Tyńca, Liszek, Staszowa, Mironiowic i Siedleszyc, a pod interdyktem znalazły się kościoły „de Swirzowa, Stancicia, Luchow, Żelichów, Zuzców” w Radomskiem. Z owych czasów pochodzące zapiski,

przechowywane w archiwach watykańskich, wymieniają nazwiska wyklętych: Egidusa, sołtysa z Przegini, Jana, „mieszczanina o jednym oku”, z Sącza tudzież jakiegoś Jaszkę, Ladezicza, Lancziczę i Mikołaja Gruszkę. Ci dwaj ostatni pochodzili prawdopodobnie z Lencz; w Lenczach bowiem mieszkała drobna szlachta: Gruszkowie i Leńczowscy.

Kromer pisze szczerze o niegodziwości nuncjusza apostolskiego, arcybiskupa kreteńskiego Hieronima, który małżonkom znakomitych osób w Prusiech wiązał sumienia interdyktem kościelnym, zakazując im stosunków małżeńskich z mężami, jeżeliby ci nie chcieli złamać wiary królowi polskiemu i trzymać z Krzyżakami przeciw Polakom.

Podobne metody zmuszony był na rozkaz nuncjuszów stosować kler polski w czasie elekcji królów, organizując za pośrednictwem konfesjonatów „masowy strajk” żon szlacheckich w alkierzach małżeńskich przeciw mężom, którzy nie byli skłonni ulegać intrygantom politycznym nasyłanym z Rzymu do Polski.

* * *

Jakie praktyki stosowano przy rzucaniu klątw i interdyktów, przykładu na to dostarcza sprawa kościelno-sądowa między klasztorem w Tyńcu a plebanem w Lenczach. Klasztor ten prowadził długotrwały proces z plebanem z Lencz Górnych i drobną szlachtą leniecką z Lencz Górnych, Średnich i Dolnych o dziesięciny, jako rzekomo prawnie klasztorowi należące, a przez plebana, ks. Pawła, przywłaszczone dla kaplicy, nieprawnie przez niego nazwanej kościołem. Pierwszy proces toczył się w latach 1421—1434. Opat tyniecki, Stanisław, proces ten przegrał. Ale następca jego, opat Bogdał, zdołał przeforsować w Rzymie wznowienie procesu, a gdy wznowienie dopuszczono, dowodził przy pomocy dokumentu z 15 maja 1287 roku, że już wówczas biskup krakowski Paweł odstąpił klasztorowi tynieckiemu dziesięciny w Lenczach i Zorzowie

(Rzozów) w zamian za wsie Byczynę i Gorysławice tudzież za dziesięciny w Dąbrowie pod Lelowem. Na podstawie takiego dowodowego dokumentu, niespodziewanie odnalezionego, klasztor tyniecki proces tym razem wygrał, a następcę ks. Pawła na probostwie w Lenczach — ks. Jana Mikołaja — zasądono na zapłacenie 82 dukatów złotych kosztów procesowych, 4 dukatów kosztów postępowania egzekucyjnego i odsądono go od dziesięcin, przyznając je klasztorowi tynieckiemu. Audytor kurii rzymskiej, dziekan Piotr Marcin de Caveis Rubeis, publikując wyrok z 5 października 1453 roku zarządził jego egzekucję, jako zaś środek egzekucyjny przewidział w nim zastosowanie do opornych klątwy kościelnej. Wyrok ten zawiera szczegółową instrukcję co do form tej egzekucji i stosowania klątwy. Wyrok adresowany jest do króla polskiego, Kazimierza, do biskupów, z arcybiskupem gnieźnieńskim na czele, wreszcie do wszystkich dygnitarzy Kościoła i państwa jako egzekutorów oraz do rządcy kaplicy w Lenczach jako tego, który ma obowiązek podporządkowania się zarządzeniom wyrokowym.

Według tej instrukcji klątwa egzekucyjna przewidziane miała następujące stadia:

1. W okresie sześciu dni po doręczeniu władzom kościelnym wyroku miały one obowiązek proboszcza odsunąć od dziesięcin, a wydać je klasztorowi tynieckiemu. Chodziło tu zapewne o publikację sentencji wyroku.

2. Z upływem powyższego terminu nastąpić winno trzykrotne upomnienie proboszcza pod zagrożeniem użycia klątwy, aby do wyroku się zastosował. Upomnienie miało następować w ciągu 30 dni co dziesięć dni.

3. Jeżeliby upomnienie okazało się nieskuteczne, miało nastąpić popadnięcie proboszcza w klątwę, a wszystkie władze kościelne miały obowiązek w niedziele i święta, w miejscach poświęconych służbie bożej, o fakcie tym publicznie dawać ogłoszenie ludowi dotąd, póki inne nie wyjdzie zarządzenie.

4. Jeżeliby w dziesięć dni po tej publikacji klątwy pro-

boszcz nadal trwał w uporze, miało nastąpić uroczyste ogłoszenie ekskomunikacji przy biciu w dzwony, zapaleniu, zgaszeniu i rzuceniu na ziemię świec, przy podniesieniu krzyża i osłonięciu go, przy kropieniu wodą święconą w celu odpędzenia diabłów, którzy opornych w klątwie trzymają związanych łańcuchami, wreszcie przy odmawianiu modlitwy, aby wyklętych Jezus Chrystus przez łaskę do wiary i do Kościoła sprowadził i w takiej przewrotności nie pozwolił im życia zakończyć. Przy tym odśpiewać należało *Revelabunt coeli iniquitatem Judae* i psalm *Deus laudem meam ne tacueris* z antyfoną *Media vita in morte sumus usque ad finem*. Po zakończeniu pieśni przystąpić miał kler z ludem do bram kościelnych i dla zastraszenia ekskomunikowanych, by do posłuszeństwa nawrócili się, rzucić trzy kamienie w kierunku ich domów na znak przekleństwa wiecznego, jakie Bóg rzucił na Dathana i Abirona, których ziemia żywcem pożarła. Publikowanie ekskomunikowanego i wzywanie wiernych, by go unikali, miało być także przedsięwzięte po każdej mszy i nieszpórach, w czasie kazań, a nawet rozmów.

5. Gdyby w dalszych dziesięciu dniach nie było skutku z publikowania klątwy, nastąpić miało trzykrotne upomnienie wiernych, wszystkich razem i każdego z osobna, a w szczególności rodziny i służby ekskomunikowanego, aby zaniechały wszelkich z nim stosunków.

6. Gdyby i to nie poskutkowało, wówczas w sześciu dniach miało nastąpić kanoniczne upomnienie wszystkich wchodzących w stosunki z wyklętym, gdyby zaś i to upomnienie było bezskuteczne, miało nastąpić po nabożeństwie publiczne ogłoszenie na wszystkich opornych klątwy z pouczeniem, że wyklętych każdy powinien unikać dotąd, póki nie zasłużą sobie na rozgrzeszenie. Z ogłoszeniem klątwy nabrać miały mocy skutki z nią związane, mianowicie wyklęci mieli stracić zdolność sądową, nie mogli być świadkami, względnie miało się nie dawać wiary ich zeznaniom i wzbronić im uczestnictwa w aktach prawnych.

7. Jeżeli po publikacji kławy upłynęło dziesięć dalszych dni, a wyklęci nadal grzeszyliby nieposłuszeństwem, nastąpić miało rzucenie interdyktu na te miejscowości, w których by wyklęci przebywali. W tych miejscowościach miało być przerwane odprawianie nabożeństw na tak długo, jak długo w nich przebywać będą wyklęci. Nawet po ustąpieniu wyklętego przerwa w odprawianiu nabożeństw trwać miała jeszcze trzy dni. W czasie tym miało się nie sprawować sakramentów, z wyjątkiem sakramentu chrztu i pokuty, eucharystię sprawować się miało jedynie dla chorych, sakrament zaś małżeństwa bez uroczystości kościelnych, nadto zakazane było urządzenie pogrzebów z ceremoniałem kościelnym.

8. Jeżeli w dalszych dziesięciu dniach po ogłoszeniu interdyktu miejscowego wyklęci nie upokorzyli się, wówczas, gdy oręż kościelny okazał się bezskuteczny, przewidziana była pomoc miecza świeckiego i ramienia świeckiego, „aby ten, kogo bojaźń Boga nie odwróciła od złego, zniewolony został do tego świecką srogością karną”.

Audytor kurii rzymskiej zwraca się więc do króla Kazimierza, jako naczelnego dzierżyciela miecza i zelatora sprawiedliwości, jak również do wszystkich władz i urzędów świeckich, i mocą upoważnienia apostolskiego żąda od nich wypełnienia zleceń, a w szczególności udziela im pozwolenia, aby na żądanie klasztoru tynieckiego wszystkich pozostających pod interdyktem schwywali, zatrzymali i uwięzili, a ich rzeczy i dobra zajęli, oraz aby wyklętych fizyczną siłą złamano i zniewolono, unikając przy tym ciężkiego rozmyślnego uszkodzenia ich ciał. Tak zaś nakazuje się postępować z nimi w tym celu, by zadośćuczynili wyrokowi, i postępować tak przez cały czas, póki nie dostaną rozgrzeszenia z kar i cenzur kościelnych.

Wyrok zawiera w końcu upomnienia pod adresem króla, zapowiadając mu utratę przygotowanej dlań przez samego Boga nagrody, jeżeli „zlecenia apostolskie” przekroczył, zaniedbał albo przeciw nim wystąpił.

Kławie towarzyszył ponury rytuał. Bowiem od treści samej kławy, jako wyroku sądu kościelnego, odróżnić należy obrzędowość kościelną, związaną z wyklinaniem zawyrokanego, tj. rzucanie gromów i przekleństw, gaszenie świateł, łamanie świec itp. Pontyfikał rzymski przepisywał użycie kławy na tych, którzy by się targnęli na dobra zakonne, według następującego brzmienia:

„Niech nikt dóbr zakonnych nie szarpie, ale niech ich spokojnie używają, a jeżeli kto śmiał się tego ważyć, niech przeklęty będzie w domu i wszędzie indziej, przeklęty w mieście i na roli, przeklęty czuwając i śpiąc, przeklęty jedząc i pijąc, przeklęty chodząc i siedząc, przeklęte ciało i kości jego i od stopy nóg aż do wierzchu głowy niech zdrowia nie ma. Niech nań przyjdzie przekleństwo człowieka, które Pan Bóg przez Mojżesza w Zakonie na syny nieprawości przypuścił. Niech będzie wymazane imię jego z ksiąg żyjących i ze sprawiedliwym niech wpisany nie będzie. Niech cześć i dziedzictwo jego będzie z Kainem, z Dathan i Abiron, z Ananią i Zafirą, z Symonem Czarnoksiężnikiem i Judaszem Zdrajcą, i z tymi, którzy rzekli Panu: odstęp od nas, ścieżką dróg twoich chodzić nie chcemy. Niech zginie na Sądym Dniu, niech go pożre ogień wieczny z Diabłem i Aniołami jego, gdyby wrócić nie chciał i do poprawy nie przyszedł. Niech się tak stanie!”

Kława była więc doskonałym narzędziem walki z opornymi hierarchii kościelnej jednostkami, służyła także jako narzędzie postrachu, czyli jak to mówią dzisiejsze kodeksy karne, „szerzyła niepokój publiczny”, choć w owych czasach przy pomocy kławy szerzono mało powiedzieć niepokój, gdyż kława wywoływała powszechne... przerażenie.

Nic dziwnego, że i proboszcz w Lenczach, Jan Mikołaj, tak się kławy przeraził, że rozchorował się i umarł. Jego następcą, proboszcz Filip, miał nerwy mocniejsze i przez dwa lata nie podporządkował się wyrokowi, toteż w roku 1455 i na niego kławę rzucono. Niewiele jednak musiała ona zdziałać, skoro dopiero za dziesięć lat, w roku 1466, klasztor tyniecki zawarł umowę z nowym proboszczem, Maciejem, i szlachtą

leniecką, mocą której proboszcz w Lenczach odstąpił wprawdzie klasztorowi w Tyńcu dziesięcinę z Lencz, jednak tytułem zamiany za dziesięcinę snopową dla kościoła w Lenczach ze wsi Gołuchowca.

Po przeszło czterech wiekach wyszło dopiero na jaw, że klątwa kościelna posłużyła w tym wypadku do egzekwowania wyroku opartego na oszustwie. Wydawca *Kodeksu dyplomatycznego klasztoru tyńskiego* Kętrzyński udowodnił bowiem, że wznowienie procesu o dziesięciny z Lencz przyzwolone zostało przez papieża skutkiem przedłożenia przez opata tyńskiego, Bogdała, sfalszowanego dokumentu. W dokumencie tym opat Bogdał, lub wynajęty przez niego fałszerz, odstąpił biskupowi krakowskiemu za dziesięciny w Lenczach wsie Byczynę i Gorysławice, których klasztor w Tyńcu nigdy nie posiadał, a które z dawien dawna należały do biskupa, klasztorowi zaś za to nadał biskupie dziesięciny w Lenczach, których biskup nigdy nie posiadał i w rzeczywistości ich nigdy klasztorowi nie nadawał.

* *
 *

W walce z książętami i królami stan kapłański stał się potęgą. Pod jego moc dostał się też wymiar sprawiedliwości we wszystkich sprawach, które miały związek z religią. Będąc potęgą sam określał, które sprawy należą do sądów kościelnych, a które łaskawie pozostawić raczy przy sądownictwie świeckim. W walce z książętami piastowskimi przywileje stanu kapłańskiego ustawicznie rosły. Jego jurysdykcji podlegała szlachta, mieszczaństwo i chłopci, a oczywiście spraw dotyczących swego własnego stanu też nie oddał świeckiemu sądownictwu, ale zatrzymał je przy sądach kościelnych. Gdy w Krakowie sąd miejski odważył się w roku 1456 osądzić na karę śmierci dwóch księży z powodu popełnienia przez nich kradzieży, wdał się w tę sprawę biskup i z przyczyny naruszenia właściwości sądu kościelnego rzucił na miasto Kraków

interdykt, spod którego miasto wykupiło się kwotą 300 złotych, przedstawiającą wówczas bardzo dużą wartość (1800 korcy pszenicy).

W ten sposób sądy kościelne sądziły wszystkie inne stany o kacerstwo, herezję, czary, lichwę, dziesięciny, czynsze, o wszelkie dochody i fundusze należne Kościołowi, o zabicie, zranienie, znieważenie itp. krzywdy wyrządzone księżom, dalej, sprawy małżeńskie, o prawość rodu, sprawy patronatu kościelnego, a także spory wynikające z umów zawartych przed sądem kościelnym. Niewiele więc spraw pozostawiło duchowieństwo sądom świeckim.

Wyroki sądów kościelnych nie potrzebowały opieki i pomocy władzy świeckiej. Wydawane pod zagrożeniem klątwy, której się lękano bardziej niż miecza władzy świeckiej, znajdowały wszędzie posłuch. Jeżeli dotknięty klątwą próbował sobie ją lekceważyć, rozciągano ją na jego rodzinę i przyjaciół. Jeżeli dziedzic wsi do sześciu miesięcy nie uzyskał rozgrzeszenia z klątwy, wpadali w klątwę wszyscy jego poddani. Do tego dodano jeszcze postanowienie prawa świeckiego, zawarte w Statucie wiślickim, że poddani mogli bezkarnie odejść dziedzica, jeżeli ten więcej niż rok pozostawał pod klątwą. Wyklęty nie miał dostępu nie tylko do Kościoła, ale i do świeckich urzędów.

Również i sądy odmawiały wyklętemu wymiaru sprawiedliwości, czyli — jak mówiono — „klęty nie był przypuszczon do prawa”. Posłowie jednak wykazywali, że w tym względzie nie ma jasnych statutów, toteż sejm piotrkowski w roku 1562 potraktował praktykę z niedopuszczaniem wyklętych do prawa jako nadużycie.

W XV wieku zaczynają się też mnożyć ustawy, które z klątwą kościelną wiążą różne skutki cywilne. I tak według ustawy, wydanej w roku 1424 w Wieluniu, jeżeli sąd duchowny uznał kogoś za heretyka, to z mocy tej ustawy ogłaszano go za „infamisą”, czyli człowieka bez czci, pozbawiano go majątku, przynależności do stanu szlacheckiego, tracił godności

i urzędy i musiał uchodzić z kraju na wygnanie. Była to kara tzw. banicji.

Następnie w roku 1458 wydano nowe prawo, iż każdemu, kto pozostaje dłużej niż rok pod klątwą, bez względu na to, za co tę klątwę na niego rzucono, starostowie obowiązani są wziąć w sekwestr majątek na czas, póki wyklęty nie otrzyma rozgrzeszenia, gdyż „kogo bojaźń Boska i miecz duchowny od złego nie odwodzi, tego każn świecka poskromić powinna. Za czym w klątwie przez rok upornie trwających, dobra tak ruchome, jak nieruchome, per C a p i t a n e o s loci (przez miejscowych starostów) sekwestrowane być mają i póty nie wydane, póki ukrzywdzonym zadosyć się nie stanie.” Przepisy te stały na straży kastowych interesów duchowieństwa, chroniły bowiem majątki duchowieństwa przed jakimkolwiek naruszeniem ich przez świeckich, a nadto działały egzekucyjnie przy ściąganiu należności duchowieństwa, wyklęty bowiem miał być ten, „kto by albo dobra kościelne, ruchome bądź nieruchome, albo dziesięciny, albo na miłosierne uczynki largicje brał, gwałtem wydzierał, niesłusznie zatrzymywał, ciążył, wyciskał etc, a wrócić by ich i nagrody za to czynić nie chciał”.

Nadto zezwolono, ażeby biskup wyklinał opieszalych starostów, którzy by sekwestru nie wykonywali. W ten sposób biskupom dostał się nadzór nad starostami, a groza klątwy, która mogła spowodować utratę urzędu, zmieniała państwowego urzędnika w powolne biskupie narzędzie.

W roku 1505, za króla Aleksandra, wciągnięto do zbioru praw decyzję archidiacona gnieźnieńskiego, Mikołaja Kotficza, według której w klątwę ipso facto wpadają, „którzy duchownym osobom, albo kościołom, dziesięciny, possessie, czynsze, dobra albo rzeczy ruchome i własność ich poddanych wydzierają, najeżdżają, ciężą albo ciężkość i jawne obrazy czynią, i do trzeciego dnia nie nagradzają, którzy duchownemu czynią szkody albo obrazy bądź jawnie, bądź tajemnie”. Powyższa decyzja przyśpieszyła procedurę rzucania klątwy, w wypadku bowiem tzw. jawnego występku można było klątwę

ogłosić bez uprzedniego upomnienia i bez pozwu ze strony zainteresowanego duchownego.

Ostatnim z królów polskich, do którego próbowano dobierać się klątwami, był Kazimierz Jagiellończyk. Spór wywiązał się między nim a władzami kościelnymi o to, kto ma mieć wpływ na obsadzanie biskupstw, król czy papież. Prawo to rościł sobie król z tego tytułu, iż biskup był także senatorem, a więc czynnikiem politycznym, który powołany być powinien przez władzę krajową, a nie zagraniczną, jaką jest papież. Gdy papież biskupstwo nadał Sienieńskiemu, a kapituła to uznała, nie uznał tego król, lecz zamianował biskupem Gruszczyńskiego. Papież wysłał do Polski breve wraz z klątwą na króla, atoli król nie pozwolił na ogłoszenie klątwy, papieskiego biskupa wraz z jego zwolennikami „wyświecił”, czyli wyrzucił z Krakowa, a gdy ten schronił się na zamku w Pińczowie, zamek ten kazał zdobywać, dobra zaś biskupie i kapitulne zasekwestrował i oddał biskupowi mianowanemu przez siebie, Gruszczyńskiemu. Tym zaś, którzy by popierali Sienieńskiego, zagroził karą śmierci. Mimo perswazji różnych delegatów papieskich nie ustąpił od swej politycznej zasady, iż kapituły według wskazówek króla mają wybierać biskupów.

Odtąd już z królami polskimi klątwami nie wojowano. Za to obficie rzucano je na szlachtę i księży, już to zarażonych „herezjami”, już to nie zachowujących subordynacji wobec dygnitarzy kościelnych, już to odmawiających dziesięcin Kościołowi. Za Zygmunta Augusta niemal co drugi szlachcic był wyklęty albo przez wspomaganie wyklętych sam wpadał w klątwę.

W ciągu trzech lat, 1552—1554, w okolicy Sącza wyklęte były następujące osoby szlacheckiego pochodzenia:

1. Anna Amborska z Dobrocieszy, gdyż nie oddała uczniowi Akademii Krakowskiej, Mikołajowi Porębskiemu, 1 złotego.

2. Mikołaj Znamierowski, pisarz grodzki, z powodu nieuiszczenia księdzu sądeckiemu prywatnego długu.

3. Jakub Rożen, sędzia sądecki, z powodu zaległej dziesięciny biskupiej i daniny dla franciszkanów.
4. Marcinkowska w Chomranicach z powodu oporu w płaceniu dziesięciny.
5. Jakub Michalewski z powodu nieoddania dziesięciny z ról kmiecych trzymany przez niego w Podegrodziu.
6. Adam Rożen z Mogilna o dziesięcinę nie oddaną plebanowi w Bruśniku.
7. Jakub Michalczowski za zaległą dziesięcinę plebanowi z Jakubowic.
8. Marcin Szałowski z Połańca z powodu zaboru dziesięciny.
9. Jan Osiecki z Bielska z powodu nieoddania dziesięciny plebanowi Trębeckiemu w Tropiu.
10. Jan Wronowski z powodu nieoddania dziesięciny plebanowi w Tęgorozy.
11. Wreszcie miasteczko Tymbark też pozostawało pod klątwą biskupią z powodu nieoddanej dziesięciny i dopiero dzierżawca miasteczka, Mikołaj Lubomirski, wyjednał u biskupa zniesienie tej klątwy.

Zatem w trzech latach na niedużym terenie padło dziesięć klątw na szlachtę i jedna na miasteczko. Podobne stosunki istniały na obszarze całego państwa, toteż mało było takich szlachciców, którzy by nie doświadczyli na sobie skutków ekskomunik i interdyktów biskupich i proboszczowskich.

Do rzędu humorystycznych osobliwości w XVI wieku należy zaliczyć klątwę, jaką rzucił papież Klemens VII na Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, legata papieskiego i prymasa Polski. Łaski był wielkim nieprzyjacielem protestantów. Bratanek jego, Jarosław Łaski, był wybitnym protestantem, a na Węgrzech zaplątał się w sprawy polityczne, popierając króla Jana Zapolę przeciw Ferdynandowi austriackiemu. Arcybiskup Łaski miał doradzać bratankowi, aby szukał pomocy dla Jana Zapolę u sułtana tureckiego, za co papież w bulli, zawierającej klątwę, nazwał arcybiskupa — ar-

cydiąbłem. Łatwo było papieżowi w Rzymie bulle takie wydawać, trudno jednak było wykonać je w Polsce. Potężny arcybiskup skrzył kark papieskiej bulli, i na tym się afera skończyła. Jest ona jednak przykładem, jak i przeciw komu wówczas używano i nadużywano klątw kościelnych.

Nie mniej znamienny był zatarg biskupa Jakuba Uchańskiego z papieżami. Uchański już jako biskup chełmski źle był zapisany w kurii rzymskiej. Wiedzano tam, że jest on tolerancyjnie usposobiony względem protestantów, że myśli o pojednaniu z nimi katolików i o zwołaniu soboru narodowego. Z tych też powodów papież Juliusz III przez trzy lata odmawiał Uchańskiemu potwierdzenia na urządzie biskupim. Uchański jednak nie zważał na to, lecz wykonywał jurysdykcję biskupią, ufny w protekcję króla. W roku 1557, za poparciem króla, Uchański otrzymał rentowniejsze biskupstwo kujawskie. Papież znów i na tę zamianę zgodzić się nie chciał. Uchański, nie czekając na aprobatę papieską, sam gwałtem opanował zarząd diecezji i wdarł się przemocą w użytkowanie dóbr biskupich. Na ten „zajazd” papież odpowiedział klątwą, rzuconą na Uchańskiego, który zaraz odwzajemnił się klątwą rzuconą na papieża. Zatarg z powodu tych klątw trwał trzy lata. Dopiero po śmierci „wyklętego” papieża Pawła IV, nowy papież, Pius IV, potwierdził Uchańskiego na urządzie kujawskiego biskupa. Niebawem wyklinany przez papieża Uchański został arcybiskupem gnieźnieńskim, a z godnością tą przypadł mu w udziale urząd prymasa Korony Polskiej.

Były i takie wesołe zdarzenia, że biskupi, posprzeczawszy się z sobą, okładali się klątwami. Arcybiskup gnieźnieński, prymas Mikołaj Dzierzgowski, wyklął w roku 1547 ówczesnego biskupa kujawskiego (późniejszego krakowskiego), Andrzeja Zebrzydowskiego. Przyczyną klątwy był zatarg Zebrzydowskiego z właścicielem wsi Łaznowa, któremu biskup wieś ową zagabił.

Z klątw kościelnych robiły też użytek kapituły przeciw swoim biskupom. Poznański biskup Izdbieński rzucił klątwę

na kapitułę, która dopominała się zwrotu zagrabionych jej przez biskupa fundusów. Kapituła tą samą broń zwróciła przeciw biskupowi, rzucając na niego klątwę. Sprawą tą zajęła się krakowska kapituła w roku 1551, polecając posłom swym na synod kościelny w Piotrkowie, by ją tam poruszyli.

Za króla Aleksandra zastrzono prawo o sekwestrze majątków osób wyklętych w ten sposób, że kto dziesięcinę lub inne dobra duchownym zatrzymuje lub zabiera, już przez ten sam fakt popada w klątwę, jeżeli w trzech dniach utraty nie wynagrodzi. Nie potrzeba było więc klątwy ogłaszać, wystarczyło udowodnić fakt naruszenia prawa o dziesięcinie — i już konfiskata majątku „przestępcy” następowała z mocy samego prawa. Szlachta jednak nie ustępowała. Nie było prawie w Polsce parafii, w której by nie było procesu o dziesięcinę. Wlokły się te procesy latami, bowiem od sądu biskupiego odwoływano się do nuncjusza papieskiego, a potem jeszcze do Rzymu. Nawet zakony, które musiały świeckim duchownym ze swych dóbr składać dziesięcinę, nie chcąc jej dawać, procesowały się przez dziesiątki lat.

Z wystąpieniem w Niemczech Lutra rozpoczął się też i w Polsce nowy ruch religijny, ale i kościelna Św. Inkwizycja zastrzyła swoją czujność. Sądownictwo kościelne stało się powszechne dla świeckich, co znów wywołało powszechną krytykę, zwłaszcza że niejasność przepisów, jakie sprawy podlegają sądom kościelnym, a jakie świeckim, ułatwiała rozwielenie się klerykalnego władztwa w dziedzinie sądowej. Król Zygmunt I, porządkując właściwość sądów, pozostawił sądom biskupim takie sprawy, jak o kacerstwo, odszczerpienie od Kościoła, bluźnierstwo, świętokradztwo, dziesięcinę, uposażenie duchownych, czary i gusła, zatargi z księżmi, lichwę i tzw. wyderkafy, o ślubność rodu, rozwody, separacje, prawo patronatu, o probostwa.

Mimo tak szerokich uprawnień władza kościelna faktycznie wówczas kurczyła się, coraz bowiem było mniej takich,

którzy by się jej bali, a coraz więcej znajdowało się śmiazków, co się spod niej wyłamywali. Ksiądz Walenty z Chrzczonowa ożenił się. Z powodu złamania celibatu krakowski biskup, Samuel Maciejowski, pociągnął go do odpowiedzialności przed sąd biskupi. Stawił się na ten sąd ks. Walenty, ale w towarzystwie wielu ludzi uczonych. Był między nimi i Rej z Nagłowic. Sąd biskupi żadnego wyroku nie wydał, licząc się z tym, że jakkolwiek wyrok wyda, nie będzie on mógł być wykonany.

Następca Maciejowskiego, biskup Zebrzydowski, przekonał się, że od wydania wyroku do jego wykonania jest droga daleka. Skazał on za herezję ziemianina Konrada Krupkę Przecławskiego na śmierć i utratę całego majątku. Na ten wyrok zawrzała oburzeniem szlachta, i to nawet szczerze katolicka, ile że w Polsce nawet sam król nie miał prawa skazywać na tak straszną karę, na jaką odważył się biskup. Rząd wyroku biskupiego nie wykonał, a biskup poprzestał na rzuceniu klątwy na Przecławskiego, która jednak żadnych skutków ujemnych dla jego praw obywatelskich i majątkowych przynieść już nie mogła.

Wyklęto też obrońcę Krupki, posła na sejm, Hieronima Ossolińskiego pod pretekstem, że nie wydawał dziesięcin kościelnych. Ossoliński udając, że nie wie nic o klątwie, w sam dzień Wniebowstąpienia, kiedy sufragan Spott odprawiał sumę, wszedł do katedry wawelskiej. Przerwano nabożeństwo, a sufragan w towarzystwie kanonika Boratyńskiego prosił Ossolińskiego o opuszczenie katedry. Ossoliński oświadczył jednak, że będzie siedział w katedrze choćby do wieczora, aż wpierv wyjdą z niej księża, wszyscy co do jednego. Sufragan musiał ustąpić i zaniechać nabożeństwa, a Ossoliński żądał jeszcze od kapituły zadośćuczynienia za zniewagę, której dopuścił się kanonik Boratyński. Kanonicy zobowiązali się też sprawę klątwy rzuconej na Ossolińskiego zbadać, i to szybko, i w taki sposób załagodzili sprawę.

Sądownictwo kościelne w sprawie herezji podważyła jed-

nak najmocniej sprawa księdza Stanisława Orzechowskiego, kanonika przemyskiego. Był to ksiądz kształcony za granicą, gdzie poznał się z Lutrem i przejął się jego naukami. Wróciwszy do kraju głosił nauki o potrzebie uniezależnienia Kościoła w Polsce od Rzymu, namiętnie potępiał celibat, jako przyczynę spustoszenia moralnego wśród duchowieństwa, a wreszcie wbrew przepisom o celibacie i ostrzeżeniom biskupa ożenił się z Magdaleną Chełmską. Biskup przemyski, Dziaduski, wydał dekret uznający małżeństwo za nieważne, na Orzechowskiego rzucił klątwę, skazując go tym samym na utratę czci obywatelskiej (infamie) i mienia oraz na wydalenie z kraju (banicję) i zwrócił się do władzy świeckiej o wykonanie wyroku. Krakowski wojewoda Kmita wiedział jednak, jak wrogie są nastroje przeciw sądom kościelnym między świeckimi, toteż zwlekał z wykonaniem wyroku. Klątwę odczytano we wszystkich kościołach. W czasie odczytywania klątwy w katedrze w Przemyślu wszedł do katedry Orzechowski z gronem swoich przyjaciół. Oczywiście w tej chwili księża nabożeństwo przerwali, lecz Orzechowski, nie zważając na to, wszedł na ambonę i w kazaniu przedstawił swoją krzywdę, pomstując na despotyzm biskupa. Następnie w grodzkim starostwie założył protest przeciw biskupim dekretem. Również i do papieża wysłał „suplikację”, w której mu dosadnie nawymyślał. Biskupi jednak postawili na swoim. Król Zygmunt August, chcąc unieszkodliwić opozycję przeciw koronacji na królową żony swej Barbary, zatwierdził wyrok biskupi na Orzechowskiego i nakazał go wykonać wojewodzie Kmicie, tj. schwytać Orzechowskiego, zabić go jako odsądzonego od czci i skonfiskować mu majątek. Na wieść o tym zawrzało wśród szlachty. Na sejmikach ziemskich o niczym innym nie mówiono, tylko o sprawie Orzechowskiego i uroszczeniach kleru, i żądano zniesienia sądownictwa kleru nad świeckimi. Sejm walny, zebrany w roku 1552 w Piotrkowie, zajął się sprawą Orzechowskiego. Posłowie i senatorowie namiętnie dopominali się zniesienia władzy sądów i praw kościelnych. Het-

man wielki koronny, Jan Tarnowski, gorliwy katolik, zaatakował kler najmocniej. Zwracając się w stronę biskupów, wyrzucał im:

„Przywłaszczyliście sobie prawa majestatu na mocy jakichś dekretaliów, które nic nie znaczą u nas, a tym mniej u króla, co na nasze przysięgał prawa i przez nie siedzi na tronie, a nie z woli papieża i dekretaliów. Rzucajcie sobie klątwy tam, gdzie się was boją!

Wasza rzecz starać się o to, aby herezji nie było, a jeśli heretycy za napomnieniem waszym do zdrowia powrócić nie zechcą, niechaj ponoszą prawem przepisaną karę — ale sądem królewskim, nie biskupim sądem. Tak nasze prawa nakazują Nie będzie król trzymał miecza w ręku na wasze zachcenia ani my nie oddamy głów naszych pod prawa, którymi okrutne skryby i nędzni faryzeusze święte pismo splamili. Gdy nadto w bieżącym roku do okrucieństwa praw waszych dodamy nienawiść, a któż by was dłużej znosił? Pytacie, co zrobicie z waszymi dekretaliami, jeśli nic znaczyć nie będą? My się pytamy, co się stanie z naszymi prawami, jeśli wasze dekretalia coś znaczyć będą? Gardzą już nimi wszystkie narody nie dlatego, iżby się pobożność na świecie zmniejszyła, ale dlatego, że sobie życie ludzkie, ojczyznę, cześć i mienie nasze mało ważą, że podejrzenie robi u was heretyków, że dowodzicie winy oszczerstwami i szpiegami, że gwałtem wymuszacie wyznanie. Czy Wasza Królewska Mość chcesz ich użyć na nas i czy my ich znosić będziemy? To jest pytanie. Według praw naszych możecie sądzić herezję w senacie, wspólnie z nami, na widowni całej Polski, nie w piwnicach biskupich, polskimi, nie rzymskimi prawami — aby nikt z winnych nie czuł się uciśniony gwałtem albo strachem, ale szedł w prawo swoje wobec króla, aby mógł pytać głośno i głośno zbijać zarzuty... Nie ma nikogo w Polsce, co by nie czuł, że na tym sejmie chodzi o wszystko, co posiada. Jeśli ci, których tu widzicie, doniosą do braci, że wy na sejmie tym zostaliście panami życia i śmierci swoich współobywateli, pytam się, jak wytrzymacie nienawiść?

Pomnijcie na Żydów w Budzie, skąd ich w jednym dniu wymieciono, patrzcie, aby i wam się coś podobnego nie stało. Nie zniosą ludzie największej wolności, abyście ich bezkarnie grabić i z kraju wypędzać mogli. Mówię, co mówię, na to, abym was ujrzał wolnych od niebezpieczeństwa. Nie podejrzewajcie mnie o herezję ani o sprzyjanie herezji. Wszystko, w com wierzył dzieckiem, wierzę i dziś na starość i, jak sam przy wierze mojej pozostać pragnę, tak nie chciałbym, aby się inni od niej wyłączały. Ale tu nie o wiarę, tu o wolność sprawa, którąście sądem waszym zgwałcili!”

Biskup Zebrzydowski zareagował na wystąpienie hetmana, zwracając się do niego z wyrzutem:

„Czymże ja w Polsce będę, Tarnowski, jeśli mi heretyków sądzić nie wolno? Woźnym czy biskupem?”

„Przywoiciej tobie, Zebrzydowski, być woźnym niż mnie twoim niewolnikiem” — odpalił mu hetman.

Nie pomogły takie i im podobne mowy i rozmówki. Król zdecydował w odpowiedzi na pytanie sejmu, że sądy biskupie mają pozostać przy sądzeniu herezji. Zdawało się, że przyjdzie do wojny domowej, a szlachta rzeź księży urządzi, bo taka straszna panowała nienawiść.

Lękając się szlachty biskupi próbowali wykazać na mieszczaństwie, że jeszcze żywotna jest ich jurysdykcja kościelno-sądowa. Biskup poznański, Jędrzej Czarnkowski, uwięził w roku 1554 pod zarzutem szerzenia husytyzmu mieszczanina Grzegorza Grycerę, krawca Serafina i aptekarza Jakuba, zaś inkwizytor, dominikanin Paweł Sarbin, skazał ich na spalenie żywcem na stosie. Wyrok ten oburzył szlachtę, toteż pod wodzą Stanisława Ostroroga i Łukasza Górki wpadła ona do miasta i więźniów biskupich uwolniła. Wnet jednak powstała nowa awantura. Biskup nakazał uwięzić poznańskiego szewca, Pawła Organistę, pod zarzutem kacerstwa. Na sąd biskupi zaczęła się szlachta zjeżdżać masowo. Chcąc uniknąć demonstracji biskup potajemnie skazał Organistę na śmierć. Wieść o wyroku wywołała podniecenie ogólne. Do delegacji szlacheckiej, interweniującej w obronie biednego szewca, biskup odezwał się w te słowa:

„Dziwi mnie mocno, moi panowie, że się tak za szewcem ujmujecie!” Z miejsca mu na to Ostroróg rąbnął:

„Nie bierzemy na siebie obrony szewca, ale przewidujemy, iżbyś to samo, co ci się dziś z szewcem udało, zrobił jutro z Ostrorogiem i z innymi!”

Zatarg jurysdykcyjny z biskupami załagodzony w ten sposób, że choć biskupom przyznano prawo sądenia herezji, to jednak oni sami sądy te na rok zawiesili. Rozgrzeszyli też

Orzechowskiego z grzechu przeciw celibatowi z tym jednak, że papież ostatecznie sprawę ożenku miał załatwić. Po jakimś czasie pogodził się Orzechowski z biskupami i rozpoczął wojnę z innowiercami przy pomocy ksiązek i dysput. Hierarchia kościelna pozostała jednak nieubłagana. Małżeństwa ks. Orzechowskiego papież nie zatwierdził. Nieślubna żona, ciesząca się ogromnym poszanowaniem, zmarła w roku 1566. W parę miesięcy później zmarł Orzechowski, osierociwszy pięcioro dzieci.

Człowiek ten, który przez 20 lat był politycznym przywódcą szlachty, za którym w ogień by poszła, zmarł w zapomnieniu. Chwiejność zasad i uległość wobec prześladowców odstręczyła od niego ludzi.

Krzywda jego pobudziła jednak ludzi do walki ze stanowymi przywilejami sądowymi duchowieństwa. Rozpoczęta walka na sejmie 1552 trwała dalej i przynosiła świeckim owoce. W roku 1557 zagwarantowano wolność i bezpieczeństwo duchowieństwu innych wyznań, w latach 1562—1563 wyklętych przez biskupów przywrócono do praw i uchylono dawne prawa nie pozwalające wyklętym wstępu do sądów grodzkich i ziemskich, a gdy w roku 1565 sejm zabronił starostom wykonywać wyroki sądów kościelnych, „wyjęto pszczole żądło” i skończyło się panowanie stanu duchownego nad szlachtą. Przy sądach kościelnych pozostały jeszcze sprawy dziesięciny i o zapisy na kościoły.

Posłuch dla wyroków w tych sprawach nie mógł być egzekwowany przez „ramię świeckie”, toteż kościelne wyroki starały się władze kościelne wykonywać „przymusem moralnym”, tj. klątwami i interdiktami i związanymi z nimi przykrościami dla „wyklętych”. Klątwy te odtąd były jednak mniej niebezpieczne, bo nie wywierały żadnych skutków ujemnych dla praw politycznych i majątkowych wyklętego. Skutki te ograniczały się wyłącznie do terenu kościelnego. Dziedzic wsi, choćby był i kolatorem, nie miał wstępu do kościoła, odmawiano mu sakramentów, grożono odmówieniem chrześcijań-

skiego pogrzebu i przeznaczano go na umieszczenie w piekle. Jeśli „wyklętemu” z klątwą tą nie było wygodnie i lękał się jej skutków, zastosował się do wyroku sądu kościelnego, gdy był śmielszy i uparty, pił i jadł zdrowo, nie troszcząc się o interdykt i jego skutki. Zazwyczaj żona lub córki łagodziły sprawę, obie wojujące strony wzajemnie coś ustąpiły, a wówczas i sąd ostateczny niegroźnie dla wyklętego się przedstawiał. Te kościelne procesy sądowe dotyczyły głównie dziesięciny, którą niechętnie tak szlachta, jak i poddani oddawali. Stosunki takie istniały do roku 1750. W tym czasie posprzeczał się o dziesięcinę proboszcz z niejakim Szamockim, sławnym „patronem”, czyli adwokatem trybunalskim. Gdy proboszcz zaskarżył Szamockiego do sądu kościelnego, Szamocki wytoczył przed sądem świeckim ziemskim proces o ustalenie, że sprawy o dziesięcinę nie należą do sądów kościelnych, lecz do sądów ziemskich. Sąd ziemski przyznał rację Szamockiemu. Dało to powód do sporu kompetencyjnego między ziemstwem a konsystorzem. Szlachta, niechętna dziesięcinom, wraz z marszałkiem wielkim koronnym, Bielińskim, aż do Rzymu zaniósła protestacje przeciw uroszczeniom sądów kościelnych diecezji warszawskiej i prosiła o ustanowienie mieszanej komisji, która by ten spór załatwiła. Papież zgodził się na taką komisję, wyznaczył do niej swoich przedstawicieli, a komisja ta ustaliła, że sądownictwo o dziesięciny należeć ma do sądów świeckich, a nie kościelnych, w sprawie zaś dziesięciny wytycznej, czyli pobieranej w snopach na gruncie, zaleciła układy o zmianę tych dziesięcin na dziesięcinę pieniężną, a także odebrała sądom kościelnym sądownictwo w sprawach pieniężnych i w sprawach zapisów testamentowych na kościoły. Gdy wszystkie te sprawy przeszły do sądów świeckich, zginęły też klątwy i interdykty kościelne jako środki egzekucji nie istniejących już wyroków kościelnych. Za przykładem szlachty z diecezji warszawskiej poszła też szlachta innych diecezji, i tak dzięki adwokatowi Szamockiemu i marszałkowi Bieliń-

skiemu ograniczono w całym państwie sądownictwo konsystorzy biskupich nad świeckimi osobami.

Interdykty i klątwy stosowali jeszcze duchowni w stosunku do dzierżycieli urzędów i godności kościelnych. Przypominało to czasy, gdy na raz było po kilku papieży, a każdy, uznając się za jedynie prawowitego, ekskomunikował z kościoła drugiego i trzeciego konkurenta.

W roku 1781 biskup krakowski, Kajetan Sołtyk, rzucił klątwę na ks. Hugona Kołłątaja, a to z okazji procesu, jaki ks. Kołłątaj prowadził z księdzem Chrzanowskim o wieś kościelną Bieńczyce.

Mało jednak tego było! Krakowska kapituła nie bardzo dobrze patrzyła na zachowanie się biskupa Sołtyka, które zdradzało, że „myszki mu chodzą po głowie”, gdy modlił się, a potem ucztował, podczas zaś uczyty bierzmował, nie douczonych kleryków wyświęcał, a wreszcie stawał się niezwykle hojny. Protesty i wytyki kapituły tak biskupa rozsierdziły, że rzucił na ten świątobliwy zespół interdykt, czyli „klątwę mniejszą”. Atoli kapituła nie podporządkowała się interdyktowi, lecz biskupa uwięziła. Zrobił się z tego powodu w kraju huczek polityczny, bo przecież w osobie Sołtyka uwięziony został nie tylko biskup, ale i zarazem senator Rzeczypospolitej. Kapituła jednak postawiła na swoim, ogłosiła bowiem, że¹ biskup jest wariatem i wywiozła go do pałacu biskupiego w Kielcach, gdzie zmarł na puchlinę w roku 1788.

Święta Inkwizycja w walce z ruchem ludowym

Wyklęci chłopi w ziemi oświęcimsko-zatorskiej — Kler w walce z polskim ruchem ludowym — Założenie Związku Stronnictwa Chłopskiego — Protestacje kleru przeciw Stojałowskiemu — List pasterski 3 biskupów z roku 1893 przeciw gazetom ludowym — Chłopi nazywają kler „zwietrzałą solą”, a list pasterski „świętokradzką bronią” — „Bomba duchowna” — Św. Inkwizycja zaczyna działać — Akt upokorzenia Stojałowskiego — Kardynał Rampolla błogosławi Stojałowszczyków — Zwycięstwo chłopskie przy wyborach sejmowych — Nuncjusz papieski suspenduje Stojałowskiego — Wielka rzymska klątwa w Galicji — „Nie pójdziemy do Kanossy!” — „Rzeź duchowna” i „zbójcy z nocy św. Bartłomieja” — Watykański „pisarzyna” w rewerendzie — Wadowicka Św. Inkwizycja — Ramię świeckie wspiera Inkwizycję — „Najazd krzyżacki” — Nauki Stojałowskiego o nieomylności papieża — „Caryzm” kościelny — Czy można odprawiać msze w chatach wiejskich — Kanossa Stojałowskiego — Veto kardynała Puzyny — Biskupie non celebrat — Śmierć Stojałowskiego i Puzyny — Walka biskupów z ruchem zaraniarskim — Korfanty pod cenzurą kościelną — Jakub Bojko — Stosunki w parafii gręboszowskiej — *Kłątwa* Wypiańskiego — Biskup Wałęga i ruch ludowy — Wizytacja biskupa w Gręboszowie — Kurenda Wałęgi — *Dwie dusze* Bojki odpowiedzią na kurendę — Uroczystość ku czci Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu — Biskup Pelczar próbuje upokorzyć Bojkę — Kler i szlachta bojkotują uroczystość — List pasterski narzędziem do utracenia reformy prawa wyborczego do Sejmu — Hrabia Rey i biskup Wałęga — Cele klątw kościelnych w różnych epokach

Kary kościelne w rodzaju interdyktów i klątw służyły w Polsce szlacheckiej jako środek wymuszania uległości na szlachcie. Jest to rzecz historycznie stwierdzona. Zdawać by się jednak mogło, że przynajmniej w stosunku do chłopów tego szantażu nie stosowano. Jednak dokumenty mówią co innego. Już księgi sądowe sądeckiej kolegiaty wspominają o wypadkach rzucania klątw na chłopów i mieszczan. W roku 1522 wyzwolony został spod klątwy „pracowity” Januszek z Kasiny. W tymże roku dziekan sądecki rzucił klątwę na mieszczanina Jana Jagodę, który nie będąc nic kościołowi dłużny zapytuje, za co go wyklęto. Ks. Marcin Cieszkowski ze Zbyszyc wyklął swych parafian, a sąd wzywał go o wyjaśnienie, z jakiej to uczynił przyczyny. Pod „karą kościelną” (zdaje się klątwą) pozostawał chłop Jan Mrozek z Zabełcza, wyzwolili go jednak z tej klątwy Maciej, sołtys z Wielopola, i Czarnota z Zabełcza, którzy pod klątwą zobowiązali się zapłacić za niego dług kościelny. Pod takimi „karami kościelnymi” pozostawali też chłopi z Olszany i Podegrodzia. Z tego widać, że obok klątw papieskich, biskupich, kapitulnych istniały jeszcze klątwy proboszczowskie! Chłopi we wsiach królewskich, czyli starostwach, podlegali sądownictwu tzw. sądów referendarskich, urzędujących przy boku króla. Przed te sądy mógł wnieść chłop z królewszczyzny zażalenie na starostę i jego służbę, a również sądy te sądziły spory między plebanami a starostami i poddanymi. Wyroki tych sądów zapisywane były w księgach referendarskich, znajdujących się obecnie w Głównym Archiwum Państwowym w Warszawie. Otóż w księgach tych jest wyrok dotyczący sprawy między plebanem w Barwałdzie a kmieciem Pieckiem o rzekome zabranie gruntu kościelnego przez tegoż Piecka. Nadto oskarżył pleban Piecka, że już od 20 lat znajduje się pod klątwą, z której nie został rozgrzeszony, a wreszcie, że szydził z procesji kościelnej. Jak to było naprawdę, nie wiadomo, albowiem proces przeprowadzono w zaoczności i Piecka zasądzono na zwrot plebanowi roli, na karę więzy, czyli więzienia, przez 12 niedziel i 50 grzywien oraz

zagrożono dalszymi grzywnami, o ile Piecek rozgrzeszenia z klątwy nie otrzyma. Że taki wyrok zrujnował chłopą — nie ulega wątpliwości, a zaoczność nasuwa podejrzenie, że pleban działał tu podstępnie. Według miejscowych opowieści rola odebrana Pieckowi stanowi dzisiejszy staw plebański w środku gruntu potomków Piecka się znajdujący. Rolę tę wygrał proboszcz od Piecka przy grze w kości, a gdy Piecek mu jej nie chciał wydać, wówczas przy pomocy klątwy i podstępnego działania w procesie rolę mu pleban wydarł. Sprawa ta rozegrała się przed sądem w roku 1670, a więc już po ustawach odmawiających skutków cywilnych klątwom kościelnym. Że jednak nie chodziło tu o szlachcica, tylko o kmiecia, którego sądzono w zaoczności, nic dziwnego, że nawet sąd referendarski zagrażał grzywnami za brak rozgrzeszenia z klątwy.

W owych czasach proboszcz z Mucharza, Komosiński, prowadził pieniacze spory o dziesięciny z Jaszczurowej i Świnnej Poręby. Z powodu zatargu dziesięcinnego dziedzic Świnnej Poręby, Przeclaw Sławiński, został w roku 1639 wyklęty. Z tego samego powodu wyklęty został dziedzic Jaszczurowej, Adam Palczowski, jego matka i cała gromada jaszczurowska. Proboszcz Komosiński grozą ekskomuniki zmusił też chłopów z Radoczy, by mu obok dziesięciny na rzecz kościoła w Radoczy płacili drugą dziesięcinę do Mucharza.

Wskazuje to, że w stosunku do chłopów, a zapewne również i do mieszczan, utrzymały się przywileje kościelne. Klątwa rzucona na chłopą miała skutki cywilne. W Kasinie Wielkiej chłop za „przystanie do heretyków” w roku 1643 utracił prawo spadkowe, a wspomniany dekret w sprawie Piecka wskazuje, że konstytucja z roku 1556, zakazująca wykonywania biskupich wyroków, miała zastosowanie tylko do szlachty, chłop zaś nadal pozostawał w podwójnej niewoli: nie tylko w pańskiej, ale i w plebańskiej.

Przykładem tego było zdarzenie w Stryzowie. Plebana stryszowskiego, ks. Dembińskiego, napadli w roku 1772 ja-

cyś bandyci i pokaleczywszy go powiesili na drzewie bukowym. Sufragan krakowski z tego powodu rzucił interdykt na 32 parafie dziekanatu Zatorskiego, dopóki mordercy nie będą wykryci. Skutkiem interdyktu we wszystkich kościołach odprawiano nabożeństwa przy zamkniętych drzwiach, pogrzeby, śluby urządzano bez parad, a w Stryzowie w ogóle nabożeństw nie odprawiano. Gubernator, hr. Pergen, gdy się o tym dowiedział, natychmiast zawiadomił o tym cesarzową Marię Teresę, która interdykt potraktowała jako wielkie nadużycie. Władze kościelne, dowiedziawszy się o opinii cesarzowej, interdykt cofnęły i stryszowskie probostwo nadały ks. Kolendowiczowi, plebanowi z Kleczy, profesorowi Akademii Krakowskiej i późniejszemu głównemu wizytatorowi polskiej komisji edukacyjnej. Interdykt ten trwał od 25 sierpnia do 16 października, a więc 53 dni.

Niebawem, w roku 1774, zdarzył się nowy fakt rzucenia na wieś klątwy. Oto chłopci z Malszczowej odmówili płacenia dziesięciny, za co spadła na nich klątwa. Chłopci poszli jednak po pomoc do starosty wielickiego, a ten zaalarmował gubernatora. Gubernator zażądał natychmiast zniesienia klątwy i pouczył konsystorz, że sprawy o dziesięcinę należą do urzędu gubernialnego, a nie do sądu biskupiego. W międzyczasie z powodu zatargu o dziesięciny wyklęto jeszcze dwie wsie, Sadki i Grabianinę, ale na żądanie gubernatora biskup Sołtyk natychmiast z klątwy wszystkie trzy wsie rozgrzeszył. Przy tej sposobności gubernator pouczył biskupa, że klątwa biskupia wchodzi w zakres spraw politycznych dlatego, że zakłóca spokój społeczny państwa, wobec czego biskup, nim ogłosi klątwę, powinien o tym zamiarze powiadomić urząd gubernialny, aby ten mógł zdecydować, czy ogłoszeniu klątwy nie sprzeciwiają się jakieś ważne okoliczności.

Od tego czasu już nie było słyhać w Galicji o klątwach rzucanych na wsie i na chłopów.

* *
*

Klątwy, interdykty biskupie, kurendy i listy pasterskie zastosowała w walce z ruchem ludowym w Galicji szlachecka partia „stańczykowska”.

Jeszcze w roku 1861 konserwatyści, partia szlachecka, w Sejmie galicyjskim protestowali przeciw nadużywaniu religii i Kościoła do celów politycznych. Poseł Ziemiałkowski grzmiał wówczas w Sejmie, że „z domu Bożego zrobiono arenę walki wyborczej, z ołtarza scenę do odegrania komedii, a z ambony, z której ma padać słowo Zbawiciela, uczyniono trybunę dla głoszenia najzgubniejszych zasad komunistycznych (!), ręką, mającą nieść błogosławieństwa, miotano groźby, a ustami, z których powinny płynąć wyrazy miłości braterskiej, zaszczerpiano jad niezgody i bratniej nieprzyjaźni”. Gdy partia stańczykowska, trzęsąca rządem krajowym, posiadająca w Wiedniu ministrów, zlekła się ruchu chłopskiego i robotniczego i utraty znaczenia politycznego, kazała biskupom prowadzić wojnę z ruchem ludowym klątwami i interdyktami.

Biskupie metody walki z ruchem ludowym poprzedziły praktyki nie będące jeszcze ekskomunikami czy interdyktami, lecz łagodniejszymi „cenzurami kościelnymi”, a raczej szykanami kościelnej policji. Praktyki te zapoczątkował kler już w roku 1889, a prowadził je przez 18 lat, tj. do roku 1907. W szczególności odmawiał rozgrzeszenia abonentom „Przyjaciela Ludu”, „Wieńca Polskiego”, „Pszczołki”, „Naprzodu”, gromił abonentów tych czasopism z ambon, wymieniając ich nazwiska, nie dopuszczał ich za ojców chrzestnych lub świadków ślubu, a nawet na łożu choroby odmawiał pociechy religijnej, żądając wyrzeczenia się gazet. W taki sposób proboszcz myślenicki próbował szantażować chorego posła, Andrzeja Średniawskiego. Na posła ludowego, Antoniego Styłę, przybyłego z deputacją chłopską na plebanię w Choczni, biskup Puzyna w czasie wizytacji, zirytowany o gazety ludowe, podniósł łagę, krzyknął: „a co ty tu wyprawiasz?”, i zamierzył się, aby go uderzyć. Wówczas sprowokowany Styła również krzyknął:

„a ty co chcesz po mnie? Bij, spróbuj!” Zmitygował się niedoszły koncepista podatkowy, wyświęcony na biskupa, łagę odstawił w kącie i już w innym tonie dalszą „rozmowę pasterską” prowadził.

Prześladowania chłopów przy pomocy arsenału środków kościelnych wykonywane były w ścisłym porozumieniu kleru z władzami administracyjnymi. Na pocztach w ordynarny sposób kradziono gazety ludowe, sporządzano odpisy adresów abonentów, a następnie wykazy te przekazywały starostwa proboszczom. Świadczy o tym następujące pismo c.k. prezydium Namiestnictwa we Lwowie:

•

„L. 1581/pr. W załączeniu przesyłam Panu c.k. Staroście do wiadomości i stosownego zarządzenia, mianowicie spowodowania odpowiedniego nadzoru, spis osób abonujących czasopismo ks. Stojałowskiego «Pszczołka». Spis ten sporządził pan Dyrektor policji w Krakowie, skonfiskowawszy w krakowskim urzędzie pocztowym przesyłkę 594 egzemplarzy 3 numeru tego czasopisma, przeznaczonych dla tutejszo-krajowych abonentów. Chciej Pan, c.k. Starosta, śledzić działalność tych osób i nie dopuścić do jakichkolwiek agitacji z ich strony oraz do bałamucenia ludności wiejskiej za pomocą czasopisma ks. Stojałowskiego. Nazwiska osób ze stanu włościańskiego, abonujących to czasopismo, chciej Pan Starosta podać w drodze ściśle poufnej do wiadomości właściwych proboszczów. Lwów, dnia 28 lutego 1894. Za c.k. Namiestnika (podpis nieczytelny). Do Pana c.k. Starosty w Wadowicach.”

Gorliwy wadowicki starosta nie poprzestał na tym spisie, lecz polecił jeszcze żandarmom badać, czy przypadkowo w ich rejonie nie znajdują się kolporterzy sprowadzający na swój adres większe ilości czasopism Stojałowskiego „Pszczołka”, „Wieniec” i „Dzwon”. Zarządzenie to spowodowane zostało denuncjacją wójta z Wieprza, który przedłożył 6 marca 1894 roku wykaz abonentów tych gazet w Wieprzu, a nadto zaznaczył, że w każdej wsi znajdują się abonenci i czytelnicy tych czasopism.

Biskupi na żądanie namiestnika, hr. Badeniego, zakazali

czytania „Wieńca”, „Pszczołki”, „Dzwonu” oraz socjalistycznego „Naprzodu”. Na „wnętrzości miłosierdzia bożego” zaklinali lud, aby odrzucił precz od siebie te gazety: „Zaklinamy was przez wnętrzości Miłosierdzia Bożego, abyście pisemek tych, które noszą tytuł «Nowa Pszczołka», «Nowy Dzwon», «Przyjaciel Ludu» i «Naprzód» nie czytali ani popierali słowem, ani pieniędzmi pod grzechem, i to nie tylko tych, ale i innych — gdyby w przyszłości na ich miejsce ze zmienionym tytułem i w podobnym duchu wychodzić miały. Gdyby zaś nadsyłało uparcie te pisemka, nie przyjmujcie ich albo oddawajcie je waszym Pasterzom. Łaska Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, niech będzie zawsze z wami. Amen.”

W roku 1895 tarnowski biskup, Ignacy Łobos, wydał do księży okólnik przeciw ludowcom, jako utrzymywanym przez „śmiertelnych wrogów naszej monarchii, naszego Kościoła katolickiego i naszego narodu polskiego”.

W *Poradniku dla duchownych*, wydanym przez kler tarnowski, przytoczono szereg kurend biskupa tarnowskiego w sprawie książek i czasopism. Kurendy te wymierzone były przeciw czasopismom opozycyjnym.

Kurendą I z roku 1889 ostrzegano przed „Biblioteką domową”, wydawaną w Gródku, gdyż ogłaszała utwory umieszczone na indeksie kościelnym. Duchowieństwu nakazano nie dopuszczać takich rzeczy do rąk parafian i czuwać nad książkami i czasopismami ludowymi.

Kurendą VI z roku 1889 ostrzeżono przed „Przyjacielem Ludu”.

Kurendą I z roku 1890 pozwolono księżom czytać gazety redagowane tylko w duchu kościelnym.

Kurendą XVIII z roku 1895 zakazano prenumerować i czytać „Dzwon”, „Wieńiec” i „Pszczołkę”, zalecono natomiast tarnowską „Pochodnię”, a napiętnowano „Naprzód” i „Nowego Robotnika”.

Kurendą XXI z roku 1895 zalecono „Prawdę”, gazetkę zwalczającą Stojałowskiego i ludowców.

Kurendą VIII i IX z roku 1897 zarządzono, że czytelnikom pism zakazanych nie wolno dawać rozgrzeszenia, dopokąd nie porzucą ich prenumerowania i czytania.

Kurendą III z roku 1900 zakazano czytania popularnego socjalistycznego wydawnictwa „Latarnia”.

Kurendą VI z roku 1900 zakaz ten obostrzono i rozciągnięto także na czasopisma Stojałowskiego.

Kurendą IX z roku 1900 zalecono „Kuriera Dąbrowskiego”, założonego dla zwalczania wpływów politycznych Bojki.

* *
*

Pierwszym stronnictwem chłopskim na ziemiach polskich był Związek Stronnictwa Chłopskiego, zawiązany w roku 1892 z inicjatywy Stanisława Potoczka, włościanina z ziemi sądeckiej. Do Związku tego przystąpił ks. Stojałowski i oddał na jego usługi swoje czasopisma „Wieńiec Polski” i „Pszczołkę”. Prawie wszyscy późniejsi politycy chłopscy byli członkami tego Związku. Należeli do niego Bojko, Wójcik, Styła, Kramarczyk, Szwed, Fajfer, Skwara, Jedynak, Myjak. Również posłowie demokratyczni: Asnyk, Szczepanowski, Olpiński, Rajski, Klemensiewicz, Palch, przystąpili do Związku w charakterze filantropów, z grubymi wkładkami pieniężnymi. Wysłouch uchylił się od uczestnictwa w tej sprawie, Stapińskiego zaś na razie nie przyjęto pod wpływem Stojałowskiego. Gdy jednak nastąpiła zgoda między nimi, Stapiński również został przyjęty. Założenie samodzielnego chłopskiego stronnictwa mocno zaniepokoiło kler diecezji tarnowskiej. Księża z dekanatu bocheńskiego i czchowskiego wystąpili z akcją protestacyjną w „Czasie” i w „Przeglądzie” przeciw Stojałowskiemu, jako rzekomemu sprawcy podburzania i rozgoryczania ludu przeciw duchowieństwu na założycielskim zebraniu Związku Stronnictwa Chłopskiego w Nowym Sączu. Ataki te pojawiły się równocześnie z podobnymi wystęпами reakcyjnego kleru w Wielkopolsce przeciw nowym i postępowym prądom, re-

prezentowanym w pismach poznańskich: „Orędowniku” i „Postępie”, oraz w pismach śląskich: „Nowiny Robotnicze” i „Gazeta Opolska”.

Dla zwalczania pism Stojałowskiego i Wysłoucha założono i oddano pod kierownictwo proboszcza w Pleśnej klerykalną gazetkę „Przyjaciela Katolickiego Ludu”. Biskup tarnowski, Łobos, zakazał proboszczom dopuszczania ks. Stojałowskiego do ołtarza. Odtąd Stojałowski woził ze sobą podręczny ołtarzyk i w chałupach chłopskich mszę odprawiał. Pierwszą mszę „demokratyczną” w diecezji tarnowskiej odprawił w chłopskiej chacie w Sowlinach koło Limanowej. Z okazji tej ks. Stojałowski, który nie podlegał biskupowi tarnowskiemu, lecz wrocławskiemu, przypomniał atakującemu go biskupowi Łobosowi uchwałę powziętą na sesji XIV soboru trydenckiego, który w rozdziale 8 postanawia:

„Ponieważ niektórzy, będąc pasterzami i mając swoje własne owce, chcą także nad cudzymi być starszymi, i niekiedy tak się o cudze starają, że o własnych zapominają, przeto ktokolwiek, choćby był biskupem, przeciw duchownym, którzy nie są jego podwładnymi, zwłaszcza przeciw kapłanom, pod żadnym warunkiem występować nie może, a całe to jakiegokolwiek wystąpienie nie ma mocy.”

„To wyrok i prawo wydane od Ducha Świętego przez sobór trydencki — pisał Stojałowski — kto je naruszył, ten sam się osądził.” W tej formie Stojałowski przypomniał biskupowi tarnowskiemu, że jego jurysdykcji nie podlega. Biskup jednak nie ustępował. U Mamaka w Sowlinach, z okazji mszy odprawionej tam przez Stojałowskiego, inkwizytorzy kościelni urządzili komisję z całym aparatem przysięg, których potulni chłopci nie mieli odwagi odmówić. „Wojną przeciw ludowi polskiemu” nazwał Stojałowski w „Pszczółce” z 9 października 1893 roku nadużywanie w kościołach ambon, a nawet konfesjonału przeciw jego gazetom i przeciw niemu, jako redaktorowi, a także umieszczanie tych „bazgranin” w gazetach

„pańskich” i „ludowych”. Równocześnie kler wywierał nacisk na Stanisława Potoczka, aby pozbył się Stojałowskiego ze Związku Chłopskiego i nie pozwolił mu tytułować pism nazwą „organu” stronnictwa. Dla wzmocnienia nacisku trzech biskupów: lwowski, przemyski i tarnowski, wydało u schyłku 1893 roku wspólny list pasterski skierowany przeciw gazetom tak Stojałowskiego, jak i Wysłoucha. Czwarty, krakowski biskup, Dunajewski, listu tego nie podpisał. Mówiono, że się uchylił od podpisania z uwagi, że przed 20 laty asystował przy prymicjach ks. Stojałowskiego, jako ówczesny kapelan zakonu wizytek w Krakowie. Ale i niejednaką treść listu głoszone w poszczególnych diecezjach. List był zredagowany po łacinie, proboszczowie musieli przekładać go na język polski, przy czym niejedno dodali lub opuścili czy przekręcili. Wspominał, że najniebezpieczniejsze są czasopisma, które pod pokrywką religijną zgubne rozsiewają poglądy, co się w szczególności odnosiło do pism Stojałowskiego, a to „Dzwonu”, „Pszczółki” i „Wieńca Polskiego”. Już tylko ubocznie, dla towarzystwa, zaliczono do niepobożnych pism „Przyjaciela Ludu” i „Naprzód”. W diecezji przemyskiej list przerobiono i w polskim jego tłumaczeniu opuszczono tytułatury wyżej wymienionych czasopism, ale za to staruszek biskup Solecki posadził Stojałowskiego, jakoby z umysłu chciał na nowo wywołać straszne sceny z 1846 roku.

Oto treść listu biskupa Soleckiego:

„Wiadomo Wielebnemu Duchowieństwu, że ludzie przewrotni, pragnący albo podkopać wiarę w naszym ludzie katolickim, albo obalić porządek społeczny i zaszczyć nienawiść w ludzie przeciw wyższym warstwom narodu, nadużywają wolności druku, wydają czasopisma dla ludu przeznaczone, w których pod maską obrońców praw ludowych szerzą swe zgubne zasady, ogłaszając wszystkich, którzy z nimi nie trzymają, za wrogów i krzywdzicieli ludu. Do rzędu wydawców takich pism ludowych należy, niestety, zbłąkany kapłan, który się rozminął ze swoim powołaniem, a który ukarany za swe wielkie przewiny wyrok władzy duchownej, zatwierdzony przez Ojca Świętego, przed-

stawia za nieważny i najniesprawiedliwszy, a mszcząc się na władzy duchownej i na szlachcie, w pismach przez się wydawanych podkopuje powagę biskupów i duchowieństwa, nie chcąc go popierać jego drożnych celów, jątrzy lud przeciw szlachcie i panom jako wrogom i krzywdzicielom ludu, jak gdyby z umysłu chciał na nowo wywołać straszne sceny roku 1846. Wobec tych zgubnych dążeń spełniają biskupi lwowskiej prowincji kościelnej obrządku łacińskiego tylko święty obowiązek arcybiskupa względem ludu, pieczy ich powierzonego, gdy w załączonym wspólnym liście pasterskim zabraniają prenumerowania i czytania pism przez tego kapłana wydawanych, równie jak innych pism ludowych szerzących zasady przewrotu, przeciwne bądź wierze, bądź moralności katolickiej i społecznemu porządkowi na nich opartemu.

Ten wspólny list pasterski polecamy odczytać ludowi z ambony zamiast kazania. Co do dnia odczytania życzymy sobie, aby list odczytany był w niedzielę lub święto najbliższe po jego otrzymaniu.

W końcu wzywamy Wielebne Duchowieństwo, aby pilnie czuwało nad tym, by lud prenumerował i czytał tylko pisma o dobrej tendencji, a starannie wystrzegał się pism złych i przewrotnych.

Od Ordynariatu biskupiego obrządku łacińskiego w Przemyślu, dnia 22 grudnia 1893 roku.

Lukasz biskup."

List wydany został głównie pod wpływem i na żądanie biskupa Łobosa, a dwaj inni biskupi umieścili na nim grzecznościowe podpisy. Atak księży na księdza, którego rzesza ludowa za swego Jozuego uznała, spotkał się z należytych odporem tej rzeszy. Łamy gazet ludowych zapewniają coraz liczniejsze sprawozdania o zachowaniu się kleru w kościele i poza kościołem. Padają silne słowa krytyki księży „protestów” i „kłąt”. Chłopi, uznając chwilę za osobiście ważną, w formie uroczystej, wiążaną mową, ze swej strony odpowiadają protestami na księże protesty, udzielają nauk i napomnień „zwietrzałej soli”.

W numerze 1 i 2 „Wieńca Polskiego” z roku 1894 pojawił się nie znany dotąd polskiej literaturze rodzaj poezji. Są to przez chłopów układane wiersze o treści politycznej. Poezja

ta, słaba w formie, mocna w treści, odważnie polemizuje z dotychczasowymi największymi autorytetami, nazywanymi przez Pismo Św. „światłem świata” i „solą ziemi”, i pasuje ich na rycerzy „świętokradzkiej broni”. Dowodem tego, jak lud wysoko cenił ową obywatelską odwagę chłopskich publicystów, jest, że jeden z nich, Antoni Styła, w następnym roku 1895, w rywalizacji wyborczej z rektorem krakowskiego uniwersytetu, Fryderykiem Zollem, uzyskał w kurii włościańskiej z powiatu wadowickiego mandat poselski do Sejmu, drugi, Jan Fajfer, dziś 88 lat liczący starzec, dlatego tylko mandatu nie otrzymał, że zrzekł się kandydatury na rzecz starszego działacza, Franciszka Kramarczyka.

Na list biskupa Soleckiego odpowiedział ks. Stojałowski: „Ten list pasterski nazywam «bombą duchowną» — a przede mną nazwał to dobrze jeden z czytelników «świętokradzką bronią», ostatnią, jaką z arsenału «pańsko-duchownego» przeciw nam wytoczono. Ale przed bombami bronią się państwa i parlamenty, bo fabrykowanie bomb jakichkolwiek jest robotą zbrodniczą, prawem boskim i ludzkim zakazaną, a więc i my przed tą bombą duchowną bronić się musimy i wykazać, że ona nas dotknąć nie może, a nikogo z wiernych nie obowiązuje.” Opierając się na prawie boskim, kościelnym i państwowym Stojałowski wykazuje, że: 1. List pasterski jest bombą, bo rzucony nagle i skrycie z tym celem, aby śmierć zadać pismom i ich wydawcom. 2. Puszczanie takiej bomby jest niesumienne wobec prawa Bożego, bo jeżeli w pismach było coś złego, to obowiązkiem biskupów było upomnieć go poufnie lub publicznie, wykazać, co złego napisał, żądać sprostowania, a nie zniecka i skrycie bombę przygotować i ją wypuszczać. 3. Bomba nie jest zgodna z prawem kanonicznym. Wedle tego prawa winni badać pisma cenzorowie, ludzie światli i przedkładać biskupowi, co w nich jest błędne. Biskup zaś ma prawo wezwać autora, aby te mylne zdania zmienił. Jeżeli między autorem a biskupem powstanie spór, to wtedy sprawa idzie do najwyższego trybunału do Rzymu, zwanego Kongregacją In-

deksu. Biskup o tym zapomniał, a posyłane mu pisma zwracał z własnoręcznym dopiskiem „nie przyjmuję”. 4. Bomba ta niezgodna jest z nauką papieża, albowiem:

„prawo kościelne stanowi, że biskup ma władzę tylko nad tym, co się tyczy ściśle wiary i moralności, i przed tym, co wierze i moralności przeciwne, może wiernych przestrzegać. Tymczasem w liście pasterskim nie przytoczono nic, co by w pismach moich sprzeciwiało się wierze lub moralności, a tylko dwa zarzuty podniesiono: pierwsze, że są tam rzeczy niebezpieczne dla ustroju społecznego, po wtóre, że naruszono w nich powagę władzy. Otóż takie zarzuty nie należą do zakresu najpierw duchownej władzy biskupiej, bo nad bezpieczeństwem ustroju społecznego i całością powagi władzy czuwa policja i władza świecka.

Co więcej. Biskupi w tych sprawach mylić się mogą i mylą się jako ludzie, którzy z tokiem obecnych spraw nie starali się zapoznać. Biskupom może się zdawać, że ustrój społeczny dzisiejszy i stosunek ubogich do bogatych taki, jaki jest dzisiaj, jest dobry i prawidłowy (bo im jest bardzo dobrze), a kto ten ustrój narusza i chce, aby dzisiejszy stosunek bogatych do ubogich został zmieniony — ten działa niebezpiecznie. A tu jest błąd i dowód, że biskupi nie dość rozważyli to, co Ojciec Święty pisał w swych encyklikach. Tam powiedziano wyraźnie, że dzisiejszy ustrój społeczny jest zły, a podział dóbr nierówny i niesprawiedliwy — a więc dodał sam papież, że dzisiejszy ustrój społeczny potrzeba zmienić. Z tego się pokazuje, że dążenie do zmiany dzisiejszego ustroju społecznego na drodze prawnej i ustawowej jest przez Ojca Świętego nakazane i nie niebezpieczne, a więc nie pisma moje, ale biskupi się mylą. Dalej, naruszenie powagi władzy wtedy ma miejsce, gdy ktoś mówi «nie potrzeba władzy», «nie potrzeba zwierzchności». Tego nigdzie i nigdy w pismach moich nie mówiłem.

Jeżeli zaś się mówi: urzędnik, minister, ksiądz i biskup mają być wedle słów Pisma Świętego «sługami do dobrego» — minister in bonum, a więc który urzędnik, minister, ksiądz lub biskup władzy źle używa lub jej nadużywa, ten przestaje zasługiwać na posłuch, ale zasługuje na skarcenie nadużycia.

Z tego, że coś robi np. biskup Łobos lub książę Puzyna — jeszcze nie wynika, że to już jest dobre i święte, lecz chodzi o to, czy to zrobili zgodnie z prawem Bożym i kościelnym, bo jeżeli zrobili z prawem boskim niezgodnie, to źle zrobili, a wtedy — jak mówi katechizm

rzymski: «gdy i biskup nakazuje, co jest złego, słuchać go nie należy» — lub jak mówi Leon XIII w encyklice o robotnikach: «Prawo i rozkaz przeciw rozumowi nie obowiązują».

* *
*

W kraju, a w szczególności na wsiach polskich, wrzało. Ufny w słuszność swej sprawy Stojałowski, nieostrożnie, samochcąc uwikłał się w sidła Św. Inkwizycji. Przesłał on Kongregacji Św. Inkwizycji w Rzymie do oceny czasopismo „Dzwon”, a w szczególności artykuł tam zamieszczony pod tytułem *Syllabus propositionum*. Św. Inkwizycja, przed którą Stojałowski się stawił, tradycyjnym sposobem nakazała mu „błędy” odwołać, upokorzyć się przed biskupem i wycofać się z życia publicznego. Po tym wyroku Św. Inkwizycji dokonał upokorzenia we własnych czasopismach takim pokajaniem się:

„Do Szanownych Czytelników i Przyjaciół!
Pochwalony Jezus Chrystus!

Pragnąc po powrocie z Rzymu jak najrychlej położyć kres zamieszaniu i zgorzeniu, które od blisko roku szarpie wnętrze naszego kraju, pospieszam oświadczyć, co następuje:

W lipcu roku 1893 ogłosiłem w piśmie «Dzwon» artykuł pod tytułem *Syllabus propositionum* w sprawach społecznych, który, wyznając, żółcią i krwią pisałem, pozostając przez trzy miesiące w więzieniu krakowskim. Przez całe moje życie byłem wiernym Kościołowi i zawsze tej wiary nieskalanie do śmierci dochowałem pragnę, a zatem wiedząc, że każdy człowiek jest omylnym, ja nim też tym łatwiej przy nieustannym wieloletnim rozjątrzeniu być mogę; zaraz na początku już w owym artykule wyraźnymi słowami napisałem i oświadczyłem, że cokolwiek w tym «syllabusie» twierdzą, pod sąd i rozeznanie Kościoła świętego poddaję, a cokolwiek by z nauką św. katolickiego Kościoła sprzecznym lub teźże nauce przeciwnym było, to z góry odwołuję i jako szkodliwe i złe potępiam.

To oświadczenie moje powtórzyłem potem kilkakrotnie... Gdy mimo to grzmoty protestów nie ustawały, a wichrem politycznego roznamiętlenia gromadzone chmury ciskały piorunami potępienia, chcąc sprawę wyjaśnić, podałem sam około połowy października 1893 roku

ten artykuł za pośrednictwem ks. Józefa Azbiewicza rozeznaniu i sądowi Kongregacji Św. Inkwizycji, oświadczając gotowość odwołania go i potępienia w całości czy części, skoro to przez Stolicę Świętą, której Pan Jezus dał przywilej i łaskę nieomyślności, nakazany będzie.

To wszystko dowodzi, że działałem w dobrej wierze, a o utworzeniu nowej sekty lub szymy nigdy nie myślałem — a zatem wszystkie nieogłędne, surowe i niepowołane protesty po pismach konserwatywnych umieszczone zgoła żadnego celu nie miały i nic dobrego zdziałać nie mogły.

Zdziały też rzeczywiście to jedno, że czując się w duszy niesłusznie i przedwcześnie, a do tego przez niepowołanych sędziów, za «heretyka» ogłoszonym, uniosłem się tym bardziej, zaczęłem poszło, że następnie w kilku innych artykułach bądź w «Dzwonie», bądź w «Wieńcu» i w «Pszczółce» umieszczanych, bądź przeze mnie, bądź z moją wiedzą pisanych, a w szczególności w artykule «Pszczółki» pod tytułem *Bomba duchowna i Od Wydawnictwa*, dalej we «Wieńcu Polskim» w numerze 1 w *Kronice*, wreszcie w «Dzwonie» w numerze 11 z 15 stycznia br. i numerze 13 z dnia 15 lutego br., niemniej też w pismach ulotnych, a mianowicie *Przedstawienie do JXX 3 biskupów* i pod tytułem *Słowo chłopskie na słowo biskupie* — powagę i władzę najprzewielebniejszych trzech biskupów naruszyłem, a w sposób gwałtowny i gorszący, poddając krytyce ich rozporządzenia i postępowania, najdostojniejszym Ich osobom ubliżyłem.

Spór ten, w całym kraju znany, stał się powodem niemałego zamieszania, niepokoju i zgorszenia — a sprawa aż o Rzym się oparła, dokąd, jako zaskarżony i podejrzany o heretyckie zasady i dążności, osobiście przed dwoma miesiącami się udałem.

Tam, w Kongregacji Św. Inkwizycji, złożwszy pisemne i protokolarne oraz pod przysięgą na Ewangelię oświadczenie: we wszystko, czego Kościół św. naucza i do wierzenia podaje, ja też ze szczerego serca wierzyłem, wierzę i wierzyć pragnę, a tym samym wszystko, co w «syllabusie» lub innych kiedykolwiek napisanych artykułach, książkach lub innych pismach wypowiedziałem niezgodnego lub przeciwnego wierze świętej, obyczajom lub karności kościelnej, odwołuję, potępiam i tego się wyrzekam, a zawsze we wszystko, tak jak to Kościół święty chce i naucza, wierzyć chcę i wierzę, wreszcie cokolwiek kiedy działać, mówić lub pisać będę, zawsze, podle najlepszej mej woli, czynić to pragnę w duchu nauki Kościoła świętego katolickiego — tym samym i od razu wszelkie niesłuszne posądzenia i oskarżenia o zło, heretyckie zamiary, zdania i dążności od siebie odsunąłem i z siebie je zrzuciłem — i zupełną wiarę, i zaufanie znalazłem — boć heretykiem być nikt nie może przez to, co kto o nim sądzi, pisze lub jemu

podsuwa, ale tylko przez swoje własne wewnętrzne przekonania i przez uporne odrzucanie nauki Kościoła.

Po przyjęciu ode mnie tego oświadczenia Kongregacja Św. Inkwizycji dla naprawienia nieporozumień, zamieszania i zgorszenia, albo dla udowodnienia szczerości i prawdy mych słów, poleciła mi wykonać, co następuje:

1) Odwołać przede wszystkim publicznie «syllabus» i zawarte w nim zdania oraz artykuły i pisma tak wyżej wymienione, jak nie wymienione, w których cokolwiek niezgodnego lub przeciwnego wierze albo też ubliżającego Osobom Najdostojniejszych trzech Biskupów znajdować się może, pozostawiając dalszej dyspozycji Św. Kongregacji, co w «syllabusie» w szczególności za błędne i gorszące uzna.

2) Dla słusznego zadośćuczynienia obrazy wyrządzonej Najprzewielebniejszym JXX Biskupom odprawić w myśl nakazu Jego Ekscelencji, księdza Arcybiskupa Sew. Morawskiego rekolekcje i publicznie JXX trzech Biskupów przeprosić oraz siłą dołożyć ku temu, aby zgorszenie wywołane naprawione zostało.

3) W przyszłości, dla zapobieżenia możliwym podobnym nieporozumieniom, poddawać to, co bym w kwestiach z nauką wiary i obyczajów związków mających pisał, poprzednio aprobacie mojego ordynariusza.

Taki wyrok Kongregacji Św. Inkwizycji na dniu 19 kwietnia br. uchwalony, a na dniu 20 kwietnia na posłuchaniu u Ojca Św. Assesora tejże Kongregacji., Mons. Franciszka Segna, zatwierdzony, tegoż dnia mi ogłoszony i protokolarnie spisany został, który to protokół własnoręcznie podpisałem na dowód, że wyrokowi temu w zupełności się poddaję. Równocześnie oznajmiono mi, że Jego Ekscelencja, JX Arcybiskup Morawski, upoważniony zostaje, aby mi po wykonaniu przyjętych zobowiązań potrzebnych absolucji udzielił.

Wierny tedy moim poprzednim oświadczeniom i spełniając wolę i rozkaz Stolicy Św., szczerze, dla sumienia, i bez obłudy oświadczam:

a) «Syllabus» umieszczony w «Dzwonie» oraz inne wyżej wymienione artykuły i pisma ulotne odwołuję — i o ile w czym takowe Kościół św. gani i potępia, ja je również za naganne, szkodliwe i potępienia godne uznaję.

b) Najprzewielebniejszych Księży Biskupów, których w pismach swoich imiennie lub domyślnie obraziłem i nie uszanowałem, za wyrządzoną im obrazę przepraszam i Ich o darowanie mej winy, również jak wszystkich wiernych za dane im przez to zgorszenie, o przebaczenie proszę.

c) Wobec Najprzewielebniejszych Księży Biskupów oświadczam, że aczkolwiek od udziału w wydawnictwie pism «Dzwonu», «Wieńca

Polskiego» i «Pszczółki» ustąpić z tej prostej przyczyny nie mogę — ponieważ rozwikłanie i likwidacja wydawniczych stosunków wymagałaby funduszu około 20 000 złr, a nadto ponieważ tego zaniechania wydawnictwa w ogłoszonym mi wyroku Św. Inkwizycji ode mnie wcale nie żądano — jednakże dla uniknięcia podobnych niemiłych starć w przyszłości, w myśl poleceń mi danych, artykuły z wiarą i moralnością chrześcijańską ściślejszy związek mające pod aprobatę władzy duchownej nie tylko poddawać się obowiązują, ale jak długo ja przy kierownictwie tych pism pozostawać będę, za to poręczam, że takie artykuły także przez innych pisane do aprobaty władzy duchownej przedkładane będą.

d) Wszystkim ludziom i pismom barwy konserwatywnej, którzy mnie dotychczas niesłusznie, niesprawiedliwie, a często oszczerczo na padali, albo mi intencje burzenia czy to ładu społecznego, czy Kościoła podsuwali, wszystko to, co było, z serca odpuszczam i przebaczam i Boga proszę, aby im przebaczył.

Równocześnie oświadczam, że gdyby mimo to z zarzutami podobnymi znowu przeciw mnie wystąpili, na nie wcale odpowiadać nie będę, tym zadowolony, że najwyższa w Kościele powaga dziś o mej prawowierności jest przekonana i ma moje własnoręcznie spisane i przysięgą stwierdzone pod tym względem oświadczenie. Jedyną moją odpowiedzią będzie to, że podobnego rodzaju napaści Rzymowi w oryginale i w uwierzytelnionym tłumaczeniu posyłać będę, aby się przekonano, kto jest napadającym i kto waśnie i zgorzenia wywołuje i szerzy.

e) Nie mogę skończyć, aby nie wyrazić publicznie mej czci i wdzięczności Jego Eminencji, JX Kardynałowi Dunajewskiemu, za wyrozumiałe i łaskawe postępowanie ze mną, oraz Jego Eminencji, JX Kardynałowi Koppowi, który — aczkolwiek go również kilkakrotnie w pismach moich obraziłem — na prywatną i ściśle poufną prośbę moją, aby mi przebaczył, z gotowością prawdziwie chrześcijańską wnet oświadczył, że «co było — maże».

Tak samo dzięki serdeczne i publiczne składam Najdostojniejszym JX Arcybiskupowi Milanovicowi i JX Biskupowi Strossmayerowi za dowody życzliwości i dobre rady, i wskazówki, które w przebytych trudnościach były mi pomocne i w przyszłości posłużą.

Również i tym wszystkim Braciom Kapłanom i świeckim, którzy o mej prawowierności nigdy nie zwątpili i życzliwość mi swoją zachowali, stokratnie Bóg zapłać.

Sądzę, że odprawiwszy już w Rzymie rekolekcje, co świadectwem Jego Ekscelencji JX Morawskiemu przesłałem, stwierdziłem, iż ogłaszając niniejsze moje publiczne odwołanie i przeproszenie, zrobiłem co

w ludzkiej jest mocy, aby zgorzenie i to, w czym zblądziłem, naprawić, a do przywrócenia zgody, pokoju i miłości pod względem religijnym i w sprawach kościelnych dopomóc. Dla przywrócenia zgody społecznej przez sprawiedliwość i nieobłudne braterstwo pracować było zawsze moją intencją, choć nieraz może zbyt drażliwie pisać mogłem. Przez dwumiesięczny pobyt w mieście świętym i spokój rekolekcyjny przyszedłem do równowagi, o którą w galicyjskich stosunkach tak trudno, i będę się starał ją zachowywać.

Wobec tego mam uzasadnioną nadzieję, że Jego Ekscelencja JX Arcybiskup Morawski i Jego Najprzewielebniejsi JXX Biskupi Sufragani zechcą mi przebaczyć, a polecając wszędzie publiczne ogłoszenia tego mego poddania się i pokuty, odwołania i przeproszenia, ze swej strony przyczynią się tak do naprawienia zgorzenia, jak do zwrócenia mi czci kapłańskiej, zbyt dotkliwie i ponad miarę sponiewieranej przez komentarze do listu pasterskiego.

Gdyby Jego Ekscelencja JX Ksiądz Arcybiskup jeszcze czego dla uzupełnienia niniejszego mego odwołania żądał, oświadczam publicznie, że to uczynić jestem gotów i Jego rozkazom w tym kierunku w zupełności się poddam, zależy mi bowiem szczerze na tym, aby moje zadośćuczynienie było jak najzupełniejsze, a tym samym Bóg za obrazy Jego Majestatu przeproszony został, lud zaś chrześcijański w spokoju Go chwalił i Jemu służył.

W Cieszynie dnia 10 maja 1894 roku

X. Stanisław Stojałowski."

* *

Tak się smutno zakończył pierwszy etap księzego radykalizmu. Wysłouch, który przed Stojałowskim stale chłopów ostrzegał, bo stale mu nie ufał, znalazł nową podstawę do posądzenia Stojałowskiego, że jego radykalizm jest tylko straszakiem na stańczyków, używanym przez Stojałowskiego w celu wypłacenia mu zatrzymanych z probostwa kulikowskiego dochodów. Również prezes Związku Chłopskiego, Potoczek, w pokajaniu się Stojałowskiego uzyskał potwierdzenie, że miał rację, usuwając Stojałowskiego ze Związku za wciąganie go do walki z biskupami. Działacze chłopscy, jakkolwiek zwątpili w skuteczność powierzania kierownictwa polityki chłopskiej

księdzu, to jednak w ciężkiej chwili nie opuścili go, kierując się uczuciem litości nad poniewieranym przez kler i obszarników księdzem, który bielmo z oczu chłopskich zdejmuje i za to cierpi.

Biskupi, którzy radowali się, że mają Stojałowskiego w saku, pomylili się grubo. Spryciarz — odprawił wszelkie nakazane pokuty, przeprosił biskupów, ale z życia publicznego się nie wycofał. W tej sprawie Rzym nie przestał nalegać na niego i grozić mu. Gazetki nadal wydawał, zmienił im tylko tytuły. „Wieniec Polski” odtąd nazywał się „Nowy Wieniec Polski”, a „Pszczółka” dostała nazwę „Nowej Pszczółki”. Tym podejściem tylko podrażnił biskupów. Aby się z zobowiązań wykreślić, przeprowadzał z więzienia cieszyńskiego korespondencję ze Stapińskim, któremu „podaował” oba te czasopisma, zachowując sobie jednak faktyczne dysponowanie ich redakcjami. W formie „grypsu” przemycił Stojałowski z więzienia ów „akt darowizny”.

Ale Stapiński nie dał się nabrać na tę darowiznę i jej nie przyjął. Niebawem „Nowy Wieniec Polski” w nrze 7, z pierwszej niedzieli marca 1895 roku, na frontowej stronie tak zakpił z galicyjskich biskupów:

„Błogosławieństwo Ojca św., Leona XIII, udzielone chrześcijańsko-ludowemu stronnictwu i piśmu naszemu.

W dniu 20 lutego, jako w ósmnąstą rocznicę wyboru Leona XIII na Stolicę Piotrową, wysłaliśmy wspólnie z redakcją Nowego Dzwonu i N. Pszczółki telegram z życzeniami dla Ojca św. i podziękowaniem za Jego encyklikę, wyrażając naszą wierność dla Nieomylnego Pasterza, a prosząc o błogosławieństwo dla redakcji i całego stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Na to otrzymaliśmy d. 21 bm. następującą odpowiedź: «Ojciec św. wyrazy gratulacji łaskawie przyjął i proszone błogosławieństwo ze serca daje.

M. Kardynał Rampolla».

A więc Czytelnicy i Bracia kochani! W górę serca! Ufajmy, pracujmy, cierpmy — i nie dajmy się! Z nami Bóg — bo z nami Namiestnik Boży!"

Tego już biskupi ścierpieć nie mogli. Odpowiedzieli na to wspólnym listem pasterskim i kurendami do duchowieństwa, w których zakazali czytania czasopism wydawanych przez ks. Stojałowskiego, a przy tej sposobności także „Przyjaciela Ludu” i „Naprzodu”.

Kurenda konsystorza biskupiego przemyskiego z roku 1895 brzmiała:

„Przesyłamy Wielebnemu Duchowieństwu diecezjalnemu wspólny list pasterski, zakazujący czytania czasopism wydawanych przez ks. Stojałowskiego tudzież «Przyjaciela Ludu» i «Naprzodu» etc. szerzących zgubne zasady między ludem.

List ten należy odczytać z ambony w Niedzielę III po Wielkanocy (mianowicie w tych parafiach, w których się znajdują prenumeratorowie tych pisemek).

Przed odczytaniem jednak tego listu Wielebni Księża kaznodzieje pouczą w krótkości wiernych o niezmiernie szkodliwym wpływie czytania złych książek, broszur i czasopism, przedstawiając wiernym, że, co mówi przysłowie o złych towarzyszach: «Z jakim się kto wdaje, takim się staje», co mówi Duch Święty w Psalmie 17: «Z towarzyszem (mężem) niewinnym, niewinny będziesz, a z przewrotnym, przewrotny się staniesz», to jeszcze słuszniej powiedzieć można o złych książkach lub czasopismach: «bo zła książka, zła gazeta stokroć jest gorszą i szkodliwszą od złego towarzysza». Dlatego też Kościół święty katolicki, troskliwy o zbawienie swych dzieci, zawsze przestrzegał wszystkich wiernych, żeby nie czytali przewrotnych książek i ulotnych pisemek złych, jak to już w samym początku Kościoła świętego widzimy z *Dziejów Apostolskich*, Czytamy tam bowiem w rozdziale 19, że gdy św. Paweł Apostoł opowiadał Ewangelię Chrystusa Pana w mieście Efezie, «wiele wierzących przychodziło, spowiadając się i opowiadając uczynki swoje. I wiele z tych, którzy się dwornością parali, to jest czarnoksięstwem się trudnili, znieśli księgi i podpalili je przed wszystkimi (pomimo że te księgi zabobonne bardzo wiele ich kosztowały, jak czytamy tamże), a obrachowawszy cenę ich, znaleźli sumę pięćdziesiąt tysięcy srebrników»."

* *
* *

Wśród tych klątw i wyzwisk, miotanych z ambon na buntującego się księdza, pod jego nazwiskiem, które stało się sztandarem z dnia na dzień potęgującego się ruchu ludowego, organizowała się masa chłopska do wyborów sejmowych, rozpisanych na wrzesień 1895 roku. Stojałowski siedział w więzieniu, skazany przez sąd cieszyński za zniewagę popełnioną drukiem na jakimś dyrektorze przedsiębiorstw cieszyńskiego arcyksięcia Habsburga. Akcją wyborczą kierowało Towarzystwo Demokratyczne, a najczynniejszym w nim organizatorem był Stapiński, który jako redaktor gazetek Stojałowskiego uchodził w oczach chłopów za „namiestnika księdza prałata”, któremu kuria rzymska odebrała wprawdzie nadany przed kilkunastu laty tytuł papieskiego szambelana, ale tytuł prałata mu zostawiono.

Wybory przyniosły znaczne zwycięstwo sprawy ludowej.

Na program Towarzystwa Demokratycznego wybrani zostali do Sejmu późniejsi ludowcy: dr Bernadzikowski, Bojko, Krempa, Milan, Średniawski, Styła i Wójcik, a również Związek Stronnictwa Chłopskiego wprowadził pięciu chłopów do Sejmu. Byli to: St. Potoczek, Kramarczyk, Szwed, Warzecha i Data. Po wyborach Stojałowski wypuszczony został z więzienia. Z ludowcami nie potrafił dojść do porozumienia i zerwał z nimi, gdyż nie chcieli przyjąć dla stronnictwa nazwy Stronnictwo Chrześcijańsko-Ludowe i za podstawę programu encykliki papieskiej *Rerum Novarum* — jak chciał Stojałowski. W porozumieniu z klerykami niemieckimi przystąpił tedy do fundowania galicyjskiego oddziału austriacko-niemieckiej partii „christlich-socjałów”. Kler jednak nie zważał na to, ale w dalszym ciągu piętnował go na każdym kroku, a równocześnie szły do Rzymu donosy i petycje o zastosowanie przez Św. Inkwizycję jak najostrzejszych środków dyscypliny kościelnej, albowiem biskupie środki okazały się całkiem bezskuteczne.

W 1896 roku Św. Inkwizycja powitała Stojałowskiego, za pośrednictwem nuncjusza papieskiego w Wiedniu, arcybiskupa Agliardiego, dekretem, w którym pisze:

„mocą szczegółowej władzy i upoważnienia św. Stolicy nam udzielonego i w imieniu św. Stolicy suspendujemy WX Stanisława Stojałowskiego od sprawowania wszelkich czynności, czy to z tytułu święceń kapłańskich, czy z jurysdykcji wypływających, jako też chcemy i rozkazujemy, aby go wszyscy jako suspendowanego uważali”.

Ks. Stojałowski w jednym z dzienników krakowskich popieszył z taką odpowiedzią:

„Mnie obchodzi ono (pismo nuncjusza) może choćby o tyle, o ile jakkolwiek artykuł pomieszczony w jakimś dzienniku, bo wedle świeckiego i kanonicznego prawa nie ma ono innej wartości i mocy.”

Wysłouch zaś w „Przyjacielu Ludu” inaczej osądzał i pismo nuncjusza, i odpowiedź Stojałowskiego. Pisał bowiem:

„Dekret nuncjusza w obecnej chwili nie na rękę stańczykom. Cieszyli się oni, że ks. Stojałowski, podkopując stanowisko posłów ludowych i walcząc przeciwko stronnictwu ludowemu, będzie hamulcem ruchu ludowego. Tymczasem skutkiem owego dekretu ks. Stojałowski występuje do walki z Kościołem katolickim, a że równocześnie zaczyna coraz mocniej bić czołem przed absolutyzmem moskiewskim, krwi polskiej i cierpień naszego narodu nigdy niesytym, sprawa zaczyna się wikłać.

Dokąd ks. Stojałowski zmierza, tego nie wiemy, boć i on sam nie zdaje sobie z tego sprawy. To jedno wiemy, że na bezdrożach, po których od niejakiego czasu zaczął kroczyć, gubi wszelkie poczucie tego, co dla sprawy ludowej jest użytecznym, a co szkodliwym i wrogim.”

W walce z klerem wszyscy Stojałowskiego opuszczali, jedni tylko chłopci stali za nim jak mur.

By ten mur skruszyć, użyto największego taranu.

Była nim wielka klątwa papieska!

Wiedział o niej Stojałowski jeszcze przed ogłoszeniem i zawczasu przygotował się na jej przyjęcie. Klątwę ogłoszono w niedzielę 24 sierpnia, w dniu św. Bartłomieja, 1896 roku, we wszystkich kościołach obrządku łacińskiego w Galicji. Dekret klątwy zaopatrzone był w biskupie komentarze. „Mroki średniowiecza” przesunęły się wówczas przez kawał ziemi polskiej. Redakcja „Przyjaciela Ludu” posiadała dekret klątwy papieskiej, związanej z objaśnieniami biskupa przemyskiego, który tak się przedstawiał:

„Łukasz Ostoja Solecki z Bożego miłosierdzia i świętej Stolicy Apostolskiej łaski biskup przemyski Ukochanym w Chrystusie Panu Wiernym diecezji przemyskiej łaska i pozdrowienie.

Świadomi strasliwego obowiązku zdawania kiedyś liczby za dusze Wasze przed Bogiem, Sędzią żywych i umarłych, śledziliśmy z wielką troską, azali posłuch znalazły ojcowskie napomnienia nasze i rozporządzenia zawarte we wspólnym liście pasterskim z marca 1895, a mianowicie rozporządzenie, żeby wierni wystrzegali się kupowania, czytania lub słuchania gazetek ks. Stojałowskiego jako niebezpiecznych bardzo i szkodliwych, nie do cnoty, ale do grzechu wiodących, szkodliwych, tym bardziej że w nich pomieszana jest prawda z fałszem, że okraszone bywają słowami z Pisma Świętego i że wydawane są przez kapłana.

Dzięki Bogu znaczna liczba wiernych usłuchała głosu naszego, lecz niestety, nie wszyscy.

Znaleźli się bowiem tacy, którzy trucizną duchowną w onych pisemkach z ręcznie zadawaną tak przesiąkli, że poważyli się odmówić posłuszeństwa Biskupowi, którego Duch święty postawił, aby rządził tą diecezją.

Ciężko to nas zasmuciło, jako też i ta wiadomość, że niektórzy zwolennicy tego zbłąkanego kapłana dozwolili mu w chatach swoich znieważać Majestat Boski świętokradzkim odprawianiem Mszy świętej, jak to miało miejsce w Gorlicach dnia 18 maja i 6 czerwca, w Warzycach 4 lipca, w Dzikowie 5 lipca, a w Sobowie 6 lipca, gdzie nawet triumfalnie przyjmowano tego kapłana.

Świętokradzkie były te ofiary Mszy św., ponieważ kapłanowi temu pod ciężkim grzechem nie wolno Mszy św. odprawiać. Zastępcą

bowiem Ojca Św., Najdostojniejszy Nuncjusz Apostolski we Wiedniu, wydał na tego kapłana z upoważnienia Ojca Św. wyrok suspensy, czyli zabronił mu sprawowania wszelkich czynności kapłańskich. Żał nam bardzo tych ludzi, którzy dali się uwieść zdradliwym podszeptom kapłana-gorszyciela, a tak sami zgrzeszyli ciężko przeciw Panu Bogu, przyczyniając się do znieważenia Mszy św. i przeciw Kościołowi świętemu, dopomagając do przekraczania ustaw Kościoła, którego słuchać, pod ciężkim grzechem, Zbawiciel nakazał, mówiąc: «Jeśli Kościoła [kto] nie usłuchał, niechże ci będzie jako poganin i celnik» (Mat. 18, 17), to jest, uważaj go za takiego, który do Kościoła wcale nie należy.

Samemu zaś księdzu Stojałowskiemu złą, bardzo złą przysługę wyświadczyli wszyscy jawni zwolennicy jego, którzy wbrew przestrogom i zakazowi Biskupów po stronie jego stali. Tak bowiem postępując, utwierdzali tego kapłana w zuchwałstwie i uporze przeciw Biskupom, a nawet przeciw Najwyższej Władzy w Kościele katolickim, przeciw św. Stolicy Apostolskiej, a także, bezwiednie może, stali się współwinnymi największego nieszczęścia, jakie kapłana spotkać może na tym świecie, jak to zaraz usłyszycie. Gdy bowiem ksiądz Stojałowski pomimo suspensy, urągając prawom boskim i ludzkim, w wielu miejscach Najświętszą ofiarę świętokradzko w chatach wiejskich odprawiał, gdy przewrotnych pism swoich mimo nakazu św. Stolicy Apostolskiej, któremu obiecał być posłusznym, wydawać i rozszerzać nie przestawał, a w tych pismach błędy przeciwko nauce św. Kościoła katolickiego głosił — Najwyższy Trybunał duchowny w Rzymie, który z polecenia Ojca Św. czuwa nad całością i czystością nauki katolickiej, upomniał go dwukrotnie, a gdy te upomnienia okazały się bezskuteczne, tedy w piśmie, z dnia 2 kwietnia 1896 roku, zagroził mu klątwą, jeżeli w przeciągu 15 dni nie usłuchał rozkazu św. Stolicy i nie zaprzestał wydawania gazet bałamucących sumienia wiernych. A gdy i ta groźba straszna nie pomogła, Trybunał ten Najwyższy, w Imieniu Ojca Św., obłożył tego zbłąkanego kapłana wielką klątwą kościelną, dekretem z dnia 5 sierpnia br. polecając Biskupom ogłoszenie tego wyroku. Z wielką boleścią nad upadkiem i nieszczęściem tego kapłana ogłaszamy, Wam Najmilsi, ten wyrok, który w tłumaczeniu polskim tak brzmi:

«Po przykrościach, które trybunałom świętym, nawet najwyższym, niejednokrotnie sprawiał ksiądz polski, Stanisław Stojałowski, z powodu pism swoich, w rozmaitych gazetach ogłaszanych, i przez swoje zuchwałe zachowanie się i wicherzenie, odesłała na koniec Święta Rzymska Powszechna Kongregacja Inkwizycji tego kapłana, dekretem przez niego przyjętym i podpisanym, do Najprzewielebniejszego Arcybiskupa lwowskiego obrządku łacińskiego jako do jego Ordyna-

riusza, dając przy tym temuż instrukcję, w liście z dnia 23 kwietnia 1894 roku, następującej treści:

Powraca do Waszej Dostojności Wielebny ksiądz Stanisław Stojałowski po złożeniu przez niego w tej Św. Kongregacji oświadczenia i obietnicy, że Ci będzie posłusznym, że prosić Cię będzie o zdjęcie suspensy i przywrócenie mu prawa do odprawiania Mszy świętej, że we wszystkim okazywać Ci będzie posłuszeństwo, a szczególnie w tym, że nie będzie w gazetach ogłaszał artykułów, których Ty naprzód nie zatwierdzisz albo przynajmniej nie potępisz. Egzemplarz tego oświadczenia załączamy dla Twojej wiadomości i do użytku. Św. Kongregacja zaś jest tego pewną, że postąpisz z nim łaskawie i przyjmiesz go z wszelką miłością jako owieczkę, która się była zbłąkała, lecz teraz wraca do Biskupa jako syn marnotrawny, który był umarł, ale już ożył, zaginął był, ale się znalazł.

Z tego atoli wszystkiego, co miał uczynić wspomniany kapłan, aby odzyskał łaskę, tak Pana Boga jako też świętego Kościoła i swojego Biskupa, nie uczynił on prawie nic, oprócz pozornego odwołania, które listownie Biskupowi przesłał i ogłosił. Przeciwnie, do dawnych grzechów swoich dodał on nowe, głosząc słowem i pismem w zabronionych gazetach, że w sprawie swej odniósł triumf (w Rzymie). Prosił wprawdzie obłudnie Biskupa swego o przebaczenie swej winy, ale nie stawiał się nigdy przed nim osobiście celem otrzymania przebaczenia i zwolnienia od cenzury. Obłożony suspensą odprawiał Mszę świętą, występował publicznie przeciwko Biskupom i przechwalał się tym, że jest wyjęty spod władzy swego Ordynariusza Biskupa, bo przeniósł się do innej diecezji, chociaż to się stało bez zezwolenia jego właściwego Biskupa. Skoro się o tym dowiedziała Św. Kongregacja, i to szczególnie z pisma samego księdza Stanisława Stojałowskiego, w którym to piśmie bardzo niesłusznie użalał się na swego Biskupa, uznała za rzecz potrzebną w środę dnia 24 kwietnia 1895 roku powtórzyć dobitniejszymi i ostrzejszymi słowy dekret z dnia 19 kwietnia 1894 roku, ażeby ksiądz Stojałowski we wszystkim posłusznym był wyrokowi swego Arcybiskupa, z dnia 17 marca 1894 roku, tudzież aby odwołanie przedłożone mu stosownie do dekretu Św. Kongregacji Soboru, i przez niego podpisane, potwierdził wobec Najprzewielebniejszego Księdza Arcybiskupa przy dwóch świadkach i aby je ogłosił, ażeby dalej wstrzymał się od wydawania i ogłaszania gazet, a na przyszłość nie ważył się drukiem czegokolwiek ogłaszać bez poprzedniego za każdą razą rozpoznania i aprobaty Biskupa, danej przed ogłoszeniem na piśmie. Do wykonania tego polecenia wyznaczono mu termin 15-dniowy z tym zastrzeżeniem, że gdyby ten termin bez skutku upłynął, podpadnie zaraz kłątwie, zastrzeżonej Ojcu Świętemu. Ale i ten dekret nie osiągnął

skutku; albowiem gdy to się działo, otrzymał ksiądz Stojałowski uwolnienie z diecezji lwowskiej i przyjętym został do diecezji antywarńskiej z pozwoleniem wydalania się z niej na lat 5 i przebywania w którejkolwiek diecezji węgierskiej.

Nie udał się jednakże do żadnej z nich, lecz przebywał w monarchii austriackiej w diecezji wrocławskiej. Tam bawiąc pod pretekstem, że należy do bardzo odległej diecezji antywarńskiej, nie słuchając żadnego Biskupa, a nawet lekceważąc pogardliwie wyrok kilku Biskupów, którzy wspólnym i publicznym aktem pisma jego potępił, czuł się zabezpieczony od wszelkich cenzur kościelnych, jakie by mu wymierzyć można. Ale nie uszedł kary siedmiomiesięcznego więzienia, którą mu wymierzył trybunał świecki za buntownicze artykuły ogłaszane w jego gazetach. Niebawem nadeszły do Jego Świątobliwości, Ojca Świętego, bardzo ważne listy, w których usilnie wzywano powagi Stolicy Apostolskiej przeciw temu człowiekowi, który w złem brnął coraz bardziej. Albowiem weszło mu w zwyczaj działać jawnie ku zgubie dusz przez ogłaszane nauki przewrotne, podburzające do odszczepieństwa i buntu, czego dowodem był egzemplarz tu nadesłany, tudzież zuchwałym uporem, a raczej świętokradzkim odprawianiem ofiary Mszy świętej po kryjomu, wbrew przepisom Kościoła i należnemu poszanowaniu, pomimo że kilku Biskupów publicznym dekretem zabroniło mu tego. Z tych powodów za zgodą i zatwierdzeniem Ojca Świętego zadekretowała Święta Kongregacja, w środę dnia 22 kwietnia 1896 roku, co następuje:

Przez kurie biskupią wrocławską, jako do tego specjalnie od Stolicy Apostolskiej delegowaną, z prawem subdelegowania kurii tego biskupa, w którego diecezji ksiądz Stanisław Stojałowski przebywa, zawiadomić należy formalnie tegoż księdza Stanisława Stojałowskiego, że dekretem Stolicy świętej będzie publicznie za wyklętego ogłoszonym, jeżeli w ciągu 15 dni nie będzie posłusznym dekretowi z dnia 19 kwietnia 1894 roku, który sobie doręczony osobiście otrzymał i przyjął, a który wykonać miał Arcybiskup lwowski obrządku łacińskiego, tudzież jeśli natychmiast nie przestanie odprawiać Mszy świętej i nie porzuci wszelkich wykretów. Jest na to najpewniejszy dowód, że dekret ten doręczony i ogłoszony został księdzu Stojałowskiemu z pismem kurii wrocławskiej z dnia 11 maja 1896, które ten ksiądz po dwu dniach otrzymał. Niemniej jest rzeczą pewną, że rzeczony kapłan od dnia onego do dziś nie tylko dekretowi temu nie okazał zgoła żadnego posłuszeństwa, ale nadto wielu przeciwko niemu dopuścił się przestępstw. Z tych powodów orzeka ta najwyższa Św. Kongregacja (Officii), że stwierdzone są zuchwałstwo i upór księdza Stanisława Stojałowskiego, a dlatego ogłasza i wydaje wyrok, że tenże ksiądz Stoja-

łowski publicznie popadł za wspomniane przekroczenia pod karą klątwy samym prawem kanonicznym ustanowionej (latae sententiae), a o ile tego potrzeba, tym dekretem publicznym nakłada i wymierza tę klątwę ze wszystkimi jej skutkami na tegoż księdza Stanisława Stojałowskiego, orzekając, że powinien być unikany i należy go unikać. A dekret ten należy przesłać Ordynariuszowi lwowskiemu obrządku łacińskiego i jego Sufraganom tegoż obrządku tudzież Ordynariuszowi wrocławskiemu i Ordynariuszowi antywarowskiemu, i przez nich, albo przez jednego z nich, ogłosić, komu potrzeba.

Jos. Can Mancini Notariusz Św.
Rzymskiej i Powszechnej Inkwizycji.»

Taką to karę ściągnął na siebie ksiądz Stanisław Stojałowski przez swój zuchwały upór w złem. A kara to nader ciężka, bo klątwa wyłącza wyklętego ze społeczeństwa wiernych i pozbawia go uczestnictwa w łaskach i dobrach duchownych, zwłaszcza że kapłan ten został wyklęty imiennie, tak że należało go unikać.

Nieszczęsny ten kapłan, dopóki się nie nawróci i nie pojedna z Bogiem i Kościołem, nie może odprawiać Mszy świętej, i to pod ciężkim grzechem, a kto by mu do takiego świętokradztwa dopomagał, pozwalając mu odprawiać Mszę świętą w swym domu, gdyby mu do Mszy świętej służył, lub tylko dobrowolnie słuchał tej Mszy św. lub innych do słuchania tej Mszy nakłaniał, taki stałby się winnym świętokradztwa pod groźbą klątwy kościelnej zastrzeżonej Ojcu Świętemu.

Nie wolno też temu kapłanowi, wskutek tej klątwy, przyjmować Sakramentów świętych lub udzielać, chyba umierającemu, gdyby żadnego innego kapłana nie było. Nie wolno mu być obecnym na publicznych nabożeństwach w kościele, z wyjątkiem kazania, na Mszy świętej i nieszporach, jako też na procesjach, a gdyby zjawił się w kościele w czasie Mszy świętej, ma być wezwany, aby wyszedł z kościoła natychmiast, a gdyby się nie chciał ustąpić i nie dał się wyprowadzić, to wierni wszyscy mają wyjść z kościoła, a tylko kapłan z ministrantem zostaje, a skoro tylko wypije z kielicha Krew Przenajświętszą, zaraz ma odejść od ołtarza i dokończyć Mszę świętą w zakrystii, byle nie wobec wyklętego. Gdyby wyklęty umarł, nie pojednawszy się z Kościołem, nie wolno go pochować w miejscu poświęconym, a gdyby tam został pochowany, to cmentarz byłby z tego powodu znieważonym i musiałby na nowo być poświęconym.

Nie wolno też z takim wyklętym przestawać i żyć w poufałości. Nie wolno okazywać mu osobliwszych znaków poszanowania, przysłuchiwać się jego naukom, zapraszać go na ucztę itp.

A gdyby ktokolwiek przez takie w codziennym życiu obcowanie z wyklętym narażał się na niebezpieczeństwo zgorszenia i zepsucia lub gdyby tym obcowaniem utwierdzał wyklętego w uporze, jakoby mówiąc doń: «nie bój się, księżo, stoimy przy tobie, nie damy cię itp.», taki człowiek stałby się winnym grzechu ciężkiego, a nadto, oprócz grzechu śmiertelnego, ściągnąłby na siebie klątwę, od której tylko Ojciec Św. uwolnić może. Każdy, który by popierał wyklętego w tym postępku, za który tenże wyklęty został, a więc, kto by ks. Stojałowskiemu dopomagał w rozsiewaniu błędów przeciwko nauce Kościoła świętego i wydawaniu pism, czyli gazetek potępionych przez Nas i Najprzewielebniejszych Biskupów tej prowincji, jako też w wydawaniu pism przeciw temu dekretowi Najwyższego Trybunału Św. Inkwizycji, czyli, kto by te zakazane pisma ks. Stojałowskiego przyjmował, czytał, przechowywał, innym rozdawał lub do wydawania i rozpowszechniania tych pism przyczyniał się pieniądze (prenumerując) lub radą, lub jakimkolwiek sposobem — taki człowiek popadłby w klątwę kościelną Ojcu Św. zastrzeżoną. Już bowiem kapłan ten, klątwą obarczony, zaślepiony pychą i zatwardziały w złem, ogłosił drukiem i rozesał książeczkę pod tytułem *Nie pójdziemy do Kanossy*, w której zuchwale urąga Najwyższemu Trybunałowi Rzymskiemu, a tym samym i Ojcu Świętemu!

Z tego, coście teraz słyszeli, poznajcie, Najmilsi, jak ciężka a zasłużona kara spotkała ks. Stojałowskiego.

Lecz Kościół święty, jako Matka litościwa, wymierzając z boleścią taką karę, pragnie przede wszystkim, ażeby kara ta kościelna przywiodła tego kapłana zbłąkanego do upamiętania.

Dlatego i My sami błagamy Pana Boga o tę łaskę i was, Najmilsi, wzywamy, abyście w prywatnych Waszych modlitwach polecali ks. Stanisława Stojałowskiego Boskiemu, Najśłodszemu, a Wszechmogącemu Sercu Pana Jezusa, żeby ten kapłan nawrócił się z całego serca do Boga, za przewinienia swoje szczerze żałował, zgorszenia dane naprawił, pojednał się z Bogiem i Kościołem jak najrychlej i duszę swą zbawił.

Unikajcie na przyszłość, Najmilsi, fałszywych proroków, którzy do Was przychodzą w odzieniu owczym, a wewnątrz są wilkami drapieżnymi!

Wszystkim Wam udzielamy najmiłościwiej, jako zadatek łaski Bożej, Arcypasterskie błogosławieństwo.

Dan w Rezydencji Naszej Biskupiej
w Przemyślu, dnia 26 sierpnia 1896 roku,
Łukasz biskup."

*

Na „rzymską klątwę” Stojałowski odpowiedział pismem *Nie pójdziemy do Kanossy!* Pisał w nim: „Hak pastorału X. Pużyny i Morawskiego już mnie bardziej nie zrani. Wszak oni i część bezmyślnego a ambitnego duchowieństwa już od lat niemal ośmiu ogłaszają mię za wyklętego, zamykają przede mną kościoły i ołtarze, i pałace, a domy swoje (bojąc się ekskomuniki stańczykowskiego wielkiego inkwizytora — i swego złego sumienia!). Grom ten głównie wymierzony przeciw ludowi! Bezsumienny ucisk ludu za «czytanie gazetek» teraz się może rozbestwić — i zapewne się rozbestwi. Mam nadzieję, że prosta wiara i granitowa stałość polskiego ludu przetrwa i ten atak. Ale komu droga wolność obywatelska i rozbitcie małżeństwa inkwizycji z władzą świecką, niech dziś przede wszystkim pomoże bronić lud polski przed tymi, którzy by się poważyli przyjąć rolę czarnej policji lub siepaczków inkwizycji...”

Klątwę odczytywano w niedzielę św. Bartłomieja we wszystkich kościołach w Galicji i na Śląsku. Stańczykowska gazeta ludowa „Krakus” poinformowała chłopów o klątwie w artykule pod soczystym tytułem: *Na pal z nim!*

W parę tygodni ks. Stojałowski odpowiedział na tę klątwę w osobnym piśmie, które, choć skonfiskowane przez c.k. prokuratora, rozeszło się w tysiącach egzemplarzy po kraju. Porównał w nim klątwę z rzezią w noc św. Bartłomieja w Paryżu.

Ksiądz Stojałowski miał tu na myśli noc św. Bartłomieja 24 sierpnia 1572 roku, zwaną także krwawym weselem lub krwawą kąpielą. W noc tę w Paryżu katolicy urządzili podstępnie rzeź protestantów, zw. hugonotami, którzy masowo zjechali się tu z okazji zaślubin królowej Małgorzaty z królem Henrykiem z Nawarry. Rzeź rozpoczęła się na znak dany dzwonem z królewskiego pałacu, a trwała trzy dni i trzy noce. W Paryżu wymordowano wtedy 4000 protestantów. Przykład Paryża podzielał też na miasta prowincjonalne, gdzie zginęło

od rzezi ponad 25 000 ludzi. Król francuski, Karol IX, przyzwolił na tę rzeź, a papież, Grzegorz XIII, na wiadomość o rzezi urządził uroczystą dziękczynną procesję, ogłosił jubileusz, zlecił króla francuskiego Boskiej opiece, zlecił też malarzowi wymalować dla Watykanu obraz, przedstawiający „krwawą kąpiel” w Paryżu, oraz kazał bić medale pamiątkowe, przedstawiające anioła walczącego mieczem z nieprzyjaciółmi.

„Czy niesłusznie porównaliśmy — pisał ks. Stojałowski — to, co się działo w niedzielę św. Bartłomieja w Galicji i Księstwie Cieszyńskim, z nocą św. Bartłomieja w Paryżu? Owszem, możemy powiedzieć, że widać w tej rzezi duchownej nawet pewien postęp, stosownie do obwołanego postępu naszych czasów. Za lat dawnych było tak: najpierw święta inkwizycja ogłaszała kogoś niewygodnego królom i rządcom za heretyka, potem dopiero wolno go było wziąć żandarmom czy siepakom i prowadzić do więzienia, a potem na stos «dla przywrócenia spokoju publicznego». — Tu się stało inaczej.

Najpierw wzięto w nocy ks. Redaktora i osadzono w więzieniu, najpierw zamknięto drukarnię i zabrano z poczty obronę i wyjaśnienie rzeczy — a gdy tak «burzyciel porządku i powagi duchownej i świeckiej był ubezwładniony i skępowany» — bezpiecznie i spokojnie ogłaszano z kazalnicy półpiętej diecezji «wielką klątwę».

Nazwaliśmy ją rzezią duchowną, boć samo Pismo Św. nazywa język «mieczem ostrym», a w każdym katechizmie to stoi, że obmawiać, a tym bardziej rzucać oszczerstwa na bliźniego równa się zabójstwu, czasem gorsze być może od morderstwa. I taki mord duchowny na księdzu redaktorze i wszystkich czytelnikach, i przyjacielach «Wieńca» i «Pszczółki» popełniono w niedzielę św. Bartłomieja w Galicji.

Noc Bartłomieja wyprawiono na rozkaz ukoronowanej zbójczyni i jej syna; niedzielę Bartłomieja wyprawiono na rozkaz złoconych kołnierzy i umitrowanych, nie z łaski Bożej, ale z łaski rządowej, głów godnych pozłoty.

W noc Bartłomieja mordowali zbójcy odznaczeni białą szarfą i białymi krzyżami; w niedzielę Bartłomieja zdierali skórę z księdza Redaktora i czytelników gazetek ludzie odziani w białe komezki pod wizerunkiem krzyżów, wiszących czy to na kazalnicy, czy w ołtarzach.

Zbójcy z nocy św. Bartłomieja głosili, że bronią wiary katolickiej i Kościoła; mordercy z niedzieli św. Bartłomieja głosili słowo w słowo to samo.

Zbójcy nocy Bartłomieja oszukali papieża Grzegorza XIII i do-

prowadzili go do tego, że ku pośmiewisku świata uczcił mord i rzeź nikczemną nabożeństwem, jubileuszem i uroczystym *Te Deum*; sprawcy niedzieli św. Bartłomieja galicyjsko-cieszyńskiej oszukali rzymskich duchownych, a nadużywali powagi Leona XIII, który o sprawie nic nie wie, aby swojej rzezi duchownej nadać pozory słuszności i godziwości.

Zbójców z nocy św. Bartłomieja dosięgła prawica i sąd sprawiedliwego Boga i rodzaj ich zaginał, a sąd całego świata ogłosił ich za to, czym byli w rzeczywistości, za nikczemnych i podłych zbrodniarzy; sprawców rzezi duchownej z niedzieli Bartłomieja ta sama prawica Boża dosięgnie, a sąd historii i uczciwych ludzi społecznych już dzisiaj ocenia sprawiedliwie ich czyn i jedno ma dla nich uczucie: pogardę.

Jedna jest tylko, i to smutna, różnica pomiędzy nocą Bartłomieja paruską a niedzielą Bartłomieja galicyjsko-cieszyńską.

W nocy Bartłomieja nie miało żadnego udziału duchowieństwo; owszem, duchowni, o ile mogli, ukrywali i ochraniaли nieszczęśliwe ofiary na rzeź skazane; tylko Grzegorz XIII został oszukany i wepchnięty w błoto.

Niedzielę zaś św. Bartłomieja w Galicji i Cieszyńskiem, wprowadzie z namowy hrabiowskiej, ale bezpośrednio wywołali i urządzili biskupi i duchowni, niepomiernie na sąd Boży i naukę Pana Jezusa, a wykonali duchowni «głupi i leniwi serca», jak powiedział Chrystus."

Niezwykłe zabawny charakter miała polemika prasowa, jaką ks. Stojałowski prowadził z autorami klątw. Sam biegły w kruczkach stosowania i interpretacji prawa kanonicznego podważał interdykty biskupie i listy pasterskie wykazywaniem, że jako dzieło „biskupie” i „diecezjalne” nie mogą one uchodzić za postanowienie Kościoła, „boć Kościół to powszechne zgromadzenie wiernych i pasterzy pod papieżem — a nie jeden biskup, dwóch lub czterech”. To twierdzenie kwalifikował ks. Stojałowski, w liście do b. posła Kramarczyka z Osieka, jako dogmat wiary, „a kto inaczej naucza, ten fałszuje wiarę”. Z tego zaś dogmatu wysnuł następujące wnioski: że „1) to, co biskup jakiś każe, wtedy tylko obowiązuje, gdy jest rzecz w sobie prawdziwa, słuszna i z prawem Bożym zgodna; jeżeli taka nie jest, odrzucić ją nakazuje sumienie wedle tego, że

więcej się trzeba bać Boga niż ludzi; 2) to, co biskup wskazuje, wtedy jest przykazaniem Kościoła, gdy się tyczy rzeczy kościelnych i wydane jest w zgodzie z prawem Kościoła, i to po myśli namiestnika Bożego — inaczej jest rozporządzeniem ludzkim, to jest osoby, która jest biskupem — a nie biskupiego urzędu."

Rzecz jasna, że taka interpretacja działała przekonywająco na masy, toteż mimo listów pasterskich i represji kościelnych ilość stronników Stojałowskiego zwiększała się. Że posłużono się autorytetem papieża przy rzucaniu klątwy na Stojałowskiego, to zmusiła do tego stańczyków konieczność, gdyż autorytet klątw biskupich był już wystarczająco podważony. Atoli i na klątwę papieską Stojałowski znalazł stosowną prawniczą odpowiedź. Klątwa ta — pisał on — jest najzupełniej nieprawidłowa i nie przez Ojca Św. wydana, a na uzasadnienie podał, że klątwę można ogłosić tylko przy zachowaniu następujących formalności: 1) musi ją poprzedzać trzykrotne upomnienie, 2) trzeba winnego zawezwać i przekonać o winie, 3) wyrok klątwy ma ogłosić sędzia z trybunału — a żaden z tych warunków nie został dopełniony. Toteż Stojałowski przypomina władzom kościelnym, że — według kanonów Kościoła — skoro tych formalności zaniedbały, same na miesiąc podpadły pod suspensę od sprawowania służby Bożej i od wstępu do kościoła.

A wreszcie dobił w opinii ludu sprawców klątwy „wykryciem jej źródła”, tak przedstawionego w „Pszczółce”:

„Przeczytawszy sobie całe to długie pismo, odetchnąłem swobodniej. Jest zatem tak, jak przypuszczałem: nie Ojciec Św. ani żaden kardynał, ale prosty pisarzyna w rewerendzie, zowiący się «notariuszem», a któremu na imię «Mancini», podpisany jest na tej bałamutnej paplaninie, pełnej, jak list Puzyny, nieprawd, przekreżeń i grubych prawnych bezmyślności, czyli nonsensów. Ów Mancini, którego znam z Rzymu, to młodzik ćwiczący się w pisaniu w kancelariach rzymskich, tak samo jak nasi pisarze dzienni i dietariusze po sądach i starostwach. Taką to wielką powagę i takiego wysokiego dostojnika

znalazła sobie szajka stańczykowska, aby móc nowym kłamstwem, nowym prostym szalbierstwem świat bałamucić, a zwłaszcza aby mieć na tych, których jeszcze ciągle nazywają ciemną masą, nowego straszaka, aby lud maltretować i dziś wmawiać w niego, że Stolica Święta, że papież wydał klątwę na ks. Stojałowskiego!

Nie Mancini, ale sam papież gdyby rzucił klątwę w ten sposób, bez przytoczenia rozumnego i sumiennego powodu i z pominięciem wszystkich przepisów prawa, byłaby ona nieważna i trafiłby ten piorun nie tego, do którego się mierzy, ale do tego, który go ciska. A cóż dopiero, jeżeli to czyni jakiś niedowarzony i może przekupiony młodzian."

W pomoc biskupom przyszło *bracchium saeculare* — ramię świeckie w osobach prokuratora i sędziego śledczego w Wadowicach. Sędzia śledczy wydał 9 listopada 1896 roku nakaz uwięzienia Stojałowskiego ze względu na wniosek prokuratora o wytoczenie Stojałowskiemu śledztwa o zbrodnię zaburzenia religii z § 122 lit. b) u.k., rzekomo popełnioną przez to, że będąc obłożony klątwą w Kaniowie Dankowskim odprawiał mszę w karczmie Wojciecha Fajfra, w dniach 6, 7 i 8 września 1896 roku, przez co jakoby „istniejącej w państwie austriackim religii katolickiej publicznie wzgardę okazywał". W uzasadnieniu tego nakazu podano, że Stojałowski mógłby wpływać na świadków i w ogóle śledztwo utrudniać, a nadto, że „okoliczności, towarzyszące obecnemu życiu i prowadzeniu się obwinionego, usprawiedliwiają obawę, że czyn karygodny, przecież już trzykrotnie popełniony, w przyszłości dokonać i przez to nadal zgorzsenie publiczne wywołać i rozszerzać może".

W odpowiedzi na ten nakaz przesłał Stojałowski do „świątyni izby radnej c.k. sądu obwodowego w Wadowicach" pismo, w którym niemilośnie wykpił wadowicką inkwizycję. Brzmiało ono:

„Do wawrzynów sławy sądu wadowickiego, zdobytych wyrokami wydanymi na Garnarczykową, Mikołajczyka, Leszczyńskiego, za sprowadzenie gazetek, równie wyrokiem w mej sprawie przeciw X.

Augustynowi Gani, przybył nowy liść orzeczeniem uwięzienia śledczego z obawy powtórzenia «karygodnego czynu» odprawiania Mszy św. wobec klątwy! Święta Inkwizycja odżyła tedy w Wadowicach! Atoli marny jej żywot, bo na próżno kusi się zaczerpnąć eliksiru życiowego w kodeksie austriackim. Kodeks austriacki pro primo «klątwy» nie zna, pro secundo skąd sąd wadowicki śmie twierdzić, że jestem wyklęty i gdzie ma na to dowody? Ja do dziś wyroku klątwy nie mam ani sądzony przez duchowny sąd nie byłem, tyle i sędziowie świeccy powinni wiedzieć, że wyrok bez rozprawy sądowej jest absurdem. 3-o. Austriacka ustawa przyznaje i gwarantuje nietykalność domową, a zatem, co się działo w domu Wojciecha Fajfra, do tego sądowi wtrącać się nie wolno. Nie pomoże też mierzyć, ile kroków ma izba, ani czy w niej w czasie komisji stały flaszki i czy kobiety nakrywały komodę, lub czy szyld gospody wisi nad izbą, bo z tych rzeczy i chłopci się śmieją! 4-o. Nonsens jest mówić o zgorzseniu publicznym z powodu rzeczy odbytej w izbie w ogóle, a tym bardziej gdy chodzi o Mszę św. nazywać to «czynem karygodnym», to trzeba na to wadowickiej filozofii. 5-o. Odprawiać Mszę św. jest aktem religii — a kto by chciał wzgardę religii, toby mszy nie odprawiał. Gardzić rozkazem bezsumiennym biskupów, a choćby monarchów, nie podpada pod żaden kodeks karny — i wolno poddanemu nawet to, co by cesarz zakazał, czynić u siebie w domu, bo w domu każdy sobie pan. Z tych powodów raczy Izba radna ratować honor wadowickiego sądu i znieść orzeczenie więzienia śledczego, tym bardziej że po przesłuchaniu świadków nr 3 z § 175 odpada, a stosowanie nr 4 do odprawiania Mszy u księdza jest właśnie obrazą i wzgardą religii, skoro każdy katolik, a tym bardziej ten, co na obrońcę katolickiego Kościoła pozuje, powinien wiedzieć, że ksiądz na to święcony, aby mszę odprawiał, a żaden biskup i papież sam odebrać mu tego nie może, aby, gdy chce, Mszę św. odprawiał, tym bardziej sąd wadowicki prawa tego nie ma, a więzić mię, dla przeszkodzenia odprawiania mszy, toć gwałt wbrew prawu i sumieniu, godny chyba inkwizycji średniowiecznej, a nie sędziów XIX stulecia, obowiązanych strzec kodeksu austriackiego i swojego honoru a niezależności.

X. Stanisław Stojałowski."

Zażalenia powyższego sąd wadowicki nie uwzględnił, a dozorca więzienny, Mecnarowski, miał już przygotowaną, specjalnie wybieloną celę do uwięzienia w niej Stojałowskiego.

Na miejsce, do Kaniowa Dankowskiego (pow. Biała), zje-

chał sędzia śledczy z Wadowic oglądać dom Fajfra, w którym Stojałowski msze odprawił. Okazało się, że jest to wielki, porządny dom murowany, z którego połowa przeznaczona była na gospodę, druga zaś stanowiła przyzwoite mieszkanie gospodarza. Tu właśnie odprawił Stojałowski owe historyczne trzy msze. Sędzia operował różnymi sztuczkami dialektycznymi, aby uzyskać zeznanie, iż mieszkanie prywatne jest publiczną gospodą. Chłopi nie dali się jednak zbić z tropu, a jeden z nich pouczał nawet sędziego, że proboszczowie i klasztory pod kościołami utrzymywali karczmy i jakoś w tym nikt nie dopatrywał się „wzgardy” dla istniejącej w państwie austriackim religii. Sprawa była sztucznie „wydęta”, aby Stojałowskiego na okres zbliżających się wyborów do parlamentu „schować” do kryminału i unieszkodliwić. W związku z tą sprawą w dniu 13 listopada 1896 roku żandarm przytrzymał Stojałowskiego na dworcu kolejowym w Nowym Sączu. Gdy jednak chciał wsiąść z nim do pociągu, kolejarze zażądali okazania biletu, którego żandarm nie miał. W chwili gdy udawał się do kasy po bilet, zakrzętnęli się kolejarze tak zgrabnie koło żandarma, że stracił Stojałowskiego. W ten sposób Stojałowski umknął wówczas wadowickiemu sądowi na Węgry do Czaczy, a stamtąd do Budapesztu. Tu Stojałowskiego aresztowano na żądanie sądu wadowickiego, atoli wskutek protestów robotniczych zwolniono go i odmówiono wydania go sądom austriackim. Wrócił więc Stojałowski do Czaczy, skąd wydawnictwem gazet i odezw kierował w Galicji akcją przedwyborczą, korzystając z pomocy socjalistów. Wybory wygrał, chłopi wybrali bowiem sześciu jego zwolenników. Posłami tymi byli: Kubik, Zabuda, Cena, Szajer, dr Danielak i ks. Szponder, a chłopskimi też głosami, w liczbie 22 000, w V powszechnej kurii wybrany został po raz pierwszy Ignacy Daszyński. Taka była odpowiedź ludu na rzymską kłatwę! Sam Stojałowski wybrany być nie mógł i nie kandydował, brak mu bowiem było biernego prawa wyborczego skutkiem skazujących wyroków sądowych.

Inkwizytorami wykonującymi kłatwę kościelną stali się także starostowie. Gdy w sierpniu 1896 rozeszła się pogłoska, że Stojałowski ma przybyć do powiatu wadowickiego, wadowicki starosta wystosował „rezerwat” do posterunku policyjnego w Zatorze, w którym powiadomił go, że Stojałowski ma przybyć do gospodarza Kosobudzkiego w Spytkowicach, wobec czego zarządził jego inwigilację. Na wypadek zaś gdyby Stojałowski odbywał tu zgromadzenie chłopskie, rozdawał pisma drukowane lub wygłaszał aufreizende Rede, nakazał postarać się we dworze o wóz i na tym wozie Stojałowskiego odtransportować do starostwa. Nadto polecił jeszcze żandarmom, aby z uwagi iż Stojałowski do wykonywania kapłańskich czynności nie jest uprawniony, przeszkodzili mu w podejmowaniu agend kościelnych i kapłańskich. Wreszcie starosta zwrócił się do „Wielebnego urzędu parafialnego w Spytkowicach” z następującym pismem: „Doszło do mej wiadomości, że w dniach 'najbliższych ma przybyć do Spytkowic i zamieszkać u Kosobudzkiego obłożony interdyktem i kłatwą kościelną ks. Stojałowski. Zawiadamiając o tym, upraszam Wiel. Ks. Proboszcza, by ze swej strony starał się w sposób odpowiedni paraliżować zgubną działalność i wpływ zbłąkanego i wstępującego na coraz to dalsze bezdroża księdza i pouczył parafian o skutkach i znaczeniu interdyktu i kłatwy kościelnej.”

Doprawdy zadziwiająca była gorliwość starosty w pouczeniu organów kościelnych o ich obowiązkach ogłaszania kłatwy i informowania ludu o jej skutkach i znaczeniu!

Lud polski kłatwę tak potraktował, jak i jego przywódca, ks. Stojałowski. Choć 15 tysiącom chłopów odmówiono rozgrzeszenia, trwali przy Stojałowskim.

W odpowiedzi na kłatwę Stojałowski uderzył w biskupów, nazywając ich ataki na ruch ludowy „napadem krzyżackim”.

„Biedny — pisał — lud polski cierpi ten najazd krzyżacki nie w samej tylko Galicji, ale też na obu Śląskach i częścią w Wielkopolsce. Wszędzie z jednej i tej samej przyczyny, to jest z tego powodu, że

księża i biskupi stali się «urzędnikami» i trzymają nie z ludem, ale z panami i z rządem. W Wielkopolsce ksiądz arcybiskup Stablewski jest tyle sumienny, że zakazał księżom z ambony wywoływać, ale przecie sam z księżmi popiera politykę pańską i pruską. Na Śląsku austriackim i pruskim, oraz w innych prowincjach polskich pod Prusakiem, wywoływania z ambony i po gazetach nieomal tak samo się praktykuje jak w Galicji. Pod Prusakiem jednak wojna ta duchowna jest mniej ciężka, bo np. w Wielkopolsce księża obstawia za rządem luterskim i narodowi wrogim, a zaś zniemczeni księża śląscy, na Warmii itd. chcą także lud zniemczyć i zmuszają go do wybierania na posłów panów-Niemców! Wobec tego lud polski łatwo może rozeznąć i odczuć, że taka księża robota jest zła i z duchem Ewangelii niezgodna, więc też stanowczo się broni przeciw polityce lutersko-pańskiej i wydzieraniu sobie języka polskiego, a narzuceniu Niemców na posłów. W Galicji i na Śląsku austriackim ta wojna z duchownymi jest trudniejsza, bo tu lud wprost oszukują, wmawiając w niego, że Bóg od niego żąda uległości wobec panów i wyzyskiwaczy, którzy są Polakami, lub niby-katolikami, a przedstawia się walkę, w której chodzi o sprawy polityczno-społeczne, jako walkę o wiarę. W tym jest właśnie ta przewrotność iście «krzyżacka», bo nadużywanie krzyża i boskich rzeczy do celów samolubnej polityki i prostej, nędznej chciwości, i żądy honorów i złota!!!"

Czytelnicy kalendarza takie w tej sprawie otrzymali wskazówki: „W zasadzie: biskupi i księża, jako tacy, nie mają żadnego prawa mieszać się do spraw politycznych, to jest takich, jak wybory do Sejmu, gazetki polityczne, wiece itp. Jeżeli się taki duchowny do tego zabiera, czyni to nie jako biskup lub ksiądz, ale jako obywatel państwa (płacący podatki itd.), a głos jego w tych sprawach tyle wart, co głos innego obywatela, ni mniej, ni więcej. W praktyce: duchownych, którzy używają wyzwick i tym podobnych środków zakazanych prawem świeckim, należy skarżyć sądownie, a nadużycia popełniających w sakramentalnych funkcjach skarżyć do Rzymu, każdemu, kto zażąda, skargę taką napiszemy."

Do żywego dotknięty kłutwą, a zwłaszcza jej interpretacjami biskupimi i proboszczowskimi, zamieścił w kalendarzu obszerny traktat dogmatyczny zatytułowany: *W czym i kiedy*

papież jest nieomylny? Z powołaniem się na słowa: „Jeśli ślepy ślepego prowadzić będzie, obaj w dół wpadną", stwierdził, że Jezus mówił właśnie to do tych kapłanów żydowskich — „wodzów ślepych" — którzy sami „ślepo" trzymając się nie zakonu, ale tłumaczeń rabińskich, od ludu ślepej wiary żądali. Owóz i dzisiaj są podobni „wodzowie ślepi", którzy sami ślepo trzymają się nie Ewangelii (bo właśnie Ewangelii nie chcą się ślepo i dosłownie trzymać), ale tłumaczeń Ewangelii przez doktorów podejranej wiary, takiej właśnie, jaką Pan Jezus zgañił. Każą nam słuchać „ślepo" biskupów, „ślepo" słuchać samych siebie — a co najmniej każą nam „ślepo słuchać nieomylnego papieża". Jest to niemiłosierne, albo raczej może niesumienne, przekręcanie nauki Chrystusowej, bo chrześcijanin-katolik nikogo, ani księdza, ani biskupa, ani nawet papieża, „ślepo słuchać nie powinien i nie może". Na udowodnienie tej tezy przytocza zdarzenia z historii Kościoła:

„Bywały czasy, że nie dwu lub trzech, lub czterech, ale kilkuset biskupów zbierało się w jakimś kraju na rozkaz zwykle jakiegoś cesarza i uchwalali zgodnie to lub owo — a przecież ta ich uchwała była właśnie złą i grzeszną. Jeżeli tedy nawet kilkuset biskupów może pod wpływem i naciskiem świeckiej władzy się pomylić i w błąd wprowadzić wiernych, o ileż bardziej może to zrobić czterech biskupów jednej jakiejś prowincji? Tak na przykład za Konstancjusza cesarza zebrała się wielka liczba biskupów na soborze w Tyrze i oskarżyła fałszywie i potępiła św. Atanazego, który też na tej podstawie został przez cesarza skazany na wygnanie. O tej historii przeczytać się mogą księża w brewiarzu rzymskim, dnia 2 maja, na dzień św. Atanazego. Wiadomo też z historii, że bywały czasy, w których każdy król lub cesarz chciał mieć «swego» papieża, więc kazał biskupom swego państwa obierać papieża. W ten sposób zdarzało się, że było po dwu i po trzech papieży na raz. Cóż wtedy mieli robić wierni? — i jak daleko by byli zaszli, gdyby byli się kierowali «ślepa» wiarą?

Ogłoszenie dogmatu «nieomylności papieża» zgoła w niczym nie zmieniło tej rzeczy, bo papież każdy jest człowiekiem i może się mylić lub być «złym», więc to, że papież jest nieomylny, nie znaczy, że się nigdy w niczym pomylić nie może lub że zawsze i we wszystkim trzeba słuchać papieża «ślepo». Tak, niestety, głosili teraz niektórzy du-

chowni, a nawet biskupi w Galicji, chcąc własne pomyłki i błędy zasłonić powagą papieża. Ale przecież tak nie jest, a ci, którzy takie przekonania chcieli wpoić wiernym, źle i niesumiennie robili."

Toteż „dla wyświecenia prawdy i rzetelnej nauki Kościoła o nieomyślności papieża, a tym samym dla uspokojenia sumień wiernych i dla chwały Bożej" zamieścił w kalendarzu dłuższy wykład o dogmacie nieomyślności papieskiej. Wykład napisany przystępnie, jasno, oparty o historyczne podłoże, można zalecić do przeczytania wszystkim teologom i tym, którzy uczą teologii, i tym, którzy uczą się teologii, jako wzorowy podręcznik naukowy.

Nakład kalendarza w ilości 6000 egzemplarzy rozchodził się głównie między włościanstwem. Takich tematów, jakie poruszył w nim Stojałowski, dotąd nikt nie odważył się między ludem wiejskim poruszać. Milczała o nich ambona albo przedstawiała je w niejasnym świetle. Milczały gazetki ludowe. Co najwyżej jakiś stary weteran z wojen austriacko-włoskich opowiadał ludowi ponure historie o rządach papieskich w państwie kościelnym oraz o wojsku i wojnach, jakie namiestnik Chrystusa prowadził. Teraz „czarno na białym" dowodziło im pióro Stojałowskiego, że:

„przez podstęp monarchów świata «rzeczpospolita kościelna», w której wierni mieli stanowczy i wyłączny wpływ na wybór księży i biskupów, zamieniona została na absolutną monarchię. Prawo wybierania proboszczów i biskupów wyrwane zostało wiernym i przeszło w ręce szlachty i rządów, a zamach ten osłonięto zgrabnie tym, że się to wszystko dzieje za wolą i przyzwoleniem «najwyższej głowy Kościoła, papieża»... Pierwszeństwo papieża w drugim tysiącleciu chrześcijaństwa przemieniło się w zupełną niemal «samowładność» papieża. Przemiana pierwszeństwa Piotrowego, czyli papieskiego, na «samowładztwo» jest nadużyciem, które w ciągu wieków do Kościoła wtargnęło... Papież jest nieomyślny, gdy rozsądza jakąś wątpliwość, jeszcze nie rozstrzygniętą kwestię, czyli naukę i prawdę wiary lub obyczajów chrześcijaństwa, i jako namiestnik Chrystusa stanowi, że taką jest nauka Chrystusowa i w taką mają wszyscy chrześcijanie-katolicy wierzyć."

Jako przykład przytoczył Stojałowski „bullę dogmatyczną", ogłaszającą „Niepokalane poczęcie Najświętszej Panny Marii". Z drugiej strony wskazał na coroczny obchód święta „Wniebowzięcia Najświętszej Panny Marii", który „świadczy najlepiej, jak powszechną jest wiara, że Najświętsza Maria Panna wprawdzie umarła, ale po pewnym czasie przez Boga wskrzeszoną i przez aniołów z ciałem do nieba wziętą została, a przecież nie jest to dogmatem, czyli prawdą nienaruszalną i konieczną do wierzenia, tak że gdyby ktoś nie wierzył w niebowzięcie Najświętszej Marii Panny, nie mógłby z tego powodu uznanym być za heretyka".

Taka wypowiedź, nasuwająca prawowiernemu chłopu myśl, że nie we wszystkie nauki kościelne trzeba wierzyć i że są takie wierzenia, w które można wątpić, wprowadzała w umysłowość chłopską rewolucję. Zwłaszcza że:

„nieomyślność papieża odnosi się tylko do tego, «co już jest» od Boga objawionym i przez Pana Jezusa nam ogłoszonym zostało. A zatem papież nie może np. powiedzieć: «Od dzisiejszego dnia w to lub owo macie wszyscy wierzyć, bo ja takie mam od Ducha świętego natchnienie». Żaden papież «żadnych nowych rzeczy» ogłaszać i nauczać nie może. A gdy wykazał, że «nieomyślność» nie znaczy to samo, co «bezgrzeszność», czyli że nieomyślność dotyczy «nauczania» papieża, a nie jego postępowania lub działania, i że papież jest nieomyślny tylko w tych «niewielu rzeczach», które stanowią tak zwany «skarb wiary», czyli «treść nauki wiary i obyczajów», zachwiał w ludzie wiarę w boską wszechmoc papieża, zwłaszcza gdy lud dowiedział się, że błędnym byłoby zdanie, gdyby ktoś twierdził, że jakkolwiek wyrok wyjdzie z miasta Rzymu, już przez to samo jest wyrokiem samego papieża, nieomyślnym i sprawiedliwym. Najpierw bowiem Rzym to jeszcze nie jest papież. Z biegiem czasu powstały w Rzymie rozmaite trybunały kościelne, czyli duchowne, z których najważniejsze zowią się kongregacjami. Kongregacja znaczy tyle, co «najwyższy urząd», i kongregacje przy papieżu to niemal to samo, co ministerstwo przy głowie państwa. W kongregacjach sprawy rozpatrują kardynałowie przy pomocy księży-referentów, a zdarza się, że referent sprawę przedstawi nienależycie lub jednostronnie, że członkowie kongregacji, wierząc mu, tak samo się pomylą, a w końcu sprawa papieżowi w niewłaściwym

świecie zostanie przedłożona — i tak wyrok «rzymski» stać się może mylnym lub niesprawiedliwym, ale przecie można się odwołać od papieża (jak się to mówi) «źle poinformowanego» do papieża «lepiej poinformowanego». Po łacinie się mówi: a Papa male informato ad Papam melius informatum."

Traktat o tak zwężonej nieomyślności papieskiej ukoronowany został „zakończeniem”, uderzającym w nietolerancję kościelną i niedemokratyczny system ustanawiania rządców kościelnych: proboszczów, biskupów, a nawet samego papieża. Uderza więc Stojałowski w ludzi słabej głowy, a chorujących przy tym na manię uchodzenia za nader gorliwych, czy to katolików, czy kapłanów, którzy myślą, że gdy przesadzają w czymkolwiek, to wtedy najlepiej Bogu i religii służą. A więc przesadzają w ostrościach (oczywiście wobec innych, nie zaś wobec siebie), przesadzają w przedstawieniu prawdy, przesadzają w oburzeniu na tych, co się do ich zapatrywań zastosować nie chcą, a nie widzą, że przesadą najwięcej religii szkodzą. Skutek bowiem przesady jest taki: ludzie rozumniejsi, a więc tak zwana inteligencja, odstręczają się od Kościoła i religii, jak to widoczne jest z usposobienia całej tej warstwy ludzi, inni zaś, niewykształceni, popadają w błędy wręcz przeciwne wierze. Ta przesada rozerwała chrześcijaństwo na rozliczne sekty i przeszkadza w zjednoczeniu Kościoła. „Ci sami, którzy słowami o zjednoczenie się modlą lub do niego wzywają, czynami i postępowaniem od Kościoła odstraszać nie tylko odłączonych, ale nawet wiernych. Jeśli bowiem każda myśl wolniejsza jest wyklinaną, jeśli nawet w politycznych i społecznych sprawach chce się ludziom narzucać nieznośne jarzmo, jeżeli papieża przedstawia się nie jako ojca i pasterza na wzór Chrystusa, ale za półboga trzymającego pioruny w rękę, jeśli nie tylko wobec innowierców lub odłączonych, ale nawet wobec własnych braci katolików, byle odmiennych nieco zapatrywań, w rzeczach do wiary wcale nie należących, występuje się z nienawiścią i groźbą, to pyta-

my, jak można mieć nadzieję, aby się ewangelicy lub prawosławni zdecydowali połączyć z Kościołem, w którym widzą taką przesadę i taki brak miłości?"

Podnosząc stary spór kościelny o charakter władzy papieskiej wbrew teologom, którzy twierdzą, że biskupi nie są jako podlegli równymi papieżowi, oświadcza, że „papież jest pierwszy między równymi”, bo pochodzi z wyboru „spośród biskupów”, jest „biskupem rzymskim” i co do biskupiego urzędu równy innym biskupom. Może złożyć tiarę papieską i zostaje znowu biskupem, „w końcu papieżowi przez papieństwo nic nie przybywa do godności biskupiej, tylko posiada «zarząd» całą społecznością Kościoła, podobnie jak wybrany spośród gospodarzy wójt lub prezydent spośród obywateli posiadają zwierzchnią władzę nad innymi gospodarzami i obywatelami, ale przecie równi im są i gdy ustępują, inni wstępują na ich miejsca. To pierwszeństwo papieża zmieniło się na samowładztwo (później nazywał je Stojałowski caryzmem kościelnym), i to nie jest z pożytkiem, ale ze szkodą Kościoła.” Stojałowski zdając sobie sprawę, że w tym twierdzeniu nieprzyjaciele szukać będą herezji, nie tylko go nie cofa, ale atakuje niedemokratyczny system powoływania urzędników kościelnych.

„Nie ulega wątpliwości, że nie tylko w pierwszych wiekach chrześcijaństwa «wierni mieli prawo wyboru» swoich pasterzy-kapłanów czy biskupów, a papież ten wybór przyjmowali do zatwierdzającej wiadomości, ale nawet dzisiaj jeszcze, wedle istniejącego, a nie odwołanego postanowienia soboru trydenckiego, powinni wierni mieć «jakieś słowo» przy nominacji biskupów, a w zarządzie Kościoła nie ma się dziać wszystko z prostego rozkazu papieża, ale odbywać się powinny, pod «groźbą surowych kar kościelnych», synody w każdej diecezji, w każdym kraju, w całym Kościele. Czymże są te synody, jeżeli nie «sejmami duchownymi», na których wszyscy pasterze dusz, choćby niebiskupi, mają głos decydujący? Jest też inny przepis soboru trydenckiego, aby przed nominacją biskupa ogłaszać nazwisko tego, który ma być biskupem zamianowany, a to tym celem, ażeby każdy z wiernych mógł swoje zdanie wypowiedzieć. Sobór na to wy-

rażnie nie tylko zezwala, ale to nakazuje. A co do kardynałów, to tenże sobór trydencki stanowi, «że oni mają być brani ze wszystkich narodów», aby wszystkie narody miały przedstawicieli w tym najwyższym senacie Kościoła. Te przedstawiania istnieją i po dziś dzień obowiązują, a gdyby je wykonywano, toby wierni i kapłani z proboszczami mieli «jakieś słowo» w sprawach kościelnych. Dziś zaś, jak dodawać nie trzeba, nie ma od niepamiętnych czasów ani synodów, ani ogłaszania kandydatów na biskupstwa, ale wszystko dzieje się bez udziału wiernych, jakby to było we wojsku, a nie w Kościele — to znaczy w zgromadzeniu wiernych. To zaniedbanie tych przepisów soboru trydenckiego i załatwianie wszystkich spraw pomiędzy papieżem a rządem świeckim, a ogłaszanie wiernym już tylko «gotowych rzeczy», nazywamy samowładztwem dla Kościoła szkodliwym. Wreszcie i to dodamy, że oddanie prezenty proboszczów w wyłączne ręce patronów, po usunięciu «prawa wybieralności», stało się także bez udziału wiernych, a jest niewątpliwie ich praw uszczupleniem."

Wadowicki prokurator ścigał Stojałowskiego za zniewagę religii, jakiej miał się dopuścić odprawianiem mszy na stole w prywatnych domach. Odpowiedź na to dał Stojałowski w innym traktacie, *Nauka o Mszy świętej*, pomieszczonym w tymże samym kalendarzu. Z traktatu tego dowiedzieli się chłopci, że Jezus nic nie postanowił ani co do miejsca odprawiania mszy, ani co do innych obrzędów, toteż pierwsi chrześcijanie nie krępowali się pod tym względem i czynili, co im wiara i pobożność dyktowały. Liturgie, czyli „służby Boże”, których używano przy mszy, układano później i w różnych stronach rozmaicie. Istnieją zatem liturgie: koptyjska, czyli starych Egipcjan, ormiańska, maronicka, grecka i łacińska. Z dużą sympatią zaznacza, że w pierwszych wiekach wszędzie zaprowadzono liturgię, czyli mszę świętą, w narodowym języku, to jest w języku takim, jakiego używali ci, którzy się do chrześcijaństwa nawracali. Nawet w VI jeszcze wieku po Chrystusie, gdy pierwsi Słowianie, Kroaci, na wybrzeżu adriatyckim mieszkający, przyjęli chrześcijaństwo, wprowadzono u nich nabożeństwo w narodowym języku kroackim, tak samo stało się w Bułgarii i na Morawach, gdzie apostołowali św. Cyryl

i Metody. Jak język, tak i obrządki przy mszy świętej były rozmaite. Do IV wieku, to jest do nawrócenia Konstantyna, odprawiano msze święte wszędzie tam, gdzie zbierali się chrześcijanie na modlitwę, a więc w domach, podziemiach, w więzieniach, lasach itp. Za ołtarz służył prosty stół lub groby męczenników. Dopiero papież Sylwester, wybudowawszy z cesarzem Konstantynem pierwszy kościół lateraneński w Rzymie, złożył w nim na pamiątkę stół drewniany, na którym jeszcze święty Piotr odprawiał mszę świętą, i odtąd polecił budować ołtarze i używać w ołtarzach relikwii męczenników. Ale z tego jasno wynika, że odprawianie mszy nie jest przywiązane do miejsca lub jakiegoś obrządku. Wszystkie zatem obrządki przez Kościół co do odprawiania mszy świętej w późniejszych czasach postanowione, czy one tyczą się miejsca, czy szat kapłańskich, czy naczyń, czy modlitw i ceremonii jakichkolwiek, są chwalebne, dobre, pożyteczne i zachowane być powinny, o ile ku podniesieniu nabożeństw i czci Bożej służą. Atoli żaden z tych przepisów „obrzędowych” nie jest tak konieczny i niezbędny, aby w razie uzasadnionej i prawdziwej przyczyny nie mógł być zaniechany lub zmieniony. W artykule *Z dziejów Mszy świętej* pisząca pod inicjałami H. H. (Helena Hempłowa) dała przykłady, jak to na „piersi” św. Lucjana, okrytej krwią i ranami, w więzieniu chrześcijanie złożyli chleb i wino, a on tak leżąc konsekrację odprawiał. W czasie rewolucji francuskiej prześladowani księża odprawiali msze na łódkach na pełnym morzu, parę mil od brzegu, a ołtarz stanowiła beczka nakryta białym obrusem.

Czytelnicy tych wywodów byli nimi przekonani i zbudowani, a świadczyły o tym liczne zawiadomienia drukowane w gazetkach o odprawieniu zamówionych u Stojałowskiego mszy i wynagradzanych stypendiami mszalnymi, które ratowały jego egzystencję jako kapłana i człowieka. Msze te odprawiał w prywatnych domach, na stołach, na których rozkładał ołtarz misyjny. Wówczas to Stojałowski był na drodze do stworzenia nowej sekty „kościół narodowego”.

Mimo to jednak chciał za każdą cenę pogodzić się z władzami kościelnymi. Porozumiał się w tym celu z francuskimi chrześcijańskimi demokratami, a w szczególności użył do badania gruntu w Rzymie ks. Boyreau z Paryża i niejakiego Lorina, „mecenasa chrześcijańskich socjalistów”. W Paryżu zredagował memoriał „wiernopoddańczy” dla biurokracji watykańskiej i tu w drukarni jakichś zakonnic go wydrukował. Z memoriałem tym przyjechał do Rzymu 5 września 1897 roku i złożył go w Kongregacji Św. Inkwizycji. Przyjaciół zaś swych w kraju informował z Rzymu, że kłątwy żadnej nie było. Świadczy o tym np. korespondentka z Rzymu do Jana Fajfra w Kaniowie Dankowskim, u którego ojca Stojałowski ową sławną mszę odprawiał, nadana w Rzymie w dniu 8 września 1897 roku. Treść jej jest następująca: „Kochany Jasiu i wszyscy Kochani Bracia i Przyjaciele! Bóg zapłać za list i pamięć o mnie. Już do gazetki posłałem pierwszy nader ważny dekret Rzymu, orzekający, że 1-mo, papież kłątwy nie wydawał, 2-do, że nikt z was, którzyście gazetki czytali, ze mną obcowali itp., nie był i nie jest wyklęty — a więc, że Was darmo prześladowali! Co do dalszych spraw, to dziś tyle Wam donoszę, że niezadługo mam nadzieję przesłać Wam drugi dekret, że nie było kłątwy (!!) i niebawem wrócić do Was. Daj Boże, abym Was zastał zdrowych — a zwłaszcza Twoją żonę i syna. Pozdrawiam wszystkich, od ojców pozdrawiając posłów naszych. Wasz Stojałowski.” Na przesłuchanie zawezwano Stojałowskiego dopiero po upływie miesiąca. Oryginalny był jego wygląd, zapuścił bowiem brodę, jak to było zwyczajem duchownych cerkwi prawosławnej. Prokurator generalny Św. Inkwizycji, ks. Hiacynt Cormier, zlecił mu podpisać następujące oświadczenie:

„Ja, niżej podpisany, oświadczam zupełnie dobrowolnie, w uczciwości i prostocie, co następuje:

1. Przyjmuję szczerze, z pełną uległością i bez zastrzeżeń wszystkie orzeczenia, potępienia i cenzury wydane co do mej osoby przez Praw-

nych Przełożonych Kościelnych, przede wszystkim przez Św. Kongregację Św. Officium.

2. Potępiam i odwołuję to wszystko, co pisałem, mówiłem i uczyniłem publicznie lub prywatnie niezgodnego z szacunkiem i obrażającego krzywdzącego przeciw Biskupom i innym Przełożonym kościelnym. Potępiam też i odwołuję to wszystko, co mogłem powiedzieć lub napisać niedokładnego lub fałszywego odnośnie do prawd, jakie ma św. Kościół rzymski do nauczania, kierowania, poprawiania swych synów we wszystkich przedmiotach, które wprost lub pośrednio są w styczności z dogmatem chrześcijańskim, z moralnością chrześcijańską i dobrem narodów.

3. Przyjmuję w zupełności i pragnę wiernie na przyszłość stosować się do przepisów dotyczących różnych wydawnictw i ich czytania, a ogłoszonych przez J. S. papieża Leona XIII w Jego konstytucji *Officiorum* z roku 1897.

4. Uczynię, co możliwym, aby naprawić zgorzenie, którego byłem powodem, zwłaszcza odprawiając świętą ofiarę w domach pomimo interdyktu.

Rzym, 5 września 1897 r.

X. Stanisław Stojałowski."

Po podpisaniu tych oświadczeń wspomniany prokurator udzielił Stojałowskiemu absolucji z kłątwy. Odbyło się to w takiej formie. Prokurator przed ołtarzem odmówił *Miserere*, a potem polecił Stojałowskiemu odczytać powyższe 4 punkty i wyznanie wiary, po czym udzielił mu rozgrzeszenia. Ucałowawszy się, odmówili *Te Deum laudamus*, a wróciwszy do celi podpisali protokół tej ceremonii.

Przez trzy dni po tych perypetiach używał sobie Stojałowski w Rzymie „słodkiego farniente” po górach i winnicach, trzy tygodnie zaś czekał na sposobność, aż papież przy okazji udzielania błogosławieństwa wycieczce Szwajcarów i jego pobłogosławił, a nim jeszcze to błogosławieństwo otrzymał, skorzystał z przyjazdu do Rzymu swego wroga, kardynała Puzyny, aby pójść do niego i — jak pisał w jednym z listów — „próbował z nim się rozmówić na rozum i po chrześcijańsku — ale tak jest (Puzyna) ograniczony, że sprawdza się na nim przysłowie: Lepiej z mądrym zgubić niżli z głupim znaleźć.”

Wypoczęty po kłótwach i syt błogosławieństw wrócił z Rzymu do Austrii, aby niebawem zaprowadzić swój klub w parlamencie austriackim na służbę do gnębiiciela swego i prześladowcy ruchu ludowego, hr. Kazimierza Badeniego. Biskup Puzyna mimo to oświadczył, iż póki żyje, nie pozwoli Stojałowskiemu mszy w jego diecezji odprawiać, i tego oświadczenia dotrzymał. Również inni biskupi mimo to nadal traktowali go jak zapowietrzonego. W żadnej z diecezji galicyjskich nie wolno mu było mszy odprawiać ani w ogóle do ołtarza nie mógł być przypuszczony, gdyż żaden biskup nie dał mu na to pozwolenia, czyli tzw. c e l e b r a t.

Kurenda XVIII Konsystorza Biskupiego w Tarnowie, z dnia 21 grudnia 1901 roku, zamieściła takie zarządzenie biskupa Wałęgi:

„Z okazji uchwały powziętej na Kongregacji Dekanatu Bocheńskiego i zapytywania z innych stron diecezji oświadczamy, że ks. Stanisław Stojałowski nie posiada w naszej diecezji celebrat, a zatem do ołtarza nie może być przypuszczonym.”

Podobne rozporządzenie wydał biskup przemyski, Pelczar, do rzędców kościelnych swojej diecezji:

„Doniesiono nam, że ks. Stanisław Stojałowski w dwóch parafiach naszej diecezji, bez naszego pozwolenia i wbrew woli miejscowych duszpasterzy, odważył się poświęcić uroczyście krzyże pamiątkowe i że nadto wystąpienie jego dało powód do pewnego wzburzenia umysłów. Ponieważ tedy ks. Stojałowski wdziera się samowolnie w prawa biskupie i pasterskie, przeto nakazujemy, aby wielebni rządcy kościołów, czy świeccy, czy zakonni, nie dopuszczali ks. Stojałowskiego do ołtarza, jeżeli się nie wykaże osobnym pismem naszym, że mu wolno w tym a tym kościele i w tym a tym dniu odprawiać cichą niszę św. Prawienia kazań w obrębie diecezji zabronił ks. Stojałowskiemu śp. biskup Solecki, a zakazu tego należy i na przyszłość ściśle przestrzegać. Gdyby w parafii wzniesiono krzyż pamiątkowy ku czci Zbawiciela, ma go poświęcić miej-

scowy duszpasterz, na co niniejszym pozwalamy. Jeżeliby w takim wypadku pewna część parafian chciała wezwać ks. Stojałowskiego do poświęcenia krzyża, lub do wypowiedzenia mowy przy tym akcie, powinien rządcą parafii oprzeć się temu stanowczo i donieść o tym bezzwłocznie do ordynariatu.” „Wieniec” i „Pszczółka” w nrze 23 z 7 czerwca 1903 roku w artykule pt. *Pod sąd Boga, Kościoła i uczciwych ludzi* powiadamia, że „dotychczas kłótwy w niektórych diecezjach nie odwołano”. W dniu 27 maja 1903 roku zmarł w Krakowie, w szpitalu św. Łazarza, brat rodzony ks. Stojałowskiego, Mieczysław Stojałowski, sybirak, prowizoryczny nauczyciel ludowy na pensji. Gdy ks. Stojałowski poszedł do biskupa Puzyny z prośbą, by mu pozwolił przy ciele brata odprawić w kościele mszę, Puzyna odmówił mu tego i wydał księżom polecenie, aby Stojałowskiemu nie pozwolili odprawić ostatnich modlitw przy trumnie brata.

„Więcej nie powiem, abym nie powiedział za dużo. Niech sądzi Bóg, Kościół i ktokolwiek jest «człowiekiem». Nie walczę przeciw «władzy» biskupiej — wiem, że ją Bóg ustanowił, ale i to wiem, że ją ustanowił nie na to, aby rozpasy-wała «samowolę i tyraństwo», ale uczyła przykładem, nie słowem, szanowania praw boskich i ludzkich. «Caryzm biskupi» — niechrześcijański — zwalczać będę do śmierci.

Ks. Stanisław Stojałowski.”

Wynika z tego artykułu, że również kardynał Puzyna nie dał Stojałowskiemu celebrat na odprawianie mszy w kościołach diecezji krakowskiej.

Puzyna zmarł 7 września 1911 roku, a ks. Stojałowski wnet po nim, 23 października 1911 roku.

Spór, jaki wiedli za życia, skończyli... na sądzie boskim.

* *
*

Duże wrażenie na ludzie polskim, i to nie tylko w Galicji, zrobiło zachowanie się kardynała Puzyny przy wyborze papieża po śmierci Leona XIII w roku 1903. Powszechna była opinia, że tiara papieska dostanie się kardynałowi Rampolli, który uchodził za przyjaciela Polaków, a nie bardzo sympatyzował z Niemcami i nie pochwałiał germanizacji kościelnej. Na conclave kardynalskim już w pierwszym dniu największą ilość głosów otrzymał Rampolla, ale brak mu było głosów do wymaganej prawem kościelnym 2/3 większości. Wtedy na conclave stała się rzecz niebywała od wieków. Oto kardynał Puzyna, przed przystąpieniem do ściślejszego głosowania, z polecenia rządu austriackiego założył przeciw wyborowi Rampolli sprzeciwy, czyli tzw. v e t o. Zrobiło to w całym świecie olbrzymie wrażenie. Nie przypuszczano, że w wieku XX znajdzie się kardynał, i to Polak, który da się użyć za narzędzie rządu i jego imieniem Czynnienie wchodzi się w kwestię wyboru papieża, która według nauki Kościoła regulowana jest przez natchnienie Ducha Św., a nie interwencje rządów. Przywilej veta z czasów średniowiecza przysługiwał obok Austrii także Hiszpanii i Francji. Chwilowo zanosilo się, że również rządy tych krajów pójdą za przykładem rządu austriackiego i wmszają się w sprawy regulowane przez con-clave. Wyprzedził je jednak kardynał Kopp z Wrocławia, Niemiec, znany z tępienia polskości i z kościelnej germanizacji, wysunął bowiem z polecenia niemieckiego rządu kandydaturę mniej znanego kardynała Sarto. I właśnie Sarto, kandydat cesarza Wilhelma II, protestanta, został wybrany papieżem. Społeczeństwo, dowiedziawszy się o tak nieprzyzwoitym targowisku politycznym z okazji wyboru papieża, zrozumiało, że kardynał Puzyna to zwykle narzędzie rządu austriackiego, które nawet na rozkaz rządu podejmie się samemu Bogu przeszkadzać w wyborze namiestnika boskiego na ziemi. Zgorszenie postępkami Puzyny było tak wielkie, że nowo wybrany papież Sarto, pod imieniem Piusa X, wydał w dniu 6 marca 1909 roku konstytucję kościelną *Vacanti Sede*, która zagraża

klątwą tym kardynałom, którzy by w przyszłości wazyli się przy wyborach papieskich iść w ślady Puzyny i Koppa, jako agenci rządów świeckich.

To wszystko usposobiło lud bardzo krytycznie wobec wyboru Piusa X, bo czyż wybór dokonany w warunkach takich, za jakie w przyszłości groziła klątwa kardynałom, mógł być uważany za wybór ważny, a wybrany za papieża prawowitego?

Z tego potknięcia się Puzyny najbardziej rad był Stojałowski, bo doczekał się, że główny jego prześladowca, Puzyna, również znalazł się pod zabezpieczającym wolność wyboru papieża obstrzałem klątwy kościelnej.

* * *

Walkę z niezależnym polskim ruchem ludowym prowadziło też duchowieństwo w b. zaborze rosyjskim. Ruch ten grupował się około tygodnika „Zaranie”, redagowanego przez Maksymiliana Malinowskiego, stąd też ruch ten nazwany był zaraniarskim. Walkę z tym ruchem prowadzono przy pomocy takich samych „cenzur” kościelnych jak w Galicji. Piętnowano więc z ambon abonentów „Zarania”, przy czym soczyste obelgi sypały się pod adresem zespołu redakcyjnego w osobach Malinowskiego, Kosmowskiej i utalentowanego chłopca-pisarza Nocznickiego, odmawiano chłopom-zaraniarzom prawa uczestniczenia przy obrzędach religijnych, a wreszcie w roku 1911 biskup włocławski, Zdzitowiecki, zarzucił im, iż przychodzą w odzieniu owczym, a wewnątrz są wilkami drapieżnymi, i że „pięknie, wymownie i na pozór przekonywająco prawią o szczytnej nauce Chrystusa, o miłości, braterstwie”, ale „obrzucają błotem oszczerstw instytucje kościelne, kapłanów katolickich, podburzają przeciw nim opinię, a robią to wszystko przebiegle, aby i samą wiarę zabić, wyrwać z serc ludu”. W odpowiedzi na ten list pasterski 29 zaraniarzy z Kaliskiego wystosowało *List otwarty do J. E. ks. biskupa diecezji kujawsko-kaliskiej, ks. St. Zdzitowieckiego*, w którym

wytykają duchowieństwu, że opanowała je pycha, zazdrość, wyzysk i władza rubla. Biskupowi Zdzitowieckiemu sekundował w walce z ruchem ludowym biskup kielecki, Łosiński. Pod cenzurą kościelną tegoż biskupa znalazł się również Mateusz Manterys, były poseł do Dumy i poseł endecki do pierwszego sejmiku polskiego. Nauczni doświadczeniem z Galicji biskupi w Kongresówce do ekskomunikacji względnie interdaktu nie sięgnęli, nie byli bowiem pewni poparcia „ramienia świeckiego”, a po smutnych wypadkach jasnogórskich ekskomunikacja taka łatwo zmienić się mogła w wielkich rozmiarów ludową schizmę. W b. zaborze pruskim kler był i inteligentniejszy, i więcej uspołeczniony niż w innych ziemiach polskich. To, czego zrozumieć nie mógł kler w Galicji czy Kongresówce, znajdowało zrozumienie wśród kleru „spod Prusaka”. Sprężysta pruska administracja wywarła też piętno na stosunkach kościelnych, nie dopuszczając do nadużyć w administracji majątków kościelnych i chroniąc prawa świeckich odnośnie do zarządu kościelnymi sprawami majątkowymi. Porządek pod tym względem przyczyniał się do większego zespolenia kleru ze społeczeństwem. W porównaniu z obskurnymi i fanatycznymi klerykalnymi popychadłami jezuickimi z Galicji agitatorzy i działacze klerykalni z b. zaboru pruskiego byli Europejczykami. A jednak nawet taki działacz klerykalny, jak Wojciech Korfanty, doświadczył na sobie cięgow pastorału biskupiego. Biskup wrocławski zastosował do niego „cenzurę” kościelną ze względów politycznych, licząc, że wśród klerykalnego ludu górnośląskiego zdoła przez to jego popularność osłabić. Gdy więc Korfanty się zenił, odmówił mu kler górnośląski, na rozkaz biskupa wrocławskiego, błogosławieństw kościelnych, tak że musiał on przed pastorałem wrocławskiego satrapy kościelnego schronić się u proboszcza krakowskiego kościoła Mariackiego, który ignorując „cenzurę” sąsiedniego biskupa, ślub Korfantego pobłogosławił. Zignorowali ową „cenzurę” nawet klerykali górnośląscy, dając tym samym dowód, że czasy dzi-

sięjsze nie sprzyjają kościelnym instrumentom z XI—XIII stulecia, służącym do ponizania godności osobistej człowieka.

*

*

Klątwy, kurendy i listy pasterskie dokonały na terenie diecezji tarnowskiej tyle, że wpływy Stojalowskiego były tam nikłe. Ograniczały się prawie tylko do okolicy Puszczy Niepołomickiej, gdzie pustki w głowach ludzkich z łatwością wypełniły się obietnicami wyborczymi Stojalowskiego, że na wypadek wybrania go posłem doprowadzi do rozparcelowania lasów i polan skarbowych między okolicznych chłopów. Gdy jednak po wyborach obietnice z głów wyszumiały, znikł też i wpływ Stojalowskiego. W diecezji tarnowskiej krzewił się ruch ludowy spod znaku „Przyjaciela Ludu”. Biskup Łobos narodziny nowego prądu pospiesznie potępił w kurendzie z roku 1889, przestrzegając przed „Przyjacielem Ludu”, którego zaczęli w tym roku wydawać Wysłouchowie. Z Wysłouchami zaznajomił się — z okazji zjazdu Kółek Rolniczych we Lwowie — delegat Kółka Rolniczego w Gręboszowie, włościanin Jakub Bojko. Bojko od tego czasu stał się najgłośniejszym publicystą „Przyjaciela Ludu”. W roku 1894, gdy na początkujący ruch ludowy zaczęły się ataki, najsilniejsze ze strony kleru, Bojko zamieszcza w „Przyjacielu Ludu”, z dnia 1 lipca 1894 roku, artykuł oświatowy, równocześnie występujący przeciw przypisywaniu sobie przez kler nieomyślności w sprawach wiedzy. Artykuł zatytułowany *Jak prawda była prześladowana?* omawiał potępienie przez Kościół Mikołaja Kopernika za twierdzenie, że słońce stoi, a ziemia się obraca, oraz dra Jennera za odkrycie szczepionki przeciw ospie. Na artykuł ten, wykazujący iż przedstawiciele Kościoła także mogą się mylić, odpowiedział kler wzmożeniem ataków na „Przyjaciela Ludu” i jego czytelników, a także zwrócił baczniejszą uwagę na osobę Bojki. Artykuły Bojki pisane doskonałą polszczyzną, dalekie od stylu „łopaciarskiego”, były najchętniej przez chło-

pów czytowane, rozślawiły one imię Bojki i zadecydowały o wpływach politycznych ludowców w diecezji tarnowskiej. Toteż w roku 1897 zaniepokojony biskup tarnowski, Łobos, wydał zarządzenie, że czytelnikom „Przyjaciela Ludu” nie wolno dawać rozgrzeszenia, dopokąd nie porzucą prenumerowania i czytania tej gazety. W roku zaś 1900, gdy rządy diecezji objął biskup Wałęga, syn chłopa z Moszczanicy, zakaz ten zaostroił i rozciągnął go także na gazety wydawane przez ks. Stojałowskiego.

W Gręboszowie — skąd pochodził Bojko — otrzymał probostwo w roku 1893 ks. Kahl, Niemiec z pochodzenia. Wszystkie zakazy biskupie wykonywał on z całą bezwzględnością żandarma kościelnego. Krucjata księży i „mniejsze klątwy” godziły w pierwszym rzędzie w Bojkę, już wówczas posła do Rady Państwa i Sejmu Krajowego. Nawet dla założonego przez księży „Kuriera Dąbrowskiego” wyszukano w parafii gręboszowskiej redaktora odpowiedzialnego, czyli tzw. redaktora od odsiadki, w osobie Bartłomieja Wcisły, i z roku na rok uprawiano coraz większy „jazgot” polityczny. Ks. Kahlowi przydarzyła się niemiła historia. Urodziła mu się córeczka. Przyznać się do niej nie wypadało. Było o tym wiele gadania w parafii, a że wydarzeniami w Gręboszowie, ze względu na słynnego już wówczas Bojkę, interesował się cały kraj, więc też przygody polityczne i erotyczne ks. Kahla znane były nawet Wyspiańskiemu i posłużyły mu częściowo do napisania i wydrukowania w krakowskim „Życiu” w roku 1899 tragedii pt. *Klątwa*. Rzecz ta — jak zaznaczył — dzieje się we wsi Gręboszowie pod Tarnowem. Początkowo zakazano teatrom wystawiania tej sztuki, gdy wreszcie pozwolenie wydano, aktor — występujący w roli plebana gręboszowskiego — nie mógł się pojawić na scenie w księżej sutannie, lecz w niemieckim tuzurku. Kler diecezji tarnowskiej, skompromitowany przez Wyspiańskiego, wywierał zemstę na Bojce, jako domniemanym informatorze Wyspiańskiego. Dla ratowania sławy ks. Kahla, ks. Wilczkiewicz, poseł na Sejm i dziekan z Olesna,

wykorzystywał naiwność matki dziecięcia, każąc jej przysięgać na plebanii wobec ukrytych za drzwami świadków, że skoro utrzymywała stosunki nie tylko z księdzem, ale i z c.k. żandarmem, to dziecko ma z żandarmem. Matka przysięgę taką złożyła, jakkolwiek przysięga ta — zapewne przez spowiedników doradzona — nie mogła mieć żadnego prawnego znaczenia i skutku. Ojcostwo i obowiązek alimentacyjny ks. Kahla ustalone zostały w drodze sądowej w myśl obowiązujących przepisów postępowania sądowego i prawa cywilnego, które sędziemu nakazywały zapytać matkę pod przysięgą jedynie o fakt i okres czasu, w którym utrzymywała stosunki z księdzem, a nie o to, „z kim miała dziecko”, bo tę sprawę rozstrzygała sama ustawa. Ks. Wilczkiewicz posunął się nawet tak daleko, że chciał, by mu matka dziecka podpisała deklarację, że żandarm jest ojcem jej dziecka. Ale odmówiła mu tego podpisu. W taki podstępny sposób dziekan, pełniąc konfraterskie przysługi dla ks. Kahla, usiłował pozbawić alimentów dziecko księży oraz stworzyć pozory anielskiej „czystości” i „niewinności” ks. Kahla. Dziekańskie praktyki z takimi przysięgami księży gospodyń, prywatnie na plebanii składanymi, uprawiał nie tylko ks. Wilczkiewicz. Zdarzały się one nieomal w każdym dekanacie, w którym rodziły się księży dzieci. „Tragedia” ks. Kahla w Gręboszowie skończyła się sądowym stwierdzeniem jego ojcostwa, takiej zaś fantastycznej tragedii, jaką napisał Wyspiański, w Gręboszowie nie było. Postać proboszcza z *Klątwy* Wyspiańskiego stoi jednak wyżej pod względem moralnym niż ówczesny proboszcz gręboszowski. Być może, że Bojko opowiedział Wyspiańskiemu legendę ludową o księżej gospodyni, która mając dwoje dzieci z plebanem, do tego plebana poszła do spowiedzi. Na pytanie, czy może być zbawiona, dowiedziała się od ojca tych dzieci, że tylko wtedy duszę swą zbawi, jeśli siebie i dzieci w piecu spali. Po spowiedzi tak też zrobiła. Gdy pleban wrócił do plebanii, dowiedział się o tragicznym zdarzeniu, którego był moralnym sprawcą. Zamiast matki i dwojga dzieci ujrzał trzy synogarlice, jak upor-

czywie krążyły nad plebanią. Legenda ta, związana z faktem księzego ojcostwa w Gręboszowie, posłużyła Wyspiańskiemu do napisania tragedii *Kłątwa*.

Walka z klerem diecezji tarnowskiej rozpałała się od chwili, gdy na tarnowskiej stolicy biskupiej zasiadł ks. Leon Wałęga. Poprzednik jego, biskup Łobos, prowadził walkę z ludowcami przez dziesięć lat. Nie szczędził w niej ks. Stojałowskiego, spod którego wpływów wydarł nowosądecki Związek Chłopski, kierowany przez potulnych wobec kleru Potoczków. Pierwsze spotkanie Bojki z Wałęgą odbyło się w Sejmie. Klub posłów ludowych wydelegował Bojkę i dra Berna dzikowskiego, aby jego imieniem złożyli nowemu biskupowi, chłopskiemu synowi, uszanowanie. Gdy delegaci zbliżyli się ku Wałędze, ten wstając zawadził łańcuchem biskupim o róg stołu, tak że łańcuch rozerwał się. Bojko półzartem zauważył: „Coś to niedobry znak, że gdy ludowcy idą z powitaniem, to się ks. biskupowi rwie łańcuch!” Na prośbę delegacji o złagodzenie walki w diecezji, zaczętej przez biskupa Łobosa, Wałęga dał wymijającą odpowiedź, iż niczego obiecywać nie może, dopóki po objeździe diecezji nie rozpatrzy się. Niebawem urządził informacyjny objazd, zawitał też do Gręboszowa i wezwał Bojkę do siebie. Rozmowę z nim zaczął od zapytania, czy wierzy w Boga i w to, co Kościół naucza, a potem postawił mu żądanie odstąpienia od stronnictwa ludowego, czyniąc od tego zależnym dalsze swoje postępowanie. Proponował Bojce, aby przystąpił do Związku Chłopskiego Potoczków albo założył nową partię. Gdy zaś Bojko oznajmił, że partia Potoczka ledwo dycha, a partia ludowców idzie odważniej, więcej żąda dla ludu i więcej ludowi daje, biskup skwitował to słowami: „A to i diabeł więcej by panu mógł dać i obiecać!” Oburzony Bojko odpalił mu: „Tu ksiądz jednego penitenta za gazety posyłał na rozgrzeszenie do diabła i ks. biskup mnie też to robi? Wiem, co dla mnie w polityce dobre, a co złe, ja już stary i mam swój rozum!” Na tym się rozstali.

W dniu 24 sierpnia 1902 roku (znowu w dzień św. Bartło-

mieja) odbył Wałęga wizytację parafii gręboszowskiej. W poprzednio wizytowanych parafiach, otfinowskiej i bolesławskiej, były już nieprzyjazne zapowiedzi biskupa odnośnie Gręboszowa. W Gręboszowie stanęła przed Wałęgą delegacja parafian z 21 osób, z Bojką na czele, celem przedłożenia zażaleń. Były one różnego rodzaju. Proszono, by ubogim dzwoniło na pogrzeb nie w jeden dzwon, ale przynajmniej w dwa mniejsze. Wytykano, że proboszcz tylko swoim popiecznikom dzieci chrzci w niedzielę. Żądano, aby ten zwyczaj stosowano do wszystkich. Żądano równomiernego pociągania wszystkich płatników podatków do konkurencji na budowę i naprawę budynków parafialnych oraz aby nie przerzucano tego ciężaru na składkowanie samego ludu. Żalono się, że kto w kościele kłęczy na jednym kolanie, jest przez plebana kopany i szarpany, jak gdyby w karczmie. Chłopi z Borusowej żalili się, że ks. Kahl nie chce w ich kaplicy odprawiać mszy, bo 2 reńskie uważa za zbyt małe wynagrodzenie. Był i taki parafianin, który oskarżał księdza, że mu żonę bałamuci, inny zaś żalił się, że mu córkę bez jego wiedzy na swój koszt gdzieś za granicę wyprawił. Wójtowie żądali, by proboszcz przedłożył rachunki z malowania kościoła.

Wysłuchał tego wszystkiego Wałęga i cierpko oznajmił, że proboszczowi powie to, co będzie uważał za stosowne, i że rachunki zostaną przedłożone. Ale na całe życie sobie zapamiętał ów nieoczekiwany u chłopów brak pokory i uniżoności wobec „namiestnika Boskiego” na ziemi. Przebieg wizytacji gręboszowskiej wywołał ponure refleksje biskupie. Jeden tylko „gorszyciel” w parafii doprowadził do wywrotowych następstw „zgorzenia”. A co będzie, jeśli się znajdą inni podobni i zechcą pójść w jego ślady? Co będzie, jeśli chłopi przestaną występować w obliczu biskupa jako potulne, pokorne baranki, ale ośmielą się kolejno po parafiach stawiać biskupowi żądania, by poskromił brutalne księżę wybryki w kościele, by księża świecili przykładem moralnego zachowania się, by obrzędów kościelnych nie traktowali jako przedsiębio-

rstwa zarobkowego, by wyliczali się parafianom z prowentów i wydatków kościelnych, dla których dotychczas zwyczajną „kasę” stanowiła kieszeń proboszczowskiej rewerendy. Z niemiłym zdziwieniem słuchał tego wszystkiego Wałęga, chłopski syn, i w pamięci głęboko zachował słowa „gorszyciela”: „wiem, co dobre i złe, mam na to swój rozum”. Zrozumiał, że jeżeli te słowa za nim powtarzać będzie rzesza chłopska, skończy się polityczna wartość systemu klerykalnego, opartego na niewolnictwie myśli i ducha. On, syn chłopski, postanowił więc zapobiec temu nieszczęściu i sięgnął do arsenału środków dyscypliny kościelnej, tym razem wybierając spośród nich łagodniejszą formę listu biskupiego do podwładnego duchowieństwa, formę „kurendy”, zawierającej wskazania, o co się troszczyć powinno. W „kurendzie” zaatakowany został ruch ludowy w diecezji tarnowskiej i osobiście Bojko, jako jego przywódca, za to, że śmiał biskupowi powiedzieć: „wiem, co dobre i złe, mam na to swój «rozum»”. Proboszcz gręboszowski triumfował. Ową „mniejszą klątwę” biskupią odczytał z ambony w dniu 8 grudnia 1903 roku. W tym samym czasie czytano ją we wszystkich kościołach diecezji tarnowskiej.

•

„Klątwa” Wałęgi wyszła politycznemu ruchowi ludowemu na wielki pożytek. Odpowiedział na nią Bojko drukowaną w „Przyjacielu Ludu” publikacją, zatytułowaną *Dwie dusze*. To swego rodzaju arcydzieło literackie rozeszło się w książeczkowym wydaniu w wielkich ilościach po całej Polsce i wśród Polonii zagranicznej. „Przyjacielu Ludu” powiększył nakład o przeszło 2000 egzemplarzy dla nowo zgłaszających się prenumeratorów. Jaki zaś był osąd ludu o tym niefortunnym wystąpieniu Wałęgi, świadczą głosy napływające tydzień po tygodniu do redakcji ze wsi, już nie tylko prozą, ale i wierszem pisane.

Strażnik kolejowy, Walenty Wołoszczak spod Sanoka, takimi strofami pokwitował Wałędze odebranie wieści o jego „kurendzie”, w wierszu o trzech chłopskich szkodnikach: Żydach, panach i księżach.

TRZECI SZKODNIK:

Ksiądz biskup Wałęga Sam
 chętnie się wprzęga
 Do jarzma pańskiego z kurendą, By w
 jego diecezji Nie było herezji,
 Gdy możni lud nadal gnieść będą. Za taką
 kurendę Biskupa Wałęgę
 Uścisną serdecznie stańczycy, Lud w
 chłopskiej siermiędze Zaś księdzu Wałędze
 Swych uwag w tych słowach użyczy: Ksiądz
 możnym oddany, W salonach lubiany.
 Duszpasterz z magnackim biczykiem, Co
 „owce” gnać skory Do pańskiej obory,
 Ksiądz taki jest jawnym stańczykiem.

Strofy te, podobnie jak i *Dwie dusze* Bojki, zostały skonfiskowane, a sąd krajowy na wniosek c.k. prokuratora państwa, po myśli § 493 p.k., orzekł, że zamieszczone w nrze 10 czasopisma „Przyjacielu Ludu” z dnia 6 marca 1904 roku a) artykuły względnie wstęp artykułów pod tytułem *Dwie dusze*, b) *Trzeci szkodnik* — zawierają znamiona występku z § 302 i 488 u.k. i art. V ustawy z 17 XII 1867 nr 8 dz. p.p., że zakazuje się rozszerzania tych artykułów, zatwierdza się zarządzoną przez c.k. prokuraturę państwa konfiskatę pomienionego numeru, a cały nakład tegoż ma być zniszczonym, albowiem w obu tych artykułach autor, przez przytoczenie faktów i twierdzeń widocznie nieprawdziwych i przekreślonych,

stara się czytelników pobudzić do niechęci i nienawiści przeciw stanowi duchownemu w ogólności i równocześnie obwinia księdza biskupa z Tarnowa odnośnie do jego funkcji zawodowych o czyny niesprawiedliwe i nieuczciwe, które są w stanie poniżyć go w opinii publicznej.

Dokument ten, wraz ze skonfiskowanym wierszem Wołoszczyka i artykułem Bojki, stał się przedmiotem interpelacji posła Olszewskiego w Radzie Państwa. Biskup i stańczycy nie bardzo byli zadowoleni z brzmienia orzeczeń sądowych. Z orzeczeń bowiem wynikało, że nazwanie Wałęgi „jawnym stańczykiem” potraktował prokurator i sąd jako obwinienie o rzecz nieuczciwą, poniżającą biskupa w opinii publicznej, jakkolwiek ten sam prokurator i sąd czytanie kurendy biskupiej, wydanej w interesie politycznym „nieuczciwych” stańczyków, traktował jako czynność zawodową biskupa, przeciw której nie wolno wywoływać niechęci czytelników „Przyjaciela Ludu”.

Fatalne potknięcie się biskupa Wałęgi spowodowało obniżenie jego wartości politycznej nawet dla wrogów ruchu ludowego. Dawne przysłowie: „wyszedł, jak Zabłocki na mydle”, zastąpiono nowym: „wyszedł, jak Wałęga na kłątwie”. Nie uściśnęli go stańczycy za kłątwe!

Jedynie brutalstwo księdza Kahla, mające prawdopodobnie źródło w rozstroju nerwowym, posuwało się tak daleko, że w jakiś czas po wizytacji biskupiej w czasie pogrzebu na cmentarzu uderzył, kopnął i zepchnął do rowu żonę Bojki, Julię, gdy ujęła się za płaczącą nad trumną swej matki gromadką dzieci, które ks. Kahl w sposób nieprzyzwoity beszał.

* *

Porachunki z Bojką usiłował kler załatwić z okazji uroczystości odsłonięcia pomnika, ufundowanego w Tarnobrzegu przez lud polski Bartoszowi Głowackiemu. Dwadzieścia tysięcy ludu przybyło dnia 19 sierpnia 1904 roku do Tarno-

brzega, aby uczcić chłopą — bohatera spod Raclawic. Przybyli też panowie i księża, ale przy odsłonięciu pomnika nie byli. Przybyli, ale w innym celu, po to, by przy sposobności odsłonięcia pomnika nieżyjącego chłopą spod Raclawic złamać i upokorzyć żywego chłopą, chłopą-chorążego dzierżącego chlubnie sztandar ruchu ludowego. W tym celu przybył do Dzikowa, siedziby Tarnowskich, nawet sam biskup Pelczar z Przemyśla. Komitet organizujący uroczystość wyznaczył na mówcę, imieniem ludu polskiego, Jakuba Bojkę. Biskup Pelczar zaprosił do siebie Bojkę i oznajmił mu, że biskup Wałęga żąda przeprosin za obrazę w *Dwóch duszach* i że arcybiskup Bilczewski sprawę tę porучzył jemu do załatwienia. Po dłuższej rozmowie zażądał biskup Pelczar, aby Bojko podpisał następujące oświadczenie:

„Niniejszym oświadczam, że nie miałem zamiaru obrazić mojego Arcybiskupa i duchowieństwa, a jeżeli kiedy wyrwało mi się słowo ubliżające, to je obecnie odwołuję. Oświadczam dalej, że chcę pozostać do śmierci dobrym synem Kościoła i wpływać na lud w tym kierunku, aby trzymał się mocno świętej wiary katolickiej.”

Z żądaniem tym związał biskup Pelczar zagrożenie, że jeżeli poseł Bojko tego nie podpisze, to kler przy pomniku Bartosza Głowackiego zaprotestuje przeciw przemowie Bojki i wezwie lud, aby nie słuchał „bezbożyn”. Bojko nie podpisał oświadczenia, ale wziął je celem przedstawienia przybyłym na uroczystość posłom ludowym i członkom rady naczelnej Stronnictwa Ludowego dla narady.

Po wysłuchaniu sprawozdania wszyscy oświadczyli, że pierwszy Wałęga zelżył ludowców, a *Dwie dusze* są tylko odpowiedzią, i to grzeczną oraz uczciwą w porównaniu z tonem kurendy, toteż nie ma za co przeproszać, nie ma też Bojko nic do odwoływania, bo nigdy się mu nic takiego ubliżającego nie wyrwało. Żądanie od Bojki złożenia wyznania wiary jest rzuceniem podejrzenia, jakoby Bojko był bez wiary. Raczej

Wałęga jest krzywdzicielem ruchu ludowego i nie ma prawa żądać, by ludowcy przed nim na kolanach kapitulowali, i to jeszcze pod pomnikiem Bartosza Głowackiego, który — łamiąc pęta politycznej niewoli — chłopom dał dobry przykład postępowania.

Biskup, dowiedziawszy się, że szantaż na chłopie mu się nie powiódł, wraz z klerem na uroczystości się nie pokazał, a za przykładem kleru zbiegli z Tarnobrzega panowie i magnaci. Wprawdzie na Bojkę i Stronnictwo Ludowe posypały się z gazet stańczykowskich i klerykalnych gromy, ale rozentuzjasmowana przemówieniem Bojki rzesza ludowa cieszyła się niezmiernie, że przestała być igraszką w ręku dygnitarzy świeckich i kościelnych.

* *
* *

Mimo tych doświadczeń galicyjski episkopat upornie nadużywał wiary do celów politycznych. W roku 1913 już nie w formie klątwy lub interdyktu, ale w formie listu pasterskiego: wmieszali się galicyjscy biskupi do polityki, gdy wskutek porozumienia wszystkich stronniactw w Galicji doszedł do skutku kompromis co do rozszerzenia sejmowego prawa wyborczego dla chłopów i robotników. Biskupi galicyjscy łacińskiego i ormiańskiego obrządku, Bilczewski, Pelczar, Sapieha, Teodorowicz i Wałęga, porozumienie to rozbili, wydając list pasterski, w którym wymyślali na „niemoralność” polityczną, polegającą na wspieraniu „radykalizmu”. Bali się oni, że dzięki nowemu prawu wyborczemu wejdą do Sejmu w większej liczbie ludowcy i socjaliści. Przy tej sposobności załatwił arcybiskup Teodorowicz porachunek kleru z namiestnikiem Bobrzyńskim, który jako profesor uniwersytetu i badacz przeszłości narodu polskiego odnosił się krytycznie do roli kleru w Polsce. Skutkiem listu pasterskiego Bobrzyński z urzędu namiestnika ustąpił, a stańczycy wycofali się z obowiązku dotrzymania ugody w sprawie reformy wyborczej. Choć w ro-

ku 1914 Sejm zmienił prawo wyborcze, wybuch wojny światowej uniemożliwił wybory. Austria skończyła, a z nią skończyło się klerykalno-stańczykowskie panowanie w Galicji.

Rok 1913 stanowi punkt zwrotny w historii ruchu ludowego w Małopolsce. Rozłam w Polskim Stronnictwie Ludowym wprowadził na arenę polityczną nowy czynnik polityczny, stronnictwo „Piasta”. Stronnictwo spotkało się z niechęcią, a nawet nieprzyjaźnią jednego biskupa tarnowskiego — Wałęgi. Inni biskupi ustosunkowali się do niego życzliwie. Młode stronnictwo pragnęło uniknąć rozprawy z klerykałami i dlatego czyniło różne zabiegi o pokój na odcinku tarnowskiej diecezji, na którym forsował biskup Wałęga konkurencyjną partię klerykalną. Rolę pośrednika między stronniactwem „Piasta” a biskupem Wałęgą pragnął odegrać poseł hr. Mikołaj Rey, jeden z owych „czerwonych hrabiów”, którzy, po kompromisie politycznym Stapińskiego z krakowskimi konserwatystami w roku 1908, weszli do PSL pod hasłem: „wielcy i mali rolnicy łączcie się!”, i byli w nim promotorami „białej”, klerykalno-konserwatywnej polityki.

Poseł Rey jest autorem broszury pt. *Założenie Piasta*, w której poświęcił on sporo miejsca omówieniu zatargu stronniactwa „Piasta” z biskupem Wałęgą. „«Piast» — pisze hr. Rey — broni się jak najogólniej przeciw zarzutowi braku katolicyzmu, a na pierwszym miejscu w odezwie swej wychowanie religijne zamieścił. Próbowano porozumienia z księdzem biskupem w Tarnowie przez hrabiego Łubieńskiego i prezydenta Kruczkiewicza dwukrotnie. Jednak ksiądz biskup przez swojego kapelana, księdza Lubelskiego, żądał, prócz ustnych przeprosin, pisemnego w »Piaście« wyrzeczenia się całej przeszłości politycznej i uniżonego hołdu, tak, jakby to było w czasach Grzegorza VII, gdy cesarz Henryk IV we włosienicy, ze sznurem u szyi poszedł do Kanossy. Nawet do osobistej rozmowy ksiądz biskup nie dopuścił byłego ministra Długosza i hrabiego Reya, zresztą oddanego sobie diecezjanina, który całym sercem chciał zbliżyć «Piasta» do księdza biskupa. Sta-

nowisko piastowców nie znalazło wyrozumienia u księdza Wałęgi." W dalszym ciągu swych wywodów hr. Rey tłumaczy, iż żądania biskupa stawiane stronnictwu „Piasta” dlatego nie mogły być przez przywódców nowego stronnictwa przyjęte, „iż zerwawszy ze Stapińskim nie mogli od razu zmienić polityki, do której masy ludowe były przyzwyczajone, bez narażenia się na podejrzenia i oszczerstwa, których sam Stapiński i jego prasa i tak nie żałowały piastowcom". Okazało się też, że nawet pośrednictwo arcybiskupa Teodorowicza i namiestnika Korytowskiego nie zmieniło stosunku biskupa do piastowców, wobec czego hr. Rey proponował, by odnieść się do papieża o wpłynięcie na tarnowskie duchowieństwo, by zaniechało walki z „Piastem”. Prasa endecka wytłumaczyła tę propozycję jako dążenie do usunięcia biskupa Wałęgi z Tarnowa. Wówczas to hr. Rey, ów biskupowi „oddany diecezjanin” przeraził się skutków swej roboty. Biskup Wałęga rozsierdził się na „diecezjanina”, któremu — jak to on sam pisze we wspomnianej broszurze — „w takich okolicznościach nie pozostało nic innego, jak tylko z odpowiednim wyjaśnieniem oddać swemu biskupowi mandat poselski do dyspozycji”. Hr. Rey liczył widocznie, że ten piękny gest ułagodzi biskupa, a tymczasem feudał kościelny udał Greka, zamilkł i postawił hr. Reya w kłopotliwej sytuacji... popelnienia samobójstwa politycznego albo ośmieszenia się, o ile zapowiedzi złożenia mandatu nie dotrzyma. „Gdy biskup nie dał żadnej odpowiedzi, hr. Rey mandat złożył, a sprawa stała się głośna.” Jednakże — pisze pocieszając się hr. Rey — charakter walki z „Piastem” złagodniał i na jakiś czas ataki zostały umiarkowane, zatem ofiara Reya nie poszła na marne. Łudził się hr. Rey, twierdząc, że to dzięki jego ofierze walka z klerem tarnowskim złagodniała i ataki zostały umiarkowane. Wszelkie walki polityczne ustały, gdyż w roku 1914 zagrzały armaty, a diecezja biskupa Wałęgi stała się terenem wojny państw centralnych z Rosją. Biskup Wałęga z polityki wrogiej piastowcom nie zrezygnował i po wojnie światowej wprowadził pod wodzą posła Mata-

kiewiczza swoją partię do pierwszego sejmu niepodległej Polski. „Ofiara” hr. Reya poszła zatem na marne. Ten oryginalny poseł samochcąc stał się trupem politycznym, otrzymawszy bowiem w roku 1908 mandat poselski z rąk chłopskich, „oddał go do dyspozycji swemu biskupowi”, biskup zaś podziękował mu za tę ofiarę... pokazaniem pleców.

Klątwa na Stojałowskiego, list pasterski w sprawie sejmowej ordynacji wyborczej i taktyka polityczna biskupa Wałęgi zamknęły bogaty rejestr kar kościelnych, użytych przez hierarchię kościelną w dawnej Polsce i w czasach niewoli. W czasach piastowskich klątwy służyły Kościołowi do osłabiania władzy książąt i królów na korzyść możnowładztwa świeckiego i duchownego oraz do wymuszania płacenia podatków papieskich, głównie świętopietrza. Gdy magnaci i zamożna szlachta przeistoczyli państwo na Rzeczpospolitą szlachecką, klątwy służyły Kościołowi do walki z mądrzejszą częścią szlachty, która krytycznie odnosiła się do działalności politycznej kleru, która domagała się naprawy stosunków kościelnych i która odmawiała świadczeń na rzecz kleru. Gdy w wieku XIX jako nowy czynnik polityczny wystąpili na widownię chłopci, Kościół również i przeciw nim posłużył się klątwami — w celu zgniecenia politycznego i społecznego ruchu ludowego, poparcia szlacheccy i ratowania swoich przywilejów.

Jednak nie były to jeszcze ostatnie mroki średniowiecza, przysyłające schyłek dziewiętnastego i narodziny dwudziestego stulecia. W Polsce odrodzonej klątwa, ten upiór średniowiecza, jeszcze pokutuje!

Tumulty

Nienawiść tłumów kieruje się przeciw zborom — Rewolta wyznaniowa w Krakowie w roku 1574 — Profanacja cmentarza ewangelickiego — Król Batory tworzy sąd porządkowy na „tumultantów” — Palenie książek i napady na drukarnie w Wilnie — Atak na zbory w roku 1587 w Krakowie — Zniszczenie zborów ewangelickiego i ariańskiego — Bezkarność napastników — Napady na protestantów w Poznaniu — Konfederacja wileńska — Ks. Skarga udaremnia przyjęcie prawa przeciw tumultom — Rokosz Zebrzydowskiego — Ponowne tumulty w Krakowie, Aleksandrowicach, Łuczanowicach, Poznaniu i Lublinie — Prawo „o zatrzymaniu pokoju pospolitego” — Król Władysław IV energicznie wykonuje to prawo — Napad na Chorowice i ścięcie przestępców przed krakowskim ratuszem — Tumulty wyznaniowe rodzą pospolite rabunkowe napady — Likwidacja reformacji kościelnej przy pomocy tumultów — Tumult na sejmie wywołała sprawa o krzywdę Bogu wyrządzoną przez Radziwiłła — Pogromy żydowskie — Kaznodzieja Budek doprowadza do przeistoczenia żydowskiej bóżnicy na kościół św. Anny w Krakowie i do pogromu Żydów w Wiślicy — Żydzi i jezuici — Świętobliwa Elżbieta Gostomska — „Eksces z Żydami” w Ponikwi — Nawracanie innowierców w XVIII wieku przy zastosowaniu pogróżek i gwałtów — Akt tolerancji i równouprawnienie wyznań z 1768 roku — „Powinszowanie królowi” na rok 1769 — Tumult i porwanie króla — Wyroki na „tumultantów”

Klątwy i interdykty były ulegalizowanym podburzaniem tłumów przeciw niewygodnym dla hierarchii kościelnej jed-

nostkom i uświęconym wymuszaniem, za które jednak ktoś wyraźną odpowiedzialność ponosił. Sprowadzeni do Polski jezuici, systemem wychowania i nauczania w szkołach, wykorzystywaniem ambony i konfesjonału, wywoływali wśród ludności katolickiej taką nienawiść, że tłumy pijane fanatyzmem religijnym, pogardą i nienawiścią do innych wyznań dopuszczały się na osobach innowierców oraz na ich mieniu prywatnym i wyznaniowym pospolitych gwałtów. Jednak moralny sprawca takich gwałtów prawie nigdy nie był uchwytany, zręczność bowiem, z jaką posługiwał się Pismem Świętym, powagą ojców Kościoła i władzy kościelnej, a przy tym powolność władz i sądów, o ile miały do czynienia z księdzem— pozwalały mu uniknąć tej odpowiedzialności.

Nienawiść tłumów zwracała się głównie przeciw zborom, czyli kościelnym budynkom protestantów. Podburzone naukami zakonów i kierowane przez akademików sfanatyzowane „pospółstwo” w dniu 10 października 1574 roku napadło na zbor kalwiński w stolicy państwa, w Krakowie. Sposobność do napadu dał obrzęd ślubu, odbywający się w zborze. Gdy „minister”, czyli duchowny protestancki, wypowiadał formułę obrzędową: „Tak mi Panie Boże dopomóż”, jakiś katolicki młodzieniec wrzasnął: „A czemu Pannę Marię i wszystkie święte opuszczacie?” Otrzymał za to policzek od jakiegoś protestanta. Wybiegłszy ze zboru sprowadził z ulicy „niemało chłopiąt, ultajów, mendików, gnojników i innego motłochu”, którzy koło drzwi zrobili zgiełk, wybili okna. Zgiełk jeszcze się zwiększył, gdy z różnych burs zbiegły się „żaki”, czyli uczniowie. Przez trzy dni atakowano zbor. Wyłamano drzwi, podziurawiono ściany, zniszczono ruchomości, powyrzucano na ulicę książki, następnie zaniesiono je na rynek i spalono, śpiewając hymn *Te Deum laudamus*. W czasie napadu tłum zrabował 50 tysięcy dukatów, które złożyli tam na przechowanie ewangeliccy ziemianie. Tłum, zakosztowawszy zakazanego owocu, nie zważał na władzę. Podstarościego wraz ze służbą bezpieczeństwa pobito kamieniami tak, że uciekł do ratusza. Załoga z zam-

ku wawelskiego nie mogła zejść na miasto z obawy, aby tłum tymczasem nie napadł na zamek. Były to czasy bezkrólewia. Napad ten przeszedł oczekiwania mistrzów w podburzaniu i nastawianiu tłumów. Kardynał Hozjusz ostentacyjnie pochwalał „tumultantów”, jako godnych pamięci wiekuiestej, których sławę z powodu zniszczenia szatańskiej synagogi cały Kościół sławić będzie. Mniej zaciekle biskup krakowski i nuncjusz Lauro byli jednak zakłopotani tym dziełem strasznego zniszczenia. Wojewoda krakowski, Piotr Zborowski, przywrócił w Krakowie porządek. Po urządzeniu oblawy na „tumultantów” pięciu uczniów rzemiosła murarskiego i ciesielskiego z wyroku sądowego pod ratuszem ścieto. Że ten napad był na rękę hierarchii kościelnej świadczy najlepiej ta okoliczność, iż powtarzał się on aż przez trzy dni, a mimo to przy „tumultantach” nie pojawił się żaden ksiądz katolicki, aby wyperswadować im niestosowność takiego postępowania i wzburzone namiętności uspokoić.

Fanatyzm jednak nie ustępuje przed grozą kary śmierci. Na drugi rok zebrały się 16 czerwca tłumy, a nie mogąc zburzyć zboru, gdyż pilnowała go straż zamkowa, poszły na cmentarz ewangelicki, gdzie rozkopywały groby, wydobywając z nich ciała „kacerzy” na profanację. Zdziczały tłum znieważył wówczas zwłoki wojewody Myszkowskiego, stawiając je do góry nogami.

W latach 1577 i 1578 krakowskie tłumy „pobożne” stawały się coraz więcej napastliwe: to napadały w domach ewangelików, to na ulicach znieważały ich duchownych, to znów napadały na pogrzeby ewangelickie, jak to np. uczynili uczniowie szkoły WW. Świętych, którzy z trumny wydobyli zwłoki ewangeliczki, obnażyli je i włócząc po ulicach, wrzucili je do Wisły. Żaden urząd nie zdobył się na odwagę przeszkodzenia temu dzikiemu wybrykowi i ukarania winnych. Sytuację pogarszała ta okoliczność, iż na terenie Krakowa urzędowało aż pięć sądów: biskupi, wojewódzki, miejski, uniwersytecki i sejmowy, toteż wymiar sprawiedliwości nie mógł ruszyć z miej-

sca, gdyż wpieryw trzeba było ustalić właściwość sądu, co powodowało przysłowiową wędrówkę przestępców i ich spraw „od Annasza do Kajfasza”. Najniebezpieczniejsze zaś dla porządku było prawo, iż ksiądz czy kleryk podlegał sądowi kościelnemu, co uniemożliwiało karanie faktycznych i moralnych sprawców tumultów, stale przez sądy kościelne ochraniających. Jednak król Stefan Batory zdecydował się tępić wybryki zdziczałego tłumy przy pomocy — jak byśmy to dziś określili — stanu wyjątkowego. Wydał on dla stolicy państwa specjalną porządkową ordynację, ustanowił wspólny sąd porządkowy, składający się ze wszystkich rodzajów sądów urzędujących w Krakowie, i zagroził karą śmierci za napady na zabudowania. Zapowiedział bezwzględne użycie broni oraz uregulował policyjny nadzór nad tymi wszystkimi elementami, które dopuszczały się zaburzeń. A więc studentom zakazano nosić broń, wyznaczono im, gdzie mają mieszkać, żakom zabroniono włóczyć się po godzinach policyjnych, a żebraków i włóczęgów, tę obfitą klientelę klasztorów krakowskich, zmniejszono, wypędzając ich z miasta.

Środki te poskutkowały, stał bowiem za nimi uczciwie obowiązki swe pojmujący rząd królewski.

Podobne porządki zaprowadził też król Batory w Wilnie, gdy w roku 1581 do obozu pod Pskowem doszła go wiadomość o skutkach nauk i działalności tamtejszego biskupa, Jerzego Radziwiłła. Urządzał on publiczne palenie książek napisanych przez protestantów, a uczniowie jezuitów napadali na pogrzeby kalwińskie, szydząc z nich i bijąc kamieniami „ministrów” kalwińskich. Również tak często stosowane napady na drukarnie miały swój pierwowzór w Wilnie, gdzie podburzony przez biskupa tłum wpadł do ewangelickiej drukarni, zniszczył jej urządzenie, a czcionki pokradli przekupieni pracownicy drukarscy.

Po śmierci Stefana Batorego odżył jednak fanatyzm na nowo. W czasie bezkrólewia w roku 1587, w święto Wniebowstąpienia, kończono w kościele pojezuickim w Krakowie

40-godzinne nabożeństwo. Istniał zwyczaj, że w czasie nabożeństwa podnoszono na cześć Chrystusa pod samo sklepienie obraz albo żywego człowieka, na pogńębienie zaś szatana zrzucano z wieży kościoła lalkę, znacznej wielkości, wyobrażającą „łotra”. Gdy tylko taka lalka spadła na ziemię, tłum rozumiejąc pod tym symbolem „heretyków” rzucał się na ich świątynie, cmentarze, bił, kaleczył, a nawet mordował „kacermistrzów” protestanckich.

Podobnie się stało po nabożeństwie w roku 1587. Po strąceniu manekina, ktoś krzyknął: „na zboru!” — a tłum, składający się z uczniów i „pospólstwa”, zaraz posunął się pod zbór. Dragami wyważono drzwi, wszystko wewnątrz porąbano, a księgi, naczynia, pieniądze wyrzucono na ulicę. Urządzono nawet widowisko z rozpruwaniem pierzyn i puszczeniem pierza na wiatr na Rynku. Drzwi, ławy, ambony i inne sprzęty spalono. Na drugi dzień wewnątrz zboru podłożono ogień, a po spaleniu drewnianych konstrukcji pozostały gołe mury zboru, podobne do pieca wapiennego.

Już wówczas głośno obwiniano jezuitów, że oni kierowali tą akcją niszczycielską, krążąc między tłumem, przebrani w góralskie guńki, i podjudzając do ekscesów.

Zbrodnia uszła bezkarnie, nikogo bowiem do odpowiedzialności nie pociągnięto. W kraju na sejmikach odezwały się jednak silne protesty przeciw barbarzyństwu tłumy, przez jakiś czas prowadzono nawet śledztwo przeciw radzie miejskiej, ale za rządów reakcyjnego króla Zygmunta Wazy, zwanego królem jezuitów, sądy nie myślały o wyszukaniu i ukaraniu winnych.

W cztery lata później, w roku 1591, znowu po zrzuceniu z wieży kościelnej słomianego „łotra”, tłum podsunął się pod zbór. Burmistrz miasta posłał z zawiadomieniem posłańca do króla. Król właśnie wtedy zabawiał się grą w piłkę i niezbyt wielkie zainteresowanie okazał dla sprawy. Wysłał tylko na miejsce litewskiego marszałka Radziwiłła z niedużym patrolem wojskowym. Oddział ten, gdy przybył pod zbór, przywi-

tany został takim gradem kamieni, że ledwo uciekł. Dopiero kasztelan krakowski Boner przy pomocy dworzan i kupców szablami uderzyli na tłum i wyparli go spod zboru. Ta chwilowa obrona na nic się jednak nie zdała. W nocy tłum napadł na zbór ponownie, a akcję niszczycielską przeprowadził tak gruntownie, że ze zboru pozostała jedynie kupa rumowiska. Równocześnie rozebrał tłum drewnianą świątynię ariańską. Ks. Skarga usprawiedliwiał ten wybuch fanatyzmu „żalem katolickim”, wywołanym odparciem tłumy spod zboru przez kasztelana Bonera i protestantów.

Te orgie działy się pod bokiem króla, który nic nie zarządził poważnego, aby temu spustoszeniu zapobiec. Nic dziwnego więc, że tłum w trzy dni później spustoszył w zwierzęcy sposób cmentarz ewangelicki. Porozbijał pomniki, rozkopał groby, wydobywał trupy, okradał je z kosztowności. Wreszcie to skłoniło króla do wysłania straży i zrobienia porządku.

Ustawę przeciw tumultom religijnym wydano dopiero w roku 1593. Ustawa ta nie miała już wtedy praktycznego znaczenia, nie miała bowiem czego bronić. W Krakowie zapewne już wtedy po dawnym zborze rumowisko uprzątnięto, nowego zboru jednak ewangelicy nie odważyli się budować, by go nie spotkał los dawnych zborów. Przenieśli się do wsi Aleksandrowie ku wielkiej radości ks. Piotra Skargi, który zniszczenie zboru, „od dzieci, od ultajstwa, od robacząt na poły”, uznał jako cud i jako sprawę potrzebną dla zbawienia dusz.

Tłumy, nie mając pod ręką zborów, zaczynają urządzać napady na prywatne domy ewangelików. W imię wiary i walki z herezją wyszukuje się takie przedmioty do napadów, przy których dałoby się porządnie obłowić. Przykładem tego napad akademików na dom Jana Kalaja, złotnika, którego wraz z żoną pobili i obrabowali ze sprzętów i gotówki.

Sąd uniwersytecki, mimo interwencji krakowskiego magistratu, zbagatelizował sprawę i winowajców rozmyślnie ochraniał.

Krakowscy jezuita, wyćwiczywszy w organizowaniu napa-

dów „bojówkę”, wysłali ją do Poznania, aby tam w podobny sposób załatwiła się ze zborami ariańskimi. Tłumy poznańskie okazały się jednak mniej podatne do ekscesów i gwałtów, toteż wyprawa ta skończyła się na zwykłych ulicznych burdach.

Jezuicy wychowankowie w Poznaniu mieli także niezwykłych nauczycieli. Jeden z nich, ks. Artur Angelik, w wykładzie o mocy sprawowania sakramentów dowodził wobec licznej publiczności, że mocy tej nie mają heretycy, których też wolno odtrącić od ołtarza, jako złodziejów i zbójów, a za przykład stawiał św. Atanazego, który księdzu heretykiemu ołtarz i kielich połamał.

Wychowankowie tego zakonu w roku 1596 wraz z pospółstwem zrujnowali zbor braci czeskich, zrabowali go, a bibliotekę na ulicy spalili. W tym wypadku zdarzyło się jednak — co nigdy się nie zdarzało — że rektor jezuitów zganił to postępowanie w przemówieniu do wychowanków. To zresztą interesom zakonu nie szkodziło, gdyż konkurent został już przedtem zniszczony.

Uciskana mniejszość religijna szuka jednak środków obrony.

Zbrodnicze występy zniewoliły ją do zawarcia konfederacji w Wilnie. W aktach tej konfederacji znajdują się skargi na ucisk i gwałt, jaki zadawany był wyznawcom niekatolickich wyznań:

„Zburzono wielką liczbę kościołów naszych, zborów i domów modlitwy, a gwałtom owym towarzyszyły rabunki, rozlew krwi, morderstwa i wszelkie okrucieństwa; a wszystko to wykonywano z niesłychaną radością i bez litości tak nad żywymi, jak i nad umarłymi...

Duchowieństwo nasze: proboszcze, kapelani, nauczyciele i kaznodzieje, prześladowane jest za swe przywiązanie do naszego wyznania i bywa przedmiotem zniewag, potwarzy i napaści we własnych swoich domach, z których ich wyrzucają, zabierając ich mienie. Pozbawiają ich spadków, chwytają na

gościńcach i w miastach należących do dóbr koronnych, trzymają w ścisłym więzieniu, biją, mordują i topią...

Napadają na nas gwałtownie w kazaniach swych, wskazując rozmaite sposoby zniszczenia nas, a lud podżegają przeciwko nam obietnicą błogosławieństwa."

* *
*

Protesty i zale te nic nie pomagają. W Poznaniu jezuita Piasecki wygłasza w katedrze namiętne kazanie antyheretyckie, a oszołomiony nienawiścią gromi magistrat i radę miejską za bezczynność w tępieniu herezji i zwraca się wprost do ludu: „ktokolwiek jesteś z ludu, puść z dymem i w popiół zamień wszystkie bóżnice heretyków". Za parę dni podpalono zbor luterski, ale szczęśliwie pożar został ugaszony. „Gwiazda wigilijna", w postaci palących się świątyń braci czeskich, miała oświetlić wieczór wigilijny, ale temu przeszkodzono.

Sejmiki rozbrzmiewają wciąż protestami przeciw gwałtom, a żądanie praw ubezpieczających poszanowanie godności ludzkiej i świątyń niekatolickich wyznaj staje się powszechnym politycznym postulatem.

W dniu 7 marca 1606 roku zbiera się sejm walny. Przychodzi też z Poznania wiadomość, że w Wielki Czwartek około 300 uczniów jezuickich wywaliwszy mury zboru spaliło drewnianą konstrukcję, a ruchomości zabrano i zniszczono. Nawet szpitalowi nie podarowano i nagrobkom. Oczywiście wiadomość ta straszne wrażenie wywarła na posłach i senatorach, a nawet na królu. Król zlecił zbadanie sprawy sądowi z biskupem poznańskim na czele, a sąd ten załatwił sprawę jak zwykle... Winowajców nie było. Pod wpływem tej wieści innowiercy tym usilniej żądali prawa ochronnego. Szereg posłów i senatorów katolickich i protestanckich doszedł w tej sprawie do porozumienia. Zawarto mądry kompromis, który w następnym dniu przyoblec się miał w formę prawa przeciw tumultom i tumultantom.

Kompromis jednak prawem się nie stał. Wystarczyła jezuitom, a głównie ks. Skardze, jedna noc, aby wykorzystać ją do podjudzenia króla przeciw zgodzie! Projekt ustawy wysłał król jezuitom do oceny. Po nocnej naradzie wczesnym rankiem ojcowie jezuitów obeszlili senatorów i posłów, aby ich nakłonić do przekreślenia ugody. Tak się też stało. Rozbicie ugody wywołało rozbięcie sejmu. Interes państwa wymagał porządku i spokoju publicznego, interes wojującego Kościoła żądał zniszczenia przeciwnika wyznaniowego. Wyszedł więc rozkaz od Skargi: „Pierwej Kościoła i dusz ludzkich bronić niżli ojczyzny! Jeśli zginie doczesna, przy wiecznej się ostoim!”

* *
*

Gdy jezuitów z taką gorliwością bronili przed ramieniem świeckim tłumy pospólstwa, żaków, studentów, gdy stali się siewcami najdzikszej nienawiści wyznaniowej, ich wychowanek i dobrodziej, przyjaciel ks. Skargi, wojewoda krakowski, Mikołaj Zebrzydowski, urządził w Stężycy zjazd niezadowolonej z króla arcykatolickiej szlachty. Zjazd ten był zaczątkiem późniejszego rokoshu, który na lat prawie cztery zwichrzył stosunki wewnętrzne w Polsce. I oto dzieje się rzecz niezwykła, do tego bigota, który ufundował słynny klasztor w Kalwarii wraz z kilkudziesięcioma kaplicami i drogami Męki Pańskiej, przymknęli wszyscy innowiercy polscy. Złączyła ich nienawiść do króla i nienawiść do jezuitów. W rokoshu szukali ratunku przed krzywdą, zniewagą i obrażaniem najwznieściejszych uczuć przez tłumy zdziczałe, kierowane przez „hiszpańską szarańczę”, jak wówczas nazywano jezuitów. Żądano, aby prawo przeciw tumultom raz na zawsze ustalone zostało oraz aby sprawcy zaburzeń bezpośredni lub podżegacze, posługujący się pośrednictwem podsuniętych do tego ludzi, którzy na kościoły, klasztory, zbory, cerkwie, szpitale, cmentarze i szkoły napadali i burzyli, i gwałty tam znajdującym się ludziom wyczyniali, do odpowiedzialności byli pociągani przed sądy doraźne, z pra-

wem apelacji do trybunałów z samych świeckich deputatów się składających.

Rokoshanie zostali pod Guzowem pobici. Zwycięstwo króla było też zwycięstwem jezuitów.

„Pospólstwo” w Krakowie, nie czując nad sobą siły prawa, nie mając pod ręką zboru, uczciło zwycięstwo królewskie zrujnowaniem w roku 1607 ewangelickiego cmentarza, powtarzając znane z dawniejszych lat sceny z wydobywaniem z grobów zwłok, wystawianiem ich przy murach, w stanie obnażonym do góry nogami, i włączeniem po drogach.

W latach następnych, 1610 i 1611, zniszczono w Krakowie prywatny dom, gdzie się schodzili ewangelicy na nabożeństwa. Żacy zaś napadają na pogrzeby, grasują i po prywatnych domach, wiedzeni tam żądzą rabunku.

Nauki uczniów Ignacego Loyoli oddziaływały na młodzież akademicką, która przy wszystkich gwałtach nie tylko jest czynna, ale obejmuje akcję kierowniczą. Przeniesiony do Aleksandrowie zbór razi ją, więc i tam w roku 1610 urządza napad, niszczy szpital i schronisko dla starców, wykopuje trupy na cmentarzu i znieważa je. Uczniowie szkół parafialnych krakowskich napadają na domy prywatne, urządzają jeszcze raz wypad do Aleksandrowie, gdzie profesor uniwersytetu, Grymza, pałąk morduje duchownego ewangelickiego, Habichta, a drugiemu duchownemu, starcowi Bitnerowi, akademicy obcinają palce i podpalają jego dom, nie zapomniawszy go wprawdzie zrabować. Protestanci już nawet nie skarżą do sądu napastników, wiedzą bowiem, że jezuitkie wpływy zawładnęły także sądami. Zrażeni jednak do takich stosunków gromadnie opuszczają sfanatyzowany przez jezuitów Kraków i osiedlają się w Toruniu i w Gdańsku. Pozostali ewangelicy przenoszą zbór z Aleksandrowie do Lucjanowie (Łuczanowic), ale i tam trafiają niezmordowani akademicy, jezuitkie popychadła, i niszczą nagromadzony przez fundatora zboru, Żeleńskiego, budulec. W roku 1631 Kraków przeżywa straszliwy rabunek, którego dopuszcza się motłoch z wychowanekami jezuitkimi na

czele. Sklepy, magazyny padają ofiarą łupieżców, którym — jak zwykle — uszło to bezkarnie. Studenteria nasiąka manierami pospolitych rabusiów, wymuszając okupy za pozostawienie domostw ewangelików w spokoju. Przed profanacją trupów też trzeba się bronić okupami pieniężnymi. Kto tego nie chce zrobić, wywozi zwłoki za miasto. Gdy studenci zmiarkują, że ktoś umarł, wpadają do domu, szukają trupa, plądrują mieszkanie i dotąd nie ustępują, póki okupu pieniężnego nie wymuszą. Kaznodzieje i ministrowie ewangelicy tępieni są bez miłosierdzia. Słynnego Fausta Socinusa wywłókł tłum z domu i gdyby nie profesor Marcin Wadowita, który go wyratował, byłby żywy z rąk tego tłumu nie wyszedł. Zdziczenie posunęło się tak daleko, że profesorowie uniwersytetu za złe to mieli Wadowicie i oburzali się na niego z powodu tego szlachetnego postętku.

Ten sam system stosuje sfanatyzowany tłum i w innych miastach. W Poznaniu tłumy zrabowały i spaliły w roku 1616 kościół luterski po raz ostatni, gdyż więcej go już nie budowano. Na miejsce zboru stanął klasztor karmelitański. Podobne wypadki miały miejsce w Lublinie, gdzie po ostatnim takim napadzie, w roku 1620, plac po zborze nabyli karmelici na rozszerzenie swojego klasztoru. Nowy zбір na przedmieściu nie ostał się długo, gdyż w roku 1627 wraz z wielu innymi „heretyckimi” domami został zburzony. O bagatelę poszło... Jakiś uczeń ze szkoły jezuickiej napadł na niemieckich najemnych „landsknechtów” za to, że się nie uklonili jezuitom. Żołnierze studenta tego szablami na śmierć zarąbali. Jeden okrzyk: „lutry biją katolików — burzyć zbory luterskie!”, wystarczył, aby wprowadzić pospólstwo w ruch. W krótkim czasie dzieło zniszczenia zostało dokonane. Lublin był siedzibą trybunału... Ten szafarz sprawiedliwości usankcjonował zbrodnie tłumy, wydając ewangelikom zakaz schodzenia się w Lublinie na nabożeństwa i zebrania religijne.

Jezuici triumfowali, gdyż na usługach ich kościelnej polityki stały państwowe trybunały. Nie trzeba było trybunałów

i wyroków Św. Inkwizycji, bo tłumy ogłupiałe i sfanatyzowane w dziele zniszczenia innowierców Św. Inkwizycję zastąpiły. Atoli metody gnębienia innowierców mściły się i na jezuitach. Zaprawieni w urządzaniu tumultów i gwałtów akademicy umieli je też skierować przeciw samym jezuitom, napadać na nich, na ich domy i na ich wychowanków. Działo się to w roku 1625 i w latach następnych, gdy między kolegium jezuickim a Akademią Krakowską doszło do nieporozumień i procesów. Wreszcie, gdy w roku 1631 tłumy urządziły ponowne napady na domy rzemieślników i kupców krakowskich, noszące już wyraźnie cechy napadów zbójceckich i rabunkowych, sejm uchwalił wówczas prawo „o zatrzymaniu pokoju pospolitego”, obowiązujące na czas nieograniczony i przekazujące sprawy z niego wynikające trybunałowi, bo „pod pretekstem religii katolickiej od swawolnych ludzi w państwach naszych różne tumulty i wioleńce się dzieją, za czym pokój pospolity się targa, i wielkie sąd inconvenientia rosną”. Ten sam „król jezuitów”, Zygmunt Waza, który kierując się doradami jezuitów, dawniej opierał się uchwaleniu takiej ordynacji porządkowej, na schyłku swego życia wyraził zgodę na to prawo.

Nie dane mu było jednak dopilnować, by prawo to zostało wykonane, wnet bowiem umarł.

Syn jego, król Władysław IV, był inny niż ojciec. Zaprzysiągł on przy objęciu tronu dotrzymanie pokoju religijnego w Polsce i przez całe życie pozostał wierny tej przysiędze. Że innym duchem owiana była władza, pokazało się to zaraz w sprawie krakowskich akademików, którzy porwali trumnę ze zwłokami żony jubilera Francuza i zaprzągnąwszy do niej konie włączyli po ulicach, a potem, przywiązawszy kamień, trumnę tę ze zwłokami wrzucili do Wisły. Król zajął się tą sprawą. Za jego dekretem główny sprawca został skazany na śmierć, ułaskawienie jednak nastąpiło za wstawieniem się także ewangelików. Ewangelikom musiano zapłacić karę, za którą urządzono kolekty w kościołach, wreszcie wykrytych

uczestników napadu wydalono z Akademii. Surowiej jeszcze obszedł się król ze studentami i klerikiem, którzy — wracając w święto Wniebowzięcia z odpustu z Kalwarii Zebrzydowskiej — napadli w Chorowicach na dwór dzierżawcy ewangelika. Spłoszeni uciekli, atoli po śladach stwierdzono, że byli to studenci. Wyłapano ich wszystkich i skazano na śmierć. Ścięto ich jednego po drugim przed ratuszem krakowskim w obecności wszystkich studentów. Ostatni dał głowę pod topór katowski ów kleryk.

Były to jednak rozprawy z szakalami płaczącymi się na pobojuwisku, na którym znacznie wcześniej rozstrzygnęły się losy reformacji polskiej. Zła wola i bezczynność Zygmunta Wazy, połączona z agresywnością podjudzanego zbrodniczego „pospólstwa”, zlikwidowała w miastach reformację religijną. Na pobojuwisku została triumfująca reakcja z ojcami jezuitami na czele. Ani prawo „o zatrzymaniu pokoju pospolitego”, ani ścinanie tumultantom głów na pniakach magistrackich już nie stanowiły dla nich żadnego niebezpieczeństwa. Gdy tumulty traciły cechę wyznaniową, a przybrały charakter zwykłych bandyckich rabunkowych napadów, żaden jezuita nie potrzebował powściągać ramienia świeckiego, by surowo zbrodnie te karało. Wszakże w roku 1641 „hultajstwo” wraz ze studentami nawet kamienice burzyło w Krakowie, jedną Serwacego Cypsera i drugą Łukasza Szmuka.

Tam jednak, gdzie jeszcze innowiercy ostać się potrafili przed niszczącymi falami tłumów, praca nad zlikwidowaniem zborów i ich ministrów nie ustaje. W roku 1656 kler podburzył górali nowosądeckich przeciw arianom. Parotysięczny tłum napadł na miasto Nowy Sącz, „heretyków” wymordował, bez różnicy płci i wieku, domy ich obrabował i zrównał z ziemią. W Czarkowie w podobny sposób załatwiono się z dworem Moskorzewskiego.

Bastionem protestantyzmu było Wilno. Niejaki Meller, medyk w Wilnie, miał jakieś osobiste porachunki z burgrabią wileńskim, Podchocimskim, doktorem medycyny, cenionym

przez króla Władysława IV. Namówił on inspektora swoich synowców, aby ze studentami naszedł na dom Podchocimskiego. Rzeczywiście wieczorem studenci, do których przyłączyła się zgraja różnego pospólstwa żądnych rabunków, wyłamali drzwi, zrabowali sporo rzeczy kupców, którzy tam sklepy mieli, i dobywali się do mieszkania samego gospodarza. Ten, broniąc się, wypalił ze strzelby i położył trupem jednego studenta. Wtedy dopiero zgraja rozpierzchła się, nie dobywszy się do wnętrza sklepów, gdzie byłaby szkody na jakieś 200 000 złotych narobiła. Podchocimski wniósł z tego powodu protestację na ratuszu wileńskim i w trybunale, a Meller, przewidując zły obrót sprawy, „trybunalistów” prośbą i złotem skorumpował, prosząc, aby Podchocimskiego zamiast do sądu miejskiego zapozwano do trybunału. Podchocimski nie stanął w trybunale i tam zaocznie skazano go na infamię, banicję i śmierć. Jednak protekcja księcia Albrechta Radziwiłła pomogła mu ująć zasadzek na niego przygotowanych. Było to w roku 1646.

W Wilnie, jeszcze w 50 lat po uciszeniu tumultów krakowskich, w roku 1682 pospólstwo urzęda podobne tumulty. Sposobność do tego dali jezuita; namówiwszy wojewodę wileńskiego Paca, aby zezwolił zdjąć krzyż ze zboru ewangelickiego. Wojewoda na ten niemądry czyn pozwolił. Akademy, prowadzeni przez jezuitów, nie tylko krzyż zdjęli, ale cały zbór i domy, w których mieszkało duchowieństwo ewangelickie, zburzyli i księgi popalili. Duchowni ewangelicy tym napadem tak byli przerażeni, że pochowali się pod trupy ludzi zmarłych. Ale ich stamtąd powyciągano i pastwiono się nad nimi. Dziecko jakiegoś ewangelika wrzucono do ognia. Srebra, dzwony, aparaty wszystkie pokradziono. Nawet szpitalik zburzono. Tłum poszedł na cmentarz, gdzie wydobył z grobów zwłoki, pastwiąc się nad nimi. Zwłoki mężczyzn rzucano na zwłoki kobiet, wołając: „crescite et multiplicamini” (wzrastajcie i mnożcie się). Ciało palono, a straszliwy smród rozchodził się po Wilnie. Tym zdziczałym wybrykiem przypatrywał się

jezuity, zakrywając twarz, aby go nie poznano. Wojewoda Pac dowiedziawszy się o tych zajściach, które sam nieoględnością swą wywołał, tak się zafrasował, że prawie nagle umarł.

Głośnym na cały kraj stał się „eksces przeciw niebu” hetmana polnego litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła, protektora kalwinów.

W dniu 9 maja Roku Pańskiego 1647 od niezwyklej sprawy zaczęły się obrady sejmku walnego. Marszałek sejmku, zagajając posiedzenie, wyraził się, że szczęśliwego końca sejmku spodziewać się będzie można, jeżeli od Boskiej sprawy obrady się rozpoczną. Prosił tedy, „aby list od biskupa wileńskiego był czytany w wielkiej materii stosującej się do honoru Boskiego. Czytano tedy ten list z wielkim uszanowaniem, pełen żalu i skarg przeciw polnemu hetmanowi litewskiemu, w którego dobrach krucyfiksy od dawnych lat postawione, tymi dniami zostały wyrócone.” Po przeczytaniu listu poseł Jewłaszewski odczytał instrukcję sejmikową, w której domagano się wytoczenia procesu Radziwiłłowi. Inny poseł, z Upity, przyznawał, że krzyże są wyrócone, ale bez wiadomości księcia Radziwiłła. Tak zaczęła się gwałtowna zwada między posłami. Poseł ze Żmudzi wołał:

— „Kto grzeszy przeciw obrazowi, przeciwko temu grzeszy, kogo obraz reprezentuje!

— Bardziej ubolewam nad sprawą Radziwiłła niż nad Boską! — wyraził się poseł, sędzia z Lidy, na co posłowie Mazurów, najgorliwsi katolicy w Polsce, zerwali się z miejsca i wrzeszczeli:

— Zbłąźnił, sędzić go trzeba! Nie powinien mieć wolnego głosu, gdyż przeciwko Bogu mówił!

Nieborak emitował, bił się w piersi, kajał i ledwo się wymówił, że pod sąd nie podpadł.

Poseł z Oszmiany prosił, aby z tą sprawą zaczekać na przy-

jazd Radziwiłła. Jednak poseł z Brześcia Kujawskiego nie zgodził się na taką zwłokę:

— Znajdują się tacy — mówił — którzy bardziej dbają o respekt ludzki niż o krzywdę Boga, przez którego królowie panują i królestwa stoją. Gdyby to który prywatny pleban przedkładał, mogłaby być jeszcze jakaś wątpliwość, ale teraz, gdy sam biskup o tym świadczy, jako mamy wątpić? Sprawa jest Boska, toć ją zaraz sądzić, bo prawa wydawane są o rzeczach ludzkich, nie o Boskich. Nigdy bowiem przodkowie nasi nie spodziewali się takich ekscesów przeciwko niebu.

Przyszedł do głosu pleban Saradowski i gdy przedłożył sprawę, bo rzecz ta w jego parafii się działa, znowu powstał hałas. Żądano, by sprawę tę zdecydowano summario procesu, to jest doraźnym sądem króla i senatu, podobnie jak sądzono sprawy przeciwko heretykom wileńskim, toruńskim i krakowskim.

Marszałek sejmku przyrzekł, że sprawa będzie sądzona sądem nadzwyczajnym, do którego król zamianuje inkwizytorów.

— Jeden z Apostołów — mówił poseł Poprętowski — nie pomógł dźwigać krzyża Chrystusowi, a tu mieszczanie księcia Radziwiłła są przymuszani, aby krzyże dźwigali i one z gruntu wyrócili. Bardziej trzeba tu stać o krzywdę Boską niż o prawo pospolite. Przeto koniecznie trzeba, ażeby nastąpił processus summarius.

Poseł z Oszmiany, «heretyk jednooki», ponownie odezwał się, że te porównania między prawem Boskim a ludzkim są złe, a na to podczaszy koronny, robiąc przytyk do «jednookiego heretyka», twierdził, że podobieństwa są częstokroć «jednookie i nachramujące».

Na drugi dzień znów tą samą sprawą zatrudniali się posłowie. Luteranie i kalwini chcieli sprawę odroczyć do przyjazdu na sejm hetmana Radziwiłła. Na to wielu innych deklarowało się, że od natychmiastowego załatwienia sprawy żadną miarą nie odstąpią. Poseł wileński rozpoczął:

— Nieszczęśliwe respekta ludzkie, które nie chcą widzieć

despektu Chrystusowego. Jako się spodziewać błogosławieństwa Boskiego, jeśli o krzywdę honoru Jego dbać nie będziemy?

Posel Radziejowski takie znów wniósł dilemma:

— Książę Radziwiłł jest winien albo niewinien, jeśli jest winien, czemu go zaraz nie sądzić? Jeśli jest niewinien, toć wy mu krzywdę czynicie, którzy nie chcecie, aby jego niewinność się pokazała. Naznaczyć tedy trzeba inkwizytorów powagą sejmu, aby sekta przychodnia nie górowała nad starą gospodynią, religią katolicką."

Teraz znów Czaplic, arianin, nadmienił coś o procesie Szlichtinga, wytykając, że król z senatem skazał go na karę infamii i przez kata kazał spalić jego księgę na rynku.

Marszałek znów wybiera się z relacją do króla, ale przytrzymuje go jakiś poseł innowierca, wskazując przeszkody formalne naznaczenia inkwizycji. Jeszcze 18 maja wrócili posłowie do tej samej sprawy, ale gromada posłów dysydenckich odrzucała wszelkie projekty ułagodzenia sprawy. Wreszcie zjawił się „heretyk” — Janusz Radziwiłł.

Jakkolwiek posłowie mazurscy bardziej się „armowali” w sprawie Boskiej przeciwko gwałcicielom, kalwin Janusz Radziwiłł „zwąchał się” z katolikiem Albrechtem Radziwiłłem i obaj postanowili sprawie łeb ukreć. Uzgodnili plan akcji. Nakaz Radziwiłła, wyrzucenia krzyżów i obrazów przydrożnych, przedstawiony został jako zwykłe zniesienie znaków granicznych, które nie w tym celu nakazał, aby Chrystusowi obrazę czynić, ale aby plebani takimi znakami w dobrach jego granic parafii nie oznaczali. Dlatego nakazał też mieszczanom, którzy te „znaki graniczne” wystawiali, aby je w nieobecności jego „zrzucili”.

Sprawa wywołała tak wielkie rozgniewanie, że groziło to zerwaniem sejmu przez posłów innowierców, albowiem Radziwiłł miał w nim sporą liczbę przyjaciół-dysydenatów. Kanclerz litewski, książę Albrecht Radziwiłł, stryj księcia Janusza, interweniował u króla o załagodzenie sprawy. Przyprowadził też do króla biskupa wileńskiego. Król załatwienie sprawy

wziął na siebie. Biskup mu przyrzekł, że zaniecha nachodzić posłów w tej sprawie. Do posłów zaś wysłano delegację złożoną z trzech biskupów: lwowskiego, brzeskiego i mińskiego, która im oznajmiła wielkie zainteresowanie królewskie w tej sprawie i zaleciła odłożenie sprawy do sejmu następnego. Janusz Radziwiłł zachował się wcale nie po książęcemu. Na sejmie nie przyznał się, że kazał krzyże usunąć, ale oznajmił, że w tym poddani jego przewinili i że ich ukarze „jako należy na pana, gdyż ma prawo na nich i od Boga, i od natury pozwolone”. Posel oświęcimski, Koryciński, zareagował na to oświadczenie słowy: „Wara! Bóg widzi, jako książę Radziwiłł ma karać poddanych, jeśli on to sam kazał uczynić, jako mamy z instancji biskupa i z relacji plebana informacjąV” Posel ziemi łomżyńskiej domagał się załatwienia sprawy na przyszłym sejmie. Jeżeliby zaś na przyszłym sejmie sprawa końca nie miała, zapowiedział zerwanie sejmu. Na to Radziwiłł biadał, że niegdyś izba poselska była obrażonych ucieczką, w niej utrapionym pociechę dawano, a nie pamięta, ażeby kiedy w niej formowała się konspiracja na uciśnienie niewinnego obywatela. Jeszcze i na tym posiedzeniu nie uporano się ze sprawą. Na następnym, na drugi dzień, zaledwie marszałek wystąpił z projektem odrzucenia i powierzenia sprawy gorliwości królewskiej, wysuwa się kanclerz kapituły wileńskiej, z proboszczem parafii zabłudowskiej, trzymając w ręce połamane drewna, prosi o audiencję, a otrzymawszy ją przedkłada skargę, że książę Radziwiłł w swoich dobrach nie pozwala postawić krzyżów, wiatrem obalonych. Okazując ułamki tych krzyżów, rzekł: „Ponieważ Chrystus nie ma miejsca w dobrach księcia Radziwiłła, przynajmniej niech tu ma miejsce.” A na to pleban zabłudowski, który „na dwóch stołkach siedział”, rzecze: „Książę Radziwiłł jest moim dobrodziejem i często mnie do swego zaprasza stołu, krzyże zaś poupadały od wiatru.” Co usłyszawszy posłowie stali się mniej gorliwymi, a król rozgniewany na biskupa, że mu nowe wszczyna tumulty sejmowe, zapowiada odsunięcie się

od sprawy sądenia, bo biskup przyrzeczenia nie dotrzymał. Za niedługi czas Radziwiłł, obrany na starostę żmudzkiego przez tamtejszą szlachtę, przeniósł się z izby poselskiej do senatu i składał przysięgę senatorską na Ewangelię, bo przed krucyfiksem, jako kalwin, nie chciał przysięgać. Wnet potem awansował na marszałka trybunalskiego. Gościł wtedy u siebie króla i królową. Przy tej sposobności, za wdaniem się królowej, doszło do zgody między biskupem wileńskim a Radziwiłłem o tę tragedię krzyżową. Pośrednikiem w zawarciu ugody był biskup żmudzki, Tyszkiewicz. Warunki ugody nie były ciężkie. Radziwiłł miał publicznie przeprosić biskupa wileńskiego, Wojnę, obiecując na tym miejscu, gdzie był krzyż z rozkazu jego obalony, „inną piękną passją z muru wystawić”. Pozwolił też Radziwiłł w dobrach swoich, Kiejdanach, procesję katolicką wiecznymi czasami odprawować, dotychczas bowiem na Boże Ciało nie pozwalano na odbycie procesji. Na miejscu zaś przestępstwa, w Śwadościach, obiecał dać 6000 złotych na murowanie kościoła. Nuncjusz papieski zgodę tę między księciem kalwinem a katolickim biskupem zatwierdził. Tak zakończyła się „sprawa o krzywdę Boską” i o „eksces przeciw niebu”, która tyle wywołała zamieszania w izbie poselskiej i w senacie.

*

Do pogromu Żydów doszło w roku 1407 w Wiślicy. Wywołało go kazanie kanonika Budka. W opisie *Klejnotów i kościołów miasta Krakowa* wspomina Piotr Jacek Pruszczyk w związku z kościołem św. Anny o owym Budku. Mianowicie w ulicy św. Anny była przedtem bóżnica żydowska, „miejsce urągania i czci uwłaczenia Imieniu Najświętszemu Jezus, aleć tę szarańczą piekielną i pogaństwo nienasycone przeciw prawowiernym chrześcijanom z tej ulicy wygnano z tej przyczyny, iż niewinne dzieciątko w Wielki Piątek zabili 27 Martii Roku 1407 i na kapłana niosącego Najświętszy Sakrament do

chorego kamieniami ciskali, o czym powiadał na swym kazaniu Professor Akademii Krak., w Piśmie Św. wielki i żarliwy kaznodzieja Budek u św. Barbary. Po wygnaniu tych Żydów, a poświęceniu tej bożnicy na Kościół, oddany jest akademii, aby profesorowie chwałę Pańską żarliwie rozmnażali przez młodzież im się powierzoną, co z łaski Boskiej czynią pilnie."

Wieść o kazaniu profesora Akademii Krakowskiej dotarła do Wiślicy, gdzie podniecony tłum, wypadłszy z kościoła, znalazł się na ulicy zamieszkałej przez Żydów. Rozpoczęły się mordy i łupienie, tak że ulice zaścielone były trupami. Kasztelan wiślicki, Klemens z Moskorzowa, i burgrabia krakowski, Mikołaj Litwos, z wojskiem przyszli na obronę Żydów, rozpedzili tłumy, pojmali przywódców i do ratusza zawlekli. Gdy uderzono w dzwon na ratuszu, zwołujący ławników na sąd, jakiś ulicznik puścił wieść, że radni i magistrat przez dzwonięcie ogłaszają, że wolno jest pomścić na Żydach zniewagę wywołaną mordem. Wówczas rozpoczęły się ponowne napady i mordy, a nawet podpalono domy. Mordy trwały od 6 do 10 godziny wieczorem. Wymordowano Żydów sporo, wielu z nich do chrztu przymuszono, a dzieciaki, które przy życiu zostały, ochrzczono. Takie skutki wywołała owa informacja księdza Budka, którą — jak to głosił z ambony — uzyskał na karteczce, zesłanej mu sposobem cudownym.

„Ożywienie” akcji antyżydowskiej przypada na połowę XV wieku. Podnieca ją działalność misjonarska i kaznodziejska franciszkanina Jana z Kapistranu. Ten agitator Kościoła prowadził początkowo na terenie Czech walkę z husytyzmem, gdy jednak rezultaty na tym polu osiągnął znikome, skierował ataki przeciw Żydom. Jego działalności przypisują wygnanie Żydów z Bawarii, spalenie 41 Żydów we Wrocławiu, po śledztwie wytoczonym im przez Kapistrana z powodu znieważenia hostii, oraz wygnanie Żydów z Moraw i księstw śląskich. Jan z Kapistranu sprowadzony też został przez kardynała Oleśnickiego do Polski. Nauki jego w roku 1455 doprowadziły do pogromu Żydów w miastach polskich. Wykorzystując znajomość

z księżną mazowiecką, Anną, namówił ją ten niezmordowany agitator kościelny do ufundowania zakonu bernardyńskiego w Warszawie. Podburzanie przeciw heretykom i niewiernym i tu doprowadziło do pogromów.

Rozruchy antysemityczne miały też miejsce w Krakowie w czasach tłumnego napływu Żydów z Zachodu do Polski, w latach 1464, 1494 i 1495.

W roku 1464 papież Pius II ogłosił krucjatę powszechną przeciw Turkom, a zarazem łaskę św. jubileuszu dla uczestników wyprawy. Sporo polskiej szlachty wybrało się na tę wyprawę. Krzyżowcy ci gromadzili się w Krakowie, gdzie świętą wojnę rozpoczęli od napadu na krakowskich Żydów. Trzydziestu Żydów zamordowali, domostwa ich złupili, do tego synagogi zrabowali. Przerażeni Żydzi schronili się do domu kasztelana krakowskiego, Jana z Tęczyna, lecz i tu sfanatyzowana brać szlachecka napadła na nich. Dopiero czeladź biskupa krakowskiego tudzież strażnicy starościńscy i „draby miejskie” przeprowadzili ich do zamku wawelskiego. Wypadki te wywołały wśród Żydów w Polsce przerażenie, toteż chronili się po zamkach i warowniach.

Podczas rozruchów w roku 1495 pospółstwo krakowskie wymusiło na rządzie wydanie zakazu przebywania Żydom w mieście. Wówczas to usunęli się oni z Krakowa do sąsiedniego miasta Kazimierza, ale tu w roku 1500 stali się przedmiotem ataku chrześcijańskiej ludności. Podłoże tych tumultów było wyznaniowe i ekonomiczne. Element wyznający wrogi chrześcijaństwu judaizm, posądzany w całym świecie o mordy rytualne, o zatrucie studzien i szerzenie zaraz, spotkał się z takim samym osądem ze strony ludności w Polsce.

Padła on ofiarą tego samego zabobonu, w który sam wierzył. Był czas, gdy Żydzi nawet św. Pawła posądzali, że był czarownikiem i że zapewnił 365 lat istnienia chrześcijaństwa przez użycie krwi z jednorocznego dziecka, które zamordował dla celów rytualnych, a raczej czarodziejskich!

Żydzi trudnili się też w Polsce lichwą, a operacje te do-

znawały szczególnej opieki czynników rządzących, wykorzystujących dochody Żydów. Takie stosunki działały w wysokim stopniu drażniąc na polską eksploatowaną ludność, niezaradną, bezbronną, która nienawiść wyładowywała w napadach i gwałtach skierowanych przeciw Żydom i ich dobytкови. Już wówczas sporo Żydów uchodzi z miast do wsi, oddaje się pod opiekę szlachciców-ziemian i pod ich patronatem praktyki wypróbowane w miastach stosuje do chłopów, gdyż chłopci nie przedstawiają tak wielkiego niebezpieczeństwa, jak tłumne, ruchliwe, fanatyczne i popędliwe „pospółstwo” miejskie.

W XVII wieku tumultów antysemitycznych zbyt wiele w Polsce jednak nie było. Jest tu widoczny, zbawienny dla Żydów, wpływ ojców jezuitów na tłumy. Rozruchy, gwałty i tumulty tam tylko powstały, gdzie tego oni chcieli. Nie tylko jezuitów, lecz i inne zakony łączyły z Żydami interesy pieniężne. W jednych miejscowościach Żydzi klasztorom pożyczali pieniądze, w innych zaś oni byli dłużnikami bogatych zakonów. Ponadto Żydzi, mając szeroki samorząd, opodatkowywali się sami na utworzenie funduszy korupcyjnych, na opłacenie dzierżycieli władzy, którzy ich przed napastliwością tłumów ochraniali. Interesy pieniężne, jakie polscy jezuita prowadzili z Żydami, ujawnione zostały w roku 1773, gdy rządy polski i austriacki — który zajął Galicję — przeprowadzały zniesienie zakonu jezuitskiego. Pokazało się, że lwowscy jezuita mieli na pożyczkach u Żydów 30 000 złp, a dobra w Rakowcu dzierżawił od nich też Żyd. Krośnieńscy jezuita puścili w pacht Żydowi browar, młyn i propinację w Zarszynie za czynszem rocznym około 12 000 złp. Największy interes finansowy zrobili jednak krakowscy jezuita, którzy Żydom w Kazimierzu, za pośrednictwem kahału w Sandomierzu, wypożyczyli na 3% rocznie kwotę 800 000 złp. Obok tej olbrzymiej pożyczki udzielili jeszcze Żydom pożyczek drobniejszych w kwocie około 60 000 złp. Również sejm warszawski z roku 1775 stwierdził, że w Księstwie Litewskim różne domy i kolegia jezuitskie miały zapisane na żydowskich kahałach do 500 000 złp kapitałów. Pienią-

dze te przeznaczone zostały po skasowaniu zaboru na fundusz edukacji narodowej, a sejm pozwolił kahałom zaciągnąć do tej wysokości pożyczki na spłacenie długów u jezuitów z prowincji litewskiej. Również w b. zaborze pruskim wykryto, że Żydzi mieli pożyczki od jezuitów z Bydgoszczy i z Wałcza oraz od innych klasztorów bydgoskich. Nadto w obwodzie nadnoteckim 31 kościołów i 9 szpitali miało ubezpieczone na synagogach 35 000 talarów pożyczki.

Tak interes wierzyciela, jak i dłużnika wymagał zapewnienia dla obu stron bezpieczeństwa i spokoju, dzięki zatem cudownej mocy pieniądza i kredytu Żydzi mniej byli narażeni na ataki rozwydrzonego pospólstwa. Zwykle kończyło się na tłuczeniu ich kijami, smarowaniu błotem, a w Mścislawiu, gdzie misje urządzili jezuiti, nie tylko ochrzczono dwóch Żydów, „nawróconych” przez tych jezuitów, ale taką rozbudzo w nich żarliwość katolicką, że podobno chcieli zostać męczennikami, gdyż „dobrowolnie, po chrzcie świętym przyjętym, pragnęli, ażeby byli ścięci”, a więc też ich ścięto.

W prywatnych dobrach tu i ówdzie srożyli się ich właściciele.

Do takich należała świątobliwa Elżbieta Gostomska, córka wojewody rawskiego. Żydowskiego narodu nienawdziła ona, modliła się za jego nawrócenie, pilnie też przestrzegała, aby się w Ratnie, starostwie jej, bluźnierstwa żydowskie nie szerzyły. Opis żywota tej świątobliwej dewotki podaje, iż na rok przed jej śmiercią „bachory żydowskie zesromocili figurę Męki Bożej, ujęła się o to Elżbieta gorliwie i nie dbała na żadne wstawiania się panów, na prośby, na upominki, i otrzymała dekret, aby wszyscy starzy Żydzi (okupując śmierć młodzi swojej) szubienicę nowo zbudowaną do starej szubienicy z procesją na ramionach nieśli, a ową młódź swawolną kat u szubienicy chłostał. Przedtem jakoś wykradli byli Żydzi w jej dobrach Najś. Sakrament. Ach, co nie ważyła o uczynienie sprawiedliwości! Ale od potężnej (jako zwyczajnie przekupionej) strony, która się za nich ujmowała, nie mogąc więcej

wskórać, to tylko wymogła, że jednego na gardle skazano, ona zaś wszystkich z majątności swej wygnać rozkazała." Ponieważ w Ratnie bóżnica była wyższa niż kościół, żądała znizenia jej, a gdy tego Żydzi nie uczynili, kazała ją czeladzi rozrzucić. Zdarzyło się, iż żydowscy jej poddani nawracali się i chrzcili. Na takie chrzciny ściągała wszystkich Żydów i kazała im być na kazaniu. Zmarła ona w roku 1624, a podobno dzięki tej niepospolitej świątobliwości ciało jej przez 145 lat było nieskażone, lekkie i zakonserwowane. Tak przynajmniej twierdził ksiądz Jaroszewicz.

Podkomorzy Mikołaj Radoliński, właściciel miasteczka Skocków, skazał rabina i 11 Żydów spośród starszyzny na kary pieniężne i więzienie, że urządzili sobie procesję publiczną z kapelą, moździerzami i światłem do bóżnicy, pospólstwo zaś żydowskie musiało przez tydzień stać z odkrytymi głowami przez cały dzień na rynku.

Byli jednak i tacy dzierżyciele władzy patrymonialnej, którzy tępiłi napady na ludność żydowską. Księga gromadzka wsi Ponikwi, należącej do zamku Zatorskiego, wspomina o sprawie niejakich Byrskich, którzy napadli na drodze i „urządzili eksces z Żydami” w roku 1766. Z nakazu zwierzchności zamkowej nie tylko ukarano sprawców napadu, lecz jeszcze zarządzono przymusową sprzedaż ich majątku celem pokrycia szkody wyrządzonej Żydom. Nawet Warszawa nie była wolna od tych awantur, które żaki, a nawet ludzie dorośli, z Żydami wyprawiali w czasie największych świąt katolickich. W roku 1790 do zaprowadzenia spokoju musiało być użyte wojsko.

Najlepszym jednak środkiem uspokajającym awanturujących się żaków były wymuszone przez nich na Żydach okupy, nazywane kozubalcami, z których utrzymywali się w szkołach. Opłatę tę nazywano też z żydowska rebochem, z czego urobiono wyraz „rebucha” na oznaczenie każdego okupu i datku uiszczanego przez Żydów.

* * *

Z ekscesów i tumultów jezuita mogli być zadowoleni. Sprawdzali bowiem przy tej sposobności, że dzięki ich naukom i wychowaniu panowanie nad umysłami i duszami tłumów szlacheckich i dygnitarzy państwowych już do nich należało.

Polityka szlachecka prowadzona była na sejmikach, na których wybierano posłów na sejm walny, dawano im instrukcje i przyjmowano od posłów relacje, czyli sprawozdania z ich działalności. Kler uczynił z tępienia wyznawców innych religii program polityczny. Udało się mu program ten narzucić szlachcie przede wszystkim przez wychowywanie jej w szkołach, a następnie za pośrednictwem konfesjonau i ambony. Propagandę politycznej i wyznaniowej nietolerancji prowadziły głównie zakony. Do celu tego służyły misje. Na misje takie zjeżdżało się po kilkunastu księży, a trwały one nieraz 5— 6 tygodni. Zjeżdżała się na nie szlachta szaraczkowa z dalekich okolic. „Pospółstwa” nie było wiele, gdyż musiało pańszczyznę odrabiać. Gdy w kazaniu misyjnym grozę sądu ostatecznego przedstawił dominikanin, to o okropnościach męki piekielnej krzyczał karmelita. Urządzano, korzystając z bezkarności, zaczepki innych wyznań. Nie poprzestając na lżeniu, fałszywym oskarżaniu o najpotworniejsze zbrodnie lutrów, kalwinów i prawosławnych, urządzano jeszcze przed kościołami różne przedstawienia. Sprowadziwszy pod kościół Żydów, „kaznodzieje”, wśród wrzasków, udowadniali im, że Mesjasz już dawno na świat przyszedł, innym razem znów lutrom i kalwinom inne „prawdy wiary św.” w podobny przekonywający sposób dowodzili.

Innowiercy, spędzeni na takie misje w przerażeniu, aby ratować życie przed rozbestwionym podjudzającymi kazaniem tłumem, „nawracali się na wiarę katolicką”. W taki sposób dominkanie wraz z 72 księżmi świeckimi „nawrócili” w roku 1761 w Drui 41 luteran i 40 prawosławnych. Dziewięciu dominikanów i pięciu franciszkanów „nawróciło” w Birzach 20 kalwinów, 15 luteran i 11 prawosławnych. W Zdzięciole ochrzczono 2 Żydów i „nawrócono” 2 protestantów.

Przed każdym sejmem czy sejmikiem przypuszczano z ambon generalne szturmowanie do sumień szlachty, aby nie ważyła się żadnych praw innowiercom (czyli dysydentom) przyznawać, i zachęcano ją, by jeszcze te resztki praw, jakie innowiercy posiadali, im odebrała. W roku 1717 szlachta przeprowadza zakaz sprawowania innowiercom nabożeństw publicznych i budowania nowych świątyń. W roku 1718 wyrzuca z sejmu posła ziemi wieluńskiej jako protestanta. W roku 1733 i w 1736 na sejmach przeprowadzono ustawę zabraniającą innowiercom zasiadania w sejmie i w trybunałach oraz sprawowania innych urzędów. Szlachcic-katolik pozazdrościł równouprawnienia szlachcicowi-niekatolikowi, spychając go na stanowisko takie w państwie, jakie miał wówczas chłop lub Żyd. Nietolerancyjne stanowisko szlachty ujawniło się też na sejmach w latach 1764— 1766, gdzie posłowie szlacheccy, wrzeszcząc całymi godzinami przeciw projektom tolerancyjnym, robili wrażenie nieprzytomnych wariatów. Do wytrwałości w tej wrzaskliwej obstrukcji zachęcali szlachtę tacy „głęboko religijni” dygnitarze, jak np. Franciszek Ksawery Branicki, który wyrażał się, że wiara w nieśmiertelność duszy, bojaźń diabła i piekła bałamuci żołnierza, osłabiając w nim męstwo, albo krakowski biskup Sołtyk, który w sejmie komenderował wrzeszczącym tłumem szlacheckim, oponując przeciw dopuszczaniu dysydentów do sejmu i sądów i zapowiadając burzenie fundamentów pod nowe zbory ewangeliczne zakładanych. To nie przeszkadzało mu jednak układać się poza plecami tępych, fanatycznych i reakcyjnych posłów z ambasadorem rosyjskim, Repninem, któremu przyrzekał uwzględnienie żądań mniejszości wyznaniowej pod warunkiem, że utrzymane zostanie w Polsce... liberum veto!

Ciemne narzędzia w ręku siewców anarchii okazały się jednak bohaterami na małą skalę. Dopuściwszy obce państwa do mieszania się w wewnętrzne spory wyznaniowe, ustąpiły pod ich naciskiem. Tego, czego ci wychowankowie jezuitów nie chcieli dać innowiercom w roku 1764 dobrowolnie, w poczu-

ciu obywatelskiej sprawiedliwości, dali im w roku 1768 pod naciskiem obcych bagnetów, a potwierdzili na sejmie rozbiorowym w roku 1773.

W dniu 5 marca 1768 roku sejm uchwalił i zatwierdził akt o równouprawnieniu dysydenckich wyznań z katolicyzmem. Nie było to uprawnienie pełne, albowiem wiara rzymskokatolicka miała być wieczyście panującą, na tronie polskim zasiadać mógł jedynie król wyznający religię katolicką, a kto by proponował wybór króla inną religię wyznającego, miał być uznany za wroga ojczyzny. Przejście z katolicyzmu na inne wyznanie miało być traktowane jako kryminalny występki i karane wygnaniem z państwa. Odtąd nie wolno było nazywać innowierców-chrześcijan heretykami, odszczepieńcami i schizmatykami. Wiara ich nie mogła być nazywana sektą czy herezją.

Innowiercom, urzędowo nazwanym teraz dysydentami, miały być zwrócone pozabierane cerkwie, zbory, szpitale wraz z ich funduszami. Dawny obowiązek opłacania należności stułowych przez dysydentów także proboszczom katolickim został zniesiony. Zakazano księżom pobierać datki od szlachty, mieszczan i chłopów-dysydentów. Zwyczaj kołędowania przez kler katolicki w domach dysydentów skasowano, jak i zwyczaj uzyskiwania biletów (pozwoleń) dla sprawowania obrządków swojej religii, np. pozwoleń na zawarcie związku małżeńskiego. Zatrzymano tylko obowiązek płacenia dziesięciny. Przyznano dysydentom wolność budowania świątyń, dobierania duchownych, wolność obrządków, a także drukowania książek do nabożeństwa, bo tych im w kraju nie wolno było drukować. Małżeństwa między osobami różnej religii nie miały być nikomu bronione. Również innowiercy nie mogli być przymuszani do obchodzenia świąt katolickich. Wiele też innych postanowień regulowało samorząd kościelny, usuwając z dotychczasowej praktyki przeżytki średniowiecza. Co prawda, ten akt tolerancji wymuszony został na sejmie rozbiorowym naciskiem carowej rosyjskiej i królów: pruskiego, duńskiego, angielskiego

i szwedzkiego. Na akcie figurują podpisy posłów, a spośród kleru podpisał go prymas Podoski, biskup kujawski i pomorski, Ostrowski, biskup poznański, Młodziejowski i biskup inflancki, Gedroję.

Prawo to kładło kres gwałtom w polskich stosunkach międzywyznaniowych. Przez kler zostało przyjęte z nienawiścią, która wyładowała się w paszkwilach, kierowanych także przeciw królowi Stanisławowi Augustowi. Jeden z takich paszkwilów, znaleziony na strychu dworku w Kleczy, nawiązując do dnia 5 marca 1768 roku, kiedy sejm ratyfikował prawa dysydentów, nazywa to „pogrzebem wiary”, króla „bezbożnym Julianem”, który „sprzedał wiarę”, a mógł sobie wywracać prawa i odmieniać rządy państwa, nie tykając wiary, bo „wywracając Rząd Polski wina nie tak sroga”.

Oto treść tego paszkwilu:

POWINSZOWANIE NA ROK 1769 KRÓLOWI

Krótko ci chcę powiedzieć, Panie Stanisławie,
Juże przegrał, już dekret stanął w twojej sprawie.
Panowałeś trzy lata, strawiłeś Rok Czwarty.
Teraz pono Rok Piąty będziesz mieszkać z Czarty.
Nie wynoś się, Kochanku, tak będzie, nieboże.
Płaczów ludzkich moskiewska siła nie przemoże.
Biją oni, ty każesz, krzywda wierze sroga,
To troje cię wzburzyło u ludzi, u Boga,
Życzą Ci za to wszyscy od Boga nagrody,
Ze pozwalasz w owczarni wilkom robić szkody.
Wołają zewsząd zemsty te okrutne razy,
Których wszyscy doznają przez twoje rozkazy,
Płaczą po kątach wierni, patrzą na to smutni,
Że górują nad prawdą fałszywce okrutni,
Łzy wiernych, krew poddanych, ucisk świętej wiary
Są to znaczne do zemsty na Ciebie filary.
Pójdą w górę te głosy, te płaczliwe jęki,
Wyciśnione moskiewskiej udręczeniem ręki.
Będą wołać o zemstę, jak owi wołali

Spod ołtarza, którzy krew niewinną wylali.
 Bóg za krzywdę swej wiary mścić się nie przestanie,
 Bo z Bogiem nie jak z ludźmi sprawa Mości Panie.
 Zdradziłeś całe Państwo, złomawszy przysięgę,
 Wziąłeś za łeb swych ziomków przez cudzą potęgę,
 Daleś się już we znaki wszystkim w ciężkiej dobie,
 Ale z Bogiem nie wskórasz, da on się znać Tobie.
 Mogłeś wywracać prawa, znosić zwyczaj stary,
 Odmienić Rządy Państwa, nie tykając wiary.
 Wywracając Rząd Polski wina nie tak sroga,
 Ale sprzedawać wiarę, gniew pewny od Boga.
 Pogrzeb był wiary w piątek dzień Marca Miesiąca,
 Tegoż dnia w grób Cię wtrąci, który z tronu strąca.
 Płacz za płacz, krew za krew, życie za życie
 Oddasz, ale za wiarę twoje w piekle bycie.
 Odstępcu Wiary Przodków, drugi Koprowinie,
 Lżysz Wiarę, gniewasz Boga, szpecisz Polskie Imię,
 Bezbożny Julianie, tak Cię nazwać muszę.
 Co czynisz, stań, postrzeż się, czy Czartu dasz duszę?
 Rozumiesz, że Jej nie masz, żeś bez Dusze Ciołek,
 Bo miły będzie z Ciebie miał diabeł rosołek.
 A wierz mi, że on doda niesmacznej przyprawy,
 Gdy tak skończysz, jak żyjesz, bez wszelkiej poprawy.
 Już przeciągu twej złości Rok Piąty nadbiega,
 Już się zabrnął daleko, stoisz blisko brzegu.
 Już krwie ludzkiej niemało zabierają wieki,
 Wróć się, nie chodź tam, śmiało, zostaniesz na wieki,
 Albo idź, idź, co prędzej dopełniaj swej miarki,
 Jak zginiesz albo nasze wolne będą karki,
 Jako Ci życzy ten, który twoje Panowanie
 Uczuł srodze z drugimi, okrutny Tyranie.
 Zgadnijże kabalisto, ja w Warszawie żyję,
 Bardziej o krzywdę wiary, niżli dbam o szyję.
 A rad bym tę pamiątkę zostawił wiekowi,
 Żem jest z tych, którzy prawdę wbrew mówią królowi.

W formę wiersza ujęto tu wszystkie te zarzuty, jakie przeciw królowi szerzyła konfederacja barska. Dodano tu jeszcze sporą dozę nienawiści. Strącenie Poniatowskiego z tronu stało się powszechnym hasłem konfederackim. Motorem agitacji była sprawa wyznaniowa. Nie kto inny, tylko prymas Podoski,

wskazywał carowej Katarzynie usunięcie z tronu Poniatowskiego jako jedyny środek spacyfikowania kraju. Władze konfederackie, urzędujące w Białej, w księstwie oświęcimskim, a właściwie w Bielsku na zamku Sułkowskich, chronione twierdzami w Lanckoronie, Tyńcu, Grojcu i Łodygowicach, ogłosiły 14 maja 1770 roku manifest, w którym nazwały Poniatowskiego przywłaszczycielem tronu i tytułu królewskiego i wezwały go do stawiennictwa przed konfederacją, zagrażając mu wyjęciem spod prawa, jeśli się nie stawia. Według prawa pospolitego manifest należało królowi doręczyć, aby go można było egzekwować. W charakterze konfederackiego woźnego wyprawiono z manifestem do Warszawy Strawińskiego. Nienawiść do króla, jaką żywił, była najlepszą gwarancją, że jedynie on zadanie to potrafi wypełnić. Strawiński wkręcił się na Zamek Królewski i wraz z innymi petentami doręczył królowi manifest. Król nie wglądał w treść wręczanego mu pisma, a gdy się zorientowano, co za dokument król odebrał, Strawińskiego już w Warszawie nie było. Król przed konfederacją się nie ugiął, trzeba więc było zapowiedź manifestu wykonać. Znowu podjął się tego Strawiński i plan swój przedłożył Kazimierzowi Pułaskiemu, obozującemu wówczas w twierdzy częstochowskiej. Według planu zabrał ze sobą do Warszawy oddział wojskowy z 30 ludzi złożony. Aby ująć uwagi stacjonującego w Warszawie wojska rosyjskiego, wojskowi poprzebierali się za chłopów wiozących do stolicy siano i zboże, w sianie ukryli broń, i tak zmylili czujność straży rogatekowej. W Warszawie zakwaterowali się w zajeździe dominikanów. Strawiński wywiedziało się, gdzie nazajutrz pójdzie król na wieczerzę, i tam czatował z oddziałem na niego. Gdy król wieczorem wracał kareta, otoczyli go spiskowcy, przy czym przyszło do walki ze strażą króla, w której zabito jednego hajduka, a kilku poraniono. Podczas tego tumultu król wymknął się z karety niepostrzeżenie i chciał się schronić w pałacu swego wuja, Adama Czartoryskiego. Stukał do bramy, lecz wtedy go poznano, cięto w głowę pałaszem, potem osadzono na koniu i otoczony

konwojem spiskowców musiał z nimi ruszyć w drogę. W drodze koń wpadł w bagno, przy czym król zgubił futro i trzewik. Spowodowało to dość długi postój, a że ciemna noc była, nie zorientowano się, że na postoju był król z towarzyszącym mu spiskowcem Kuźmą. Oddział odjechał, a tymczasem Kuźma szukał buta i futra królewskiego. Gdy ruszyli, oddziału przedniej straży już nie było. Kuźma stracił orientację co do kierunku, w którym Strawiński poszedł, a wtedy król zaczął go namawiać, żeby mu wrócił wolność. Kuźma był bezradny i gdy ukazało się w pobliżu światło, pod wpływem namowy króla i obietnicy bezkarności, odprowadził króla w kierunku światła, do domu młynarza. Tu zgodził się, by król posłał młynarza z kartką do komendanta gwardii królewskiej na Zamku, a sam pozostał na straży przy królu, aż do nadejścia powozu i ochrony wojskowej. Kuźmę, któremu król przyrzekł bezpieczeństwo i nagrodę, zostawiono pod nadzorem w Zamku. „Wysypał” on wszystkich spiskowców. Sprawa o zamach na osobę króla podlegała orzecznictwu sądu sejmowego, złożonego z posłów i senatorów. Z przewodu sądowego dochowały się liczne mowy „instygatorów”, „delatorów”, „indukty”, „odpowiedzi”, „repliki”, „justyfikacje”. Również mowa króla za królobójcami, prawdziwe cacko krasomówstwa, w formie druku była doręczona członkom sądu. Dwa lata trwało postępowanie karne. Dopiero 10 września 1773 roku wykonano wyrok w Warszawie. Straceńców, Łukawskiego i Cybulskiego, prowadzono tymi samymi ulicami, przez które oni króla wiedli, aż po okopy miasta. Łukawski przed ścięciem nie dał sobie oczu zasłonić i zawołał: „Nie trzeba mi tego — ja się śmierci nie lękam.” Towarzysz jego, Cybulski, kilka razy mdlał. Żona Łukawskiego, skazana na trzy lata więzienia, musiała patrzeć na śmierć męża. Padła nieprzytomna, a w dwa dni później zakończyła życie. Kuźma skazany został na banicję, żył za granicą, jednak król dawał mu roczną zapomogę 300 dukatów. Z czasem wrócił do kraju i zmarł w Warszawie w roku 1822. Peszyński i Frankenberg zostali zamknięci w twierdzy kamienieckiej,

skąd ich zwolnił car Paweł wskutek protekcji eks-króla, Stanisława Augusta. Tubalowicz i Słonczyński zmarli w więzieniu. Pułaski zaś i Strawiński ratowali się przed karą śmierci ucieczką z Polski. Pułaski pojechał do Ameryki, gdzie wstąpił się jako uczestnik i bohater walk o wolność i niepodległość. Wielu uczestników nie zostało ujawnionych i schwytanych.

To niefortunne przedsięwzięcie — porwanie króla — które miało ratować konfederację barską, dobiło ją moralnie. Nawet Rzym chciał osłabić wrazenie i oburzenie, jakie ten krok sprawił w całym świecie. Toteż z Rzymu kolportowano wieści, jakoby zamach był uplanowany jako prowokacja stronnictwa królewskiego, dla zohydzenia w oczach świata konfederacji, i jakoby również prymas Podoski, na rachunek barszczan, podobny zamach na siebie uplanował, aby mógł uchodzić za męczennika, w czym miał mu pomagać ambasador rosyjski. Watykan niechętnym, a nawet złym okiem patrzył na króla Stanisława Augusta, toteż gdy poseł polski w Rzymie chciał wymóc na papieżu Klemensie XIV urządzenie jakiejś uroczystości z racji ocalenia króla, niewiele wskórał. Papież ograniczył się tylko do wysłania listu do króla, w którym za ocalenie polecił mu poświęcić całe życie swoje i królewską pieczołowitość na spełnienie obowiązków względem Kościoła i ojczyzny, bo w ten sposób udowodni, że próżne i płoche są pobudki jego przeciwników, „niby” obrońców praw narodu i religii katolickiej. Jeden z pamiętnikarzy wspomina, że król od chwili tego porwania żył w lęku, ciągle miał przeczucie, że zginie śmiercią gwałtowną, że pewnie skończy jak Karol I angielski. To się nie sprawdziło, ale z poddaniem się twierdz Częstochowy, Tyńca i Lanckorony upadła i barska konfederacja, a Polska w pierwszym rozbiornie uległa podziałowi jak „placек królewski, rozkrajany na śniadanie”.

* *
*

Namiętności wyznaniowe i fanatyzm ustąpiły dopiero wówczas, gdy po rozbiorze Polski przysłała refleksja, do jak strasznej katastrofy państwowej doprowadziło jezuickie kierownictwo sumień i mózgów, a tym samym i politycznych poczynań szlacheckich „czynnych katolików”. Opieranie spraw państwowych na gruncie wyznaniowym było jednym z największych błędów polityki szlachecko-klerykalnej. Zapominano, że Polska była państwem wielowyznaniowym, a nie wyłącznie katolickim. Oddanie jednemu wyznaniu panowania nad innymi, czyli uczynienie z katolicyzmu „wyznania panującego” nad sumieniami reszty, zraziło do Polski nie tylko miliony ludności krajowej, ale także liczne narody w świecie. Wzruszającą była pobożność konfederatów barskich, ale w tych ciężkich chwilach nawet papież nie przysłał konfederatom błogosławieństwa.

Polska szlachecka ginęła, los jej jednak nikogo w świecie nie wzruszał, bo widziano w niej przeżytek nietolerancji i fanatyzmu.

Kacerze

Papież Aleksander IV wprowadza w Polsce w roku 1257 Świętą Inkwizycją — Istota procesu inkwizycyjnego — Zamek lipowiecki więzieniem biskupim — Pochodzenie obelgi „kociarze” — Sekty biczowników, dulcyniatów, beginek i begardów — Nauki husyckie — Antyheretycki edykt wieluński — Papież Marcin V i król Jagiełło — Biskup Oleśnicki w roli polskiego Torquemady — Sekta jamników — Spalenie mieszcanki Wayglowej w Krakowie — Inkwizytor Melchior z Mościsk — Postępowanie inkwizycyjne przeciw książkom i drukarniom — Palenie na stosach druków i bibliotek — Walka biskupów z protestantami — Sprawa „heretyka” Kazimierza Łyszczyńskiego — Sprawa toruńska — Procesy o świętokradztwo — Spalenie Doroty Łazęckiej — Procesy o mordy rytualne w Sandomierzu, Żytomierzu i Krasnymstawie — Dewocja i okrucieństwo

Istny szał, jaki na zachodzie Europy opanował zakonników reguły św. Franciszka i św. Dominika w tępieniu herezji ujawniał się w mnóstwie wyroków trybunałów Św. Inkwizycji, kierowanych przez tych zakonników. Ten obłądny fanatyzm przedostał się też do Polski. Organizacja zakonów miała charakter międzynarodowy, a wymiana między nimi ludzi i poglądów, naśladownictwo praktyki należały do zjawisk codziennych. Nic więc dziwnego, że i praktyki inkwizycyjne w Niemczech, Francji, Hiszpanii były naśladowane także w Pol-

sce. Polska obdarzona została w roku 1257 przez papieża Aleksandra IV Św. Inkwizycją. Odtąd, do roku 1570, urzędowali w Polsce inkwizytorowie. Wprowadzenie do Polski Św. Inkwizycji oznaczało nic innego, tylko zmianę kościelnej procedury karnej. Dawniej sądy kościelne sprawowały sądownictwo według zasad prawa rzymskiego, na którym wzorowało się prawo kościelne. Wdrożenie procesu następowało na podstawie pisemnej lub protokolarnej skargi, proces toczył się w granicach tej skargi, za skargę zaś swą był skarżący odpowiedzialny wobec oskarżonego. Postępowanie sądowe w procesie kanonicznym było ustne i publiczne, przyznanie się zaś oskarżonego, które uchodziło za najważniejszy dowód w procesie — za „królową dowodów” — nie mogło być wymuszane, aby mogło przedstawiać wartość dowodową. Kościelne sądy inkwizycyjne stosowały procedurę całkiem odmienną. Rolę odpowiedzialnego w procesie kanonicznym oskarżyciela pełnili w procesie inkwizycyjnym szpicle, prowokatorzy, denuncjanci, których nazwiska były pod ochroną tajemnicy urzędowej i nigdy ich oskarżonemu nie wyjawiano. Przewód sądowy odbywał się tajnie, a nazwiska świadków, obciążających oskarżonego, trzymane były również w tajemnicy. Stąd to na sejmach polskich oburzenie, że sądzi się „w piwnicach biskupich”.

Dowód z przyznania się oskarżonego w procesie inkwizycyjnym wolno było uzyskiwać w drodze wymuszenia przez zastosowanie tortur. Wszystkie czynności procesowe, jak oskarżenie, śledztwo, przeprowadzenie rozprawy i wyrokowanie, sprawował jeden i ten sam sędzia — inkwizytor.

Przy każdym biskupstwie istniał jeden taki trybunał, a wszystkie one podlegały „wielkiemu inkwizytorowi”, mianowanemu przez papieża spośród duchownych zakonu dominikańskiego lub franciszkańskiego. Jeżeli trybunał Św. Inkwizycji zasądził kogoś na śmierć, wydawał skazanego władzy świeckiej, ta zaś obowiązana była wyrok wykonać, w przeciwnym bowiem razie spadał na nią grom klątwy biskupiej. Nie-

które kary, jak np. karę więzienia, nałożoną na księdza, wykonywały same sądy kościelne.

W diecezji krakowskiej więzienie dla księży znajdowało się w zamku w Lipowcu, zbudowanym przez biskupa krakowskiego Prandotę. Takie więzienie znajdowało się też w zamku biskupim w Bodzęcinie.

Do dnia dzisiejszego fanatycy wyznaniowi posługują się w stosunku do wyznawców innych religii obelgą „kociarze”. Obelga ta przedostała się do Polski z Niemiec, a źródłem jej jest bulla papieża, Grzegorza IX, wydana w roku 1233 przeciw niemieckiej sekcji stedingów. Papież przedstawił w swej bulli stedingów jako stowarzyszenie mające na celu kult diabła. Przyjęcie do tego stowarzyszenia odbywać się miało według ceremoniału tak przez papieża opisanego: „Kiedy nowicjusz ma być przyjęty i wejść po raz pierwszy do tej szkoły wyrzutków, wtedy pojawia się w ich gronie żaba, także ropuchą nazwana, i wtedy jedni składają ohydny pocałunek na jej tyłku, drudzy wylizują jej z pyska pianę. Bywa ona czasami zwyczajnej wielkości, czasami jak kaczka lub gęś, ale też czasem tak wielka jak piec. Po tej ceremonii pokazuje się człowiek dziwnej bladeści, z czarnymi oczyma, tak wynędzniały i chudy, że zdaje się, jak gdyby wcale nie miał ciała i jakby sama skóra wisiała na jego kościach. Gdy go nowicjusz pocałuje, co zrobić musi koniecznie, poczuje od niego zimno jakby z lodu i natychmiast straci pamięć nawet wiary katolickiej. Po czym rozpoczyna się rozpustna biesiada bez światła, bez względu na płeć i pokrewieństwo, przy końcu której pojawia się znowu kot czarny z podniesionym w górę ogonem, a wszyscy przytomni całują go pod ten ogon.” Echo tej bulli papieskiej, streszczające się w jednym jedynym dla „wtajemniczonych” treściwym słowie „kociarze” (kacerze), daje się jeszcze dziś słyszeć w Polsce, chociaż tutaj sekty kociarzy — stedingów nie było. W połowie wieku XIII pojawiła się w Polsce sekta biczowników. Nauka i praktyki tej sekty przeszczepione zostały do Polski z Włoch za pośrednictwem Czechów i Niemców. Ty-

siące wyznawców tej sekty, uznając wojny za karę bożą, dla prześlągania gniewu bożego urządzały publiczne procesje, w czasie których biczami, złożonymi z kilku rzemieni, zakończonych żelaznymi kulami lub kolcami, biczowały się, śpiewając hymny pokutne. Fanatyzm ten uznany został przez Kościół za gorszący. Sektę tę w Polsce władze kościelne wytępiły przy pomocy władz świeckich.

Za panowania króla Łokietka rozwijała w Polsce działalność sekta włoska „apostolskich braci i sióstr wolnego ducha”, zwana także dulcyniatami, od wodza jej Dulcina. Zadaniem tej sekty było naśladowanie życia apostołów i zreformowanie tą praktyką Kościoła. Papież, Klemens V, ogłosił nawet krucjatę przeciw tej sekcje, uznanej za heretycką, a Dulcin i jego towarzysza, Małgorzata, zostali spaleni na stosie. Biskupa krakowskiego, Muskatę, posądzając papież, Jan XXII, o zbyt powolne tłumienie tej sekty i listami zachęcał go do gorliwego jej tępienia, i właśnie przy tej okazji wznowił w roku 1318 w Polsce Św. Inkwizycję. Inkwizytorem w diecezji krakowskiej był Mikołaj, franciszkanin z Krakowa, a w diecezji wrocławskiej Peregrin, dominikanin z Opola. Zwłaszcza ten ostatni inkwizytor spalił wielu dulcyniatów w Świdnicy, Wrocławiu i innych miejscowościach na Śląsku.

Inkwizycja ta zabrała się następnie do tępienia sekty beginek. Był to rodzaj zakonu żeńskiego, którego rozmyślenia i marzenia nie podobały się hierarchii kościelnej. Sektę tę zaprowadziła w Polsce Jadwiga, żona króla Łokietka, osadzając ją w Sandomierzu. Podobna do beginek była sekta męska begardów, przeciw którym nawet w roku 1330 ustanowiono specjalny trybunał inkwizycyjny. Dużo kłopotu miała inkwizycja z naukami Piotra Jana Piraneńskiego. Walczyli z nim i jego sektą inkwizytorzy: Konrad i Piotr z Krakowa, Szwenkenfeld ze Świdnicy, Jan Chryzostom z Poznania i Waclaw z Wrocławia. Nienawiść była tak straszna, że inkwizytorzy kazali nawet rozkopać grób Piraneńskiego i zwłoki jego spalić na stosie.

Gdy po bohaterskiej śmierci spalonego w czasie soboru

w Konstancji Jana Husa posadami środkowej Europy zatrząsły wojny husyckie, prowadzone przez lud czeski z Niemcami i hierarchią kościelną, zasady nauk husyckich znalazły wielu wyznawców w Polsce, gdzie hierarchia kościelna, z kardynałem Zbigniewem Oleśnickim na czele, wprowadziła dyktaturę dygnitarzy kościelnych nad sumieniami społeczeństwa. Husytyzm w Polsce był nie tylko ruchem religijnym, ale i antyklerykalnym ruchem politycznym. Z tego to czasu pochodzą legendy o rzekomym napadzie husytów na klasztor jasnogórski w Częstochowie, o jego spaleniu i sponiewieraniu obrazu Matki Boskiej i zrabowaniu kosztowności. Pod wpływem tych bredni tłum w Krakowie urządził w roku 1430 rzeź husytów. Później wyjaśniło się, że napadu na klasztor dokonali polscy szlachcice pod wodzą Jana Kuropatwy i Jakuba Nadobnego, za co odsiadywali karę w wieży zamku wawelskiego.

Długosz w *Dziejach Polski* tak streścił nauki husytów: „Rzymski biskup wszystkim innym biskupom jest równy. Pomiędzy księżmi żadnej nie ma różnicy. Kapłana nie czyni wyższym godność, ale cnota i zasługa. Dusze z ciał wychodzące natychmiast albo idą na wieczne męki, albo wiekuiastą otrzymują szczęśliwość. Ognia czyścowego nigdzie nie ma. Próżne są modlitwy i nabożeństwa za zmarłych, wynalazło je łakomstwo księży. Obrazy Boga i Świętych powyrzucać trzeba. Święcenie wody i żegnanie ręką śmiechu są godne. Zakony żebrzące sami czarci wynaleźli. Kapłani powinni żyć w ubóstwie, przestając na jałmużnie. Każdemu powinno być wolno opowiadać słowo Boże. Żaden grzech ciężki, nawet dla uniknięcia większego złego, nie może mieć pobjaźania. Kto w śmiertelnym jest grzechu, ten nie może żadnej, ani świeckiej, ani duchownej, piastować godności i podlegać mu nie należy. Bierzmowanie, którego udzielają biskupi, i ostatnie namaszczenie nie należą bynajmniej do sakramentów świętych. Spowiedź tajemna to niepotrzebne plotki, dosyć jest, gdy choć w domu wyznasz przed Bogiem swoje grzechy. Chrzt z rzecznej wody nie powinien mieć żadnych przydatków oleju świętego.

Cmentarze niepotrzebne są, wynaleziono je tylko dla zysku, w każdym miejscu pogrzebać można umarłego. Kościołem Boga najobszerniejszym jest sam świat, ścieśnia Majestat Boski, kto kościoły, klasztory i domy modlitwy buduje, jakby w nich większa miała być dobroć Boska. Kapłańskie szaty, ozdoby ołtarzy, nakrycia, korporały, kielichy, patyny i inne tego rodzaju naczynia żadnego nie mają znaczenia, kapłan może w każdym miejscu i czasie uprzytomnić Ciało Chrystusowe i udzielić go żądającym, dosyć jest, aby wymówił słowo sakramentalne. Wzywanie Świętych, którzy już z Chrystusem w niebie królują, jest daremne i na nic się nie przyda. Odmawianie i śpiewanie przepisanych pacierzy kapłańskich próżno czas zabiera. Żaden dzień nie jest wolny od pracy, wyjąwszy tak zwany dzień niedzielny. Uroczystości na cześć Świętych Pańskich porzucić należy. Posty także przez Kościół nakazane żadnej nie dają zasługi przed Bogiem."

W roku 1424 Św. Inkwizycja doznaje znakomitego poparcia ze strony państwa w wydanym przez króla Jagiełłę edykcje wieluńskim. W edykcji tym król postanawia „błędy heretyckie zaraźliwe odpędzać od granic”, „mieczem je gromić, ku ukaraniu srogością ludzką tych, co się nie lękają cenzur kościelnych”. Dalej edykt postanawia:

„Wyśledzonego w Królestwie naszym polskim i na ziemiach nam podległych jakiegokolwiek heretyka lub herezję zarażonego, obrócić jej czy przewodcę, jako znieważcę majestatu królewskiego, pojmać i według miary występku karać mają nasi starostowie, rajcy miejscy i inni urzędnicy oraz wszelacy nasi poddani na urzędach i poza urzędami pozostający. Ci zaś, którzy przybywają z Czech i nachodzą nasze Królestwo, ujęci wydani być mają biskupom, dla wybadania, albo ustanowionym przez stolicę apostolską znawcom heretyckiej niecnoty. Który by zaś mieszkaniec Królestwa naszego, jakiegokolwiek stanu, godności, stopnia i stanowiska, od dziś dnia do najbliższego święta Wniebowstąpienia z Czech powrócić zaniedbał, nie chciał lub zlekceważył, ma być uznany za jawnego here-

tyka i podpadnie karom zwykłym na heretyków ani do Królestwa nie będzie mógł wrócić. Wszelkie ich dobra ruchome i nieruchome ogłoszone zostaną za przepadłe na rzecz skarbu naszego, potomkowie ich tak męscy, jak żeńscy utracą prawo wieczystego dziedziczenia oraz cześć, nigdy żadnych dostojęństw nie będą mogli dostąpić, pozostając wraz z ojcami i rodzicami swymi pod wieczną infamią, wreszcie nigdy nie będą się cieszyć przywilejami albo zaszczytem szlachectwa."

Król Jagiełło nie mógł się zdecydować na żadne mocne postanowienie w sprawie stosunku Polski do Czech, ulegał bowiem wpływom kleru, który wykorzystywał jego strach przed piorunami i zabobonność oraz skłonność do seksualnych lubieżności. Agitowany przez kler Jagiełło przygotowywał wyprawę krzyżową do Czech przeciw husytom, jednak brak pieniędzy, których papież skąpił, przeszkodził w wykonaniu tego planu. Za to papież Marcin V obdarzył szczerze Jagiełłę listami, które rzucają ponure światło na fanatyzm tego średniowiecznego reprezentanta chrześcijaństwa. Długosz w *Dziejach Polski* przytacza dosłownie list papieski z roku 1429. W liście tym papież zaklina Jagiełłę na litość i miłosierdzie Jezusa Chrystusa, aby gorliwie i z ochoczym sercem podjął się obrony świętej sprawy przeciw heretykom, celem nawrócenia ich w pokój albo ukrócenia siłą po nieprzyjacielsku. „A jeśliby trwali — pisze papież — upornie w swoich błędach, nadajemy ci wolność i władzę napadania zbrojno w Naszym i Kościoła imieniu na ich miasta, miasteczka, wsie i włości, zabierania ich w niewolę i wedle brzmienia ustaw kanonicznych prześladowania aż do zagłady." W liście ogłosił papież poglądy moralne, godne zaślepionego nienawiścią fanatyka, dyszącego ślepą i namiętą zawiścią okrutnika, niegodne jednak namiestnika Chrystusowego. „W każdej sprawie — pisał on — gdzie idzie o utrzymanie wiary świętej, godzi się i należy owszem działać i występować nie tylko przeciw umowom i obietnicom, ale nawet przeciw prawom przyrodzonym, krewnemu, bratu, ojcu i synowi, ani może się nazywać zbrodnią, cokolwiek pod-

jęte jest w obronie wiary katolickiej." Według tych poglądów papieskich działali też inkwizytorowie.

Od czasu gdy inkwizytor Marcin z Brzezia w roku 1437 ogłosił publicznie wezwanie, aby mu dostawiono heretyków, ilość procesów inkwizycyjnych wzrasta. Inkwizycja doznaje pod wpływem biskupa Oleśnickiego dalszego wzmocnienia, gdy na zjeździe w Nowym Korczynie panowie duchowni i świeccy przeprowadzają zawiązanie konfederacji, zobowiązującej do tępienia herezji przy pomocy oręża. Akt konfederacji postanawia, iż gdyby którykolwiek obywatel „chciał wszczynać lub wspierać błędy heretyckie, przeciw takiemu lub takim bez względu na stan, stopień i stanowisko, czy to będzie duchowny, czy świecki, powstaniemy, aby ich wytepić, co przyrzekamy pod wiarą i czią, wyłączając zdradę i podstęp. A choćby nam lub komukolwiek z naszych byli krewnymi, powinowatymi czy z innych powodów bliskimi, nie będziemy za nimi obstawać, pod wiarą i czią naszą, ani słowem nie będziemy się wstawiać za nimi, lecz chcemy i przyrzekamy każdego z nich karać."

Jak takie „karanie" wyglądało, dowodzi wyprawa urządzona przez biskupa poznańskiego, Jędrzeja Bnińskiego, na czele 900 „raubritterów", urządzona na zamek Zbąszyn Abrahama Zbąskiego. Zamek ten zdobyto i uprowadzono z niego do Poznania 5 księży husyckich, których biskup kazał spalić na stosie w Poznaniu.

Wyprawy karne spowodowały związanie się w roku 1439 w konfederację przeciwników Oleśnickiego pod dowództwem Spytka z Melsztyna, który biskupie dobra najeżdżał, a potem podjął się wyprawy celem pojmania Oleśnickiego, która to wyprawa nieszczęśliwie się dlań skończyła, bo poległ w bitwie pod Grotnikami. Poległemu „heretykowi" zwycięska konfederacja biskupia odmówiła honorowego pogrzebu, toteż przez trzy dni zwłoki leżały na polu, oddane na pastwę krukowi i wronom, a zboląła żona ledwo je wyprosiła i pogrzebała w Piaskach.

Podobnie jak czescy husyci, tak i polscy potępiali rozpolitykowanie i bogacenie się kleru, żądali zniesienia podatku dziesięcinowego i zniesienia jurysdykcji kościelnych sądów, a w polityce zewnętrznej pragnęli zbliżenia Polski do Czech przez doprowadzenie do objęcia czeskiej korony przez syna króla Władysława Jagiełły — Kazimierza.

W walce tej ostatecznie ci „polscy husyci" ulegli rządzącej partii Oleśnickiego. Zamki magnatów, sprzyjających Czechom, zdobywano i konfiskowano, a klątwy kościelne, rzucone na „heretyków, zarażonych husycką herezją", wspierano konfiskowaniem majątków wyklętych. Trybunały Św. Inkwizycji skazywały „heretyków" na śmierć przez spalenie na stosie. Toteż wówczas z największym nasileniem palono na stosach księży, podejrzanych o kacerstwo, idąc w ślad za soborem w Konstancji, który spalił Husa. Około 1500 roku biskup inowrocławski, Czesław Kurozwiank, kazał spalić na stosie księdza rozdającego komunię pod dwiema postaciami. W tym czasie stronnictwo kościelne było u szczytu potęgi, toteż inkwizytorowie w pocie czoła pracowali nad zgębieniem wszystkich opozycjonistów, niezadowolonych z polityki polskich dygnitarzy kościelnych.

Z początkiem wieku XVI pojawiła się w Polsce sekta „jamników". Oskarżono ją przed Św. Inkwizycją, że schodząc się potajemnie w nocy w „jamach", wyszydza sakramenty i oddaje się rozpuście. Inkwizytor krakowski, Albert z Płocka, wychwytał sekciarki-niewiasty, poddał je chłóście, a następnie spalił na stosie. W podobny sposób zlikwidowała Św. Inkwizycja sektę tę we Lwowie.

Jednym z dzieł polskiej Św. Inkwizycji za Zygmunta I było spalenie Żyda na Rynku krakowskim w roku 1508 z rozkazu inkwizytora dominikanina Mikołaja, a w roku 1539 — Katarzyny Wayglowej, 80-letniej staruszki, mieszcanki, żony złotnika i krakowskiego radcy miejskiego, zwanej także Melcherową. Zarzucono jej zaprzeczenie prawdom ewangelicznym i odstępstwo od katolickiej wiary dla wiary żydowskiej. Wy-

rok okrutny wydał krakowski biskup Gamrat, znany opój i rozpustnik, zażyły przyjaciel żony króla Zygmunta I, Bony, sławny z „powiedzonka”: „wierz nawet w kozła — byłeś mi dziesięcinę płacił”.

Z upadkiem polskiego Torquemady, Oleśnickiego, upadło też znaczenie stanu duchownego i jego świętych trybunałów tak dalece, że w roku 1527 synod kościelny w Łęczycy musiał ponownie uchwalać wznowienie działalności Św. Inkwizycji, a uchwały te ponawiały synody w Piotrkowie w roku 1542 i 1544, gdy w Polsce zaczęły się szerzyć nauki Lutra. Ostatnim inkwizytorem, spośród 45 inkwizytorów w Polsce, był dominikanin Melchior z Mościsk, którego Bandtkie nazywa „żarliwym i zuchwałym”. Pisarze kościelni twierdzili, że u o. Melchiora, gdy dysputował z heretykami, widywano płomień z ust jego wybuchający. Gdy zaś razu pewnego wygłaszał kazanie o sędzie ostatecznym, twarz jego stała się tak jasna, „jakoby na Sędziego wszechmocy kto patrzył”, przy tym „był słuchaczom pożyteczny i miły, ale w oczach dla światłości z niego wynikającej straszny”. Był on też kaznodzieją nadwornym i spowiednikiem królewskim. W tym charakterze potrafił zdobyć się na bezczelność. Protestanci czynili zabiegi u króla Zygmunta Augusta o zezwolenie na druk książek, a „gdy się król heretykom na ich księgi chciał podpisać, dając dozwoleństwo, aby je drukowano, Melchior obaczywszy (nie oglądając się na króla doczesnego, ale raczej na Króla nad Królami, Boga) królowi z ręki pióro wyrwał, kałamarz strącił, i za to królowi pokutować kazał”. Zmarł on w roku 1591.

Z dziejów Św. Inkwizycji w Polsce to jest widoczne, że dobierała się ona przeważnie do ludzi słabych, z ludu mieszczańskiego i wiejskiego pochodzących, albo należących do stanu duchownego. Za to wystrzegano się zatargów z magnatami, bojąc się ich siły, a z ostrożnością zabierała się do spraw z mniej zamożną szlachtą.

Postępowanie karne z powodu kacerstwa prowadzono nie tylko przeciw osobom, ale także przeciw książkom. Pierwszy-

mi rozporządzeniami, zabraniającymi czytania książek heretyckich i wprowadzającymi indeks książek zakazanych, były dwa uniwersały Zygmunta I z 24 lipca 1520 roku i z 7 marca 1523 roku. Według tych uniwersałów kościelni inkwizytorowie mieli prawo urządzać rewizje za drukami, za czytanie zaś książek zakazanych, głównie pism Lutra, groziła kara śmierci na stosie i konfiskata majątku. Dekret królewski z roku 1523 porucza biskupowi Janowi Konarskiemu, „iżby, skoro mu się wyda potrzebnym, wysłał śledźce swoje z strażą na dochodzenia ksiąg heretyckich. Aby wobec urzędu miejskiego, który ma im dawać pomoc, obeszli domy i przerzucali pilnie sklepy i skrzynie. U kogo znalazłyby się zakazane księgi, takich aby zawołali do sądu na ukaranie.” W tymże dekrete pod karą zagrożono drukarzom, aby na przyszłość nie ważyli się drukować książek, których nie zobaczyłby rektor Akademii lub osoba przez biskupa do tego wyznaczona. W roku 1556 i 1558 wydał podobne dekrety Zygmunt August, a obowiązywały one do roku 1774. Na podstawie dekretów Zygmunta I publicznie w roku 1542 została spalona przez kata książka ks. Stanisława Orzechowskiego pt. *Beżenstwo kapłanów*, zaś w roku 1556 publicznie spalono bibliotekę Szafranców w Seceminie. W roku 1600 wileński biskup Radziwiłł dokonał rewizji księgarni w Wilnie i spalił mnóstwo zakwestionowanych książek. W roku 1620 trybunał w Piotrkowie zasądził arianina Śleszyńskiego na utratę czci obywatelskiej i konfiskatę majątku za wydanie książki, ocenionej przez władze kościelne jako heretycką. W roku 1622 ułożyli jezuita na czterech rogach rynku w Warszawie stosy książek i palili je. Książę Jan Broscjusz wydał w tymże samym czasie książkę skierowaną przeciw jezuitom pt. *Dyskurs plebański — Gratisem zwany*. W książce tej wytykał szkodliwość szkół jezuitów i sfałszowanie przez jezuitów przywilejów i aktów, mocą których szkoły te istnieją. Książka ta została w Warszawie przez kata spalona, a drukarza Piotrkowczyka potraktowano jak paszkwilanta i wychłostano u pręgierza, co dało jezuitom Szembekowi sposobność

do zatytułowania odpowiedzi na *Dyskurs pt. Gratis plebański — gratis wyćwiczony*. Drugiego księgarza, Franciszka Cezarego, hajducy jezuitów obili obuchami za krytykowanie tego wyroku. Wolność druku wprowadził dopiero Sejm Czteroletni w roku 1788, uchylając kary za drukowanie, sprowadzanie i czytanie książek potępionych. Odtąd duchowieństwo miało pozostawioną cenzurę jedynie książek o tematach religijnych, która na terenie b. Kongresówki przeciągnęła się przez okres niewoli aż do upadku caratu.

Synod piotrkowski z roku 1551 obmyślił przeróżne środki walki z heretykami i zachęcał króla Zygmunta Augusta do spółki w tej akcji antyheretyckiej obietnicą przyzwolenia na konfiskaty majątków heretyków. W całym kraju księża wnosili masowe skargi przeciw szlachcie o herezje i odstępstwa od Kościoła katolickiego. Prześladowania zwrócone też były przeciw księżom sprzyjającym nowym prądom religijnym. Biskup Andrzej Zebrzydowski polecił uwięzić plebana z Kurowa, ks. Mikołaja, za to, że komunię rozdawał parafianom pod postacią chleba i wina. W więzieniu pleban ten został zamordowany czy też otruty. Inny ksiądz, nazwiskiem Marcin Krowicki, który się ożenił, oraz bracia Białobrzescy, jeden opat klasztoru w Mogile, drugi zaś opat klasztoru w Jędrzejowie, śmierci uniknęli przez schronienie się u protestantów w Pińczowie. Zamek lipowiecki i krakowskie klasztorne więzienia zapełnione były więźniami ze stanu duchownego. Wspomina o tym ks. Krowicki w wierszu:

Owe krakowskie turmy, by prawie umiały, Lipowieckie katusze, gdyby mówić śmiały, Dowiedziałby się każdy, jak głodem morzono, Pogańskim obyczajem bito i męczono. Za śmierć księdza Michała Bogu odpowiecie, Bo chociaż księgi jego wszystkie popalicie, Nie zatracicie jednak Boskiej prawdy onej, Żeście skryby, Faruze i lud potępiony.

W roku 1617 w Bielsku Podlaskim uwięziono mieszczanina Jana Tyskiewicza za to, iż jako radny, składając rachunki, odmówił złożenia przed sądem przysięgi w imię Trójcy Św. Był on zwolennikiem sekty socynianów. Sąd go uwolnił, lecz królowa Bona wnieśliła się do sprawy i swymi zabiegami spowodowała karę śmierci dla Tyskiewicza. W kilkadziesiąt lat później, w wykonaniu uroczystych ślubów króla Jana Kazimierza, uchwalił sejm w roku 1658 wypędzić socynianów, czyli arian, z Polski. Dano im wówczas trzy lata czasu albo do opuszczenia granic Polski, albo do odstąpienia od swej wiary. W razie niezastosowania się do tego zakazu spaść na nich miała infamia, sprowadzająca utratę czci, majątku, zdolności prawnej, a także śmierć z ręki władzy lub pierwszego lepszego człowieka. Ustawy sejmowe były tak srogie, że skazywały na wygnanie osoby katolickiego wyznania, jeżeli te żyły w małżeństwie z osobami ariańskiego wyznania. Ustawy te zagrażały karą śmierci tym wszystkim, którzy by w kraju lub poza granicami kraju wspierali arian pieniędzmi albo im kredytu udzielali. Pod groźbą tych ustaw arianie opuścili Polskę, ojczyznę swoją, w roku 1661 i osiedlili się w Prusiech, we wsiach Andreaswalde i Rutow. Było to najinteligentniejsze zrzeczenie religijne, posiadające w swym gronie wielu znakomitych uczonych. Nic dziwnego, że fanatyzm wyznaniowy użył wszystkich sposobów, aby się wyzbyć z Polski mądrego, a więc niebezpiecznego przeciwnika. Ten barbarzyński postępek sejmu spotkał się z uznaniem papieża, który uhonorował króla tytułem „rex orthodoxus” (król prawowierny).

Groicki, wydając w roku 1630 *Porządek sądów miejskich* i pisząc w nim o karaniu heretyków, przypominał „srogie statut koronny króla Władysława Jagiełły, uczyniony roku 1424, gdzie jasnie opisano, aby heretykowie naprzód mieczem byli karani, potem też większe im karanie jest naznaczone, aby nie inaczej, jedno jako występujący przeciw Majestatowi Królewskiemu byli karani, to jest nie tylko na gardle, ale i na majątności, która by po zamordowanym heretyku do skarbu kró-

lewskiego była przyłączona. Nadto dzieci onego heretyka wiecznie by były bezpiecznymi, a ku żadnemu dostojeniu aby nie były nigdy obierane."

Za panowania króla Sobieskiego w roku 1689 dokonano sądowego mordu na ziemianinie Kazimierzu Łyszczyńskim. Poseł brzeski, Brzóska, dłużny był Łyszczyńskiemu sumy pieniężne, skutkiem czego powstał o nie spór. Mściwy Brzóska wyszperał gdzieś książkę teologa protestanckiego, w której na marginesie Łyszczyński dopisał słowa: „A więc nie ma Boga!” Książkę tę posłał z odpowiednią denuncjacją biskupowi poznańskiemu, Witwickiemu. Witwicki przybrał sobie do pomocy biskupa kijowskiego, Załuskiego, i wspólnie rozwinęli oni fanatyczną agitację przeciw Łyszczyńskiemu. Wbrew prawu Łyszczyńskiego uwięziono i wytoczono mu sprawę przed sejmem o bluźnierstwa przeciw Najśw. Marii Pannie i świętym Kościoła. Na sejmie prowadzono agitację nie przebierającą w argumentacji, dowodząc, że Boga należy prześlagać krwią bluźniercy. Sejm wydał wyrok skazujący Łyszczyńskiego na śmierć, dobra jego miały być skonfiskowane oraz rozdzielone między skarb i denuncjanta Brzóske, dworek miał być z ziemią zrównany, a ziemia pozostać „pusta i nierodząca”. Biskup Załuski tak opisał męczeńską śmierć Łyszczyńskiego: „Po odwołaniu wprowadzono winowajcę na rusztowanie, gdzie oprawca rozpalonym żelazem wyrwał mu język, którym bluźnił Bogu; po czym ręce jego, jako narzędzie wstrętnego dzieła, spalone były na wolnym ogniu, a świętokradzki papier rzucono w płomień; płomieniom, zmagającym winy, oddano wreszcie i jego samego, tego potwora swego wieku, tego bogobójcę i prawołomcę. Zmazać winę jego miały płomienie, jeśli przestępstwo takie w ogóle może być odpokutowane.” Podany przez biskupa Załuskiego opis śmierci nie polega na prawdzie, gdyż Łyszczyński, gdy mu 28 marca 1689 roku wyrok powyższy ogłoszono, wniósł do króla prośbę, aby od miecza zginął. Prośba została uwzględniona i Łyszczyński został

święty na rynku starej Warszawy, a dopiero potem spalony na stosie.

Podobno to okrucieństwo, opisane przez biskupa Załuskiego, wraz z zachętą i agitacją, nie spodobało się papieżowi Innocentemu XI, który nie tylko zganił ten postępek, ale od jego promotora, biskupa Witwickiego, odsunął kapelusz kardynalski i purpurę, których się spodziewał.

Owoce nienawiści wyznaniowej i fanatyzmu tłumów była głośna sprawa toruńska w roku 1724. Wywołała ją drobna na pozór zajście. Oto około kościoła św. Jakuba w Toruniu odbywała się procesja katolicka. Stojące poza murami dzieci ewangelików pozdejmowały kapelusze, lecz wychowankowie jezuitów, zmuszając dzieci te do klękania, pobili je. Po procesji, wieczorem, urządzili oni na dzieci drugi napad, przy czym jednego wychowanka jezuitów straż miejska aresztowała. Uczniowie jezuitów próbowali odbić aresztowanego, a przy tej awanturze aresztowała straż miejska drugiego wychowanka jezuitów, wypuszczając pierwszego. Wychowankowie jezuitów złapali ucznia ewangelika i pobiwszy go, zawlekli do swej szkoły. Burmistrz zażądał wypuszczenia więzionego ewangelika, rektor zaś jezuitów żądał wypuszczenia więzionego przez straż miejską katolika. Tymczasem przed kolegium jezuitów zebrały się tłumy ludności ewangelickiej, które, sprowokowane przez uczniów jezuitów, wpadły do wnętrza kolegium, uwolniły aresztowanego ewangelika, a przy tym miały porąbać ołtarz, przebić szablą obraz Zbawiciela, rzucić na podłogę hostię i podrzeć obraz Matki Boskiej. Jezuiti oskarżyli burmistrza i jego zastępcę o zaniedbanie obowiązków urzędowych i zachęcanie do gwałtów. Pisarze ewangelicy twierdzą, że uszkodzenia w kolegium były dziełem samych jezuitów, którzy taką prowokacją i fałszywym oskarżeniem o zbrodnie przeciw religii chcieli wywołać w tłumach klerykalnej szlachty oburzenie przeciw protestantom i wykorzystać je politycznie. Prawie wówczas odbywać się miały sejmiki szlacheckie celem wybrania posłów na sejm. Jezuiti

przed wyborami wydali ulotkę z opisem, jaką to krzywdę Panu Bogu w Toruniu wyrządzono, i podsuwali, jak to należy za to protestantów karać. Karą miało być odebranie protestantom kościołów i szkół. Przy tym rozpuszczali wieści, że w Toruniu dzieją się cuda, bo połamane obrazy krwawią. Nienawiść wśród klerykalnej szlachty zdołali tak rozpalić, że ta wybranym posłom na sejm stawiała warunek, by nie prędzej przystępowali do obrad sejmowych, aż sprawa toruńska zostanie załatwiona, oczywiście według życzeń i wskazówek ojców jezuitów.

Król sprawę tę przekazał osobnej komisji, składającej się z samych zwolenników jezuitów, gdyż tylko takich „obrobieni” przez jezuicką agitację posłowie wybrali. Toruńczycy nie mieli w niej żadnego przedstawiciela. Prezesem tej komisji był podkomorzy koronny, książę Lubomirski, któremu jezuita obiecali cudowne naprawienie zepsutego wzroku. Komisja prowadziła dochodzenia stronniczo, nie dopuszczając żadnych dowodów ze strony oskarżonych. Akty sprawy przedłożone zostały sejmowi, który oddał sprawę do osądzenia sądowi asesorskiemu. Prokuratorem był jezuita. Oskarżył on podsądnych o obrazę katolicyzmu, władzy królewskiej i zażądał odebrania protestantom kościołów i szkół oraz wszystkich urzędów miejskich. obrońcy torunian, prawnika Bohuszewskiego, słuchać nawet nie chciano. Ogłoszony przez sąd wyrok nacechowany był okrucieństwem. Burmistrza Rosnera i jego zastępcę, jak również jedenastu mieszczan skazano na śmierć. Czterem spośród skazanych miała być przed śmiercią ucięta prawa ręka, a po ścięciu głów ciała ich miały być spalone. Wreszcie jeden, uznany za najbardziej winnego, miał być rozćwiartowany. Przed wykonaniem wyroku mieli jednak jezuita wraz z świadkami z ludu publicznie złożyć przysięgę, stwierdzającą winę skazanych. Cofnięcie się od tej przysięgi mogło jeszcze uratować skazanych. Santini, nuncjusz papieski w Polsce, podobno zakazał jezuitom składania przysięgi, ci jednak wywiązali się ze sprawy... po jezuicku. Jezuita ks. Wo-

leński ze słodką łagodnością rzekł po odczytaniu wyroku, iż krwi nie żąda, ale dał znak innym jezuitom, by ci złożyli przysięgę, co też uskuteczнили, a w ich ślady poszło sześciu ludzi świeckich, dyszących fanatyczną nienawiścią wyznaniową.

Kolegium protestanckie i pobernardyński kościół Panny Marii odebrano ewangelikom i oddano katolikom, szkoły mogli protestanci otwierać poza murami miasta, do rady i straży miejskiej wprowadzono w połowie zwolenników jezuitów, przy czym komendantem straży mógł być tylko ich wyznawca, oraz druk książek ewangelickich oddano pod cenzurę katolickiego biskupa.

Wyrok na burmistrzu i mieszczanach wykonano 7 grudnia 1724. Ścięcie zastępcy burmistrza odroczone, a potem go ułaskawiono. Jeden zaś ze skazanych, Hertel, uratował życie przechodząc na katolicyzm.

Burmistrz Torunia, idąc na śmierć, życzył miastu, by śmierć jego tak miastu, jak i religii przyniosła spokój.

Wyrok ten był sądowym morderstwem, owocem fanatyzmu wyznaniowego, wywołanego nadużyciem religii do celów politycznych przez zakon jezuicki. Nic dziwnego, że wyrok taki wywołał oburzenie w całym świecie i bardzo Polsce zaszkodził. Wielu panujących przesłało królowi polskiemu noty dyplomatyczne, zwracające uwagę na przesadę w karaniu. Sprawa ta dała im sposobność do usprawiedliwiania konieczności mieszania się w wewnętrzne stosunki polskie.

* *

Ilekróć zdrowy rozsądek był górą i sejm uchwalił mądre prawo, w rzeczach religii wolnomyślne i tolerancyjne, tylekróć dygnitarze kościelni szukali okazji do wywołania jakiejś sprawy, która by rozpaliła namiętności ludzkie. Gdy więc sejm w Warszawie w roku 1556 odebrał duchowieństwu sądownictwo nad świeckimi „heretykami”, postanowiło ono stwo-

rzyć fakt dokonany przez sądzenie spraw o „świętokradztwo”. Na ofiarę upatrzono sobie biedną dziewczynę z Sochaczewa, Dorotę Łazęcką. Oskarżono ją o „świętokradztwo”, które rzekomo miała popełnić przez zabranie podczas komunii hostii i sprzedanie jej Żydom za trzy talary i suknię wyszytą jedwabiem. Równocześnie oskarżono Żydów sochaczewskich o współudział w tym świętokradztwie, gdyż mieli tę hostię zanieść do synagogi i tam ją nakłuwać igłami, a krew, jaka z hostii tej ciekła, zebrać do butelki. Prawie wówczas miał odbyć się w Łowiczu synod kościelny. Sąd duchowny dla przywitania synodu wykorzystał to oskarżenie i tak nieszczęśliwą ofiarę głupoty ludzkiej, Łazęcką, skazał na spalenie żywcem na stosie. Żydom zaś z Sochaczewa lano wrzącą wodę na karki, aż w mękach pomarli. Wyrok wymagał jednak aprobaty królewskiej. Król aprobaty nie udzielił, atoli podkanclerzy, biskup Przerębski, sfalszował dekret królewski i wysłał go do Łowicza. Fałszerstwo wyszło na jaw, nim jednak goniec królewski przybył do Łowicza odwołać sfalszowany dekret, już popioły z Łazęckiej i Żydów zdążono rozsypać na rozstajnych drogach.

Z połowy XVIII wieku znane są procesy wytoczone Żydom o mordy rytualne. W roku 1710 olbrzymiego rozgłosu nabrało obwinienie Żydów z Sandomierza o mord rytualny, popełniony na niemowlęciu, Jerzym Krasnowskim. Dziecię to, rzekomo pod nieobecność matki wykradzione z domu, uprowadzić mieli Żydzi do domu rabina, gdzie w piwnicy mieli je kłuć, nożyczkami rznąć, tarzać w beczulce gwoździemi nabitej, a wreszcie po zamordowaniu wyrzucić pod płot jakiejś chałupy, gdzie nazajutrz je znaleziono. Wywołało to w mieście wielki rozruch, zwłaszcza gdy syn rabina, który podglądał, co Żydzi robili, od Boga natchniony uciekł z domu i słynnemu z żarliwości plebanowi sandomierskiemu, ks. Stefanowi Zuchowskiemu, miał wszystko wyjawić. Trzy lata trwały procesy, aż wreszcie w roku 1713, przy pomocy wicemarszałka trybunału koronnego, Pawła Jaroszewskiego, ks. Zuchowski

zdołał doprowadzić do stracenia dziewięciu Żydów, po różnych zadanych im mękach.

Również proces o mord rytualny z roku 1753, który wywołał sufragana naówczas kijowski, Kajetan Sołtyk, zainteresował opinię publiczną i wykazał, że fanatyzm na tym punkcie w Polsce nie był ani mniejszy, ani większy niż w innych krajach, np. we Francji lub w Niemczech. Stan sprawy tak się przedstawiał. W Wielką Sobotę zginął 3-letni Stefan, syn Adama Studzińskiego, drobnego szlachcica z Markowej Woli, wsi należącej do dóbr biskupich. Ojciec, nie mogąc dziecka znaleźć, modlił się żarliwie w kościele o natchnienie, gdzie go szukać. Wreszcie po długich poszukiwaniach, idąc za „natchnieniem”, znaleziono w krzakach chłopca gołego, skutego szpilkami i ćwieczkami. Gdy ludzie nieśli dziecko obok karczmy do cerkwi, stał się rzekomo cud, bo z jednej rany puściła się krew. Stąd zrodziło się podejrzenie, że Żydzi karczmarze i ich żony dziecię to zamordowali. Był i drugi „cud”, gdyż dziecko, choć dwa tygodnie leżało w kościele nie pogrzebane, to jednak — jak pisał Sołtyk do lwowskiego arcybiskupa — „jakiś zapach czuć było” od trupa, oczywiście przyjemny. Z rozkazu biskupa przyaresztowano 31 Żydów i 2 Żydówki i wsadzono ich do dołów, w ziemi wykopanych, a wreszcie oddano ich na torturę trzykrotnego przypalania. Na tych torturach karczmarze Jankiel i Ewa mieli wyznać, że z namowy rabina dziecko chwycili, upoili wódką, następnie przebił rabin bok dziecka scyzorykiem, a potem, czytając na książkach, inni Żydzi dziecię ćwieczkami i szpilkami kłuli, krew zaś wyciskana spływała na misę, z której rabin wlewał ją do flaszeczek i rozdzielał między uczestników mordu. Na podstawie tych zeznań, złożonych w boleściach torturami zadawanych, sąd skazał siedmiu Żydów na śmierć przez ćwiartowanie. Wyrok sądu w Żytomierzu z roku 1753 nakazał, aby ich „Świętej Sprawiedliwości Mistrz z rynku i od pręgierzu, z miasta Żytomierza, z okręconymi konopiami i oblanymi smołą obiema rękami, po łokcie zapaliwszy, pod szubienicę,

ku stornikowej stojącą, prowadził, gdzie zaprowadziwszy pod też szubienicę po trzy pasy z każdego udarł i potem żywcem ćwiartował, głowy na pale wbijał i ćwierci porozwieszał." Tylko jeden spośród skazanych Żydów, niejaki Zeywel, widocznie ze strachu przed sądowym morderstwem, chwycił się ostatniej deski ratunku: „przystąpił do wiary św. katolickiej”. Złagodono mu wyrok za to, gdyż zamiast zadać mu karę śmierci przez ćwiartowanie zabił go kat, ścinając mu głowę toporem. Sześciu skazano na ćwiartowanie bez tych dodatkowych kar. Potem ze strachu kilku skazańców też się „nawróciło”, ochrzczono też jeszcze trzynastu innych „nawróconych” Żydów. Ale i to nie wyratowało skazanych od śmierci. Tyle jeno zyskali, że ich nie męczono długo, tak jak innych. Wreszcie księży trupy Żydów nawróconych pogrzebali na katolickim cmentarzu, a biskup Sołtyk dziecię „zameczone” kazał pogrzebać w katedrze.

Z powodu tego wyroku gmina żydowska zaskarżyła biskupa Sołtyka przed notariuszem apostolskim, Augustynowiczem, dowodząc, że żadnego mordu rytualnego nie było, że dziecię cierpiało na „ciężką chorobę” i w czasie ataku tej choroby zmarło, a proces zaaranżował biskup Sołtyk z chciwości zysku. Umyślnie bowiem spowodował aresztowanie Żydów, aby wziąć następnie od nich 500 czerwonych złotych łapówki i futra wartości 300 czerwonych złotych za zwolnienie aresztowanych Żydów. Przyrzeczenia jednak nie dotrzymał w całości, gdyż dopuścił do wykonania wyroku na części oskarżonych.

W Kalwarii Zebrzydowskiej, w klasztorze bernardyńskim, wisiał obraz przedstawiający ów rzekomy mord rytualny. Obraz ten posiadał napis: „Wyrażenie męczeństwa dziecięcia, półczwarta lata mającego Stefana Studzieńskiego, syna urodzonych Adama i Ewy z Wychowskich Studzieńskich, w Wielki Piątek schwytanego, a w sobotę, po szabasie, okrutnie niesłychanym sposobem w karczmie Markowej Wolicy na Rusi zamordowanego, z których jedenastu pasy darto

i ćwiertowano, trzynastu zaś chrzest św. otrzymali. R.P. 1753 d. 26 Maja." Obraz ten był kopią, której oryginał przysłany z Żytomierza posiadał lwowski metropolita Mikołaj Wyżycki.

Z powodu tego, jak również kilkudziesięciu innych podobnych procesów wysłali Żydzi w roku 1758 do papieża, Benedykta XIV, delegata, niejakiego Jakuba Jelka, który przedstawił bezzasadność oskarżeń o mordy rytualne, prosząc o interwencję. Zbadania tej sprawy podjął się następca papieża Benedykta XIV, papież Klemens XIII. Za pośrednictwem kardynała Corsiniego interweniował on u rządu polskiego w sprawie bezzasadnego obwiniania Żydów o rzekome zbrodnie mordów rytualnych. Interwencja papieska wcale nie poskutkowała, skoro był znowu taki proces w roku 1761 w Krasnymstawie. Wydawane przez jezuitów „Wiadomości Warszawskie” w roku 1761 zaalarmowały czytelników wieścią, że Żydzi w Wojślawicach ukradli dziecko chrześcijańskie. Uwięziono z tego powodu rabina i kahalnych oraz wytoczono im sprawę przed sądem w Krasnymstawie. Za kilka dni znaleziono dziecko w krzakach poranione. Wystarczyło to do oskarżenia Żydów o mord rytualny, że dziecię było przez nich rzezane, klute i w beczce nabitej gwoździami tarzane, a ciało wrzucone do gnoju, że krew z dziecięcia wysączona rozesłana została do Brodów, Rejowca, Chełma i Krośniczyna oraz że trupa dziecięcia wygrzebał z gnoju pies i częściowo pożarł. Kasztelanowa Słońska zainteresowała się sprawą i przestrzegwała, aby Żydzi nie oczarowali sądów, „zbijała instancje i rady arcymądrymi racjami” i łożyła wielkie koszty, aby sprawa nie była przegrana — i „tym heroicznym aktem ubezpieczyła zbawienie swoje i błogosławieństwo wieczne”. W rezultacie tych zachodów trzech Żydów skazano na karę śmierci. I tym razem skazani Żydzi oświadczyli chęć nawrócenia się, wobec czego zapadło orzeczenie, „iż chcącym się nawrócić ćwiartowanie żywcem na samo tylko ścięcie łaskawie odmienia się”, po czym za „łaską Ducha Przenajświętszego a staraniem XX. Jezuitów” zostali oni ochrzczeni, a po

chrzcie ścięci. Trupy tych neofitów pogrzebali księża z honorami w podziemiach katedry, a ceremonie odprawiał sam biskup chełmski. Rabin, który z przerażenia powiesił się w więzieniu, doznał po śmierci despektu, gdyż ciało jego przywiązano do końskiego ogona, wywleczono za miasto i spalono, a prochy wystrzelono z armaty.

W Kaliszu Żydów oskarżonych o mord rytualny skazano na kwalifikowaną karę śmierci. Ponieważ Żydzi ze strachu chrzcili się, więc im łagodzano karę śmierci, dwom bowiem nie ucinano rąk przed ścięciem głowy, trzeciego zaś zwolniono od pójścia na miejsce zgładzenia z ręką zapaloną, wreszcie też Żydówce pozwolono dać głowę pod topór bez uprzedniego ucięcia ręki. Tylko jeden Żyd i jedna Żydówka okazali „zatwardziałość” i nie ochrzcili się, toteż najpierw ucinano im ręce, a dopiero tak okaleczonym kat zrąbał głowy toporem. Żyda zaś, który ze strachu powiesił się, wleczono na rozstajne drogi i tu trupa zostawiono psom na pożarcie.

Za Stanisława Augusta procesy te i egzekucje już ustały, widocznie pod wpływem nowych prądów. Papież i biskup poznański, Andrzejowski, przeciwstawiali się powszechnemu przekonaniu, iż Żydzi uprawiają mordy rytualne, ogół jednak nie chciał dać się przekonać i nawracał Żydów na katolicyzm nawet w godzinie ich śmierci, jeśli tylko sposobność się nadarzyła.

Byli jednak Żydzi bardziej zawzięci, którzy nie widząc możliwości uratowania życia „nawróceniem się”, po bohatersku umierali. W Słupi sąd miejski skazał na śmierć Żyda i czekał z wykonaniem wyroku na przybycie „pani wojewodziny”, 70-letniej dewotki, której dewocja nie przeszkadzała patrzeć na widowisko straszliwego zamęczenia człowieka. Ta hiena w ludzkim ciele jedno tylko miała zmartwienie, czy dusza straconego Żyda będzie od wiecznego potępienia ocalona. Dlatego też przed śmiercią zaproponowała stojącemu na stosie Żydowi, aby się ochrzcił. „A czy żyć będę? Darujecie mi życie?” — zapytał Żyd, jakby łudząc się nadzieją, że może uda mu się

śmierci uniknąć. „Umrzeć musisz — odpowiedziała wojewodzina — ale będziesz ścięty. Za to duszę swoją ocalisz.” Żyd na to splunął i zawołał: „Ja nie Adam, Waści nie Ewa, a Waśc rób, co masz robić!!!” Te ostatnie słowa wyrzekł zwracając się do kata. Kat zapalił pakuły, którymi ręka była owinięta. Przez pół godziny z palącą się ręką oprowadzano skazańca przez miasto. Gdy go z powrotem na stos wprowadzono, twarz jego zbladła, zmarszczyła się, oczy zapadły; postarzał się za tę niewielką chwilę o jakie 30 lat. Podpalono stos... Zaledwie parę głosów krzyknęło: „śmierć heretykowi”, ale potem nastąpiła cisza, wśród której słychać było tylko trzask ognia. Kapelan, który towarzyszył wojewodzynie, zawołał ze zgrozą: „ani krzyknął, ani słówka nie wymówił, to zatwardziały zbrodniarz i heretyk!” Wojewodzina, która przez cały czas modliła się z książeczki, rzekła: „Módlmy się za zbawienie jego duszy!” — „Nie można” — odpowiedział kapelan. Wojewodzina posmutniała i zawołała boleśnie: „Nieszczęśliwy — potępiony na wieki!” — „Tak, tak, na całą wieczność wiekuistą” — powtórzył jak echo kapelan.

Tłumy, przypatrujące się temu barbarzyńskiemu widowisku, ożywiły się i rozweseliły, gdy popioły ze spalonego Żyda nabito w klasztorny moździerz i wystrzelono.

Czarownice polskie

Procesy o czary w Polsce powszechnym zjawiskiem — Bulla papieska o czarach i czarownicach — Dominikanie Sprenger i Institoris wydają książkę *Młot na czarownice* — Wpływ *Młota na czarownice* na polskie publikacje — Polskie diabły — Czary i czarnoksiężnicy w *Żywotach świętych* ks. Skargi — Procesy o czary w XVI wieku w Poznaniu — Czary na dworze królewskim — Sędziowie czarownic — Średniowieczne prawo karne — Sędzia Jakub Czechowicz i jego *Praktyka kryminalna* — „*Indicia*” do wdrażania procesu przeciw czarownicom — „Presumpcje” do tortur — „Wypróbowanie” czarownic — Proces o czary w Wierzbocicach — Procesy przed sądami wiejskimi — Sądy miejskie celują w tępieniu czarownic — Proces „królowej” i „kardynałowej” w Raciążu — Norbertanki zwierzyńskie palą czarownicę w Mucharzu — Mord sądowy na 14 kobietach w Doruchowie — Palenie czarownic na ziemiach polskich u schyłku XVIII wieku — Czarodziejskie sztuki ogrodnicze i kuchenne — Jak Mikołaj Radziwiłł przestał być kalwinem — Kalendarz Duńczewskiego — Oczarowany Kasperek ze Starego Sącza — Czary w Anglii i Szwajcarii — Książki *Czarownica powołana* i *Przestrogi duchowne* — Duchowieństwo występuje przeciw okrucieństwu sądów szlacheckich i miejskich — Egzorcysta bernardyn Częstochowski z Biecza — Publicyści zakonnicy przeciw diablom i w obronie diablów — Sejm w roku 1776 zabrania torturowania i uśmiercania czarownic — Gromochrony

Gdy w Polsce procesy o „kacerstwo” i „herezje” były nieliczne, to za to procesy przeciw czarownicom były na porządku dziennym.

Wiara w gusła i czary, i w nadprzyrodzoną moc czarowników i czarownic jest tak dawna, jak ludzkość. Przetrwiała ona w pewnej formie niemal po dziś dzień. Kilka lat przed ostatnią wojną odbywał się w Warszawie proces sądowy przeciw „czarownikowi”, który przy pomocy wierzących w jego cudowną moc uzdrawiania chorych przemocą okaleczył dziewczynę i utoczył z niej krew, celem zużycia jej przy czarodziejskiej praktyce lekarskiej. Proces ten wykazał stan strasznej ciemnoty między ludem we wsiach położonych nie opodal stolicy państwa. Ale i ludność stolicy nie była niekiedy pod tym względem mądrzejsza. W znachorów, w kabałę i pasjanse czy „trzynastkę” wierzyli politycy, wojskowi, a nawet duchowni. W „*Kurierze Warszawskim*” z 21 stycznia 1934 roku znaleźć można 12 ogłoszeń wróżek i wróżbitów. Przeróżni astrologowie, chiromantki, „jasnowidzące Kasandry” obiecywały za parę złotych odkryć przyszłość w najdokładniejszych szczegółach. Nawet loteria państwowa prosperowała przy pomocy wieszczów, którzy wskazywali nieomylnie te numery losów, na które z wszelką pewnością padnie wygrana. Nowocześni „czarodzieje” i „czarownice” mieli swobodę w naciąganiu, oszukiwaniu i wyzyskiwaniu naiwnych ludzi. Gdy jeden z wojewodów zakazał takiego zarobkowania, „czarodzieje” i „czarownice” zaskarżyli to postanowienie do Najwyższego Trybunału Administracyjnego w Warszawie.

Ów wojewoda, tak agresywnie występujący przeciw czarodziejom, i ci sędziowie, co sprawy czarodziejstwa jeszcze w XX wieku musieli rozważać, nie byli ani pierwszymi, ani ostatnimi tępicielami „czarownic”. Tępieniem ich zajmowali się już z początkiem XIII wieku również sędziowie zasiadający w groźnych trybunałach Św. Inkwizycji, obsadzanych gorliwymi wyznawcami reguły zakonnej św. Dominika. Proceder tępienia czarów i czarownic prowadzili oni przez parę wieków, a im więcej wysiłku w pracę wkładali, tym mniej było z niej pożytku, gdyż — rzecz dziwna — ilość czarownic się nie zmniejszała, lecz zwiększała.

Jest jednak wielka różnica w pojmowaniu tej sprawy przez sądy zamierzchłej przeszłości, a niedawnej. Gdy prawo współczesne, urzędy i sądy patrzą na czarownice jak na oszustki albo na osoby chore, to członkowie trybunałów Św. Inkwizycji, a w Polsce członkowie miejskich sądów „prawa magdeburckiego” czy też patrymonialne sądy dziedzica lub wiejskie sądy ławnicze święcie wierzyły w sabat czarownic, w obcowanie diabolicznych z mężczyznami, a diabłów z kobietami, wierzyły, że czarownice sprowadzają klęski elementarne, jak ulewy, posuchy i gradobicia oraz choroby przeróżne na ludzi i zwierzęta, wierzyły, że czarownica może nabiał zepsuć, że dzieci morduje, by z nich maść czarodziejską wytworzyć, i w tym podobne głupstwa i niedorzeczności.

Ta wiara, że czarownica to zły demon, nieszczęście ludzkości, dyktowała im najpotworniejsze i najokrutniejsze wyroki jako akty zemsty za krocie nieszczęść, jakie z przyczyny tych współniczek diabła na ludzi spadały. Obok dominikanów najteżsi prawnicy, profesorowie uniwersytetów obmyślali skuteczne metody dochodzenia winy i karania czarownic. Prawo niemieckie, zawarte w „Saksonie”, przyjęte w Polsce, zawierało art. 13, który postanawiał: „każdy chrześcijanin, który jest heretykiem lub trudni się czarostwem lub truciem, ma być na stosie spalony”. Odwagi i gorliwości tym przedstawicielom „wiedzy i sprawiedliwości” nie brakło, a nawet tchórze mogli się popisywać niezwykłą odwagą w walce z diabłem i czarami, działała bowiem na nich potężna sugestia „słowa Bożego”, głoszonego i pisanego przez ojców dominikanów. Na samym wstępie pierwszego rozdziału *Młota na czarownice* zapewnili ich bowiem, że: „są ludzie od Pana Boga uprzywilejowani, którym ten zły ród czarami swymi szkodzić nie może. Pierwszy są, którzy na sądach albo sprawiedliwości przeciwko im zasiadają, bądź też urząd jaki pospolicie przeciwko im na sobie noszą. Drugi, którzy obrzędami i ceremoniami kościelnymi siebie warują.”

Nic dziwnego więc, że wiara w „czary” i „czarownice”

pokutowała jeszcze w XX wieku, jeżeli przez parę stuleci nad umocnieniem tej wiary pracował średniowieczny zakonnik, profesor i sędzia.

Wiarę w istnienie czarów i czarownic ugruntował w społeczeństwach papież Innocenty VIII. Upamiętnił on się smutnie w dziejach Kościoła sprzedawaniem odpustów i bullą z roku 1484, w której stwierdził, że „wiele osób męskiego i żeńskiego rodzaju, zapominając o zbawieniu duszy i wierze katolickiej, wdaje się z demonami, zarówno inkubami (tj. męskimi), jak subkubami (tj. żeńskimi), sprowadzając zniszczenie i zbrodnię za pomocą czarów, zaklęć i innych haniebnych wieszczbiarskich wykroczeń, skutkiem czego niszczej i giną nowo narodzone dzieci i zwierzęta, płody pól, winnice i owoce w sadach, ponadto złe te istoty bólem i udręczeniem nawiedzają ludzi i zwierzęta, odbierają mężczyznom zdolność płodzenia, a kobietom poczęcia, przeszkadzają mężom i żonom wypełniać wzajemne obowiązki małżeńskie, wreszcie w bluźnierczy sposób wypierają się wiary, przez sakrament chrztu św. otrzymanej”.

Gdy w ten sposób rozumował papież, nic dziwnego, że huraganem wymyślań na czarownice wzmocniło głos papieski podwładne duchowieństwo.

Myśli zawarte w papieskiej bulli poparły książką pt. *Młot na czarownice* niemieccy profesorowie teologii, dominikanie, Jakub Sprenger i Henryk Institoris. Przy pomocy Biblii, ojców Kościoła, postanowień synodów kościelnych oraz oświadczeń papieża i scholastyków, przy pomocy prawa kanonicznego i życiorysów świętych wykazali wagę każdego słowa w bulli papieskiej przytoczonego. Dali też wskazówki, w jaki sposób procesy sądowe przeciw czarownicom można uprościć i ułatwić, a licznymi przykładami rzekomych praktyk czarownic podsunęli sędziom swój własny obłęd jako nieomylną prawdę.

Młot na czarownice, tłumaczony na wiele języków, był propagandą obłędu w całej Europie i katowskim podręczni-

kiem stosowania względem kobiet z ludu najokropniejszych udręk, okrucieństw i sądowych morderstw.

Na język polski przełożył tę książkę w roku 1614 niejaki Ząbkowic. Część jej pierwsza omawia w XVI rozdziałach *Postępek zwierchny w czarach*, część druga, z ośmiu rozdziałów się składająca, omawia *Sposoby leczenia czarów*. Obie te części napisali Sprenger i Institoris. Do drugiej części dołączona jest rozprawa *Jana Nidera zakonu Dominika świętego Theologa y Inkwizitora o czarownicach Xięga*, obejmująca dwanaście rozdziałów, a wreszcie na końcu dodana jest jeszcze jedna rozprawa pt. *Xiąszka pożyteczna y bardzo potrzebna w sposób dyjalogu o czarownicach pisana przez Ulyrka Molitora, w Duchownym prawie Doktora*.

Gdy dziś po przeszło trzystu latach czyta się te rozprawy, przyswojone dla Polaków przez Ząbkowica, dopiero widzi się bezgraniczne morze ubóstwa umysłowego, fanatyzmu i okrucieństwa, które odżyły w Polsce w XVII wieku pod wpływem *Młota*, tego dokumentu „cywilizacji zakonnej”, dorównującego przykładom barbarzyństw Dalekiego Wschodu. Tłumaczenie *Młota* czytano w Polsce tam, gdzie sztuka czytania była znaną, a więc w pałacach i dworach szlacheckich, w klasztorach, na plebaniach. *Młot* w rękę księży stał się podręcznikiem medycyny pastoralnej i niewyczerpanym źródłem tematów do kazań, nauk i dysput. „Prawdy” w nim zawarte były powszechnie znane, uznane i nie zaczepiane. Wpływ tej książki w Polsce w XVII wieku na ogłupienie społeczeństwa, upadek kultury oraz okrucieństwo prawne i zdziczenie obyczajów był bodajże największy.

* *
* *

Wpływ *Młota na czarownice* znać już w polskiej publikacji z roku 1570 pt. *Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu*. Pięć ostatnich rozdziałów tej broszury zawiera rozprawę *O czarownicach*, czyli o osobach, które „mogą

przeszkodzić ludzkim robotom, wieszczby powiadać, latać, grady i niepogody czynić i inne odmienności, których człowiek pospolity nie może czynić”. Czarownica „jedną drugą będzie uczyła, zioła, maści ukazowała, przymawiania czartowskiego uczyła, ofiar i posług, także czart im zasię k temu chuci i nauki na osobnym miejscu dodawa, aby w nim zupełną nadzieję miały, aby się im to stało, czego żądają. Według wiary ich stanie się im tak, to jest, gdy chcą mieć deszcz, bierze piasek w ręce, miece przez się, obróciwszy się tyłem ku wschodu słońca, a gdy chce mieć grad, tedy krzemienie, kiedy ludzi zwadzić abo małżeństwo, tedy drwa poprzek kładzie przeciw onemu domowi, gdzie chce złość wyrzędzić, przymawiając czartowskie słowa; chcieli też kędy lecieć, maścią to sprawi, tak jakom przy Farel u czarcie pisał, aby świnię zdychały, warzy szczeciny świnię z mrowiskiem — i wiele innych rzeczy takich, których wiele może czartem sprawić.” Omawiając „pokusy przeszkadzające ludziom”, autor publikacji wylicza po nazwisku diabłów. Spośród nich pomocnikiem i instruktorem czarownic jest „Farel”, czart wygnaniec. Zajmuje on się „potwierdzaniem” maści czartowskich, zakopanych na rozstajnych drogach, mających tę właściwość, że gdy nimi czarownica posmaruje kij, na końcu jednym przywiąże nietoperza, na drugim kreta, leci, gdzie chce, głównie w celu psucia mleka. Obok Farela jest też „z narodu czartowskiego” — „Latawiec”. „Używają go do posług baby i wszystkie czarownice i' rozmowy z nim miewają w cieniu, tak iż jeden drugiego nie widzi, jedno pomaga. Przekazają ludzkim małżeństwom, ale nie tym obyczajem, jako ludzie mniemają, przez małżeński uczynek. Nie chciej temu wiary dać, boć on nie ma takiego przyrodzenia, jako człowiek ma, ani ciała własnego, jedno obłudne; wiele się na nim omyła, zwłaszcza ci, co dawno pisali, aby święty Merlinus był z Latawca poczęty i urodzony. Musiał ci się ten Merlinus urodzić z człowieka jako i drugi, dla wstydu swego ta królowna brytańska pomówiła na Latawca. Bywa też samica i samiec z tego narodu czartowskiego; przeciw tym śpiewa-

ją w kościele hymnę dobrą, nabożną: *Cultuor Dei, memento te fontis et lavacri* etc."

Wreszcie trzecim diabłem czarownic jest „Odmieniec”, który się przemienia to w człowieka, to w zwierzę. „Na tym też jeżdżą baby; gdy się przemieni w wilka, Stądże go drudzy zowią wilkołek. Ten wiele przekażą pożytkom ludzkim przez baby, gdy zakręci wiatrem od morza północnym, między dobytkiem prędko się odmieni, będzie ze zdrowego chore, także i świnie, owce. Przeto mówią: wilkołek pokąsał owce, ano je pomorszczyzna pomorzyła. Także przychodzi i na gęsi, kokoszy i na inny dobytek."

Autor *Postępuku prawa czartowskiego* widocznie znał *Młot* z tekstu łacińskiego, jednak z treścią jego nie we wszystkich szczegółach się zgadzał, jak tego dowodzi historia św. Merlinusa, uwzględnił jednak także zakorzenioną od dawna wśród ludu wiarę w diabły i czarownice. Jego diabły są krajowego pochodzenia i noszą polskie nazwiska.

* *

Ks. Piotr Skarga też sporo ważkich słów napisał o czartach, czarnoksiężnikach i czartowskich służebnicach. W roku 1579 wydał on *Żywoty świętych*, obejmujące dwie księgi spraw świętobliwych, ale i ponurych. Popyt na te księgi musiał być niezwykle duży, o czym świadczą kilkakrotne w XVI i XVII wieku wznawiane wydania tego dzieła. Skarga opracował je na podstawie cudzoziemskich, wcześniejszych publikacji. Zaopatrzył też żywot każdego kalendarzowego świętego w swój komentarz, nazwany „Obrokiem duchownym”. Jak *Młot na czarownice* stanowi opis diabelskich i czarnoksiężskich sztuk potępionych, czyli „czarnej magii” używanej ku zgubie człowieka, tak znów *Żywoty świętych* to opis bohaterskich zmagania ludzi pobożnych z diabłami i czarnoksiężnikami przy pomocy modlitw, postów, niezwykłych cudów, praktyk obrzędowych, święconych amuletów, słowem — przy użyciu środ-

ków dozwolonej, uświęconej „białej magii”, środków prowadzących człowieka ku jego uświęceniu i szczęściu wiecznemu. Tak jak w życiu ludzi grzesznych, również i w życiu tych świętobliwych ludzi problem seksualny, czyli „walka z pokusą cielesną”, odgrywa niepoślednią rolę. Oto wyjątki z dzieła ks. Skargi omawiające funkcję czartów, czarnoksiężników, czartowskich służebnic, niewiast wszetecznych w życiu świętobliwych ludzi:

„Bardzo to dawno, jako zdarzyło się, że pewną panienkę w porcie genueńskim oczarował zakochany w niej młodzian. Z porady czarnoksiężnika zakopał pod jej progiem słowa jakieś dziwne, na miedzi wyrzeżane. Oczarowana szalala i przywoływała tego onego sprośnika. Przywiedziono ją do opata Hilariona. Ten wdał się w dyskusję z diabłem okupującym ową panienkę. Diabeł wypędzić z niej się nie pozwolił, twierdził, iż z nią jest związany pod progiem, skąd tylko ów młodzieniec może go wypuścić. Opat spytał więc, czemuż nie wszedł w młodzieńca? Ano dlatego — odpowiedział — że on ma drugiego diabła gamrackiego. Opat nie bardzo dowierzał chytremu czartowi, czarów spod progu nie wymiatał, ale uzdrowiłszy pannę, sfukał ją, że takie rzeczy czyniła, przez które wniść do niej diabeł mógł."

Córka niewolnicy, Brygida, oddana została na służbę do czarnoksiężnika. Pasała u niego krowy. Mlekiem krów obdarzała ubogich, za to w gospodarstwie czarnoksiężnika masła mniej w dzieżach bywało. Żona czarnoksiężnika poczęła się frasować, ale Brygida uciekła się do Boga po ratunek. Wysłuchał Pan Bóg jej prośby i wnet tego masła tak przyczynił, że dzieżka pełna była. Czarnoksiężnik, gdy ten cud zobaczył, ochrzcił się.

W roku 310 sławną dysputę religijną prowadził Żyd-czarownik Zambro z papieżem Sylwestrem I. Żyd kończąc dysputę szepnął w ucho woła jakieś magiczne słowo, pod wpływem którego wół ryknął i zdechł, a Żyd do otoczenia z dumą powiedział, że takiego cudu papież nie jest zdolny uczynić. Na

to papież zaproponował Żydowi, by on ukazał swoją moc przywróceniem życia wołowi. Żyd nie potrafił tego uczynić. A wtedy papież, wezwawszy imienia Bożego, rozkazał, aby wół wstał. Wół ci zaraz ożył, stanął i łaskawym się uczynił tak, iż go trzymać ani wiązać nie potrzeba było. Widząc to Rzymianie krzyknęli, dając zwycięstwo Sylwestrowi, a Żydowie wszyscy, upadając do nóg jego, wiarę świętą przyjęli.

Około roku 520 spalono z różnymi czarnoksiężnikami niejakiego Bazylusza. Pokazało się, że był to diabeł w mniszym odzieniu, który za biskupią protekcją dostał się do klasztoru zakonnicy. „Pochorowała się tam jedna z zakonnicy, a w gorączce i tęsknicy domagała się ojca Bazylusza. Ale był ci tam inny mnich, Ekwicjusz, który miał pod opieką ów klasztor. Domyślił się, że Bazylusz to diabeł i wygnał go z zakonu, a zakonnicy myśli o nim wypłoszył.” Diabła z czarownikami spalono na stosie. Tego samego Ekwicjusza „czasu młodości jego zapalenie cielesne i pobudki nieczyste bardzo gabały”, a gdy na te pokusy, niebezpieczeństwa i niepokoje pomocy Boskiej wzywał, nocy jednej stanął przy nim anioł i — jak pisze Skarga — „kazał go rzezać i zdało mu się przez ono widzenie, iż prawie takim był. Po tym widzeniu tak się czuł wolnym od wszystkiego zapalenia z tej żądzej, jakoby prawie płci męskiej na sobie nie nosił.”

Czarnoksiężnik Cyprian dostarczył bogatemu studentowi, Aglaidesowi, słoik z czarodziejskim płynem do skrapiania. Przez moc tego płynu student miał pozyskać przychylność córki kapłana bałwochwalczego Justyny. Gdy dom Justyny został skropiony tym płynem w nocy, „uczwała w ciele swym niespokojne wiatry i burzenia złej cielesnej chuciwości i żądzej i piekielne ono upalenie co dalej, tym większe i przychodzi jej na myśl Aglaides, i powstają w niej myśli złe. Dziwuje się panienka i sama się siebie wstydzi, czuje krew wszystką w sobie wzburzoną i jako w kominie wrzącą, do tego czego była i myślić nie zwykła i czym się jako zgniłym psem brzydziła.” Ratunek od tych czarów znalazła w modlitwie.

W Cylicji żył ekonom kościelny, Teofil, którego wierni obrali na biskupa. Nie chciał jednak tej godności przyjąć dla swej skromności. Zapłacono mu tam za to szykaną, zdjęto go bowiem z godności ekonomu kościelnego. W poczuciu wyrządzonej mu krzywdy uciekł się pod opiekę Żyda-czarownika. Żyd skontaktował go z czartem. Po podpisaniu czartowi cyrografu, wrócił za czartowską interwencją na dawną posadę. Dręczony jednak wyrzutami sumienia kajał się przed Bogiem, a pewnej nocy przebudziwszy się, znalazł ów cyrograf na swej piersi. To diabeł musiał mu zwrócić ów cyrograf.

Skarga opisuje też żywoty dwóch Makarych. Jeden Makary to znany z *Młota na czarownice* cudotwórca, który kobiecie w klacz zamienionej ludzką postacią przywrócił. Drugi Makary kłopot miał z cielesnymi pokusami. Znalazł jednak na nie lekarstwo. Przez sześć miesięcy siedział przy błocie w dzikiej bardzo i bagnistej puszczy, „gdzie komarowie są tak wielcy, iż się osom równają, żądłami swymi i skórę na wieprzach przebić mogą. Tęgo go po wszystkim ciele tak skąsali, iż wiele mniemało, aby był strędowniaciał.”

Około roku 500 zdarzyło się, iż „pewna niewiasta wszeteczna zmówiła biskupa Broana, człowieka niewinnego, jakoby z nim dzieciątko, które nosiła, powić miała. Wyjawilo się to po wszytkiej ziemi i obraziła ta rzecz św. Brygidę, a bacząc w tym szatańskie zastrzały, wezwie ku sobie onej niewiasty i pyta jej, kto jest tego dziecięcia ojcem. Ona rzekła: Biskup Broan. Tedy św. Brygida na jej usta Krzyż św. włożyła, wnet jej srodze gęba spuchła. A kładąc zasię Krzyż św. na język dzieciąteczka-niemowlęcia, rzecze: Powiedz nam, dziecino, kto twoim ojcem? A Pan Bóg jako usta oślice, tak onego dzieciątka usta otworzył, iż rzekło: Nie jest biskup Broan ojcem moim. Niewinność biskupa była pochwalona od wszystkich, szatan hańbę odniósł, a ona niewiasta w pokorze jawnej grzech swój oplakała.”

W dwieście lat później podobna historia zdarzyła się w Trewirze, ale z innym wynikiem dla tamtejszego biskupa.

W Trewirze był zwyczaj, że rodzice podrzucali w kościele dzieci, których się wstydziło albo nie mieli ich czym żywić. Dzieci te witrykus (kościelny) obnosił po mieście i gdzie mógł, lokował na wychowanie. W tym czasie żył tam mnich Goara, Francuz, którego obwiniono o żarłoczność. Biskup posłał do niego ludzi na zwiady. Gdy ich Goara chciał uraczyć, odmówili przyjęcia posiłku. Za to Bóg ich ukarał, bo w drodze powrotnej dręczył ich tak straszny głód, że Goara musiał przywołać trzy łanie, których mlekiem pokrzepili się wywiadowcy biskupa. Zamiast okazać wdzięczność oskarżali Goarę o czarnoksiężstwo. Skarga wydawała się biskupowi tym więcej uzasadniona, iż przybyły Goara, nie mając gdzie powiesić kapicy, zawiesił ją na przedzierającym się przez okno do sali... promieniu słonecznym. Do sali wtedy wszedł witrykus, niosąc na rękę dziecię, aby uzyskać pozwolenie od biskupa na ulokowanie go na mieście. Biskup, chcąc doświadczyć świątobliwości Goary, wpadł na myśl, by ten odgadł, czyje to dziecko. Goara przeląkł się tak niesłusznego kuszenia Boga, pomodlił się jednak o wspomnienie go w tej potrzebie i zwrócił się z zapytaniem do witrykusa, wiele dni ma to dziecię. Odpowiedziano mu, że trzy, a Goara rzecze: „Trójco Święta, ciebie wzywam i ciebie, dziecino, w imię Trójcy Św. zaklinam, abyś mi ojca swego mianowała.” Dziwna rzecz — dziecię, sięgnąwszy rączką do biskupa, głosem zrozumiałym i dobrą wymową przemówiło: „Ten ci jest ojciec mój Rusticius biskup, a matkę moją zowią Floria.”

Tak było — pisze ks. Skarga — iż ten „bezbożny biskup sam o swym dziecięciu nie wiedział, a iż potajemnie sprośności służył, złe sprawy jego odkrył Pan Bóg sprawiedliwie, aby ten, co w słudze Bożym Boskie dzieła powtarzał i święty jego żywot lżył, sam się z swymi sprośnościami i obłudnym żywotem zataić nie mógł. Widząc biskup, iż tajemna jego sprośność duchem Pańskim odkryta jest, potępiony w sumieniu swym, padł do nóg świętego Goary, wielką mu świątobliwość przyznając.”

Ks. Skarga pisze też dziwne historie o świętych, którzy swe święte głowy nosili. Oto „tułob i ciało bez głowy św. Dyjonizjusza wstało i głowę swą wzięwszy niosło ją dwie mile, aż na to miejsce, gdzie kościół wierni postavili, i tam podawszy Katulli — niewieście niejakej — głowę, upadło na ziemię ciało”.

W roku 653 wódz Duńczyków ujął w klasztorze w Chichenzie królową Osytę. „Gdy jej głowę ścięto, dziwna rzecz, ciało wstało, głowę wzięwszy, szła z nią aż do kościoła św. Piotra i Pawła, jako przez trzy staje, a znajdując kościół zamknięty, rękoma we drzwi kołatała i drzwi one skrwawiła, i tamże u drzwi padła.” Rzec zaiste wstrząsająca, fantastyczna i... czarowna.

Okolo roku 330 żył niejaki Abranius. W dniu ślubu zbiegł od żony w lasy. Tam zbudował chatkę, w której „przepustelnikował” 10 lat. Odnosił tam „srogie gabania” czartowskie. Czart przyszedł do niego w wielkim majestacie i kusił go pochlebstwami. Ale Abranius oszukać się nie dał, wołając: „Stul gębę, nieprzyjacielu!” Brat jego z żoną osierocili córeczkę, Marię, którą przyjaciele przywieźli, oddając mu w opiekę. Postanowił ją przygotować do ślubów zakonnych. Aby uniknęła grzechów tego świata, urządził jej w pobliżu komórkę, tam ją zamknął, a przez okienko „opatrzał jej potrzeby duszne i cielesne, nauczył ją Pisma Św. i ćwiczenia zakonnego, aż doszła do lat dwudziestu. Wtedy znalazł się jeden człowiek, mnich po sukni, ale złośliwy wilk wewnątrz. Nawiedzając Abraniusa, ujrzał też tę synowicę jego, której urodą zraniony, do sprośnych ją myśli pobudził i zwiódł, tak iż z owej komórki wyszła i z owym przeklętym człowiekiem czystość swoją straciła, rozkoszą cielesną zwyciężona. Pobieżała do miasta Esa i tam się na sprośny i nierządny żywot, z urody i młodości swojej niepoczciwego zysku i rozkoszy szukając, udała.” Stryj dwa lata nie wiedział, co się z nią dzieje, „aż się po dwóch leciech dowiedział o niej, gdzie była, a jako na sprośnym warsztacie nieczystości przy jednym gościńcu w karczmie zasiadła”. Tam

ją odnalazł. Bojąc się, by go nie poznała, „począł jej świecą a dobrą myśl czynić”, kazał przynosić potrawy, a „on, człowiek, który i pojrzeć na niewiastę nie śmiał, a nigdy mięsa nie jadł i wina nie pił, począł jeść i pić z nierządnicą dla pozyskania duszy jej. A po wieczery, gdy z nią szedł na pokój, zaparł ostrożnie drzwi, a widząc, iż już mu zeń uciec nie mogła, jąwszy ją za rękę, dał się jej poznać jako stryj i uprowadził ją z karczmy, ratując jej duszę.”

W początkach VII wieku żył w Aleksandrii zakonnik Witalis, który popadł w zelżywość u ludzi, bo spisał sobie wszystkie wszeteczne niewiasty w złych domach, za każdą z nich modlił się, a co zarobił w dzień, to wieczorem kolejno rozdawał między wszetecznice, zobowiązując każdą, aby za te pieniądze zachowała się w tym dniu w czystości. Osobiście pilnował tego zobowiązania: „sam włączysz w jeden ką, całą noc ręce podnosząc, modlił się i chwalił Pana Boga, prosząc za jej upamiętanie. A czynił to co dzień, do innej a do innej chodząc, a każdej prosząc, aby nikomu nie powiedziała spraw jego.” Powiada ks. Skarga, że poszczęścił mu Pan Bóg w owej takiej posłudze około dusz, bo wiele z nich, porwawszy się z łóżka, z nim zaraz przyklekały i modliły się. Ale ludzie, jak ludzie: „wielu się tedy ludzi onym jego postępkami zgorszyło, bo już mało nie wszyscy o tym wiedzieli, a jedni mu łajali, drudzy nań plwali i upominali, a on znosił wszystko skromnie, w tym się kochał, iż tak o nim ludzie źle trzymali...”

Podobne zwyczaje miał Symeon z Edessy, nazwany Salem, czyli głupi. „Wchodził w dom bogaczy, dziewczki ich i sługi obłapiał i całował. Raz spostrzeżony był u jednej panny, która zgrzeszywszy z innym nań skłamała, jakoby on ją brzemienią uczynił. Lekkość onę i niesławę rad na sobie nosił i jako żonie swej onej niewieście służył i jeść dawał. Ale gdy powiść dzieciątka miała, a w boleści wołała, rzekł Symeon: nie będzie wolna, aże powie, kto jest ojcem dziecięcia tego — i tak się stało. Chodził do nierządnic wszetecznych i obiecywał im pieniędzy wiele (które on cudownie, nie wiem gdzie, brał),

a gdy im dawał, przysięgać mu musiały, iż już w czystości żyć miały. A gdy która przysięgi nie dotrzymała, prosił Pana Boga, aby w niemoc upadła, albo na nią diabła, aby ją trapił, puszczał. Miał dziwnie umartwione członki swe nad inne święte, tak iż z białą płcią jako drewno z drewnem, pobudki żadnej nie czując, zostawać mógł.”

Zapewne podobne walory posiadał niejaki Efrem diakon. Gotował sobie strawę. Z okienka naprzeciwno obserwowała go zaczepna niewiasta i rzecze:

— Czegoż tam niedostaje do twego obiadu?

— Kamienia a gliny, żebym to okienko, którym patrzysz, zalepił. — Ale ona się nic nie hamując więcej jeszcze swej wszeteczności używać poczęła. Rzecze niewieście:

— Jeśli chcesz co mieć, pójdziesz tam, gdzie ja chcę. A ona ochotnie obiecała. A św. Efrem rzecze:

— Pójdz na rynek wśród dnia. Ona

to słyszawszy rzecze:

— Ale to sromota, gdyby ludzie patrzyli.

Od słowa do słowa wypomniał jej, by takich rzeczy nie robiła, a ona popłakała się, a niedługo, jak Magdalena, Efremowi do nóg padła, który ją do klasztoru między pokutnice wyprawił.

Okolo roku 450 w pobliżu miasta Porfirionu żył pustelnik Jakub. Czarty nastawiały na niego sieci, aby go w jaką hańbę wprawić i z pustelni wygonić. Nasłali mu w nocy, w czasie burzy, niewiastę, która go o nocleg prosiła. Niechętnie, ale wpuścił ją i zostawił w sieni. Za chwilę poczęła jęczeć, że boleje na wewnątrz i na serce i prosi go o pomoc. Gdy ją olejem zaczął nacierać, ona „chcąc go już z ciała swego jadem pożądlivosti zarazić, aby ją dłużej mazał, on w prostocie wierzył niewieście, służący w potrzebie jej w onej zmyślonej niemocy, ale też przy prostocie gołębiej zachował wężową mądrość i uchodząc sidła złej zapalczywości, czując jako chytry jest szatan w pokusie cielesnej i chcąc wszystką nierządną popędliwość (która się z dotykania w sercu jego dobywała, a zezwo-

lenie na grzech wyciągała) mocnie od siebie odsadzić i jej w czas ode drzwi zaskoczyć, onę rękę lewą w ogień wsadził i przez długi czas tak mężnie trzymał, iż mu palce ugorywać poczęły." To bacząc niewiasta przyznała się, iż czartu służyła i nasłana na niego była od Samarytów. On jej dał naukę niebieską i odesłał do biskupa na czynienie pokuty i przyjęcie chrztu, bo była poganka.

„Tak czart, gdzie chciał wygrać, szyję złamał i wieczną hańbę wziął" — jak to ks. Skarga czytelnikom *Żywotów świętych* wyświecił. Niejeden jeszcze taki portrecik służebnic czarta ks. Skarga znakomitym piórem naszkicował. Zakończymy reprodukcją obrazka eleganckiej, cnotliwej nierządnic, Pelagii. Weszła ona do kościoła w czasie kazania biskupa. „Ta niewierna, jedna z pań antiocheńskich, sławna nierządnicą, mijiała wszystkich biskupów z wielką pompą, drogo ubrana i upiększona. Nie było nic na niej widać, tylko złoto jedno, kamienie drogie a perty. Około niej wiele panienek i pacholąt ubranych i łańcuchy złote noszących, a tak twarz jej była wdzięczna i śliczna, iż ludzie świeccy patrzeniem się na nią nasycić nie mogli, i mijając, powietrze wszystko perfumami i wonią wdzięczną napełniła. Ujrzawszy biskupi, jako szła bezpieczenie i niewstydlivie, nie pokrywwszy głowy swej, a obnażywszy ramiona swe, spuścili oczy swe, a cicho wzdychając, od próżności onej odwracali twarzą swoję."

Żywoty świętych napisał i przeznaczył ks. Piotr Skarga w pierwszym rzędzie dla syna królewskiego. Dedykacja rozpoczyna się słowami:

„Najjaśniejszemu Królewicowi Polskiemu i Szwedzkiemu, Władisławowi ośmletemu, x Piotr Skarga *Societatis Jesu*, modlitwy grzesznej i służby powinie unizienie oddaje, i mówi:

Gdy już tego dziewiątego roku narodzenia swego Jasność Wasza czytać poczyna, a dobre wychowanie do nauki już rozkazuje: przynoszę Jasności Waszej te księgi polskie *Żywotów Świętych*, aby się na nich i czytania, i języka polskiego doskonale nauczał. Co uczynisz przykładem króla hiszpańskiego, Filipa trzeciego, który się na żywo-

cie Ignacego Loiolle Patryarchy naszego *Societatis Jesu*, po hiszpańsku pisanym, w czytaniu zaprawował. Jako należy na tym, z jakimi młody towarzyszy, tak też i na tym, na jakich księgach rad czyta i które sobie upodoba. Najdują się tu też i na młodość, i na stan pański pożyteczne nauki i święte nauki i przykłady, które choć nie teraz, ale za większym baczeniem do rozumu i bojaźni Bożej nabierania posłużyć Jasności Waszej mogą..."

Zapewne królewicz do tej lektury zaprawiał się gorliwie i ćwiczył doskonale w języku polskim. Dostyc też wcześniej sporo frywolnych wieści z niej wyczytał o diabłach, o czarownikach, o wszetecznych niewiastach i ich sprośnych warsztatach nieczystości.

*

Przekład *Młota* rozkrzewił i umocnił wiarę w istnienie czarownic i na ziemiach polskich. Wiara ta jednak istniała już wcześniej. Ustawa, uchwalona przez sejm polski w roku 1543, przekazywała sprawy o czary przeciw czarownicom — sądom duchownym, w tych zaś wypadkach, gdy czarownice wyrządziły komuś szkodę majątkową lub na zdrowiu — sądom świeckim, wzorem niemieckiej ustawy karnej „Karoliny" (*Constitutio Criminalis Carolina*). Ponieważ zawsze czary z jakąś szkodą się łączyły, przeto też faktycznie utrzymała się w tych sprawach jurysdykcja świeckich sądów miejskich i wiejskich.

Prym w paleniu czarownic wiodło miasto Poznań, i to dosyc wcześniej. W roku 1544 żywcem spalono tu za czary Dorotę Gnieczkową, która trudniła się wrózeniem. Gnieczkowa podjęła się wywróżyć niejkiej pani Kierskiej, którą okradziono, kto był sprawcą kradzieży. Odmówiwszy trzy razy Ojczy Nasz, Zdrowaś Mario i raz Wierzę w Boga Ojca wrózenie rozpoczęła od recytowania formułki rozmowy Syna Bożego z Panną Marią:

— „Gdzie idziesz, Matuchno moja miła?"

— „Idę, mój miły Synu, zamawiać tego złodzieja, który uczynił złość tej pani.”

— „Zamawiaj Panno czysta swoją mocą Boską, mocą wszystkich Świętych i moją mocą, izby tak tu stanął ten człowiek, który wziął te pieniądze, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego.”

Po tych słowach Gnieczkowa wylała wodę na воск. I oto po takim zaklęciu stał się cud, gdyż — jak mówią akta sprawy — ukazał się pani Kierskiej służebnik, który pieniądze ukradł. Zjawa była wielkości palca, a przy niej dwie kupki pieniędzy...

W roku 1567 również w Poznaniu uwięziono pod zarzutem czarostwa niejaką Katarzynę z Nowca. Zmarła ona w więzieniu, więc „mistrz świętej sprawiedliwości” spalił jej zwłoki pod szubienicą.

Poza sądami miejskimi i dworskimi nie spotyka się w Polsce procesów o czary przed innymi sądami, gdyż o czary obwiniano tylko kobiety z ludu wiejskiego i miejskiego, nieznane są zaś wypadki obwinienia szlachcianek, a że z obwinieniem tym zawsze łączyło się obwinienie o wyrządzenie szkody w dobytku, majątku lub na zdrowiu, więc też do sądenia nieszczęśliwych niewiast „zasiadło prawo” miejskie lub wiejskie, wyręczając sądy kościelne.

W sądzie wiejskim we wsiach królewskich i kościelnych proces przeprowadzała władza gromadzka (wójt i siedmiu przysiężnych), urzędująca przy uczestnictwie zastępcy dworu. W dobrach szlacheckich absolutum dominium sprawował pan wsi i jego służba. Gdy taki despota podejrzewał poddane swoje o czary, nie dowierzając sądowi wiejskiemu lub chcąc od siebie oddalić odpowiedzialność za zamordowanie ludzi i być wolnym od wyrzutów sumienia, najczęściej wypożyczał sobie sędziów z najbliższego miasteczka wraz z „mistrzem”, czyli katem, i jego pomocnikami, „hyclami”, i przy ich pomocy urządzał krwawe widowisko procesu o czary.

Wiarę w gusa i czary szerzył głównie kler w kazaniach,

naukach, drukowanych publikacjach i przez praktyki z egzorcyzmowaniem diabłów. Gdy zaś pod wpływem tych nauk i praktyk cała Polska „zaswędziła się czarami”, jakże masy ciemnego ludu i ogłupiałej szlachty nie miały wierzyć w czary i nie lękać się czarownic, skoro nawet dwór królewski był „zaswędzony” czarami. Królowa Bona nienawidziła synowej Barbary, żony króla Zygmunta Augusta, i sprowadziła jakąś „babę-czarownicę”, by na synową „uroki rzuciła”. Król, dowiedziawszy się o tym, już gotów był wytoczyć owej babie proces o czary i spalić ją na stosie, jednak przeszkodził temu przypadek. Zabobonny król przykładał wielką wiarę do przepowiedni wieszczbiarzy. Nadworny jego wieszczbiarz, „mistrz” Proboszczewicz, wydał dzieło o kometach, w którym przepowiada królowi, które dni jego będą „pod szczęśliwą gwiazdą”. Gdy raz pewnego król wybierał się do Brześcia, Proboszczewicz przepowiedział mu, iż grozić mu tam będzie nieszczęście od ognia. Właśnie wtedy owa „baba-czarownica” miała być wywieziona do Brześcia i tam spalona. Przepowiednia Proboszczewicza chwilowo uratowała ją, gdyż król, obawiając się ognia, polecił ją przewieźć do Dubnik, a po powrocie do Wilna miał dopiero „prawo jej uczynić”, czyli ją osądzić. Gdy więc i król palił czarownice, tym bardziej mogli to czynić poddani.

Przebieg takich procesów i protokolarne opisy tortur tudzież liczbę ofiar można by ustalić tylko na podstawie aktów i ksiąg sądowych wiejskich i miejskich. Tych sądów było w Polsce kilkanaście tysięcy, tj. tyle, ile było miast i ile było „państwów” szlacheckich, kościelnych i królewskich. Akta sądowe i księgi zniszczył żąb czasu, a we wsiach szlacheckich często rozmyślnie je niszczone, aby usunąć świadectwo prawdy dziejowej, te zaś księgi sądowe i akta, które się zachowały i udostępnione zostały do zbadania, wykazują, że obłąd torturowania i palenia wieśniaczek i mieszczanek jako czarownic przetrwał na ziemiach polskich nawet sejmowe zakazy mordów sądowych. Że sądy te w ciągu XVII i XVIII aż do

początków XIX wieku wymordowały sporo ofiar — nie ulega wątpliwości. Te mordy sądowe nie miały jednak w Polsce tak olbrzymich rozmiarów, jak na zachodzie Europy, a w szczególności w Niemczech.

*

Rolę najwstrętniejszych okrutników w procesach czarownic odgrywali sędziowie. Z wyroków tych sędziów widać, że byli oni albo głupcami, opanowanymi przez obłąd, albo nikczemnikami, podszytymi obłądą i faryzeizmem. Czy był to zakonnik, szlachcic, czy rzemieślnik lub chłop pańszczyźniany, czy zawodowy prawnik, powołany do wykonywania sądowej jurysdykcji, jeżeli umysł jego opanowany był bojaźnią przed władztwem czarta i jego pomocników spośród ludzi, dręczył on i na śmierć zamęczał oddane pod jego jurysdykcję kobiety w tym najgłębszym przekonaniu, że dobrze przysłużą się Bogu i społeczeństwu. Byli to fanatycy ślepi i zaciekli, niemiłosierni, okrutni. Nie brakowało ich wśród mędrców ówczesnych — profesorów uniwersytetów. Przecież nie kto inny, tylko fakultet prawniczy uniwersytetu w Getyndze wydał orzeczenie, że dopóki czarownica ma włosy na ciele, dopóty diabeł ma moc nad nią, z chwilą gdy się ją „odwłosi”, diabeł traci tę moc. Fakultety filozoficzne prowadziły zaciekle rozprawy na tematy, ile diabłów może zmieścić się na końcu szpilki, a biegli w matematyce układali statystyczne tablice „zadiablenia” świata przez różne rodzaje szatanów.

Długoletnia praktyka sądowa zrodzić też musiała wiele wątpliwości wśród ówczesnych sędziów co do wartości oskarżeń o czary. Jeżeli mimo to sprawy sądzili i wyroki śmierci ogłaszali, to czynili to jako zwykli najemnicy, niczym nie różniący się od katów, którzy profesję sędziowską traktowali jako sposobność do zarobku. Dla marnych paru złotych wynagrodzenia należnego „prawu” wynajmował się wójt czy ławnik zabobonnemu szlachcicowi, aby mu spalić poddanki. A je-

żeli chłop, jako sędzia gromadzki, także same okrutne wyroki zasądzał, to czynił to ze strachu przed dziedzicem. Ale widać tu jednak czasem wzdrganie się przed konsekwencją takiego wyroku. Przecież chodziło tu o sąsiadkę, dalszą czy bliższą krewną, oczernioną przez głupich ludzi! Toteż na przykład w Jadownikach to samo „prawo”, które kobietę zasądziło na śmierć za czary, upadło do nóg dziedziczki, prosząc o darowanie tej kary.

Ci ulegalizowani „ludobójcy” znajdowali pokrycie swych zbrodni w przepisach prawa. Przepisy prawa karnego, przejęte z niemieckiego prawa (*Zwierciadło saskie*), przewidywały za czarownictwo karę spalenia. Zbiór praw polskich, ułożony przez Groickiego w ślad za prawem niemieckim, zwanym magdeburskim, również przejął zasadę palenia czarownic.

To niemieckie prawo magdeburskie i późniejsze ustawy karne, jak tzw. Karolina z roku 1532 i wcześniejsza od niej ustawa miasta Bamberg z roku 1507, wydana przez księcia biskupa Grzegorza III, przepisujące z drobiazgową szczegółowością stosowanie tortur, znane były w Polsce. Praktyka sądowa opierała się na tych ustawach, a narzędzia i sposoby torturowania czarownic były ściśle wzorowane na praktyce sądowej niemieckiej.

W roku 1769, a więc zaledwie siedem lat przed wydaniem zakazu torturowania i palenia czarownic, Jakub Czechowicz w książce *Praktyka kryminalna* rozpiął się w sześciu rozdziałach o postępowaniu sądowym w sprawach czarownic. Tytuły rozdziałów wyjaśniają dobrze treść w rozdziałach tych zawartą. Brzmia one: *O sposobie, w jaki proces formować w sprawie czarostwa, Jakiemi czarostwa dowodzić potrzeba probacjami. O presumpcjach, które dostateczne indicium do tortur czynią, Ze sprawiedliwie magistraty i sądy czarowników i czarownice karzą na życiu, Jako mają być karani czarownicy i czarownice z diabłem w ugodę wchodzące i jemu się oddające, O tych, którzy nie mając wyraźnego z diabłem przymierza, nauką się czartowską bawią.* Autor tego podręcznika,

sędzia miasta Chelмна, wykorzystał wszystkie niemieckie prawa i poglądy niemieckich specjalistów, praktycznie prawa te stosujących.

Według Czechowicza za czarostwo poczytywać należało, jeżeli przy czarownicy znaleziono trucizny i czary, jeżeli widziano, że pod progiem, gdzie stajnie albo chlewy są, kopała i czary zakładała, i stąd by zaraz bydło zdychało, albo jeżeliby widziano o czarostwo podejrzaną, że niewiniątko zabija, albo jeżeli czarownica osobie nieprzyjaznej zdrowej odgrażała, a osoba ta nagle zmarła albo uległa apopleksji czy też nagłej chorobie. Również gdyby sędzia słyszał jak czarownica głośno suplikowała do diabła o odjęcie oczarowania, będzie to dowód doskonały czarostwa, a także i wówczas gdyby znaleziono ugodę zawartą między czarownikiem a diabłem, przez diabła opieczętowaną. Kobieta, która by wyszła w nocy z łóżka przez zamknięte drzwi, i w taki też sposób na łóżko wróciła, albo jeżeliby oczarowała ludzi, bydło, zboże, na powietrze się wzbila, psu mowę dała i członki roztargawszy, krew wyrzuciła i znowu też same członki do kupy spoiła, czarownicą jest. Zdaniem Czechowicza występki czarostwa jest większy nad mężobójstwo, cudzołóstwo i złodziejstwo. Czarownice bowiem Boga odstępują, diabłu się kłaniają i z osobliwymi ceremoniami i dusze, i ciała na potępienie wieczne oddają. „Straszny jest występki czarostwa — pisze on — bo w nim strasznym przypadkiem czarownicy i czarownice z diabłem się łączą, z którym duchem nieczystym łącząc się, ciało swoje i członki, które są naczyniem Ducha Świętego, pod diabła podkładają, a tak wiarę chrześcijańską zgoła oddaliwszy przez commixtyją z nim się ciałem jednym stają." Tej diabelskiej sekty wyznawcy są nieprzyjaciółmi zbawienia ludzkiego i wrogami rodzaju ludzkiego, bo ludziom i bydłu szkodzą, diabelską nienawiść między małżeństwem wzbudzają, sprawie małżeńskiej i potencji rodzącej przeszkadzają, pokarm w mamkach wysuszają i gubią, poronienie w białogłowach, także w bydło wyrzucenie płodu, a niekiedy i w całych trzodach czynią.

Deszcze, grady, błyskawice, wiatry i grzmoty sprowadzać i wzbudzać mogą. Także muchy, węże, żaby, myszy, szarańczę i inne różne robactwo wyprowadzić i na zboże puścić mogą. Mogą tak ludzi, jak i bydło albo dotknięciem się, albo samym tylko wzrokiem zabić. Nawet dusze w ciałach zabijają różnym sposobem. Są trzy rodzaje czarostw. Pierwszy nazywa się *species divinatoria*. Ten rodzaj czarowników usurpuje sobie coś z bóstwa i usiłuje wróżyć o przeszłych i przyszłych rzeczach. Są to nekromantycy i czarnoksiężnicy. Drugi nosi nazwę *species amatoria*, bo się dzieje dla amatorów lubieżnych i w celu nakłaniania niewiast i mężczyzn do lubieżności. Wreszcie trzeci nazywa się *species venefica* albo *malefica* — i ten jest najszkodliwszy, bo z niego wynikają nieszczęścia, choroby i śmierć. Dlatego ten trzeci rodzaj czarowników nazywają nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego, bo niekiedy nawet mocą słów swoich ludzi zabijają. Dlatego też czarowników i czarownice najprzód prawo Boskie każe zabijać, jak poucza Pismo Św., a potem prawo cywilne również nakazuje ich zabijać, bo występki ten jest daleko cięższy od mężobójstwa, złodziejstwa i cudzołóstwa, za które grozi kara śmierci. „Któż tedy — zapytuje Czechowicz — nie osądzi, cokolwiek pobożności i zdrowego rozumu mający, czy niesłusznie i niesprawiedliwie według Prawa tak Boskiego, jako i ludzkiego czynią Magistraty i sądy, że na życiu tak czarowników, jako i czarownice karzą?" Karą odpowiednią na czarowników i czarownice jest kara śmierci przez spalenie. Kara zaś miecza tylko do tych czarowników winna być stosowana, którzy nie rzuciwszy wiary chrześcijańskiej nie wchodzili w przymierze z diabłem, lecz jedynie mają z nim „*commercium bez przymierza*" albo innymi sztukami czarowskimi szkodzą.

Trzy są sposoby wdrożenia procesu przeciw czarownikom. Pierwszy, gdy ktoś przed sędzią oskarży kogo o występki czarostwa, obiecując go dowieść, i zapisuje się na poniesienie kary (poena *talionis*) na wypadek nieudowodnienia wy-

stępku; drugi sposób, gdy kto donosi o czarownicy i opowiada, nie zobowiązując się przeprowadzić dowodu ani nie skarżąc formalnie, ale mówi, że donosi z żarliwości religijnej albo że boi się klątwy lub kary sądowej z powodu tajenia spraw czarowskich. Wreszcie trzeci sposób jest przez inkwizycję, kiedy nie ma takiego, który by skarżył albo donosił, lecz w jakimś mieście lub wsi szerzy się fama, że są tam czarownice. W tym wypadku sędzia ma wdrożyć postępowanie z urzędu i zbierać poszlaki i dowody. „Indicia”, czyli wskazówki, które otwierają drogę do śledztwa, są różne. Wystarczy, by podejrzany „dyffamowany” był o występki czarostwa, by zadenuncjował go towarzysz występku, czarownik lub czarownica, by podejrzany zrodzony był z rodziców czarowników, by oczarowany żywił nienawiść do czarownicy, by kobieta przenosiła się ze wsi lub do wsi lub gdyby się znalazł chociaż jeden świadek popierający oskarżenie. W sprawach o czarostwo świadkami mogli być nawet tacy, którzy w innych procesach prawem wykluczeni byli od składania zeznań. Nawet samo posądzenie ze strony oczarowanego, będącego bliskim śmierci, też wystarczyło do wdrożenia inkwizycji, tak jak wystarczyła ucieczka czarownicy lub denuncjacja inkwizytora lub innego urzędnika wyznaczonego do donoszenia o występkach. Oczywiście najlepszym dowodem było przyznanie się samej podejrzanej, chociażby nawet nieprawdopodobne i przeciwne naturze zdarzenia opowiadała, jak np. że na schadzki czarownic była zanieśiona, że na powietrze uniesiona była, że w wilka albo w inne zwierzę przemieniła się, że sprawę z diabłem miała. Jeżeli czarostwo ani uczynkami wiadomymi, i ślady pozostawiającymi, albo też własnym zeznaniem czarownicy ani też zeznaniami świadków przyzwoicie dostatecznie nie mogło być dowiedzione, natenczas z uwagi, że „w sprawach kryminalnych, a osobliwie w występku czarostwa, potrzeba probacji nad słońce południowe jaśniejszych”, wolno było uciec się do zastosowania tortur. „Presumpcjami”, które były dostatecznymi do zastosowania tortur, były np. przechwałki, że

ktoś umie naukę czarowską lub że jej nauczył, przebywanie w towarzystwie czarowników i czarownic, posiadanie w mieszkaniu lub przy sobie czarów takich, jak garnek napełniony robactwem, hostiami, członkami ludzkimi, obrazkami woskowymi pokłutymi igłami, jeżeli niewiniątko przy rękach matki znajduje się zabite, jeżeli kobieta, gdy straż ją bierze, woła: „już po mnie, jużem zginęła”, albo obiecuje wszystko powiedzieć, o ile życie mieć będzie darowane. Także zaklinanie, wzywanie diabła, a co najważniejsze, jeżeliby na kobiecie znaleziono znak wypalony — to były dostateczne indycja do tortur. Co do owego wypalonego znaku, to — zdaniem Czechowicza — najczęściej wyrażony on jest jako zajęcza stopa, a miejsce, gdzie znajduje się wypalenie, nie jest cierpiętliwe, „że luboby igła w to miejsce utknęła i aż do kości przeszła, jednak czarownica żadnego bólu nie czuje ani krew nie płynie”. Do stosowania tortur wystarczyło świadectwo jednego tylko człowieka, a nawet jeżeli jedna czarownica drugą wymieniła lub czarownik czarowskimi „superstycjami” zdrowie choremu przywrócił. Co do pławienia czarownic to Czechowicz oświadcza, że „takowa exploracja przez zimną wodę nie jest sposób doskonały i prawdziwy poznania czarownic i nie tylko na takie magistraty i urzędy, a sede Apostolica zaszła excomuniką, którzy się do takowych udają superstycji, ale i doktorowie prawa negative w tym odpowiadają”.

Czechowicz bezsprzecznie należał do najbardziej wykształconych i najinteligentniejszych prawników polskich. Oblędna wiara w czary i czarownice opanowała i jego umysł, a praktyka kryminalna, jaką sam do czarownic stosował i innym stosować radził, była okrucieństwem niegodnym sędziego. A cóż dopiero powiedzieć o różnych małomiasteczkowych sędziach, którzy ani wiedzą, ani doświadczeniem nie mogli się równać z sędzią miasta Chełmna? Ci z wymiaru sprawiedliwości stworzyli istną rzeźnię.

Tak więc złożyło się, że Polska nie miała dla spraw czarostwa ani dominikańskich, ani franciszkańskich trybunałów

Św. Inkwizycji, ale miała za to ławnicze sądy miejskie i wiejskie, samowładztwo sądowe szlachciców nad poddanymi. Zabobonny szlachcic i jeszcze przesądniejszy, a nieraz nieuczciwy, „sędzia” miejski w imię obłądnej wiary w czary i czarownice, lub w imię zarobku, nie gorzej skazywali wiejskie i miejskie niewiasty na palenie ich żywcem na stosach niż święte inkwizycyjne trybunały w krajach zachodniej Europy.

* *
* *

Przyznanie się oskarżonej do czarów uchodziło wedle prawa procesowego za najznakomitszy dowód winy. Aby zaś ten dowód uzyskać, poddawano oskarżoną rozmaitym torturom. Zazwyczaj jednak tortury poprzedzało „wypróbowanie czarownicy”. Praktyka sądowa знаła pięć takich prób: próbę łez, próbę szpilkową, próbę ogniową, próbę wodną i próbę wagową.

Istniał przesąd, że kobieta, która jest czarownicą, nie jest zdolna do uronienia nawet jednej łzy. Sędzia, przystępując do próby łez, zaklinał podejrzaną na łzy Jezusa Chrystusa, które za zbawienie ludzkie wylewał na krzyżu, aby, jeśli jest niewinna, łzy roniła, jeśli zaś winna, aby ich nie roniła. Najczęściej zdarzało się, że podejrzana ze strachu, przerażona, prawie na pół martwa, nie mogła na rozkaz zapłakać, był to więc już jeden dowód, że sąd ma do czynienia z czarownicą. Jeśli nawet płakała, to jej też niejednokrotnie nie ratowało, bo przesądny sędzia przypisywał to sprawkom szatana. Stosowano więc następną próbę — szpilkową. Próbę tę poprzedzało dokładne wygolenie włosów na całym ciele podejrzananej. Utrzymywała się bowiem wiara, iż z chwilą gdy czarownicę się „odwłosi”, diabeł przestaje mieć moc nad nią. Następnie oprawca lub też sędzia przy pomocy chirurga przystępował do dokładnych oględzin ciała „czarownicy” w poszukiwaniu tzw. znamienia. Znamię takie w postaci brodawki czy plamy na ciele było niejako pieczętką diabelską, przy tym odzna-

czało się tą właściwością, że z miejsca tego, po ukłuciu szpilką, krew nie ciekła. Kobieta, poddana tej próbie, narażona była na najbezwstydniejsze wybryki oglądaczy, a wynik tej próby zależał od ich orzeczenia, bo na ich łaskę i niełaskę zdana była nieszczęśliwa niewiasta. Mniej stosowana była próba ogniowa, ograniczała się ona jedynie do zapytywania podejrzananej, czy jest gotowa nieść rozpalone żelazo, gdy jednak oskarżona gotowość taką objawiła, próby tej zwykle nie stosowano w przekonaniu, że za sprawą diabła wypadnie ona dla niej pomyślnie. Za to w powszechnym użyciu była próba wodna, inaczej kąpielą czarownic nazwana. Pławienie takie odbywało się publicznie. Kobiety spędzano nad staw lub rzekę i rozbierano do naga. Następnie „wiązano je w kozła”, tj. związywano prawą dłoń z lewą stopą i lewą dłoń z prawą stopą, i na linie wrzucano do wody. Jeżeli wrzucona tonęła zaraz, był to dowód niewinności, jeżeli zaś pływała — był to nieomylny znak, że jest czarownicą. Po miastach stosowano także ważenie czarownic. Utał się przesąd, iż za sprawą szatana czarownice są lekkie jak pierze, toteż jeżeli kobieta mniej ważyła, aniżeli określał przepis, stanowiło to dowód jej winy. Ważenie przeprowadzała komisja składająca się z dwóch ławników, pisarza i zaprzysiężonego wadmistrza. Przed ważeniem kobieta musiała się rozebrać, po czym jeszcze dokładnie ją rewidowano, czy nie schowała gdzieś jakiegoś przedmiotu, który by ciężar jej powiększył. Po zważeniu, o ile wypadło szczęśliwie, uzyskiwała certyfikat o wyniku wagi. Jeżeli zaś wynik wagi był niekorzystny, szła do więzienia, gdzie prowadzono z nią śledztwo przy pomocy tortur. Wyrok skazujący przewidywał dla „czarownicy” karę śmierci przez spalenie jej żywcem na stosie.

Proces o czary wywoływał zazwyczaj tzw. instygator, odpowiadający dzisiejszemu prokuratorowi. Takim prokuratorem mógł być ktokolwiek bądź. Instygatorów zazwyczaj występowało w procesie trzech, a doniesienie swoje musieli poprzeć przysięgą. O to nie było trudno, gdyż przesąd na punk-

cie czarownic był powszechny i wierzyli weń wszyscy. Nawet mąż, gdy chciał się pozbyć żony, to obejmował rolę instygator i oskarżał ją o czary, przysięgał jak z nut i „brał na swoje sumienie”.

Zachował się protokół procesu o czary we wsi Wierzbocice z roku 1699. Według tego protokołu przysięga instygatorów tak brzmiała:

„Ja Kazimierz, Szymon, Piotr przysięgam Panu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu: Iż ta pracowita Anna, z tejże wsi Wierzbocic, Ratajka jest prawdziwą i jawną czarownicą, którą biorę na sumienie swoje, a czynię to nie z gniewu, nie z nienawiści, nie z zawziętości, nie z namowy, nie z przenajęcia, ale z samej wiadomości i sprawiedliwości i cokolwiek mnie i innym ludziom złego stało się, tylko przez nią. Jako i syna mego o śmierć przypawiła. A że to moja prawdziwa i nieomylna jest przysięga, też Annę Ratajkę po pierwsze, po wtóre i po trzecie Poprzysięgam i na sumienie swoje biorę. Z tego wszystkiego na Straszonym Sądzie Boskim rachunek dać obiecuję. Tak mi pomóż Panie Boże Wszechmogący i Jego niewinna Męko!”

Następnie opisuje protokół torturowanie i zeznania, złożone na torturach przez ową „pracowitą” Annę Ratajkę, indagowaną przez „sławetnego” wójta Wojciecha Pietrzykowskiego i „sławetnych” również ławników, Łukasza Kostanarskiego i Jakuba Orzekańskiego, z miasteczka Pyzdr, wynajętych przez szlachcica Jaroszewskiego do sądzienia sprawy. Z tytułów widać, że Ratajka to chłopka, osoby bowiem stanu chłopskiego tytułowano w aktach „pracowitymi”, a sędziami są mieszczanie, bo tytułowali się przynależnym ich stanowi tytułem „sławetnych”.

Według protokołu:

„po uczynionej przysiędze w podaniu wyżej mianowanych instygatorów też pracowita Ratajka wzięta jest na pierwsze tortury. Na których nic zeznać nie chciała, tylko wołała: «Najświętsza Panno Ma-

rio — Najświętszy Sakramencie, obrazie Studziński». Potem do ludzi: «zmiłujcie się nad Najświętszą Panną i nad Najświętszym Sakramentem».”

Wieczorem tego samego dnia wzięto ją po raz drugi na tortury, na których w męczarniach zaczyna się „przyznawać”. Powiada, że ją czarować nauczyła Jagna Łakomianka z Wierzbocic, że „przykasiła” do niej szatana, z którym „miała wesele”. Bywała na Łysej Górze ku Kaliszowi na sabacie. Latały tam wszystkie razem, a potem zaczęła wymieniać znajome i sąsiadki ze wsi Chwalibogowa, Skarboszewa, Ciążenia, opowiadając fantastyczne, urojone historie, co działo się na sabacie czarownic. Wszystkie choroby bydła w oborze Jaroszewskiego przypisywała czarom, również nieurodzaj, a Agatę Korfanek oskarżyła o ukradzenie Pana Jezusa na odpuszczenie i smaganie na Łysej Górze, aż krew płynęła. Obwiniła siebie samą o zatrucie dziecka i oddanie go diabłu na Łysej Górze. Zatrzymała deszcz, aby ziemi nie ożywiał, a także sporządzała proszki z koszul trupich i parszywych żab na nieszczęścia ludzkie, „uczyniła” jakiemuś Kazimierzowi, aby szczęścia w dobytku nie miał, odprzysięgała się z innymi Boga Stwórcy i Matki Chrystusowej — a za te wszystkie zbrodnie sąd wydał według art. 13 *Zwierciadła saskiego* tak na Ratajkę, jak i „wyzdradzone” przez nią inne „czarownice” wyrok tej treści:

„Tedy sąd poważny terażniejszy gajny Wójtowski Pyzdrski za takie złe i niecnotliwe sprawy czarowania, ich Boga odstąpienie a diabła słuchanie, dekretem swoim i zgodnymi sentencjami nakazuje, aby z tego mizernego świata — jaka robota, taka zapłata — ogniem były zniesione i wcale na stosie spalone. Zachowując tę kondycję Agacie, aby ręce obiedwie jej po kikut smołą i siarką polane w górę wyniesione i tak gorzały za to, iż się ona ważyła dotykać Najświętszego Sakramentu, a to na ukazanie wszystkich ludzi, aby się złego wystrzegali, a do dobrego pobudkę mieli.

Pod tenże dekret i karanie pracowita Katarzyna i Regina podpadają, albowiem one także są i toż czyniły, jako się niżej pokaże,

gdyż Katarzyna przez pracowitego Macieja w ten sens jako niżej opisano jest poprzysiężona. Pracowita zaś Regina przez pracowitych Wawrzyńca, Macieja i Kazimierza są przysiężone. Z tym wszystkim niech idą na straszny Sąd Boski i tam liczbę dadzą ze wszystkich spraw swoich, a teraz tobie, mistrzu, te wszystkie cztery, Annę, Jagatę, Katarzynę i Reginę, sąd w moc oddaje; ty czyń z nimi wyrok według dekretu i Prawa Bożego."

Mistrz stos zapalił i ogniem zniósł wszystkie „z tego mizernego świata”.

Torturowanie i palenie czarownic praktykowane było w Polsce we wsiach klasztornych i szlacheckich oraz po miastach. Łada plotka wystarczyła do rzucenia podejrzenia, aby powstał proces i by „prawo” nakazało dręczenie niewiast Bogu ducha winnych. W Krowodrzy w roku 1698 sądził sąd gromadzki sprawę niejakiego Stanisława Dutka. Napłół on przed ludźmi, że Regina Budzynka jest czarownicą, bo na jego między gałązką kropiła, wierzbą trzęsła, bez opasywała powrósłami i garnki „czarostwem” napelnione na jego gruncie zostawiła. Do sprawy tej zasiadło „prawo”, to jest wójt i siedmiu przysiężnych, i kazało najpierw przysięgać Budzyncę, że nie jest czarownicą, a dopiero potem ukarało oszczercę. W Siarach w roku 1610 posprzeczła się Szczęsna Szczepanka ze Stanisławem Kołodziejem, pomawiając jego żonę o czary. Kłopotu było z tego we wsi co niemiara. W piątek środopostny zabrała się do sądenia tej sprawy cała gromada i urząd gromadzki. Wpłątana w sprawę żona Kołodzieja musiała przysięgać, że nie jest czarownicą, a nadto zwaśnione strony musiały sobie dać poręczycieli, że już więcej nie będą sobie wzajemnie takich zbrodni „wymiatać”.

Ze szczególnym okrucieństwem obchodzono się z czarownicami w Jadownikach. W księdze sądowej tej wsi pod datą 30 kwietnia 1698 roku wpisano szereg spraw o czary. O czary sądzona wówczas była Regina Biała. Według zwyczajowo stosowanego prawa magdeburskiego skazano ją na tortury, a potem miała być śmiercią ukarana, czyli spalona żywcem na

stosie. Ale widocznie samo głupie „prawo”, tj. sąd gromadzki, przeraziło się skutków własnej głupoty, bo po torturach „samo nisko do nóg upadłszy Wielmożnej Dobrodziejce” — dziedziczce wsi — prosiło o życie dla Białej. Dziedziczka darowała jej życie, ale zasądziła ją na zapłacenie „ekspensów prawnych” i „mistrzowskich”, czyli wynagrodzenia dla „prawa” i kata, oraz kar pieniężnych dla dworu, a w formie wosku dla kościoła. Najkapitałniejsze było jednak postąpienie dziedziczki z tzw. instygatorami, czyli rugownikami albo oskarżycielami. Tymi zaprzysiężonymi prokuratorami, oskarżającymi Białą o czarownictwo, byli Duda, Gaśior i Kurowski. Za to, że ją oskarżyli, „a na żadnym pewnym uczynku doskonałym nie dociekli”, zasądzeni zostali na zapłacenie grzywien dworowi, sądowi i na danie wosku do kościoła, a także na leżenie trzy razy krzyżem w kościele podczas nabożeństwa. Wyrok ten na instygatorów był zgodny z ówczesnym prawem, które w taki sposób starało się zabezpieczyć ludzi przed zbyt pochopnymi oskarżycielami.

W tych Jadownikach czarownic było jednak więcej. Prawie każda kobieta, którą wzięto na tortury albo pławiono w stawie, „przyznawała się” do winy i jeszcze inne zdradzała. Niejaka Regina Kozubka przechwalała się, że ma złote maśnice i skopce. „Prawo” wrzuciło ją do wody, gdzie potwierdziła, że rzeczywiście posiada tak drogocenne przedmioty. Powinna była iść jeszcze na tortury, ale wobec tego, że już nie znalazł się tak naiwny instygator, by oskarżenie przeciw niej popierał, skończyło się na „pańskiej” grzywnie 10 zł, „prawnej” 10 zł i 2 funtach wosku do kościoła, przy czym Kozubce zagrożono, że jeśli tego nie popłaci, to „zada jej mistrz (kat) sto plag nieodpuszczonych”.

Gdy do wody wrzucono podejrzaną o czary Perkową, ta zaczęła lamentować: „kiedyście mnie kapali, to już wszystkie koło Corcieńca trzeba kapać”. To odezwanie się zrozumiało „prawo”, że i te inne kobiety są czarownicami, a skoro ich nie wyjawiała, więc ją za to ukarano grzywnami.

W tym samym czasie pławiono jeszcze inne „czarownice”: Janową, Włodarczynę, Kaninę, Klimkową, Derkową, Batorkę, Kornatkę, dwie Jamrozki i żonę szewca, Fannę. Jakoś jednak inkwizycja wypadła nie najgorzej, gdyż skończyło się na karach pieniężnych i woskowych z tym zagrożeniem, że na drugi raz nie grzywnami, „ale według kryminału na gardle karać sąd będzie”.

Z roku 1721 zachował się opis procesu o czary, jaki rozegrał się przed sądem ławniczym w Nieszawie. Niejaki Stanisław Gałek pod przysięgą obwinił Annę Szymkową i Zofię Pędziszkę o czary i że panu Malewskiemu szkodziły na zdrowiu i bydło czarami „psowały”. Obie kobiety wzięto na tortury. Szymkową podczas torturowania odezwała się: „czemuście Zofii pierwszej na męki nie kazali wziąć”. Przy ponownych zaś torturach wołała: „Mam diabła szlachcica, imię mu Bartek, teraz niedawno mię odstąpił. Zofia na zdrowie jegomości uczyniła, jej się pytać. Ona o tym lepiej wie. Kiedy mnie ożeniła z diabłem, wtenczas na Łysą Górę jeździłam w karecie, w której była kobyła głowa. Dwa razy za Nieszawą byłam na Łysej Górze i tam z diabłem moim miałam sprawę małżeńską.”

Zofia Pędziszka na pierwszych torturach zeznała, że płakała, iż pan na nią jest zły, a Regina, siostra Szymkowej, dała jej trochę masła, a w tym maśle musiała coś „zadać”, bo wraz z siostrą kazała „na bydło pańskie uczynić, abym tego masła do obory zaniósła — com uczyniła”. Na drugich torturach Anna Szymkową zeznała, że Pędziszka nauczyła ją, aby się Pana Boga i Najświętszej Panny, i Wszystkich Świętych wyprzysięgła. „Ożeniły mnie — plotła — na Łysej Górze za Nieszawą. Tam zaraz miałam małżeńską sprawę z diabłem. Było tam wtenczas wiele czarownic, ale je trudno uznać było, bo się różnie zakrywały, jedne w kapy, inne też w czarne kitajczane odzienie. To, co mi wtenczas dała Pędziszka, nosiłam przy sobie. Diabłu memu imię Bartek, a Pędziszki diabłu imię Grzegórz. Kiedym się z moim diabłem żeniła, dał

mi znak, zadrapał mnie w rękę lewą z wierzchu.” (Jak zaznacza protokół, sąd znak ten naocznie sprawdził.)

Na trzecich torturach Zofia Pędziszka zeznawała, jak się jej diabeł w lesie ukazał, niby znajomy chłopiec. Potem znów Regina dała jej kocie, które podrapało ją w kolano, a to był czart, z którym potem miała „sprawę małżeńską”. Czart ten dał jej znamię pod piersią i na kolanie. (Sąd naocznie to stwierdził.) Potem pod progiem wetknęła proszek na kołtun jegomości, kucharka zaś gotowała nietoperza i wstawiła go w łóżko swoje, bo w ten sposób chciała Tupalskiego zniewolić ku lubieżności. Regina, siostra Szymkowej, dała jej masła i kazała do szopy zanieść, aby bydło pańskie zdychało. Wzięto i Annę Szymkową na trzecie tortury. Przyznaje się, że pod progiem zakopała proszek „na zepsowanie zdrowia pańskiego”, że Pędziszka ma dwóch diabłów, Bartka i Grzegorza, że jakaś Ewa jejności w rydzach „uczyniła” na chorobę, że gdy jeździła na Łysą Górę, dawała jej Pędziszka na smarowanie nagiego ciała maści, którą na murku w rogu pieca chowała. „Comkolwiek wyznawała, Prawdziwiem wyznała, i z tym na straszny Sąd Boski idę!” — tak zakończył sąd protokół z torturowaną Szymkową.

Za te przewiny, wydobyte z ciemnych kobiet, wijących się na torturach z bólu i z bólu zeznających nonsensy, sąd wójtowski w Nieszawie wydał *d e c r e t u m*, mocą którego zasądził je „żywo na stosie spalić”. Wyrok ten wykonano. Na podstawie zeznań spalonych kobiet przystąpił sąd wójtowski do osądzenia także tych kobiet, które nieboszczki miały widywać na Łysej Górze na sabatach czarownic. Były to Agata i Agnieszka Jakubkowe, które również „żywo spalono na stosie”.

*

W paleniu czarownic celuje głównie „kołtuneria” miejska. Klęski elementarne, głód, powódź, posuchę przypisuje

ona czarnej mocy, posługującej się oddanymi piekłu niewiastami.

Sąd miejski w Koźmierzach w roku 1625 spalił 7 kobiet, przypisując ich czarom posuchę. Sąd w Turku skazał Annę Jedyńczkę i Annę Bogdanę na stos, bo były w przymierzu z diabłem do złych uczynków, zaś w roku 1664 spalił Agnieszkę Podgolanę, bo z diabłami konferencje odbywała i ludziom szkodziła na zdrowiu.

Gdy zabobonne niewiasty przygotowywały dla kawalerów napoje miłosne, z liści stwarzały myszy, a innymi „czarodziejskimi” mieszaninami skrapiały pola, wystarczyło to do wydania zasądzonego wyroku i „legalnego” zamordowania ogniem „winowajczyń”. W roku 1640 w Słomnikach sprowadzony z Krakowa „mistrz św. sprawiedliwości” „palił Krystę Gajową” po bokach szynami rozpalonymi, a potem mieczem ściał. Niebawem tenże sąd skazał na spalenie Dorotę Pilecką, żonę szewca, u której znaleziono nieżywego nietoperza, co było dowodem czarostwa. Spalono ją w Kacicach: „kaci ją na stos przyprawili i takowy zażegli, aż dymy srogie buchnęły, z których niegodna przykład zacny a ustraszony biały głowom czyniąc, głosy żałośnie strzeliste często puszczała, aż zasię w dymach zdławiona, nad zachodem zgorzała. Lud zasię sławiąc sprawiedliwość a mądrość sądu, do domiech z ukontentowaniem szedł.” W roku 1645 spalono żywcem pod szubienicą w Poznaniu Reginę Boroszkę ze Stęszewa, bo zeznała, że spółkowała z czterema diabłami: Rokickim, Tórzem, Trzcinką i Rogalińskim. W roku 1722 ścięto w Poznaniu przed ratuszem Andrzeja Bocheńskiego z Gudziska. Skończył on różne szkoły, był dworskim inspektorem, wreszcie wstąpił do klasztoru cystersów. Tutaj prowadził zwady z otoczeniem, tak że uznano go za osobnika na umyśle pomyłonego, czego zresztą najlepszym dowodem było podpisanie diabłu własną krwią tzw. cyrografu. Księża, zobaczywszy ten dokument, kontrahenta diabła wypędzili z klasztoru, nakazawszy mu wprzód ów kontrakt spalić. Wariat przyjął służbę u Załuskiego w Pysz-

drach, gdzie nacierpiał się wiele. Z desperacji napisał nowy cyrograf, za co oddano go w ręce sądu poznańskiego, który zasądził go na karę śmierci przez ścięcie. Wyrok na wariacie wykonano na rynku przed ratuszem.

W „państwie żywieckim” z czarownic zasłynęła wieś Lipowa. W roku 1595 sołtys tej wsi i cała gromada lipowska — jak podaje wójt żywiecki Komoniecki — „instygowali” na niejaką Barbarę Opiolunkę, „że od kilku lat u nich w złym podejrzeniu była i żeby miała im bydło psować i pożytki odejmować, dlaczego ze wsi wygnana była. A ta przed mękami i po mękach do niczego się nie przyznała i z tym na sąd Boży poszła.” Wójt Komoniecki, który fakt ten w pamiętniku swym zapisał, zakończył powyższą wzmiankę uwagą: „Jaka to przedtem sprawiedliwość była, niech każdy uważa.” Przeszło w sto lat później, w roku 1698, zaszły w Lipowej dziwne wypadki. W folwarku lipowskim krowa urodziła cielę, które miało dwie głowy. Krowa po ocieleniu, a także i to dziwaczne cielę zdechły. To „monstrum” wyjawilo, że urzędnik dworski, Jan Koziół, nagle umarł, w cztery tygodnie zaś umarła jego żona i córka. W roku tym brakowało też paszy dla bydła z powodu nieurodzaju i długiej zimy, tak że nawet snopki odzierano ze stodół i rzezano na sieczkę. Wynędzniałe krowy nie dawały mleka, a ciemnota ludzka przypisywała to czarownicom. Komoniecki pisze, że „padło wówczas porozumienie na Jadwigę Kubienkę i Katarzynę Chyrdulę, jakoby one miały czarami się bawić i pożytki sąsiadce odbierać i psować”. Jedna z sąsiadek pokazywała nawet mleko, że tak się zsiadło, że można je było jak przędzę na motowidło motać, a powodem tego miały być owe czarownice. Doniesiono o tym żywieckiemu podstaroście, Gabrielowi Drozdowskiemu, który rozkazał obie kobiety pławić w rzece Koszarawie, „próbując jeżeli na dół utoną”. Obie kobiety w śmiertelnych koszulach do wody wieziono, zeszło się też na to widowisko mnóstwo ludu. Obeznany z prawem wójt Komoniecki dodaje jednak, że to pławienie wedle prawa dowodem nie było.

Wadowicka księga radziecka z lat 1603—1633 zawiera także wzmiankę o niezwykłym zdarzeniu w Wadowicach. Mianowicie Kacper Jaśkowicz donosi urzędowi radzieckiemu, że niejaka Katarzyna Kalecina ukazuje mu się w postaci białego wołu i nagłe znika. Doniesienie wystarczyło, aby Kalecina została wtrącona do więzienia. Epilog tej sprawy nie jest znany.

Nawet w Krakowie w roku 1728 sądzono małoletniego Kazimierza Kamieńskiego za podpisanie diabłu własną krwią cyrografu.

W zbiorach biblioteczno-muzealnych hr. Tarnowskiego w Suchej znajdował się ciekawy dokument (nr inw. 6409) z procesu karnego z roku 1719, w miasteczku Raciążu, opisujący sąd nad czarownicą Anną Ćwierciaczką. Kobieta ta, poddana torturom, poczyniła zadziwiające zeznania. Na pierwszych torturach zeznała, że z tańca, gdy grano na ochocie, Benedyktowa z Brodziną, którym towarzyszyły też córki, zabrały ją na Łysą Górę, wioząc ją tam czterema wołami. Ona Benedyktowa, tytułująca się między pospółstwem miejskim „królową”, i Brodzina sprawiały na Łysej Górze swym córkom wesele, na którym przygrywał na żółtych skrzypcach diabeł, przybrany w czarną suknię i kapelusz. Ćwierciaczka oskarżyła się nadto, iż jakimś Adamowi na Kupiduszyńskim „zadała” w gorzałce diabła na pół roku. Diabeł ten, imieniem Michał, miał postać czarno ubranego chłopca. Obiecała jednak tego diabła „odczynić”. Na drugich torturach zeznała, że jeszcze przed trzema laty „zadała” po jednym diable Hotomskiej i Piotrowej, wreszcie na trzecich torturach oświadczyła, że oprócz Benedyktowej, Brodzinej i ich córek, które „powołała”, nie ma w Raciążu żadnych innych czarownic. Protokół, chaotycznie stylizowany, zaznacza, że nazajutrz, przed wznowieniem tortur, Ćwierciaczka oświadczyła, że wszyscy, którym „zadała”, zostali uwolnieni od diabła, skoro tylko wymówiła słowa: „diabie przeklęty, ustąp z tych ciał grzesznych”. Przy tym dodała, że także Marianna czarownica, którą spalono w Sierakowie, nauczyła ją i dała jej w skorupie różnej maści,

„której tylko dać komu umyślisz, to go zaraz zły pokusnik opanuje”. Wzięta ponownie na tortury zeznaje, że jechała wołami czerwonymi na Łysą Górę ponad górami, mimo wodnej góry, po dwa razy tylko, we czwartek. W czasie tej jazdy: „wyrzekaliśmy się Pana Boga i Najświętszej Panny, i Wszystkich Świętych, a wezwały diabłów, mówiąc tak: diabie przeklęty, przystąp. Benedyktowa i Brodzina, i wszystkie razem zawołały: diabie, przystąp do nas, tak się strój, jako i my. I przyszli. Więcej nic diabłów nie było, tylko okrom tego, co nam grał, a drugi rotmistrz, ten co go Benedyktowa wzięła za męża, gdy matka «królowa» ją żeniła, i tamesmy jadły placki, które Benedyktowa wzięła z sobą.” „In secundis tormentis (na drugich torturach) nic pomieniona nie zeznała, tylko: zem dwa razy była i obcowałam, a nadto nic więcej nie wiem, tylko to, com zeznała i więcej nikogo nie chcę na duszę swoją brać, ani mi kaźcie, co wszystko pod Boskim sumienia swego potwierdziła sądem i jego wzywała w mękach swoich.”

Po tych zeznaniach wpisano do aktu takie mętne i okrutne decretum:

„A ponieważ z podanej przez instygatorów i poprzysiężonej Anny Ćwierciaczki, Jana Ćwierciaka żony, Sąd wójtowski zasiadający na sprawiedliwość świętą, przez tortury Mistrza, więcej różnymi sposobami zażywając, jako jest specyfikowano wyżej i przeróżnych Imci wyrozumieć ani wyczerpnąć tak przez męki, jako też dobrowolnie nie mogli, okrom tych uczynków, do których się przyznała, więc tym dekretem, według sprawiedliwości świętej i praw opisanych, naznacza iudicium śmierci ogniewą przez stos według zwyczaju na czarownicę każdą. Lubo ta obwiniona Anna Ćwierciaczka przy każdej męce swojej, że grzech ten rewokowała i miłosierdzia Boskiego żądała, zachowując Sąd wszelkie należące mu circumstantiae, według dekretu i konfessat wyznanych, przez powołanie osób Benedyktowej i Brodzinej z córkami od Janowej Ćwierciaczki, której ostatnie wyznanie i konfirmacja przez powołanie swoje odmienne nie były na wyżej wyrażone osoby Sąd tym dekretem słowa przy stosie, które przez tęż Annę

Ćwierciaczkę w te słowa były, iż dawniej one to zasłużyły, anizeli ja, czemuż taką śmiercią nie mają zejść z tego świata."

To obciążające zeznanie, w obliczu śmierci przy stosie złożone przez Ćwierciaczką, stało się podstawą do nowej sprawy o czarostwo, popartej także „punktami z konfessat”, czyli zeznaniami dziesięciu kobiet, które przy tym dekrete stwierdziły, że Benedyktowa z Brodziną i czarownicą Marianną, mającą męża z Kosobud, spaliła kościół w Raciążu, „uczyniła na dzieci” szwagrowi swemu, Brodzina zaś „napsowała” ludzi niemało, na dobytek „uczyniła” i na zdrowie, i na wszystko. Benedyktowa „uczyniła” Szymonowi kramarzowi, zadała mu w gorzałce, i od tego umarł. Ratusznemu Walentemu Ingotowi „uczyniła”, co by się nigdy nie dorobił i nie wskórał, także Ciesielskiemu „uczyniła” na zdrowie, na dobytek i na wszystko, „uczyniła” też Michałowi Grotowskiemu na zdrowie i na dorobek, co by się nie dorobił, i na fortunę.

Z dalszych oskarżeń wynika, że Benedyktowa nie poprzestała na tytułowaniu się „królową”, gdyż nadawała sobie jeszcze tytuł „kardynałowej”, żeby zaś ludzie nie przypisywali jej zbrodniczych następstw czarostwa, swym własnym trojgu dzieciom pozadawała suchoty, tak że pomarły. Do tego owemu „na Kapuścińskim” zadała diabła głuchego. Córka zaś Brodzinej, Łucja czarownica, co do Warszawy uciekła, szkodziła ludziom w piwie i gorzałce, drugą zaś córkę, Kurkusową, wyszkoliła stara Brodzina, aby ludzi czarowała i aby suchoty „zadawała”.

Dokument nie zawiera wzmianki, co się z tymi czterema kobietami stało.

Obłąd i okrucieństwo przyobleczone zostały w formę spisanych „konfessat” umysłowo chorych „królowych” i „kardynałowych” oraz w formę dekretu wydanego w dworze raciąskim. Zespół, który uroczyste wymierzał „świętą sprawiedliwość”, tworzyli: „magnificus”, Wojciech Niewieścieński, dzierżawca folwarku, i Tomasz Dumański, komisarz generalny biskupstwa płockiego, wreszcie magistrat miasta Raciąża.

Wągrowiec też był nawiedzany plagą czarownic, choć posiadał dwie sławne szkoły, przy klasztorze i kościele farnym. Dla uniknięcia nieszczęścia spalono 36 czarownic i 4 czarowników, którzy na torturach opowiedzieli zmyślane i niestworzone historie o sabacie czarownic w lasku struszewskim i durowskim.

Również w księstwie Zatorskim, w Mucharzu, wsi należącej do klasztoru norbertanek ze Zwierzyńca, tępiono czarostwo ogniem. W roku 1750 urzędował w Mucharzu podkomorzy i ustalał granice między Mucharzem a Jaszczurową. Gdy w okolicy dzisiejszego „Czartaka” i gruntów zwanych Wądole ustalono, który kopiec jest jaszczurowski, podkomorzy zapisał w akcie, że „ex oculatione nonnullis testibus deducitur et probatur (z naocznego świadectwa niektórych świadków wnioskuje się i dowodzi), że ten jest kopiec prawdziwy jaszczurowski, gdzie lipka stoi, jako w tym miejscu kobietę niejaką, Sikonionką nazywaną, tracono i palono według zwyczaju na granicach, któren kopiec strona pozwana (konwent zwierzyńiecki) w dukcie swym remonstrowała”. Która świątobliwa ksieni klasztoru i kiedy Sikonionkę na stosie spalić kazała, tego znajdujący się w archiwum wadowskiego wójtostwa „na Mikołaju” wspomniany „Actus condescensorialis granicialis inter bona Mucharz et Jaszczurowa” nie podaje.

Że karanie czarownic spaleniem przeciągnęło się jeszcze na wiek XVIII, świadczy o tym fakt, że 26 sierpnia 1774 roku na posiedzeniu delegacji sejmowej August Sułkowski robił wyrzuty, że „za czary palić dotąd nie przestajemy”, a podkomorzy gnieźnieński, Gurowski, wypominał częste stosowanie tej kary w słowach: „małoż wieku mojego popalonych było za czary?!” Lekarz nadworny króla Stanisława Poniatowskiego, Erndtel, opisując traktowanie w Polsce czarownic, przytoczył wypadek z Poznania, gdzie pewna „znakomita Polka”, chora na wodną puchlinę, poleciła spalić trzynaście poddanek, posądzając je o sprowadzenie puchliny przez czary. Takie przykłady według Erndtela zachodziły w Polsce niezliczone razy.

Gdzie tylko był ślad stosu, tam mu zaraz przychodzili na myśl owi nieszczęśliwi, których oskarżano o trucicielstwo, o spowodowanie epidemii wśród bydła czy też nieuleczalnej choroby pana i których na tym miejscu karano spalaniem.

Wyroki te wydawane były przez sądy świeckie. W Polsce bowiem nie przyjęły się prawa oddające sprawy o czary sądom kościelnym, dlatego też dominikańska inkwizycja nie miała w Polsce pola do popisu. Podczas gdy na Zachodzie dziesiątki tysięcy ludzi inkwizycja ta wygubiła na torturach i na stosach, w Polsce zjawiska masowych mordów, wykonywanych przez mistrzów sprawiedliwości kościelnej, nie było, za to świecka sprawiedliwość szalała, gdyż obłęd religijny, zabobon i strach przed mocą diabła z sędziów świeckich potworów uczynił.

Opierając się na okrutnym prawie magdeburskim niejaki Stokowski, dziedzic z Doruchowa, ziemi wieluńskiej, dopuścił się straszliwego sądowego morderstwa na 14 kobietach. Doruchów uchodził z dawna za „siedlisko czarownic”. W 1776 roku zdarzyło się, że żona Stokowskiego dostała wielkiego bólu w palcu, a włosy zaczęły się jej związać w kołtun. Sprowadzono do chorej kobietę z sąsiedniej wsi, która trudniła się leczeniem, a ta zaraz orzekła, że „cioty (czarownice) zadały kołtuna, a Dobra najpierwsza”. Dobra, żona gospodarza Kazimierza, była kobietą gospodarną, powodziło się jej nieźle, toteż posądzono ją o dobrą komitywę z diabłem Oblubieńcem, który jej wszystkiego dostarcza. Drugą „ciotą” miała być wyrobnica-wdowa, którą posądzono o zadanie czarów własnej córce, która z tego zmarła. Podejrzana była też o czary „dziewka”, która udawała czarownicę, bo wysuszone liście dębowe puszczała na wiatr, a dzieciom mówiła, że w ten sposób myszy robi.

Kobiety te uwięziono wraz z kilkoma innymi jeszcze, którym zarzucano, że w każdy czwartek mają schadzki z diabłami, że kominami wylatują na Łysą Górę, wysmarowane maścią, że zatrzymują deszcze lub sprowadzają sloty i że dmuchaniem na rękajeść ze stłuczonych tyglów sprowadzają na

ludzi postrzały. Razem pojmano ich siedem: pięć córek gospodarskich, jedną wdowę i służącą dziewczynę. Mimo przedstawień proboszcza, aby nie karano niewinnych, dziedzic uparł się „sprawiedliwość wymierzyć”. Tego samego dnia pławiono je w wodzie. Wprowadzono je na most, powiązano ręce, założono pod pachy powróż i czterech ludzi powolutku każdą spuszczało w wodę. Jednak żadna z nich nie tonęła, gdyż obszerne spódnice, nim namokły, każdą z nich unosiły na wodzie. Dziedzic Stokowski widząc każdą pływającą wołał: „nie tonie — czarownica”.

Po tym orzeczeniu dziedzica odprowadzono je do dworskiego spichlerza i powsadzano do beczek. Beczka miała w klepkach blisko dna wyrżniętą dziurę czworograniastą, przez którą wystawały nogi i ręce z tyłu związane, dziura zaś zewnątrz kolkiem drewnianym uszczelniona była. Skutkiem takiego skrupowania żadna z kobiet ani stać, ani siedzieć nie mogła, lecz każda musiała klęczeć. Beczki z wierzchu poprzykrywano płótnem, a na boku poprzylepiano na nich kartki z napisem Jezus + Maria + Józef +, aby diabli nie zbliżyli się i pomocy jakiejś czarownicom nie udzielili. W nocy przywieziono jeszcze siedem kobiet, czyli razem było ich czternaście. Wszystkie okrutnie jęczały...

Dziedzic kazał przygotować stos. A więc najpierw wkopano w ziemię wielką sosnę, a około niej układano jedną warstwę pniów i smolnych dREW, a drugą słomy, i tak na przemian, na wysokość kilkunastu łokci. Na samym wierzchu była równo usłana słoma i kilkanaście klocków dębowych, a na każdym napis: Jezus! Maria! Józef! Do dysponowania skazanych na śmierć sprowadził dziedzic trzech księży zakonników.

Nadto z miasteczka Grabowa sprowadził „prawo”, czyli sąd, oraz dwóch katów. Rozprawa sądowa odbywała się w domu zwanym kopcem, w którym mieszkał podstarość. W izbie ustawiono stół, trzy stołki, papier, pióra, kałamarz, lichtarze ze świecami, butelkę wódki i kilka kieliszków. Potem czterech ludzi wniosło do izby kloc wielki z żelaznym pałakiem. W otwo-

rze, urządzonym w suficie, umieszczono koło od wozu, u którego zwisały powrozy. Okna w izbie pozasłaniano i zapalono świece. Sędziowie, posiliwszy się gorzałką, kazali przyprować czarownicę. Przyniesiono na rękach jedną z kobiet i obnażono ją zupełnie, potem postawiono ją na kłocu, a nogi podłożywszy pod pałąk przymocowano powrozem. Do rąk związanych w tył przywiązano powróż z wiszącą od koła, na plecy włożono szpagę, podobną do grabi z żelaznymi zębami, które w ciało wchodziły, i przypasano ją powrozami, na krzyż na piersi opasanymi, a końce tych powróżów z tyłu przywiązano do powroza wiszącego u koła. Sędzia zadał parę pytań, a wtem kat zawołał do oprawców na górze będących: „obracaj koło”. Gdy ci zaczęli koło obracać, powrozy obwijały się około walca i pociągały za sobą postronki od rąk i od żelaznych grabi, których zęby wchodziły w plecy. Krew się zaczęła wydobywać, a kości w ramionach trzeszczeć. Z bólu kobieta torturowana okropnie jęczała. W ten sposób wszystkie czarnaście kobiet po kolei brano na tortury i męczono. Trzy z nich nazajutrz umarły.

Po południu fornalki zajechały przed spichlerz i na trzy wozy wpakowano w beczkach kobiety żywe, na czwarty zaś wóz — umarłe. Przy żywych na każdym wozie siedział zakonnik. Przyjechawszy na plac egzekucyjny oprawcy wydobyli z beczek kobiety i wyciągnęli po drabinach na stos. Na stosie stał już kat z czterema pomocnikami. Pomocnicy odebrawszy kobietę, kładli każdą twarzą ku ziemi i klockami dębowymi każdej przyciskali kark i nogi, a beczkami próżnymi stos obstawili. Trzem zmarłym kobietom ucięto głowy na kłocku, a potem ciała ich wraz z głowami w jednym dole złożono.

Gdy sędzia zawołał: „zapalaj pochodnie!”, kaci ustawili około stosu szereg ludzi z pochodniami. Po chwili sędzia straszliwym głosem krzyknął: „pal!”, i cały stos stanął w płomieniach. Gdy dym zaczął dusić, słychać było jęk niewinnych ofiar, jakby spod ziemi podnoszący się ku obłokom.

Zgromadzony lud, którego było do kilku tysięcy, wtenczas dopiero pobudzony do litości, szemrał i oburzał się na dziedzica, uganiającego na koniu, który widząc zżymanie się i pogróżki tłumu, spiesźnie się oddalił.

Po kobietach umęczonych zostały trzy córki, około 15 lub 16 lat mające. Te także następującej nocy po spaleniu ich matek na plac egzekucji zaprowadzono, gdzie im sędzia przeczytał dekret: „że będąc córkami czarownic, musiały się już nauczyć tej diabelskiej sztuki i dusze czartom zapisać, aby się więc wyrzekły współnictwa z diabłami, mają być u słupów różgami smagane”. Po czym oprawcy obnażyli je po pas, każdą przywiązali do osobnego słupa, ręce i nogi do obręczy, i bito je różgami po gołych plecach. Jedna z nich w kilka dni potem umarła.

Opisał to straszne męczeństwo naoczny świadek, a opis ten wydrukował wychodzący w Lesznie „Przyjaciel Ludu” w roku 1835.

Potworny ten czyn wywołał w Polsce powszechne oburzenie. Dziedzicowi mord jednak uszedł bezkarnie, bo prawo zrodzone z ciemnoty i zabobonu zezwalało mu na taką „sprawiedliwość”. Fakt ten pobudził jednak sejm do uchwalenia w roku 1776 ustawy zakazującej używania tortur w śledztwie i znoszącej karę śmierci za czary.

A jednak znaleźli się w Polsce jeszcze i potem fanatycy, którzy stary proceder uprawiali.

Ekonom w Anopolu, Anglikowski, w roku 1790, nie mogąc doczekać się deszczu, przypisał posuchę kobietom podejrzanym o czary. Podejrzone kazał sprowadzić nad staw i tu, nawet kobiety w stanie odmiennym, wrzucać kazał do wody. Jedną z nich rzucono tak, że wpadła na pal i potem zmarła, reszta zaś z przestrachu i przeziębienia pochorowała się. Podobne pławienie czarownic zarządził rządcą dóbr w Ukomierzu. Gazety ówczesne protestowały już przeciw temu barbarzyństwu, a annopolskiego ekonomia komisja porządkowa oddała sądowi w Łucku celem ukarania.

Ofiarą wiary w czarownice i w gusła padło jeszcze w roku 1789 sporo kolonistów niemieckich zamieszkałych w Galicji, w Mierzwicy obok Kulikowa. Zmarnowawszy zasiłki rządowe na uprawę rheubarbarum, postanowili uciec w rodzinne strony do Palatynatu. Ponieważ granica była troskliwie strzeżona, przeto oddali się w opiekę czarownicy, niejkiej Jędrzejowej ze Skwarzawy. Ta, wyzyskawszy głupich Niemców i zabrawszy im resztki pieniędzy, obiecała ich przy pomocy bajkowego króla Mikity przenieść cudownie w ciągu jednej doby nad Ren i tam obsypać złotem. Gdy jednak pomoc Mikity zawiodła i gdy spróbowali normalnej ucieczki, zostali przyłapani i osadzeni na ławie oskarżonych, gdzie ujawniona została historia oszustwa czarownicy.

Przesąd na punkcie czarów i czarownic nie tak łatwo dawał się usunąć. Książka *Die Tortur* podaje, że na ziemiach polskich jeszcze instygatorzy (prokuratorzy) wytaczali sądowe sprawy „czarownicom” o „czary” w roku 1793. Jakiejś pruskiej sądowej komisji, która urzędowała w nadgranicznej miejscowości, wpadły w oko wbite w ziemię pale zwęglone. Od wiarygodnego człowieka dowiedziała się komisja, że magistrat miasteczka skazał na spalenie dwie kobiety za czary na podstawie takich „indyciów”, że miały czerwone, zapalone oczy, a bydło ich sąsiada było chore. Poznańskie władze wprawdzie zakazały wykonania wyroku, lecz nim zakaz przyszedł, z czarownic został popiół, a ze stosu, na którym je spalono, kilka zwęglonych, tkwiących w ziemi pali.

Był to ostatni akt „magdeburskiej sprawiedliwości” na ziemiach polskich.

Wprawdzie później zdarzały się wypadki obwinienia kobiet o czary, pławienia ich i topienia, jak np. w Chałupach koło Wejherowa (1836 rok) czy w Dżurkowie koło Stanisławowa (1872 rok), albo zawieszenie na drzewie „czarownika”, jak np. w Bysinie w powiecie myślenickim (1874 rok), ale były to już akty samosądu ciemnego tłumu. Władze w tym „próbowaniu” i „tępieniu” czarownic i czarowników udziału nie

brały, a nawet pociągały do odpowiedzialności osoby, które tych gwałtów się dopuściły.

* *
 *
 *
 *

Odtrutką na czary niewiast-czarownic były sztuczki kuglarskie, a często praktyki oparte na wielkim doświadczeniu i obserwacji zjawisk naturalnych. Stosowane były nieraz przez dowcipnych klasztornych kwestarzy, praktykowane w celu pobudzenia pobożności, zaufania w skuteczność modlitwy i wzmożenia ofiarności. Zakonnicy umieli sadzić takie brzoskwinie, które po latach rodziły owoce, na których były podobizny krzyża świętego, ludzi oraz pobożne napisy w języku polskim i w łacinie. Nim zakonnik przystąpił do dzieła, odmówił krocie modlitw, a potem moczył pestkę w wodzie, gdy zaś zmiękła, rozłupywał ją delikatnie na pół, po czym na łupince jądra instrumentem mosiężnym rysował napisy i podobizny, i to tak delikatnie, aby jądra nie skaleczyć. Po wykonaniu tej czynności wkładał jądra do skorupki, a wreszcie do ziemi, pomodliwszy się przy tym jeszcze raz. Z jądra kiedyś wyrastało drzewo i rodziło owoce, na których widniały znaki krzyża św. i różne pobożne napisy. Sadzono też w podobnych okolicznościach takie śliwy, aby owoc był bez pestek. W tym celu rozcinano młodociane drzewko na dwie połowy, aż do korzenia, i instrumentem żelaznym usuwano rdzeń. Następnie szybko łączono obie części, szparę powstałą z przecięcia smarowano gnojem lub gliną czy woskiem i oblepiano płótnem. Do roku części się zrosły, po czym w ten pieńek wszczepiano młodociane latorośle ze śliwy jeszcze nie owocującej. Ta metoda, stosowana nie tylko do śliw, ale i do czereśni i brzoskwiń, dawała w wyniku „czarodziejskie” owoce bez pestek.

Taką bowiem czarownicą moc miała „święta inskrypcja”, czyli napis na pestce.

Zakonnicy byli też znakomitymi znawcami sztuki kulinarnej, którą stosowali z okazji przyrządzania i spożywania „da-

rów bożych". I tu działały się też przeróżne „cuda”. Można było mięso trzy dni gotować, a nie ugotowało się. Wystarczyła przeżegnać garnek i włożyć do niego figurkę świętego zrobioną z ołowiu. Przeciwnie zaś, gdy kiszki zgłodniałego „marsza grały”, mięso przedziutko się ugotowało, gdy po zagrzaniu garnka wpuściło się do niego albo duży kawałek chleba, albo szkła.

Były też sposoby wyszukiwania topielców. Wystarczyło chleb rzucić kawałkami na wodę, bo gdzie natrafił na trupę utopionego, stawał nad nim i zatrzymywał się. Mięso „zaczarować”, by je robaki toczyły, można było w taki sposób, że strunę od skrzypiec siekano na drobniutkie kawałki, którymi posypywano mięso. Pod wpływem wilgoci i ciepła kawałki strun rozkręcały się i wykonując ruchy sprawiały wrażenie żywych, kręcących się robaków. Sztuki tej używali pańscy pacholki, przez co dobrze się mieli, bo często „robaczywe” mięso im się dostawało.

Jezuita Rostowski w *Historii litewskich jezuitów*, wydanej w 1768 roku, opowiada pocieszną historię nawrócenia się z kalwinizmu na katolicyzm wojewody wileńskiego, księcia Mikołaja Radziwiłła. Lubił on sobie pokpiwać z obrządków wiary katolickiej. W roku 1618 wrócił z Warszawy do Wilna w okresie Wielkiego Postu. Jakiś kalwin miał mu podsunąć na śniadanie pieczonego kapłona. Przy tej sposobności dworzanie wykpiwali katolickie dogmaty oraz posty, a najwięcej kpił sam Radziwiłł i rezonował, że w tym, co katolicy mówią o Ostatniej Wieczery, tyle jest prawdy, ile żywotności w owym pieczonym kapłonie. Zaledwie to Radziwiłł wyrzekł, a kapłon zaczął się ruszać na półmisku, w końcu wyfrunął z niego. Ogromne przerażenie napęliło żartownisiów. Lękali się, że dotknie ich karząca moc Boska. Zjawia ta nie była jednak „błyskawicą mszczącego się, lecz palcem i nadto znakiem cudownym miłościwego Boga”. Wstrząśnięty Radziwiłł, gdy z przerażenia ochłonął, kazał wozy zawrócić w stronę Warszawy i jechać pospiesznie. W Warszawie wstąpił do kolegia-

ty św. Jana. Trafił tam na kazanie ks. Piotra Skargi, po czym udał się do niego, aby się przez spowiedź pojednać z Bogiem i zostać przyjętym na łono matki świętej — Kościoła. Skarga, znając przeszłość Radziwiłła, początkowo sądził, że ten urządza sobie szyderstwo z niego, ale wreszcie przekonany o szczerości zamiarów, wypowiedział go, po czym Radziwiłł publicznie wyrzekł się herezji i księgi heretyckie kazał spalić na stosie.

W tym czasie gdy jezuita Rostowski taki „cud” o pieczonych latających kapłonach opisywał, Stanisław Duńczewski, „przesławnej Akademii Krakowskiej Filozofii Doktor, w Zamojskiej Astronomii Ordynariusz, Prawa obojga Doktor i Profesor, Trybunału Ordynarii Assesor tudzież J.O. Trybunału Koronnego Geometra Przysięgły”, wydawał słynne „Kalendarze Polskie i Ruskie”. W jednym z nich opisał, jak można robić cudo czy czary ze zmartwychwstałą kurą pieczoną. Uciekać ona będzie z półmiska tym sposobem: „Opoić kurę gorzałką, żeby się oskubać dała, głowę jej między skrzydła włożyć. Rozbij 8 żółtków z jaj, maść nimi po wierzchu kury niegrubo a równo, przytknij do ognia, żeby zżółkła. Połóż na półmisk i daj do stołu, jak prędko ją widelcem kolniesz, ożyje i uciekać będzie.”

Taki „cud” czy też „czary” nieraz decydowały o nawróceniu się albo o zapisach fundacyjnych.

* *
 *

Pławienie kobiet związane było z zabobnem, że przez tę praktykę w latach posuchy uda się sprowadzić deszcze. Wierzono, że kobiety, bojąc się, by nie utonęły, a nie bardzo dowierając czartowi, by je ratował, uciekają się do czarów i deszcze sprowadzają. Kościelna władza tych praktyk zabraniała, wspomniany zaś Duńczewski ogłosił w „Kalendarzu Polskim i Ruskim”, w obszernym traktacie o czarownicach, że kobiety, które wodę na pole noszą, deszcze powodują. W każdym razie podlewanie unieczniało, choć w drobnej części,

skutki posuchy. Czasem więc kalendarzowa nauka przydała się na coś pożytecznego, poza tym zawierała ona stek bzdur, jak np., że wiara w czary podobno przyczyniła się do zwycięstw Turków pod Cecorą i Tatarów pod Legnicą. „Tatarzy wystawiali na kopiach straszne głowy, z których dym na wojska padał, a to, strwożone tymi czarowskimi sztukami, dało się Tatarom wymordować”. „Za Chmielnickiego — czytamy w „Kalendarzu” — pod Batohem i Cudnowem, gdy czarowników połapano i łby im poucinano, to jedna głowa na drugą skakały, gryząc się wzajemnie.” Duńczewski pisze, że nie tylko na Podhalu, na Podolu, Rusi, Wołyniu, ale i w innych prowincjach Polski było wiele czarownic, które w chlewie wbiwszy kołek do słupa, mleko cebrami doity, bowiem czart mleko krowom krał u sąsiadów, a do nich przynosił.

Mało kto w Polsce wiedział, skąd się wziął kołtun (plica polonica). Mniemano, że przyczyną kołtuna też były czary; „zmora we śnie ludziom kołtki, czyli kołtuny, splatała”. Tak przynajmniej dowodził jezuita Knapski i wydane na Jasnej Górze w roku 1789 *Compendium Medicum dla większej wygody ludzkiej*. Według opisu dra Skobla w „Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności” z roku 1835 „kołtun, czyli skrzyce, cierpienie trudne do pojęcia, najwidoczniej okazujące się we włosach, jest chorobą swojską Polski, Litwy, Rusi, w pewnym względzie i klęską Siedmiogrodu, sięgającą niekiedy aż do Alzacji, Szwajcarii, Bryzgonii i do Nizoziemu (Niderlandów). Kołtun dręczy przede wszystkim ludzi ubogich. Według świadectwa lekarzy wiarygodnych niemoc ta najbardziej nawiedza województwa krakowskie i sandomierskie, a Wołyń tak dalece, iż stosunek ludzi kołtunem dotkniętych do zdrowych, między włościanami i biedniejszymi, jest jak 3 : 10. Na Mazowszu zaś i Litwie liczba chorych ma się jak 4 : 40.” Czarownice miały więc nie lada zatrudnienie.

Ks. Chmielowski, autor *Nowych Aten*, pisze, że w ziemi sądeckiej wyżnej jest między górami źródło, z którego gdy kto wody nabierze, to zaraz zaczyna się chmurzyć. Być mo-

że, odnosi się to do źródeł Czarnego Dunajca. Wybucho ono z wielkim szumem z pieczary u stóp nagiej skalistej ściany Uplazu w Kościeliskach. Kto poszukuje czegoś w owej pieczarze, budzi mieszkającego tam czarownika, który z złości spuszcza w Dolinę Kościeliską chmury i ulewę.

W Starym Sączu słynną była historia oczarowanego mieszczanina Kasperka. Kupił on niegdyś na Węgrzech wino. Między beczułkami wina kupiec węgierski wydał mu beczułkę z pieniędzmi. Gdy spostrzegł omyłkę, zażądał zwrotu beczki z pieniędzmi i zmusił go do przysięgi. Kasperek przysiągł na rotę: „Jeżelim zamiast beczki wina wziął beczkę pieniędzy, niech mnie ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani niebo, ani piekło po śmierci nie przyjmą.” Wkrótce umarł, ale pogrzebać go nie było sposobu. Gdy go w ziemię zakopano, nazajutrz leżał na wierzchu, gdy go wrzucono w ogień, nie gorzał, gdy go wrzucono w wodę, woda go na brzeg wyrzucała. Nocami straszył mieszczan starsządeckich, jeżdżąc po ulicach na białym koniu. Złego nikomu nic nie robił. Gdy go po imieniu zawołano, z całą uprzejmością zbliżał się ku temu. Tyle tylko, że wiecznie milczał. Wreszcie udało się pewnej czarownicy złowić Kasperka, ta sprawiła mu niezwykle pogrzeb: powiesiła go na włosku, w której to pozycji usechł i w proch się rozsypał. Tak Kasperek odpokutował za swe krzywoprzysięstwo.

Warszawski „Pamiętnik Historyczny i Polityczny” z roku 1783, pisząc o przykładach zabobonów i czarów w dawnej i nowej Anglii, potrąca i o stosunki pod tym względem w Polsce, w słowach: „Kraj nasz nawet jeszcze za dni naszych nie patrzyłże na tyle okropnych stosów, które zabobonna srogość po wszystkich stronach podpałała?” Żle było w Polsce, ale i przykład angielski nie bardzo świadczył o oświeceniu Anglików. Sądy angielskie każdego „opętanego” skazywały na śmierć, z wyjątkiem tych, którzy się przyznali do czarostwa. Niejaki Wardwel, oskarżony przez żonę i córki o czarostwo, przyznał się do tej mniemanej zbrodni i był wolno puszczony.

Ale że potem odwołał to przyznanie się, przeto pojmano go i stracono. Taki terror sądowy pomnażał liczbę przyznających się. Prześladowanie to powiększyłyby się, ale wreszcie sami urzędnicy i „różne znakomitości”, powołane o czarostwo do sądu, musiały w interesie własnym położyć temu kres. Ale jeszcze w roku 1783 zabobonni chłopci pławili konowalą, aby się przekonać, czy nie jest czarownikiem. Chłop ciężko szedł na dno wody, więc go dobyto, rozwiązano i oświadczone, że był niewinnym. Gdyby go woda była zniosła, toby go lud jako czarownika pobił, zwyzywał i może zabił. A tak zrobili na niego składkę i triumfalnie zanieśli go do karczmy.

W roku 1782 stracono w kantonie Glarus w Szwajcarii „czarownicę”, która jeszcze w młodości swej popadła w podejrzenie o dzieciobójstwo, a do tego oskarżono ją o zadanie trucizny córce doktora, u którego służyła. Guślarze orzekli, że dziecko od śmierci może uratować ta sama czarownica, która je oczarowała. Służąca przymuszona nacierała dziecko, modliła się nad nim i dziecko nagle ozdrowiało. Wtedy uznano to za dowód, że służąca jest czarownicą, i spalono ją. „Pamiętnik Historyczny i Polityczny” pisze, że w tym kantonie albo grube ciemności, albo niesprawiedliwości panują. Lubo ten kraj „w wieku 18, oświeconym prawdą, ale jednak fałszywych proroków i alchemistów płodnym, mógł jedną urojoną czarownicę stracić, jednak być szczęśliwym, mieć dobre prawa i rząd wyborny”.

Obłąd na punkcie czarownic, ugruntowany na kościelnym autorytecie bulli papieskiej i *Młota na czarownice*, spotykał się we wszystkich krajach z krytyką zrazu nieśmiałą, z biegiem czasu coraz bardziej stanowczą i wyraźną. Podważanie jednak uznanych autorytetów było rzeczą nadzwyczaj niebezpieczną. Łatwo bowiem śmiałka takiego obwiniano o kacerstwo i albo wrzucano do więzienia, albo palono na stosie.

Jednak prawda i rozsądek powoli torowały sobie drogę do zwycięstwa. Walkę z tym obłądem prowadzili też księża. Najznakomitszym szermierzem w tej walce i przeciwnikiem

procesów czarownic okazał się jezuita niemiecki, Fryderyk Spee. Był on spowiednikiem przeszło 200 niewiast, skazanych za czary na spalenie, i ze spowiedzi ich wysnuł wniosek, że procesy czarownic są niesprawiedliwością i barbarzyńskim pastwieniem się inkwizytorów, hańbą Niemcom przynoszącym. Dzieło swe *Cautio criminalis* wydał bez wiedzy zakonu, zataiwszy swoje nazwisko jako autora. Widocznie pod wpływem tego dzieła napisał jakiś polski autor, nie znanego nazwiska i zawodu, książkę pt. *Czarownica powołana*. Książka ta wydrukowana była w roku 1639. Autor podważył w niej te wszystkie nieomylnie prawdy na punkcie czarownic, w jakie od wieków wierzone, a przy tym napiętnował okrucieństwa tortur, niesumienny i podły sposób prowadzenia przez sędziów procesów o czary, zarzucając, że podsądne raczej fałszywym samoobwinieniem się wolą śmierć swoją przyspieszać niż narażać się na męki tortur, co chwilę powtarzanych.

Podobnie jak Fryderyk Spee znalazł poparcie u przyjaciela swego, arcybiskupa mogunckiego, Filipa von Schönborn, który w swej diecezji zakazał prowadzenia procesów przeciw czarownicom, tak i w Polsce w wieku XVII znaleźli się duchowni, którzy, idąc w ślady za nie ujawnionym autorem *Czarownicy powołanej*, starali się wpływać na ogłupiałych sędziów, by zachowali jakiś umiar w torturowaniu i mordowaniu kobiet. Biskup kujawski, Florian Kazimierz Czartoryski, wydał list pasterski skierowany przeciw okrucieństwu i przewrotnościom sędziów, osadzających sprawy czarownic. Synody kościelne, jak np. wileński w roku 1643, nakazały proboszczom wpływanie na szlachtę, by na podstawie byle jakich podejrzeń nie męczyła torturami oskarżonych o czary. Również i synody z pierwszej połowy XVII wieku, odbyte w Krakowie, Poznaniu, Płocku, w Łucku i na Żmudzi, piętnują sądy świeckie za ich postępowanie z oskarżonymi o czary. Biskup poznański, Czartoryski, w liście pasterskim z roku 1739 polecił plebanom, aby klątwami grozili tym, co sądy nad rzekomymi czarownicami odprawiają, gdyż wedle kościelnych kano-

nów nie należy dawać wiary, aby obwinione miały być na czarowskich schadzках.

Synod krakowski z roku 1711 tak się wypowiedział o procesach przeciw czarnoksiężnikom i czarownicom:

„Niechże będzie oczywistym tak z prawa kanonicznego, jak i ze statutów królestwa, że czarostwo i wróżbiarstwo należy do forum duchownego, ażeby ich rozpoznanie, z istoty bardzo trudne, przez teologów i biegłych w prawie wpieryw było przedyskutowane. Jednakowoż świeckie urzędy i ludzie, po większej części nieświadomi i nieoświeceni, przywłaszczając sobie osądzanie i orzekanie, nie obawiają się przelewać krew niewinną. Niewiasty, szczególnie podejrzane z błahych powodów, przez pławienie albo torturowanie wypróbowują i szczególnie okrutnie, ani na podstawie przyznania się, bez udowodnienia, ogniem i mieczem mordują.

Zatem, w celu zapobieżenia na przyszłość tego rodzaju niepowściągliwościom, powagą synodu terażniejszego wszystkim świeckim urzędom zabraniamy przywłaszczać sobie kompetencję bezpośrednią w tego rodzaju sprawach, lecz wpieryw niech je do nas i sądu naszego, do Generalnego Officjała, w celu przedyskutowania i rozważenia odeślą.

Także naszych Officjałów Sądowych, jak i Dziekanów, i Proboszczów napominamy, aby z całą powagą zwrócili uwagę i baczyli, aby rozmaite kuglarstwa, które teraz tu i ówdzie rozmnażają się skandalicznie z niebezpieczeństwem dla dusz, przez ludzi wielce nie uświadomionych, nie były uprawiane, lecz niech ich pouczają i powiadają, by we wszystkich koniecznościach i niebezpieczeństwach zawsze zwracali się do Boga, który jest sprawcą życia i śmierci.”

Według dekretu biskupa płockiego z roku 1733, plebani mieli cztery razy w roku ogłaszać ludowi z ambony taką biskupią przestrożę:

„Między innymi, które się znajdują szkodliwymi zwyczajami, i ten częstokroć bywa, że po mniejszych miasteczkach, ba, i częstokroć po wsiach, burmistrzowie, wójtowie nie tylko nauki i prawa nie mający, ale i czytać i pisać nie umiejący, wdają się w sądy względem czarownic, z wielkim niebezpieczeństwem, jako się nieraz trafia, że niewinne osoby na ciężkie tor-

tury, a czasem i na śmierć potępiają. Dlatego, stosując się do tego, co świątobliwi antecessorowie nasi postanowili byli, surowo i pod klątwą zakazujemy, ażeby te wzwyż pomienione urzędy do sądenia tych spraw nie wtrącały się, ale osoby podejrzane do miast główniejszych, i kędy na sądach ludzie uczeni i rozumni zasiadają, odsyłali. Nawet nie powinny się żadne świeckie urzędy w takie wdawać sądy, aż wprzód w sądzie duchownym agitowana ta sprawa i potem do sądu świeckiego odesłana będzie. Kwoli czemu otrzymaliśmy reskrypt nieśmiertelnej pamięci Najjaśniejszego Króla Augusta II, który jest in Appendice nr 2 ingrossowany. Dlatego, jeżeliby w pomniejszych miasteczkach albo wioskach, jako się rzekło, takowe odprawować się miały sądy, plebani tymże reskryptem królewskim składać się i wszelkim sposobem oponować się będą, klątwą etiam grożąc; jeżeliby zaś uporczywie przepierać nie mogli, o tym do Nas, albo Officjała Naszego Generalnego, znać dawać powinni będą jak najprędzej.”

Pojawiły się też książki, które podcięły wiarę w „prawdy” głoszone przez papieża Innocentego. Ks. Serafin Gamalski w książce *Przestrogi duchowne* odmalował grozę i potworność w imię prawa dokonywanych przez sądy bezprawii. Wykazywał, że tak zwane przyznanie się do winy jest bezwartościowym środkiem dowodowym, bo niejedna męczona plecie z bólu i zmyśła nie istniejące fakty, aby przed dalszą męką się uchronić. Ks. Gamalski zarzuca sędziom, że książki, które opisują ich niesprawiedliwość, wykupują i stosy nimi podpalają. Krytykuje zeznania świadków i złośliwie zauważa, że wymyślą oni więcej, o czym i sam czart nie pomyślał. Widocznie zatem diabeł, krążąc około czarownic, wpieryw dusze sędziów niesprawiedliwych łowi, pęta i przysiąda. Złodzieje, cudzołężnicy, zabójcy i złoczyńcy w magistrackich sądach bronieni są przez adwokatów, a niewiastę, obwinioną o czarostwo, zdręczoną wyprowadzają pod szubienicę, nie pozwalając nikomu ani słowa w jej obronie powiedzieć. Pod zapalonymi stosami widzi ks. Gamalski na miejscu sądów — niezbożność,

na miejscu sprawiedliwości — niesprawiedliwość, okrucieństwo i tyranie.

Gdy jedni księża walczyli z ciemnotą i jej dzieckiem, zabobonem, inni podsycali wiarę w gusła i czary, a wreszcie znaleźli się i tacy, którzy na wierze tej robili znakomite interesy, zwłaszcza że było wielkie zapotrzebowanie egzorcystów oraz różnych środków mających cudowne właściwości.

W pierwszej połowie XVII wieku żył w Bieczu „święty egzorcysta”, reformat bernardyn Częstochowski, który zasłynął z wielkiej mocy nad szatanami. Żywot tego zakonnika, opisany przez ks. Jaroszewicza, to jedno pasmo cudów przez niego wywoływanych. Rekuncyliował on miejsca zanieczyszczone przez szatanów, rozkazami swymi uspokajał burze, grady, pioruny, przy pomocy wody święconej uzdrawiał chorych, raz nawet wskrzesił nieżywe dziecko i przepowiadał mu, że zostanie reformatem, co się sprawdziło. W Zakliczynie zaś, „pannę w bezecnej poufałości z szatanem trwającą mocnym w Imię Boskie nastąpieniem” wyzwolił od tego diabła. Najkapitałniejszy był jednak cud, jaki urządził we dworze fundatora klasztoru bieckiego, wojewody krakowskiego, Jana Wielopolskiego. W gospodarstwie owego magnata — jak pisze ks. Jaroszewicz — „przez jakieś dopuszczenie Boskie, czy sprawę szatańską, wielka moc szczurów namnożyła się, i nie tylko zboże w spichlerzach, i inne rzeczy w spiżarniach pożerały, ale też suknie, obicia przednie, i cokolwiek się mogło znaleźć do ozdoby domu pańskiego, z wielką szkodą gryzły, ludziom we dnie i w nocy wielkie uprzykrzenia czyniły. Upraszał Pan, a nasz Dobrodziej nieoszacowany, W. O. Bernardyna, aby temu pomoc dać raczył. Przyszedłszy tedy na miejsce, kilka dni poszcząc i modląc się, na ostatek po odprawionej Mszy Św. wszystkie pokoje i kąty obszedł, wodą święconą kropiąc i modlitwy odprawiając. Stanąwszy zaś na dziedzińcu zaklął mocą Boską wszystkie szczury, aby się na jedno miejsce przed niego zgromadziły. Rzecz dziwna! kupami na kilka tysięcy z różnych kątów zbiegło się owych bestii, które mąż

pobożny wodą święconą pokropiwszy, szedł przed nimi do stawiska i w nie kazał im wskoczyć, w którym wszystkie poginęły." Ów zakonny cudotwórca „szczęśliwie zasnął w Bogu, więcej nad osiemdziesiąt lat mając, jako za życia, tak i po śmierci miany za Świętego i prawdziwego sługę Boskiego. Poszedł do Pana R. P. 1668, pochowany w Bieckim naszym Kościele." Takich postaci było więcej. Szczycił się nimi niemal każdy klasztor w Polsce, a ubóstwiała je zabobonne, wrażliwe i żądne cudów społeczeństwo.

Ksiądz Benedykt Chmielowski w książce *Nowe Ateny*, aprobowanej przez władze kościelne, zalecał „święte egzorcyzmy" i dobre lekarstwa przeciw czarom, w szczególności: „palmy święcone na kwietniową niedzielę, skład apostolski na sobie noszony, świętych obrazki święcone, grana od Paschału, co go w wielką co rok święcą sobotę, wianki z monstrancji, ewangelie noszone, dzwony, gromnice, święcone dzwonki loretańskie; krzyżyk także św. Benedykta z literami na czary i czarta bardzo skuteczny, obrazek św. Ignacego Loyoli osobliwie w birecie itd., itd."

Z wysokości tronu, jaki na ziemi polskiej urządził sobie diabeł, zrzucił go ks. Jan Bohomolec w książce swej, zatytułowanej: *Diabeł w swej postaci z okazji pytania, jeśli są upiory, ukazany*. Udowodnił w niej, że „diabeł nie taki straszny, jak go malują". Książka zepsuła interes, jaki na wierze w wszechmoc diabelską robili egzorcyci, misjonarze, głównie spośród licznych w Polsce zakonów się wywodzący. W obronie autorytetu swego cichego spółnika, przed którym strach ułatwiał bogacenie się zakonnikom sutymi ofiarami i testamentowymi zapisami, wystąpili dominikanie, wydając pismo pt. *Diabeł przeciw diabłu*, które ten dobry skutek miało, że wywołało żywe zainteresowanie się justyfikacjami sądowymi, dokonywanymi ze strachu przed diabłem na jego poplecznicach — czarownicach.

Dzieło to i wieść o mordzie, dokonanym w Doruchowie, przekonały sejm Rzeczypospolitej o konieczności zniesienia

tortur i zaprzestania karania śmiercią za czary. Stało się to w roku 1776, a więc około 300 lat po wydaniu bulli o czarownicach przez papieża Innocentego VIII.

Ziemie polskie, które zabrane zostały przez Austrię i Prusy, dostały się pod prawo obowiązujące w tych państwach, które również zakazało procesów przeciw czarownicom.

* *
* *

Z zabobonami i czarami walczy nauka i oświata.

Zwyczaj dzwonienia podczas burzy i grzmotów spotkał się z potępieniem króla pruskiego, który dekretem z 11 września 1783 roku postanowił jego zniesienie, nakazując urzędowi, by dopilnowały, aby nigdy podczas grzmotów nie dzwoniono tak w miastach, jako też po wsiach.

Warszawski „Pamiętnik Historyczny i Polityczny” na rok 1784 podaje, że nareszcie w wielu miejscach w Europie przestano wierzyć, jakoby to sprzeciwiało się sprawiedliwości Boskiej, piorunami ludzi karzącej, chcieć „konduktorami” oddalić z budynków niebezpieczeństwo tych piorunów. W roku 1783 przeszło 600 takich konduktorów ustawiono we Włoszech, Niemczech i Francji, które w 30 przypadkach uratowały miejscowości z oczywistego niebezpieczeństwa. W tym samym czasie pioruny zabiły 96 ludzi, którzy podczas grzmotów dzwonili. Pewien przyrodnik obliczył, że w ciągu 33 lat piorun uderzył 368 razy w wieże, na których dzwoniono, i zabił przy tej czynności ogółem 103 osoby. Z *Encyklopedii* zaś wiadomo, że piorun uderzył w 25 kościołów, w których dzwoniono, a ominął 3, w których księża zabronili dzwonić. W pewnej parafii w Saksonii chłopci odpędzili robotników od kościoła, na którym miano zakładać gromochron. Mówili: „Nasi ojcowie, choć nie byli wcale głupimi, nie uczynili tego, potem Pan Bóg tak długo chował ich kościół, a zatem nie godzi się nie dowierzać Mu i chcieć Mu się bronić, gdyby nas chciał ka-

rać.” Trzeba było dopiero interwencji policji, aby można było robotę wykończyć.

W Dreźnie uczony Wesel robił przyrządy do doświadczeń z elektrycznością. Miał też pomocnika, stolarza ze wsi. Gdy stolarz przyszedł w odwiedzinach do swej wsi, pleban tamtejszy nastraszył go, że duszę swoją gubi, pomagając do tak bezbożnego rzemiosła, jakim się Wesel trudzi. Przerażony stolarz napisał do Wesła, iż mu ksiądz zakazał, pod wypędzeniem z kościoła, robić dalej u niego... oprawy do instrumentów elektrycznych. Trzeba było dopiero użyć pośrednictwa pana wsi, aby stolarza nie wyklinano z kościoła.

W pewnej wsi w Tyrolu rozumny pleban już w roku 1782 zabronił parafianom „dzwonienia na chmury”. Na to parafianie poczęli szemrać, iż zaniechano tego starodawnego sposobu, jedyne, który mógł ich od skutków burzy uwolnić. Ale pleban, cieszący się poważaniem parafian, rozsądnym kazaniem wyleczył ich z tego zabobonu. Podobno za przykładem jego poszedł cesarz Józef II. W edyktie z 26 listopada 1783 roku powołał się na fakt, że w tym roku okazały się w wielu miejscach szkodliwe skutki dzwonienia, gdyż przy dzwonieniu pioruny ludzi zabijały i wieże oraz kościoły zapalały. Z tego powodu we wszystkich parafiach zabroniono dzwonienia w czasie burzy, a proboszczom i dominiom nakazano pouczać lud o użyteczności tego zakazu. W „Księdze Protokołów” wsi Gierałtówice zanotowano w roku 1823 taki „przypadek okropny w Zembrzycach”. „W dniu 5 sierpnia 1823, o godz. 5 po południu, zgromadziły się chmury z dwóch stron najokropniejsze z grzmotem, deszczem, gradem, gdzie ludzie, uciekając z pól, schowali się pod wieżą kościoła zembrzyckiego. Niektórzy zaczęli dzwonić, gdy w tym momencie uderzył piorun w wieżę kościoła, czyli w kopułę, którą na drobne części potrzaskał, ludzi 7 zabił, a inni zostali więcej mniej skałeczeni i ogłuszeni.”

Pierwszy gromochron w Polsce zbudowano 6 lipca 1784 roku kosztem króla Stanisława Augusta na wieży zamkowej

w Warszawie. W tym samym czasie w majątności misjonarzy w Żydowie piorun zabił człowieka, któremu kazali dzwonić na chmury. Biskup płocki, Michał Poniatowski, rozporządzeniem z 30 sierpnia 1784 roku nakazał duchowieństwu tępienie tego zabobonu. Pisał on w tym rozporządzeniu: „Z nauki fizyki i doświadczeń rozlicznych jest już to niewątpliwe, iż każde metale, a tym bardziej które gwałtem poruszane bywają, najłatwiej piorunową ściągają materię, co i w tym nawet roku kilka nieszczęśliwych po diecezji widomych przykładów oczywiście dowiodło. Zechcą tedy plebani, jako też kapłani zakonni, gdzie są jakie klasztory, wszelkie w tej mierze naganne i uporne złożywszy uprzedzenia, ludowi przy zręcznych okazjach przedkładać i nauczyć, iż wstrzymanie się od dzwonienia nie czyni się bynajmniej z żadnego do nowości przywiązania albo też (uchowaj Boże) z gotowej pogardy nabożeństwa, z których dawniej poważnych spodziewano się skutków, ale że się to dzieje z powziętych niewątpliwych informacji i odkrycia stąd dla ludzi i ich majątku przyczyn.”

Dziś, w wieku XX, jeszcze lud funduje takie dzwony i wierzy tu i ówdzie w zabobon, że odwracają one burze, deszcze i pioruny. Dawniej, w niektórych gminach, prelimitowano w budżetach gminnych sumy pieniężne na gminnych dzwonników. Dawniejsze instytucje ubezpieczeniowe łożyły wydatne sumy na kapliczki, w których zawieszano takie dzwony, natomiast na rozumną walkę z piorunami, przez zakładanie gromochronów, subwencji nie dawano. Na Śląsku, w zachodnich powiatach województwa krakowskiego, lud nie wierzy ani w planetników, ani w siłę zbawienia takich „dzwonów loretańskich”, ani w skutki wystawiania obrazów zwróconych ku piorunowi, ale broni się środkami, jakie nowoczesna wiedza techniczna stworzyła. W Gorzeniu (powiat wadowicki) jest taki dzwonek, ale choć o nim cudne rzeczy nasi poeci pisali, nie uniknął katastrofy, bo i w niego piorun uderzył i dzwonnika zranił.

Mało było w Polsce takich ludzi świątłych i odważnych,

jak zmarły w roku 1918 Jan Kubik, rolnik i stolarz, poseł do Rady Państwa, który wiele energii poświęcił na tępienie zabobonów. Sam, dając dobry przykład, na swym domku w Janowicach koło Oświęcimia ustawił gromochron. Gdy zaś pewnego razu przybyli do niego w odwiedzinach goście i podziwiali tę nowość na wsi, odpowiedział z humorem: „Gdyby piorun uderzył w mój dom, a zniszczył go, wówczas wszyscy pobożni wyzyskiwacze w okolicy ogłosiliby, że spadła na mnie kara Boża za to, że walczę z ich świątobliwym wyzyskiem, a tak ja przez gromochron, jak «czarnoksiężnik» kieruję piorunami.”

U tegoż Kubika zjawili się w roku 1912 kwestarze z Krzywaczki, powiatu myślenickiego, prosząc, by jako wójt pozwolił im kwestować w gminie na odbudowę spalonego kościoła. Przy tej sposobności między Kubikiem a kwestarzami toczyła się taka rozmowa:

— Od czego kościół wasz się spalił? — pyta Kubik.

— Od pioruna — odpowiadają kwestarze.

— A Czemużeście nie ustawili na wieży gromochronów?

— A bo przeciw woli Boskiej to nawet „magnes” nie poradzi.

— Skoro tak — rzecze Kubik — to wynoście się zaraz ze wsi.

Jeśli z własnej woli Pan Bóg piorunem swój dom spalił, to widać, że dom ten u was w Krzywaczce, nie był Bogu potrzebny.

Po tych słowach kwestarze wynieśli się ze wsi jak zmyci.

Co prawda, ten mądry chłop-stolarz, tak pogładowo wykładający cześcielom zabobonu niedorzeczność ich rozumowania, nie podobał się ówczesnym „autorytetom”. Dziwić się nie ma czemu. Przecież pielęgnację zabobonu wielu traktowało jako świętą tradycję religijną i narodową. Kult zabobonów był tak głęboko zakorzeniony, że wielu literatów, a nawet niektórzy członkowie Akademii Umiejętności, gotowi byli nie tylko „dzwonić na planetników” w dzwonniki loretańskie, ale i udowodnić, z im tylko właściwą pompą i dostojnością, skuteczność tego przedsięwzięcia.

Tortury

Wpływ niemieckiej praktyki sądowej na sądownictwo polskie — Polska sądowa praktyka kryminalna według sędziego Jakuba Czechowicza — Dawne więzienia — Kocioł i dyby — „Znaki pokazujące występki” — Rodzaje tortur — Śrubowanie kciuków — Sznurowanie ramion — Hiszpańskie buty — Tortura rozciągania ciała — Tortura przypalania — Skutki przyznania na torturach — Nadużycia sędziów i katów — Rzemiosło katowskie — Rzecznicy sądowi — Zniesienie tortur — Falszywe samooskarżenie klerożyta o mord powoduje zniesienie tortur w Prusiech — Rosyjska tortura knutowania — Celem tortur w więzieniu mokotowskim w Warszawie

Polska praktyka sądowa kształtowała się pod wpływem sądowej praktyki niemieckiej. Masowo napływający do Polski koloniści z Niemiec, osadzeni w miastach i we wsiach, wszystkie stosunki prawne regulowali według prawa ojczystego, do którego się przyzwyczaili w swej niemieckiej ojczyźnie. Zwyczaje prawne niemieckie zaczęły się przyjmować i utrwalają między ludnością polską, tak że prawo niemieckie stało się z biegiem czasu prawem powszechnie stosowanym w miastach i we wsiach, a wywierało ono także znaczny wpływ na kształtowanie się praw stanowych, którymi rządziła się szlachta.

Z Niemiec przeszczepiono do Polski praktykę prowadzenia procesów sądowych, a w zwyczajach niemieckich znaleziono pierwowzory różnych kar stosowanych przez sądownictwo polskie.

Powszechnie w Polsce znane było prawo saskie, a w szczególności zbiór tego prawa zwany *Zwierciadło saskie*. Zwano je też krótko Saksonem. Takie np. „państwo suskie”, posiadające dobra obejmujące części dzisiejszego powiatu wadowickiego i żywieckiego, sprawowało nad poddanymi swych wsi sądownictwo podług wzoru Saksonu, jak to stwierdzają „Księgi sądowe”. Prawo niemieckie zwane też było popularnie prawem magdeburskim, ze względu na to, iż w zawiłych sprawach i w wątpliwościach prawnych zwracały się sądy po orzeczeniu do sądu ławniczego w Magdeburgu.

Znana też była w Polsce późniejsza „Sądowa ordynacja gardłowa” księstwa Bambergu i jeszcze późniejsza „Konstytucja kryminalna”, od imienia cesarza Karola V, który ją ogłosił, zwana Karoliną. Polscy prawnicy, jak np. Groicki, na ich podstawie opracowali podręczniki do praktycznego użytku w polskich sądach. Miasta większe, zamożniejsze zdobywały się na uczeńszych, mądrzejszych sędziów, znających prawo z książek i podręczników, miasta drobne i wsie królewskie czy duchowne posługiwały się niepiśmiennymi ławnikami, wybieranymi spośród gromady, którzy wyrokowali, karali, naśladując więcej wyrobione sądownictwo miejskie. Nikt z nich żadnych podręczników przy rozpatrywaniu spraw nie używał, a zapisujący pisarz, najczęściej miejscowy bakałarz lub organista, znał zwyczaje prawne ze słyszenia i własnej obserwacji — i według nich wymiar sprawiedliwości w konkretnych wypadkach inspirował.

Postępowanie tych sądów, sprawowanych nieraz przez ludzi nieoświeconych, zaciekle, kierujących się prywatą, często aż do nieprzytomności zapitych, znalazło się w przysłowiu: „sprawa jak w Osieku”. Opowiadano bowiem, że przed wiekami miasteczko Osiek nad Wisłą służyło z niesprawiedli-

ści tamtejszego sądu magdeburskiego. Gdy w tym miasteczku skazano ślusarza za zbrodnie na karę śmierci, magistrat, zważywszy, że ma tylko w miasteczku jednego ślusarza, za to dwóch kowali, w miejsce winowajcy—ślusarza stracił na szubienicy niewinnego kowala. Stąd też powstało przysłowie: „ślusarz zawinił, a kowala powieszono”.

Procedurę w miejskich i wiejskich sądach ławniczych opisał szczegółowo radca i sędzia miasta Chelмна, Jakub Czechowicz. Tytuł jego dzieła, wydane go drukiem dopiero po śmierci autora w roku 1769, brzmi: *Praktyka kryminalna, to jest wzór rozważnego i porządnego spraw kryminalnych sądenia według praw przyzwoitych i przystosowanych zdaniem autorów poważnych*. Dzieło to stanowi dokument historyczny, oświetlający praktykę sądów w stosowaniu przepisów procesowych i materialnego prawa karnego. Dzieło to poświęca też sporo uwag sprawie stosowania tortur w procesie karnym.

Według praw niemieckich przyznanie się obwinionego do popełnienia zarzuconego mu czynu karygodnego stanowiło najważniejszy dowód w procesie. Toteż prawnicy obmyślili sposoby wydobycia przyznania się od podejrzanego. Sposobem uznanym, przez wieki stosowanym, było torturowanie, czyli wydawanie na różne męki człowieka podejrzanego. Do zadawania bólu służyły przeróżne narzędzia, zrazu prymitywne i proste, a z biegiem czasu zamieniane na precyzyjne maszyny. Zapasy tych narzędzi i maszyn posiadały miasta większe i bogatsze, a także zarządy wielkich dóbr magnackich, utrzymujące w karchach posłuszeństwa i niewoli tysiące poddanych. Starostowie grodzcy, a czasem i starostowie ekonomiczni, dzierżawcy królewscy, używali tortur. Taki np. Mikołaj Komorowski, wójt wadowski „na Mikołaju”, a zarazem starosta barwałdzki i nowotarski, nieraz chłopów torturami częstował. Szlachcic uboższy albo sam urządzał tormenta, jak to np. uczynił dziedzic z Doruchowa z okazji procesu czarownic, albo też wynajmował w sąsiednim miasteczku sędziów i kata wraz z jego pomocnikiem, „hyclem”, którzy ze

sobą całą maszynę katowską na wieś przywozili celem zawodowego wykonywania rzemiosła, jakim dla nich było torturowanie, sądenie i zabijanie ludzi. Również niektóre urzędy gromadzkie stosowały tortury. Np. urząd gromadzki w Tryńczy stosował tortury, jak świadczy zapiska z roku 1683 w księdze sądowej tej wsi. Torturowano tam Majchra Czwakłę, a widocznie tortura straszliwa spowodowała śmierć delikwenta, gdyż zapiska mówi, że składa on zeznania in agone mortis.

Po parowiekowej epoce stanowych praw i sądów zachowały się po nich w Niemczech liczne pamiątki. Urządzono tam parę muzeów z narzędziami tortur, które dają wyobrażenie o praktykach sądowych.

W Polsce muzeum takiego nie ma, a dziś, po upływie długiego czasu od zgonu barbarzyńskich praw, trudno by może nawet było eksponaty do muzeum takiego skompletować. Są to bowiem dziś — białe kruki. Jedynie w Krakowie, w Domu Matejki, umieszczono zbiór narzędzi tortur, znalezionych w roku 1820 przy burzeniu ratusza. Są między nimi kleszcze, obcęgi, obręcze, jeź, łańcuchy, topór katowski. Miecze katowskie przechowały się w magistratach w Sandomierzu i w Tarnowie.

Proces karny rozpoczynał się od uwięzienia człowieka podejrzanego o popełnienie czynu przestępczego. Więzień typu dzisiejszego dawniej nie znano. Za więzienia służyły piwnice, lochy, wieże, bramy, strażnice, a po wsiach także spichlerze, chlewy, a nawet specjalne kamienne areszty. We Lwowie więzienia miały swoje nazwy ludowe: Awedyczka, Biała, Dorotka, Gielazynka, Pod Aniołem, Szala, Szotka, Wesoła, Za kratą. W Krakowie ludowe więzienie było w podziemiach wieży ratuszowej, a szlacheckie w podziemiu baszty Senatorskiej na Wawelu, zwane Dorotką. Taki areszt, zwany pikuś, stał do czasu wojny w Zembrzycach, a podobny przed wojną rozebrano na folwarku w Śleszowicach. Nazwa pikuś urobiona została zapewne od pikiety, czyli strażnicy. W nieco lepszym stanie dochowała się izba tortur i więzienie

zwane wieżą w Andrychowie. Ma ono dziś formę kapliczki, a znajduje się w ogrodzie dworskim za budynkiem sądowym. Przytrzymanego człowieka przede wszystkim krępowano łańcuchami lub sznurami w ten sposób, że dłonie przywiązywano do stóp. Nazywało się to kozłem. Związanie mogło nastąpić albo w pozycji siedzącej, albo w pozycji klęczącej. W pierwszym wypadku ręce wyciągnięte były w przód ku stopom, a po przywiązaniu ich do stóp człowiek całymi dniami i nocami siedział skulony. Pomiedzy ręce i nogi przeciągano drążek znacznej długości i przy jego pomocy przenoszono skulonego z miejsca na miejsce i zawieszano go jak jakiś tłumok na haku lub na gałęzi. Wygięte plecy ułatwiały katom i ich pachołkom smaganie związanego powrozami i kijami. W wypadku związania w pozycji klęczącej ręce związanego wysunięte były w tył, ku stopom. Żeby związany nie poruszał się, nie leżał na jednym lub drugim boku, przywiązywano go jeszcze do słupa. Dziedzic w Doruchowie zastosował oryginalny sposób dręczenia kozłem. Związane kobiety w pozycji klęczącej wstawiał do beczek. Przez otwór w beczce w klepkach obok dna wyciągał na zewnątrz beczki związane razem stopy z dłońmi, a wetknąwszy między stopy i dłonie kij uniemożliwił nie tylko wciągnięcie rąk i nóg do beczki, ale w ogóle wszelki ruch związanej. W ten straszny sposób dręczona kobieta klęczeć musiała w beczce dotąd, póki śmierć ją z rąk oprawców nie wybawiła.

Były też inne sposoby pozbawiania ruchu aresztowanych. Służyły do tego dyby. Były to grube kłocce drzewa położone na sobie i śrubą skręcone. W każdym klocu wyżłobiony był otwór w formie korytka. Po odsunięciu kłoca górnego aresztowany wkładał w wyżłobiony otwór nogi i ręce, po czym nasuwano z powrotem kloc górny. Wystające na zewnątrz dłonie i stopy były zarazem zasuwanymi, nie pozwalającymi wydobyć z dybów ani rąk, ani nóg. Nieraz zamykano w dyby tylko nogi, pozostawiając ręce wolne. Jeżeli dyby były ustawione wysoko, ciało opadało na dół, tak że zakuty nogi miał

w górze, a głowa zwisała mu ku ziemi. Toteż nie chcąc cierpieć w takiej pozycji obiema rękami obłapiał kłodę i wisił w tej pozycji, dopóki z sił całkowicie nie opadł i nie omdlał. Nazwa pochodzi z niemieckiego Dieb, co oznacza w polskim złodzieja. Widocznie do złodziei stosowano tę torturę w Niemczech, skąd wraz z nazwą dostała się ona i na ziemię polskie.

Przykuwano też aresztowanych do ścian lub do belek zbitych w kształt krzyża, każdą nogę i rękę do osobnego ramienia krzyża, i krzyż ustawiano w pozycji leżącej lub stojącej. W niektórych piwnicach i lochach urządono w ścianach wnęki zamykane żelaznymi drzwiami. We wnękę taką wstawiano człowieka. Zamknięty w niej nie mógł ani siedzieć, ani się obrócić. Podobne bunkry-areszty urządzili hitlerowcy w obozach koncentracyjnych podczas ostatniej wojny. Do krępowania i przywiązywania człowieka używano żalaznych kajdan oraz powrozów.

W ten sposób krępowani ludzie znosili nie tylko dolegliwości tym traktowaniem wywołane, ale obsiadało ich robactwo, rzucały się na nich zgłodniałe szczury, którym obronić się nie mogli. Pomieszczenia przypominały chlewy. Ci, których łagodniej potraktowano, leżeli w kącie lochu na wiącce słomy zbutwiałej i przegniłej, obsługując zakutych i związanych.

Można nabrać wyobrażenia o nieporządkach panujących w więzieniach z ostrzeżenia, jakie przed nimi wypisał Groicki w *Porządku sądów i spraw miejskich*: „Bo oto już bywa lekkość niemała, gdy kogo obchodzić nie każą, gdy ceklarze kogo obstąpią, a potem go niepoczcwie do więzienia prowadzą, gdzie więc drugiemu duszno bywa, gdy światła mało widzi, a bący około niego latają, żaby skaczą, tako się więc niedobrze wyśpi i w głowie dziwne się mu sny roją...”

Więźniowie, którzy siedzieli w takich „Więzieniach”, pamiętników nie spisywali, toteż tylko w wyobraźni można odtworzyć sobie ponury obraz zwierzęcego stosunku ludzi do

ludzi, oglądając lochy, piwnice zamkowe, pikusie itp. lokale służące do dręczenia ludzi. Jednak w Kopenhadze hrabina Leonora Krystyna Ulfeld, która 22 lata przesiedziała niewinnie w tzw. modrej wieży tamtejszego zamku, pozostawiła „pamiętnik cierpień”. Opisuje ona, że podłoga w jej izbie więziennej, w której siedziała wraz ze swą służącą, powstała z silnie udeptanych odchodów ludzkich. O świecę łojową musiała staczać walkę ze szczurami, a robactwo żywcem ją toczyło. Zdziczenie wśród ówczesnego społeczeństwa było tak duże, że nikt nie protestował przeciw temu barbarzyństwu, a przyjaciółki, odwiedzając nieszczęśliwą, przyszły tylko zaspokoić swą ciekawość, czy, oprócz pcheł, pluskwy jej nie gryzą.

Takie „więzienia” były istną piekielną torturą. Nie przewidywało jej prawo, nie była ona urzędzeniem procesowym, ale pomysłem zdziczałych, okrutnych dzierżycieli władzy, tradycyjnie przez wieki przekazywanym przez jedno pokolenie oprawców i katów pokoleniu drugiemu. Administratorem więzienia bywał kat zwany mistrzem ciupy — po łacinie *magister cippi*.

*

Zasadą postępowania karnego było orzeczenie oddania podsądnego na tortury na podstawie wstępnego postanowienia sądowego. Sędzia mógł skazać na tortury, jeżeli istniały do tego indicia, czyli „znaki pokazujące występki”. Czechowicz w *Praktyce kryminalnej* podaje, że uznanie, czy indicia zachodzą, pozostawia się rozsądkowi i sumieniu sędziego. Jako przykładowe indicia wymienia ucieczkę, pozasądowe wyznanie podejrzanego, przyjęcie do gospody sprawcy występkę, odgrażanie się, kłamstwo, lękanie się, bojaźń, nagłe zbogacenie się i rozrzutność, przy występkę cudzołóstwa zamknięcie się z cudzą żoną, przyłapanie listów miłosnych, spacerowanie po gaju i drogach tajemnych, pocałunki i lubieżne do-

tykanie się i ściskanie z cudzą żoną lub uczęszczanie w dom urodziwej białogłowy we dnie i w nocy, „obciążenie płodem żony”, gdy mąż był długo chory, a wreszcie „kiedy mężczyznę jakiego i żonę cudzą na samym naturalnym i realnym uczynku cudzołóstwa zastają tak dalece, że pudenda in pudendis stant posita”. W występkę „niewiniątka uduszenia albo zabicia indicium do tortur dostateczne jest, jeżeli białogłowa wyzna, że dziecię nieżywe urodziła, która przedtem płód w żywocie potajemnie nosiła i ono umyślnie bez czyjej pomocy sama tylko na świat wydała”. Jeżeli torturowany wskazał „towarzyszy występkę”, wystarczało to, by również wskazanych oddać na tortury.

Samo torturowanie powinno być wyprzedzone postraszeniem podsądnego torturami. W tym celu sąd udawał się do katowni. Katownię urządzano zazwyczaj w podziemiach, tak że ani promień słońca do niej nie miał przystępu, ani jęki męczonych nie wydobywały się z niej na zewnątrz. Wprowadzonemu podsądnemu kat okazywał narzędzia tortur i objaśniał ich zastosowanie, przy czym groził mu, że dotąd go będzie męczył, „aż światło przez niego będzie przeświecać”. Jeżeli ten pierwszy stopień przestraszenia nie skutkowało, stosowano stopień drugi. Podsądny musiał się rozebrać, po czym dano mu „spróbować” na chwilę którejś z tortur. Jeśli i to nie poskutkowało, sędzia zażądał rzeczywistego stosowania tortur.

Tortury dzieliły się na kilka stopni, każdy stopień tortury mógł być jeszcze zaostrzony przez dodanie do niego jednej bądź więcej równoczesnych tortur.

W Niemczech, a jak ślady wskazują za ich wzorem w Polsce, najczęściej stosowano następujące tortury: 1. zaśrubowanie kciuków; 2. sznurowanie ramion; 3. „hiszpańskie buty”; 4. rozciąganie na drabinie, desce lub przy pomocy windy; 5. przypiekanie.

Do zaśrubowania kciuków używano narzędzia w formie prasy na śrubach. Narzędzia te były albo pojedyncze do ściskania palców u rąk, albo podwójne do ściskania równoczes-

nego palców u rąk i u nóg. Te ostatnie nazywano hiszpańskim kozłem, a pełniły tę samą rolę, jak wyżej już omówione zawiązywanie polskiego koziołka. Powierzchnia desek, tworzących prasę, była guzowata, a guzy te przy zaśrubowaniu palców, wtłoczonych między deski, wciskały się w ciało, gniotąc je, mnąc i przecinając, aż krew z nich tryskała. Sprawiało to straszliwy ból. Ciało z bólu wygięte smagano kijami lub powrozami. Przy tym klepano młotkiem po prasie, co jeszcze więcej wzmagало ból. Prasy z biegiem czasu coraz więcej „ulepszano”, a za czasów Marii Teresy stanowiły on już precyzyjne maszyny. Tortura ta uważana była za najłżejszą.

Za bardzo bolesną uchodziła tortura sznurowania ramion. Używano do tego celu lin włosianych lub konopnych. Delikwentowi wyciągano ręce w przód lub w tył i obwiązywano je w taki sposób, że środek liny opasywał ręce, końce zaś jej trzymali dwaj „hycle”, podczas gdy trzeci trzymał ręce. Sędzia zadawał stosowne pytania delikwentowi, a gdy ten nie dawał zadowolających odpowiedzi, „hycle” szarpali końce liny w sposób taki, jakby jeden drugiemu chciał ją wyrwać, skutkiem czego sznury na ręce się zaciskały, przerywały mięśnie i niby piła nieraz przecinały kości.

Hiszpańskimi butami nazywano dwie żelazne płyty, podobne do rozciętej cholewy buta, które zakładano na goleń i łydkę, i zaśrubowywano. Płyty żelazne miały na wewnętrznej ścianie guzy, które przy zaśrubowywaniu wciskały się w ciało i gruchotały golenie. Hiszpański but, zaśrubowany na nodze, wypełniano jeszcze specjalnymi klinami, wbijanymi młotami. Oczywiście kliny te, wciskając się między ciało i kości oraz żelazną cholewę, również gruchotały kości nogi i szarpały ciało. Zdejmowanie i wdziewanie tych butów powtarzano kilkakrotnie, w celu zwiększenia cierpień, albo też klepano młotami po żelazach, co potęgowało boleść.

Hiszpańskie buty były też w użyciu w Polsce. Wspomina o nich ks. Jędrzej Kitowicz w *Opisie obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*. Pisze, że były to „ostre żela-

za, karby na kształt zębów, kształt piły mające, z dwóch sztab złożone, przez które przechodziły z obu końców śruby; tymi śrubami ściągano żelaza zębate na wierzch piszczeli nóg, które pod spodem przymocowane były. Te więc, coraz bardziej gniotąc i kalecząc nogi, nieznośny ból sprawiały. Mistrzowie, żelaza podobne dybom, po swojemu nazywali butami hiszpańskimi. Utrzymywano powszechnie, że nie było zbrodniarza, którego by obuwie to do przyznania winy nie przymusiło."

Jeśli nie przymusiło, to nieraz torturę tę łączono z torturą wyciągania. Była to najstraszniejsza spośród tortur. Kaci używali tu kilku systemów. Tortura ta utrzymała się w hitlerowskich obozach koncentracyjnych pod formą tzw. słupka. Dawniej w Niemczech i w Polsce używano form innych. W katowni u sufitu osadzony był hak z kółkiem o wyżłobionych krawędziach, przez które przeciągnięty był łańcuch lub lina (jest to tak zwany flaszencug lub kluba). W ścianie zaś lub w podłodze wprawiona była żelazna witka. Pod kółkiem usadzono więźnia, związano mu z tyłu na plecach ręce i węzeł sznura przymocowano do liny względnie łańcucha od flaszencuga. Nogi zaś, związane sznurem, przymocowano do witki w ścianie lub w podłodze lub też obciążano przywiązanymi do stóp ciężkimi kamieniami. W tym momencie sąd zwracał się do obwinionego, aby się przyznał, zaklinając go na wszystkie świętości; Gdy to nie pomagało, wówczas wójt zwracał się do instygatora (oskarżyciela): „Mów więc mistrzowi sprawiedliwości, niechaj postąpi z nim według prawa." Instygator zaś wołał donośnym głosem na kata: „Mistrzu! postąp z winowajcą według prawa." Kat zwracał się do siedzącego za stołem wójta i przysiężnych i do stojącego przed stołem rugownika i swoich pachołków: „Mości panowie zastolni i przedstolni, czy z wolą to waszą, czy nie z wolą?" Rugownik odpowiadał: „Z wolą", a wtedy — jak opisuje Kitowicz — „kat silnie pociągnął za powróż. Wtenczas ręce więźnia poczęły się wyłamywać ze stawów i ramion, podno-

się w górę tyłem głowy, postać zaś więźnia, poddając się wyższą częścią ciała za sznurem, znajdowała się na stoliku, nogi zaś, wyciągnięte i do haka przywiązane, wisiały jak na powietrzu. Jeśli po tej męce więzień w dalszym ciągu trwał w uporze, kat przyzywał wówczas swego pomocnika i obydwaj z całych sił za sznur ciągnęli. Wówczas więzień wyciągnięty był jak struna. Ręce wykręciły się tyłem i stanęły w prostej linii z ciałem nad głową, w piersiach zrobił się dół głęboki, w który stoczyła się głowa, cały człowiek wisiał na powietrzu. Wszystkie żebra, kości, stawy i żyły stały się wydatnymi, że można by je policzyć. Jeżeli zdarzyło się, że więzień na torturach skonał, wszystko się natenczas kończyło i zmarłego pochowano, a sprawa upadła."

Po zakończeniu tortury sadzano więźnia na stołku, powykręcane ze stawów ręce nakręcano z powrotem przy szalonym bólu, potem, złożony je na piersiach na krzyż, kolanem tłoczono między łopatki i tym sposobem naprowadzano je w stawy, co też sprawiało ból nie mniejszy niż sama tortura. Celem obostrzenia tej tortury albo przywiązywano nogi do haka w podłodze, albo na stopach zawieszano ciężary, zazwyczaj kamienie, przez co ciało tak było rozciągnięte, że blask świecy przebijał przez nie na drugą stronę. Spełniła się więc groźba kata.

Zamiast flaszencuga używano też długiej ławy, podobnej do magła, do której przywiązywano więźnia. Z jednej strony ławy, u jej krawędzi, umocowywano ręce w tył wyciągnięte, u drugiego zaś krańca umocowane na linie nogi przywiązywano do ruchomego walca, którym skręcano sznur i wyciągano ciało jak strunę. Pod plecy podkładano tzw. jeża, to jest krążki nabite gwoździami, które w czasie wyciągania ciała szarpały i wyrwały mięso z pleców. Odmianą tortury na „łożu sprawiedliwości" było usadzenie związanego w kozła więźnia na ławie i przeciąganie po jego plecach grabiami z ostrych gwoździ sporządzonymi. W taki to sposób dziedzic z Doruchowa torturował „czarownice", przy czym grabie że-

łazne wprawiał w ruch przy pomocy windy, urządzonej na strychu ze zwykłego koła od wozu.

Zamiast windy i ławy używano też specjalnej drabiny, na której rozciągano więźnia w podobny sposób jak na ławie. Kodeks karny, wydany przez cesarzową Marię Teresę, przewidywał stosowanie tego narzędzia tortur.

Co się tyczy tortury przypalania ciała, to łączona ona była z torturą rozciągania ciała. Polegała ona na przypalaniu ciała pod pachami. Używano w tym celu specjalnych pochodni z rozpaloną smołą lub siarką albo też polewano barki i plecy spirytusem i podpalano. Stosowano też wlewanie gorącego oleju do gardła, wreszcie przykładano rozpalone blachy.

Reminiscencją tej tortury są takie „powiedzonka", jak „pal sześć!" lub „pal go kat", które oznaczały zlecenia wójta dla kata, aby do delikwenta zastosował sześciokrotnie torturę przypalania świecą boków, lub też by zapalił stos celem stracenia skazańca.

Czechowicz w *Praktyce kryminalnej* rozróżniał pięć stopni tortur: 1. pogrozenie torturami, 2. zaprowadzenie na miejsce tortur, 3. obnażenie i związanie, 4. położenie na desce, 5. ciągnięcie. Co do tortury ciągnięcia, to Czechowicz doradzał dwukrotne ciągnięcie powrozem, jeśli zaś było „indiciów" więcej, „tedy za wszystkie pozwalają trzy razy ciągnąć powrozem". Należy jednak odróżnić wielokrotność ciągnięć sznurem od wielokrotnego powtarzania tego samego stopnia tortury.

W muzeach niemieckich znajdują się jeszcze inne narzędzia tortur, jak np. „tron dziewiczy" lub „konfesjonał" czyli specjalnie skonstruowane krzesło, którego podstawa, siedzenie i oparcia obite są ostrymi gwoździami. Kto usiadł na takim tronie, prawie całe jego ciało stawało się jedną raną. Podobną rolę odgrywała deska do stąpania nogami, „deptak" wybity ostrymi gwoździami. Były też „kołnierzyki", używane w Saksonii, do tortury słupka. Za kołnierz taki wieszano oskarżo-

nego na haku tak, że tylko palcami nóg opierał się o ziemię, a lada chwila groziło mu uduszenie. Kołnierzyki wybite wewnątrz ostrymi gwoździami raniły szyję i uniemożliwiały ruch głowy.

Postępowanie karne przy zastosowaniu tortur prowadzono tylko przeciw „plebejom”, tj. chłopom i mieszczanom. Duchowieństwo, szlachta, wyżsi urzędnicy nie mogli być wydawani na tortury, chyba że popełnili przestępstwo polityczne.

Również prawo zwyczajowe nie dozwalało torturować dzieci niżej lat 14 i starców powyżej lat 60, ludzi niespełna rozumu, chorych oraz kobiet w odmiennym stanie. Groicki pisze, że „nie może być zwolen od męki, jedno ten, którego prawo pisane czyni wolnym, jako są Doktorowie, Rycerze, Przełożeni na wielkie dostojęstwa, Urzędnicy wielkich stanów i Urzędnicy Miejscy, póki są na urzędzie”. Jednakowoż i te osoby mogły być na męki wydane, o ile popełniły przestępstwo o charakterze politycznym. Jeżeli o jeden występki było kilka osób obwinionych, wówczas rozpoczynano torturowanie od najbardziej podejrzanego, a jeśli wszyscy zarówno byli podejrzani, wtedy zaczynało tortury od mniejszych, słabych, bojaźliwych i od kobiet.

Często się zdarzało, że osoby poddane torturom nie wytrzymały męki i umierały na torturach. Prawie zawsze osoba torturowana doznawała kalectwa trwałego albo wywiązywały się zapałne choroby, zakażenia krwi, powodujące śmierć. W Bambergu przy stosowaniu tortur obecny był lekarz. Gdy kat kości gruchotał, on je zestawiał, gdy ręce ze stawów wykręcał, on je potem wkręcał.

Tortury wykonywano zazwyczaj przed południem, nie dając więźniowi nic jeść, aby więzień był na czczo. Przepisywano, że męczenie nie powinno przenosić godziny. Przepisu tego się nie trzymało. Tortury trwały zwykle po kilka godzin. W Niemczech nie wolno było tortury zaczętej przerywać i powtarzać. Przepis ten obchodzono w ten sposób, że torturę przerywano, a w następnych dniach powtarzano, uspokajając su-

mienie tym rozumowaniem, że jest to dalszy ciąg, a nie powtórka tortury. Natomiast w Polsce, za wskazówką Czechowicza, powtarzano torturę ciągnięcia dwa, a nawet trzy razy, przy czym na każdą torturę wypadało 2—3 ciągnięć powrozem.

Jeżeli podczas tortur więzień się przyznał, a potem przyznanie odwołał, torturowano go do trzeciego razu, gdyż — jak pisze Czechowicz — „w takim przypadku chcą doktorowie, ażeby znowu do tortur powrócić się”. Jeżeli trzykrotne tortury wytrzymał i nie przyznał się, szukano innych dowodów winy, głównie przez przesłuchanie świadków. Jeżeli te dowody uznano za wystarczające, zasądzano więźnia na śmierć, a zapieranie się podczas tortur przypisywano wytrzymałości i zaciętości torturowanego. Czechowicz doradzał jednak w takich wypadkach stosować łagodniejszą karę: wieczną relegację, więzienie, a niekiedy multkę pieniężną; przy ważniejszych zaś występkach czasową relegację, czyli wygnanie. Jeżeli dowody ze świadków były słabe, niewystarczające, albo jeżeli więzień na trzecich torturach odwołał przyznanie, uczynione w czasie pierwszych i drugich tortur, sąd go uwalniał, a uwolniony miał prawo żądać kary na donosiciela, który spowodował postępowanie karne. Jeżeli na potrójnych torturach za każdym razem przyznał się, wystarczyło to do wydania skazującego wyroku. Jeżeli zaś na potrójnych torturach wytrzymał, nie przyznając się, jednak z innych dowodów można go było dostatecznie podejrzewać o czyn przestępny, uniewinniano go, ale nie mógł dochodzić swej krzywdy sądownie przeciw donosicielowi.

Ponieważ torturowano głównie ludzi ze stanu włościańskiego, i to wskutek zarządzeń ich panów, więc dla bezpodstawnie męczonych zamknięta była droga dochodzenia swej krzywdy, gdyż pan miał w stosunku do swych poddanych prawa sędziego, od którego zarządzeń i wyroków nie było apelacji.

Jakkolwiek katownie tak były umieszczane, aby krzyki i jęki katowanych nie przedostawały się na zewnątrz, to dla

lepszego zabezpieczenia ciszy wpychano delikwentowi do ust przyrząd w formie gruszki, który za pociśnięciem sprężyny otwierał się w ustach niby miniaturowy parasol i tłumiał jęki.

W toku maltretowania sędziego zadawał liczne pytania męzonemu, a wydobyte w ten sposób zeznania ujmował w formę protokołu.

Zdarzało się jednak, że oskarżony tortury zniósł, nie wyznając winy nie popełnionej, toteż sąd go musiał uwolnić od kary.

Niechętnie jednak sądy zwalniały niewinnych ludzi, z obawy, aby zwolniony nie chciał się mścić na okrutnikach za dręczenie go torturami. Toteż uwolnienia z więzienia czyniły one zawisłe od złożenia przysięgi przez więźnia, że mścić się na sędziach, katach i hyclach nie będzie, a nieraz i na przysiędze nie poprzestawały, lecz żądały „porękowników” za uwolnionego, którym na wypadek zemsty więźnia groziła na równi z nim karna i majątkowa odpowiedzialność.

We Lwowie sprawę karną kończono bardzo religijnie i ceremonialnie. Starszy ławnik wzywał skazanego, by się wyświadczył, a gdy skazańca wyprowadzano na miejsce śmierci, sąd cały padał na kolana i odmawiał psalm pokutny *De profundis*, a wreszcie — wzorem Piłata — umywał ceremonialnie ręce.

Bartłomiej Groicki, w podręczniku prawnym *Porządek sądów miejskich* (wydanie z roku 1630), wspomina z oburzeniem o nadużyciach praktykowanych przy torturowaniu przez sędziów i katów. Za książką *De praxi rerum criminalium* wylicza on męki, „które złoczyńcom bywają zadawane więcej z wymysłów sędziów niebaczących, a z okrucieństwa katowskiego, niż wedle prawa: jako wodą, octem, laniem wrzącego oleju w gardło, smarowaniem siarką, smołą gorącą, słoniną, głodem, pragnieniem wielkim, przyłożeniem na pępek myszy, sierszeni, albo jakich innych jadowitych chrobaków, nakrytych bańką, ażeby tak, gdyby wyniszczyć nie mogli, ciało cierpiącego dręczyli, jako też gdy złoczyńcę ku ławie przywią-

żą, nogi jego słoną wodą namażą, potem kożę przywiodą, która rada sól jada, aby pięty onego złoczyńce lizała, który ból powiadają być okrutny bez obrażenia cielesnego”.

Zdaniem Groickiego „zgodnie z prawem” zadawana jest męka „przez ciągnięcie powrozami, gdy nago złoczyńca (wszakże wstyd przyrodzony mając nakryty) na węższej ławie niż ciało jest, bywa pod pachę przez piersi przywiązany, potem wielkie palce u nóg bywają związane, a powróż od nich około osi u koła okręca, aby tak obracaniem koła ciało złoczyńce ku wypowiedzeniu prawdy było ciągnięte. Niektórym też, którzy na męki mają być dani, wszystkie włosy brzytwą ogolą dla opatrzenia, aby jakich kunsztownych pomocy we włosiach nie miał, według czarnoksiężstwa abo czarów innych, za którymi więc żadnej męki nie czują.” Wreszcie Groicki doradza, „aby złoczyńca przed innymi mękami naprzód był bit miotłami”, gdyż „za doświadczeniem przez takie karanie rychlej złoczyńca powie swoje przewinienie niż za mękami wyżej opisanymi”.

Czechowicz pisze, iż sędzia powinien uważać, „ażeby obwinionego nie torturowano sposobami wyszukanyymi i nadzwyczajnymi, bo takich sędziów, którzy to czynią, bardziej do katów niż do sędziów przyrównać trzeba. Wiedz tedy, że sposób torturowania przez ciągnięcie powrozem, ręce wspanak związawszy, jest approbowany.”

Skutkiem tych bestialskich katowskich i sędziowskich praktyk stróż sprawiedliwości spotykali się z nienawiścią. W szczególności nienawidzono katów, jak o tym mówi Groicki w rozdziale zatytułowanym *O kacie*:

„Ale iż katowie, oprawcy, ceklarze w wielkiej nienawiści i zelżywości u ludzi bywają, to nie przychodzi i przychodzić nie ma z strony ich urzędu, ale stąd, iż urzędu swego źle używają, nie z miłości bliźniego, nie z żalem, nie z lutowaniem, za czym by mogli mieć przyjaźń ludzką, iż się z złoczyńcami nie inaczej jedno jako z innymi bestiami obchodzą, bijąc, po-

szyjkując, targając nielitościwie, mordując niezwyczajnie, odzierając, jeszcze to sobie poczytując za chwałę, gdy tyraństwo nad człowiekiem, który też jest stworzeniem Bożym, okazują, iżby tylko chuci a żądy swej, nie rozumowi abo sprawiedliwości dosyć czynili."

Śpiewana przez lud na drózkach Męki Pańskiej w Kalwarii Zebrzydowskiej starodawna *Pieśń o Mące Pańskiej Jezusa Chrystusa*, której powstanie odnieść trzeba do końca XVII wieku, zawiera kilka zwrotek żywo przypominających opisywane przez Groickiego praktyki katów i ceklarzy w ponurych piwnicach sądowych. W jednej zwrotce znajduje się nawet wyrażenie „poszyjkowanie”, użyte przez Groickiego. Oto ich treść:

A gdy mnie na sąd rano prowadzili, Tam, gdzie się sędzię byli zgromadzili, Świadki fałszywe kupili, By mnie na śmierć potępiłi, Srodze osądzili.

A tam mnie w kącie jednym postawili I oczy moje szmatą zaslonili, Twarz moją spoliczkowali, Pięściami poszyjkowali, Zbili i zdeptali.

Jedni żyłami wołowymi bili,
Drudzy z mokrego ciernia różgi mieli,
Okrutnie mnie biczowali,
Ciało me sztukami rwali,
Srodze katowali.

Trzeci łańcuszki żelaznymi bili, A tak mnie nimi okrutnie zranili, Bili mnie aż do kości, Nie było żadnej litości Człowiecze dla ciebie.

Jedni mi oczy błotem zarzucali,
Drudzy, mnie bijąc, na twarz moją plwali
I nogami mnie deptali,
Na obie strony szarpali,
Srodze wyrządzali.

Tak realistyczny opis męki mógł tylko zrodzić się między ludem, lud bowiem na męki zadawane' przez katów patrzył i sam ich na sobie doświadczał. Nic więc w tym dziwnego, że sprawców cierpień — katów — nienawidził. Wyobraźnia nasuwała mu przed oczy podobne typy, które były sprawcami Męki Pańskiej.

Toteż i Groicki stwierdził, że kat „imię prawie u wszystkich ludzi nienawistne niesie dlatego, iż urząd jego zda się być lekki, sprośny, okrutny a krwawy". Jednak — zdaniem Groickiego — kat „przed światem ani przed Bogiem nic nie grzeszy, zelżywości nie ma żadnej i z Kościoła Chrześcijańskiego dlatego nie ma być wyrzucon, ale ku świętościom i innym obrzędom kościelnym ma być przypuszczon". Dlatego też w Krakowie w czasie świątecznych nabożeństw kat w uniformie czerwonym urzędował przed kościołem Mariackim, dozorcując delikwentów zamkniętych w kościelnej kunie.

Mistrz nie zawsze jednak był przykładnym egzekutorem „świętej sprawiedliwości". W roku 1589 w żywieckim urzędzie kat na śmierć zamęczył na torturach Wojciecha Muchę i Marcina Spólnika, obu pochodzących z Zakrzowa przy Kalwarii, podejrzanych o zabójstwo Kojśza z Juszczyzny. „Miasto sprawiedliwości okrucieństwo się stało" — pisze o tym zdarzeniu w kronice wójt żywiecki, Komoniecki. Ze wstydem musiała nieraz „święta sprawiedliwość" zakrywać oczy na widok bezeceństw popełnianych przez jej „mistrza" i jednac innego kata, by swemu zawodowemu towarzyszowi na szubienicy kark skręcił albo mieczem głowę ściał.

W Dubiecku przyłapano w roku 1574 kata z Przemyśla, Marcina, który — jak sam na torturach zeznał — zamierzał podpalić miasteczko Dubiecko i wywołaniem paniki ułatwić

hajdukowi pana przemyskiego obrabowanie miasteczka w czasie pożaru. W owym czasie w Sanoku sprawował urząd kata niejaki Jakub. Miał on też pomocników, Jana Strzelca, syna sołtysa z Trzmielca, i Matysa Murarczyka z Bystrzycy pod Lublinem. Obu tych „kacików” przyłapano w roku 1564 na kradzieżach jarmarcznych i rzezaniu mieszczków z pieniędzmi. Murarczyk wzięty na tortury zeznał, iż towarzysz ich, niejaki Frączek spod Lublina, skradł w jarmark pieniądze mieszczce Skibickiej, i to z wiedzą kata i jego pomocnika, Jana Strzelca. Za tym „powołaniem” kat miał być powieszony. W „rejestrze złoczyńców” zanotowano, że gdy burmistrz posłał do kata sługę miejskiego z wezwaniem, by z narzędziami stawił się na zamku, kat sługę tego mieczem zabił, i to tym samym mieczem, którym na Węgrzech „pięci złoczyńców razem, nie ostrząc ani odmieńając, ścinał. Który potem na troje samże złamał, aby go jem nie ścinano. Przedsię jednak za łaskawy uczynek, za zabicie sługi mieszkiego niewinnej krwi, z ratusza mieczem przez Walka, starszego kata z Przemysła, ścięty, i ci kacikowie wyżej pisani są powieszani.”

Zapowiedź kunsztownego ścinania mieczem za jednym zamachem kilku głów sprowadzała na takie „teatrum” liczne zastępy gawiedzi ulicznej, żądnej krwawych popisów i wiwatującej na cześć zręcznych „mistrzów”. Znane były jeszcze inne popisy katów. W roku 1688 sprowadzono do Żywca czterech katów z Cieszyna na męczenie herszta zbójnickiego, Wojciecha Miczka ze Słotwiny. Na miejscu straceń ścinali go kaci w ten sposób, że jeden kat trzymał za włosy głowę klęczącego Miczki, drugi zaś ścinał ją mieczem tak zręcznie, że ciało upadło na ziemię, głowa jednak pozostała w ręku kata, który ją „około stojącym prezentował”. Wójt Komoniecki zapisał w kronice, że za taki „figiel” cieszyńscy kaci wzięli 60 złotych, kat zaś oświęcimski kontentowałby się 10 złotymi.

Przepisów szczegółowych, normujących wykonywanie egzekucji przez kata, prawa polskie nie znały, toteż pole do uprawiania takich „figli” było szerokie. Ostrowski pisał, że

„kat idzie za przepisem Saksonu”, a regułą obowiązującą go przy egzekucjach jest dekret sądowy, który pod karą powinien wykonać, nie zwiększając męki delikwenta. Do czynności urzędowych kata nikt nie śmiał się mieszać, a tym bardziej do czegokolwiek go zmuszać. Gdy w roku 1658 w Żywcu tracono bandę zbójcecką Wareckiego z Suchej, jeden ze skazańców podczas egzekucji rzucił się do ucieczki. Dopędził go jednak na koniu podstarość żywiecki, Bieguński, powalił na ziemię, poranił szablą i zmuszał kata, by go zabrał. Z powodu tego zajścia kat pozwał podstarościego do grodu, gdzie ten musiał kata załagodzić i kilka grzywien zapłacić.

By zostać „mistrzem świętej sprawiedliwości”, czyli katem, i przywdziać katowski uniform w kolorze raka, trzeba było przejść niższe stopnie nauki i praktyki tego rzemiosła. Stopniem niższym była funkcja oprawcy zwanego także hyclem lub rakarzem. Gdy obowiązkiem i uprawnieniem kata było stosowanie tortur, ogłaszanie wyroków i wykonywanie kary śmierci przez ścięcie, łamanie kołem, podpalanie stosu, to hycel był kompetentny tylko do powieszenia i ćwiartowania skazańca, do wypalania piętna, ucięcia rąk, uszu, a poza tym zajęciem jego było wykonywanie policji sanitarnej, w szczególności kontumacja psów. Nazwa hycel nie ma jednak nic wspólnego z chwytnością psów, lecz jest przeróbką z niemieckiego Hützel. Mistrz-kat zatrudniał oprócz hycłów także praktykantów kunsztu katowskiego, którzy przy torturach rewidowali podsądnego, rozbierali go i wykonywali wszelkie czynności pomocnicze. Specjalna szkoła katów istniała w Bieczu, gdzie była siedziba grodu i odbywały się liczne egzekucje wyroków śmierci.

Za czynności swe pobierał kat wynagrodzenie według taryf urzędowych, a ponadto dostawał stałe uposażenie. Pensja kata w Poznaniu wynosiła 332 zł, w Krakowie 188 zł rocznie. Od torturowania płacono katowi w Krakowie 6 gr, za obwieszczenie dekretu śmierci także 6 gr (kat musiał zatem umieć czytać), za wykonanie śmierci lub wyświecenie z mia-

sta 2 zł. Wielkopolska lepiej wynagradzała katów. Kat poznański za wykonanie wyroku śmierci otrzymywał 16 zł, kat w Zbąszyniu 32 zł, a kat w Międzyrzeczu 30 zł.

Do tych wynagrodzeń dochodziły też uboczne dochody kata z handlu stryczkami szubienicznymi i obciętymi członkami wisielców, które zabobonni ludzie drogo wykupywali jako talizmany szczęścia i powodzenia. Kat trudnił się też leczeniem ludzi, a jeden z medykamentów, „psie sadło”, jest do dziś dnia przez oprawców stosowany. W Krakowie do funkcji kata w czasach porzbińskich należało również wywożenie kloak.

Utrzymanie kata wraz z całym aparatem hyclów i praktykantów było bardzo kosztowne, toteż nie każde miasto mogło sobie pozwolić na zainstalowanie tego rzemieślnika. Dla łatwiejszego opędzenia wydatków na „mistrza świętej sprawiedliwości” miasta łączyły się w związki celowe i wspólnym nakładem utrzymywały wspólnego kata. Takiego wspólnego kata posiadały miasta: Lublin, Opatów i Sandomierz, a każde z tych miast płaciło na ten cel po 6 gr tygodniowo. Mniejsze miasta radziły sobie systemem wypożyczania kata w razie potrzeby. Miastu, które kata wypożyczało, płacono stosowną opłatę za konsens na użycie kata, katowi zaś taryfowe wynagrodzenie za wypełnienie funkcji. Oczywiście usługa ta zależna była od dobrych stosunków między burmistrzami, rajcami i wójtami miejskimi. Zdarzało się, że skutkiem zadrażnień miasto odmawiało wypożyczenia kata, jak to uczynił Czychów, który na prośbę o kata, wystosowaną z miasta Wiśnicza, oznajmił krótko i wężłowato: „kata nie mamy, jak go mamy, to dla swoich obywateli”.

Obok kata, oprawcy i ceklarza odgrywały też przy wymiarze sprawiedliwości rolę znawców sądowych „stare białogłowy” w procesach o dzieciobójstwo.

Dzieciobójstwo sądzono według art. VIII „Karoliny”. Na mocy tego przepisu kobietę poddawano wprawdzie oględzinom: „Na te, która by o taki uczynek w podejrzeniu, gdy się okaże, iż miawszy przedtem brzuch niemały, zarazem opadła

i na ciele ścieńczała, a iż na twarzy zbladła albo zachorowała; tedy, za takimi znakami, ta to białogłowa, na którą takie podejrzenie mogłoby się ściągać, ma ukrycie a potajemnie dana być ku oglądaniu dla lepszego doświadczenia niektórym statecznym a mądrym białogłowom: a za tych oglądaniem a sprawą, gdzie by insze znaki pokazały się, ot jest, iżby z piersi mleko szło, a ona przedsię się prząła, może być na mękę wydana... Wszakże ponieważ lekarze a doktorowie powiadają, że się trafić może na drugiej takowy znak, iż mleko z piersi pociecze, chociaż nigdy nie była brzemienna: dla tej przyczyny, gdyby ona tym obyczajem się sprawiała i wymawiała, a przed tym zwłaszcza, żeby w kurestwie nie była podejrzana, nie ma być zarazem męczona, ale babom a starym białogłowom ma być ku oglądaniu dana, żeby one dostateczniej obaczyły, jeśliż z tej albo z innej przyczyny to pochodzi.” Nie opinia lekarza, lecz orzeczenie „starej baby” musiało być dla sądu decydujące.

• *
*

Tortury zniesiono w Polsce w roku 1776 z okazji sprawy „czarownic” z Doruhowa. Na ziemiach polskich, które przy pierwszym rozbiórce Polski przeszły pod panowanie Austrii, Prus i Rosji, zniesiono tortury aktami prawodawczymi obowiązującymi w tych państwach zaborczych.

Austria zniosła tortury w tym samym roku co i Polska (1776), natomiast w Prusiech tortury zostały zniesione z rozkazu króla Fryderyka Wielkiego znacznie wcześniej, bo już w roku 1754. Niezwykłe zdarzenie wpłynęło na wydanie tego zakazu. W Berlinie została zamordowana przez uduszenie bezdzietna wdowa, a o zamordowanie jej podejrzany został kandydat teologii, który u niej mieszkał. Tłumaczył on się, że w krytycznym czasie nie było go w domu, gdyż bawił poza miastem u swego przyjaciela, wzięty jednak na tortury przyznał, że wdowę zamordował. Koledzy klerycy zdumieni byli tym

przyznaniem, znali go bowiem jako niezwykle uczciwego i prawego człowieka. Toteż wysłali delegację do kanclerza z przedstawieniem, iż to przyznanie kleryka jest fałszywe. Czytając akta sprawy spostrzegł kanclerz w sprawozdaniu kata, badającego trupa zamordowanej, wzmiankę, iż kobieta uduszona została przy pomocy „kunsztownego węzła”. Sprowadzono kata i zapytano go o bliższe wyjaśnienie, co to jest kunsztowny węzeł. Dowiedziano się, że węzły takie potrafi zawiązywać jedynie kat, zaś sposób zawiązywania węzła stanowi tajemnicę urzędową kata oraz że węzły takie śmierć delikwenta przyspieszają. Kanclerz w tej chwili kazał zbadać, czy krytycznej nocy jaki kat nie zatrzymał się w Berlinie. Dochodzenie wykazało, że byli wówczas w Berlinie dwaj pomocnicy kata, rodzeni bracia zamordowanej. Obu ich aresztowano i obaj przyznali się do winy. Kleryka zaś, mimo jego „przyznania się”, uniewinniono. Gdy kanclerz powiadomił o tym zdarzeniu króla Fryderyka, ten natychmiast zakazał stosowania tortur. Najdłużej utrzymały się tortury na ziemiach polskich przypadłych po pierwszym rozbiore Rosji. W Rosji zniesiono je bowiem dopiero w roku 1801. Zniesienie tortur i kary śmierci w Rosji było gestem pustym, kłamstwem obliczonym na efekt zewnętrzny. Praktykowana tortura przepędzania pojmanych przez szeregi wojska i bicia ich kijami, a także tortura knutowania, odpowiednio zastosowana, sprowadzały natychmiastową śmierć katowanego człowieka. Knut używany był przez Rosjan w Polsce i przeszedł do dziejów martyrologii społeczeństwa polskiego. Knutowanie było okrutną karą wyrafinowanego zabójstwa. Knuty sporządzano z białego rzemienia o ściśle określonych wymiarach; rzemień na nich był twardy, jak kość, z obydwu stron wgięty, tworzący w środku wklęsłą bruzdę. Przy uderzeniu ostre krańce żłobka cięły plecy skazańca, przebijając ciało do kości. Po kilku uderzeniach knut zmieniano, gdyż rzemień miękł od krwi. Na godzinę wymierzano nie więcej niż 20 razów, tak iż egzekucja ciągnęła się nieraz od wschodu do zachodu słońca. Doświadczony

oprawca mógł za pomocą paru uderzeń knuta uśmiercić najtęższego mężczyznę. Uderzenia knutem można było złagodzić tylko przy pomocy wręczonej katowi... łapówki. W roku 1845 knut zastąpiony został batogiem o trzech końcach (nahajka), sporządzonym z grubej skóry według specjalnych przepisów wymiarowych. Tak knut, jak i bat, miał w Rosji carskiej swoich czcicieli. Takim czcicielem był profesor Barszew, który wykładał studentom, jak to w knucie i bacie „urzeczywistniona została idea prawdy i sprawiedliwości”.

W więzieniu mokotowskim w Warszawie pozostała z czasów okupacji niemieckiej cela tortur. Był to nieduży pokój o powierzchni 4 m². Wyglądała ona jakby obita szarą tapetą. Przy zbliżeniu jednak pokazuje się, że paski rzekomej tapety to drewniane trójkątne listewki, których jedno ostrze zwrócone było na zewnątrz. Również i podłoga wybita była takimi listewkami. Do celi tej wpuszczano więźniów w koszuli i boso. Ostrza drzew wpijały się w nogi, gdy zaś więzień położył się na plecach, to i w tej pozycji niedługo wytrzymał, kładł się więc na boku i na brzuchu — i tak całe ciało pokrywało się pręgami. Torturowany więzień nieraz omdlewał i upadał na ostre kanty listew, które przecinały mu skórę. Esesmani i gestapowcy wykazali największą pomysłowość w wynalazkach służących do katowania ludzi, czego dowodem obozy koncentracyjne wraz z ich urządzeniami więziennymi, narzędziami tortur i specjalnie do ich stosowania dobranymi katami.

Każń

System kar w średniowieczu — Piętnowanie — Kara na cudzołóżników — Odszczekiwanie oszczerstw — Inne kary średniowieczne — Kary stosowane w sądach wiejskich i miejskich — Grzywny, kuny, plagi; przymusowe robocizny — Wyświecenie ze wsi lub z miasta — Kara wiadrowa — Chodzenie w różgi — O przegierzach — Kara aresztu — Rodzaje kar śmierci — Obostrzenie kary śmierci — Kara wykonywana na trupach — Kary na zbrodźców seksualnych — Kary na przedmiotach majątkowych skazańca — Kara na samobójcach — Banicja i infamia — Kara wieży — Ustawa karna dla wsi zamku suskiego — „Czarna księga” sądu żywieckiego — „Prawo miecza” miasta Żywca — Egzekucje w Żywcu, Kętach i Zatorze — Śmierć Jakuba Huby — Egzekucje w latach 1611—1684 — Bezkarność świętokradcy franciszkanina Ząbeckiego — „Gorące prawo” w roku 1688 — Egzekucja „hetmana zbójnickiego” Portasza — Egzekucje w latach 1691—1702 — Wyrok na dzieciobójczyni w Kalwarii Zebrzydowskiej — Bezkarność zabójcy księdza Jędrkowicza — Łamanie kołem i wbijanie skazańców na pal — Wypalanie na ciele szubienicy i obcinanie uszu — Duchowieństwo żywieckie żąda złagodzenia kar — Ks. Ostrowski o duchu ludzkości — Żywiecka „rzeźnia ludzi” źródłem zdziczenia obyczajów

Strasliwa była procedura sądowa karna, ale jeszcze ohydlniejszy i strasliwszy był system kar.

Z czasów średniowiecza znane są kary cielesne, jak kara gruchotania nóg i rąk, obcinania rąk, uszu, nosa, wylupiania

oczu, wyrywania języka, które jednak z biegiem czasu, jako samoistne kary, zanikały. Wymierzano je według hebrajskiej zasady: „oko za oko, ząb za ząb”. Później kary te służyły do obostrzenia kary śmierci. Z kar cielesnych najdłużej przetrwała kara piętnowania, czyli wypalania znaków na twarzy. Stosowano ją głównie do woźnych sądowych za nadużycia urzędowe, a według ustawy piętnowani mieli też być oszczercy, którzy fałszywie obwiniali o zbrodnie. Początkowo kara piętnowania, zwana karą na skórze i włosach, stosowana była w formie obcięcia włosów wówczas, gdy był zwyczaj noszenia długich włosów. Potem, „kiedy ludzie krótkie włosy poczęli nosić — pisze Groicki — tedy kawalec ucha albo nosa miasto włosów urzynają: a jeśliby ucha nie miał, na twarzy bywa nacechowan”. Złodziei według prawa magdeburgskiego tak piętnowano: „Za pierwszym kradzieżstwem je na twarzy cechują. Za wtórym obiedwie uszy urzynają, a za każdym razem miotłami u prągi biją. Takie cechowanie na złodziejach dlatego bywa, aby je ludzie znali a ich się strzegli. A jeśliby się który dalej co takiego dopuścił, już ma być powrozem na szubienicy nacechowany, aby więcej ludziom nie szkodził”.

Bunt chłopski, jaki wybuchł w roku 1702 pod dowództwem Paleja, ukarano nie tylko wbijaniem chłopów na pale i ćwiartowaniem, ale i piętnowaniem, które przeprowadzono na 70 000 chłopów w ten sposób, że każdemu chłopu ucięto lewe ucho.

Niezachowanie postu było nie tylko grzechem, ale i przestępstwem publicznym, za które w średniowieczu „przestępcy” wyrywano zęby.

Za Bolesława Chrobrego oryginalny był sposób karania za cudzołóstwo. Przybijano mężczyźnię moszną gwoździem do deski i na desce kładziono brzytwę, dając mu do wyboru albo śmierć przez poderżnięcie gardła, albo kastrację. Tak wyglądała ówczesna „sterylizacja”, wzorowana na niemieckich prawnych zwyczajach.

„Maż jeśliby cudzołóżnika zastał, a nie mógłby go pojmać,

może go ranić albo zabić. I jeśli by się przydało, iż mąż mając żonę swoją w cudzołóstwie podejrzaną i upomniałby cudzołożnika trzykroć przed świadkami, aby jego żonie dał pokój, a potem by go zastał z nią mówiącego tajemnie w domu swoim albo w domu onego cudzołożnika, albo kędy na pospolitym jawnym miejscu, może go własną ręką zabić. A jeśli by go na innym miejscu znalazł z żoną gadającego, tedy trzech świadków wezwawszy, którymi by dowiódł, że z żoną gadał, ma go sędziemu oznajmić, który go potem, wywiedziawszy się prawdy, ma wedle prawa karać."

Były to zasady prawne, przytoczone i wyjęte przez Groickiego z „Karoliny” i „Saksona”, obowiązujące w Polsce. Jednak w praktyce rzadko przepis o cudzołożnikach stosowano, widocznie sędziowie zachowali w pamięci dotyczące cudzołożnicy słowa Pisma Św.: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy na nią rzuci kamieniem.” Przy tym niełatwo dawano wiarę obwinieniom, gdyż w procesie miało być „baczenie persony, jeśli krewny albo obcy, jeśli duchowny albo świecki, abowiem na krewnego, na księdza, na mnicha nie jest — jak pisze Groicki — podejrzanе cudzołóstwo”.

Za króla Bolesława Kędzierzawego w roku 1170 skazany został na śmierć za zabicie biskupa płockiego kasztelan Bolesta. Wyrok wykonano w ten sposób, że Bolestę owinięto w płótno, obłano woskiem, potem zapalono na nim płótno i oprowadzając w ten sposób — zamęczono.

Do dziś używane wyrażenie „odszczekać oszczerstwo” ugruntowane jest w dawnych instytucjach prawa karnego. Statut wiślicki z roku 1347 postanawia, że „matkę czyją, kto by naganiał być nierządną i nie odwołałby zaraz, aniby tego dowiódł, 60 grzywien winy podpada, a odwołując ma mówić: «Com mówił, kłamałem jako pies».” W celu wygłoszenia tej formułki skazany wchodził pod ławę i tam „odszczekiwał” oszczerstwa. Taki nieprzyjemny wyrok spadł na krakowskiego podkomorzego, Gniewosza, który przed królem Jagiełłą naplotkował na królową Jadwigę, iż uprawia miłości, a o to

samo znów przed królową obwiniał króla. Królowa skierowała sprawę na sąd wiecowy, złożyła oczyszczającą przysięgę, jako że nigdy męża nie zdradziła, a gdy wiec rycerski orzekł, że Gniewosz ma albo odbyć „sąd boży”, czyli pojedynek z 12 rycerzami, albo pod ławą odszczekać oszczerstwo, Gniewosz z ostrożności wybrał to drugie.

Kara ta znana była także w sądownictwie wiejskim. Gdy w roku 1789 niejaki Mateusz Wiercimiak obwiniał wójta z Rzyk Zatorskich, Moskwika, „iż owies gromadzki, który był zepsuty, na hołd Jego Ces. Król. Mości pokradł i we młynie u Jana Chacyka mełł”, a zarzutu tego nie udowodnił, skazany został przez gromadę rugową, „aby publicznie przy gromadzie odszczekał, że nie gadał, ale szczekał i aby dał na mszę 5 i wódki dla gromady garniec”.

Kara włóczenia końmi znana była już za króla Łokietka, który bunt mieszczan krakowskich karał w ten sposób, że kazał ich końmi wlec przez ulice pod szubienicę względnie na koło.

Pasek w *Pamiętnikach* wspomina, że wojsko polskie podczas wyprawy do Danii stosowało za ekscesy karę włóczenia koniem po majdanie, po uwiązaniu oskarżonego u konia. Pisze Pasek, że „jest to okrutna męka, bo nie tylko suknie, ale i ciało tak opada, że same tylko zostają kości”.

Bunt karano też oślepieniem. Krakowski wojewoda, Skarbimierz, oślepieniem został ukarany przez króla Bolesława Krzywoustego. W ten sam sposób ukarał król brata swego, Zbigniewa, pozbywając się konkurenta do tronu.

Historyk Długosz wspomina, że w roku 1334 Kazimierz Wielki baronów i szlachtę, dopuszczającą się gwałtów, grabieży i kradzieży, karał szubienicą, ćwiartowaniem, kołem, głodzeniem, okaleczeniem, wygnaniem i toporem.

Z powyższego przedstawienia widać, że system kar w przeszłości był barbarzyński i okrutny. Sędzia głupi, przesądny, zaciekły i okrutny był istnym panem rzeźni, zwanej sądem. Wyroki jego wykonywał kat i jego pomocnicy zwani

hyclami, osobnicy wstrętni, pozbawieni ludzkich uczuć, zarabkujący według taryf sądowych ulegalizowanym męceniem i mordowaniem ludzi.

Zdumiewać się trzeba, że te straszne postacie popisywały się swą sumiennością w okrucieństwie właśnie w tych czasach, gdy wpływ duchowieństwa był największy, gdy pobożność, bigoteria i żarliwość religijna osiągnęły najwyższe szczyty.

* *
*

Dochowały się z wieku XV—XVIII sądowe księgi wiejskie i miejskie, które pozwalają wglądać w system kar stosowanych przez sądy wójtowskie.

Sądy często naznaczają karę majątkową pieniężną, polegającą na obowiązku zapłacenia pewnej ilości grzywien (1 grzywna = 48 groszy) na rzecz gromady albo sądu, na rzecz dworu, a także na rzecz strony, oraz złożenia kościołowi pewnej ilości wosku.

W „państwie andrychowskim” spotykana jest kara polegająca na obowiązku opłacenia u proboszcza kilku mszy oraz zafundowania urzędowi gromadzkemu wyznaczonej ilości garnców gorzałki i ahtli piwa.

Znane są też kary publicznie wykonywane, wystawiające człowieka na publiczną obmowę i szyderstwo. Do takich kar należy leżenie krzyżem w kościele. Gdy w Zagórzanach w roku 1677 Tomasz Piecuch „zgrzeszył” z kumoszką Szymonowa Kozieńską, między innymi karami nałożono też na niego karę leżenia krzyżem w kościele. Czasem to „leżenie krzyżem” jest obostrzone jeszcze trzymaniem w rękę różgi. Tak ukarano w sądzie gromadzkim w Kasinie chłopaka Rurę za to, że napadł na gospodarza.

Ks. H. Kołłątaj w książce *Stan oświecenia w Polsce* wspomina, że przy każdym kościele znajdowały się żelaza, tzw. kuny, na znak jurysdykcji plebańskiej nad parafianami. W kuny te zamykano ludzi za pokutę z przyczyn zaniedbywania

praktyk kościelnych i przestąpienia boskich i kościelnych przykazań. Kunami kościelnymi posługiwały się też sądy gromadzkie. W „państwie suskim” karę tę stosowano dosyć często. W roku 1699 Jan Lenarcik za kradzież 20 snopów jęczmienia, w czasie pożaru u Walentego Burego, zasądzony został na siedzenie w kunie „przez niedzielę i poniedziałek za szyję, zboże trzymając na sobie, a to dlatego, aby drudzy widząc, kajali się”. Wojciech Bednarczyk za ukradzenie 2 kos z kosiskami Klimkowi Smolcowi skazany zostaje również na siedzenie w kunie wraz ze współnikami kradzieży, trzymając na szyjach kosi i kosiska. Niejacy Karczowie, którzy na szałasach sery kradli, też mieli siedzieć przez trzy niedziele w Krzeszowie „w kunie za szyję przez całe nabożeństwo wszyscy czterej, ojciec z synami, ser i faski na szyjach mając, a że kuna tylko jedna jest, tedy łańcuchem za szyję jeden w kunie, a drudzy powiązani przy kunie powinni być”, a doglądać tego mają przysiężni, leśni i sołtys krzeszowski.

W Zagórzanach młynarz Wojciech za cudzołożenie z dziewczką przez lat trzy musiał przez 5 niedziel w kunie siedzieć.

W Jeleśni, w „państwie żywieckim”, w roku 1631 sołtys z Przyborowa, Jędrzej Gąsior, „w kunie przez dziewięć procesej i kazań siedział pod zakładem grzywien sto”, nadto publicznie w dzień Bożego Narodzenia w kościele przeproszał plebana jeleśniańskiego, ks. Chytrzeńskiego, a wreszcie swoim kosztem wybudował plebanię według upodobania tegoż plebana — wszystko to za karę, że w kościele, podczas kazania, przy zgromadzonych ludziach plebana tego zelżywymi słowy głośno znieważył i zabiciem mu groził. Karę powyższą w ugodowym postępowaniu sam pleban sołtysowi naznaczył.

Zamykanie w kunie odbywało się przy pomocy klamer, umocowanych w ścianie kościelnej, w które wsuwano szyję skazańca. Obwieszano go też narzędziami przestępstw lub przedmiotami skradzionymi. Gdy zaś w kunie stała dziewczyna, która straciła cnotę, paliła się przed nią świeca, a symboliczny wianek zawieszano gdzieś z boku. W miastach kat miał

obowiązek siedzieć przy kunie w czerwonym uniformie katowskim dla większego „kajania się” grzeszników. Zamknięci w kunie stawali się przedmiotem drwin, szyderstw i dokuczań ze strony gawiedzi, a wystawieni na żar słońca — mdleli. Używano też dla pohańbienia skazanych różnych masek, skombinowanych kun na dwie osoby, w których zamykano im szyje i ręce, albo beczek, które przez otwór w dnie nawdziewano na ramiona. Na beczkach tych wymalowane były różne sceny przestępstw, jakich delikwent się dopuścił. Publiczne kary kościelne, a w szczególności kuny, zniesione zostały w Galicji dekretem cesarzowej Marii Teresy z 27 lutego 1779 roku, na żądanie zaś gubernatora Galicji biskup krakowski wydał cyrkularz nakazujący usunięcie kun z kościołów.

Karą, stosowaną w sądach wiejskich i miejskich, były tak zwane plagi odpuszczone i nieodpuszczone. Różnica między jednymi i drugimi polegała na tym, że „plagi odpuszczone” mogły być w pewnych okolicznościach darowane lub złagodzone, natomiast „plagi nieodpuszczone” musiały być bezwzględnie wymierzone. Z zapisków w księgach sądowych wynika, że plagi te wymierzano w dziesiątkach i setkach, a zadawano je różgami, postronkami, surowymi linami, kańczugami, dębczakami, powrozami itp. Zadawano je albo pojedynczo, albo we dwójkę. Zależnie od miejsca, gdzie bito, nazywano plagi: „przed wrotami dworskimi”, „przed zamkiem na gościńcu”, „wójtowskie” i „dworskie”. W Zagórzanach był nawet słup (pręgierz), przy którym biczowano taką np. Katarzynę Kozińską, bo za popełnienie grzechu śmiertelnego „wynałazło prawo plag 100 u słupa, uwiązawszy nago”.

Bicie różgami stosowane też było systemem gromadzkim. W tym celu ludność ustawiała się w szereg, każdy brał kij do ręki i bił nim przeprowadzanego skazańca. W taki sposób bito w roku 1680 w Kasinie Wielkiej Mateusza Bolisęę za cudzołóstwo. W ten sposób bity, musiał on trzy razy przejść przed szeregiem gromady. Przypomina to podobne kary wpro-

wadzone przez carów w wojsku rosyjskim. Bito też gromadnie, bez ustawiania się w szereg. W tej samej Kasinie Grzegorz Łukasów porwał się z siekierą na dominikanina Chrobackiego, a gdy go zamknięto w więzieniu, uciekł stamtąd. Za to zasądzono go na bicie przez całą gromadę przy tej dziurze, którą uciekł z więzienia.

W roku 1775 wprowadzono w wojsku polskim karę biegania przez różgi dla żołnierzy urządzających niedozwolone rekwizycje.

Znana też była kara przymusowych robót. W Tyńcu w roku 1788 skazano Macieja Jasiołka, złapanego na obrzynaniu kory z drzewa, na karę roboty przy cmentarzu, a Pawła Hudzika, za kradzież w stodołach plebana, na przymusową robotę w kajdanach w ogrodzie plebańskim.

W „państwie andrychowskim” zasądzano na przymusową robotę w łańcuchach przy budowie „cesarskiego gościńca”.

Kary te należały jeszcze do łagodnych. Już gorsza była kara za przystąpienie do „heretyków”. Sąd gromadzki w Kasinie w roku 1647 pozbawił syna nieboszczyka Michała Knapa z Luptowa prawa dziedzictwa po ojcu, „bo heretykiem został”.

Sroga też była kara „wyświecenia” ze wsi lub z miasta. Karę taką wymierzano nieraz za bagatelę. Sąd w Suchej w roku 1705 zagroził karczmarzowi „państwa suskiego”, Włochowi, wyrzuceniem z chałupy i wyświeceniem z państwa, jeżeli będzie przemycaną gorzałką szynkował. W roku 1708 wyświecenie zastosowano do Zofii Mikołajczanki, „złodziejki”, która na zbójniki chodziła i niecnoty płodziła, w zamku pokradła i różne ekscesy robiła. „Winna była gardła, ale dobroć pańska mniejszą obmyśliła karę: kazała ją różgami osiec dwa razy, po trzy razy do kajdan złapać, z państwa suskiego wyświecić, pod szubienicę wyprowadzić, śmiercią za przebywanie w państwie suskim zagrozić.” Nadto pod surową karą zakazano ją między gromadą przyjmować. Gdy w Jadownikach złodziej okradł kościół, ukarano go śmiercią, niewinnych zaś je-

go braci wyświecono ze wsi pod pretekstem, „że mu tego nie odradzali”. Wyświecenie stosowano w Kasinie do przekupniów, a także do białogłów, które ani za mąż pójść nie chcą, ani służyć, kumora tylko z obrazą Bożą i ludzkim zgorszeniem mieszkają. W Choczni urząd gromadzki w roku 1790 zagraża wyświeceniem małżonkom Sikorom, jeżeliby w zgodzie przykładowej nie żyli, a w Jaroszowicach w roku 1769 skazano Bernarda Jamroza za klótnie i bitki z teściem na wygnanie ze wsi, odbierając mu cały majątek.

Wyświecenie odpowiadało dzisiejszemu „szupasowi policyjnemu”, który o tyle lepiej się przedstawia, że kieruje szupasowanego do miejsca przynależności, dawniej zaś kończył on się na wypędzeniu wyświeconej osoby z granic wsi na tułaczkę po świecie.

Wyrzucanie ze wsi kobiety odbywało się przy uczestnictwie wszystkich kobiet. Gdy w roku 1602 Barbara Ziębina z Kasiny „zgrzeszyła” z Krzysztofem Wydrą, dekret wójtowski postanowił, aby została „skarana” przez wszystkie niewiasty, oprócz żony wójtowej i 7 żon ławników: „mają ją wyświecić ze wsi, każda ma uderzyć po trzy razy, aby tego dnia we wsi nie była”.

Po miastach wyświecanie urządzano nocną porą. Wyprowadzone z więzień niewiasty obnażano i pędząc ku rogatkom miejskim, przy świetle pochodni, sieczono je różgami, oblewano kałem i pomyjami wśród wrzasków i popychań ulicznej gawiedzi. Stąd też nazwa tej procedury — wyświecenie.

Nierządnicy karano w ten sposób, że umieszczano ją w dużym wiadrze, przywiązany sznurem do żurawia. Wiadro zwisało nad sadzawką lub jeziorem. Jeżeli delikwentce sprzykrzyło się w wiadrze siedzieć, mogła przeciąć sznur, a wówczas wiadro wraz z nią wpadało do wody, w której się skąpała. W celu umożliwienia tej operacji, dawano delikwentce nóż. Kara ta przypomina podobną karę, stosowaną w Niemczech do piekarzy oszukujących na wadze. Piekarza umieszczano w klatce, przyczepionej do żurawia, i co chwila zanurzano go

w stawie, aż się dostatecznie wody nałykał. Karę wiadrową stosowano w dobrach księcia prymasa w Kurselowie.

Kary są częstokroć łączone, co powoduje ich zaostrenie. Wspominany już Grzegorz Łukaszów z Kasiny za porwanie się na dominikanina i ucieczkę z więzienia ponieść miał 9 rodzajów kar: 1. gromada cała okładała go plagami przy dziurze, którą zbiegł z więzienia; 2. tą samą dziurą musiał wejść do więzienia, ośmieszając się wobec gromady; 3. w więzieniu siedział przez trzy tygodnie przykuty łańcuchem na szyi; 4. po wyjściu z więzienia musiał dziurę naprawić; 5. zapłacić zwierzchności klasztornej 10 grzywien kary; 6. stać w kunie przy kościele przez cztery niedziele; 7. dać kościołowi w Kasinie parę postawników i trzy kopy gontów; 8. obsiać grunt szpitalny własnym owsem; 9. zebrać owies i znieść do szpitala. Wójcika z tejże Kasiny skazano na śmierć za „grzech cielesny”. W drodze łaski złagodził przeor ten wyrok, skazując go na przymusowe roboty w klasztornej dworze przez rok, i to w kajdanach, na trzykrotne „chodzenie w różgi przez szereg całej gromady”, na grzywny kościelne, na niedopuszczenie sprawowania urzędów gromadzkich, na leżenie krzyżem w kościele w każdą postną niedzielę, i to w kajdanach. Za podobne przestępstwo skazał sąd wójtowski żywiecki, według art. 50 *Zwierciadła saskiego*, Franciszka Kwaśniaka z Krzeszowa na ścięcie mieczem, a cudzołożnicę, Reginę Bielczankę i Reginę Niedźwiadkową, „aby w pośrodku wsi Krzeszowa były miotłami wysieczone po plag każda sto i ze wsi nie tylko tej, ale i wszystkiego państwa suskiego były wypędzone”. Czyn, za który skazywano na takie srogie kary, dziś nie jest uznawany za przestępstwo i wykreślony został z kodeksu karnego.

Wyroki sądów miejskich wykonywano pod figurą sprawiedliwości, czyli pod pręgierzem. Taki pręgierz stał do czasu wojny przed ratuszem w Poznaniu. Była to figura przedstawiająca rycerza, trzymającego w ręku podniesiony miecz. Wystawiło ją miasto z dochodu kar pieniężnych ściąganych od mieszczanek i chłopek za nadmierne strojenie się. Na fi-

gurze była data 1535 roku. Podobny pręgierz istniał w Krakowie. Pręgierz lwowski, przechowywany w Muzeum Lubomirskich, jest to posąg kamienny, złożony z dwóch figur odwróconych do siebie tyłem. Jedna z nich przedstawia mężczyznę dzierżącego symbol kary — miecz, druga zaś przedstawia niewiastę z zawiązanymi oczyma, trzymającą w ręku wagę — symbol wyrokującej sprawiedliwości. We wsiach pręgierze były prostsze, były to bowiem zwyczajne słupy wkopane w ziemię. W Żywcu do „prągi”, ustawionej w rynku, często przybijano ucięte skazańcom ręce, nogi i uszy.

Znana też była kara aresztu. Wygląd więzienia opisano już powyżej. Zaznaczyć trzeba, że z karą aresztu łączył się stały post o chlebie i wodzie. Ciepłej i gotowanej strawy więźniowi nie dawano. „Zwierchność pańska” z Rudz koło Zatora zagroziła w roku 1784 „aresztem ośmiodniowym, przy funcie chleba i kwarcie wody”, braciom Szmatom z Jaroszowie na wypadek zaistnienia między nimi kłótni. Był to już areszt zlagodzony patentami cesarskimi.

Chłopi wobec kuni, kija, aresztu itp. kar byli wszyscy równi. Czy stary, czy młody, czy członek starszyny gromadzkiej, czy zwykły mieszkaniec wsi jednakowo byli bici, ośmieszani i wyszydzani z mocy dekretu wójtowskiego czy pańskiego. Nawet dziecko patrzyło, jak ojca i matkę okładano dębczakami czy powrozami albo pędzono w różgi. W tych warunkach gubiło się poczucie własnej godności, gubił się autorytet rodziców, urzędników gromadzkich — a powszechnie panowała Gleichschaltung, cechująca zwyrodnienie obyczajów i brak kultury.

*

W polskim systemie kar znajdowała się też kara śmierci, na którą skazać mógł każdy sąd. Zadawano ją w różnych formach, trzymając się zwyczaju, pod tym względem bowiem wyraźnych przepisów nie było. A więc stosowano śmierć przez

zagłodzenie człowieka. Taką karą uśmiercił król Kazimierz Wielki Maćka Borkowicza, wojewodę poznańskiego, za rozboje i łupiestwa. Borkowicz zagłodzony został w lochu zamkowym w Olsztynie. Znana też była kara śmierci przez wbicie człowieka na pal. Taką śmierć zadano Kostce Napierskiemu za zorganizowanie buntu chłopskiego przeciw szlachcie. W roku 1651 po torturach wyprowadzono go na Krzemionki za Podgórzem krakowskim i w miejscu zw. na zbóju kat nabił Napierskiego na pal. Śmierć nastąpiła po kilku godzinach strasznych męczarni. W podobny sposób karał też Branicki uczestników buntu hajdamaków, czyli chłopów ukraińskich.

Czarownice, trucicielki, a także podpalaczy karano ogniem, paląc ich żywcem na stosie. Za przestępstwa polityczne, za rozmyślnie zabójstwo, zgwałcenie niewiasty, a nawet za cudzołóstwo, stosowano karę śmierci przez ścięcie głowy toporem. W roku 1690 wybuchł w kopalniach soli w Wieliczce strajk górników, podczas którego tłum naparł na dwóch łamistrajków i zamordował ich. Z powodu tego wypadku dziesięciu przywódców strajku ukarano śmiercią przez ścięcie głów toporem. Między ściętymi była też jedna kobieta. Cztery inne kobiety publicznie chłostano na rynku wielickim. Za nałogową kradzież karano szubienicą, kobiety zaś za spędzenie płodu duszono, żywcem zakopując je w grobie i przebijając tam wbijanym palem.

W księdze wójtowskiej Nowego Zebrzydowa (dziś Kalwaria Zebrzydowska) wpisano dekret w sprawie o dzieciobójstwo pod datą 3 września 1707 roku: „Według inquisitiei uczynionej w domu wójtowskim przy urzędzie całym i pospółstwie według znalezienia dziecięcia zaduszonego, które znaleziono w potoku d. 28 lipca. A że się pokazało na białogłowę, która służyła u wdowy organiścinej w przeszłym roku, 1706, z inszego państwa, do czego się sama przyznała dobrowolnie i na którym to miejscu uczyniła, tedy mu urząd zupełny zasiadłszy, stosując się do Saksonu opisanego i prawa, ponieważ zapomniawszy przykazania Boskiego, bez bojaźni Boskiej, śmia-

ła dziecię urodziwszy, ono udusić i zagubić, tedy według sprawiedliwości opisanej ma być żywo zakopana i kołem przebita, dekretem prawo nakazuje. Ja, będąc natenczas na administracji w dobrach Jaśnie Oświeconego XJMci Pana Mego i Dobrodzieja, ten dekret stwierdzam i podpisuję — F. Lentosz. — A że instancje zaszły od osób godnych, tak duchownych, jak i szlacheckich, miłosierdzia żądając od prawa, o lekszą śmierć, tedy prawo czyniło dla ichmościów i pozwala, ażeby ściętą śmiercią była."

Groicki podaje: „Kto zabił ojca, matkę, syna, dziada, babę, brata, siostrę, krewnego swego, aboby do tego jaką przyczynę dał, taki zaszyty w skórę abo w wór ze psem, z kurem, z jaszczurką, z małpą, którą natenczas może mieć, w rzekę ma być wrzucon i utopion." Zwierzęta te symbolizowały brzydotę uczynku. Taką samą karę stosowano do poddanego, o ile popełnił zabójstwo na szlachcicu. W roku 1549 sąd krakowski osądził na karę śmierci niejaką Strzelimuszanekę, która matkę własną zabiła. Najpierw targano ją kleszczami rozpalonymi, a potem zaszyto w worek i utopiono.

Straszliwą była kara śmierci przez łamanie kołem. Skazańca kładziono na kolcach drzewa i przywiązywano mu do nich ręce i nogi, kat zaś brał do ręki koło z ostrą krawędzią i uderzał po jego ciele, gruchocząc kości. Istniały dwa systemy łamania kołem: „od dołu”, tj. od nóg, i „od góry”, tj. od głowy. Ten ostatni uchodził za lżejszy, albowiem skazaniec uderzony kołem w głowę jeżeli od razu nie został zabity, to w każdym razie stracił przytomność i nie czuł bólu od następnych uderzeń. Tej „ulgi” w cierpieniu nie było przy łamaniu od nóg. Nieco zbliżoną do tej kary była kara śmierci „na kole”, polegająca na wplataniu ciała między szprychy koła, umocowanego na wysokim palu, przy równoczesnym łamaniu kości nóg i rąk oraz żeber. W ten sposób karę „łamania kołem” stosowano w połączeniu z karą „na kole”. Najpierw kat łamał kości skazańcowi przy pomocy koła, a następnie ciało jego wplatał między szprychy koła, co szło mu łatwo, gdyż połamanie kości pozwa-

łało wyginać ciało jak masę ciastową. W zadawaniu tych okropnych męczarni celowała sprawiedliwość wójtowska w Żywcu.

Przy zbiegu zabójstwa z kradzieżą lub rabunkiem stosowano zaostrzoną karę śmierci. Była to kara ćwiartowania. Kat rozrąbał toporem człowieka, potem ćwierci ciała zawieszono na słupach i głowę wbitą na pal wystawiano na widok publiczny. Ćwiartowania dokonywano też przy pomocy koni. Cztery konie zaprzęgano do rąk i nóg skazańca, a te, rozciągając i szarpiąc ciało w cztery strony, wyrwały ręce i nogi. Taką śmiercią zginął szlachcic z Bienkowiec koło Sandomierza, Michał Piekarski, w roku 1620 w Warszawie, za zamach na króla Zygmunta III. Gdy król wychodził z katedry, Piekarski uderzył go czekaniem po twarzy. Skazany na śmierć wycierpieć musiał sporo od rozpalonych kleszczy, którymi kat, w drodze na miejsce stracenia, szarpał mu ciało. Okrutny bowiem wyrok taką przewidywał karę śmierci: „Sprawca najprzód z miejsca więzienia, z którego zostanie wyprowadzony przez kata i jego oprawców, wsadzony będzie na wózek do tego sporządzony, mając skrępowane ręce i nogi, przywiązany do wozu tak zostanie, aby postać siedzącego zachował. Zasiędzie przy nim swe miejsce kat z oprawcami, mającymi swe narzędzia, ogień siarczysty i rozżarzone węgle, obwożony będzie przez rynek i ulice miasta. W miejscach wyznaczonych obnażonego czterema rozpalonymi szczypcami oprawcy ciało szarpać będą. Gdy na miejscu kary stanie, z wozu na rusztowanie, umyślnie wystawione, na 8 łokci od ziemi wyniesione, przeprowadzony zostanie. Tam mu kat ów czekan żelazny, którym na Najjaśn. Króla Imci targnął się, do prawej ręki włoży i z nim razem rękę bezbożną i świętokradzką nad płomieniem ognia siarczystego palić będzie. Dopiero gdy wpółdobrze przepalona będzie, mieczem odetnie, toż i z lewą ręką, bez przypalenia jednak uczyni. Po czym czterema końmi ciało na cztery części roztargane, a obrzydłe trupa ćwierci na proch na stosie spalone zostaną. Na koniec proch, w działo nabity, wystrzał po powietrzu roz-

prószy." Piekarski widocznie rozum stracił przez te cierpienia i mówił niedorzeczności, stąd też powstało przysłowie: „plecie, jak Piekarski na mękach". Konie nie mogły jednak rozerwać ciała, dopiero kat ponacinał ciało toporem, a podcięte konie wówczas dopiero zdołały wyrwać nogę. Symboliczną formą ćwiartowania było ćwiartowanie trupa skazańca. Najpierw skazańcowi kat toporem głowę odcinał, potem zwłoki rąbał na ćwierci, a wreszcie ćwierci te wywieszał na szubienicach na widok publiczny.

Karę pieczenia żywcem w kotle stosowano w krajach niemieckich. W tym celu sporządzano miedziany kocioł, mający kształt konia lub wołu, umocowany na niskim wózczyku, by go można było obwozić po ulicach miasta. Pod spodem kotła urządzone było palenisko, służące do rozpalenia tego narzędzia śmierci. W środek kotła wsadzano delikwenta w ten sposób, że tylko głowa wystawała mu na zewnątrz ponad grzbiet formy. Następnie rozpalano ogień i żywcem pieczono umieszczonego w środku człowieka. Straszliwe męki ofiary, odbijające się na twarzy, i krzyki obserwowane przez gawieź uliczną, „aby się kajała". Karę tę praktykowano także w miastach śląskich. Kronikarz, wójt żywiecki, Komoniecki, podaje, że taką śmiercią zginął dworzaniek Mikołaja Komorowskiego, pana Żywca i starosty barwałdzkiego, Krzysztof Rychalski. Był to tyran, który napadał na kupców śląskich na drogach żywieckich i łupił ich. W roku 1623 dopadli go mieszczanie w Cieszynie i odesłali do Karniowa, „gdzie za tyraństwa i różne złości na koniu miedzianym rozpalonym wodzony i tak stracony jest".

Typową karą śmierci, stosowaną przez sądy miejskie i wiejskie, była kara przez powieszenie. Budowano szubienicę z drzewa, która składała się z jednego lub dwóch słupów pionowych i jednej belki poprzecznej. Miasto Kraków miało poza murami miasta szubienicę i w ogóle miejsce stracenia skazańców na tzw. psiej górze, cmentarz zaś skazańców znajdował się opodal, gdzie dziś jest wylot ul. Waryńskiego. W XVIII wieku miasto postarało się o murowaną szubienicę na Pędzichowie,

w miejscu gdzie dziś mieści się zakład Helclów. Również i to narzędzie śmierci wzięło nazwę z niemieckiego słowa schieben. Szubienice nazywano też z łacińska justycją.

Karę śmierci obostrzał sąd w różnoraki sposób. Autorowi utworu, który uznano za heretycki, albo za obrażający króla, obwiązywano rękę prawą konopiami, nasyconymi w smole, a następnie rękę tę, w której trzymał utwór przez się napisany, palono na wolnym ogniu, po czym głowę ścinano toporem. Tak ukarano w roku 1679 Darowskiego za pamflet przeciw królowi. „Heretykowi" zaś Łyszczyńskiemu przed ścięciem wyrwano kleszczami język „błuznierczy" jako narzędzie przestępstwa.

Praktykowano też darcie przed śmiercią pasów. Kat dokonywał tej operacji przy pomocy kleszczów, którymi zdierał pasami skórę z pleców skazańca.

Egzekucje na skazańcach wykonywano zawsze publicznie na specjalnych placach albo na rynkach, przy zbiegowisku masy ludności. Głowy skazańców i ćwierci z ich ciał wbijano na pale i wystawiano na widok publiczny. Toteż widowiska te i ekspozycje barbarzyństwa w ludziach obcych obrzydzenie i wstręt wzbudzały. Miasta nie miały porządnych urzędów służących do wygody ludzi, ale za to szczyciły się murowanymi szubienicami. W Warszawie za królów Augusta II i III niemal co tydzień urządzano widowiska z ćwiartowaniem ludzi, a mimo tych sądowych okrucieństw liczba zabójstw była większa niż za panowania następnego króla, Stanisława Augusta, choć za tego króla tak szubienicami i toporami nie szafowano.

Barbarzyństwo średniowiecznego prawa przejawiało się także w pociąganiu do odpowiedzialności nie za swoje winy, lecz za winy cudze. Głównie stawiano tę zasadę przy wyrokach o herezję. Niewinne dzieci „heretyka", wraz z zasądzonym ojcem, popadały w tzw. infamię i traciły prawo dziedziczenia.

Istniała też odpowiedzialność zbiorowa. Za niektóre przestępstwa odpowiadać musiała wieś lub miasto, przy czym karną odpowiedzialność ponosiły osoby — wchodzące w skład urzędu gromadzkiego lub miejskiego — wybrane przez oskarżyciela. Gdy w roku 1762 staroście barwałdzkiemu uciekł forysic, musiała go szukać cała gromada jaroszowska, przy czym utraciła na wydatki około 200 złotych, a nadto przysiężni, Jędrzej Fila i Krzysztof Kruczek karani byli siedzeniem w kajdanach w więzieniu. Podobnie we Lwowie w roku 1668 po zaburzeniach antysemitycznych wydał król wyrok, iż wobec niewydania sprawców zaburzeń mają być osadzeni w wieży dolnej radcy i ławnicy miejscy na rok i sześć niedziel.

Nawet trupom ówczesna sprawiedliwość spokoju nie dawała. We wspomnianym już Doruhowie ciała zmarłych „czarownic” przywieziono na plac egzekucji i tu, po odrąbaniu trupom głów, wrzucono je do dołu. Również po ścięciu Łyszczyńskiego, trupa pieczono i spalono, popioły zaś na wiatr puszczone.

Prawa polskie milczały o występku samobójstwa. Toteż na samobójców nakładano po śmierci jedynie karę kościelną, tj. odmawiano kościelnych uroczystości pogrzebowych, jednak zabijający się przypadkowo albo z pomieszczenia zmysłów nie bywali tą karą dotknięci. W Żywcu atoli tamtejszy sąd uprawiał specjalną zemstę na trupach samobójców. Oto przykłady:

W roku 1688 mieszczanin w Kętach, Dziwlik, pokaleczył się w głowę w celach samobójczych i umarł. Sprowadzony kat wywłókł trupa z miasta ku szubienicy, gdzie go porąbał i spalił. W Żywcu zaś w roku 1652 niejaki Zygmunt Zych sprzedał po pijanemu woły i tak się tym zafrasował, że się powiesił. Sprowadzony z Cieszyna kat wywłókł trupa koniem na granice, gdzie spalił go na stosie drzew, a popiół zakopał. W tym samym czasie żywczanin Manczweł osadzony został jako kłusownik rzeczny w wieży zamkowej, gdzie obwiesił się. Wyciągnięto go z wieży wierzchem, przerzucono przez mur, wywleczono na granice i zakopano. Ten zwyczaj prawny przetrwał długo, gdyż jeszcze w roku 1694 zwłoki chłopca z Pewli

Ślemieńskiej, który się powiesił, kat wywłókł do lasu na granice wsi, ręce i nogi obciął, zwłoki spalił i proch zakopał.

Srogie też było ustosunkowanie się prawa i sądów do zbrodni seksualnych. W roku 1691 sąd żywiecki spalił na stosie, na Górze Kocońskiej, niejakiego Chwałka z Koconia za dopuszczenie się „cielesnego występku” z córką. Córkę tę zaś według zapiski Komonieckiego w *Chronografii żywieckiej* „osieczono”, pod czym należy rozumieć obicie prętami. Jednak w miarodajniejszej „Czarnej Księdze” sądu żywieckiego zapisano, że córka ta została „wymyrskana”, a więc dokonano na niej operacji sterylizacyjnej. W roku 1718 ścięto i pod parkanem u św. Krzyża pochowano Ignacego Kufę z Zabłocia za kazirodztwo z bratanicą. W roku 1731 ścięto Wojciecha Wąsika z Międzybrodzia za kazirodztwo z pasierbicą. W tym samym czasie spalono też pachółka z Rychwałdu za porubstwo z kłaczą, a co dziwne, że równocześnie także i kłacz została spalona. W roku 1691 za podobny występki, popełniony z krową, spalono chłopca w Suchej, a równocześnie krowę pasami poszarpano. W roku zaś 1709 Stanisław Witos z Pietrzykowic „o bestialstwo, a to o złączenie się z kłaczą”, ścięty, a potem z nią na stosie drzew spalony. Zemsta sprawiedliwości dosięgała tedy także i nierozumnych zwierząt, użytych przez zbrojników seksualnych za narzędzie występku.

Zemsta rozpościerała się i na martwe przedmioty, stanowiące własność skazańca, a w szczególności na jego domostwo. Nie poprzestano na odebraniu skazańcowi życia, ale jeszcze z mocy wyroku sądowego burzono i z ziemią zrównywano jego dom, aby w ten sposób pamięć o sprawcy czynu zaginęła. Taki wyrok wydano w sprawie Piekarskiego oraz Łyszczyńskiego.

Obok klątw kościelnych istniała także klątwa świecka, zwana banicją, czyli wyjęciem spod prawa. Bardzo często banicja towarzyszyła „klątwie” kościelnej, dopóki prawa państwowe łączyły z klątwą kościelną, wydaną z powodu popadnięcia w herezję — tzw. infamię, czyli pozbawienie czci oby-

watelskiej. W infamię można było popaść z mocy samego prawa, np. z powodu uchylania się od stawiennictwa w sądzie, albo z powodu niestawienia się do odebrania kary, lub ucieczki z więzienia, albo też infamię orzekał sąd w wyroku. Wyrok taki publicznie ogłaszał woźny sądowy, a jeżeli chodziło o wojskowego, to ogłaszano go przy dźwięku trąby, skąd pochodzi wyrażenie „wytrąbienie z wojska”. Temu „wytrąbieniu z wojska” odpowiada „wydzwonienie z probostwa” plebana. Kolator żywieckiego kościoła, Mikołaj Komorowski, popadłszy w roku 1618 w spory z proboszczem żywieckim, ks. Wojciechem Gagatkowskim, polecił proboszcza tego „wydzwonić z probostwa żywieckiego” i wygnąć z miasta, co zostało wykonane. Być może, że jako kolator kościelny wykonał on w tej formie wyrok sądu kościelnego. Infamis wyrokowy stawał się banitą. Wiązała się z tym utrata praw cywilnych. Banita, chociaż żył, traktowany był jak zmarły. Majątek banity przechodził na jego krewnych, on sam zaś nic nabyć ani pozbyć nie mógł. Banita nie mógł przebywać w kraju. Jeżeli sam dobrowolnie nie uszedł za granicę, narażał się na aresztowanie ze strony starosty lub donosiciela, a następnie na karę śmierci. Ponieważ banita pozbawiony był opieki prawa, przeto ktokolwiek by go w kraju zabił, nie podlegał żadnej karze, przeciwnie, nawet prawo przyznawało za zabicie nagrodę. Gdyby chłop zabił szlachcica-banitę, w nagrodę sam mógł zostać szlachcicem.

Chłopi i mieszczanie zasądzeni na więzienie odbywali tę karę w więzieniach opisywanych już poprzednio. Karę więzienia odbywali też więźniowie bez różnicy stanu w grodzie, w wieży. Stąd kara więzienia nazywa się karą wieży. Jeżeli w mieście powiatowym wieży nie było, to więźnia odsyłano do miasta wojewódzkiego. Lżejszą karą była kara wieży górnej, karą ciężką, równającą się karze śmierci, była kara wieży dolnej. Tak w wieży górnej, jak i dolnej więźniowie siedzieli razem albo w pojedynkę. Wieża dolna — to piwnica pod wieżą na głębokości 10 m. Taki lokal więzienny był niedostatecznie oświetlony, wilgotny i zimny. Prawo zakazywało budo-

wania pieców w dolnej wieży. Zdarzało się jednak, że miłosierdzie starostów było czasem większe niż nakaz prawa, toteż patrzyli oni przez palce, jeżeli w zimie paleniska w dolnej wieży urządzano. Atoli ustawa z roku 1678 zagroziła starostom za takie miłosierdzie karami. Z tego też powodu karę siedzenia w dolnej wieży wolno było wymierzać najwyżej na „rok i sześć niedziel” przy zbrodniach ciężkich. Skazańca po drabinie wpuszczano w dół wieży, po czym drabinę wyciągano. Więźnia żywiono tylko chlebem i wodą, wpuszczając mu tę żywność na sznurze przez specjalny otwór, którym także nieczystość wyciągano.

Gdy więzień zachorował, nie troszczono się o niego, a gdy skończył, trupa wywleczono, a innego więźnia do lochu wpuszczano. Kara ta, zwłaszcza jeżeli wypadło ją w zimie odbywać, równała się karze śmierci, gdyż więzień nabawiał się zwykle choroby i umierał. Z końcem XVIII wieku, gdy oświata i kultura dźwignęły się, zaczęto krytycznie patrzeć na tę karę i uznawać ją za barbarzyństwo. Toteż w wypadku cięższych przestępstw skazuje się już winnych do robót około fortecy Kamieńca Podolskiego.

Wieżę dolną nazywano wieżą kryminalną, zaś wieżę górną — wieżą cywilną. Wieża cywilna przypominała dzisiejsze areszty, a może nawet o tyle była sympatyczniejsza, iż w oknach nie było krat, lokale wewnątrz były otwarte, tak że uwięzieni zawsze z sobą pozostawali w kontakcie, o porządek i czystość troszczyły się władze, jedynie tylko o utrzymanie i opał musiał się sam więzień troszczyć. Było to „szlacheckie więzienie”, które jednej tylko swobody zabraniało, tj. przekraczania przez więźnia progu wieży, natomiast mógł on przyjmować u siebie odwiedziny, jeść i pić, co chciał i na co go stać było. Toteż wieża górna uznana była jako karcer zaszczytny.

Karcer ten nawet nie był zbytnio strzeżony ani też nie trzeba było skazanego doprowadzać do odsiadki kary, jeśli bowiem skazaniec do kary się nie zgłosił, albo z wieży uciekł, popadał w infamię, czyli bezecność. Rejestry nazwisk ta-

kich „infamistów” przesyłano do wszystkich starostw i ogłaszano publicznie. Infamis stawał się z tą chwilą wyjęty spod prawa, a kto by go zabił, nie podlegał karze. Żona infamisa stawała się wdową. Jedynie sejmowy akt łaski mógł infamisowi opiekę prawa przywrócić, bo nawet król nie miał prawa wstrzymać wykonania wyroku. System ten działał egzekucyjnie, toteż nie potrzeba było do konwojowania i pilnowania skazanych ani żandarmów, ani strażników więziennych.

* *
 *

Okrucieństwo kar miało swe źródło w niemieckich prawach, głównie w „Saksonie”, i w niemieckich sądowych zwyczajach prawnych przeszczepionych do Polski. Okrucieństwo to zaznaczało się głównie w stosunku do złodziei. W Niemczech złodziei karano w średniowieczu szubienicą, a kobiety za to przestępstwo topiono. Według prawa saskiego śmierć groziła złodziejowi, jeżeli przywłaszczał sobie rzecz wartości pięciu florenów. W Polsce wystarczyło ukraść przedmiot wartości jednego czerwonego złotego (18 złotych polskich), by pójść na szubienicę. Dwory nie poprzestawały jednak na tych srogich postanowieniach „Saksonu”, gdyż jeszcze same obmyślały ustawy karne surowsze, w których za bagatelne przestępstwa naznaczały karę śmierci. Taką ustawę karną wydała w roku 1696 Anna Wielopolska, właścicielka dóbr suskich, koło Żywca, dla gromad wiejskich do dóbr tych należących. Ustawa ta głosi:

„Jeśli by był takowy, który by w stawach, w sadzawkach pańskich lub sąsiedzkich ryby ławiał, gardłem to ma zaraz placić.

Jeśli by z gumna, z brogów pańskich i sąsiedzkich nosił zboża, siana swą wola, gardłem ma być karany.

Jeżeli by się trafiło, żeby cokolwiek kto kupował tak u sług pańskich, jak i u sąsiedzkich przez wiadomości pana jego, a okazałoby się to być kradzione i rzecz właśnie złodziejska, gardłem ma być karany.

Jeżeli by kto kradzione rzeczy do domu swego przyjmował, a gdzie by wiedział, iż to złodziejskie rzeczy, takim złodziejem jest, jak ten, co do niego nosi, bo schowania ani kupna żadne nie mają być w mocy ani na osobnych miejscach, ale jawnie, z wiadomością ludzką — gardłem ma być karany.

Jeśli by takowy był w sąsiedztwie, który by nie szedł na gwałt tak pański, jako i sąsiedzki, gdyby dano znać ze dworu albo od wszelakiej zwierzchności, toż się ma rozumieć, jeśli by blisko dworu nie było albo choćby nie dano znać od żadnej zwierzchności, tylko sąsiad wołałby gwałtu, a w tym, żeby nikt nie poszedł na słuszny gwałt, gardłem ma być karany.

Gdyby się taki znalazł, co by w karczmie swej, bądź w gościnnej, opiwszy się desperatnym obyczajem wziął się rąbać bądź stoły, bądź ławy, albo jakikolwiek sprzęt domowy, ludzi od ręki rozplatał, takowy ma być karany winy pańskiej grzywien dziesięć.”

Toteż w „państwie suskim” szubienica skrzypiała, a o torturach i mękach zadawanych w lochach zamkowych poddanym jeszcze dziś między ludnością wiejską krążą opowieści wzbudzające dreszcze.

W porównaniu z pańskimi brogami czy rybami życie ludzkie nie miało wielkiej wartości. W tymże bowiem „państwie suskim”, gdy w roku 1725 Antoni Chwała i Józef Sekuła zabili poddanego Kadełę, sprawa została „zagodzona” przez zapłacenie wdowie 60 zł i 20 zł na pogrzeb, wreszcie po 60 grzywien na zamek, „niżeli wendąm z więzienia”.

W „państwie żywieckim”, gdy wybraniecka piechota lancokorońska porąbała szablami żywieckiego burmistrza, wójta, pisarza i szynkarza, nadto w karczmie w Juszczyńcu siedmiu ludzi na śmierć zatłukła, kosztowało to starostę lanckorońskiego zaledwie 300 zł, licząc za każdą głowę zabitego po 42 zł, które to kwoty rozdzielono między żony i potomków pozabijanych chłopów. Sprawcom zaś tych gwałtów i zabójstw nawet włos z głowy nie spadł.

Poddany uważany był przez szlachtę za składową część inwentarza na równi z bydłem. Zabicie poddanego traktowano jako szkodę w inwentarzu, którą należało przede wszystkim

dworowi wynagrodzić pieniędzmi. Ustanowiono tedy taryfy odszkodowawcze. Najniżej taksowana była głowa chłopca. Były też taryfy odszkodowawcze za okaleczenie. Z konstytucji ziemi łęczyckiej z lat 1418 i 1419 wiadomo, że gdy kmiecia-poddanego pani Drogochny z Ryćwieńskiej złośliwie wywałaszył szlachcic Janusz ze Słupcy, pani ta wyprocesowała na owym szlachcicu 5 grzywien, czyli połowę wartości kmiecia, szacowanego wówczas na 10 grzywien. Było to odszkodowanie pani Drogochny za to, że kmieć pozbawiony został możliwości produkowania dla niej ludzkiego inwentarskiego przychówka, potrzebnego dworowi dla wyzysku. Sejmik generalny, uznając, że genitalia poddanego, jako narzędzie do produkcji poddanych, więcej wartają, podniósł ich cenę („wargelt”) do wysokości ceny za głowę zabitego człowieka, postanawiając „przez wszystkich panów”, że „kiedy ktoś komu odetnie jądra, tak jak o głowę będzie sądzony”. Jednak prawie cała ta podwyżka szła do kalety pańskiej, a chłop i jego żona mieli tylko honor, że jego jądra tak wysoką wartość przedstawiają. Na tym samym sejmiku generalnym ustanowiono też kary „siedemnadziestą” i „piętnadziestą” za gwałtowne wywlekanie genitaliów, ale przeważną część tych kar też zabierać mieli panowie jako odszkodowanie za czasową przeszkodę w produkcji ludzkiego przychówka tym czynem przestępnym wyrządzoną. Obraz sprawiedliwości, owianej duchem „Saksonu” i dworskich ustaw karnych, stanowi „Czarna Księga” sądu żywieckiego, zatytuowana *Akta spraw złoczyńców*, zawierająca wykaz kilkuset ludzi skazanych przez tenże sąd na najokrutniejsze kary śmierci w czasie między rokiem 1589 a 1782. Przy tym w księdze tej znajdują się testamenty, czyli ostatnie zeznania skazańców, dotyczące ich działalności przestępczej i posiadanego majątku. Księgi takie prowadziły w Polsce wszystkie sądy posiadające „prawo miecza”, czyli skazywania ludzi na śmierć. Nazywano je czarnymi lub smolnymi księgami. Żywiecka „Czarna Księga” pozwala dokładnie rozglądać się w systemie wymiaru sprawiedliwości stosowanym na terenie

Żywiecczyzny. Gdy w połowie XVII wieku „państwo żywieckie” rozpadło się na cztery państwa: łodygowickie, ślemieńskie, suskie i żywieckie, to jedynym symbolem jedności ziemi żywieckiej był wspólny dla tych państw sąd kryminalny w Żywcu. Sąd ten stosował często „gorące prawo”, odpowiadające dzisiejszemu postępowaniu w trybie doraźnym. Stosował je zwłaszcza przeciw rozbójnikom i złodziejom, a wówczas sędzia (wójt), przysiężni i kat wyjeżdżali do poszczególnych wsi, gdzie budowano „praży” i szubienice i „gorącym prawem” egzekwowano skazańców. Miasto Żywiec, choć miało swego wójta, kata jednak własnego nie miało. Wypożyczało go z Krakowa lub z Oświęcimia, a nawet spoza granic Polski, z Pszczyny lub Cieszyna. Sąd ten stosował kary śmierci kilka lub kilkanaście razy w roku, i to najstraszniejsze. Oczywiście stosował je tylko do chłopów — „siedlaków”, pasterzy — „wałasów” i mieszczan — „patriotów”, bo szlachta i duchowieństwo jurysdykcji sądu tego nie podlegali.

Akta spraw złoczyńców tudzież *Dziejopis żywiecki* Komonieckiego umożliwiają zestawienie najcharakterystyczniejszych egzekucji wykonanych przez żywiecki sąd. Oto niektóre z nich.

W roku 1577 za „wylupanie” kościoła w Czańcu sprawcę, jako świętokradcę, spalono w Żywcu. W roku 1594 stracono Dorotę Szczepanową z Lipowej, która z kochankiem swym, Łomzikiem, zabiła swego męża i zakopała go pod łóżkiem. W roku 1595 stracono Walentego Koszawę z Ciśca za zabicie w uniesieniu przy grze w karty Sebastiana Zegadłowego. W tym samym roku stracono też Dorotę Koczyfarównę z Ciśca za to, że choć zameżna, drugi raz wyszła za mąż w Bestwinie. W roku 1597 żywcem spalono w Kętach niejakiego Macieja Biedrzyckiego, który bił fałszywą monetę, tzw. trojaki. W tym roku powieszono też w Kętach niejaką Annę, dziewczę, która podkraadała. Wójt Komoniecki podaje, że to powieszenie dokonane zostało „nad zwyczaj pospolity”, ze względu iż „Sakson” nie przewidywał tej kary na kobiety. W roku 1603 w Zatorze ścięto mieszczanina Erazma Gedowskiego, który no-

zem śmiertelnie ugodził bakałarza, Stanisława Zaboklickiego. Prawdopodobnie tak w Kętach, jak i w Zatorze osądzał sprawy uproszony na to sąd miejski żywiecki, chodziło bowiem o sprawy przeciw mieszczanom. W roku 1605 sędzono w Żywcu Jakuba Hube ze Skawy o rabunki, o dwużeństwo i „łupanie” pszczoł. Z mocy wyroku „był koło słupa wodzony, a wytoczone jelita z niego były”. „Potem — jak pisze Komoniecki — był ścięty, której takiej egzekucyjnej strasznej w Żywcu jeszcze nigdy nie było.” W roku 1611 sąd bawił w Kętach na sprawie jakiegoś złoczyńcy, który postrzelił wójta kęckiego, Marcina Kabaradka, przy czym sprawca postrzelenia został ścięty. W roku 1624 w Żywcu został z wyroku sądu wójtowskiego ścięty Michał Gnidka za to, że rodziców nie słuchał, na złość im wszystko robił i kradzeniem się bawił. Egzekucja odbyła się pod kościółkiem św. Krzyża, gdzie też skazańca pogrzebano. W roku 1652 stanął przed sądem żywieckim Marcin Layman, oficjalista szkoły żywieckiej, za okradzenie skarboxy kościelnej. Ukarano go niezwykle łagodnie,znaczono mu bowiem karę publiczną stania w kościele w śmiertelnej koszuli z powrozem na szyi, a potem wypędzono go z miasta. Łagodny wyrok zawdzięczał dobremu obchodzeniu się z młodzieżą szkolną. W roku 1666 zabił Jędrzej Ryczko Stanisława Stachurę, poddanego łodygowickiego. Namówiła go do tej zbrodni żona Stachury, aby mogła swobodnie cudzołożyć z pachołkiem swym, Janem Kępisem. Sąd żywiecki zawyrokował, „aby żywo kleszczami rozpalonymi jej ciało było targane, a potem ściętą została”. Również i parobek został skazany na karę śmierci przez ścięcie. Wyroki wykonano w Łodygowicach. Na szubienicy zginęli w roku 1672 Jędrzej Czupek, Wojciech Boros i Paweł Stana z Zadziela, wszyscy za złodziejstwo. W roku 1675 ścięto w Żywcu, przy Bożej Męce u kościoła św. Krzyża, Mikołaja Kasprzykowica, „patriotę żywieckiego”, gdyż będąc żonatym, uwiódł pannę i przyprowadził ją z sobą do Żywca „pałniczo” jako nałożnicę.

W roku 1676 Grzegorz Włoch, „że babę z mąki obrał”, zo-

stał ścięty. Tak samo ścięto Jurka Wolnego za zabicie Sidora. W tymże roku sędzono był Jędrzej Ociepkowic z Żywca za rozbięcie skarboxy kościelnej i pokradzenie wotów z ołtarzy, a Jakub Regulus, również żywezanin, za kradzież płótna. Obaj zostali ścięci. W roku 1677 ćwiartowano Błażeja Gielatkę z Oszczadnicy za rozbój, w następnym roku powieszono Wojciecha Brodacza z Lipowej jako złodzieja i Szymona Pyrczaka z Kurowa za rabunek. W roku 1679 zostali wraz ścięci Tomasz Bialik z Rajczy i Katarzyna Prutoska za zabicie męża, w roku zaś 1682 ścięto Mizię z Jelesni za ucieczkę bez gletju z wojny, ścięto też i ćwiartowano Błażeja Byrskiego, Tomasza Kubicka i Wojciecha Chmiela za rabunek popełniony u Gałuszki w Porąbce, przy nich zaś powieszono jeszcze Wojciecha Gawrona, który ukradł konia.

W roku 1684 odbywała się egzekucja Wojciecha Stokłosa, koniokrada z Zabłocia. W toku egzekucji rzuciła się skazańcowi na szyję jakaś dziewczyna z Białej, dając przez to do zrozumienia, iż chce przez zamążpójście za skazańca wyzwolić go od kary śmierci. W tym wypadku nie uszanowano starodawnego zwyczaju i po długim szamotaniu się hajducy zamkowi odepchnęli dziewczynę, a skazańca stracono. Kat przypłacił jednak ten wypadek śmiercią, gdyż „zeszamotawszy się” z więźniem i dziewczyną niedługo w Oświęcimiu umarł. W roku 1684 mieli sprawę o okradzenie skarbox kościelnych i wotów srebrnych z obrazów Jakub Młynarski, dzwonnik kościelny, i jego szwagier, ślusarz, Urban Rożek. Obu tych mieszczan żywieckich skazano na ścięcie, potem jednak w drodze łaski przemieniono im karę śmierci na więzienie. Żywieckie więzienie musiało jednak być straszliwe, skoro obaj skazańcy-mieszczanie zachorowali w nim na puchlinę i w niedługi czas zmarli. Jak przynależność do „wyższego” stanu społecznego wpływała na wymiar kary łagodząco, dowodzi tego podobna sprawa o świętokradztwo, z roku 1688, księdza Andrzeja Ambrożego Ząbeckiego, franciszkanina, rodem z Żywca. Wkradł się on oknem do kościoła w Rychwałdzie i okradł obraz Matki

Boskiej z wotów, ukraść też srebrną lampę kościelną. Wprawdzie dano go za to do karceru w Krakowie w konwencie franciszkańskim, karcer ten jednak był tego rodzaju, że ks. Ząbecki z niego z łatwością uciekł, a zrzuciwszy habit wędrował sobie po świecie swobodnie i zaszedł nawet po rozgrzeszeniu do Rzymu.

W latach 1685—1687 egzekwowano w Żywcu Jana Pilarczyka ze Stryszawy z powodu zabicia nałożnicy. Wprzód ucięto mu rękę, a potem ścięto mu głowę i trupa ćwiartowano. Wojciech Mąka z Cięciny jako złodziej został ścięty, Urban Mąka z Kocnicy za skradzenie konia też został ścięty. Rozbójnika Wojciecha Miczka ćwiartowali czterej kaci z Cieszyna. W roku 1688 urządzono wojskowe oblawy na zbójników w Żywieckiem i stosowano „gorące prawo”, budując w różnych wsiach szubienice. Między wieloma przestępcami ścięto też wówczas Dudka z Milówki za przechowywanie zbójników i jego córkę, Reginę, za cudzołożenie ze zbójnikami. Niektórych skazańców cechowała niezwykła pobożność. Na przykład dwaj złodzieje, Mikołaj Rachniak i Tomasz Płonka, gdy ich przez miasto prowadzono pod szubienicę, głośno sami śpiewali litanię do Najświętszej Panny Marii. Nic dziwnego, Tomasz Płonka, z zawodu tkacz, był także śpiewakiem kościelnym, dlatego też z przyzwyczajenia sam pod szubienicą śpiewał i towarzysza do wtórowania zachęcił.

Pod koniec XVII wieku stosowano w Żywcu karę śmierci obostrzoną. Ze skazańców drze się pasy skóry przy pomocy kleszczy, ucina im ręce, gruchocze kości, pogruchootanych wplata w koło, wieszają żywo na haku, ćwiartuje i wbija na pal. Do traceniał „hetmana zbójnickiego”, Marcina Portasza, w roku 1689 sprowadzono do Żywca kata Jurka z Krakowa. Kat w zamku przypiekał go smolnymi pochodniami, a na górze Grojcu darł mu pasy na plecach, uciął obie ręce, a wreszcie żywo na haku go zawiesił. Bratu zaś jego, Pawłowi, kości pogruchotał kołem, potem pogruchootanego wplótł w szprychy koła. Około dwa tysiące ludu przyglądało się temu okropnemu

i obrzydliwemu widowisku. Po zamęczeniu obu Portaszów ks. Urbanowicz, wikary żywiecki, wpisał ich do bractwa różańcowego, jakby na protest przeciw okrucieństwu.

W roku 1689 „gorące prawo” jeszcze trwało w Żywiecczyźnie. W Rajczy ustawiono szubienice, na jednej powieszono Mikołaja Fujaka, na drugiej zaś rozwieszono „ćwierci” z poćwiartowanego Jakuba Byrtusa. Tegoż roku Macieja Wakulę z Rycerki, dziesiętnika z bandy zbójckiej Portasza, wbito na pal na górze Białej nad wsią Ciścem. W roku 1691 ćwiartowano w Suchej jakiegoś Mateusza, który udawał głupiego i matkę zamordował. Ćwiartowani byli tu także Gawel Sitarz, Jan Kabaczko i Mateusz Juraszko, obwinieni o rabunek dokonany na panu Zajączku ze Śląska. Za rabunek ścięto też Grzegorza Chwałka i Mateusza Bodzeka z Koconia, a Szczepan Rzepka z Kurowa „o wykradzenie komory obieszon”. W roku 1693 ścięto Małgorzatę Durzaczonkę z Jeleśni, gdyż „dziecko straciła”. W tymże roku stracono na żywieckim Grojcu Sebastiana Gruszeckiego za zbójectwo. Kat połamał mu ręce i nogi kołem, a następnie wplótł go w koło. Koło umieszczone było na wysokim słupie, toteż chcąc pogrzebać skazańca, musiano w nocy koło podcinać i wraz ze zwłokami zakopać je do ziemi. W roku 1694 ćwiartowano w Radziechowach Jakuba Pakusiaka z Żabnicy o „obranie krupników”. Ćwierci z niego rozwieszono aż na dziesięciu szubienicach. W roku 1695 Kazimierz Mucharski i Gabriel Szczęsny za rabunek zostali „żywo w koło wpleceni”.

W roku 1696 tracono w Żywcu dziewięciu zbójców z bandy Tomasza Masnego ze Szarego. Każdemu ucięto po jednej ręce, i te przybito do pręgierza, a potem okaleczonych „żywo na placu ćwiartowano”. W tym czasie bandę żywieckich rozbójników, pod wodzą Wojciecha Klimczaka, wylapano w Rajsku pod Oświęcimiem. Sądził ich gród oświęcimski. Klimczaka zawieszono na haku, dziesięciu innych ćwiartowano. „Wisząc ćwierci ich — pisze Komoniecki — aż strach spojrzeć było.” Te obrzydliwe publiczne egzekucje, mające na celu

„kajanie się” i odstraszenie od popełniania zbrodni, wytepiły wszelkie uczucia ludzkie i stały się rozsądnymi okrucieństwem, zbrodni i zezwierzęcenia.

Czyż można się dziwić, że w tak wychowanym społeczeństwie mógł się pojawić taki typ zbrodniarzy, jak Agnieszka Barankiewiczowa z Krzeszowa, która w roku 1698 śpiącego, pijanego męża drewnem uśmierciła, potem porąbawszy go siekierką w piecu spaliła, kości zagrzebała, a tłuszczem z niego w kaganku świeciła! Skazano ją na śmierć, a egzekucja odbyła się w Krzeszowie. Ucięto jej rękę, potem głowę ścięto, a wreszcie trupa spalono. W roku 1702 na górze Grojcu ścięto i poćwiartowano Tomasza Grenia z Juszczyny i Szczepana Szczygła z Bystrej za nocne rabunki, na granicy zaś Łodygowickiej w podobny sposób egzekwowano Franciszka Milczka ze Słotwiny, zaś z Melchiora Gąsiora, pochodzącego z Przyborowa, pasy darto w rynku „na theathronie”, a potem na miejscu stracenia żywo wpleciono go w koło. W roku 1702 ścięto w Wadowicach Walentego Pawełkowicza wskutek skargi jego ojca, Marcina Pawełka z Żywca, że go bił, nie szanował, „zaruwał” i gdy go karano, odgrażał się.

Jakże w porównaniu ze sprawą tego syna mieszczańskiego w następnym roku, 1703, łagodnie potraktowano gorszą sprawę księdza Franciszka Jędrkowicza, „patrioty żywieckiego”, który na prebendzie w Rychwałdzie Reginę Dąbrowczonkę, kramarkę z Częstochowy, siekierą po pijanemu zabił! Nikt wówczas zabójcy nie aresztował. Sam poszedł do konsystorza. Tam go wprawdzie zasuspendowano i orzeczono karę 2 lat więzienia, a potem wstąpienie do klasztoru, osadzono go jednak w takim więzieniu, w pałacu biskupim, że winowajca mógł z niego oknem wyskoczyć. A choć przy tym złamał nogę, to go wyleczono, tak że mógł pójść do Rzymu, gdzie uzyskał absolucję. W czasie tych pielgrzymek pobożnych zmarł on w roku 1720 w szpitalu bonifratrów w Zebrzydowicach. W jego wypadku sprawdziło się powiedzenie, że w Polsce:

Prawo niby pajęczyna,
Bąk się przebiję, a na muchę wina.

W roku 1700 Regina Ruronka z Brzuśnika została na rynku ścięta „o stracenie dziecka”. W roku 1702 napadli na dwór pani Zabochnickiej we Frydrychowicach Maciej Stopka z Cięciny, Fabian Sobala z Kamieszniczy i Maciej Knapek z Targoszowa. Wszystkich ich ścięto, a zwłoki ćwiartowano. W Suchej w roku 1704 ścięto i ćwiartowano Krzysztofa Mędralaka, Błażeja Lupiczaka za rabunki nocne, zaś Walentego Katryniaka z Kurowa za rabunki w Suchej i na Orawie. W roku 1705 ścięto Macieja Witosza z Miłówki za zrabowanie dwornika łodygowickiego, przy nim ścięto też Weronikę Paliczonkę z Ciśca za „zatrucenie dziecka”. Zaś Marcin Dźwigonik-Prochownik z Czańca, obwiniony o rozbój i rabunki tajemne, wprzód na rynku miał rękę uciętą, a potem żywo był łamany kołem i w koło wpleciony. W tym roku ukarano też Tomasza Tomiczka z Rzyk za różne rabunki i rozbój wpleceniem w koło, wprzód jednak ucięto mu rękę i dwa pasy udarto. Kazimierz Stolarczyk z Wieprza sądzony „o rozbój na górach Węgrów” został na górze Grojcu „żywo na pal wbity i tak postawiony”. Taka sama kara spotkała Jędrzeja i Macieja Świerczkowiczów z Wilkowic. W roku 1708 Piotr Tanisz rabował w Jordanowie, za co ucięto mu rękę i przybito ją do pręgierza, potem go ścięto i ćwierci z niego porozwieszano. W następnym roku Wojciech Bulak ze Spytkowic za rabunki dworów i kościoła w Łękawicy miał prawą rękę odciętą, dwa pasy udarte, kołem był łamany, a potem w nie wpleciony. Zupełnie podobną karę wymierzono Gabrielowi Witosowi z Wieprza za zabicie swej żony. Józef Kurek z Korabnik podpalił w roku 1718 dwór w Wieprzu. Za to ścięto mu głowę i trupa spalono.

Ucinanie rąk, nóg, piętnowanie przez ucinanie uszu i nosa praktykowano często, lecz o tych lżejszych karach nie robiono zapisków w *Aktach złoczyńców*. Jest jednak zapiska z roku 1719, dotycząca Grzegorza Tłaki z Radziechowa, wspominają-

ca, iż w roku 1715 obcięto mu rękę i nogę pod pręgą. Gdy zaś po takiej karze poszedł na rabunek ponownie, został wbity na pal i pozostawiony na miejscu stracenia. Sześciu zaś jego towarzyszą „szubienicę na ciele wypaliwszy, ucho każdemu urznęto pod pręgą i przybito one”. W roku 1729 wbito na pal sołtysa z Soli, Karola Butora. Urban i Maciej Szczotkowie z Milówki i Ignacy Pawlus z Cięciny za rabunek zostali napiętnowani wypaleniem na ciele znaku szubienicy, potem ucięto im ręce i te do pręgi przybito. Krupnika (młynarza) z Choczni, Józefa Gustka „zmęczonego” obrabowali w roku 1731 Melchior Gibas z Kocierza, Błażej Baczyczak z Bładzonki i Paweł Kral z Lachowic. Baczyczaka i Krala za to żywo ćwiartowano, Gibasa zaś ścięto i zwłoki jego ćwiartowano. W roku 1733 na rynku w Żywcu ściał kat Gertrudę Szczotkównę z Moszczenicy o „zatrącenie potomstwa”. Za nocne rabunki w Izdebniku i Brennej zostali ścięci, i po śmierci Ćwiartowani, pochodzący z „państwa łodygowickiego” Jędrzej i Wawrzyniec Walegowie i Jan Marek ze Szczyrku tudzież Michał Chmiel z Brennej. W tym samym czasie ścięto Katarzynę Barachę z Tresnej za dzieciobójstwo. Już te przykłady dowodzą, że wyroki żywieckiego sądu w XVIII wieku stają się coraz krwawsze, a egzekucje coraz obrzydliwsze. W roku 1754 mieli sprawę o napady na karczmy bracia Śleziakowie z Kamesznicy, Jakub Prysycz z Rycerki, Maciej Kąkol z Milówki i Jędrzej Gardaś, wreszcie Walek Kocień z Nielewki. Gardaś, Kąkol, którzy obrabowali Żyda w Nowej Wsi, dostali najsroższe kary: Gardaś miał być wbity na pal, a Kąkol żywo wpleciony w koło, Śleziakowie zaś za nocny rabunek Żyda mieli być ścięci, a ciała ich miały być powieszane na szubienicy. Widocznie jednak w Żywcu zbyt wiele było okropnych widowisk z męceniem ludzi, skoro wdało się w tę sprawę miejscowe duchowieństwo, za którego instancją Gardasiowi i Kąkolowi zamieniono karę wbicia na pal i wplecenia w koło na karę powieszenia. Dla Śleziaków wyrobiło duchowieństwo tyle, że ciała ich zamiast wisieć na szubienicy zostały od razu

pogrzebane pod szubienicą, wreszcie w sprawie Kocienia odniosło się do pana na Żywcu, „aby był gardłem darowany”, gdyż na rabunek szedł pod przymusem Gardasia. Tym razem Żywiec pozbawiony był krwawego „theatronu”.

Takie to egzekucje miał przed oczyma żyjący w XVIII wieku pijar, ks. Teodor Ostrowski, autor dzieła *Prawo cywilne narodu polskiego*, w którym to dziele narzekał na prawa nasze, „tchnące duchem okrutnego Saksonu”, i „na brak ducha ludzkości, którym sąsiednich narodów prawa tchną i szczycą się”. Zachęcał on, aby chwalebna chrześcijańska praktyka dobrego obchodzenia się ze skazańcami, stosowana w Anglii lub we Włoszech, z większą chęcią i usilnością została u nas dopełniona, zwłaszcza że „mniej nam nad innych obce nawet narody przyznają nieczułości”.

Egzekucje żywieckie „tchnęły duchem okrutnego Saksonu”. Sąd miejski w Żywcu i panowie Żywca, do których szły apelacje od wyroków tegoż sądu, uczynili z wymiaru sprawiedliwości przypominający średniowieczne „theatron” rzeźni ludzi. Taki sąd nie mógł społeczeństwa wychować i poprawić, a okrucieństwem kar, jak wskazują masowe wypadki zbrodni, przestępstw nie zdołał wytepić. Okrutne, krwawe widowiska, urządzone przez „mistrzów świętej sprawiedliwości”, prowadziły do zezwierzęcenia ducha ludzkiego i zdziczenia obyczajów, czego następstwem było wzrastanie ilości łotrów i złoczyńców.

Rządcy sumień

Pochodzenie polskiej elity duchownej — Sprawa celibatu — „Agapety” — Statut kaliski arcybiskupa Trąby zadaje cios księżym gospodyniom — Konterfekty kilku biskupów — Obyczaje klechów, kleryków i organistów — Proboszczowie karczmarzami — Obyczaje księży z ziemi sądeckiej — Jan Scholastyk, ksiądz oświęcimski — Sprawa miłosa arcybiskupa Kurowskiego i królowej Anny — Zbrodnicza miłość archidiacona gnieźnieńskiego Pieniążka — Ks. Tarnowski zabójcą 20 ludzi — Ścięcie mniszki-szlachcianki za zabicie własnego dziecięcia — Ks. Kazimierz Bełza, pleban z Myślenic, łupieżcą skarbów kościelnych -- Ks. Kasper Sasin z Choczni — Obyczaje w wiejskiej parafii w XVII wieku — Pamiętnikarz Pasek o prymasie Prażmowskim — Jak proboszcz w Krzeszowie wykonywał jurysdykcję kościelną nad wójtem — O służbie kościelnej i wytrykusach — Wybór i przysięga prowizorów kościelnych w Rzykach — Akta wizytacji biskupich o sprawowaniu się proboszczów, klechów i bakałarzów — „Prawo pierwszej nocy” — Prawo małżeńskie na usługach pańszczyzny — O licencjach małżeńskich jako środkach wykonywanej przez kler policji pańszczyźnianej — Żebractwo w Polsce — Kościół w Polsce potęgą finansową i polityczną — Konterfekt prymasa Dierżgowskiego — Biskup Zebrzydowski bluźniercą — Kapituła krakowska występuje przeciw biskupom i plebanom — Biskupi polscy z XVIII wieku — Kształcenie kleru — Wydzierzawianie kościołów i probostw — Prymas Poniatowski i ks. Kołłątaj porządkują stosunki kościelne w Krakowie — Iura stolae — Zapisy szlachty, mieszczan i chłopów dla kościołów — Dorobek chłopski obracany na pogrzeby, wypominki i wydatki na zbawienie duszy —

Sprawozdanie gubernatora Pergena o stosunkach kościelnych w Galicji — Raport Margelicka — Komplanacja gromady z proboszczem w Rzykach w sprawie „w nieczystości podejrzanych kobiet” — O plebanach w Wadowicach, Dobczycach, Zbylitowskiej Górze i Lanckoronie — Biskupi, Kajetan Sołtyk i Wacław Sierakowski, w roli austriackich patriotów

Stan duchowny, już od chwili wprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce, stanowił elitę wyróżniającą się od reszty społeczeństwa. Początkowo wyróżniał się przede wszystkim pochodzeniem obcym. Pierwsi biskupi na ziemiach polskich byli pochodzenia francuskiego, włoskiego i niemieckiego. Pierwszy biskup poznański, Jordan, był prawdopodobnie Francuzem, a następca jego, Unger (Ogier) — Niemcem. Pierwsze polskie zakony benedyktynów i cystersów założyli Włosi. Francuskiego pochodzenia byli pierwsi biskupi w Płocku i we Wrocławiu. Za tymi dostojnikami kościelnymi przybywali też i pomniejsi duchowni francuskiego, włoskiego i niemieckiego pochodzenia. Nadto odróżniał się stan duchowny od świeckich takimi zewnętrznymi cechami, jak: tonsura, krótkie włosy, a wreszcie sutanna.

Do roku 1514 duchowni nosili wąsy i brody, od tego czasu zaś noszenie zarostu stało się przywilejem papieży. Od czasów papieża Grzegorza VII (XI wiek) duchowieństwo gruntownie odseparowane zostało od świeckich przez wprowadzenie celibatu duchownych. Wzgląd na dyscyplinę kościelną na sprawność organizacji kościelnej wymagał czynnika jak najmniej związanego ze społeczeństwem, państwem, z rodziną. Piastowanie urzędów kościelnych, na podstawie dziedziczenia ich w rodzinach duchownych, osłabiało władzę papieża, która na tych urzędach wołała widzieć element swobodnie przez siebie dobrany, dla którego małżonką poślubioną był jedynie Kościół. Toteż twórca politycznej potęgi średniowiecznego papieża, Grzegorz VII, żądał nie tylko niewchodzenia księży w związki małżeńskie, ale także, aby już istniejące związki księża zerwali i małżonki porzucili.

W Polsce znani są jako żonaci arcybiskup Wincenty, który miał dwóch synów, Boguchwałę i Mirosława, oraz biskup we Włocławku, Ogier, którego syn, Ogierowicz, odgrywał wybitniejszą rolę w Wielkopolsce do połowy XIII wieku. Żona tego biskupa, Burna, po śmierci męża, jako wdowa, zapisała wieś Wyciąże pod Krakowem kapitule krakowskiej. W roku 1197 przybył do Polski legat papieski Piotr, kardynał z Kapui, przynosząc bullę celibatową. Zakaz zawierania małżeństw przez duchowieństwo tak oburzył kanoników i proboszczów, że znieważyli wówczas tego legata papieskiego. Nic dziwnego: przyniesienie do Polski tak bezwzględnego zakazu było próbą zaszczepienia nowości godzącej w sprawy osobiste i prywatne każdego duchownego. Nie tylko w Polsce zapanowało oburzenie. Tak było we wszystkich krajach, gdzie tylko pokazali się delegaci papiescy z nakazami celibatu. Duchowieństwo czeskie pobiło legata papieskiego. Biskup Altman z Passawy i Henryk z Chur omal nie zostali rozszarpani przez duchownych, gdy im rozkazy papieskie odczytali. Gdy na synodzie kościelnym arcybiskup Jan z Rouen przeczytał dekret papieski o celibacie, powstał tumult, a arcybiskupa znieważono, bijąc go kamieniami. O legacie papieskim, kardynale Janie z Kremony, opowiadają, że olbrzymie miał trudności na synodzie w Londynie w przeprowadzeniu uchwały zakazującej duchownym pożycia z żonami. Mówiono wówczas, że można wprawdzie łatwo odebrać księżom niewiasty, trudniej jednak niewiastom odebrać księży. Nic dziwnego więc, że i w Polsce istniały wielkie trudności przy wprowadzaniu celibatu. Księża mieli rodziny, kształcili dzieci, synom zaś swym zabezpieczali urzędy kościelne. Bardzo często zdarzało się, że syn po ojcu obejmował urząd kościelny (officium) i związane z nim dochody (beneficium). Kuria rzymska tępiła jednak powoli, lecz systematycznie, małżeństwa księży. Zrazu udzielała dyspens na pożycie małżeńskie, dyspensy te potem ograniczała. Opornych księży obkładano klątwami kościelnymi i z posad usuwano. W ten sposób z biegiem czasu utrwaliła się zasada bezżenności księży.

Zakazy papieskie bywały jednak w rozmaity sposób obchodzone. Gdy księżom zakazywano żenić się, żenili się potajemnie — ślub zaś taki, według ówczesnych praw małżeńskich, był ważny — albo też wprowadzali do swych domów niewiasty, żyjąc z nimi bez ślubu. Gdy i tego zakazano, przyjmowali do swych domów krewnie, czemu władze kościelne też przeciwdziały. Wreszcie przyjęła się zasada, że w domu księdza może mieszkać niewiasta, ale nie może to być mulier suspecta — kobieta podejrzana. Za niepodejrzaną uchodziła każda, którą za taką uznał biskup lub archidiacon. Oczywiście przy kwalifikowaniu dużą rolę odgrywała okoliczność, czy proboszcz potrafił się dobrze opłacić lub w inny sposób względy swej władzy pozyskać. Władze kościelne zaś pobłażliwiej patrzyły na ten nowy obyczaj niż na godzące w karność organizacyjną Kościoła małżeństwa księży.

Zakaz mieszkania duchownych z kobietami przywiózł do Polski legat papieski, Filip, w roku 1279. Zakaz ten nie odnosił się jednak do konkubin. Następnie synod uniejowski z roku 1326 zakazał duchownym przebywania pod jednym dachem z kobietami „podejrzany”. Podobne zakazy zawierają przepisy wydane przez włocławskiego biskupa, Kurowskiego, z roku 1402. Przepisy te jednak nie wzbraniały przebywania w domu duchownego nawet młodym kobietom, o ile były one jego krewnymi. Ogólne przepisy kościelne przestrzegały też duchownych przed „agapetami”, czyli młodymi, obcymi, na pozór pobożnymi, „niby siostrami duchownymi”, w rzeczywistości jednak podejrzanymi kobietami. Ks. Fijołek twierdzi jednak, że „jak na Zachodzie, tak i w Polsce okazali się archidiaconi niedbałymi w dochodzeniu i karaniu konkubinatu osób duchownych; wystarczyło opłacić się im pewną taksą pieniężną w czasie wizyty, aby otrzymać urzędowe świadectwo, że przebywająca w domu księżym niewiasta nie jest podejrzany dla władzy diecezjalnej osobą. W ten sposób uchylało się duchowieństwo polskie, przy pomocy swych własnych zwierzchników, od kar wymierzonych na nierządnych kapłanów i bene-

ficjantów, nałożnice zaś swoje uwalniało od zaprzędania ich w niewolę lub ubiczowania, jak to postanawiało rozporządzenie synodu łączyckiego arcybiskupa Jakuba Świnki z roku 1285, powtórzone jeszcze w wiek potem przez arcybiskupa Jarosława na synodzie w Kaliszu 1357 roku."

Polska należała do krajów, w których celibat przyjął się najpóźniej. Jeszcze w XIV wieku władze kościelne miały sporo kłopotów z żonatymi księżmi i z księżmi konkubinariuszami. Walczyły one z tymi księżmi zakazywaniem świeckim słuchania mszy odprawianej przez nierządnych kapłanów. Nadto ksiądz konkubinariusz popadał w klątwę i tracił urząd kościelny i dochody z nim związane. Przepisy te później łagodząco, zabierając grzesznemu duchownemu tylko czwartą część dochodów albo też wymierzano mu karę chłosty. We wrocławskiej diecezji księżom takim groziło więzienie lub cięższy karcer z pokutą. Ten surowy przepis nie miał zastosowania do konkubinariuszy kanoników i prałatów. Duchowni mieli prawo rozporządzać testamentami swoim majątkiem, a w szczególności czynić zapisy dla krewnych i dla swej służby. Wykorzystywali oni te przepisy, wyposażając hojnie swoje gospodynie i nałożnice, zapominając jednak o kościele, z którego dochody te pochodziły.

Toteż Statut kaliski arcybiskupa Mikołaja Trąby z roku 1420 zadał gospodyniom i nałożnicom księży poważny cios, gdyż zakazał duchownym przeznaczać w testamentach cokolwiek z dochodów, nabytych sprawowaniem urzędu kościelnego, dla nałożnic i dzieci zrodzonych z nierządu. Synod warmiński z roku 1577 zakazał księżom wychowywać w swych domach lub w domach sąsiednich „podejrzane dzieci”, zrodzone z konkubin, a tym bardziej jeszcze takich dzieci używać do posług w kościele. Według zaś dawnych przepisów kościelnych dzieci księże, jako nieślubne, nie mogły być wyświęcane na duchownych. Wśród trudności toczył Kościół w Polsce walkę z agapetami, konkubinami i dziećmi księży. Z tego także widać, że wprowadzenie celibatu miało jednak swoje ujem-

ne cechy. Obniżyło ono wszędzie obyczaje kleru wyższego i niższego. Wielka opozycja przeciw papieżowi, tzw. reformacja, miała swój fundament także w krytyce ujemnych obyczajów duchowieństwa.

O obyczajach duchowieństwa w Polsce informowała się opinia publiczna z obfitej staropolskiej literatury, która jednak zazwyczaj walczyła ogólnikowymi zarzutami, nie dostarczając na ich uzasadnienie rzeczywistych faktów. Dopiero późniejsze badania J. Ptaśnika, St. Kota, J. Fijałka, W. Chotkowskiego i in., którzy mieli przystęp do archiwów kościelnych, wydobyły sporo materiału faktycznego, który usprawiedliwia w zupełności dawną literacką krytykę stosunków kościelnych.

Jan Ptaśnik w książce *Kultura wieków średnich* naszkicował sylwetki kilku biskupów znanych z rozwiązłości życia. Na przykład biskup krakowski, Paweł z Przemankowa, utrzymywał na swoim dworze istny harem; mniszkę, którą porwał z klasztoru w Skale, włączył do tego haremu. Biskup ten był zapalonym myśliwym. Gdy chłop złowionego zwierza wypuścił z sieci, rozgniewany biskup zabił tego chłopca rohatyną. Jednym z jego następców na tronie biskupim był Jan Muskata, typowy średniowieczny łupieżca, przy tym nie przestrzegający szóstego przykazania boskiego. Biskup krakowski, Zawisza, urządził sobie rozpustne „hops”. Wyjeżdżał on z dworem za miasto i tam uganiał się za dziewczętami. Raz wychodził ku jakiejś dziewczynie po drabinie na kopę siana, skąd go zrzucił na ziemię ojciec czy też jakiś wiejski kawaler. Biskup potłukł się tak dotkliwie, że przeniósł się na drugi świat. Opowiadano, że po śmierci jego diabli w pałacu biskupim harce wyprawiali i wykrzykiwali: „Pojedziemy na hops!” O biskupie poznańskim, Janie z Kępy (zmarłym w roku 1346), dochowała się zapiska w kalendarzu wrocławskim, że brząkał na lirze i „w folgowaniu pożądlivościom ciała się lubował”, a kronikarz, Janko z Czarnkowa, napisał o biskupie poznańskim, Mikołaju z Kórnika, że był pijakiem i rozpustnikiem, któremu z powodu grzechów przeciw naturze język gnąć począł.

Te ujemne grzeszne skłonności i obyczaje dygnitarzy kościelnych zrównoważała początkowo niezwykła religijność i przykładowy żywot licznie powstających zakonów, zależnych bezpośrednio od papieża, które większy wpływ miały na rzesze ludowe niż biskupi i im podwładne świeckie duchowieństwo.

Obyczaje wśród klechów, kleryków, organistów nie były gorsze od obyczajów proboszczów i wikariuszów. W wieku XVI poziom umysłowy duchowieństwa był bardzo niski. Zostać księdzem nie było trudno, byle się tylko miało dobre „plecy”. Na probostwie św. Anny w Krakowie był dzwonnik, Stanisław Kaciuk. Dzwonnik ten wyświęcony został na księdza i tylko mszę odprawiał w kościele Mariackim. Wystarczyło, jeżeli taki kandydat na księdza nauczył się czytać po łacinie; rozumieć tego, co czyta, nie musiał. Otóż ci księża od odprawiania mszy przypominali dzisiejszych ministrantów, którzy wyuczywszy się łacińskiej ministrantury „wyklepują ją” przy ołtarzu, nic z tego nie rozumiejąc. Ów dzwonnik, który został księdzem, nawet moralnych kwalifikacji na księdza nie posiadał, gdyż w roku 1526 oskarżono go przed biskupem, że wytrwale w karczmie siedzi. W roku 1516 instygator biskupa Konarskiego wytropił przy katedrze na zamku krakowskim analfabeta, księdza Macieja Opatowskiego, któremu pod karą suspensy nakazał poduczyć się czytać. Biskup Tomicki w roku 1525 nakazał ks. Maciejowi Łamanemu, jako nieukowi, do dwóch lat nauczyć się czytać. W aktach ksiądz ten nazwany jest visitator tabernarum, czyli odwiedzaczem karczem. W krakowskim kościele św. Barbary sprawował duszpasterstwo ks. Stanisław Cegielka. Był to jakiś nieuk, którego delegat papieski wyświęcał. Gdy czytał Pismo Święte, to się jąkał, bo i w czytaniu biegłym nie był. Nadto obyczaje jego były naganne. Biskup Tomicki wygnał go z diecezji na miesiąc. To wygnanie nie poskutkowało, gdyż po powrocie nadal prowadził życie naganne i niczego się nie nauczył. Wygnał go więc biskup po raz drugi na kwartał i zagroził mu więzieniem w Lipowcu, jeżeli się nie będzie uczył. Takich przedstawicieli miał

kler w mieście Krakowie, w siedzibie krakowskiego biskupa i uniwersytetu. A jakież wobec tego mogły być stosunki w parafiach na dalekiej prowincji?

* *
*
*

Duszpasterstwo w parafiach wiejskich, mniej rentowne, dostawało się księżom pochodzenia chłopskiego i mieszczańskiego. Życie na odludnej wsi, przy braku środków komunikacyjnych, nie należało do przyjemności. Nic dziwnego, że w niejednej parafii jedynym miejscem rozrywkowym duchowieństwa była karczma. Nie było książek, gazet, stowarzyszeń, był jednak alkohol, pocieszyciel znudzonych, którego szafarzem był bardzo często proboszcz. W niejednej parafii karczma była częścią majątku kościelnego, a dochody z szynkowania wódki były uposażeniem plebana. W karczmie odbywały się zabawy, zebrania gromady, sądy, kończące się pijaństwem. Pili wszyscy uczestnicy, a również pił i proboszcz.

Z uchwał synodów kościelnych można nabrać wyobrażenia o ówczesnych obyczajach kleru. Z uchwał tych widać, że znudzeni proboszczowie dzień i noc wysiadali w karczmach, pili i grali w kości z chłopami. Każdy wyjazd księdza, czy po kołędzie, czy do chorego, kończył się posiłkiem w karczmie. Często w szkólkach parafialnych i na plebaniach mięściły się wyszynki wódki, przeciw czemu już w roku 1641 występował biskup kujawski, Maciej Łubieński. Bardzo często proboszcz uzależniał udzielenie ślubu od urzędzenia w jego karczmie zabawy weselnej. Istne pijackie orgie wyprawiano w czasie prymicji świeżo wyświęconych kleryków, które kończyły się karczemnymi bójkami, co także zmuszało władze kościelne do interwencji. Świadczą o tym uchwały synodów.

Z procesu przed sądem kościelnym ks. Macieja Chełmskiego, plebana w Męcinie, i pana tej wsi, Sebastiana Krzesza, w roku 1552 wynika, że pleban niedbale spełniał obowiązki kapłańskie, za to na plebanii piwo warzył, sprzedawał karczma-

rząc, dawał też zgorszenie, bo z niewiastą podejrzaną jawnie obcował i w karczmie ją całował.

Przekupni archidiakoni pobierali za wizyty diecezjalne łapówki od plebanów i wikariuszów, i to wbrew dekretom papieskim, zakazującym pod grozą interdyktu pobierania jakiegokolwiek wynagrodzenia. Gdy pleban łapówki odmówił, archidiakon „osmarował” go przed biskupem jako przestępcę. W roku 1541 archidiakon sądecki oskarżył plebana z Prusznika o różne przestępstwa. Pleban zaprzeczył oskarżeniu, na swą zaś obronę przytoczył, że oskarżenie wypływa z zemsty, gdyż odmówił archidiakonowi wynagrodzenie za wizytację. Odmowę zaś zapłaty wynagrodzenia uzasadnił pleban tym, że archidiakon sam nie przyszedł na wizytację, lecz przysłał jako zastępcę swego ks. Srożka z Wieliczki. Ks. Srożek ani plebanii, ani kościoła nie wizytował, lecz był we dworze, gdzie obchodzono imieniny, tu się upił i noc spędził w stodole z niewiastą z Bobowej, którą sobie przyprowadził. Oczywiście wywołało to wielkie zgorszenie. Od plebana w Łubienku, oskarżonego o podejrzaną stosunek z kucharką, wydarł archidiakon łapówkę raz w postaci wina, drugi raz w pieniądzu. O podobne przestępstwo oskarżony też był pleban w Samokłeskach, ks. Bartłomiej z Gorlic, i dwukrotnie się z tego powodu opłacał archidiakonowi. To samo spotkało ks. Jana Roska, wikariusza z Osieka, który obwiniony o stosunek z kucharką dał pijanemu zastępcy archidiakona łapówkę pieniężną. Jednak na sądzie biskupim ks. Rosek przysiągł uroczyście, że między nim a kucharką nic nie było.

Dyscypliny wielkiej między duchowieństwem nie było. Ksiądz, który umiał chodzić koło swej sprawy, niełatwo mógł być do odpowiedzialności pociągany za swoje występki i tryb życia. Jeśli sądził go surowo biskup, to apelował do arcybiskupa, a potem do nuncjusza, niejedna sprawa objęła się nawet o Rzym, z czego ta tylko była korzyść, że niejednokrotnie proboszczowie zmuszeni stawić się na sąd w Rzymie, albo parafialne delegacje remonstrujące u papieża przeciw swym

duszpasterzom, musieli odbywać dalekie podróże, przy tej sposobności zwiedzając niejedną kraj, poznając jego urządzenia, obyczaje itd.

*

Ciekawą postacią średniowiecznego rządcy sumień, a zarazem „raubrittera” — łupieżcy, był piastowicz śląski Jan I, książę oświęcimski, syn księcia Władysława oświęcimskiego. Książę Władysław, człowiek pobożny, dwoje swych dzieci ofiarował na służbę Bogu; córka wstąpiła bowiem do zakonu dominikanek, syn zaś, wspomniany książę Jan, został z łaski papieża w roku 1321 scholastykiem katedralnym w Krakowie, a więc duchownym, mającym pod swoją opieką i kierownictwem szkołę katedralną. Na tym urzędzie okazywał on dużo samodzielności, nie chciał nosić tonsury i mimo święceń prowadził tryb życia świecki. Po śmierci ojca, objąwszy „tron” oświęcimski, złożył urząd scholastyka. „Panowanie” rozpoczął od złożenia hołdu królowi czeskiemu, przekreślając tradycję polityczną ojca, który księstwo oświęcimskie utrzymywał w całkowitej niezależności tak od Polski, jak i od Czech. Jako wasal króla czeskiego otrzymał on w lenno ziemię oświęcimską z zamkiem, z miastem Zatorem, miasteczkami: Kętami, Żywcem, Wadowicami i Spytkowicami, oraz wsiami, ziemianami i rycerstwem. Odtąd księstwo oświęcimskie weszło w orbitę polityki czeskiej, a książę Jan był częstym gościem na zamku królewskim w Pradze. Z Polską łączyły go jedynie procesy, które jego następcą na urządzie, Arnold de Caucina, prowadził z nim o zwrot zagrabionych, a należnych scholasterii krakowskiej, dziesięcin i innych funduszy. Procesy te trwały przez lat 35, a interesował się nimi nawet papież Urban, wydając z Avignonu polecenie biskupowi we Wrocławiu, aby sprawę osądził. Biskup ten wydał wyrok zasądzający eks-scholastyka, księcia Jana, na zwrot przywłaszczonych sobie dochodów kościelnych w kwocie 5000 grzywien srebra i 500 flo-

renów złota. Książę Jan nie kwapił się jednak z oddaniem tej sumy, nie doczekał się jej też od niego scholastyk Caucina, gdyż wcześniej śmierć go zabrała.

Książę-scholastyk Kościoła św. równocześnie dokonywał łupieżczych napadów na dobra duchowne. W jego księstwie posiadali cystersi z Mogiły trzy wsie: Ryczów, Woźniki i Zygodowice. Wnuk Mikołaja Byczki, sprzedawcy Woźnik cystersom, niejaki Sozema, urządził z księciem Janem podstępny najazd na Woźniki. Wypożyczył on ks. Janowi jakąś kwotę pieniężną, a książę dał mu zabezpieczenie dla tej pożyczki na Woźnikach i polecił mu wieś tę zająć. Sozema Woźniki zajął, spotkała go jednak za to klątwa kościelna. Za wyklętym ujął się książę Jan w oryginalny sposób, urządził bowiem najazd nie tylko na Woźniki, ale i na Ryczów i Zygodowice. Opat mogiński z powodu gwałtu tego odniósł się do biskupa krakowskiego, Grota, który nakazał księciu wszystkie trzy wsie wrócić cystersom, wynagrodzić szkody i uwolnić złupionych chłopów od ciężarów publicznych. W razie niezastosowania się do tego wyroku miał być rzucony interdykt na księcia i jego „stolicę” — Oświęcim. Książę pod grozą klątwy wszystko przyobiecał wykonać, lecz niczego nie dotrzymał, a nawet namówił żonę Sozemy, aby ona teraz zajęła Woźniki, co też uczyniła, wypędzając z nich braciszków klasztornych. Wówczas biskup polecił proboszczom w Zatorze i w Oświęcimiu oraz Hartmanowiczach pod Wrocławiem, aby ogłosili interdykt na księcia i jego „stolicę”. Interdykt poskutkował, albowiem książę wszystkie wsie zajęte wrócił cystersom, zwalniając je oraz klasztor na 8 lat od danin publicznych. Po upływie tych ośmiu lat cystersi zarwali księcia, nie płacąc mu danin, toteż znów kilkakrotnie ich dobra najeżdżał, aż wreszcie w roku 1359 zawarł z nim ugodę, mocą której zapłacili mu 70 grzywien praskich, on zaś uwolnił Woźniki i Zygodowice od służby wojskowej, a jedynie zastrzegł obowiązek stawienia się tych wsi do obrony Zatora w razie napadu nieprzyjacielskiego i płacenia daniny zwanej narzaz, w formie wieprzków i krów.

W tym samym czasie książę Jan urządził zbójckie najazdy na dobra cystersów z Rudy Śląskiej, którym złupił wsie Łodygowice, Pietrzykowice i Abtsdorf (Wilkowice, czyli wieś opata Wilka). Sprawa ta dotarła do papieża, który nawet wydał bliżej nie znany wyrok i kazał go opatowi w Jędrzejowie egzekwować.

Ów wyświęcony oświęcimski Raubritter względami obdarzał jednak benedyktynów w Tyńcu, uwolnił im bowiem wieś Łączany na lat sześć od wszelkich ciężarów, wspierał ich też w procesie ze stolnikiem krakowskim, Dzierżkiem, o staw w Łączanach. Poza procesami i najazdami o jakiejś twórczej działalności jego nie słyhać, chyba to tylko, że służył swemu, Zegocie z Bieńkowic, dał w roku 1333 las nad Skawą pod założenie wsi (dzisiejsze Skawce, Jaszczurowa, Poręba Świnna, Zawadka, Gorzeń), w roku zaś 1361 jakiegoś Niemca Hankowa, syna Wernera de Hopnewalth, obdarzył sołtystwem w Barwałdzie (dzisiejszy Barwałd Średni).

O jednym także książę oświęcimski nie zapomniał, to jest o zachowaniu i utrwaleniu swojej dynastii na tronie oświęcimskim. Chociaż był wyświęconym na duchownego, chociaż urząd scholastyka przez lat osiem sprawował, chociaż obowiązywał go, jako duchownego, celibat, wszystko to jednak nie przeszkodziło mu się ożenić. Ożenił się z córką Ludwika z Brzegu, Jadwigą, a syn z tego małżeństwa zrodzony, Jan, wstąpił na „tron” oświęcimski po śmierci ojca w roku 1371 jako książę Jan II. Wstąpienie jego na tron powitał papież Grzegorz XI żądaniem, aby zapłacił, jako spadkobierca ojca, sumy przysądzone niegdyś krakowskiej scholasterii wyrokiem wrocławskiego biskupa, grożąc mu klątwą na wypadek zaniedbania czy zlekceważenia tego obowiązku. Zarazem biskupi we Wrocławiu i w Krakowie upoważnieni zostali do wykonania wyroku. W jaki sposób go wykonali, nie wiadomo. Z działalnością księcia Jana, jako scholastyka, łączy się ustanowienie w najstarszych wsiach oświęcimskiego księstwa: Przeciszowie, Podolszu, Sleszowicach, Bachowiczach, Spytkowiczach,

Zakrzowie, Babicy, części Stryszowa, Tłuczani i Choczni, w miejsce dziesięciny snopowej — dziesięciny pieniężnej dla scholasterii krakowskiej.

Ojciec księcia Jana, książę Władysław, już w dzieciństwie przeznaczył go do godności scholastyka przy kapitule krakowskiej, przeto już w roku 1300 zapisał tej scholasterii dziesięcinę pieniężną ze wspomnianych wsi, którą następnie syn sobie przywłaszczył, chociaż urząd scholastyka złożył.

* *
*

Król Władysław Jagiełło żenił się cztery razy. Żonami jego były: królowa Jadwiga, Anna Cylejska, Elżbieta Granowska i ruska księżniczka Zofia. Miał też stale kłopoty i utrapienia z powodu trzech ostatnich żon. Żadnej z nich nie dowierzał, a podejrzliwość jego w niejednym wypadku znajdowała zupełne uzasadnienie. W związku z niewiernością małżeńską królewskich żon przeszły do historii nazwiska dwóch Kurowskich: arcybiskupa gnieźnieńskiego, Mikołaja Kurowskiego, i brata jego, Piotra Kurowskiego. W roku 1411 miał się odbyć w Glinianach, pod kierownictwem wielkiego księcia litewskiego Witolda, sąd książęcy, który miał sądzić arcybiskupa Kurowskiego — jak pisze Długosz — „jakoby winnego ciężkiej obrazy majestatu, za namawianie Anny królowej do sprawy miłosnej, jako sama królowa zeznała”. Aliści biskup, jadąc na ten sąd w Krzeszowie, spadł z konia, rozchorował się i ledwo dojechawszy do Ropczyc tam umarł. Zwłoki odwieziono do Gniezna. O tym jurym arcybiskupie podaje Długosz, że zebrał dla swoich braci i synowców ogromne skarby w złocie, srebrze, klejnotach, zamkach, wsiach i folwarkach, wysyłając ciągle do Flandrii statki z mięsiwem i zbożem. Skarby te chciał zagarnąć król Jagiełło, choć Długosz nie podaje, z jakiego powodu, przypuszczać tylko można, że chciał się prawdopodobnie „odszkodować” za nadwężenie cnoty królowej Anny. Chytry Litwin wysłał nawet zbrojny poczet rycerstwa pod zamek

uniejuński po owe skarby arcybiskupie, atoli chytrzejszy brat zmarłego ubiegł go i skarby zabrał. Dużo pieniędzy wiozł arcybiskup do Glinian na ów sąd — jak twierdzi Długosz — w tej myśli, że wielkimi darami potrafi rozbroić nienawiść swoich oskarżycieli, gdyż nazwisko tego arcybiskupa było głośnie więcej z ogromnych bogactw aniżeli z dzieł chwalebnych dla dobra Kościoła i ojczyzny podjętych. Bogactwa te dostały się w spadku bratu arcybiskupa, Piotrowi Kurowskiemu, który odziedziczył też po arcybiskupie dziwną skłonność do bałamucenia żony królewskiej, tym razem królowej Zofii, za co uwięziono go wraz z sześciu innymi Don Juanami: Hińczą z Rogowa, Wawrzyńcem Zarebą z Kalinowy, Janem Kruską, Janem z Koniecpola, Piotrem i Dobiesławem ze Szczekocin. Trzech uwięzionych z więzienia uciekło. Dwie panny dworskie, wzięte na tortury, potwierdziły podejrzenia rzucone na królową. Ponieważ w tym czasie królowej urodziło się dziecko, powstały — jak pisze Długosz — przeróżne gadki i naśmiewiska. W Akademii Krakowskiej był nawet mistrz Henryk, rodem z Czech, który w gwiazdach wybałał, że poczęciu wszystkich trzech synów królewskich i narodzeniu ich świeciła nieszczęśliwa gwiazda. Skandal w rodzinie królewskiej pomógł zatuszować biskup Oleśnicki, przed którym królowa złożyła przysięgę, że jest niewinna, a sześciu świadków też przysięgą potwierdziło, że według ich przekonania królowa stoi ponad wszelkimi podejrzeniami. Formie stało się zadość, jak zaś było w rzeczywistości, o tym wiedział tylko jeden Bóg Wszystkowiedzący.

Stolica arcybiskupia w Gnieźnie nie tylko miała smutnej sławy arcybiskupa Kurowskiego, był tam także sławny archidiakon Jan Pieniążek, o którego sprawkach w roku 1466 sporo sensacyjnych wieści podał Długosz. Archidiakon ten miał skryte miłostki z Dorotą Boglewską, żoną Jakuba Boglewskiego, „szlachcica znakomitego herbu Koźlerogi”, z Łączeszyc na Mazowszu. Chociaż ze wszystkich stron donoszono mężowi, że do herbowych koźlich rogów przydaje mu zacna małżonka jeszcze inne, symboliczne rogi, choć nawet ostrzegano go, że

knuje się zamach na jego życie, nie dawał temu wiary. W oczach żony i przy jej łóżku został zamordowany spisami, szablami i toporami na drobne kawałki posiekany, tak że go rozeznac nie było można.

Mordu dokonał dworzanin Boglewskich, Janczechowski, ze służbą i pod osobistym kierownictwem archidiakona Pieniążka. Brat zamordowanego, wojewoda warszawski, Mikołaj Boglewski, uwięził Janczechowskiego, którego skazano na śmierć. Długosz podaje, że po wyszarpaniu wnętrzości ćwiartowano go, a on „wołał nieszczęśliwy w mękach, aby biorąc z niego przykład nikt nie uwodził się występą ku kobietom miłością”. Dorota została uniewinniona, jakkolwiek zdaniem Długosza należało ją żywcem zakopać. Sprawą archidiakona zajął się synod w Łęczycy, polecając arcybiskupowi, aby na wypadek stwierdzenia winy odsądzony był od chlebów kościelnych, zamknięty w więzieniu „celem prześlągania Boga, który, gdyby nie był prześlągany, spuściłby niepochybnie swój gniew na starszsznę i głowy duchowieństwa”, wreszcie celem zapobieżenia zgorszeniu między szlachtą i ludem pospolitym. Arcybiskup Jan wprawdzie wyrok potwierdził, lecz — jak pisze Długosz — „nie starał się przecieź o jego wykonanie i tak straszliwej, tak gorszącej dla całej diecezji i Kościoła polskiego, za swoich rządów biskupich, zbrodni w osobie duchownej dozwolił ujść bezkarnie”. Dopiero wojewoda Boglewski zarządził aresztowanie tak archidiakona, jak i bratowej. Archidiakon atoli ukrył się między krewnymi, a Boglewska zbiegła do Działdowa w Prusiech. W sprawę tę wglądnął papież i pozbawił Pieniążka urzędów i godności kościelnych. Kler zaś zbrodnię jego przedstawił jako karę Bożą zesłaną na ojca zbrodniarza, starostę krakowskiego Pieniążka, za to, że „wykonując niesprawiedliwe wyroki na sługi Boże”, sekwestrował księżom z rozkazu królewskiego majątki, między nimi także Długoszowi, gdy nie chcieli uznać biskupem kandydata królewskiego... Archidiakon Pieniążek, wykluczony ze stanu duchownego, stał się przywódcą „złotej młodzieży”, ta-

kiej, która potraciwszy ojcowskie majątki, a chcąc mieć dostatnio urządzone mieszkanie, mieć stroje, konie, czeladź, chwytala się łotrstw, kradzieży, napadów na kupców i szlachtę. Stary Pieniążek, widząc, w jakie błoto zabrnął syn, zwabił go do siebie, a przytrzymawszy, kazał go związać i odstawić krakowskiemu biskupowi. Biskup zaś osadził go w więzieniu w zamku w Iłży, gdzie siedział półczwarta roku na dnie wieży. Podobno dopiero to uwięzienie archidiakona-mordercy i rozbójnika rzuciło popłoch na wszystkich łotrów duchownych i świeckich i ukróciło ich swawolę.

Smutną sławą okrył ród Tarnowskich ksiądz z rodu tego pochodzący. Pod datą 1 kwietnia Roku Pańskiego 1646 — była wtedy Wielkanoc — Albrycht Radziwiłł, kanclerz wielki litewski, w *Pamiętnikach* takie zapisał zdarzenie:

„Dziś straszny w Polsce stał się przypadek: Tarnowski, jeszcze będąc laikiem (osobą świecką), dwudziestu i więcej z tego świata i z życia zgładził, między innymi rodzzonego też stryja gwałtowną śmiercią do nieba posłał. Potem — nie wiem jakim duchem natchniony — obłókl się w sutannę księżą, a potem i do kapłaństwa przyszedł. Miał on we wsi swojej plebana, którego po nabożeństwie rannym zaprosiwszy na baranka święconego, wilkiem mu się stawił, bo gdy u stołu szpetne rzeczy dyskurował, napomniany przez plebana, furie zaczął przeciw niemu wywierać. Pleban, nie wiedząc co z nim począć, wstawszy od stołu poszedł do siebie, a tymczasem Tarnowski każe na siebie czekać z nieszporem. Pleban oczekuje go aż do wieczora, lecz zdesperowawszy o jego przybyciu, nieszpór dla pospółstwa odprawuje, który tylko skończył, aż Tarnowski przybywa i z gniewem pyta plebana, czemu nań nie zaczekał? Gdy pleban chciał się wymówić, każe go Tarnowski na ziemi rozciągnąć i kijami bić. Pleban, wyrwawszy się, ucieczką chce się salwować, lecz Tarnowski, wysokiego wzrostu człowiek, dogoniwszy go, mieczem przebija i póty w nim takowym wierci, aż nieborak pleban duszę wyzionął. Tę robotkę zrobiwszy Tarnowski kładzie na się komżę i stulę i nad trupem zabitym kondukt odprawuje. Prawdziwy krokodyl płaczący nad zabitym przez siebie samym trupem.”

Pod datą 16 maja 1646 roku Radziwiłł tak pisze o epilogu tej zbrodni klerobójstwa:

„Pojechałem do OO. Kamedułów, abym tam domek zakonnikowi jednemu wystawił, tamże dowiedziałem się, iż ów zabójca Tarnowski pochwycony był od arcybiskupa i do więzienia wtrącony.”

Zapewne był to obłąkaniec, tylko jakim cudem na kapłana go wyświęcono?

W dniu 5 sierpnia 1646 roku Albrycht Radziwiłł był w jakiejś miejscowości około Wielony, gdzie usłyszał i z kolei zapisał takie zdarzenie:

„Była jedna mniszka zacnego urodzenia, która ze spółkowania z jednym zakonnikiem porodziła syna, ażeby zaś sromotę swoją zataić, dziecię zadusiła i za ołtarzem wielkim porzuciła. Ksiądz, tego dnia mający celebrować mszę u wielkiego ołtarza, wstręt jakiś czuł, skończył jednak mszę, po której kazał szukać, co by za ołtarzem było, co mu wstręt czyniło, aż znaleziono dziecię umarłe. Uczyniono rekwizycję. Świętokradzka matka znaleziona, która się do wszystkiego przyznała, i ją za dekretem w ogrodzie klasztorным w przytomności wielu święto. Ów zaś zakonnik różgami dobrze ćwiczony i więzieniem długim skazany jest. Ten przykład wielu napomniął do większej czujności w powołaniu swoim. Tamże słyszałem i inną dziwną rzecz: że był jeden duchowny, który zwykł przebierać się po białogłowsku i tak sypiał, jako on sam mawiał, z rady lekarzów. Tak śpiący, znaleziony od biskupa, trzy tysiące winy musiał zapłacić — i od tego czasu poprzestał tak złego zwyczaju.”

Typową sprawą, wędrującą po licznych instancjach kościelnych, była głośna w XVII wieku sprawa myślenickiego plebana, ks. Jana Kazimierza Bełzy, który świętokradztwo popełnił, szkody nie wynagrodził, i mimo to przy probostwie się utrzymał. Sprawę tę przedstawił J. W. Kutrzeba w monografii historycznej miasta Myślenic.

Urzędowe akta, omawiające sprawowanie się tegoż proboszcza, zaznaczają, że był to pijak, proceśnik, awanturnik, sło-

wem, człowiek niemoralny. Przywłaszczał on sobie grunta mieszczań, zagarniał fundusze przeznaczone na utrzymanie wikariuszy lub szpitala, a w czasie najazdu szwedzkiego obraz Matki Boskiej Myślenickiej ogołocił ze wszystkich wotów, to samo też zrobił ze skarbcem kościelnym i umknął do Kieżmarku na Orawę. W kilka lat później sąd biskupi pozbawił ks. Bełzę probostwa myślenickiego, jednak arcybiskup gnieźnieński, Leszczyński, wyrok ten skasował, a dopiero nuncjusz papieski, Pignatelli, wyrok biskupi utrzymał w mocy. Zdaje się, że wskutek tego wyroku ks. Bełza siedział w więzieniu, w biskupim zamku w Bodzentynie, a gdy go uwolniono, w odnośnym piśmie biskupim wyrażono nadzieję, że „swoje obyczaje poprawi i będzie się wystrzegał zwad, procesów i pijaństwa, a małżonką swoją myślenicką (tzn. kościół) przestanie łupić”. Za trzy lata po wyroku, w roku 1669, papież Klemens przywrócił ks. Bełzie probostwo pod warunkiem, iż pod przysięgą się zobowiąże zwrócić kościołowi i kaplicy Matki Boskiej wszystkie wota i kosztowności, które sprzedał, i swoim kosztem naprawi szkody. Ks. Bełza udawał, że naprawia te szkody, bo nawet przygotował dla siebie srebrną tablicę pamiątkową z łacińskim napisem: „Wspomnij Jana Kaźmierza, niegodnego kapłana, który tę kaplicę przez Szwedów spaloną i zniszczoną odrestaurował, ołtarz ze swymi srebrnymi ozdobami na cześć Pana Boga upiększył i obraz N. Panny Marii zachował w roku 1658.” Proboszcz, którego gospodarka w kościele nie była lepsza od gospodarki Szwedów w Polsce, w taki chytry sposób podsuwał dobre wspomnienia o sobie.

Jednak po tym przywróceniu do urzędu postępowanie ks. Bełzy niewiele się zmieniło, bo już w roku 1674 ogół obywateli myślenickich, wraz z radcami miejskimi, na zgromadzeniu powziął uchwałę zaskarżenia proboszcza przed papieżem. Ze skargą w największej tajemnicy wysyłają myśleniczanie do Rzymu miejskiego pisarza i ławnika, aby papieżowi przedstawić, ile szkód kościołowi i miastu ks. Bełza wyrządził, jak zniszczył i złupił skarbiec ze złota i srebra, a obraz Matki

Boskiej z klejnotów i ozdób. Ogólna suma strat, wyrządzonych przez ks. Belzę, otaksowana była na 50 000 złp. Jak się ta sprawa skończyła — nie wiadomo. Na drugi rok odbyła się jednak wizytacja kościoła, przy której polecono proboszczowi użyć dochodów z ról kościelnych na restaurację kościoła, a przeprowadzenie tej restauracji zlecono dwóm mieszczanom pod dozorem proboszcza względnie dziekana. Proboszcza ograniczono w nadzorowaniu skarbcza kościelnego, albowiem jeden klucz od skarbcza mieli mieć wybrani przez mieszczan członkowie dozoru i tylko za ich wiedzą mógł proboszcz pieniędzmi ze skarbcza rozporządzać, nadzór zaś nad kaplicą i wotami polecono oddać innemu księdzu. Przy wizytacji przyznał się proboszcz, że złoto z kaplicy zabrał i w Krakowie zastawił, wobec czego polecono mu wykupić je, a to także według zaprzysiężonego przyrzeczenia, złożonego na sądzie biskupim. Dekret biskupi stwierdził, że wartość skarbcza wynosiła 40 000 złp i że tylko pustki pozostały. Wreszcie nakazano proboszczowi Belzie, aby zaniechał pić, procesować się, kłócić i lżyć, aby wynagrodził kościołowi szkody i oddał grunta miejskie, szpitalne i wikarialne bezprawnie przywłaszczone.

Ks. Belza w dziewięć lat potem umarł, a przypuszczać można, że papierowe wyroki nic mu nie zaszkodziły. Miał strawny żołądek, toteż parafialnego mienia pożarł wiele. Zamiast pieniędzy i wotów zostawił władzom kościelnym i parafianom stosy aktów procesowych.

Odmiernym typem księdza był ks. Kasper Sasin, który był proboszczem w Choczni w tym czasie, gdy ksiądz Belza był pasterzem dusz myślenickich. Obowiązki te pełnił od roku 1651 do 1697, a więc przez 46 lat. O ile ks. Belza był przestępcą, o tyle ks. Sasin był „dobroczyńcą” swojej parafii. Tak przynajmniej sam o sobie w różnych zapiskach napomknął, a nawet portret swój w kościele wystawił. Podczas gdy ks.

Belza wota z obrazu Matki Boskiej Myślenickiej zastawiał, to ks. Sasin obraz Matki Boskiej (także myślenickiej) w chocheńskim kościele przyozdabiał w srebrno-złote korony. Do kościoła chocheńskiego sprawił tyle szat, ozdób, przyrządów, że wystarczyłoby to na wyposażenie katedry, było jednak zbytkiem dla wiejskiego kościółka, służącego wówczas nie więcej jak 700 parafianom. Te wszystkie ornaty, alby, kapy, obrazy, kociołki, lichtarze, kielichy, monstrancje, chorągwie, trybularze, korony, graduły, antyfonarze, psalterze, antypedy, dzwonki itd. kosztowały tyle, że wieś można by za to w owych czasach kupić. Oczywiście „dobroczyńca kościoła” nie liczył się z groszem, bo swego nie dawał, ale wybierał „ofiary” od chłopów. Woły, krowy zapisywali mu, bo gruntów zapisywać nie mogli, byle tylko nie pójść do piekła. Za dwanaście lat takiego pasterzowania ks. Sasin nie tylko stał się „dobroczyńcą” kościoła chocheńskiego, ale nie zapomniał też i o sobie, uciuławszy majątku na 8000 zł, olbrzymią naówczas sumę, która przedstawiała wartość 2000 korcy pszenicy. Wszystko mu to jednak poszło na marne. W roku 1663 spaliła się plebania. O spalenie tej plebanii obwiniał ks. Sasin gospodarza Dudzika i porwawszy go oddał w ręce wójta chocheńskiego, aby go przez noc pod zamknięciem przytrzymał. Na drugi dzień jednak ks. Sasin nie pokazał się, choć według praw ówczesnych jego obowiązkiem było Dudzika do grodu w Oświęcimiu odstawić, skoro oskarżał go o podpalenie. Wobec tego wójt i gromada chocheńska postarały się o sprowadzenie do wsi „ministrała” (woźnego ziemskiego), Adama Barutha z Kleczy, który w towarzystwie dwóch ziemian-szlachciców, Stanisława Lgockiego i Jana Goleckiego, wezwał proboszcza do prawnego postąpienia z Dudzikiem, a gdy ten odmówił, wówczas woźny oraz wspomniani ziemianie zgłosili z tego powodu w grodzie oświęcimskim manifest, zawierający protestację przeciw nielegalnemu postępowaniu proboszcza.

Ks. Sasin twierdził, że plebanię chocheńską „zapaliła białogłowa niecnotliwa, Kurkowa, cudzołożnica Marcina Dudzika,

za które spalenie sprawiedliwości świętej nie mogłem dojść, w której plebaniej szkodyjem miał na ośm tysięcy, czobym tego przysięgą popar, jako ona spaliła, ta białogłowa, z rozkazania tego swego cudzołożnika".

Nie bardzo jasno przedstawiała się sprawa z „cudzołożnikami” i dziwne jest twierdzenie, że ksiądz nie mógł znaleźć sprawiedliwości... Ów „cudzołożnik” Dudzik był kumem organisty i wytrykusa (kościelnego), a więc liczył się do parafialnej elity. Widocznie niezbyt prosta to była sprawa, skoro nawet ziemianie-szlachcice w obronie „cudzołożnika” stanęli, a proboszcz przezornie sprawy w grodzie oświęcimskim przeciw rzekomym podpalaczom i cudzołożnikom nie popierał.

Ks. Sasin jednak stratę sobie odbił, zaprowadziwszy zaraz po pożarze kościelną daninę w postaci taczma i mesznego. Taczmo w zbożu (120 korcy) dawać mu musieli rolnicy i półrolnicy, zagrodnicy zaś przy wielkanocnej spowiedzi musieli płacić meszne gotówką po pół złotego. Nadto zaręcznicy z Kaczyny musieli dostarczać po furze drzewa. W ten sposób wsi Choczni, która jeszcze w XIII wieku dziesięcinę snopową zamienioną miała na dziesięcinę pieniężną, opłacaną na rzecz krakowskiej scholasterii, przybyła nowa uciążliwa danina kościelna. To zwiększenie ciężarów kościelnych przez „dobrodzieja” ks. Jana Sasina i ustawiczne stacje wojskowe w Choczni, jako wsi należącej do królewskiej barwałdzkiej, doprowadziły ludność do takiego gospodarczego wyniszczenia i upadku, że w drugiej połowie XVII wieku masowo zbiegała ona na Śląsk i na Węgry. Wyeksploatowanie chłopów na różne ofiary odbiło się też... na woreczku kościelnym. Ks. Sasin prowadził zapiski, z których wynika, że w roku 1651, przy objęciu przez niego probostwa, ludzie złożyli przez 97 świąt w roku do woreczka 41 zł 15 gr (10 korcy żyta), zaś zapiska z roku 1674 dowodzi, że za cały rok zebrał wtedy „wytrykus” (kościelny) zaledwie 10 zł 15 gr, i to w mniej wartościowej szelągnej monecie.

Za duszpasterstwa ks. Sasina zdarzył się w Choczni nie-

zwykły wypadek: urodziło się dziecko... bez ojca i bez matki. W dniu 30 września 1690 roku dziecko to zostało ochrzczone, a przy chrzcie nadał mu proboszcz imię Andrzej. W księgach metrykalnych ks. Sasin nie zapisał imion i nazwisk ani ojca, ani matki, starannie jednak zapisał imiona i nazwiska rodziców chrzestnych. Chrzestną matką była organiścina, Agata Miklaszowska, chrzestnego zaś ojca sprowadzono aż z Ponikwi, nie należącej do parafii chocheńskiej, a miał on się nazywać Grzegorz Madej. Mimo że podczas różnych wizytacji niejeden archidiakon ten brak w księdze metrykalnej musiał napotkać, a „kumoszka” organiścina z pewnością знаła tajemnicę pochodzenia dziecka, to jednak braku tego nie usunięto i ks. Sasin potomności nawet nazwiska matki nie przekazał. Była to jedna jedyna zadziwiająca niedokładność ks. Sasina, gdyż poza tym wszystko starannie zapisywał.

Za jego następców też się takie narodziny bez ojca i matki zdarzały. Proboszcz ks. Adamkiewicz w roku 1721 ochrzcił Małgorzatę, córkę nieznanego ojca i matki, gdyż nazwisk w metryki nie wpisał. W kumy byli Łukasz Szczur i Apolonia Twarogowa, przedstawiciele poważniejszych kmiecych rodzin w Choczni. Za rok urodziła się znowu bez ojca i matki córeczka Zofia i też kumów jej, Marcina Balona i wspomnianą już Apolonię Twarogową, wpisano w metryki, ale nazwiska rodziców starannie ukryto.

Skoro mogły się odbywać tak paradne chrzciny dzieci „nieznanych sprawców”, nic tedy dziwnego, że i solenne chrzciny odbywały się wówczas, gdy choć jeden sprawca urodzin, np. matka, był znany. Przy chrzcie paru nieślubnych dzieci córek chłopskich asystuje w charakterze kumów „rycerstwo”. Chocznia była wsią królewską, obowiązana do dawania stacji wojsku, toteż w XVII i XVIII wieku prawie przez każdą zimę wojsko w niej kwaterowało. Nic też dziwnego, że szlachta „rasę poprawiała”. Gdy więc Reginie Pacyconce urodziła się nieślubna córka, trzymali ją do chrztu Paweł Bartosowski, „vachmagister” chorągwi husarskiej, i Zofia Sokołowska, „żoł-

nierka" z Družbarku na Spiszu. Syna nieślubnego Katarzyny Wojciconki trzymał do chrztu generosus Mikołaj Michałowski, wojskowy (miles), i Konstancja Ślagorzanka, córka kmiecia z Choczni. „Niecnotliwe białogłowy" nie były więc ani różgami sieczone u słupa, ani „wyświecane" ze wsi, ale jako matki honorowane były przez „rycerstwo". Tacy „urodzeni" (szlachcice), jak Mateusz Pilarski, Józef Czaiński, Wincenty Jarzyna, „towarzysze husarscy" z chorągwi Potockiego, albo „rycerze": Jan Perkowski i Jan Dulski, trzymają chłopskie dzieci do chrztu, zaś włościanie, Paweł Bylica i Anna Pindelka, są chrzestnymi rodzicami córki szlachcica Jana Płazy-Sołtyskiewicza, gospodarującego na choczeńskim wybraniectwie. Nikt też nie brał za złe proboszczowi, gdy on z konieczności... w metrykach pewne celowe i praktyczne usterki poczynił.

A zresztą, któż tym w owych „czasach saskich" miał się gorszyć? Księża, chłopci, szlachta? Przecież gdy szlachcice i „pancerni towarzysze" adorowali wiejskie dziewczęta, a proboszczowie robili cuda, stwarzając w metrykach dzieci bez udziału rodziców, szlachcianki też bezceremonialnie „puszczały się" z kawalerami wiejskimi. Następstwa tego były takie same, jak u dziewcząt wiejskich. W roku 1745 pleban Bylina chrzczył zamieszkałej w Choczni szlachciance, Zofii Ćwiklińskiej, nieślubnego synka, którego miała z wiejskim kawalerem, Maciejem Rudzkim. W roku 1756 znów ochrzcił nieślubne dziecko Ewy Płazonki, córki wspomnianego szlachcica Płazy, o które postarał się jej również wiejski kawaler, Błażek Piątek, syn poddanego plebańskiego. Gdy szlachta i duchowieństwo z córkami chłopów „poprawiali rasę chłopską", chłopci też nie zasypiali gruszek w popiele, ale ze szlachciankami przykładali się ochoczo do „poprawy rasy szlacheckiej" i płodzili późniejszych kandydatów na tłuste prebendy. Przynajmniej na tym punkcie istniało zbratanie stanów szlacheckiego, duchownego i chłopskiego.

* *

Znienawidzony był arcybiskup gnieźnieński, prymas Przemowski, doradca polityczny króla Jana Kazimierza. Miarą tej nienawiści jest kronikarska zapiska, jaką Jan Chryzostom Pasek zamieścił pod datą „roku pańskiego 1665" w *Pamiętnikach*. Pasek czyni go odpowiedzialnym za wzniecenie krwawej wojny domowej między wojskami marszałka Lubomirskiego a wojskami króla. Pomstując na biskupa pisze, że „krew braterska za twoją radą i okazją wylana, te pracowite ubogich ziemianów (plony) i wyszana substancja, uznasz, jakimi na sądzie strasznymi staną się instygatorami! Wątpię, żeby cię tam zasłoniły te francuskie talery, których na machinacje nabrałeś, a potem kurwom rozdałeś. Albo rozumiesz (że ja, co to piszę), nie dowiodę, kiedy będzie potrzeba? Wiem na cię sekretów, nie duchownej osobie należących, wiele, a nade wszystko mam kartkę od ciebie do jednej mężatki ordynowaną z tak wszetecznym stylem, że i Sodomskie miasta, nie wiem, jeżeli taką praktykowały metodę. Do kogoś to pisał, przypomnij sobie choć po tym terminie, który napisałeś w dopisku w te słowa: «Twoje śliczne i oczom moim milusieńkie pozdrawiam drobiażdżki i one jak najprędzej pocałować zyczę». Co to za drobiażdżki? Wytłumacz mi, czy to oczy, czy to palec, czy co innego? Choćbym rzekł: dzieci, i tak rozumieć nie mogę, bo tamta dama żadnego natenczas dziecka nie miała, gdyż też niedawno bardzo poszła była za męża. O księżu kurzej u, gdybym ja był mężem tamtej żony, a wiedział o takich amicycjach, jako i tamten nieborak dowiedział się, znalazłżeby ja na cię sposobu, żebym z ciebie uczynił prawdziwego kapłona i potrafił w to, żebys był namiśnikiem mądrego Orygenesza, co się to z cudzymi delektujesz drobiażdżkami... Już ja wiem, żeby twoje własne pić prosiły, gdyby mi się w garść dostały. Są też to i inni prałaci, biskupi, kolegowie twoi; patrzaj na postęпки krakowskiego, poznańskiego, płockiego, kijowskiego i innych, wszak to ludzie jako i ty, a słyhaćże na nich, aby podobieństwo postępków twoich zacny pasterzu? Świeciłeś się na pasterstwo owczarni Chrystusowej; ja bym tobie i kmie-

cej obory, gdzie krowy stoją, nie dał w komendę. Dobrze to w tobie upatrzył wielki i pierwszy w tej Rzpltej senator, J-o Mość pan kasztelan krakowski, kiedy w liście swoim te do ciebie protulit (napisał) słowa: «Trzeba by na WM. MPana takiego drewna, którego by sutanna, choć z najdłuższym ogonem, nie przykryła»."

Pasek należał do gorliwych i pobożnych katolików, chwalił biskupów krakowskiego, poznańskiego, płockiego i kijowskiego, nie mógł jednak darować sobie gromów i wytyków z powodu tak charakterystycznych obyczajów arcybiskupa i pierwszego po królu dostojnika państwowego. Jakim prawem Pasek przejął i zatrzymał list arcybiskupa, powierzony przez tegoż arcybiskupa sekretnie celem oddania damie, do tego się nie przyznał.

Nienawiść polityczna, jaką szlachta żywiła do arcybiskupa Prażmowskiego, uwidoczniła się w poczynaniach konfederacji w Gołębiu w roku 1672. Konfederacja ta wydała wyrok, mocą którego Prażmowskiego pozbawiono urzędu prymasa, skazano na zamknięcie w klasztorze, na konfiskatę dóbr arcybiskupich. Prażmowski zamknął się w Łowiczu i odwołał do papieża. Spór o to, kto jest kompetentny do sądenia politykującego biskupa, Rzym czy Polska, przerwała dopiero śmierć Prażmowskiego w roku 1673.

* *
* *

Oznaką jurysdykcji kościelnej proboszcza nad parafianami były żelaza, tzw. kuny, wbite w budynek kościelny. Zasięg tej jurysdykcji był olbrzymi, gdyż nawet gromadzki wójt mógł być w kunie zakuty, przy czym proboszcz mógł lżyć go i obiecywać jeszcze dołożyć mu kijami. Przykładem, jaki obyczaj panował w odnoszeniu się proboszcza wiejskiego do chłopów i jak proboszczowska jurysdykcja wyglądała, jest zdarzenie z roku 1720 w Krzeszowie, należącym do „państwa suskiego". Według sądowej inkwizycji obraz zajścia był następujący:

Jakieś bractwo kościelne z Krzeszowa urządziło procesję do kościoła w Suchej. W procesji wziął udział między innymi także wójt z Krzeszowa, który był w tym bractwie „najstarszym bratem i podskarbin". Gdy procesja z Suchej wróciła do Krzeszowa, nie zastała proboszcza, a że kościół był zamknięty, więc złożyła pod dzwonnica obraz i chorągwie. Gdy jednak chłopiec organisty przyniósł klucze i odemknął drzwi do kościoła, poznoszono tam owe rekwiizyty, po czym wójt kościół zamknął i wzięwszy klucz ze sobą poszedł do domu. Na trzeci dzień okazała się potrzeba ochrzczenia dziecka, wobec czego Tomasz Wątroba udał się po klucze do wójta. Wójt w towarzystwie dwóch sąsiadów, Magiery i Kadeli, przyszedł do plebana i kładąc klucze na stół, tłumaczył się i przeproszał, iż wcześniej kluczy oddać nie mógł, gdyż go w domu nie było. Pleban wzięwszy klucze — jak stwierdza protokół zeznań świadka — „wraził mu ich za pazuchę i kazał mu pójść kościół odmykać, besztając go słowy nieuczciwymi. Wójt poszedł z sąsiadami, powiesił klucze na wrzeciądze kościelnym. I.M.X. Pleban, przyszedłszy, wzięwszy wójta jedną ręką za piersi, drugą za łeb, wsadził go do kuny." Potem wszedł do kościoła, porachował komunikanty i oświadczył, że mu ich 16 brakuje, a po ochrzczeniu dziecka wrócił na plebanię. Sąsiedzi, litując się nad wójtem, chodzili gromadnie prosić plebana, by wójta z kuny wypuścił, lecz bezskutecznie. Wójt siedział w kunie od rana aż do popołudnia, szerniał w niej, a sąsiedzi wodą go oblewali, bo widocznie mdlał. Świadek Walenty Wątroba też próbował interweniować u proboszcza, ale proboszcz postraszył go strzelbą. Drugi świadek, Wojciech Żmija, „słyszał, kiedy kijów na wójta szukali i już wójta nie odstępował, obawiając się, żeby go w kunie kijem nie bito, tak jak wyrażano". Wreszcie po południu pleban wójta z kuny zwolnił, wygrażając mu laską, a od bicia wyprosił go dopiero urzędnik krzeszowski. Dostało się przy tej sposobności trochę wymyślań i urzędnikowi, który jako świadek zeznał, że pleban wołał pod jego adresem: „w zamku sprawiedliwości nie czynią, uczynią

ją sobie sam, czyli cię Pan Bóg czy diabeł przyniósł, bo ja bym był wójtowi dobrze boki obłożył".

Zajście to stało się powodem wytoczenia sprawy sądowej nie proboszczowi o gwałt, popełniony na wójcie, lecz wójtowi... o przytrzymanie kluczy kościelnych.

Wzmianki o zakończeniu tego niezwyklego procesu „Księga sądowa gromad państwa suskiego” nie zawiera.

* *
*
*

Stosunek proboszczów do podwładnej służby kościelnej i plebańskiej oraz „wytrykusów” nie był najlepszy, co widać z aktów, z dochodzeń w czasie wizytacji i z procesów sądowych. Księga sądów przełożonego kolegiaty sądeckiej, z której wyroki przytacza Morawski w monografii pt. *Sądeczczyzna* — zawiera też wyroki z lat 1521—1523 w sporach proboszczów ze służbą kościelną. Kościelny z Kaniny skarży proboszcza swego o zasługę w kwocie 1 grzywny i o 1/3 część „obrywków”. Ks. Jakub z Żeleźnikowej skarży plebana Ciężkowskiego o 4 1/2 grzywny zasługi. Przy tej okazji pleban lży go złodziejem. Plebana tego skarży także wikary i kościelny o zasługi. Księża gospodyni, Zofia Russakowa, wraz z dziewczką służebną zaskarżyły proboszcza z Lipnicy Niemieckiej, ks. Wacława Gwoździa, o zaległą zasługę. Ksiądz broni się wzajemnym pozwem, w którym żąda od swej gospodyni zwrotu skradzionej łyżki srebrnej, pieprznicy, cynowych talerzy, nasion ogrodowych, worków na sery, naczyń drewnianych, słoniny, masła, konopi i rzekomo zgubionych pieniędzy. Naczyniami liturgicznymi, dochodami kościelnymi, np. dziesięciną, dokonują proboszczowie różnych transakcji. Proboszczowie z Kaniny i Pisarzowej, aby dostać pieniądze, dają w zastaw kielichy kościelne. Ks. Ciężkowski sprzedał szlachcicowi, Janowi Drepie, z Tanaszowej prawo poboru dziesięciny we wsi Świńniarsku i zastawił kielich, którego wykupienie nakazał mu sąd kościelny pod zagrożeniem klątwy. Proboszcz z Lipnicy Nie-

mieckiej sprzedał niejakiemu Stanisławowi Boczkowskiemu prawo dziesięcinne, przysługujące biskupowi. Księdzu Friedlowi z Nawojowej sąd kościelny pogroził klątwą, jeśli nie zwróci kościołowi rozpozyczonych pieniędzy i sprzedanych kielichów.

Takie przestępstwa zdarzają się, mimo że nadzór nad skarbcami i dochodami kościelnymi mają opiekunowie kościoła pochodzący z grona osób świeckich. Vitricus posiadał w XVI wieku więcej praw niż dzisiejsze dozory kościelne, mógł bowiem zapożywać przed sąd kościelny źle sprawującego się plebana, w jego też ręku znajdowały się klucze od skarbcza kościelnego i skarboxy, on też prowadził zapiski dochodów i rozchodów kościelnych. W Choczni pozostały po takim „wytrykusie” dokładne, prowadzone wspólnie z proboszczem, zapiski dochodów z woreczka i stołu za lata 1651—1674, a następnie 1699—1714. W 1714 roku proboszcz z wytrykusem zaprzestali prowadzić zapiski, albowiem gdy w sześciu dniach świątecznych miesiąca stycznia suma wszystkich ofiar wynosiła zaledwie 3 grosze i 11 szelągów, stracili obaj humor, a pleban zapisał: „darmo papier psuć, kiedy nie masz co pisać, bo to causavit calamitas wielka ludzka, którzy vix spirare possunt sub onere contributionum”. Odtąd też już nic nie zapisywali.

W Krościenku sądeckim dozór kościelny procesował się w roku 1520 z księdzem o zwrot nakładów na kościół i o zwrot zabranych ze skrzynki kościelnej pieniędzy. Sąd nakazał sprawić skrzynkę nową, od której klucze miał mieć wytrykus. Widocznie krościeńscy wytrykusi nie cieszyli się względami plebana, bo ich lżył, za co skarżyli go, sąd zaś nakazał plebanowi poprawnie się zachować. Proboszcz ten miał jeszcze proces o zelzenie starosty żydaczowskiego, Jerzego Zbożnego. Wytrykusami byli chłopci, np. w Choczni pochodzili oni z chłopskiej rodziny Capów. Urząd ten pełnili też szlachcice, jak np. Tomasz Nawojowski w Nawojowej lub Wiernek Łososiński z Tropia Łososiński, jako wytrykus, prowadził proces z proboszczem

o dochody kościelne z pola i o zwrot pieniędzy i kościelnych krów, które pospłacała do rąk proboszcza szlachta pod grozą klątwy kościelnej. Czasem też sołtys i gromada ujmuje się za kościołem, jak to było np. w Pisarzowej, gdzie zaskarżyli proboszcza, że bez przyzwolenia wytrykusów zabrał pieniądze ze skarbca kościelnego. Ksiądz nawzajem skarżył kmiecia o zwrot roli kościelnej, lecz sąd potraktował proces ten jako napaść niesprawiedliwą na chłopą i skazał proboszcza na ponoszenie kosztów procesowych, gdyż rola, rzekomo kościelna, słusznie należała się chłopu.

Instytucja kościelnych wytrykusów przetrwała do XIX wieku. Prawo i obowiązek ustanawiania wytrykusów, zwanych także prowizorami, miały dominia, a prowizorowie mieli charakter urzędników gromadzkich. Jeszcze w roku 1808 dominium zatorskie, „widząc konieczną potrzebę: 1-o ustanowienia pisarza gromadzkiego, 2-do tudzież ustanowienia dwóch nowych prowizorów do Kościoła Rzyckiego, czyli kasy kościelnej potrzebnych, 3-tio niemniej obrania nowego leśnego”, zwołało urząd gromadzki oraz „młodszą gromadę”, a na tym zebraniu ustanowieni przez dominium prowizorowie, Tomasz Lorenz i Benedykt Ziomkowski, złożyli „jurament” według następującej roty:

„Ja Tomasz, ja Benedykt przysięgamy Panu Bogu Wszchemogącemu w Trójcy Św. jednemu, jako będąc ustanowieni za prowizorów do Kościoła Rzyckiego do odbierania wszelkich prowentów, do kasy kościelnej należących, takowe prowenta z wszelką regularnością i ostrożnością do regestrów kościelnych z wiadomością JMci Xiędza Plebana naszego przez Pisarza Gromadzkiego punktualnie zapisywać tudzież expensa wszelkie na potrzeby kościoła wypadać mające, nic sobie z tych nie przywłaszczając, podobnie zaciągając i oraz przed Zwierzchnością Dominikalną corocznie z tychże oercept i expens rachować się będziemy i przyrzekamy, tak nam Panie Boże dopomóż. Tak przysięgliśmy Tomasz Lorenz — Benedykt Ziomkowski.”

* *
*

W biskupim więzieniu na zamku lipowieckim do niedawna jeszcze pokazywano malowidło na ścianie przedstawiające postać zakonnika, obok której wymalowane były dwa symboliczne serca. Bo też i niejednego z księży „sprawy sercowe”, zbyt skutkiem celibatu powikłane, sprowadzały do murów Lipowca. Kot w książce *Szkolnictwo parafialne w Małopolsce XVI—XVIII wieku* przytacza — na podstawie zbadanych w krakowskim konsystorzu aktów wizytacji biskupich — zapiski o różnych grzechach i występkach, o jakie się wzajemnie oskarżała sama elita parafialna: proboszczowie, wikarzy, diakoni, klechy i bakałarze z różnych parafii w diecezji krakowskiej.

Przytaczamy niektóre.

Wikariusz w Lanckoronie, Jan Gomółkowiec, opowiadał przed wizytatorem biskupim, że diakon Gallus Krzysztof Ropuszkowiec, rodem ze Skawiny, nie umie śpiewać godzinek brewiarza, chłopcom pozwala na zuchwałe mowy, ochrzcił też dziecko proboszcza z Lencz, krewnego swojego, zrodzone z konkubiny, aby ukryć winę proboszcza. Zwykł się też upijać u pana Paszkowskiego w Wysokiej gorzałką, dwukrotnie wybrał się na całą noc do Lencz, na Wielkanoc się nie spowiadał ani nie komunikował, aż mu wreszcie proboszcz kazał iść do spowiedzi do kalwaryjskich zakonników. Gdy zaś wizytator przesłuchał tego diakona, dowiedział się od niego, że oskarżający go wikary to pijak.

W Skale oskarżył klecha proboszcza z Mironic, że tamtejszy kierownik szkoły zastał go na grzesnym uczynku z konkubiną Zofią. Proboszcz Pękowski z Jędrzejowa opowiadał znów wizytatorowi o wikarym w Jemielnie, że przed mszą pobił się w kościele z klechą z powodu żony tegoż klechy, która często zachodziła do wikarego. Jeszcze gorsze sprawki opowiedział proboszcz z Gostynina o córce bakałarza i pro-

boszczu w Krzyżanowicach. Córka bakałarza nieżywe niemowlę ukryła w garnku, a proboszcz, wiedząc o tym, nie dopuścił do śledztwa, bo sam był współwinny zabójstwa.

Proboszcz Wargocki ze Starego Sącza opowiadał o konkubinach proboszcza z Bieganic, o którego klóciły się żona kierownika szkoły ze Stanaszkową, księżą gospodynią. W Żmigrodzie bakałarz czatował na księdza, aby go przychwycić na stosunkach z niejaką Bednarką, we Frysztaku zaś właściciel miasteczka, Ankwicz, i członek dozoru kościelnego, Beresa, oskarżyli proboszcza, że ten, jak było morowe powietrze, mieszkał w domu szkolnym z żoną mieszczanina Mazura.

W Bodzęcinie kazał biskup wydać klechę jako tęgiego rozpustnika, pijaka, mającego stosunki z kobietami, które ukradkiem od niego wychodziły. Za te wszystkie wybryki skazał go biskup na cztery tygodnie więzienia, z postem o chlebie i wodzie co sobotę, które miał odsiedzieć w dzwonnicy przy kościele pod grozą wydalenia go z całej diecezji.

Rzecz jasna, że te sprawy księży i klechów nie bardzo budowały ludzi, toteż spotykali się oni czasem z dosadną krytyką parafian. Kierownik szkoły w Staszowie, zwący się Stanisław z Wadowic, opowiedział na ten temat wizytatorowi biskupiemu takie zdarzenie: Proboszcz Paweł z Pajęczna, gdy chodził po kołędzie, zaproszony został do starego wójta. Tam jakaś kobieta nagadała wiele obelg na niego i na cały kler, czym oburzony rzucił na nią kielichem, lecz na szczęście nie trafił. Są takie zdarzenia, że proboszczowie i wikarzy konkubiny swoje wydają za mąż za klechów i organistów albo też synom swoim posady klechów nadają. Ten pierwszy wypadek zdarzył się w Kazanowie, w Odechowie, w Kościelcu, w Chechle i w Bolechowicach. W tej ostatniej miejscowości konkubina stanowiła nadal współwłasność proboszcza Krasicy i klechy Adama. Księżę dzieci były na posadach kościelnych w Gierałtowicach koło Zatora, w Lipniku i w Irzmanowicach. Gdy wizytator przyjechał do Gierałtowic, proboszcz znikł na czas wizytacji, a klecha prosił o zwolnienie od zeznań, gdyż

jest synem proboszcza. Proboszcz w Lipniku wypędził kleryka, zabrał jego dochody, a obowiązki te powierzył dwóm synom, których miał z konkubiną. Przy ołtarzu zaś za ministranta usługiwały mu do mszy córki.

Późniejszy proboszcz w Lipniku, Kędziński, też nie był lepszy. Gdy przyjechał biskupi wizytator, ukrył on w szkole 4-tygodniowe niemowlę, które miał z konkubiną. Do wizytatora przyszli gromadnie chłopcy, przyrzekając przejść na katolicyzm, jeśli dostaną proboszcza Niemca, bo „ks. Kędziński służy kucharkom, a nie kościołowi; jedno dziecko umiera, a drugie mu się rodzi”. W Pałecznicy zięć proboszcza był kierownikiem szkoły.

Częste są skargi na uwodzenie przez księży córek kierowników szkół. Proboszcz w Krzeszowicach chował przy sobie taką córkę kleszą, która z proboszczem w Chruszczobrodzie miała syna. Częste też są oskarżenia księży o pijaństwo. Wikarego z Dąbrowej oskarżył kierownik szkoły ze Straszęcina, że spowiada po pijanemu. „Półduchowny” z Wietrzychowic, Kasper, pochodzący z Jodłowej, oskarżony był o to, że chowa konkubinę, że wiele dziewcząt w parafii przyprawił o brzemiennność, a porubstwa wcale za grzech nie uważa. W Rybiu składali o sobie relacje kierownik szkoły i proboszcz. Proboszcz pochwalił kierownika, natomiast kierownik skarżył się na proboszcza, że go po pijanemu ściga i bije, gdy dzwoni na Zdrowaś Maria, a nadto zadenuncjował go, że kiedy jeszcze proboszcz był kierownikiem szkoły, czyli kandydatem na księdza, to już miał trzech synów z konkubiny. O podobną sprawę oskarżył też wikarego Kaspra Nalepę w Kleczach kolega wikary z Brzezin. Bakałarz Głuchowski opowiedział wizytatorowi o proboszczu z Siedlisk, jak to konkubina i służąca Zofia Kopcia spotkała go na grzesznym uczynku z małą dziewczynką, a oburzona tym przesiedziała jakiś czas u tegoż Głuchowskiego. W Trzcianie zadenuncjował klecha proboszcza i wikarego o bójki i kobiety, a w Starym Lelowie wójt oskarżył wikarego z Irządza, że oprócz utrzymanki w Lelowie miał ponoć

jeszcze syna z córką kierownika, wdową w Irządzu. Są to wszystko oskarżenia z aktów biskupich.

Ilu z tych oskarżonych siedziało na zamku w Lipowcu — stanowiącym więzienie stanu duchownego — nie wiadomo. Na pewno siedział tam ks. Janowski z Kościelca, gdyż klecha potwierdził to przed wizytatorem biskupim. Karcer ten dostał za to, że miał dzieci z zamężną córką kierownika szkoły. Klecha w Kiełczyźnie, będący szpiegiem i donosicielem konsystorskim, wręczył wizytatorowi w porozumieniu z proboszczem, kantorem i dzwonnikiem spis dowodów niemoralnego życia wikarego, ks. Walentego Frelskiego. W spisie tym przytoczono słowa wikarego: „że będę na Lipowcu, nic to, nie dadzą mię przecie ani utopić, ani ściąć”. Nie najgorzej więc wówczas musiało się powodzić więźniom lipowieckim, skoro więzienie to zgrozy w nich nie budziło i od prowadzenia rozwiązłego życia ich nie odstraszało.

*

Jedną z cech poddaństwa osobistego ludności wieśniaczej było często wspomniane „prawo pierwszej nocy” (*ius primae noctis*), mocą którego posiadacz dóbr, świecki czy duchowny, mógł pierwszy po ślubie swej poddanki skorzystać z praw męża. Na zachodzie Europy prawo takie podobno uznawane było we Francji. Wyroki parlamentu paryskiego na biskupów z Amiens z lat 1393, 1401, 1409 i 1505, zakazujące pobierania podwładnemu im duchowieństwu specjalnych opłat za pozwolenie małżonkom zbliżenia się do siebie po ślubie, wskazywałyby, że istniały specjalne opłaty, objęte taryfami, ustalonymi przez biskupów, uiszczane duchowieństwu za zrezygnowanie z prawa pierwszej nocy.

Czy w Polsce uznawano istnienie prawa pierwszej nocy, to rzecz nie stwierdzona. Zdaje się, że tam gdzie dochował się zwyczaj zapisywania gospodarstwa najmłodszemu synowi, prawo pierwszej nocy było wykonywane. Skoro bowiem pierw-

sza noc mężatki należała do pana, mąż jej nie był pewny, czy jest ojcem pierwszego dziecka, dlatego wolał gospodarstwo zapisać najmłodszemu. Znane były w Polsce, zwłaszcza na Rusi, opłaty pobierane przez panów świeckich i duchownych od kobiet wychodzących za mąż do obcych wsi. Opłatę taką nazywano kunicą. Wstydząc się nazywać ją po polsku odpowiednim słowem, urobiono dla niej nazwę z łacińskiego słowa *cunnus*, które oznaczało narządy płciowe kobiety. W Polsce podobną opłatę jeszcze w wieku XIII pobierali panowie świeccy i duchowni w formie symbolicznego miodu od dziewczyc i wdów, zwaną dlatego dziewczycze i wdowicze. Książęta wrocławski, Henryk Brodaty, i mazowiecki, Konrad, potraktowali te opłaty jako nadużycia i zakazali ich poboru. Według pańszczyźnianej „ordynacji”, wydanej w roku 1568 przez Mikołaja Sieniawskiego z Sieniawy dla dóbr stryjskich, istniały tam jeszcze opłaty od pozwoleń na ślub i na rozwód, a w szczególności poddani „kunicę pojemszczyzny, gdy dziewczka za mąż do innego państwa idzie, po złotemu dać powinny; na wdowy kopę (60 gr, tj. 2 złp) winni jako dawano; rozpustu od małżeństwa złotych siedm”. System dworskich konsensów małżeńskich zastosował dziedzic Starowieyski w Choczni. Dochowały się zapiski pięciu takich konsensów ze stycznia 1782 roku. Dalszych nie ma, gdyż patentem z 22 kwietnia 1782 roku praktyk tych wzbroniono.

Poddaństwo osobiste chłopów w Polsce w XVII wieku przeistoczyło się w niewolę. Szlachta, poduczyszy się w szkołach prawa rzymskiego, stosowała jego postanowienia dotyczące niewolników do swych poddanych. Poddanych traktowano jako przedmiot martwy, który wolno panu „dać, darować, zafrymarczyć, sprzedać”. Przykładem takiej transakcji jest kontrakt darowizny zawarty między Łukaszem Starowieyskim, dziedzicem wsi Gierałtowic pod Zatorem, a proboszczem z tejże wsi, mocą którego proboszcz otrzymał od Starowieyskiego prezent w postaci... chłopca Balcera Wilczka na organistę — „aby pilnie i wiernie służył”.

Poddaństwo osobiste polegało nie tylko na zakazie opuszczania dóbr zwierzchnika gruntowego, ale także na skrepowaniu swobody poddanego przy zawieraniu związków małżeńskich. W parafiach krakowskiej diecezji proboszczowie jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku ograniczali pod tym względem wolność swych parafian-chłopów, i to w sposób nie dający się pogodzić z ustawami kościelnymi. Według przepisów kościelnych chłop, żeniący się w obcej wsi, mógł bez przeszkód i trudności wziąć ślub w kościele i przed proboszczem swojej narzeczonej. Jedynie tylko zapowiedzi powinny być wywołane tak w parafii narzeczonej, jak i narzeczonego. Wbrew przepisom proboszczowie wprowadzali faktyczny przymus zawierania małżeństw wyłącznie tylko przed proboszczem narzeczonego. Gdy więc narzeczoney chciał się żenić z kobietą z innej parafii, musiał sprowadzić ją na ślub do swej parafii albo też od swego proboszcza uzyskać licencję na ślub w parafii, z której pochodziła jego narzeczona.

Za takimi licencjami żeniło się w Choczni w połowie XVIII wieku kilkunastu chłopów, pochodzących z innych wsi, z parafiankami chocheńskimi, i tym proboszcz chocheński, ks. Bylina, udzielał ślubu na podstawie wyraźnego zezwolenia *de expressa licentia* — jak to sam zaznaczał w księgach metrykalnych — wydanego przez proboszczów parafii, z których pochodzili żeniący się chłopci. Od kobiet, wychodzących za mąż, a pochodzących z innych miejscowości, proboszcz takich licencji nie wymagał.

Przyczyny tej praktyki proboszczów wyjaśniają zapiski w księgach sądowych wiejskich i aktach ziemskich o masowym zbiegostwie chłopów ciemżonych na Śląsk i do Węgier i pozostawianiu „pustkami” domów w dobrach ziemiańskich, plebańskich, skarbowych, klasztornych, skutkiem czego posiadaczom tych dóbr odpadały dochody i korzyści z pracy pańszczyźnianej zbiegów. Wyludnienie wsi podniosło wartość pozostałych ludzi, zwłaszcza mężczyzn, toteż w niewypuszczaniu ich do obcych wsi jednakowo zainteresowany był szlachcic, ple-

ban, dzierżawca królewskiej, klasztor, posiadacz sołtystwa czy też wybraniectwa. Ożenek chłopca w obcej wsi bardzo łatwo mógł spowodować przeniesienie się jego do tej wsi, zwłaszcza jeżeli tam dola chłopów była znośniejsza. Toteż w celu uniemożliwienia takiego „przyżeniania się” w obcych wsiach wymyślono kontrolę w postaci „licencji małżeńskich”, połączoną z przymusem brania ślubu przed proboszczem narzeczonego. Proboszcz, gdy miał podejrzenie, że chłop po ożenieniu się do jego parafii nie wróci, nie wydawał mu „paszportu na ślub”, proboszcz zaś w parafii narzeczonej ślubu bez takiego paszportu nie dał, stojąc w ten sposób na straży tego nowego zwyczaju, zaprowadzonego wbrew ustawom soboru trydenckiego, przyjętym przez Kościół w Polsce na synodzie w Piotrkowie w roku 1577, co do których istniała jednak wątpliwość, czy obowiązują w parafiach księstwa oświęcimskiego, zwłaszcza w tych, które podczas soboru trydenckiego były protestanckimi. Toteż w tych parafiach nawet „tajne małżeństwa”, zawarte bez udziału plebana, mogły uchodzić za ważne. Z takiej formy zawierania małżeństw mogli korzystać chłopci zbiegli z dóbr szlacheckich i kościelnych bez obawy, że proboszcz zdradzi ich miejsce pobytu. „Licencja” w ręku proboszcza była środkiem policyjnej kontroli nad życiem prywatnym chłopca i służyła do ograniczenia mu możliwości zmiany miejsca pobytu i osoby pańszczyźnianego zwierzchnika. Proboszczowie wykonywali zatem policję pańszczyźnianą w interesie tak swoim, jak i wszystkich posiadaczy ziemskich.

Poddaństwo osobiste, polegające na przywiązaniu chłopca do majątku zwierzchnika pańszczyźnianego i zakazie opuszczania tego majątku, kończyło się z chwilą, gdy chłop się zestarzał i pracować nie mógł i gdy przy rodzinie swojej utrzymania nie miał. Takiego nędzarza starał się szlachcic, pleban, klasztor, dzierżawca dóbr skarbowych jak najprędzej pozbyć i zdać go na łaskę opatrzności miłosiernych ludzi. Już w XV wieku żebractwo tak się w Polsce rozszerzyło, iż w roku 1496 król Jan Olbracht wydał specjalny statut, w którym — jak

pisze Groicki — zarządzono, „aby żebracy w mieściech, w miasteczkach i we wsiach pod pewną liczbą a pod znakiem plebanim albo radzieckim chodzili. A którzy by byli krom znaku, ci mają być staroście wydani, a obróćeni na robotę zamkową. Wszakże którzy by robić nie mogli, tym przełożeni miejsca onego mogą dać świadeczne listy, za którymi by mogli bezpiecznej bez znaków indzie jałmużny prosić.” Zdaje się, że to numerowanie i znakowanie zestarzałych nędzarzy („dziadów” i „dziadówek”), oddanych pod kontrolę plebanów, rajców i starostów, niewiele pladze żebractwa zapobiegło, bo falangi „wolnych”, wędrujących żebraków były olbrzymie. Przykładem tego są zapisy w choczeńskich księgach metrykalnych z pierwszej połowy XVIII wieku o zgonach tych żebraków, zwanych mendici, vetulae i pauperi. W szesnastu latach objętych zapisami metrykalnymi zmarło ich w parafii choczeńskiej aż 47. Nazwisk wielu z nich nie zapisano, gdyż byli nieznanymi przybyszami z dalekich stron. Jednego żebraka w roku 1714 wilk zadusił, a w tymże roku jeszcze trzech takich nędzarzy z głodu zmarło. W następnych latach pogrzebano ubogą „powsinogę beskidzką”, Dorotę z Gorzenia, Katarzynę z Przybradza i Grzegorza de Głambowice. W latach zarazy, 1736 i 1737, żniwo śmierci między nędzarami było obfite. W marcu 1736 roku pogrzebano na choczeńskim cmentarzu sześciu wędrownych żebraków, w kwietniu czterech, a w lutym 1737 roku aż dwunastu tak miejscowych, jak i zamiejscowych biedaków. To wszystko działo się w czasie, gdy Kościół posiadał ufundowane przez pobożną szlachtę olbrzymie bogactwa ziemskie, które ówczesni prawnicy określali jako „majątek ubogich” — patrimonium pauperum, Ubodzy korzystali z tego majątku po śmierci... gdy ich grzebano w ziemi kościelnej na cmentarzu.

* Kościół w Polsce był potęgą organizacyjną olbrzymią, toteż Polska była niejako drugim państwem kościelnym w Euro-

pie. We władaniu Kościoła była szósta część polskiej ziemi. W XVII wieku liczyła Polska około 12 500 duchownych przy blisko dziewięciu milionach mieszkańców. Oprócz tego dziesiąta część dochodów z ziemi szlacheckiej i chłopskiej dostawała się duchowieństwu w postaci dziesięciny. W wielu parafiach wprowadzono jeszcze drugą dziesięcinę zwaną taczmem, osepem, meszmem, stołowem itp. W ten sposób nie dziesiątą, ale piątą część plonów zabierał kler szlachcie i chłopom. Co dziewiąty człowiek w Polsce był poddanym jeśli nie jakiegoś klasztoru, to biskupa, kapituły, kanonika czy plebana. Do najbogatszych instytucji kościelnych należało biskupstwo krakowskie. Biskup krakowski był udziałnym księciem siewierskim, a dochody jego wynosiły około 600 000 złotych rocznie. Książętami byli także biskupi warmiński (książe warmiński), płocki (książe pułtuski), a nawet proboszcz płocki był księciem wieluńskim i miał w poddaństwie około 900 szlachciców. Biskupstw Polska miała 18, klasztorów około 600, w których żyło 5000 mnichów, posiadających święcenia kapłańskie, a co najmniej dwa razy tyle mnichów bez święceń kapłańskich. W samej Galicji, w chwili gdy przechodziła pod rządy austriackie, było 3423 osób zakonnych. Obok posad i stanowisk w Kościele duchowieństwo sprawowało wiele urzędów świeckich, a między nimi niezwykle ważny urząd kanclerski. Zasiadało też w trybunałach, pobierając za to wynagrodzenie. Przez sądownictwo zaś kościelne panowało ono także nad majątkami i sprawami prywatnymi świeckich. Elita, licząca według Korzona 30 000 uświęconych osób, zjadała co najmniej połowę dochodu narodowego, a zażywając przywilejów, nadanych przez królestwo niebieskie i królestwo polskie, panowała nad całym społeczeństwem i sumieniami obywateli.

Opływając w przywileje i dostatki elita ta zapomniała o swym posłannictwie, a chęć użycia połączona z chciwością na pieniądze doprowadziła ją do zwyrodnienia. Instytucje, urzędy i stanowiska kościelne stały się rozsądnymi i krzewicielami zepsucia obyczajów, ciemnoty i zabobonu.

Nie „powołanie” kapłańskie, lecz zwykły interes materialny możliwych rodów szlacheckich decydował, kto ma być takim czy innym dygnitarzem kościelnym i czerpać z tego tytułu dochody. Nawet akta kapituły krakowskiej rzucają niekorzystne światło na niektórych biskupów. W roku 1551 kapituła krakowska dokonała wyboru delegatów na synod kościelny zwołany do Piotrkowa. Wybranych delegatów, w osobach archidiacona Bartłomieja Gątkowskiego i Wojciecha Kijewskiego, wręczyła ona „instrukcję pisemną”, opracowaną przez kanoników Kromera, Myszkowskiego i Górskiego, aby wiedzieli, czego mają się na synodzie domagać.

Instrukcja „obrabia” najpierw arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa Mikołaja Dzierzgowskiego. Zarzuca mu, że jedyną jego troską jest brzuch, pokarm, pijatyka, wyspanie się i różne rozkosze i że na tym mu schodzą lata, miesiące i godziny tak, jak gdyby to było funkcją biskupią, przepisaną kanonami i Pismem Świętym. Urzędu swego nie spełnia należycie, toteż szerzą się herezje wśród księży, a biskup śpi; nie zwołując na narady biskupów, kapituł, ludzi uczonych, senatorów, nie zarządzając wizytacji po diecezjach, dopuszcza, że i biskupi z małymi wyjątkami wszyscy зараżeni są luteranizmem i też nie nadzorują podwładnego kleru.

Po prymasie kapituła wymalowała konterfekt krakowskiego biskupa Zebrzydowskiego. Przytacza ona wszystkie niepoehlebne wieści i pogłoski, jakie o nim krążyły, uznaje je widocznie za prawdziwe, skoro domaga się wkroczenia synodu celem zaprowadzenia reformy i porządku. Otóż — według tej instrukcji — biskup Zebrzydowski nie obserwuje postów, pochwała komunie pod obiema postaciami, a nawet pomawiany jest o bezbożnictwo, a to z tego powodu, iż publicznie miał bluźnić wyrażając się, że Mojżesz, Mahomet i Jezus to byli trzej znakomici szarlatani (impostores), którzy świat cały uwiedli i ogłupili, że biskup ewangelistę św. Mateusza wzgardliwie niby chłopca nazywał „Maćkiem”, śmiejąc się z podania jego o niepokalanym poczęciu Marii. „Jego Wielebność” za-

przeczał bóstwa Chrystusa, twierdząc, że nie jest Synem Bożym, ale synem Abrahama, Dawida i Józefa, przy czym odwoływał się do ewangelisty, który pisząc rodowód Chrystusa napisał, że „Jezus zrodzony z Marii, której mężem był Józef”. Czyż może chrześcijanin-katolik wymyślić okropniejsze bluźnierstwa?

Tym bezbożnictwem swego biskupa kapituła krakowska była najbardziej zgorzozona. Choć dziwne to jest, gdyż Zebrzydowski na zamku w Bodzentynie stały sąd biskupi urządził do sądenia podejrzanych o herezję i tępił heretyków niemiłosiernie. Kapituła oskarża dalej biskupa, że zagrabił pieniądze, przeznaczone w roku 1548 przez księcia pruskiego Albrechta na zapomogę dla pogorzalców Wolborza, że obrabował poddanych w diecezji kujawskiej na podróż swą do Węgier. Co więcej! Podczas wizytacji Pomorza porwał w Gdańsku dziewczynę, trzymał ją w Wolborzu u siebie i miał z nią córkę, córce zaś tej wyprawił chrzciny, nie pilnując interesów Kościoła w walce z protestantami pińczowskimi. Oprócz tej dziewczyny biskup Zebrzydowski miał jeszcze i inne kobiety, a nawet mniszki uwodził i hańbił. „Te skandaliczne wieści o Jego Wielebności powtarzają sobie wszyscy, tak wielcy, jak i mali, bawiąc się jego osobą z wielkim ubliżeniem jego godności kapłańskiej i biskupiej.” Wreszcie zarzucono mu, iż godność biskupią nabył za prezent, który w postaci wsi Wawrzeńczyc dał królowi, że wbrew prawom kościelnym dobra Bolechowice przyrzekł księciu Lubomirskiemu, a księstwo siewierskie dał bratu swemu, Florianowi Zebrzydowskiemu.

Kapituła krakowska wspomina w instrukcji także o biskupie poznańskim, Izdbieńskim, przedstawiając go jako chciwca i przywłaszczyciela, który pożera testamenty, grabi cudze pieniądze, nie zwraca ich i jeszcze drwi z ludzi, używając niecznych sztuczek, gdy ci domagają się zwrotu zagrabionego mienia. Podobne zarzuty stawia kapituła i płockiemu biskupowi, Noskowskiemu, który z dała się trzymał od rzeczy świętych, za to ogarnięty był żądzą posiadania pieniędzy, toteż handlo-

wał w Gdańsku zbożem, drzewem, a sprawy Kościoła zaniedbywał.

Biskupa kujawskiego, Drohojowskiego, przedstawiła kapituła jako istnego heretyka, który w czasie postów jada z rodziną mięso, uznaje tylko trzy sakramenty, a cztery odrzuca, twierdząc, że są one wynalazkiem ludzkim i diabelskim, oraz zaprzecza, by Duch Św. pochodził od Syna Bożego. Biskup ten ponoć obcuje z heretykami. O podobny występek Obwiniła kapituła także biskupa kamienieckiego i biskupa chełmskiego, Uchańskiego, przedstawiając ich jako sprzyjających lutrom. Charakterystyczne jest, że tylko ci biskupi, którzy obwiniani byli o herezję, o sprzyjanie protestantom, nie byli obciążeni zarzutami natury moralnej. Widocznie byli to w gronie biskupim jedyni porządni ludzie.

Kapituła zajmuje się też w instrukcji klerem niższym. Zdaniem jej proboszczowie i wikarzy grzeszą chciwością, co znowu pociąga za sobą nienawiść i nieprzychylność parafian. Księża, rozdzielając komunię, wymuszają przy tej sposobności datki, kto by zaś datków tych nie chciał dać, usuwają mu hostię sprzed ust.

Instrukcja wytyka, że szkoły w miastach, z których rekrutują się kandydaci na księży, nie spełniają należycie zadania, bo źle uczą, młodzież zaś oddaje się pijaństwu, wywracając się po karczmach. Gdy tacy młodzieńcy zostają księżmi, nie zmieniają obyczajów, stąd też „kapłani nasi są najtęższymi pijakami, zawsze ożarci, zawsze opici, zawsze skutkiem pijaństwa orzygani i śmierdzący pijactwem”. Toteż kapituła żąda, aby biskupi wydali zarządzenia przeciw temu rozluźnieniu w szkołach i aby nałożyli na plebanów obowiązek, aby młodzieży cugli nie popuszczali i nie pozwalali jej tarzać się po karczmach, oraz aby klechy miały wykształcenie i prowadziły uczciwe życie. Co do kapłanów, to ci — zdaniem kapituły — są „ogromnymi pijakami wiecznie ożartymi” (*maximi potatores et perpetuo timulenti*). Po całych dniach, po skończeniu nabożeństwa i po odmruczeniu godzin, wysiadują w karcz-

mach przy grach w kości, między pijakami i kobietami, gdzie nic uczciwego się nie słyszy ani mówi, pije się zaś nawet poza północną godzinę. Ksiądz z karczmy idzie wprost do kościoła odprawiać nabożeństwo.

W szczególności czasy saskie zaznaczyły się wielu nie budującymi przykładami w życiu duchowieństwa i jego naukach. Pęd za wygodami życiowymi, polityka — oto zajęcie biskupów tego czasu. Pamiętnikarz Kitowicz ubolewa, że diecezjami rządili tylko sufragani, oni wyświęcali i wiernych bierzmowali, biskupi zaś tylko parę razy na rok przy ołtarzu się pokazywali, „bo sami się rozrywkami, publikami i chwytaniem dworskich faworów zatrudniali”.

Byli i tacy biskupi, którzy żadnym kapłańskim powołaniem nie odznaczali się. Na swych urzędach kościelnych byli wszystkim innym, tylko nie biskupami. Gregoriański celibat wprawdzie skrupulatnie był przez nich przestrzegany. Żaden biskup się nie żenił, za to taki np. prymas Podoski w pałacu biskupim żył z „przyjaciółką”, a jak mu tego było mało, to wyjechał sobie „na hops” do Łowicza. Tak samo urządził się biskup kujawski, Rybiński, i biskup łucki, Naruszewicz. U każdego była gospodyni, tylko tytuł miała większy, nazywała się bowiem „starością”. Przyjęcia u biskupów nic nie miały wspólnego z franciszkańską skromnością, były to biesiady huczne, ucztę bogaczy. Gdy prymas Łubieński w roku 1764 urządził bankiet w dniu imienin księcia Augusta Czartoryskiego, przygrywała kapela i śpiewał chór nie jakichś braciszków klasztornych, ale świeckich zawodowców, między którymi znalazła się madame Farinella, włoska śpiewaczka występująca w różnych teatrach w Europie. Postępowanie krakowskiego biskupa Sołtyka zakrawało na szyderstwo z przepisów kościelnych, gdy np. w piątki urządził obiady mięsne, na które zapraszał tak katolików, jak i protestantów. W. Smoleński w książce pt. *Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII* pisze, że biskup Krasicki dziwiącemu się, że jadł w poście mięsne potrawy, odciąć się miał wierszem:

Nie zmyśli tego żadna zabobonność wściekła, Bym ja w piątek na wole zajechał do piekła, A waść miał na szczupaku dostać się do nieba...

Dlatego też i biskup poznański, Czartoryski, gdy mu na przyjęciu rodzinnym w Puławach w dzień postny dano rybę, zawołał: „co mi dajecie! mój pudel nie jadłby tego!” O biskupie poznańskim, Młodziejowskim, pisał nuncjusz Durini do papieża, że innego Boga nie zna, oprócz swojego własnego interesu.

Polityka, rozrywki, karty, „chwytanie dworskich faworów” doprowadziły w czasie powstania kościuszkowskiego dwóch biskupów... do szubienicy. Wyrokiem trybunału skazany został na śmierć przez powieszenie biskup Kossakowski, przygotowujący wznowienie konfederacji targowickiej przeciw powstaniu kościuszkowskiemu. W drodze samosądu lud warszawski za to samo powiesił biskupa Massalskiego. Drzewo na szubienicę dla niego z zapalem obciosywał w nocy przed egzekucją, 27 czerwca 1794 roku, ks. Józef Meier, który potem w czasie egzekucji wieszanych dysponował na śmierć, chodząc z krzyżem w ręku, szablą i zawieszoną na szyi stułą. Wreszcie trzeciego biskupa, Skarszewskiego, sąd skazał na szubienicę, ale wstawił się za nim nuncjusz, i Kościuszko go ułaskawił. Generał Zajączek, pisząc o tym zdarzeniu, wspomina, że oprócz nuncjusza interweniowały o ułaskawienie tego biskupa dwie nałożnice tegoż biskupa. Interwencje te okazały się skutecznymi dla skazanego na śmierć biskupa.

Przywiązanie do uciech życiowych i bogactw cechowało też kler zakonny, a spośród świeckiego kleru piastujący wyższe urzędy kościelne i korzystający z bogatszych, z urzędami tymi związanych, beneficjów. Kler niższy, zwłaszcza wiejscy proboszczowie i wikarzy, w górskich „chudych” parafiach żyli bardzo ubogo. Kler ten rekrutował się prawie wyłącznie spośród mieszczan i chłopów ze wsi królewskich i duchownych, gdyż tam synowi chłopskiemu łatwiej było uzyskać „list wy-

puśny” do szkół niż we wsiach szlacheckich. Zdarzało się, że ze wsi szlacheckiej uciekł syn chłopca kształcić się w seminarium na księdza. Los jego nie był pewny. Gdy się o tym dowiedział szlachcic, miał prawo w drodze procesu zażądać wydania kleryka, proces taki wygrywał, po czym święcenia unieważniano, a kleryk wracał do wsi do pracy pańszczyźnianej. W seminariach duchownych nie uczono wiele i dobrze, brak było profesorów, bibliotek, toteż wypuszczały one w świat księży nieoświeconych. Taki ksiądz ani kazania należycie wygłosić nie umiał, ani nie był dobrym spowiednikiem, lud więc odstręczał się od kościołów parafialnych i zaspokajał swe religijne potrzeby w klasztorach, gdzie było więcej cudów, parady, a na ambonach nie tyle mocni rozumem, ile gębą krzykacze.

Również i świecki kler wyższy nie celował zdolnościami i wiadomościami. Synowie szlacheccy niewiele się przykładali do nauk, bo i tak wyższe urzędy kościelne prawnie były dla nich zabezpieczone. Wyjeżdżali oni „pogłębiać” swoje studia do Rzymu, ale najczęściej czas wykorzystywali tam na zabawy i hulanki, które niejedni z nich zdrowiem swoim zapłacili. Ci jednak dochody mieli z beneficjów kościelnych wspaniałe, podobnie jak i proboszczowie wiejscy tam, gdzie były znacznie większe folwarki plebańskie i ludne parafie. W parafiach małych, gdzie gruntu było mało i był lichy, nieraz głód na plebanię zaglądał, podobnie jak i do chat wiejskich, bo proboszcz nie lepiej gospodarzył i nie lepsze miał urodzaje niż jego sąsiad chłop.

Przy tym w dawnej Polsce nie było żadnych praw świeckich o świadczeniach parafian na budowę i utrzymanie budynków plebańskich i kościelnych, lecz o te sprawy troszczyć się musiał w myśl prawa kanonicznego proboszcz przy pomocy kolatora z dochodów swoich, jakie ciągnął z kościoła i majątku plebańskiego. To samo postanawiał dekret króla Zygmunta Starego z roku 1525, na który biskupi powoływali się, zniewalając plebanów do budowy i konserwacji budyn-

ków kościelnych i plebańskich. Co więcej, synod wileński z roku 1744 utrzymał w mocy nakaz z roku 1726, według którego duszpasterze własnymi końmi mieli jechać z olejami św. do chorych, gdyby zaś któryś duszpasterz żądał, by mu chory posłał konie i wóz, groziła mu suspensa za to „wstrętne i skandaliczne nadużycie”. Postanowienia synodu wileńskiego wnet jednak poszły w zapomnienie, a konie i wozy plebańskie przestały służyć potrzebom religijnym parafian, służąc tylko wygodzie samego plebana.

Posiadacze posiadłości kościelnych, np. proboszczowie, wypuszczali probostwa w pacht klasztorom albo obowiązki duszpasterskie powierzali wynajętym zakonnikom, sami zaś bawili się, wypożyczali lub załatwiali komercyjne interesy w prywatnych swych folwarkach. Krakowski biskup, Gamrat, równocześnie był arcybiskupem gnieźnieńskim. W roku 1522 ks. Wojciech Skorek miał dwa probostwa, w Jakubkowicach i Wilczyskach, ks. Jakub Kurek był plebanem w Grybowie i w Mogilnie. Proboszcz w Choczni, ks. Jan z Leszczyn Bylina, był kanonikiem chełmińskim, a w roku 1752 dostał jeszcze probostwo w Inwałdzie, posiadał zatem trzy beneficja. Skutkiem takich stosunków rozwinęła się dzierżawa probostw i dochodów kościelnych. Pleban szczawnicki i piwniczański dzierżawił jeszcze Tylmanową, w której ponoć zaniedbywał obowiązki duszpasterskie. Plebanią zaś w Wielogłowach rozporządzał szlachcic Sebastian Wielogłowski, który wypuszczał dochody z niej warendę, zabierając połowę ich dla siebie. Plebanię w Łukowicy wydzierżawił niejaki Turowski, ale wikaremu nie dawał utrzymania, wobec czego dziedzic i gromada skarżyły się przed sądem kościelnym w roku 1522, że w parafii od 6 tygodni nie ma ani księdza, ani mszy, ani sakramentów, a „owa są jak trzoda bez pasterza, nie wiedząca, kiedy święto lub nieświęte”. W Starym Sączu proboszcz „spuścił” w roku 1554 plebanię innemu księdzu, wymawiając sobie tylko pomieszkanie i zsypanie. Przy poborze zsypania doszło między księżmi do obelg i bitki, tak że ich sąd musiał godzić. W Mę-

cinie dochody plebańskie wziął w pacht kolator za 25 zł 18 gr wraz z obowiązkiem chowania księdza. W Homranicach pleban, ks. Długosz, również wydzierżawił dochody plebańskie kolatorowi, przy tym także rolę, łąki i dziesięciny. Kolator zaś „spuścił” tę dzierżawę Gostwickiemu. Z dochodów plebańskich dzierżawca utrzymywał księdza i nauczyciela, a pleban dostawał też część masła i sera, składanego przez poddanych.

Kier polski był taką potęgą, że liczyć się z nim musiał papież i dla jego zachcianek zawieszał surowsze przepisy prawa kościelnego. Zgodnie z uchwałami soboru trydenckiego żaden duchowny nie powinien posiadać więcej niż jedno beneficjum. Wszędzie na świecie, z wyjątkiem Polski, przepis ten był przestrzegany. W Polsce natomiast po kilka „tłustych” probostw posiadali kanonicy katedralni, a nawet biskupi i sufragani, i posługiwali się wynajętymi wikariuszami, sami zaś duszpasterstwo ograniczali do inkasowania dochodów z parafii wydzierżawionych klasztorom, wikariuszom, a nawet osobom świeckim. W ten sposób księża, pochodzenia szlacheckiego, bogacili siebie i swoje rodziny niepomiarowo, siedząc na kilku urzędach i beneficjach kościelnych, podczas gdy duchowieństwo pochodzenia „plebejskiego” cierpiało nędzę. Według praw kościelnych, powszechnie obowiązujących, nie wolno było urzędów kościelnych prawem dziedzictwa przekazywać następcom. Lecz i ten przepis w Polsce obchodzono. Biskup albo kanonik za życia swego przybierał krewnego swego na pomocnika-„koadiutora”, któremu wyrabiał przywilej odziedziczenia po jego śmierci rentownego urzędu kościelnego. W Galicji przywileje tej dobieranej protekcjonalnie „elity kościelnej” zniósł dopiero rząd austriacki.

Fatalna była dola wikariuszów. Niby czeladnicy musieli wędrować od plebanii do plebanii i szukać zajęcia, gdy je zaś znaleźli, zależni byli całkowicie od plebana, który kiedy chciał, mógł się wikariusza pozbyć, nie będąc w tym względzie krępowany ani prawem kanonicznym, ani zarządzeniem biskupim.

W Krakowie dobrał się do różnych pasożytów kościelnych, wykorzystujących fundacje oświatowe, szpitalne i ubogich, ks. prymas Poniatowski i jego współpracownik, rektor krakowskiego uniwersytetu, ks. Hugo Kołłątaj. Reforma ich szła w tym kierunku że pousuwali różnych „prebendarzy”, zjadających za modlitwy majątki różnych fundacji, a dochody z tych fundacji obrócili na cele właściwe, a więc na utrzymanie uniwersytetu. Prymas Poniatowski pozniósł też kilka klasztorów, a dochody oddał na szpitale. Za te „spustoszenia kościelne” krakowscy kanonicy tak go znienawidzili, że jest to jedyny biskup krakowski, za którego duszę do dziś dnia nawet cicha msza św. w katedrze wawelskiej nie bywa odprawiana. Nienawiść duchowieństwa ściga go nawet w grobie.

Obok dziesięcin, „taczma”, „mesznego” korzystał kler z opłat kościelnych, zwanych i u r a s t o l a e. Zdzierstwa, jakich się „elita” dopuszczała przy tej sposobności, dawały powód do głośnych narzekań i żądań ukrócenia tych praktyk. Bo też zdarzały się nieraz praktyki niechrześcijańskiej lichwy i wymuszań przy kupczeniu sakramentami i obrzędami religijnymi.

Proboszcz w Pajęcznie, w diecezji gnieźnieńskiej, taniej pogrzebu nie urządził niż za 200 złotych, na kredyt też nie odprawił ceremonii, toteż trupy po kilkanaście dni leżały nie pogrzebane. Nawet w Warszawie stosowali księża tę praktykę, zmuszając w ten sposób ludzi do kolektowania na zapłacenie pogrzebu nieraz kilku trupów, poznoszonych pod kościół. Żądanie ustawowego uregulowania opłat stułowych nie jest żądaniem nowszych czasów. Już w dawnej Polsce zwracano się do posłów o zajęcie się tą sprawą. W. Smoleński przytacza list miecznika ziemi lubelskiej, M. Wnorowskiego, z 22 kwietnia 1789 roku, pisany do posła sejmowego, Piotra Potockiego. W liście tym tak skarży się Wnorowski na proboszcza: „Na dniu onegdajszym we wsi Lutyskach, do posesji mojej należącej, jednej prawie godziny trzy osoby umarło. Gospodarz, który tylko na półpięta korca wysiewu trzymał roli, żona jego

z pozostałymi dziećmi na wymuszony przez parocha nowoberezowskiego opłat od pogrzebu musiała wypłacić złotych 50. Drugi gospodarz, wysiewający tylko półtora korca na oziminę i tyleż na jarzynę, za pochowanie swojej żony zmarłej musiał oddać ostatnią krowę, najmniej cztery talary wartującą. Trzeciemu gospodarzowi umarło dziecko, musiał dać od pochowania półtrzecia złotego, ale sam tenże gospodarz tak ubogi, że już od czterech tygodni chleba w chacie nie ma. Prześwietne stany skonfederowane względ mają na ubogich plebanów, wyłączywszy ich od opodatkowania, ale oni nad ubogimi ludźmi żadnego nie pokazują miłosierdzia. Z pracy rąk poddanych wszystkie podatki wpływają do skarbu Rzeczypospolitej, a za małą fatygę od parochów, mających fundusze tak znaczne, zdzierstwa ponoszą.”

Krakowski biskup, kardynał Lipski, ustanowił taryfę opłat stułowych dla podwładnego duchowieństwa.

Dochowała się ona w księdze gromadzkiej wsi Skotniki, gdzie ją wielkorządca krakowski, Jerowski, nakazał wpisać w roku 1767. Tekst jej jest następujący:

„Ordynacja względem akcydensów kościelnych.

Luboć wprawdzie wiele razy przedtem pomiarkowanie akcydensów, powagą zwierzchności ordynaryjnej postanowione i obwarowane było, że jednak za czasem nieporządku niektóre wszczęły się i skargi względem extorsji nad słusność do urzędu naszego zaszły, za czym dawniejszą ordynacją ponowić i publikować umyśliliśmy, żeby się nikt zapomnieniem jej nie ekuzował. Nakazując I. Mciom xiędzom dziekanom miejsc, aby jeżeliby kto nad takową ordynacją więcej wyciągać ważył się, na kongregacjach swoich takiego w lyle trojgu karali, in casu nieposłuszeństwa i skargi, w urzędzie generalnym karę 30 grzywien przeciwko każdemu z delikwentów naznaczając.

Od krztu, wywodów i inszych benedykcji, co kto da, tym kontentować się mają.

Od szluby od szlachty, mieszczan i innych bogatszych według każdego kondycji talerów dwa albo jeden, od ubogich i prostych nie więcej nad 2 złote.

Od zapowiedzi każdej z osobna groszy 6.

Od procesji pogrzebowej, gdy tylko przed kościół wynijdzie, groszy 10, jeżeli z domu umarłego poprowadzi groszy 20.

Za *officium defunctorum* z trzema nokturnami i *laudibus* każdemu księdzu śpiewającemu złoty jeden, jeżeli tylko jeden nokturn i laudes groszy 15.

Od mszy świętej śpiewanej złotych 3, służącym w dalmatykach po groszy 15.

Od konduktu i *Salve Regina* złoty jeden dla wszystkich.

Od miejsca pogrzebu w kościele złp 10. Na cmentarzu złp 2.

Od dzwonów za każde dzwonicie powinien być zachowany zwyczaj dawny, mając wzgląd na wielkość i liczbę dzwonów, z czego połowa na kościół należy.

Od całunu groszy 6.

Od każdej świecy, jeżeli świecić się będą przez mszę i kondukt, groszy 6, jeżeli przez *officium* trzech nokturnów ze mszą groszy 12, przez jeden nokturn groszy 9. To wszystko idzie na kościół.

Prawdziwie zaś ubogim nie tylko krzest, wywody, ale też szluby i pogrzeby darmo być administrowane powinny.

Kościelnym akcydensów pomiarkowanie do woli I.M. xięży dziekanów zostawuje się.

Na ostatek wszelkim extorsjom zapobiegając, wszystko duchowieństwo przez wewnątrzności Chrystusa obligujemy, aby przeciw bliźnim, tym bardziej przeciw zmarłym swoim parafianom, nie zmyśloną mieli miłość i onym pobożności chrześcijańskiej i inne miłości powinności świadczyli. Około pogrzebów, aby się łaskawie i po ojcowsku obchodzili, ubogich darmo chowali, aby ci, którzy pogrzeby sprawują, na dwojaką nie narzekali szkodę, że tak wiele za pogrzeb zmarłychłożyć muszą.

Co dla lepszej wiary podpisawszy, pieczęcią stwierdzić i wydrukować kazaliśmy, i czym prędzej do wszystkich kościołów porozysłać kazaliśmy.

Datum w Krakowie dnia 5 stycznia 1737.

Michał Wodzicki kanonik i officjał
generalny Krakowski — L.S."

H. Kołłątaj w książce *Stan oświecenia w Polsce* powiada, że to zarządzenie kardynała „mało gdzie było zachowane, nikt nikogo nie mógł szczerze doglądać, gdy wszyscy wyprzęgli się z obowiązków prawa kanonicznego”. Takse powyższą biskup Sołtyk w roku 1777 uznał za nadal obowiązującą i ogłosił ją

w rubryceli, ale duchowieństwo w dalszym ciągu jej nie przestrzegało. W b. zaborze austriackim dopiero patent józefiński, zagrażający karami porządkowymi za nadmierne opłaty stułowe, porządek w tej dziedzinie wprowadził.

Obok opłat stułowych kler korzystał z różnych zapisów szlachty, mieszczan i chłopów. Zapisy te dotyczyły zazwyczaj rzeczy ruchomych, a w szczególności kapitałów, czynszów, krów, wołów itp. Obrotny proboszcz, gdy się zakrzętnął około parafian, miał z tego pokaźne dochody. Wspomniany już Sasin, proboszcz w Choczni, pod tym względem okazał się bardzo przedsiębiorczy. Psuł nawet interesy sąsiednim prebendarzom z Wadowic i Mucharza, gdyż pozyskał od szlachty z tych parafii liczne zapisy. W szczególności ziemianie z Zawadki, Tomic, Świnnej Poręby i Gorzenia, Franciszek Drozdowski, Fabian Gołębiowski, Andrzej Silnicki i Wojciechowski w latach 1674—1684 pozapisywali mu na swych dobrach „sumy wyderkafowe”, od których miał rocznego czynszu około 200 złp. Widać w tym solidarność „braci szlacheckiej”. Szlachta z parafii wadowickiej wołała wspierać mazowieckiego szlachcica, ks. Sasina z Choczni, anizeli „łyka”, ks. Barankiewicza, prebendarza w Wadowicach, czy „chamitę”, ks. Wojciecha Śleniowicza, proboszcza z Mucharza.

Z ksiąg parafialnych choceńskich widać też, że praktykowane były zapisy wołów i krów na msze. W roku 1660 Żak z Choczni „odkazał” woły na nabożeństwa. Syn Łukasz woły sprzedał i płacił po 2 zł procentu od tej sumy uzyskanej za woły. Proboszcz Wojciech Ciołkowicz, wpisujący tę obligację do księgi parafialnej, zaznaczył: „tak jest obligatus lubo przedtem po pół talera płacił, co że miał progravamine zelżyłem zaraz a die passessionis meae”. W roku 1696 zapisano w księdze parafialnej, że „Tomasz Mrazin oddał wołców parę na msze, za które złotych 50 powinien będzie wydawać co rok po seści złotych — póki ta suma nie wynidzie z wołów. Tenże Tomasz oddał krowę na mszę św., za którą złotych 20 — powinien wydawać od krowy i wołów po złotych 6 ut supra.

A te woły i krowa zostają przy Wojciechu Komanie, z których to pieniędzy dał pierwszą ratę na dzień wszystkich świętych."

Kościół chocheński posiadał też w XVII wieku krowy żelazne, pochodzące z zapisów. Krów tych było 5—10. Pleban oddawał je do użytkowania chłopom, którzy od krów tych płacili mu czynsze, pleban zaś obowiązany był z czynszów tych po 2 zł z każdej krowy przeznaczyć na bieżące wydatki kościelne. Jeżeli krowa „skłapnie”, proboszcz kupuje nową, „aby dochód kościołowi nie ginał”.

Chłopi dokonywali też testamentowych zapisów na cele kościelne. Dowodem tego są liczne testamenty chłopskie w księgach gromadzkich wsi podhalańskich. Typowym takim testamentem jest testament dewotki z Ponikwi, Reginy Jamrozki, z roku 1757, którym prawie cały swój majątek przeznaczyła ona dla kościołów w Mucharzu, Kobylance, Kalwarii, Częstochowie, Bielanych, Kętach, Inwałdzie, Zembrzycach, Rychwałdzie i Wadowicach. Testament ten brzmi:

„W Imię Ojca i Syna i Ducha Św. Amen.

Ja, Regina Jamrozka, będąc już prawie na śmiertelnej pościeli, ale przy dobrym jeszcze umyśle i refleksji, czynię taki

TESTAMENT:

Naprzód ciało moje grzeszne oddaję ziemi, gdyż z ziemi poszło, duszę zaś Bogu Ukrzyżowanemu i Matce jego Najświętszej (gdyż ją krwią swoją odkupił na drzewie krzyżowym) i Aniołowi Stróżowi, aby Ją zaprowadził przed Sprawiedliwego Sędziego Boga ukrzyżowanego Gospodarstwo zaś moje i ubóstwo, na które my z mężem nieboszczykiem pracowali ciężko, nie leko i pot krwawy wylewali, naprzód na Pogrzeb leguję testamentem moim wołu, za którego Paleczny, zięć mój, powinien dać zł 40, inquantum by nie wystarczyły te pieniądze, to Franczyńska, córka moja, powinna dołożyć z tych dwóch krów, które jej leguję testamentem, co zaś dwie krowy leguję Annie, córce mojej młodszej, to powinna za jedną albę sprawić do mucharskiego kościoła, za drugą powinna dać na msze święte do S. Częstochowy na dwie, do Bielanych na dwie, do Kęt na dwie, do Inwałdu na dwie, na Kalwarię na trzy, do Kobalonki na dwie, do Zembrzyc na dwie, do Rychwałdu na dwie. Co zaś u Wiktorów mam na Ponikwi zł 10, to ich leguję na

wypominek do kościoła wadowskiego. Co zaś mam na długi także u Garczarczyka zł 50, to ich leguję tym moim testamentem do kościoła wadowskiego połowę na Msze Św., zł 25 na pozłocenie Ołtarza Wielkiego. Polanę zaś, którą leguję testamentem moim córce mojej, Annie, i wnękowi memu, Matyaszowi, za którą powinni dawać na wypominki do kościoła mucharskiego, póki te pieniądze nie wyjdą, co ja dała za nią zł 37. Kto by ten testament łamał, takiego na straszny Sąd Boski powoływam za sobą, na którym się ręką moją podpisuję przy ludziach i wójcie ponikiewskim dla lepszej wiary i powagi.

Regina Jamrozka + + +

Ludzie zaś siedzący przy tym testamencie i z wójtem ponikiewskim podpisują:

Błażej Sikora wójt ponik. + + +

Ign. Marek leśny + + + Jędrzej Radwan przysiężny + + + Tomasz Graca + + + Błażej Radwan + + +

Marcin Potoczny + + + Jędrzej Len + + +"

Z zapisami nieruchomości było gorzej. Pod tym względem ustawodawstwo polskie ograniczało swobodę szlachty i mieszczan, a pośrednio i chłopów. Według konstytucji z roku 1635 szlachcic mógł uczynić fundację z dóbr ziemskich o tyle tylko, o ile chodziło o założenie nowego kościoła, klasztoru, szpitala, plebanii itp. zakładu kościelnego, czyli gdy chodziło o fundację — jak mówiła konstytucja — *de nova radice*, czyli „z nowego korzenia”. Taką fundację mógł uczynić szlachcic tylko wobec sądu ziemskiego, złożony wprzód przysięgę, że pieniędzy za grunt nie brał, że oddaje go z dobrej woli i gorliwości religijnej, nie czyniąc tej darowizny ku szkodzie prawa pospolitego. Pod tym samym warunkiem wolno było obdarować kościół farski na podratowanie „sztuką jaką gruntu”. Nie było też dozwolone oddawanie księżom w posiadanie gruntu „na wyderkał”, czyli za pożyczony kapitał przez duchownego na odsetki zwane „kupionym czynszem z gruntu”. Zakazy te jednak w rozmaity sposób były przez duchowieństwo obcho-

dzione, tak że w roku 1726 wydano nową konstytucję, mocą której zakazano stanowi duchownemu nabywania dóbr ziemskich i miejskich, czy to w drodze darowizny, sprzedaży, zastawu, czy to przez testamentowe zapisy. Za przekroczenie tego zakazu groziła konfiskata dóbr nabytych przez duchownych. Z dóbr tych po konfiskacie połowę otrzymał ten, który doniósł o takiej bezprawnej transakcji, drugą zaś połowę skarb państwa.

Co do chłopskich gruntów, to tam, gdzie one stanowiły własność szlachty, czasowo oddaną do użytkowania chłopom, bronione były przed pozbywaniem ich na rzecz duchowieństwa tym samym prawem co grunty szlacheckie. Tam zaś, gdzie chłopci mieli dziedziczną własność gruntową, choć grunty w zasadzie mogły być zapisywane duchownym, w praktyce to jednak się nie zdarzało, gdyż z gruntami tymi związane były ciężary pańszczyźniane, które obciążały każdego posiadacza tych gruntów, obciążałyby zatem także i Kościół lub duchownego, który by takie grunty przyjął. Toteż w Choczni, gdy w roku 1589 gromada z niepotrzebnego jej pastwiska, zwanego skotnicą, i stawku „na nawsiu” chciała uczynić na rzecz kościoła pobożną fundację, uczyniła to w drodze okężnej. Oddała bowiem skotnicę Marcinowi Guzdkowi z obowiązkiem dostarczania kościołowi rokrocznie po dwa funty wosku, stawek zaś — Marcinowi Domitrykowi z obowiązkiem dostawy po cztery sągi drzewa plebanowi. Zaznaczyła przy tym gromada, że obowiązek ten będzie ciążył na każdym, „kto tam będzie na tim mieszczu, ieśliby sprzedał komu y then powinien będzie tho dawacz także iako y Guzdek na wieczne czasy”.

Choć „martwa ręka” nie zabierała ról chłopskich, to jednak zgarniała dorobek pracy chłopskiej z tych ról pod formą zapłaty za pogrzeby, wypominki i w ogóle za zbawienie duszy. Były wsie, w których większą część dorobku pracy gospodarza zabierał pleban, z wielką krzywdą dla rodziny zmarłego, która przecież przyczyniała się mozolną pracą do osiągnięcia tego dorobku. Typowymi wsiami, w których zbawienie duszy

człowieka kosztowało większą część dorobku pracy na pańszczyźnianym gruncie, były wsie Targanice oraz Jędrzychów (dzisiejsze miasto Andrychów). Księgi gromadzkie tych wsi pozwalają spojrzeć na tę znamiennej formę wyzysku chłopów. Właściciel „półzarębca” w Targanicach, wartości 700 złp, niejaki Tomasz Tomiczko, „wypuścił” je w roku 1779 synowi z obowiązkiem ekspensowania na pogrzeb ojca i matki 200 złp, a więc blisko 1/3 wartości owego półzarębca. Jan Srebrny, sporządzając w roku 1792 testament, zaznaczył, że posiada 1/8 część zarębku wartości 800 zł, a nadto gotówkę 458 zł. Z tej gotówki legował on „na pogrzeb z wszystkimi expensami złotych górskich 200, na exekwie, czyli rocznice, zł 100, na msze święte złotych górskich 100”. Zatem trzecią część swego majątku przeznaczył ów Srebrny na zbawienie swej duszy, „zaklinając wszystkie dziatki, do testamentu należące, na pięć ran Jezusowych, siedm boleści Matki Boskiej i na Sąd Boski”, by się temu testamentowi nie sprzeciwiała. Salomea Homlina, w testamencie z roku 1798 z majątku swego, wartości 390 zł, leguje na pogrzeb 40 zł, a na msze za duszę swoją i męża 20 zł. Zapis Mikołaja Stachury przewidział, że z majątku wartości 500 zł zapisobierca obowiązany jest sprawić Stachurze pogrzeb kosztem 150 zł. Wdowa Magdalena Pieskowa, z sumy pieniężnej 650 zł, leguje na pogrzeb 200 zł, na rocznice, to jest egzekwie, 60 zł, na msze 20 zł, na wypominki 10 zł, a więc blisko połowę swego majątku. Paweł Bizoń, z majątku wartości 700 zł, legował na pogrzeb 60 zł, na msze i wypominki 50 zł. Magdalena Płonkowa, właścicielka zagrody, leguje w roku 1795 na swój pogrzeb 30 zł. Za to Szymon Piesko, „na pamiątkę rozstania się z tym światem”, z majątku wartości 1500 zł przeznaczył na pogrzeb 200 zł, na msze 100 zł, na wypominki 20 zł. W roku zaś 1800 wykazał się w urzędzie gromadzkim Marcin Piesko dokumentami „od Imci Xieży, że wypłacił na msze święte za duszę Szymona Pieski zł gór. 100”.

Istniał więc wówczas chwalebny zwyczaj wystawiania piśmiennych kwitów na pobrane taksy stułowe. Największy zapis

pogrzebowy uczynił w roku 1806 Maciej Bylica. Z majątku wartości 5034 zł gór. legował na swój pogrzeb 500 zł, na rocznice za siebie i żonę przez dwa lata 200 zł, na msze św. 100 zł, na wypominki 100 zł, na reperację dzwonu w Targanicach 50 zł, razem 950 zł górskich. Kwotę przeznaczoną na mszę tak polecił rozdzielić: do Inwałdu zł 20, do Bielana zł 20, do Andrychowa zł 20, do Upadku (kaplicy) na Kalwarię zł 20, do kościoła w Rzykach zł 20. Podobne stosunki istniały i w Jędrzychowie. W roku 1752 Wojciech Węgrzynek, w obecności wójta Tomasza Matlaka, sporządził testament, w których rozporządził gospodarstwem, warsztatem tkackim i gotówką. Z gotówki zapisał na msze reformatom z Kęt 450 zł, a księżom świeckim andrychowskim i okolicznym 500 zł, wreszcie na ubogich 300 zł. Natomiast dla żony zapisał tylko 150 zł, dla braci i sióstr oraz ich potomstwa 440 zł. Jeszcze większe zapisy poczynili Kazimierz Piwowarczyk, Jadwiga Korblina, Zuzanna Koniorczykowa, Franciszek Panek i Franciszek Makowski. Ustanowili oni na swoich gospodarstwach tzw. czynsze odkupcze, sumami wyderkałowymi zwane, na łączną kwotę 6500 zł. Od tych sum 5% rocznie zobowiązany był płacić spadkobierca promotorowi różańca św. w Andrychowie i wikariuszowi za modlitwy, za dusze fundatorów czynszu, za dusze znikąd ratunku nie mające i wreszcie za konających. Zapis sum wyderkałowych potwierdził dziedzic Andrychowa, Franciszek Czerny, kasztelan oświęcimski, uzasadniając to szumnie, iż „czułe nad powierzonym sobie od Boga ludem panowanie zawsze nas do dobrego ich rządu z szczególnej obowiązują miłości i przymusza, abyśmy obustronne w dyspozycjach swoich na fundamentach praw koronnych i Rzeczypospolitej stanowienia w dobrym utrzymywali porządku”. Te czynsze zaś miały trwać na osiadłościach wspomnianych dotąd, póki posiadacz tych osiadłości w urzędzie wiejskim państwa andrychowskiego sumy zapisanej nie złoży, która to suma „cum consensu suppremi dominii własnego pana i dziedzica in pium opus obrócona lub za dusze zmarłych wydana będzie powinna”.

Wprawdzie według nauki Kościoła pobieranie procentów było ciężkim grzechem, ale jak z tych transakcji się okazuje, wystarczyło obejść zakaz przez nazwanie procentu czynszem, a całego interesu wyderkałem. Widać też z tej transakcji, że podobnie jak grunta szlacheckie, tak i grunta dziedziczne chłopskie mogły być obciążane sumami wyderkałowymi.

Znamienne też jest uprawianie w Jędrzychowie i w Targanicach bigoterii w dziedzinie gromadzkiego sądownictwa karnego. Księgi gromadzkie obu tych wsi dowodzą, że urzędy gromadzkie, nakładając na podsądnych kary dworskie, kościelne i gromadzkie, nakazywały podsądnemu, aby dworowi płacił tak zwaną grzywnę, czyli karę pieniężną, kościelną zaś karą było zobowiązanie podsądnego do zapłacenia u proboszcza należytości za kilka mszy, wreszcie gromadzką karą nazywało się zobowiązanie podsądnego, by gromadzie zafundował pewną ilość achtli piwa i garnców gorzałki. Alkohol i nabożeństwo stały się symbolem wymiaru sprawiedliwości w „państwie andrychowskim”. W innych wsiach okolicznych kary gromadzkie nakładano w formie grzywien pieniężnych, kara zaś kościelna polegała na obowiązku dostarczenia kościołowi kilku funtów wosku, używanego do wyrobu świec kościelnych.

* *
*
*

Po pierwszym rozbiórce Polski „zawiślańska” część krakowskiej diecezji przeszła pod zabór austriacki, podczas gdy Kraków z resztą diecezji pozostał przy Polsce. Stosunkami kleru w Galicji zajął się rząd austriacki bardzo energicznie.

Z ramienia rządu badanie stosunków przeprowadzał gubernator hr. Pergen. Tego światłego cesarskiego urzędnika uderzyło, że lud w Galicji jest „niewolniczy i głupi”. W sprawozdaniu swoim, złożonym rządowi w Wiedniu, twierdził, iż dlatego lud jest niewolniczy i głupi, bo słucha księży. Tymczasem księża popełniają nadużycia, bo za chrzty, śluby i pogrzeby biorą zbyt wysokie wynagrodzenia, kler zaś grecki na-

wet bierze pieniądze za wielkanocną spowiedź! Nadużycia są tak wielkie, „iż bez oburzenia w sumieniu patrzeć na to nie można”. Biskupi, będąc senatorami, tylko polityką się zatrudniają, a ci, co w ich imieniu mają czuwać nad klerem, nie troszczą się o nic. Wystarcza im, jeśli ksiądz umie mszę odprawić, a występki księże uchodzą bezkarnie, bo księża apelują do nuncjusza papieskiego i przy pomocy protekcji uchylają się od kar.

Dalej hr. Pergen twierdził, że taki sam nieład, jaki istnieje w państwie polskim, istnieje również w Kościele. Radził więc, aby rząd napisał do biskupów, by wyświęcili na księży osoby dobrego prowadzenia się i pojęte, aby wpływali na usuwanie występków kleru, by wizytowali parafie, aby nie cierpieli kapłanów dających zgorszenie, pijaków, pieniaczy i leniwców. O proboszczach i wikarych pisał hr. Pergen, że zbywają swoje obowiązki, wygłaszają nedorzeczne kazania, wielu zaś z nich, a także i zakonnicy, wplatają do kazań więcej bajek niż morałów, toteż twierdzi, że oświecenie ludu interesować winno rząd, który musi przepisy wydawać co do sposobu nauczania po parafiach, dlatego że głupota tych ludzi dochodzi do ostateczności. Większa część nie zna zasad religii z braku szkół i czujności duchownych. Bardzo krytycznie zapatrywał się też gubernator hr. Pergen na działalność licznych zakonów. Powiada on, że Polacy lubią uświetniać swą próżność fundowaniem klasztorów. Przy takim klasztorze umieszcza się ze dwudziestu żebrzących leniwych mnichów, którzy wymyślają pobożne sztuczki, aby wycisnąć ostatni grosz i ostatni kawałek chleba z rzemieślnika lub robotnika. Nie ma klasztoru bez cudownego obrazu. Każdy zakon stara się wykorzystać łatwowierność ludu dla zysku. Zakonnicy — pisze hr. Pergen — wmawiają w lud, żeby więcej ufał dewocjom niż samemu Bogu, który też najczęściej, zamknięty w sakramencie klasztoru, odbiera tylko skromne oznaki adoracji, natomiast kiedy zakonnik odkrywa obraz, zwykle uważany za

cudowny, wtedy wszyscy od razu padają na ziemię, jakby się wszystkie moce niebieskie na raz objawiły. Dlaczego to w kościołach parafialnych nie zdarza się tyle cudów? Bo widocznie proboszczowie nie są tacy święci ani godni tylu łask co zakonnicy. Oni też starają się to przekonanie rozpowszechnić i sobie przyznają większą doskonałość od tamtych. Wierni, w ten sposób obalamuceni, zaniedbują też swoje kościoły parafialne, a ponieważ są przejęci fanatyzmem i zapałem dla zakonników, przeto wszystkie ich dary, ofiary i zapisy testamentarne idą na klasztory. Tymczasem, badając ich obyczaje, znajduje się często więcej zgorszenia niż zbudowania. Gdy jakiś zakon biskup chciałby zganić z powodu zgorszenia lub występku, powołują się zakonnicy na przywileje wyjęcia ich spod władzy biskupiej i oświadczają, że jedyne sędzię mają w Rzymie. Religijność Polaków tak scharakteryzował Pergen: „Religia polega u nich na ubocznych rzeczach: ścisłych postach, licznych świętach, leżeniu krzyżem itp., ale przed pójściem do kościoła upijają się i odbywają targi aby nie przeszkadzać Żydom w sabat i nie ujmować dni pańszczyźnie.” Gdy gubernator Margelick w roku 1783 objeżdżał Galicję, składali mu starostowie raporty także o stosunkach kościelnych. Tak np. starosta w Bochni, Baum, twierdził, że poziom umysłowy wiejskiego plebana (w dawnej diecezji krakowskiej) nie odbiega daleko od poziomu umysłowego chłopca, że księża nawet Biblię uważają za książkę zakazaną, a w kazaniach prawią chłopom tylko historie o różnych cudach. Kazania jedne i te same w kółko powtarzają, tak że znudzeni chłopcy w czasie takich kazań wychodzą z kościoła. Spostrzeżenie, że księża wiejscy nie lubili szlachciców — o czym pisał ks. Kołłątaj — znalazło potwierdzenie w raporcie starosty myślenickiego, który twierdził, że księża podniecają chłopów przeciw szlachcie i że są przyczyną bezbożności i nieposłuszeństwa chłopów wobec dworu i cyrkułu. Widocznie ucisk społeczny szlachty i im dobrze dał się we znaki.

Starostowie z innych powiatów, jak np. z tarnowskiego,

rzeszowskiego, dowodzili, że proboszczowie uważają za główny zawód gospodarstwo i handel, a duszpasterstwo za zajęcie poboczne. Bieda niektórych do tego zmuszała, skoro stały ich dochód, obliczony przez starostów, wynosił 30—40—50 złp. Toteż pociągi dużo za iura stolae, a tam gdzie jeszcze się utrzymały dziesięciny, to je skwapliwie wybierali, z czego były tylko procesy w cyrkułach. Plebani i wikarzy ubierali się tak rażąco i niestosownie, że starostowie o tym urzędowe robili sprawozdania, a prowadzenie się niektórych księży było tak naganne, że radca gubernialny, Vlassics, stawiał w ordynariatach biskupich wnioski o zasuspendowanie księży i umieszczenie ich w zakładach poprawczych.

Że Pergen i Margelick nie minęli się z prawdą w sprawozdaniach o stosunkach w parafiach galicyjskich, świadczyć może zdarzenie, nie wiedzieć, czy znane tym gubernatorom, za to opisane w księdze gromadzkiej wsi Rzyk. Zdarzenie to wskazuje, że chłopci uciekali się do oryginalnej samopomocy w zaprowadzaniu poprawniejszych stosunków między plebanami a parafiankami. W owej górskiej osadzie zarębniczej, Rzykach obok Andrychowa, założono parafię w roku 1796. Pleban rzycański, korzystając z nieobecności mężów, którzy trudnili się na wielką skalę handlem drelichami i wyjeżdżali z tym towarem do Moskwy, Turcji, Holandii, Węgier, Polski zakoronowej i Litwy, zastępował mężów w ich domach. Ta opieka nie bardzo się spodobała chłopom, toteż przyniewolili plebana, aby się stawił na rugową gromadę, i w dniu 4 października 1802 roku wymogli na nim, że złożył im publiczne zobowiązanie poszanowania cnoty ich żon, a tym samym respektowania celibatu. Treść odnośnej „komplanacji”, czyli ugody, wpisana została do księgi gromadzkiej i brzmi:

„Intimatum d. 4 Octobris 1802

Ja, niżej wyrażony, jako Pasterz swojej Parafii, a Pleban Kościoła Rzyckiego, czynię komplanacją z Urzędem Gromadzkim i całą Gromadą, czyli Parafią moją, jako to:

1°. Nie będę często przebywał, tylko w potrzebie, u Kaźmierza Tomiczka, zwłaszcza nie będącego w domu, ani nocował, abym nie był u Was, jako u moich Parafianów, w jakim obwinieniu.

2°. Żadnej w nieczystości podejranej kobiety ani panny w służbie u siebie trzymać nie będę, aby jakie porozumienie u was, Parafianie moi, nie było,

3°. Która by miała mieć męża, takowa także nie będzie miała miejsca w mojej Plebanii, z przyczyny aby mąż nie nadchodził na Plebanię moją wołając, zem jemu żonę przysięganą odebrał, jako słyszałem w niebytności mojej, że się już miało tak w tych czasach robić.

4°. Nie za rekomendacją żony Kaźmierza Tomiczka będę utrzymywał służącą, ale za rekomendowaniem statecznych ludzi, która to będzie przykłądną wam, moi Parafianie, i nic z tych punktów tu wyrażonych w niej nie będzie się znajdowało."

Czy ta samoobrona rzycańskiej gromady przeciw plebanowi, nocującemu u cudzych żon, trzymającemu na plebanii „w nieczystości podejranej kobiety”, poskutkowała, nie wiadomo, bo księgi rzycańskie o tym milczą.

Przykładem, jak rozluźniona była dyscyplina w Kościele, jest sprawa proboszcza, ks. Jana Grzywalskiego, z Wadowic, który tu był duszpasterzem w chwili pierwszego rozbioru Polski. Życiem swym dawał on zgorszenie, przy tym rozkradał majątek kościelny, wyrządzając kościołowi szkodę w kwocie 4000 złp. Wskutek skargi parafian został on zasuspendowany, jednak suspensie się nie podporządkował, lecz dalej urzędował. Biskup skazał go więc na odbycie rekolekcji u reformatów w Kętach, stamtąd jednak niebawem ks. Grzywalski uciekł. Dopiero na prośbę biskupa przychwycił zbiega urząd cyrkularny i odstawił do więzienia biskupiego w Krakowie. Tu ks. Grzywalski upokorzył się i został zwolniony, do Wadowic jednak na probostwo nie wrócił, nadano je bowiem byłemu jezuitcie, ks. Rudnickiemu.

Nie lepiej sprawował się ks. Żychowski w Dobczycach, którego biskup Sołtyk po bezskutecznych upomnieniach pozbawił probostwa. Ks. Żychowski zdał się następnie na władze

austriackie, jako „syn posłuszeństwa”, i z probostwa nie ustąpił, aż dostał nowe w Radziszowie.

W Zbylitowskiej Górze był proboszczem ks. Miłkowski. Podobno obyczaj jego były skandaliczne, budynki kościelne zniszczył i srebra kościelne posprzedawał, a nadto konsystorz zarzucił mu, że dokumenty sfalszował. Ks. Miłkowski znalazł drogę do nuncjusza papieskiego, a ten wyznaczył do osądzenia sprawy takiego księdza, który Miłkowskiego wybielił. Droga do tego była niezwykła: oto ten sędzia kazał przysięgać oskarżonemu, że jest niewinny, a ten złożył żadaną przysięgę. Na domiar ks. Miłkowski zaskarżył potem przed rządem austriackim biskupa Sołtyka, że w tej sprawie, bez zezwolenia rządu austriackiego, odwoływał się do papieża, a po kilku latach procesów musiał jeszcze biskup zapłacić ks. Miłkowskiemu 5000 złp w urzędzie cyrkularnym wielickim tytułem odszkodowania, zagrożono mu bowiem egzekucją na dobrach biskupich.

Przez kilka lat trwały też procesy z ks. Jankiewiczem, proboszczem w Lanckoronie. Popadł on w zatarg z parafianami z powodu zakazów dzwonienia w wielki dzwon na odstraszenie burzy. W Lanckoronie było wówczas dwóch jeszcze prebendarzy, ks. Gąsiorowski i ks. Czechowski, obaj pochodzący z Lanckorony. Ci nie liczyli się z zakazami proboszcza, ale posyłali swych krewnych na dzwonnice, by wystraszać planetników, co chmurami kierują. Przy takim dzwonieniu wpadł proboszcz do dzwonnicy i mieszczanina Tertkowicza poczęstował pięścią w kark, inni zaś, widząc to, zeszli z dzwonnicy. Jednakże na drugi dzień, 24 czerwca 1774 roku, zeszli się mieszczanie gromadnie, wyłamali drzwi do dzwonnicy i przy tym tak pobili proboszcza, że nazajutrz „krew puszczał i cztery niedziele w łóżku z tej choroby leżał”. Komisja konsystorska, która trzy dni urzędowała w Lanckoronie, uznała jednak za winowacę ks. Jankiewicza i zaleciła skazanie go na miesiąc rekolekcji i przeniesienie na inne probostwo. Biskup wyrok ten zatwierdził, lecz gubernator Pergen sprawę przedłożył cesarzowej Marii Teresie, która jednak wyrok biskupi nieco zmie-

niła, nakazała bowiem biskupowi, aby udzielił nagany także obu prebendarzom i nakazał im posłuszeństwo dla proboszcza pod zagrożeniem usunięcia ich z prebend, nadto mieszczanie Gąsiorowski i Zieliński mieli publicznie proboszcza przeprosić i na 14 dni iść do aresztu, a wszystkim mieszczanom nakazano poszanowanie względem proboszcza. Karę 4 tygodni rekolekcji dla ks. Jankiewicza utrzymała cesarzowa w mocy, z tym że przeniesiony będzie na inne probostwo. Niebawem też biskup Sołtyk zaproponował dla niego probostwo w Maniowach i na tym „poszanowanie” proboszcza się skończyło.

Ze sprawy tej widać, że rząd austriacki mieszał się do stosunków wewnętrznych Kościoła i w miejsce dotychczasowej anarchii wprowadzał porządek. Dbał też rząd o podniesienie moralne i umysłowe księży, a nawet narzucał im tematy do nauk i kazań w Kościele, by z Kościoła uczynić instytucję pożyteczną społecznie. Świeccy ludzie opracowywali tematy z różnych dziedzin wiedzy i te przesyłano plebanom, aby według tego wzoru kazania wygłaszali. Były więc kazania o obowiązkach rodzinnych, przeciw pijaństwu, o zwalczaniu chorób, a przy tej sposobności podsuwano też tematy „patriotyczne”, jak o obowiązku wierności dla cesarza, przeciw dezercji z wojska, przeciw przemytnictwu itd.

Aby księża nie próżnowali, musieli pisać wypracowania kazań na różne tematy, a urzędnicy cyrkularni przeglądali te wypracowania i oceniali wiedzę proboszcza. Urządzano nawet konferencje, na których świeccy ludzie pouczali księży, jak mają uczyć katechizmu. Kler wszystkim zarządzeniom podporządkowywał się nadszwyczaj lojalnie.

Trzeba przyznać, że rząd austriacki przeprowadził prawdziwą „reformację” kościelną w Galicji. Narzucił wymóg kandydatom na księży, aby wykazywali się wykształceniem. Zamykał seminaria biskupie i kazał księży szkolić na uniwersytecie i przyjmować takich kandydatów, którzy wykażą się maturą. Kontrolą skrupulatną zachowania się księży wprowadził uporządkowanie ich obyczajów. Pijacy, rozpustnicy, karciarze,

lichwiarze szli na „rekolekcje” albo wydalano ich z probostw. Rząd austriacki chronił też świeckie społeczeństwo przed wyzyskiem i zdzierstwem, regulując wysokość iura stolae i pilnując przestrzegania taksy. Rząd też przyczynił się do polepszenia bytu duchowieństwa, stwarzając odpowiednie fundusze na ten cel, zakazując łączenia kilku beneficjów w jednym ręku. Kontrolując naukę kleru przez świątłych urzędników i pouczając ciemnych księży przysyłanymi im referatami — usiłował uczynić z nich wychowawców ludu, gdy dotąd byli oni szerzycielami fanatyzmu i ciemnoty.

Jakiegoś patriotyzmu polskiego większość wyższego i niższego duchowieństwa nie wykazywała.

Rząd austriacki zaszczylił w szeregach polskiego duchowieństwa uwielbienie dla Austrii, cześć głęboką dla „cesarsko-apostolskiej Mości” i oddanie się całkowite na usługi c.k. biurokracji. Przyszło mu to z tym większą łatwością, że przykładem niewolniczego płaszczenia się przed zaborcą byli tacy „patriotyczni” polscy dygnitarze kościelni i państwowi, jak krakowski biskup, Kajetan Sołtyk, i lwowski arcybiskup, Wacław Sierakowski. Obaj jako senatorowie polscy zatruwali opinię publiczną nietolerancją wyznaniową i fanatyzmem. Gdy zaś Sołtyk zorientował się, że zanosi się na zabór Małopolski przez Austrię, skutkiem czego część jego krakowskiej diecezji dostanie się pod rządy austriackie, nie omieszkał za pośrednictwem austriackiego ambasadora w Warszawie wyjednać sobie zawczasu u cesarzowej Marii Teresy tej łaski, że nie utworzy nowego biskupstwa dla zabranych terytoriów, lecz rządy kościelne zostawi tu Sołtykowi aż do jego śmierci. Sołtykowi chodziło o to, aby na rzecz nowego biskupstwa, mającego powstać w Tarnowie, nie stracił dochodów z galicyjskiej części swej diecezji, oszacowanych na 113 474 złp rocznie. Maria Teresa udzieliła mu tej łaski, za to też biskup Sołtyk, polski senator, był uniżonym sługą rządu austriackiego, przed którym płaszczył się w sposób wzbudzający odrazę. A arcybiskup lwowski Sierakowski?

Gdy Austria wkroczyła do Małopolski i przy potrójnej salwie armat grubego i małego kalibru opublikowała *Besetzungspatent*, a w lwowskiej katedrze poleciła odśpiewać *Te Deum laudamus*, stało się wszystko podług rozkazu! Śpiewano ten hymn, choć wkroczenie Austrii do kraju było aktem gwałtu, a obywatele tego kraju nie byli jeszcze zwolnieni od przysięgi wierności, jaką złożyli królowi polskiemu. Tylko mieszczaństwo i władze polskie odmówiły udziału w maskaradach austriackich. Duchowieństwo jednak „uroczystość” austriacką uświetniło urządzeniem tronu dla gubernatora Pergena w katedrze, odprawieniem mszy pontyfikalnej i okadzaniem gubernatora Pergena, jakby króla polskiego. Po skończonej zaś mszy sufragan zaintonował *Te Deum laudamus* i odmówił „kolektę” za cesarżową Marię Teresę, po czym wyszedł na ambonę jezuita i ogłosił ludowi *Besetzungspatent*.

W rok potem, gdy rząd austriacki wezwał obywateli do złożenia przysięgi wierności, arcybiskup sam celebrował sumę, śpiewał *Te Deum laudamus* i — jak pisał gubernator Pergen — „wyszczególnił się przystojnym zachowaniem”. Mało mu jednak było tego serwilizmu, bo jeszcze w dniu 16 grudnia 1773 roku wydał list pasterski, w którym ustanowił osobne nabożeństwo wieczorne i uczestnikom tego nabożeństwa udzielił odpustu 40-dniowego, przy czym oświadczył, że „czyni to zaś tym chętniej, ile że do większej wdzięczności wobec Boga poczuwać się należy za to, iż po 5 latach niepokojów, zaburzeń i wyniszczenia kraju zawinęliśmy wreszcie do bezpiecznej przystani, gdy Najjaśniejsza Pani, apostolska Monarchini, Maria Teresa, rządy tego kraju objęła, za co Bogu dziękować i za nią modlić się trzeba”.

Tak Bogu dziękował za pierwszy rozbiór Polski arcybiskup Sierakowski, Polak, senator Rzeczypospolitej Polskiej, świecznik „świętej elity”.

Pieniądz, wiara i polityka

Stosunki w parafiach wiejskich po zniesieniu pańszczyzny — Posłowie chłopci żądają w Sejmie przestrzegania patentu o iura stolae — Rząd stwierdza moc obowiązującą patentu — Poseł Rusiecki piętnuje popieranie zdzierstwa — Posłowie Szpunar, Krawczyk i Wolny krytykują kler łaciński — Patent józefiński służy ludowcom w walce z lichwą kościelną — Tajne posiedzenie Sejmu w sprawie skandalów popa Nikorowicza — Kanonik Malinowski zrobił z szewca we Lwowie złodzieja swego pierścienia — Poseł Torosiewicz żąda zamknięcia szkół „socjalistycznych” oraz zastąpienia nauki szkolnej jezuickimi i bazylikańskimi misjami — List pasterski biskupa tarnowskiego z roku 1873 w sprawie strzelaniny w kościele — Sekta „sidziniarzy” na Podhalu — Ks. Błaszyński, ojciec duchowny sekty — „Sidziniarze” unikają urzędowego kleru — Tragiczna śmierć ks. Błaszyńskiego w Chochołowie — „Kara boża” na wrogów kościelnych i świeckich ks. Błaszyńskiego — Część kleru gloryfikuje sektę — Biskup Pukalski potępia sektę i nazywa „komuną” — Występy chłopskich posłów w Sejmie szlachta nazywa „zachciankami komunistycznymi” — Polityczny cel listu pasterskiego: wyrugowanie posłów chłopskich z Rady Państwa i Sejmu Krajowego — Rozczarowanie posła ks. Króla

Stosunki między klerem a ludnością wiejską w Galicji za czasów pańszczyznianych nie były dobre. Po zniesieniu pańszczyzny stosunki te uległy jeszcze pogorszeniu. Probostwa w zachodniej Galicji, uposażone w ziemię, prowadziły gospodar-

kę rolną roboczną poddanych kościelnych, zobowiązanych do odrabiania na gruntach plebańskich dniówek pańszczyznianych. Zniesienie pańszczyzny objęło także poddanych kościelnych. Od roku 1848 proboszczowie zmuszeni byli prowadzić gospodarkę rolną przy pomocy najemnej czeladzi. Celem uzyskania kapitału do tego celu potrzebnego śrubowali opłaty stułowe, co znów rujnowało chłopów, zwłaszcza że i oni nie mieli gotówki ani dochodów. Najgorzej przedstawiały się stosunki w parafiach obrządku greckiego. Uposażenie kleru ruskiego było niskie. Niemal każdy pop obarczony był liczną rodziną, toteż przykładał się wraz ze swoją żoną gorliwie do eksploataowania parafian pod różnymi postaciami. W parafiach tych wyzysk ludności przy chrztach, ślubach, pogrzebach przechodził wszelką miarę. Wprawdzie specjalny patent, wydany przez cesarza Józefa II, regulował należitości stułowe (iura stolae), jednak od czasu reakcji leopoldiańskiej duchowieństwo postanowień jego nie przestrzegało, a nawet kwestionowało jego moc obowiązującą. Władze zaś polityczne z urzędu przestały w te sprawy wkraczać. Toteż wyzysk stał się niemal powszechny, a równie powszechne były utyskiwania i narzekania ludności na lichwiarskie praktyki kleru.

Posłowie włościańscy z pierwszej i drugiej kadencji sejmowej zajęli się tą sprawą energicznie, żądając wdania się w te kościelne sprawy administracji państwowej i ukrócenia nadużyć. Z odnośnym wnioskiem wystąpił w Sejmie włościanin ruski, poseł Kowbasiuk. Żądał on, aby iura stolae zamienić w prawo zobowiązujące duchowieństwo do przestrzegania taryf wynagrodzenia za chrzty, śluby, wywody, pogrzeby i metryki, „bo do tego czasu dzieje się wiele nieprzyjemności ze strony duchownych, i to tak ze strony naszych (tj. grekokatolickich), jak i polskich”. Jakkolwiek Kowbasiuk nie chciał obarczać zarzutami większości duchownych, to jednak stwierdzał „brak doktora”, który by leczył rany zadane przez nadużycia. Dziekanaty bowiem, gdy się ktoś zwracał do nich z zażaleniem, przetrzymywały i tały sprawy, choć należało nadużycia te tę-

pić w interesie zaufania między duchowieństwem i ludem. Dlatego — radził — powinny ustać „jarmarki” przy chrztach i ślubach, a prawo powinno być „pod szkłem” przybite na ścianie w cerkwi i na plebanii, aby pop wiedział, ile ma brać, lud zaś aby wiedział, ile ma płacić. Przemówienie *to* — jak stwierdza protokół stenograficzny — nagrodziła izba poselska brawami. Widocznie Kowbasiuk trafił w sedno.

W dyskusji nad sprawozdaniem komisyjnym o tym wniosku zabierali głos włościanie polscy i ruscy. I tak poseł Rusiecki żądał, aby wszyscy księża pobierali jednakie opłaty stułowe, skoro wszyscy jednakie szkoły pokonczyli, jednakie odmawiają modlitwy i jednakie odprawiają nabożeństwa. Narzekał, że *iura stolae* rozrosły się w konary i gdy gospodarz ma sprawę u księdza, to musi wpierv wszystkie konary obejść, aby się dostać do wierzchołka. Przy tym dzieją się wielkie nadużycia, przekleństwa, gniew i obraza Boża. „Chociaj mene w gazetach oczornyły... (w tym momencie przerwał mu marszałek upominając, aby nie odchodził od rzeczy) to ja przecież muszu prawdu skazaty, o kotroj meni świadomo” — tymi słowy zakończył mowę poseł Rusiecki, nie mogąc ujawnić Sejmowi, za co go w gazetach oczerniono.

Wśród parokrotnych przerywań i upominań ze strony marszałka Sejmu, polski włościanin, Bielewicz, omawiał zdzierstwa, jakich się dopuszczał proboszcz Czerlunczakiewicz z Jaworowa. Taryfa u niego była następująca: za chrzest — 2 bochenki chleba, kwarta wódki i 35 centów gotówką, za spowiedź wielkanocną gospodarz płacił 4 bochenkami chleba, gospodyni zaś kopą jaj, zapowiedzi kosztowały od 5 do 20 reńskich. Poseł Bielewicz żądał, aby patent józefiński został wydrukowany przez Namiestnictwo i za pośrednictwem urzędów powiatowych podany gminom i proboszczom do wiadomości i stosowania. Parafianie z Przedmieścia Jaworowskiego przysłali też do Sejmu petycję o spowodowanie usunięcia z probostwa księdza Czerlunczakiewicza.

Poseł ks. Ruczka nakreślił historię powstania opłat stuł-

wych. Początkowo ofiara dla księży była zostawiona woli wiernych. Z czasem gorliwość wiernych stygła, więc ofiara dobrowolna została zamieniona na obowiązek stały. W tych stałych ofiarach działy się czasem nadużycia. Zatem wmieszały się w to władze świeckie i wydały patent józefiński. Patent ten jest — zdaniem ks. Ruczki — niedorzeczny i niestosowny, tak że nawet wierni nie chcieliby, by według niego obrządki były opłacane. Stąd też wynika konieczność nowego uregulowania taks. Patent józefiński jest wprawdzie ustawą obowiązującą, ale prowizorycznie. Skoro biskupi nie wydali swoich taks, to milcząco przyjęli patent józefiński za swój, toteż obowiązuje on prowizorycznie.

Te wyjaśnienia posła ks. Ruczki poparł komisarz rządowy oświadczeniem, że patent józefiński, normujący *iura stolae*, nie jest zniesiony i ciągle obowiązuje jako ustawa cywilna, a procedura, z powodu przekroczenia tego patentu, należy do władz cywilnych.

Dyskusję sejmową zakończyło uchwalenie przez Sejm wniosków komisji o zreformowanie patentu józefińskiego w następujących kierunkach:

- 1) oddzielenie taks przypadających księżom od taks należnych Kościołowi i świeckiej służbie kościelnej,
- 2) wezwanie episkopatu, by unormował taksy dla księży i by te taksy w drodze ustawy przepisanej do wiadomości podane zostały,
- 3) przedłożenie projektu ustawy regulującej należności Kościoła i służby kościelnej w sposób stosunkom dzisiejszym odpowiedni; do czasu zaś, póki ustawa taka nie wyjdzie, republikowanie dotychczasowego patentu o *iura stolae* z roku 1785.

Zniesienie w roku 1848 pańszczyzny nie uchyliło jednak wszystkich ciężarów, jakie poddani ponosić musieli na rzecz klasztorów, kościołów i plebanów. W mocy pozostał obowiązek dostarczania robotnika w czasie żniw, zwózki drzewa i plonów, ogradzania gruntów plebańskich, bezpłatnego miewa dla proboszczów. Utrzymane też zostały istniejące pod przeróżnymi

nazwami opłaty, jak meszne, osepny, stołowe, taczmo, żelazne krowy, skopczyzna, rokiwsczyzna itp. Ustawy przewidywały krótki termin na wykupywanie tych świadczeń albo zamianę świadczeń w naturze na opłaty pieniężne. Gromady jednak o prawie takim nie dowiedziały się, bo proboszczowie, w zмовie z mandatariuszami, postarali się o ukrycie tego prawa przed gromadami.

Znany nam już z walk o iura stolae włościanin z Samborskiego, poseł Rusiecki, poruszył i tę sprawę w Sejmie. Mówił on: „Przy poborze danin w naturze jest tylko gniew i obraza Boża. Jak się chłopu nie urodzi i przywiezie chudy snop, to ksiądz mu go odrzuca i nawymyśla: «ty taki i owaki, ty mnie oszukać chcesz gorzej od Żyda, tyś mi najkierpściejsze zboże powybierał i najmniejsze snopy nawiązał. Ja tego nie chcę, zabierz to sobie i przywieź lepsze». Chłop zabiera to, przeklina, że czas zmarnował, a powinności nie spełnił, więc zboże wymłóciła zmełł, a innego lepszego nie zawiózł księdzu, bo nie miał. Ksiądz czeka miesiąc, drugi, potem wyprowadza egzekucję, która rzeczy w karczmie zastawia. Tak dzieje się przy oddawaniu snopami. A i gospodyni trudno oddać coś bez gniewu, bo zawsze się coś nie podoba, to garniec mały, to nie oczyszczone. No! A jaka tam spowiedź; wczoraj przeklinał, a dziś do spowiedzi przyszedł. Nie jest to spowiedź, tylko obraza Boska!" Toteż poseł Rusiecki żądał zamiany tych danin w naturze na pieniądze i jak najszybszego załatwienia sprawy, aby „jak nastąpi święta spowiedź, zastanowić te korce na lepszy czas, bo teraz sam naród nie ma czym żyć”.

W parę lat później sprawa ta została załatwiona w myśl żądań ludności ustawą z 27 maja 1873 roku, mocą której na żądanie jednej ze stron władze administracyjne przeprowadzały wykupienie tych świadczeń.

Na tym samym posiedzeniu poseł Krawczyk z pow. bialskiego przedłożył petycje gmin: Brzeszcze, Bulowice, Czaniec, Porąbka, Jawiszowice, Kozy, Międzybrodzie, Bujaków, Bielany i Łęki, z żądaniem ustanowienia prowizorów gminnych do

prowadzenia rachunków i kas kościelnych, a tym samym usunięcia niedomagań gospodarki finansowej prowadzonej samowładnie przez proboszczów.

Także poseł z powiatu łańcuckiego, włościanin Szpunar, przedstawił petycje z gmin: Medynia, Salesie, Węgliska, Wola Blizsza, Dębno, Podzwierzyniec i Głuchów, z żądaniem uregulowania dochodów proboszczów, gdyż dzieją się nadużycia przy poborze iura stolae, nadto wglądnięcia w gospodarkę proboszczów budynkami mieszkalnymi i gospodarskimi, narażającą gminy na wydatki z ustawicznym ich reperowaniem. Z okazji załatwienia tych petycji sprawozdawca komisji, poseł Gniewosz, powiadomił Sejm, że „c.k. ministerium stanu, na wniosek Sejmu, rozporządziło dekretem z dnia 16 marca 1866 roku, że patent z roku 1785, regulujący iura stolae, jest za obowiązujący uważany, a jego przekroczenie ma być przez c.k. Namiestnictwo karane”.

Dla ochrony przed wyzyskiem łakomych księży Sejm, a z nim rząd, przypominać musiał, że patent z roku 1785, uznający taki wyzysk za przestępstwo, obowiązuje i władza państwowa ma prawo przestępstwa takie ścigać i karać. To wskazuje, że stosunki w parafiach były przykre. Poseł żywiecki, Wolny, wśród hucznych braw i oklasków, zwrócił się z takimi zarzutami pod adresem duchowieństwa: „Ale cóż? Ja otwarcie muszę powiedzieć, że wstydem i bólem serca, że ci, którzy powiadają, że pracują dla narodu, oświaty i postępu, zdradliwie tylko w ciemności lud utrzymać chcą, ponieważ w ich przekonaniu czym chłop ciemniejszy, tym lepiej z niego tylko drzeć można.”

Takie cierpkie słowa padły z ust górala żywieckiego, niewątpliwie gorliwego katolika, skoro w Sejmie przeprowadził swój wniosek o obłożenie kościelnym pogłównym podatkiem każdego parafianina w wieku od lat 16 do 50! Za tę ustawę przy następnych wyborach chłopci żywieccy utracili kandydaturę posła Wolnego. Oburzenie ludu na tę ustawę było tak wielkie, że w następnej kadencji Sejm ją zniósł.

Kiedy z nastaniem XX wieku wzmożła się walka z ruchem ludowym przy pomocy kurend, listów pasterskich i klątw kościelnych, „Przyjaciel Ludu” ogłosił patent józefiński i przypomniał, że ma on wciąż jeszcze moc obowiązującą. Bo też patent ten obowiązywał w województwach południowych do chwili zawarcia w roku 1925 przez rząd polski konkordatu. Patent ten został następnie wydany drukiem przez „Przyjaciela Ludu” jako broszura w nakładzie 10 000 egzemplarzy. W broszurze znalazł się taki dopisek: „Który ksiądz z Wami trzyma, to mu można zapłacić po dawnemu, a który służy nieprzyjaciółom, to mu płacicie według patentu cesarskiego.” Toteż wielu ludowców płaciło księżom wedle patentu, a gdy ci odmawiali przyjęcia tak niskiej zapłaty, kierowało sprawę do starosty przeciw wygórowanym żądaniom. Ci zaś, którzy musieli zapłacić wygórowane ceny, żądali za pośrednictwem starostw zwrotu nadpłaconej ponadtaryfowej nadwyżki. Księża załatwiali sprawy ugodowo, zwracając poszkodowanym nieprawnie pobrane nadwyżki opłat stułowych. Zdzierstwa niektórych skąpców były tak niechrześcijańskie, że w walce z tą nieprawością nawet dewotki stawały po stronie ludowców i „Przyjaciela Ludu”. W podobny sposób walczyło z wyzyskiem księżym PSL „Wyzwolenie”, którego tygodniki „Chłopski Sztandar” i „Wyzwolenie” wydrukowały kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy afiszów z publikacją dawnych patentów i rozporządzeń, zawierających taksy iurium stolae przeliczone na polską walutę.

W ten sposób zainicjowana przez pierwszych posłów ludowych w latach sześćdziesiątych walka o uporządkowanie stosunków parafialnych, prowadzona ostro przez ludowców, skończyła się zwycięstwem ludu. Episkopat polski zdecydował się uznać za konieczne ustanowienie taks za sprawowanie obrzędów religijnych, taksy te opublikował i ustanowił kontrolę przestrzegania taryf, by nadużyć w tym względzie nie popełniano.

W latach sześćdziesiątych władze wtrącały się jeszcze w nieporządku kościelne i tępiły je na równi z nadużyciami kle-

ru. W marcu 1866 roku zwrócił się do komisarza rządowego poseł hr. Golejowski z zapytaniem w sprawie dość makabrycznej. We wsi Roztoki, w obwodzie kołomyjskim, proboszcz obrządku greckokatolickiego, ks. Damian Kustynowicz, prowadząc kondukt pogrzebowy ze zwłokami Ułaszeniowej, wprowadził zwłoki do mieszkania włościanina, Antoniego Nahorojki, i tam je w chacie zostawić nakazał, oświadczając wobec ludu, że ponieważ Nahorojko nie zapłacił mu całkowitych 16 reńskich za pogrzeb swego syna, dotąd nie wyprowadzi trupa Ułaszeniowej z jego chałupy, póki Nahorojko nie uiszi się z tego długu. Zwłoki pozostawały w chałupie przez dwie doby i dzień, i dopiero wskutek interwencji urzędu powiatowego ciało Ułaszeniowej przeniesione zostało na cmentarz. Fakt ten potwierdził w Sejmie komisarz rządowy i zapowiedział, że „winny wkrótce znajdzie należyte ukaranie”.

W roku 1866 wpłynęły do Sejmu petycje z gromad Belinice, Trofanówka i Buczaczek o usunięcie z probostwa ks. Nikorowicza. „Treść tej petycji — mówił sekretarz Sejmu Zyplikiewicz — przejmuje rzeczywiście zgrozą. Abyśmy mogli powziąć uchwałę, musiałbym całą petycję dosłownie przeczytać, jednakże ze względu na religię i na stan duchowny niepodobna jej czytać wobec zgromadzonej publiczności. Dlatego imieniem komisji petycyjnej wnoszę, aby Wysoka Izba zarządziła posiedzenie tajne.” Arcybiskup Litwinowicz sprzeciwił się zajmowaniu Sejmiu tą sprawą, jako należąca do kompetencji prełata rzymskiego. Jednak poseł Zyplikiewicz jeszcze raz oświadczył, że fakty przytoczone zgrozą przejmują, że sprawa wlece się od 2 lat, a ksiądz na miejscu siedzi z ujmą dla godności kapłańskiej i dla dobra gmin, że każda petycja, która do Sejmu przyjdzie, załatwiona być musi, lecz musiałaby być czytana, czego ze względu na moralność uczynić nie można. Nikt też nie chce wywoływać publicznego zgorszenia, jednakże gdyby petycja na tajne posiedzenie nie przyszła i temu nie zaradzono, nikt by się więcej do Sejmu nie zwracał. W żadnym zaś sejmie na świecie nie było praktykowanym, ażeby bez pozna-

nia i rozpatrzenia sprawy przechodzono nad nią do porządku dziennego. Tajność posiedzenia uchwalono i przez 1 ½ godziny nad petycją radzono. Czy i jakie uchwały powzięto, nic nie wiadomo, bo w aktach śladu nie ma.

W pierwszym Sejmie zasiadało sporo posłów nieprzychylnie nastawionych do kleru, zwłaszcza ruskiego. Należeli do nich: Sanguszko, Adam Sapieha, Smarzewski, Adam Potocki, Lipczyński, Bocheński, Borkowski, Smolka, i prawie wszyscy chłopcy polscy i ruscy. W drugim już Sejmie trudniej było pozyskać większość głosów dla spraw dotyczących duchowieństwa.

Dowodem tego była sprawa szewca lwowskiego, Jana Naganowskiego, przedstawiona Sejmowi przez posła Franciszka Smolkę. Sprawa to dość osobliwa, oświeclająca charakter kanonika katedralnego, ks. Malinowskiego. W dniu 15 lipca 1868 roku nuncjusz papieski celebrował w kościele archikatedralnym we Lwowie nabożeństwo. Pobożni ludzie pchali się do ucałowania ręki nuncjusza. Cisnął się też ów szewc, a po drodze cmoknął w rękę kanonika ks. Malinowskiego. Ksiądz fuknął głośno na szewca i zażądał... zwrotu pierścienia. Nim osłupiały szewc przyszedł do siebie, podwładni księdza Malinowskiego zawlekli go do zakrystii i oddali w ręce policji jako złodzieja, który ściągnął księdzu pierścień z palca. Urzędnik policji udał się do mieszkania ks. Malinowskiego. Został tam tylko brata jego, gdyż ks. Malinowski zaraz odjechał do Przemyśla, a brat, pokazując mu pierścień, powiedział, że ksiądz kanonik zapomniał włożyć pierścień na palec i zostawił go w domu. W trzy dni potem napisał ks. Malinowski do policji, aby szewca zwolniła, gdyż... mimo straty pierścienia nie chce się wdawać w żadne procesy. Komisarz, uderzony tą sprzecznością, udał się ponownie do mieszkania ks. Malinowskiego i stwierdził, że ten sam pierścień miał na rękę, czemu zaprzeczyć nie mógł, gdyż brat jego był świadkiem. Gwałt popełniony na szewcu, w związku z oczernieniem go jeszcze przez gazety, przyprawił go o tak ciężką chorobę, że przez 14 dni wal-

czył ze śmiercią. Stracił też zaufanie i zarobek, bo czeladź go odeszła. „Moi panowie — mówił poseł Smolka — to jest straszna rzecz w miejscu publicznym, w miejscu tak świętym, być posądzonym o taką zbrodnię, to życiem nawet przyplacić można. Naganowski przyplacił to swoim zdrowiem. Ja widziałem go, on się trzęsie na całym ciele i nie jest już zdolnym do pracy. Jest to okropny wypadek... Otóż jakaś satysfakcja mu się należy.” Niestety! Drugi Sejm nie okazał się skłonny do wglądnięcia w krzywdę człowieka. Wniosek Smolki o przekazanie sprawy Sądowi Krajowemu — upadł. Sejm przeszedł nad nim do porządku dziennego. Jedyną satysfakcją, jaką miał nieszczęśliwy szewc, było to, że sprawę jego na publiczne forum wytoczył tej miary obywatel i poseł, jakim był były prezydent konstytuancy 1848 roku, Franciszek Smolka.

Trzeci Sejm również nie okazał się w sprawach dotyczących duchowieństwa odważniejszym. Dowiódł tego przy sposobności załatwienia nagłego wniosku wniesionego przez posła Popiela, mieszczanina Samborskiego. Poseł Popiel, poparty przez polskich posłów włościańskich: Michalskiego, Włodka, Szotta, Oskarda, Laskorza, Szurleja i Gawronka, i siedmiu ruskich posłów włościańskich, żądał we wniosku szybkiej interwencji rządu z uwagi, że przepisy o iura stolae nie są przez kler przestrzegane, że przekraczanie tych przepisów podkopuje powagę duchowieństwa, potrzebną do utrzymania porządku społecznego, że za podkopaniem tej powagi idzie osłabienie ducha religijnego, że wreszcie stan ubóstwa, jaki panuje wśród włościan, nie może znieść uciążliwych często wymagań co do iura stolae, będących w sprzeczności z ustawami.

Wniosek ten nie uzyskał większości. Szlachta bowiem broniła swych interesów nawet przeciw klerowi, o ile im ten kler zagrażał. Natomiast ochraniała stanowe interesy kleru tam, gdzie im chłopcy zagrażali. Żądała za to zresztą od Kościoła, aby stawał w obronie jej przywilejów politycznych i społecznych, aby stał na straży nienaruszalności i bezpieczeństwa mienia dworskiego, aby kościelny konfesonął był dworskim po-

sterunkiem policyjnym, a ksiądz aby w konfesjonale pełnił rolę żandarma dworskich interesów. Organizowana przez żony obszarników dewocja służby dworskiej, częste misje i spowiedzi zwykłe i generalne miały na celu głównie ochronę lasów i gruntów dworskich przed drobnymi kradzieżami. Proboszczowie najlepiej z doświadczenia wiedzieli, ile świątokradzkich spowiedzi odbywali parafianie, z przymuszenia dworu spowiadający się przed własnym proboszczem. Zatajali grzechy na spowiedzi, nie dowierzając, czy wiadomość o ich grzechach „dworskich” nie dotrze do „państwa dziedziców”. Wartość proboszcza oceniał dwór według rezultatów wielkanocnej spowiedzi. Jeśli po tej spowiedzi dwór podkładanych pieniędzy nie znajdował, lub proboszcz od nie ujawnionych grzeszników gotówki nie nadsyłał, takiemu „niebalemu” proboszczowi, egzekutorowi dworskich pretensji, dwór złorzeczył. Taką samą wartość dla dworu miały też misje.

W dniu 4 maja 1893 roku poseł Torosiewicz, obszarnik z powiatu brzeżańskiego, radził w Sejmie szkoły pozamykać, jako źródła zepsucia, demoralizacji i socjalizmu. Żądał zwolnienia szlachty od podatków szkolnych. Natomiast postawił wniosek o subwencjonowanie kościelnych misji; w misjonarzach bowiem widział najlepszych wychowawców ludu wiejskiego.

„Przed półtora rokiem — mówił ów poseł — miałem u siebie misję na wsi... widziałem skutki namacalne takiej misji. W dwa tygodnie po misji otrzymałem bezimienny list pocztą z 25 reńskimi, a jedna osoba, zamieszkała w moim domu, otrzymała w trzy miesiące po misji również list z 11 reńskimi. To jest dowodem, jak ta misja skruszyła tego, który sobie przywłaszczył pieniądze. Nie mam słów pochwały dla zreformowanych księży Bazyliańców i OO. Jezuitów. Tym również należy się wielkie uznanie od kraju, że w tak krótkim czasie taki kler wychowali.”

Dla takich celów obszarnicy potrzebowali Kościoła. Wyżyskiwaczom szlacheckim, którzy nawet krajowi kazali opła-

cać okup misyjny, nie miał kto nakazać, aby oczyścili swe sumienie zabrudzone wyzyskiem uzależnionego ludu wiejskiego.

W dniu 22 czerwca 1873 roku niezwykle ruch panował we wszystkich kościołach diecezji tarnowskiej. W każdym kościele pleban lub wikariusz odprawiał w najuroczystszej formie sumę, a w ciągu całego dnia duchowieństwo śpiewało niezwykle psalmy i odmawiało także niezwykle modlitwy. Z ambon ogłosiło duchowieństwo ludowi przyczynę tej niezwyklej uroczystości. Oto w Tarnowie pojawili się „niepowołani apostołowie, nauczyciele kłamstwa i obłudy, słowem, buntownicy, którzy w owczych skórkach przychodzą, ale wewnątrz są wilkami”. Dodawano do tego uboczne uwagi, jakie są „nie dobre skutki fanatyzmu, fałszywej i udanej tylko pobożności”. Czego się w Tarnowie ci fanatycy dopuścili, wyjaśniał ludowi odczytywany z ambon list pasterski, „dany w Tarnowie, w dzień Wspomożenia Wiernych 1873 roku”:

„Józef Alojzy baron Pukalski, z Bożej i Stolicy Apostolskiej łaski Biskup Tarnowski, Ojca Świętego Prałat domowy i Assystent Tronu Pap., hrabia rzymski, Jego c.k. Apostolskiej Mości rzeczywisty Radca tajny, Kawaler Orderu korony żelaznej II. klasy, Komandor Orderu Franciszka Józefa itd.

itd.

Całemu Duchowieństwu świeckiemu i zakonnemu oraz Wszystkim Wiernym Diecezji swojej łaska i błogosławieństwo od Pana Naszego Jezusa Chrystusa!

Boleść rozdziera serca, słów Nam brakuje, gdy do Was mówić zamierzamy! Bo i któż by nie bolał, któż by nie zapłakał, widząc złość ludzką tak się wzmagającą, iż się nie lęka popełnić zbrodni na miejscu tak świętym, jakim jest ołtarz w chwili sprawującej się na nim bezkrwawej ofiary nowozakonnej! A właśnie takiej zbrodni świątokradzkiego zamachu stał się świadkiem Tarnów, Nasza Stolica Biskupia.

Dnia 22 maja br., w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego... zgromadziła się wielka liczba wiernych w kościele OO. Bernardynów w celu wysłuchania Mszy świętej i zadośćuczynienia przykazaniu kościelnemu. Wyszedł też i wstąpił do ołtarza sługa Boży. Suma rozpoczęła się zwykłym sposobem. Obok dźwięcznego głosu organu i uroczystego śpiewu celebrującego Gwardyana w całym kościele, od ludu przepelnionym, panowała cisza... Nagle — o zgrozo! Kiedy właśnie kapłan, po ofiarowaniu chleba i wina, szedł na lavabo, to jest na umycie rąk, Antoni Banaś, piekarz z Wadowic, zbliża się do samego ołtarza, wyciąga świętokradzkim narzędziem uzbrojoną rękę i strzela do kielicha, który też w dwóch miejscach znacznie uszkodzonym został. Po strzale pierwszym następuje zaraz drugi, lecz tu palec Boży karze zbrodniarza, odrywając mu tą samą kulą jego własny palec, który spadłszy na ołtarz zbryzgał go krwią świętokradcy... kapłan zachowuje przytomność największą i z zimną krwią chwyta zbrodniarza za ramię, wzywając do upamiętania się i mówiąc: «Człowieku, co robisz?» Chwila to była dla samego kapłana niebezpieczną — wszyscy bowiem przytomni w kościele przerażeni — kobiety mdleją, dzieci płaczą, jedni uciekają, a drudzy na twarz padają — słowem, zamieszanie największe następuje, a wśród tego, kiedy sam jeden Gwardyan pasuje się ze złoczyńcą, pięć dziewczynek przybywa na pomoc Banasiowi, z których jedna zawoławszy: «Dajcie mu spokój, bo on niewinny, koniec musi być wszystkimu, sprawiedliwość musi być» — sama strzela do obrazu Matki Boskiej.

Spieszna pomoc ze strony straży wojskowej pozwoliła zbrodniarzy uchwycić i odprowadzić do więzienia, do którego też idąc zbrodniarze ci wołali: «Niech żyje sprawiedliwość»."

Tak się przedstawił opis tumultu wywołanego w kościele bernardynów w Tarnowie przez grupę ludzi, o których tenże list pasterski donosił, jakoby mieli jakieś tajne schadzki w piwnicy pewnego domu w Tarnowie, co tam jednak wyprawiali i kto był motorem zamachu — to pozostawiono do

rozwiązania c.k. sądowi kryminalnemu. Uderzała w liście wzmianka o niedobrych skutkach fanatyzmu. Biskup tarnowski, Józef Pukalski, nie miał opinii fanatyka i znał swoich fanatyków. Urodził się w Cieszynie, tam kończył gimnazjum, a po wykszoleniu się na duchownego sprawował obowiązki duszpasterza w parafiach księstwa oświęcimskiego. Pierwsze probostwo otrzymał w Wilamowicach. Nadała mu je tamtejsza gmina, gdyż po wykupieniu obszaru dworskiego przeszło na nią prawo kolatorstwa. Stamtąd przeniósł się do Żywca, gdyż tu nadał mu probostwo arcyksiążę Ludwiga Habsburga. Z Żywca przeszedł na kanonik do Tarnowa, w roku 1851 cesarz, Franciszek Józef I, dał mu nominację na tarnowskiego biskupa. Diecezja tarnowska była najrozleglejszą. Obejmowała cyrkuły (okręgi): tarnowski, nowosądecki, bocheński i wadowicki. Jako były proboszcz wilamowicki specjalną opieką otaczał studentów z Wilamowic. Za jego rządów wielu z nich zajęło wybitne stanowiska w konsystorzu tarnowskim i na urzędach kościelnych w jego diecezji. Pukalski brał udział w soborze watykańskim i tam, wraz z 54 innymi biskupami, należał do opozycji przeciwnej ustanowieniu dogmatu nieomylności papieskiej. Reakcyjni klerykali urabiali mu opinię „złego katolika", tak że aż w testamencie swoim poprzysiągł, że jest katolikiem, wierzącym także w watykański dogmat nieomylności papieskiej.

W związku z jego listem pasterskim i wymienieniem w nim Antoniego Banasia z Wadowic, znanego tu Sekciarza „sidziniarza", rozeszła się po kraju wieść, że sprawcami tumultu tarnowskiego są „sidziniarze", fanatycy produkcji kościelnej.

* *
 *

W roku 1846 — głośnym w świecie z powodu rzezi galicyjskiej — w dekanacie makowskim, dzisiaj stanowiącym powiat Sucha, w parafialnej wsi pod Babią Górą, Sidzinie, posiadającej wówczas także szkołę parafialną, obowiązki dusz-

pasterskie pełnił około 40 lat liczący ksiądz Wojciech Blaszyński, góral z Chochołowa. W tymże czasie, młodszy od niego o jakieś dziesięć lat ks. Józef Stolarczyk, góral z Jordanowa, sprawował rząd dusz i sumień ludzkich w Nowym Targu, a po kreowaniu kościoła w Zakopanem, tamtejszą wiarę góralską z chrześcijańską wiarą zharmonizował.

Z Sidziną związana jest nazwa sekty religijnej „sidziniarzy”, nowoczesnych „pokutników”, a ks. Blaszyński — popularnie księdzem Wojciechem nazwany — uchodził za ojca duchowego tej sekty.

Doktryna sekty, jasna i prosta, głosiła, że zło na świecie pochodzi z bezbożnych i świętokradzkich spowiedzi i lekomyślności, z jaką spowiednicy udzielają grzesznikom rozgrzeszeń bez należytego roztrząsania ich sumień. Jediną doskonałą spowiedzią jest spowiedź generalna, a jedynym znakomitym spowiednikiem jest tylko ks. Wojciech, i tylko wobec niego spowiedź uczyniona jest w stanie grzesznikowi zbawienie zapewnić. Nauki te trafiały w sedno. W parafiach, gdzie proboszczowie nauki katechizmu nie udzielali, gdzie szkółek nie było, w których by organiści mogli to zadanie wypełniać, grzesznicy spowiadać się nie umieli, wiele grzechów zatajali, zwłaszcza gdy ich kwalifikacji nie znali, wiele zapominali, księża zaś, znudzeni wysłuchiowaniem powszechnych przywar natury ludzkiej, spowiedzi nie przedłużali, pytań nie zadawali, chyba że chodziło o naruszenie pańskiej własności przez penitenta, to w tym wypadku baczniej ucha nastawiali. To wszystko znów wywoływało wątpliwości w sumieniach ludzkich, czy ksiądz panu nie zdradza tajemnic i czy zwątpienie w wartość takiej spowiedzi nie jest nowym grzechem. Praktyka spowiedzi, prowadzonej przez księdza Wojciecha, była całkiem inna. Spowiadał długo, spowiedź jego była równoczesnym nauczaniem grzesznika prawd wiary, przykazań boskich i kościelnych. Po takiej spowiedzi grzesznemu człowiekowi „na sumieniu ulżyło”, czuł się pewnym zbawie-

nia, a ks. Wojciechowi dowierzał, iż powierzonych mu na spowiedzi tajemnic żadnemu panu czy urzędnikowi nie zdradzi.

Wieść o dobrym spowiedniku, ks. Wojciechu, rozeszła się szeroko. Przekroczyła granice Galicji, dotarła nawet na Węgry. Im więcej penitentów „ważnie” rozgrzeszył, tym więcej mu nowych przybywało. Odprawy spowiedziowe utrudniała mu okoliczność, że przy dokładności spowiedzi zużytkował bardzo wiele czasu na wybadywanie penitentów, bo mało który z nich bez zadawania mu pytań mógł grzechy swe niby litanie recytować. Egzamin z nieoświeconym penitentem nieraz trwał godzinami, a tu procesje grzeszników i grzesznic nieraz całymi tygodniami czekały w Sidzinie na termin swej rozprawy w konfesjonale. Sąsiedzi-księża pomóc mu nie mogli, bo w nich wiary lud nie miał i od nich się odwracał. Urządzał się tedy praktycznie. W samej Sidzinie i w Chochołowie wyuczył krocie tamtejszych niewiast formalistyki spowiedziowej i uczynił je apostołkami tej formalistyki. One wyuczały nieuków spowiedziowych, one egzaminowały ich z nauki i za ich świadectwem — „kartką” — ks. Wojciech „słuchał” w konfesjonale tak przygotowanego penitenta. Takie były narodziny „sidziniarek” i „sidziniarzy”. Egzaminy spowiedziowe wyglądały dość zabawnie. „Sidziniarka” zasiadała za jakimiś deskami ze szparą albo chowała się do głębokiej beczki i grając rolę spowiednika wygłaszała stosowne formułki i „słuchała” grzesznika przez dziurę po wyjętej klepce. Grzesznik, klęcząc z boku, odmawiał wyuczone modlitwy i odbywał próbną spowiedź, najczęściej wyliczając swoje nawet tajemne grzechy. A że takich „księży w spódnicy” interesowały, i to niezwykle, cudze tajemnice, więc też ochoczo i gorliwie oddawały się temu apostołstwu, zwłaszcza że penitenci nie chcieli nauki za darmo, ale i dla apostołki, i dla ks. Wojciecha z wdzięczności niejednego reńskiego — tytułem iura stolae — zza pazuchy wyjmowali. Toteż nie tylko rosła sława ks. Wojciecha, ale trafnie mógł stwierdzić, że w jego kościele „dominus vobiscum stale z pełną miską”. Nie można

ks. Wojciecha posądzić, by nie był racjonalizatorem ulepszenia spowiedzi. Od czasu gdy mu apostołki wyuczały penitentów, spowiedź przy konfesjonale szła szybciej i jak dawniej dziennie mógł 20 penitentów generalnych załatwić, tak teraz po nauce załatwiał takich penitentów 100! Gdy dawniej w skarbonce kościelnej uzbierało się 20 guldenów, teraz było 100! Skoro zaś Bóg ks. Wojciechowi pobłogosławił, toteż i ks. Wojciech także nie chciał być niewdzięcznym i sporo z tego, co mu dano, na dopomożenie w budowie kościoła w Chochołowie przeznaczał. Tam przecie się urodził. Tam jego rodzice kości swe na cmentarzu złożyli, a może Bóg pozwoli, to i on przy tej świątyni proboszczem zostanie i tu wśród swoich dopełni dni żywota swego.

Lud go szanował i uwielbiał, ale niechęć do niego potęgowała się w sferze sąsiedniego duchowieństwa. Czulo się ono znieważone dyskwalifikowaniem spowiedzi odbywanych we własnych parafiach, co podkopywało autorytet stanu kapłańskiego. Namówieni osobnicy stali na ks. Wojciecha skargi za skargami. Przez jakiś czas konsystorz nie zważał na te skargi.

Bronili też ks. Wojciecha księża-koledzy z seminarium czy z posad wikariuszowskich. Gdy jednak temperament poniósł ks. Blaszyńskiego i na kazaniach zaczął się zajmować Żydami, nawet wówczas w tych stronach nielicznymi, władze administracyjne, mając na uwadze sprawę spokoju publicznego, poczęły zwracać baczniejszą uwagę na osobę ks. Wojciecha i nieprzychylnie o nim relacje posyłać do konsystorza. Do Sidziny bowiem przybywały takie masy pielgrzymów z różnych stron, że dla utrzymania porządku trzeba było tam posłać oddział żandarmów.

Komisarze cyrkulowi w Wadowicach dowiadywali się u ks. Daczyńskiego, dziekana w Inwałdzie, co to są owe spowiedzi „generalne”. Otrzymałszy wyjaśnienie dość mętne, posłali do Sidziny drugi oddział żandarmów, a ci wieczorem połapali wychodzących z kościoła, przybyłych z dalekich stron, a nawet z Węgier, penitentów, przyaresztowali ich, a następnie do

miejsz zamieszkania odstawili („odszupasowali”). To rzuciło popłoch i chwilowo pielgrzymki do Sidziny ustały. Alarmowany konsystorz, z uwagi że ks. Blaszyński robił konkurencję sąsiadującym proboszczom, czyli „zapuszczał sierp w cudze żniwo”, dekretem zabronił mu spowiadać i katechizować we własnym kościele obcych parafian. „Apostołkom sidzińskim” zabroniono chodzić po jarmarkach i odpustach i nauczać prawd wiary. Ks. Blaszyńskiemu nakazano kobiety te odwieść od tych praktyk, bo szkodzą powadze innych kapłanów, oddają się lenistwu i szerzą błędy religijne. Przy tym zagrożono, że jeśli tego nie przestaną czynić, natenczas proboszczowie oddadzą je do ukarania władzy świeckiej. W czwartym punkcie dekretu powiedziano: „Nie wierzymy, jakoby Miłość Twoja, co powszechnie mówią, uniesiona żarliwością o dom Boży, używała wszelkich możliwych sposobów, byle tylko pieniądze zebrać na budowę nowego kościoła parafialnego w Chochołowie. Gdyby tak było, należałoby przerwać pracę koło świątyni na jakiś czas niż używać do celu tego środków budzących zazdrość i rozruchy. Takimi ofiarami nie można Boga przejednać.” W razie przekroczenia tych warunków zagroził konsystorz odebraniem mu władzy rozgrzeszania od rezerwatów biskupich i karą suspensy.

Niepowodzenia ks. Wojciecha w konsystorzu ośmieliły szajkę rabusiów, która w nocy z 9 na 10 czerwca 1864 roku napadła na dom jego bratanka w Chochołowie i pobiwszy domowników zrabowała skrzynię i zrabowała z niej 4172 złr 75 cent., własność ks. Blaszyńskiego. Sprawa była dość zagadkowa. Sąd nowosądecki uznał winnymi i skazał 6 rabusiów, sąd apelacyjny wszystkich uniewinnił, a sąd najwyższy skazał tylko Jaworczyka z Witowa i Czuchniaka z Cichego na areszt i zwrot pieniędzy. Ksiądz Blaszyński ogłosił, że obaj popadli pod klątwę kościelną, jako że pieniądze te rzekomo przeznaczone były na budowę domu Bożego, czemu jednak wiary nie dawano.

Ale jeszcze inne niepowodzenie spotkało wcześniej ks. Woj-

ciecha. Zmarł proboszcz w Chochołowie. Prawo kolatorstwa posiadał ks. prof. Wilczek i Blaszyński liczył, że mu da prezentę na probostwo chochołowskie. Przeliczył się jednak. Ks. Wilczek nie chciał brać odpowiedzialności za ks. Blaszyńskiego i wyraźnie mu odpisał, że prezenty nie podpisze, bo „obudza niechęć i prześladowanie przeciw Żydom”. Przy tym konsystorz obawiał się, że proboszcz, przy kościele za swoje pieniądze zbudowanym, nie będzie pewnym i lojalnym wobec władz kościelnych i łatwo przy swej „bazylice” może „schizmę czy herezję wywołać” i między wiernymi zawichrzyć, zwłaszcza że czynił starania w konsystorzu, by mógł być proboszczem na 2 parafiach, w Sidzinie i Chochołowie. Również zazdrośni sąsiedzi z Chochołowa prosili za pośrednictwem wójta Franciszka Koisa, by ks. Wilczek prezenty na probostwo ks. Blaszyńskiemu nie dawał, „bo z jego nauki wielu zwariowało, co ja sam tę nieszczęśliwą ofiarę na własne oczy widział, a drugi sobie w roku 1861 gardło na Dzianiszu poderznął — inni, śmiejąc się z tej nauki, zostali zbójami i wkrótce dwa obozy pod Tatrami przeciwko sobie staną, jeden «świętych», a drugi «przeklętników», bo i teraz zaczynają okna wybijać, gdyby oblubieniec odwiedził w wieczór rodziców swojej narzeczonej”. Nie tylko nie dano mu probostwa w Chochołowie (otrzymał je ks. Klimowski), ale w roku 1865 zakazano mu spełniać w kościele chochołowskim jakichkolwiek czynności kapłańskich z wyjątkiem odprawiania mszy.

Dziekan nowotarski, ks. Zdrzelski, opracował dla konsystorza sprawozdanie o ks. Blaszyńskim i jego herezji, delikatnie szkołą sidzińską nazwanej, które musiało wzbudzić poważny niepokój o następstwach nauk jego. Pisał w nim:

„Ks. Blaszyński jeżeli całkiem nie zniszczył, to w wysokim stopniu nadwątlił powagę i stanowisko duchowieństwa przez swoje «sidzińskie nauki»...

...zasiał ziarno niezgody, wzbudził sektę fanatyczną...

...ludzie ci, sfanatyzowani, mają się za wybranych i świętych, pogardzają innymi, prześladowają ich...

...pewna «sidziniarka» w Chochołowie spuściła z rusztowania kamień na proboszcza Klimowskiego, chcąc go zabić...

...w Chochołowie jest drugim i ważniejszym proboszczem, kiedy tam kompanie się do niego schodzą, a on je przyjmuje...

...z samej parafii chochołowskiej chodzi po kilkadziesiąt ludzi do Sidziny, jakby na jakie cudowne miejsce...

...fanatyczne i gorszące nauki ks. Blaszyńskiego mogą wszystkiego dokazać. Wymowa jego jest porywająca, a styl do zrozumienia łatwy. Jeżeli więc kogoś publicznie wyklnie w kazaniu, czegoż lud sfanatyzowany niegotów uczynić?”

Ksiądz Klimowski, proboszcz w Chochołowie, wniósł nową skargę. Zarzuca Blaszyńskiemu w niej „poufałe widywanie się” z żoną Filipa Dragosza oraz Rozalią Podczerwieńską „sławną apostołką”. W chochołowskiej księdze parafialnej wspomnień ten sam ks. Klimowski spisał zasady i obyczaje „sidziniarzy”. Píše, że w dolinie nowatorskiej wzrosła sekta, sięgająca od Karpat aż do Wisły, podobna do chasydów, a szerzą ją dziewczki i kobiety. Od wyznawców tej sekty wybierają pieniądze rzekomo na budowę kościoła w Chochołowie, z tego wzbogacił się ks. Blaszyński, bo majątek znaczny zostawił. Bogaciły się też „sidziniarki”, unikały pracy, włóczyły się, domy sobie stawały i drugim pieniądze pożyczaly. Kobiety te często chodzą do kościoła i spowiedzi, modlą się, nie pracują, a na życie pieniądze wyludzają. Czystość szanują, chodzą z głową rozczochraną, boso i z twarzą zasłoniętą. Nawet w czasie pilnych robót gospodarskich pielgrzymują do Sidziny i siedzą tam całymi tygodniami. Trunków nie piją, tańcami gardzą, zabawy uczciwe potępiają, a posty ściśle przestrzegają. Względem swych przeciwników nie znają miłości bliźniego, krzywdzą ich i prześladowają, uważając ich za „nieczystych”. Żydów nie uznają za ludzi. Ten tylko pójdzie do nieba, kto odbędzie pielgrzymkę do Sidziny i tu odprawi generalną spowiedź u jedyne go prawego kapłana, Blaszyńskiego. Nawet legalne małżeńskie obcowanie nie jest dozwolone, a cóż dopiero obcowanie w piątki, niedziele i święta, wigilie i posty.

Uważają, że ciężkie grzechy są niczym wobec grzechów przeciwko skromności, ale na temat sprośności cielesnych chętnie dyskutują. Chory nie powinien jeść mięsa i rosółu. Po nocach odbywają zebrania, modlą się na nich i śpiewają. Swoich tajemnic nie wyjawia pod żadnym warunkiem i wszelkie cierpienia znoszą dla Pana Jezusa. „Sidziniarki” chodzą nawet na Orawę straszyć ludzi piekłem, wyłudzać od nich pieniądze i stawiają wspaniałe domy. W Nowym Targu niejaki Piotr Pajor za zebrane na klasztor pieniądze wystawił sobie dom. Tak samo się urządziły w Chochołowie dwie siostry Berecinki, a w Podczerwonym — Rozalia Zmarzlakowa.

Dziekan, ks. Ciesielski, w roku 1859 donosił konsystorzowi, że sześć kobiet z Sidziny, a to: Maria Przybyś, Katarzyna Papol, Katarzyna Migus, Agata Czarna, Maria Migus i Balbina Juraszka, włączyło się po powiecie wadowickim i szerzyło błędy i baśnie, że ks. Blaszyński jest „jubileuszowym księdzem”, że ma moc od samego Ojca Św. rozgrzeszać ludzi z takich grzechów, które są zostawione do rozgrzeszania samemu Ojcu Św. Ma także władzę od Ojca Św. dawania ślubów przy spowiedzi. Rozdają one kartki do spowiedzi, pisze je organista sidziński i daje proboszczowi, a ten je „apostołkom” wyznaczonym posyła, by one spowiadały i egzaminowały ludzi, a potem ich z kartkami wysyłały do księdza w Sidzinie do spowiedzi. Kto się jednak wpierw przed „sidziniarką” nie wypowiada, nie dostaje kartki i nie dostanie się do księdza do spowiedzi. Kobiety pod wpływem teologii sidzińskiej tracą zmysły, wariują i takie wypadki zdarzyły się w parafii suskiej. Ksiądz Ciesielski pisze, że powierzenie głoszenia wiary niewykształconym i złego życia kobietom — znaczy tyle, co rzucać przed wieprze rzeczy święte. Starostwo wadowickie przytrzymało owe „apostołki” i odstawiło do Sidziny. Niejaka „Kasia” z Grzechyni koło Makowa przychodziła na odpusty do Kalwarii, gdzie udawała świętą prorokinię. Widywała Matkę Boską, a w czasie wizji wypowiadała tajemnicze zdania, składała ręce ku niebu je

wznosząc, to znów trzepocąc nimi. W Kalwarii żandarmeria przyaresztowała ją i sąd tamtejszy skazał ją na areszt za oszustwa i kradzieże. Oczywiście, za występy te trudno obwiniać ks. Blaszyńskiego, albowiem typy „religijnych oszustów” spotyka się w każdym wyznaniu. Kto wie, jakie rozmiary przybrałaby propaganda „sidziniarek”, gdyby . nie tragiczna śmierć ks. Blaszyńskiego. W dniu 11 sierpnia 1866 roku miano w Chochołowie zrzucić belki z rusztowania wieży kościelnej wczesnym rankiem, póki ludzie nie pójdą do kościoła. Ks. Blaszyński wczesnym rano przyszedł pod kościół doglądać tej pracy. Spadająca belka uderzyła go jednym końcem w skroń. Cios ten był śmiertelny.

Tragiczna śmierć księdza wywołała duże podniecenie tak wśród jego przyjaciół, jak i wrogów. Ci ostatni mówili, że to „palec Boży” dotknął go, bo zginął skutkiem własnej nieostrożności. Ks. Blaszyński zrobił zakład z murarzem Ślezakiem o współzawodnictwo we wczesnym zrzuconiu belek, zapowiadając mu, że jak on wcześniej przyjdzie, to zacznie sam belki zrzucić i Ślezak zakład przegra.

Pogrzeb ks. Blaszyńskiego był olbrzymią manifestacją podhalańskiego ludu. Mówiono, że więcej uczestniczyło w nim ludzi niż w przyjęciu cesarza w Krakowie w roku 1880. W ciągu trzech dni pogrzebowych działy się przedziwne rzeczy nie tylko w Chochołowie, ale i na całym Podhalu. Już na pogrzebie widziano sceny hysterii, obłąkania i szaleństw. „Sidziniarki” rozpoczęły powszechny płacz i lament. Zewsząd szły rozpaczliwe krzyki, przeciągłe i rozdzierające, jakich przedtem nikt nigdy nie słyszał. Przez całe trzy dni snuły się nisko chmury i deszcz lał nieustannym strumieniem. Zdawało się, że również przyroda wraz z ludem oplakuje rządzącego sumień ludzkich. Lament ludu i krzyk słyszano w odległej o ćwierć mili wsi. Trwał on przez trzy dni i noc. U fotografa krakowskiego czcicieli zamówili około 600 fotografii księdza. Zwłok jego dotykano obrazkami, różańcami, które przez to stawały się pamiątkowymi. Sutanę, w której zmarł, rozszarpano na

tysiące kawałeczków, z których porobiono szkaplerze. Z powodu ciżby trumnę ze zwłokami obalono na ziemię i świece przy niej połamano. Nie na tym jeszcze koniec. Powstały legendy. Mówiono, że gdy w Chochołowie uderzono w dzwony kościelne, urwało się dzwonie serce i spadając omal dzwonnika nie zabiło. W Czarnym Dunajcu zerwała się lina u dzwonu wielkiego. W Rabie Wyżnej też pękło serce u dzwonu i zerwała się linka u sygnaturki.

W dniu pogrzebu deszcz ustał, a nawet słońce przeglądało przez chmury. Zanim spuszczone trumnę do grobu, wymowny kaznodzieja, Stefan Brzozowski, reformata z klasztoru w Wieliczce, głosząc pożegnalne kazanie, robił przytyki, że ks. Wojciech umarł bez sakramentów, że gardził księżmi i obmawiał ich. Ludowi zarzucił, że zamiast wierzyć w ogół kapłaństwa, w jego jednego uwierzywszy — płacze za nim bardziej niż za Chrystusem. Gdy biskupi umierają, to za nimi tak nie płaczą. Dla tego płaczu nie można było nawet psalmów odśpiewać. Pan Jezus, gdy córkę Jaira wskrzeszał, mówił, aby odeszły płaczki, nie chwalił ich, lecz ganił. W czasie tego kazania lud zaczął głośno protestować. Podrażniło to kaznodzieję, a gdy z rusztowania poczęły padać kamienie, kaznodzieja patetycznie zawołał straszliwym głosem: „Oto wieża się wali!” Nisko i szybko przesuwające się chmury załamywały się na wieży, sprawiając złudzenie optyczne, jakoby się wieża chwiała. Lud przerażony popadł w panikę, rzucił się do ucieczki, zwłaszcza że pierwszy zbiegł kaznodzieja. Przy grobie, wykopanym tuż przy kościele, powstał tłok. Dwóch księży i jednego kłeryka ludzie wtrącili w grób. Wielu w popłochu poprzewracano i pokaleczono, a Wojciecha Fudalę z Cichego na śmierć stratowano. Wieko na trumnie zgnieciono. Oczywiście w tych warunkach niemożliwym było ukończenie ceremoniału pogrzebowego. Lud szemrał: „krzywdzili księdza za życia, krzywdzą go także po śmierci”. Pomsta Boża — według wiary ludu — dotknęła wszystkich prawie jego nieprzyjaciół. Niejaki Kruk z Sidziny, oskarżyciel ks. Wojciecha,

doczekał się dwóch córek niedołęznych, które same jeść nie potrafiły. Na odpuszcie w Chochołowie ks. wikariusz z Czarnego Dunajca wywoływał oburzenie ludu, gdy na kazaniu wołał: „Marcin Luter, gdy żył na świecie, ile to niewinnych dusz zgorszył i panienek uwiódł! Iluż to jest takich, co Lutra naśladowali, niewinne dusze gorszyli, panny pouwodzali!... Gdybyś i ty, bratku, zmartwychwstał, tobyś zapewne wszystko chciał ponaprawiać, coś popsuł i kogoś uwiódł. Ale ci już nie wolno przyjść z drugiego świata! Umarł, nie masz go. Ale pozostali jego uczniowie. Strzeżcie się ich jako zaraźliwych. To są parszywe owce, które innych zarażają!”

Za to kazanie — mówiono — ów kaznodzieja umarł w nędzy tak wielkiej, że nie było go za co pochować. Utrzymywano, że proboszcza chochołowskiego, Klimowskiego, za zatargi, jakie miał z księdzem Wojciechem, spłoszone konie zabiły, gdy wracał od chorego. Chłop Jaworczyk, który się użalał przed konsystorzem, że go ks. Wojciech lżył z ambony, podpalił własny dom i w lesie się powiesił. Ludzie sądzili, że z domem się spalił, zebrali na palenisku kości i pogrzebali, a tymczasem były to kości baranów i cieląt. Służąca proboszcza chochołowskiego, która szpiegowała ks. Wojciecha, miała w gimnazjum syna, który nagle przepadł bez wieści i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Kościelny chochołowski za to, że zamykał zakrystię przed ks. Blaszyńskim, zmarł na raka. Ks. Komperda z Czarnego Dunajca też zmarł na raka za to, że namówił o. Brzozowskiego do nieonej mowy pogrzebowej. Jeszcze dwaj inni duchowni pomarli. Jeden w wielkiej nędzy, drugi w szpitalu wariatów. Byli to też przeciwnicy ks. Blaszyńskiego. Wszystkich dotknęła „ręka pomsty Bożej”.

W roku 1869, w trzy lata po pogrzebie, otwarto grób ks. Blaszyńskiego, aby ciało jego z połamanej w popłochu drewnianej trumny przenieść do metalowej. Po otwarciu trumny ciało znaleziono całe, nie zepsute, rysy twarzy miały podobno uroczyisty wyraz. Resztki ornatu i alby rozchwytały dziewczęta na pamiątkę, i pamiątki te w Chochołowie po dziś dzień

ludzie przechowują. W kronice kościoła chochołowskiego znajduje się ręką proboszcza wpisana notatka, że „sidziniarki” tak się gwałtownie cisnęły do grobu, że aż urzędnicy musieli im bronić przystępu, że całowały wyrzucone dno starej trumny, zębami je gryzły i jęczały, aż dopiero gęsty śnieg rozpędził te płaczki na wszystkie strony. Duchowieństwo wyśmiewało „sidziniarki”, że grób zmarłego polewały wonnymi olejkami, a potem głosiły, że cudowna woń wychodzi z ciała zmarłego. Ułożono też specjalną litanię do ks. Wojciecha, pobożnie przez lud śpiewaną.

* *
*
*

Powróćmy jednak do listu pasterskiego z 1873 roku. Biskup Pukalski przypomniał w nim kapłanom i współpracownikom swoim słowa Chrystusa:

„Wy jesteście sól ziemi. A jeśli sól zwietrzeje, czym solona będzie? Na nic się więcej nie godzi, jeno aby była precz wyrzucona i podeptana od ludzi. Wy jesteście światłość świata. Nie może się miasto zakryć na górze osadzone, oni zapalają świecę i kładą ją pod korzec, ale na świeczniku, aby świeciła wszystkim, którzy są w domu. Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze dobre i chwalili Ojca Waszego, który jest w niebiesiech.»

A więc Wy, kapłani, a nie kto inny, macie obowiązek i upoważnienie do głoszenia Ewangelii: «Niewiasta niech się uczy w milczeniu, z wszelakim poddaństwem. A nauczać niewieście nie dopuszczam.»

Do kogóż te słowa listu pasterskiego zwrócone zostały, jak nie do księży, tych, którzy gloryfikowali działalność kapłańską ks. Blaszyńskiego i nie widzieli nic ujemnego w powierzaniu niewiastom nauczania zasad wiary.

Już w roku 1870 ks. Kneza Tyburcy, paulin na Skalce w Krakowie, kolega szkolny ks. Blaszyńskiego, wydał książeczkę zatytułowaną: *Krótki opis życia księdza Wojciecha Blaszyńskiego, byłego plebana w Sidzinie*. Książeczka przeszła przez cenzurę kościelną. Autor był generałem zakonu

paulinów i przy tym gorliwym „sidziniarzem”. „Szkoła sidzińska” po śmierci ks. Blaszyńskiego, niezależnie od stanowiska kleru, zaczynała przybierać na rozmiarach. Uczniem tej szkoły był również piekarz z Wadowic, Antoni Banaś. Mieszkał na przedmieściu „Gotowizna” i znany był jako uczciwy, pracowity rzemieślnik, poszukujący fanatycznie Boga surowego, sprawiedliwego, bez miłosierdzia karzącego grzesznych i złych ludzi za krzywdy wyrządzone drugim. Za chlebem wędrowali Banasie po kraju. Banaś Antoni zawędrował do Tarnowa. Maria Konopnicka w noweli *Banasiowa* przedstawia dramat autentycznej Banasiowej, też z Wadowic, która z biedy pojechała za zięciem i córką do Lwowa, gdzie uporać się nie mogła z kłopotami meldunkowymi i mieszkaniowymi. Piekarz Banaś, badany w śledztwie przez lekarzy, został uznany za niepoczytalnego. Procesu mu nie robiono, umarł w zakładzie dla obłąkanych. Opowieść listu pasterskiego o kobietach strzelających do ołtarza była zmyślona i tylko dla lepszego efektu w liście biskupim zamieszczona. Czyn niepoczytalnego człowieka w kościele bernardynów to rezultat zmaczenia umysłu i wykwit fanatyzmu, mającego swą glebę w medytacjach zawodowych teologów. Po tumulcie tarnowskim żadnego Banasia nie przyjmowano ani na studia teologiczne, ani do nowicjatu, chyba że zmienił nazwisko. List pasterski uderzył wprawdzie w nauki „szkoły sidzińskiej”, lecz by odebrać księżom--„sidziniarzom” odwagę w upieraniu się przy gloryfikacjach „szkoły sidzińskiej” i szkołę tę, i jej pobożność raz na zawsze im obrzydzić, biskup baron Pukalski przywiódł im przed oczy w liście pasterskim rewolucyjne widmo sprzed 2 lat — Komunę Paryską z jej wyrokiem śmierci na arcybiskupa Paryża. Uczynił to w słowach:

„Tak, Bracia, pobożność ma być środkiem u tych ludzi do gromadzenia zysku pod pozorem pobożności, obalenia jakoby nie wystarczającej św. religii naszej katolickiej. Zapragnęli oni majątków, dóbr i pieniędzy cudzych. Pod pozorem obalenia religii zużytej chcą oni

właściwie rabunków i krwawych mordów. Niby to sekta religijna, a właściwie komuna ze wszystkimi jej najokropniejszymi dla społeczeństwa następstwami."

Tak klerykalny „sidzinizm” został zrównany z antyklerykalnym komunizmem.

Nie tyle nauki ks. Wojciecha Blaszyńskiego, ile jego walka z konsystorzem i samolubnym duchowieństwem pozostała w pamięci ludu podhalańskiego. Jego w tym zasługa, że już od połowy XIX stulecia lud nauczył się odróżniać księży od religii. „Sidzinizm” strącił z tronu „sacerdotalizm” i w dużej mierze ułatwił później ks. Stojałowskiemu walkę z interdyktami biskupimi i klątwą papieską, a na terenie diecezji tarnowskiej pomógł chłopom zdjąć bielmo z oczu. Ksiądz Blaszyński był wzorem księdza, ale i solą w oku innych księży. Nie wyzyskiwał ludzi przy obrzędach religijnych jak oni, a jeśli jakiś grosz uciułał, to z dobrej woli ludzie mu go dali, a on go na cele społeczne obracał.

W roku 1865 zamordowana została gospodyni plebańska w Pisarzowej. Podejrzenie padło na Józefa Urygę. Potem jednak aresztowano pod zarzutem morderstwa plebana, ks. Najducha. Urygę zwolniono z więzienia, a ks. Najduch w więzieniu sądeckim zmarł. Sprawa nie została wyjaśniona. Ks. Blaszyński, jak prawdziwy, miłosierny i dobrotliwy kapłan, odwiedził w więzieniu nieszczęśliwego księdza, czyniąc zadość prośbie parafian, którzy w aresztowaniu księdza Najducha dopatrywali się niecej intrygi dworu. Stąd ten szacunek i przywiązanie ludu do ks. Wojciecha. Zarzuty, jakie lud przeciw ówczesnemu klerowi podnosił, niechętni ks. Blaszyńskiemu duchowni próbowali w donosach do konsystorza i w swoich kościołach parafialnych jemu właśnie wmawiać. Ale była to robota bezskuteczna.

* *
*

Występy chłopskich posłów w Sejmie w roku 1861 i w latach następnych poważnie zaniepokoiły szlachtę. Poseł ziemi łańcuckiej, Szpunar, odważył się w Sejmie powiedzieć: „My las rachujem za największe dobro! Przecież, panowie! Las jest publicznym dobrem!” A na to książe Sanguszko odpowiedział: „Ciężka odpowiedzialność i kara Boża spadnie na to prawodawstwo, pod którym tak monstualna myśl rozsiewać się może, jak ta, którą poseł Szpunar wypowiedział. Poseł Szpunar uważa lasy za własność publiczną! Czy wiecie, panowie, co to jest?! To jest obalenie prawa własności, to jest obalenie tego, co jest podwaliną wszystkich społeczeństw. Poseł ten sądzi, że to on stanął w obronie interesu swojej wsi. A ja powiadam — takie twierdzenie byłoby zgubą wsi, zgubą całego kraju!”

Po lasach przyszła kolej na propinację. Znowu posłowie-księża i włościanie atakowali szlachtę za rozpijanie ludu, za przeciwstawianie się propagandzie trzeźwości, ale z ław poselskich dźwiga się szlachcic podolski, „mameluk” Żuk-Skarszewski, i wciąga do dyskusji Proudhona, wołając: „Nie oddalę się od prawdy, jeśli powiem, że wstałby z grobu Proudhon, gdyby się dowiedział, że jego nauka tak gorliwych ma w kraju naszym propagatorów i w takiej pełni jest w praktyce zastosowaną.”

Posłowie-chłopi, Krawczyk z powiatu bielskiego, Kobylarz z tarnobrzskiego i Żabiński z nowosądeckiego, przedłożyli krocie petycji gminnych, aby dwór przyczynił się do ponoszenia ciężarów gminnych i aby propinację odebrać dworom, a przekazać gminom. Tenże poseł Żuk-Skarszewski, jako sprawozdawca komisyjny, rozpoczął sprawozdanie o tych petycjach na posiedzeniu sejmowym od słów: „Tu mam cały szereg petycji, że tak się wyrażę komunistycznych.” Nie ograniczył się do wniosku o odrzucenie petycji, ale nadto zażądał, aby inspiratorów i piszących te „zachcianki” ukarano.

Nie tylko włościanscy posłowie, nie tylko przypominająca pierwszych chrześcijan sekta „sidziniarzy”, odmawiających

litanię do swego świętego, ks. Wojciecha, ale ogół ludu wiejskiego wyrażał wielkie niezadowolenie z kleru. Niemiłosierne zdzierstwa, popełniane wówczas na ludzie z okazji sprawowania obrzędów religijnych, dawały największy powód do niezadowolenia. Kler, wyposażony przeważnie w folwarczne majątki, wszystkie ciężary budowlane zwał na gminy. Lasy plebańskie kupowali i rąbali handlarze, a ksiądz nieraz nawet na poprawę budynków plebańskich materiału drzewnego wydać nie chciał. Wielu proboszczów prowadziło karczmy. Proboszcz chochołowski, ks. Klimowski, był poprzednio 15 lat proboszczem w Tylmanowej. Probostwo to kupił sobie od kolatora, odstępując mu propinację plebańską.

W Sejmie galicyjskim posłowie chłopcy byli jedynymi, którzy podjęli się walki z tymi zwyrodnieniami stanu kapłańskiego. Z diecezji tarnowskiej zastęp posłów chłopskich był okazały. Wszyscy oni byli niewygodni i dla kleru, i dla szlachty. Niebezpieczeństwo jeszcze się zwiększyło, albowiem w roku 1873 zbliżyły się pierwsze wybory do Rady Państwa, i to wybory bezpośrednie. Chłopi mogli wykorzystać sytuację i tak jak w roku 1848, przy wyborach do konstytuanty, wprowadzić do Rady Państwa sporą gromadkę poselską. By do tego nie dopuścić, postanowiono zaprzęgnąć kler do roboty agitacyjnej. Materiału do rozbudzenia fanatyzmu dostarczył... obłąkaniec. Czyn wariata w kościele bernardynów wykorzystano do robienia nastrojów wyborczych przy pomocy listu pasterskiego i ekspiacyjnych nabożeństw. Wariata pasowano na komunarda, a komunistami określano tych wszystkich, którzy narzekali na wyzyskiwaczy, bogaczy i na dzierżycieli majątków kościelnych. Na czas wyborów trzeba było z krytyką kleru i szlachty zamilknąć, aby się nie spotkać z zarzutem, że się jest członkiem „sekty zbrodniarza Banasia” i przez sfanatyzowane tłumy nie zostać zlinczowanym.

Wybory w roku 1873 „poszły znakomicie”. Ani jeden chłop nie uzyskał mandatu poselskiego do Rady Państwa. O tej przysłudze politycznej, jaką przy wyborach w roku 1873

oddał kler galicyjski szlachcie, tak mówił bez żenady poseł na Sejm, kanonik katedralny tarnowski, ks. Król: „Gdybyście nam poruczyli sprawę wyborów, abyśmy do ludu przemawiali, aby ludzi z sercem i głową wybrano do Rady Państwa, to musielibyśmy dużo słuchać i dużo przedstawiać, aby ich pozyskać. Mówiliśmy im: «oto, moi kochani, przyjdzie czas na to, że się przekonacie, iż panowie o was pamiętają». Udało się, jak panowie wiecie, wszystko. Jakże się teraz pokazemy temu ludowi, któremu tyle obiecywaliśmy życzliwości ze strony panów? Zastanówcie się, panowie, nad tym, że raz coś temu ludowi zrobić trzeba, bo tego ludu zawsze potrzebujecie. Nie można cierpliwości jego nadal na próbę wystawiać i sił, które wpływ na lud mają, niweczyć!”

Siłą kleru pokonano chłopów gruntownie. Od roku 1873 do 1889 nie zasiadał w Radzie Państwa i w Sejmie Krajowym ani jeden poseł-chłop. Mandaty poselskie zabrała chłopom szlachta i kler.

i schadzek politycznych" w Choczni — Chłopi-szynkarze wypaczają polityczny ruch ludowy — Bractwa wstrzemięźliwości w Galicji — List pasterski biskupa Pukalskiego przeciw wódce i lichwie — Ustawa o położeniu tamy opilstwu — Konanie karczmy koncesjonowanej — Propinacja w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym — Pogrom karczmarzy w roku 1898 — Stan wyjątkowy — Pogromy w „republice tarnobrzeskiej" — Sunt lacrimae rerum!

Truciciele ciał i dusz

Dziewięćsetlecie polskiej propinacji — Kościelna dziesięcina karczem — Karczmy książęce, kościelne, mieszczańskie i chłopskie — Propinacja przywilejem szlacheckim — Istota przywileju propinacyjnego — Propinacja w królewskich miastach — „W karczmie nie ma pana!" — Biskup Krasicki o szlacheccach-propinatorach — *Lament chłopski na pany* — *Compendium medicum* o kołtunie i gorzałce — Opodatkowanie propinacji — Kobiety-szynkarki — Monopol propinacyjny w dobrach zamku suskiego — Propinacja a życie polityczne szlachty — Karczma w Galicji podparą szlacheckiej polityki — Obraz wyborów sejmowych w roku 1913 w Wadowicach — Sądownictwo pod znakiem piwa i gorzałki — Pijackie rady miejskie — Propinacja w dobrach burgrabiego Starowieyskiego — Propinacje w miastach Śląska oświęcimskiego i Zatorskiego — Propinacja w Limanowej — Juraament wiejskich karczmarzy z roku 1658 — Rentowność karczem szlacheckich — „Czartak" w Mucharzu karczmą klasztorną, a nie świątynią ariańską — Ograniczanie przywilejów propinacyjnych przez rząd austriacki — Galicyjski Sejm sejmem propinacyjnym — Przemówienie posła Grocholskiego — Hr. Golejowski opowiada o zasadach nihilistów i socjalistów rosyjskich — Hr. Lasocki kanonizuje „świętą karczmę" — Dochody propinacyjne — M. Bobrzyński przeciwnikiem propinacji — Arendarze — Austerie — Karczma szlachecka rujnuje chłopów — „Bractwa wstrzemięźliwości" — Skasowanie szlacheckiej propinacji — Walka o koncesje szynkarskie — Stapiński doprowadza do zwinienia 7000 karczem w Galicji — Karczmarze w roli konfidentów żandarmskich — Wino i „miejsce tajemnych namów

„Pięć części narodu polskiego stoi przed mymi oczyma. Widzę miliony stworzeń, z których jedne półnago chodzą, drugie skórą albo siermięgą okryte; wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe; mając oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznymi pierściami bezustannie robią. Posępne, zadurzałe i głupie, mało czują i mało myślą — to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza niżli do człowieka. Chłopi ostatniej wzdęty nazwiska mają. Tych żywnością jest chleb ze śrutu, a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem woda i pałaca wnętrzości wódka... Dobrzy Polacy, oto rozkosz tej części ludzi, od których los waszej Rzeczypospolitej zawisł! Oto człowiek, który was żywi! Oto stan rolnika w Polsce!" Taki obraz chłopstwa polskiego z drugiej połowy XVIII wieku naszkicował w *Przestrogach dla Polski* Stanisław Staszic.

Instytucją, która takie typy wyhodowała, była propinacja. Narodziny propinacji sięgają daleko w średniowiecze. Ten zakład trucicielski przeżył w Polsce prawie dziewięćset lat i dotrwał do początków XX stulecia.

Już Bolesław Chrobry fundując arcybiskupstwo gnieźnieńskie, około roku 1000, uposażył je także w dziesięcinę karczem. Jeden z najdawniejszych przywilejów, na którym zasadzała się fundacja klasztoru w Trzemesznie z roku 1145, przewidywał własność karczem dla klasztoru. Różne starodawne spisy posiadłości klasztorów i kościołów wymieniają karczmy jako darowizny złożone przez książąt czy panów. Często karczma, lub część jej dochodów, oddzielona zostaje od dóbr książ-

zących czy pańskich, aby przyczyniała się do utrzymania klasztoru czy probostwa. W tym okresie historia karczem jest częścią historii kościelnej. Długosz, który w roku 1470 spisywał *Księgi uposażeń*, starannie uwidoczniał w nich, gdzie, przy jakim kościele, ile znajdowało się karczem kościelnych. Z aktów wizytacji biskupich też wiadomo, że niejedyn proboszcz, zamknąwszy po nabożeństwie tabernaculum w ołtarzu, odmykał „tabernę” (karczemę) w budynku plebańskim, w której sam lub też jego służba piwo, miód i okowite sprzedawała.

Obok karczem książęcych i kościelnych istniały karczmy pańskie, nadawane pierwotnie panom z mocy przywilejów książęcych, a następnie traktowane jako „pożytek” związany z posiadaniem dóbr ziemiańskich. „Pożytek” ten niekiedy oddzielany był od gruntu — jak np. dawniejsze „prawo naftowe” — i pozbywany na rzecz osób trzecich.

Tą drogą powstały wolne karczmy chłopskie. Przywileje na takie karczmy wykupywali chłopci od panów wsi lub od starostów w królewskich albo też sołtys otrzymywał przy lokacji wsi przywilej propinacyjny od księcia lub pana. Podobne przywileje nadawano też wybrańcom lokowanym na łańach wybranieckich.

Przywilej propinacyjny najbardziej powszechny był w miastach. Nadanie miastu wolności przemysłu, handlu i targu mieściło w sobie także nadanie każdemu mieszczaninowi wolności sporządzania trunków i ich szynkowania. Ta wolność przetrwała aż do roku 1767, tj. do chwili gdy ustawa wolność tę ograniczyła z tego powodu, że w wielu miastach „dla wolności każdemu mieszczaninowi robienia i szynkowania trunków handle i rzemiosła upadły, gdy ledwie nie wszyscy samą tylko bawiąc się propinacją, potem się rozpijają, a tym samym kupiectwa i rzemiosła zarzucają, przedmieszczanie zaś roli nie pilnują”. Z tego też powodu specjalne komisje ograniczyły ilość browarników i karczmarzy w miastach proporcjonalnie do liczby mieszkańców miasta, a w roku 1776 zabroniono, aby każdy mieszczanin „na swój profit propinował, lecz żeby Ma-

gistrat imieniem miasteczka co rok lub co lat trzy dawał kontrakty na tąż propinacją nowemu tylko z najmątniejszych spomiędzy siebie”. Dochody z propinacji miały być obracane na ogólny użytek miasteczka.

Karczmarz średniowieczny, a także w późniejszych czasach, był nie tylko szynkarzem, ale także trudnił się fabrykacją trunków. Np. z księgi sądowej wsi Choczni wiadomo, iż jeszcze w roku 1579 u kmiecia Wojciecha Kołodzieja był szynk, a także i browar, zbywając bowiem majątek swój Wojciechowi Halamie, wymienia on między sprzedanymi rzeczami „dwa achtelia y dwa połachtelky piwne, kocziel browarny, sześć kadzi”. Przy karczmie bywał też sklep, gdzie sprzedawano mięso, korzenie, owies i siano.

* *
 *
 *

W drugiej połowie XV wieku karczma stała się przedmiotem zainteresowania władz skarbowych. Chodziło im o podatki na cele państwowe. Najłatwiej podatki te dały się uchwycić w miastach królewskich, toteż starostowie przez odpowiednie praktyki fiskalne zniewolili panów, klasztorów, proboszczów, sołtysów i chłopów-karczmarzy, nie posiadających własnych browarów, do zaopatrywania się w trunki w miastach królewskich. Szlachta, podrażniona tymi praktykami, przeprowadziła w sejmie w roku 1496 przywilej wolności propinacyjnej dla stanu szlacheckiego i posiadaczy przywilejów karczmarzskich. Postanowiono w nim „panów dóbr i ich poddanych zachować w tej wolności, że wolno każdemu piwa i inne napoje skądkolwiek brać i sprowadzać oraz we wsiach i innych miejscach dzierżenia ich warzyć lub warzyć kazać i skądkolwiek by woleli albo chcieli wziąć, mieć je, szynkować i używać swobodnie bez wszelkiej obawy zakazu, zajęcia lub kary ze strony króla lub starostów”.

Jakkolwiek przywilej powyższy dotyczył także karczmarzy-sołtysów, proboszczów i kmieci, to jednak z biegiem cza-

su, gdy poddaństwo chłopskie przybrało formy niewoli, zniknęli ci karczmarze, gdyż zniszczeni zostali z jednej strony przez konkurencję karczem szlacheckich, wspieranych zarządzeniami szlachciców-propinatorów, którzy jako wyłączni prawodawcy i rządcy chłopów umieli z tej władzy dla własnego bogacenia się korzystać.

Toteż w XVII i XVIII wieku propinacja przybrała wyraźne cechy monopolu wyłącznie szlacheckiego. W szczególności:

1. Propinacja związana była z posiadaniem dóbr ziemskich, w wolnych miastach zaś z przynależnością do stanu mieszczańskiego, a polegała ona na monopolu warki piwa, sycenia miodów, palenia okowity i pędzenia innych likworów tudzież sprowadzania tych trunków z miejscowości, w których je wytwarzano. Często prawo to łączyło się z tzw. prawem milowym, czyli z zastrzeżeniem, że w obrębie mili od granic majątku uprzywilejowanego propinatora nie wolno konkurencyjnej produkcji i sprzedaży trunków prowadzić lub że nikomu nie wolno na szkodę uprzywilejowanego szlachcica, czy też mieszczan, trunków wytwarzać, wprowadzać i sprzedawać.

2. Z monopołem fabrykacji alkoholu łączył się też monopol sprzedaży hurtowej i drobnej trunków, czyli szynkowania, w czym mieściło się prawo propinatora do zakładania karczem na terenie jego dóbr i obsadzania ich karczmarzami.

3. Dla wsparcia powyższych monopolów dworskich wykorzystywane było poddaństwo osobiste chłopów, którym propinator pod karami zakazywał picia alkoholowych napojów w obcych karczmach i sprowadzania dla swej potrzeby trunków z obcych karczem i browarów.

4. Nadto propinatorzy wprowadzali przymus zakupywania w ich browarach napojów alkoholowych, wyznaczając poddanym swoim kontyngenty, które wykupić byli zobowiązani.

5. Należytości za te kontyngenty, jak i zaległości za kredytowaną w karczmach wódkę, propinatorzy traktowali jako zaległości w zapłacie danin publicznych i dla ich wyegzekwowania udzielali karczmarzom i pachciarzom bez wyroków są-

dowych pomocy egzekucyjnej w charakterze zwierzchności nad dworskimi poddanymi.

Zagadnienie staropolskiej propinacji i ogromu klęsk, jakie ona na naród polski sprowadziła, nie jest jeszcze w literaturze należycie wyświetlone i czeka na opracowanie. Z fragmentów, zagadnienie to omawiających, widać, że spustoszenia ekonomiczne i moralne, wywołane propinacją, były olbrzymie, cały zaś jej ciężar zwałił się na barki chłopów. Obok pańszczyzny była to druga forma odbierania chłopu dorobku jego pracy.

Ziemia w Rzeczypospolitej podzielona była między trzy stany: króla, szlachtę i duchowieństwo. Każdy z tych stanów miał swoje dobra, swoich poddanych i każdy na swój sposób ich eksploatował. Toteż i urządzenie propinacji w każdej z tych kategorii dóbr inaczej się przedstawiało. Najmniej dokuczliwy był ucisk propinacyjny w królewskich. Poddaństwo gruntowe i osobiste w królewskich nie rozwinęło się tak, jak we wsiach szlacheckich. Istniał w królewskich samorząd, istniały sądy wójtowskie, istniało prawo odwołania się kmiecia do sądów referendarskich, w tych też warunkach zmusza nie chłopów, by bezwzględnie pili „liquory” tylko z dworu, któremu podlegają, by pili je w kontyngentach przez starostów wyznaczonych, było niewykonalne. Ponadto ucisk propinacyjny zmniejszała okoliczność, iż w królewskich ilość posiadaczy przywilejów propinacyjnych była znaczna. Każdy prawie posiadacz wójtostwa, sołtystwa czy wybraniectwa, a także każde miasto królewskie dostawało przywileje propinacyjne, których eksploatacja obliczona była nie tylko na własnych poddanych poszczególnej uprzywilejowanej jednostki gospodarczej, ale na każdego przygodnego człowieka, bez względu na to, z jakich dóbr pochodził i czyim był poddanym. Istniał więc wyścig konkurencyjny o pozyskanie gardzieli ludzkich celem zatrucia ich „liquorami” za odpowiednim wynagrodzeniem. Również między poszczególnymi państewkami szlacheckimi oraz królewskimi i kościelnymi istniał wyścig wzajemnego wykradania sobie propinacyjnej klienteli. Kon-

kurencję tę próbowano ograniczyć ustawowo w roku 1767, postanawiając, co następuje: „aby sąsiad sąsiadowi znizeniem ceny trunków krzywdy nie czynił, zalecamy, aby podwojewodowie cenę trunków krajowych sprawiedliwie ustanawiali”.

Lustracje np. królewskiej barwałdzkiej dowodzą, że szynkowanie wódki było sprawą wewnętrzną każdej gromady. Według dekretu sądu referendarskiego z roku 1639 gromada miała spośród siebie wybierać szynkarza, aby dworskie trunki szynkował. Toteż w gromadach starostwa barwałdzkiego zdarza się kumulacja urzędu szynkarza z urzędem wójta, a w każdym razie szynkarzem czy szynkarką jest chłop czy chłopka miejscowa. Nie było tu więc „arendarza”, tego typowego totumfackiego spotykanego w dobrach każdego ziemianina-szlachcica. Chłopi z Choczni i Jaroszwic, należących do królewskiej barwałdzkiej, swobodnie zapijają się w sąsiednim, królewskim mieście Wadowicach. Mimo to żadne kary za omijanie dworskich karczem we wsi ich nie spotykają, a sejmowa lustracja z roku 1663 stwierdza tylko, że dwór przestał do Choczni „liquory” dostarczać, bo chłopi nie chcą ich pić, woląc trunki miejskie. Mniej więcej podobne stosunki panują też w królewskiej zatorskiej. Włączone do tych królewskich sołtystwa i wybraniectwa niektóre mają przywileje na browary, przeważnie nie wykorzystane, niektóre zaś posiadają własne karczmy obliczone na zyski, i to nie tylko z własnych poddanych. Do końca XVIII wieku w żadnej wsi, do tych królewskich należących, nie ma arendarza-karczmarza. „Przemysł szynkarski” we wsiach prowadzi w zastępstwie gromady wyłącznie chłopi, i to na własny rachunek. Narzucanie trunków chłopom w królewskich nie było tolerowane. We wsiach Przyborowie, Łękach, Rysiach i Rudzie administrator starostwa, Kuczkowski, musiał dać z powodu narzucenia trunków poddanym „satisfakcję” przy komisji w roku 1768. W tymże samym roku dekretem królewskim zabroniono staroście nowotarskiemu naruszenia wolności propinacji, przysługującej wsiom tegoż starostwa, i narzucania gromadom dwor-

skiego piwa i gorzałki na wyszynk. Praktyki te próbował stosować już w roku 1630, jednak bezskutecznie, Mikołaj Komorowski, starosta nowotarski i barwałdzki. W aktach grodzkich nowosądeckich znajduje się skarga poddanych dzierżawy nowotarskiej, iż Komorowski niektórym poddanym, którzy nie są ani nie byli karczmarzami, „piwa szklądać i gorzałki na szynk poniewolnie dawać rozkazuje, z wielkim uciążeniem i ostatnim znędzeniem ich, o których piwach i szkodzie, która by się w nich stała, oni wiedzieć nie chcą i, owszem, się deklarują, że ich szynkować ani płacić nie będą”.

We wsiach szlacheckich propinacja inną przybrała postać. Dziedzic wsi nie tylko jest producentem alkoholu, ale jest też szynkarzem. Wsie szlacheckie cechuje przechodzące w niewolę poddaństwo chłopów osobiste, sądowe i gruntowe. Toteż pan ogranicza swobodę chłopu nawet odnośnie do zaglądania do sąsiedzkich wsi i wstępowania do karczem sąsiada szlachcica czy do chłopskich karczem we wsiach królewskich czy kościelnych. Picie w obcych karczmach zabronione jest pod najsurowszymi karami, a — jak o tym świadczą ustawy „państwa suskiego” — szynkarz pański naraża się na wypędzenie ze wsi i konfiskatę majątku, gdyby odważył się cudzą wódkę szynkować. Monopol propinacyjny wspierany jest przez dwór przymusem wykupienia wyznaczonego z góry kontyngentu trunków, a także, o ile dwór ma chłopu płacić za jakieś świadczenie wynagrodzenie, to płaci je asygnatami na pobór lichych i drogich trunków w browarze czy w dworskiej karczmie.

W średniowieczu w karczmie wszystkie stany były równe. Nawet uprzywilejowany i uświęcony stan duchowny uczęszczał do karczem, gdzie z chłopami, mieszczanami, szlachtą pił i grał w kości, a także sam trudnił się szynkarstwem. Legat papieski, Filip, w roku 1279 przywiózł plebanom zakaz trudnienia się szynkowaniem po plebaniach. Widocznie jednak obyczaj ten nie został wykorzeniony, bo wizytatorowie w roku 1423 w diecezji włocławskiej zajmują się księżmi szynkującymi piwo na swych plebaniach.

Te obyczaje duchowieństwa starały się wyplenić synody duchowne, jak to wykazał ks. Jan Fiłajek w publikacji pt. *Zycie i obyczaje kleru w Polsce średniowiecznej na tle ustawodawstwa synodalnego*. Synod uniejowski w roku 1326 zakazał duchownym pociągać innych przykładem do pijatyk.

Duchownemu za picie w karczmie groziła kara trzech grzywien albo miesięczny areszt w klasztorze. Statuta wrocławskie zakazywały duchownym usługiwania karczmarzom i gościom w karczmach. Z tego widać, że spiritus movens w parafii bywał karczmarz, skoro jego ministrantem-kelnerem zostawał kleryk. Według tych statutów wstąpienie duchownego do karczmy było uwarunkowane „słuszną przyczyną”, a za taką uchodziło np. zaproszenie przez poważną osobę. Łatwo więc było pijatykę usprawiedliwić.

W diecezjach krakowskiej i poznańskiej kler bawił się „szeroko” nie tylko w karczmach, ale i w domach prywatnych z okazji zaopatrywania chorych sakramentami.

W diecezji przemyskiej wstępu do karczem dozwolił synod z roku 1415 jedynie prałatom, lecz w roku 1529 biskup Karnkowski wszystkim księżom zagroził więzieniem za nawiedzanie karczem. W Płocku kapituła katedralna zagrażała księżom klątwą za chodzenie do karczem.

W połowie XIV wieku zdarzało się w diecezji krakowskiej, że księża asystowali przy zawieraniu małżeństw w karczmach, a w miastach dziekani odbywali sądy kościelne również w karczmach, czego synod biskupa Grota surowo zakazał.

W ten sposób powoli ustawodawstwo kościelne wyparło kler z karczem. Pozostali w nich jeszcze szlachcice i chłopci. Z biegiem czasu usuwa się z karczem szlachta, zanika dawny zwyczaj „bratania się” stanów przy piwie i miodzie, przepisy zaś ustawowe ugruntowują nowy obyczaj pogardzania chłopem — także i w karczmie, nie pogardzania jednak zyskiem, jaki się ciągnie z tego chłopca.

Konstytucja z roku 1576 ujęła w formę prawa pisanego zwyczajowe prawo województwa mazowieckiego, zakazujące

szlachcie obcowania w karczmie z chłopami. „Szlachcice — według tego prawa — w karczmie nie mają bywać, gdy im powoli umyślnego obcowania miewać ani z kmiotkami w rząd siedzieć i piwa pić przystoi.” Zranienie, a nawet zabicie w karczmie szlachcica pijącego z chłopami uchodziło chłopom bezkarnie. Prawo bowiem postanawiało: „jeśli by szlachcicowi tak w karczmie umyślnie w rzędzie z chłopcy siedzącemu będącemu i pijącemu przydało się, żeby przez kmiotka albo kmiotki ubit albo ranion był, gdy to uczyni on kmiotek, od wszystkich win i płacy onego bicia będzie wolen skutecznie od wszystkiego”. Ta zasada prawna utrzymywała się w zdaniu „nie masz w karczmie pana” aż do końca Polski szlacheckiej. Ta „wolność” była równocześnie miarą pogardy, jaką żywiła szlachta do chłopów i szlachciców, którzy by z chłopami w towarzyskie stosunki wchodzili.

Pogardzała szlachta chłopem — nie gardziła jednak dochodem z chłopów. Choć chłop był dla szlachcica „śmierdzielem”, jednak pieniądź wydarty chłopu za alkohol nie śmier-

Biskup Ignacy Krasicki w *Podstolim* tak się wyrażał Bo owych szlachcicach-propinatorach: „Panów niebaczość na niewstrzeżliwości poddanych zakłada u nas najznacniejszą część intraty. Trzyma pan na sobie szynk albo go w arendę puszcza, żeby zaś jak najwięcej mógł zyskać, ledwo do tego nie przychodzi, iż chłopom za pańszczyznę upijać się każe. Prawda, że gdyby chłopci nie pili, zmniejszyłby się szynk, ale niech się panowie nad tym zastanowić raczą, iż dając sposobność do pijaństwa, niszczą poddanych, iż stając się zabójcami ludzi do siebie należących, grzeszą przeciw ojczyźnie, która ich najpierwsza jest panią. Gdyby nawet zupełnie zysk arendy karczemnej upadł, bojaźń, choćby największej straty, od pełnienia obowiązków nikogo rozgrzeszyć nie może.”

* * *

Propinacja i karczma stała się instytucją, w której chłopu pozostawiono jedyną wolność picia i zatrucia się alkoholem, która to wolność była interesem dochodowym szlachcica, plebana i klasztoru. Interes ten niewiele miał wspólnego z uczciwością, choćby po kupiecku mierzoną. Pochodzący z XVII wieku *Lament chłopski* takie zawiera narzekania „na pany” i ich propinację:

Z chłopów się dobrze mają,
Pachołków dość chowają,
Z chłopków winko pijają,
A nam piwko dawają
I to czasem owsiane.
Jako że ma być pijane.
A gdy będzie z pszenice,
Każą z nim do piwnice.

Z tegoż wieku pochodząca również anonimowa społeczno-obyczajowa satyra pt. *Lament chłopski na pany* ułożona w formie rozmowy między chłopami: Gawłem, Koperą, Nawłokiem, Marchewką, Kurpotem, Łagużą, Dźwigonem, Strączkiem, Badurą, Mikutą i Dyrda, jeszcze dobitniejsze zawiera skargi i wymyślenia na ucisk szlachecki oraz propinacyjne uciemiężenie chłopów. Chłop Gawel tak biada:

Biada nam wielka na te nasze pany!
Prawie nas łupią z skóry, jak barany;
Nigdy z pokojem człowiek nie usiedzie,
Chyba co złego przy piwie zabędzie.
Przyjdzie powszedni dzień, robić do dwora,
Przyjdzie dzień święty, siedzieć do gąsiora;
A wymówiszli tam stojąc co głupie,
Tudzież powrozem weźmiesz na biskupie.

Chłop Dźwigon zaś o zakazach propinacyjnych tak się wyraża:

U panów wszystkie biesiady, rozkoszy,
Pełna obora i kaleta groszy,
A człowiek nie ma za co kupić soli.
Lepiej by się snadź odrzec i tej roli.
Co nie bywało przedtem jako żywo,
Nie chodzić do wsi sąsiedzkiej na piwo;
U pana zasię narobią go z jarzu,
Z sieczki, z tatarski, wydaj go szynkarzu!

Wreszcie chłop Dyrda tak kończy:

Przedtem mówiono, nie masz w karczmie pana,
I godziło się chłopku pić do rana;
A teraz opak, ledwie człowiek siedzie,
Na pańskie chłopie, kij w robocie będzie!

Częstochoowski podręcznik lekarski w traktacie o kołtunie twierdzi, że kołtun powstaje z czarów, a także „z gorzałki” przez Żydów sprzedawanej w arendowanych od panów karczmach. Antygorzałczana propaganda tego lekarza nie miała na celu odwrócenia chłopów od picia wódki, ale obrzydzenie chłopom karczem szlacheckich, by pili w karczmach klasztornych biskupich i plebańskich. Propagandzie tej służył wierszyk zamieszczony w tym podręczniku:

Skąd gorzałka u Żydów tak bardzo smakuje,
Bo w niej Żyd i z Żydówką parchy oplukuje.
Skądże ta chęć do trunku ślepa żydowskiego,
Stąd, że smak wyciśniony z kołtuna brzydkiego
Czyni chęć niezwycajną, że prawie szaleje,
Gdy często do gardziela gorzałki nie leje.
Miód żydowski czym smaczny, bo Żyd go zaprawia,
Gdy z Żydówką z Żydzięty w niego napługawia,
wyblwa się i zamiesza, przymyśliwający,
Aby swoje zarazy (w trunki mieszający)
Mógł pozbyć Żyd smrodliwy, żeby Chrześcijany
Smrodem, parchem, kołtunem zaraził i Pany.
Czarują, namawiają, aby im wierzyli,
Jakoż się już niektórzy w Żydów obrócili,

Żyd faktor, Żyd i doktor, Żyd jest i podskarbi,
 Żyd z harendy (rozumie Pan), że on mu skarbi,
 Alić go on wyskubie, jak gęś wypierzoną,
 Rwie po troszku, by nie znać, powoli zmarnioną.
 Chłopek wolny za swój grosz napijać się wszędzie,
 Pan przykazał, by nie pił tylko na harendzie,
 Choć skóra oblaźła z chłopa parszywego,
 Pan tego nie uważa dla zysku swojego,
 I choć wszystko wywlecze z domu na harendę,
 Co miał mieć przez cały rok na swoją wiwendę,
 Bo odrobił pańszczyznę. Pan o to nie stoi,
 Że chłop o głodzie robi, bo się plagi boi,
 I tak skrytą chytrą niszczą Panów samych,
 Gdy ich niszczą nie samych, ale w ich poddanych.

W zamroczone umysły można było wmówić, że niewola, wzysek, ucisk, upodlenie moralne to zjawiska odwiecznego naturalnego porządku, wypływające z woli i rozporządzenia Bożego, toteż karczma była jednym z fundamentów chłopskiej niewoli i środkiem do utrzymywania chłopa w uległości i pokorze.

* *
 *

W średniowieczu karczmarz (tabernator), po miastach zwany „kretschmer”, był wytwórcą i szafarzem piwa, miodu i dostawcą sprowadzanego spoza kraju wina.

Do połowy XV wieku wódka jako artykuł karczemnego obrotu nie była w Polsce znana. Nie znano jej też w krajach niemieckich. Propagatorem picia wódki był lekarz z Augsburga, Michał Schrick. Napisał on dzieło, w którym nazwał wódkę powszechnym lekarstwem na wszelkie dolegliwości i choroby. Przypisał jej nawet moc zachowania piękności i dobrej pamięci. W XVI wieku zaczęto w Niemczech produkować i pić wódkę na szeroką skalę. Jednak używanie zboża do tego celu uważane było za grzech śmiertelny. Wystrzegano się dawać brahę jako karmę świniom, mięso bowiem z takich świń uwa-

żano za szkodliwe dla zdrowia ludzkiego. Wódkę z owsa, zaprawioną kobyli mlekiem, wyrabiali Tatarzy. Przysmak ten nazywał się kumys. Wyrabiali też za wzorem Chińczyków wódkę z ryżu zwaną arakiem. Polacy nauczyli się wódkę pić w karczmach od swych niemieckich sąsiadów.

W XVI wieku pojawia się „gorzałka”, sprzedawana dawniej jako lekarstwo w aptekach. Znalazł się jednak w Polsce propinator, który wykazywał się dokumentem, według którego nadano mu prawo palenia gorzałki jeszcze wówczas, gdy... gorzałka w ogóle nie była znana. Propinatorem tym był proboszcz w Marcyporębie, Jan Franciszek Krzeczkowski. Za pośrednictwem szlachcica, Jakuba Czechowskiego, złożył on w roku 1663 do aktów oświęcimskich podrobiony dokument z roku 1176, pisany z czeska po polsku, mający rzekomo pochodzić od Marka z Poremby, herbu Radwan, fundatora kościoła i probostwa w Marcyporębie. Według tego falsyfikatu Marek z Poremby miał już w roku 1176 uposażyć proboszcza przywilejem „do paleni horułki i warena piwa” z zobowiązaniem karczmarza pod kościołem, iż „powinien piwo takie i horyłku od Pana Fararza teho to kostela braty i pro jeho pożytku szynkowaty”. Podrobiony dokument do aktów grodzkich przyjęto, a odtąd proboszcz tym śmieiej mógł swoją gorzałkę narzucać karczmarzowi pod kościołem i parafianom, skoro wywodził swoje prawo do tego z rzekomego starego przywileju, który mu jakiś fałszerz sporządził. Oszustwa takie i fałszerstwa były w tych czasach na porządku dziennym. W XVI wieku zużycie gorzałki rozpowszechniało się tak dalece, że już w roku 1564 obłożono ten trunek państwowym podatkiem. Z biegiem czasu konsumpcja gorzałki zajęła pierwsze miejsce, na drugim zaś miejscu było piwo. Gorzałkę nazywano w aktach prawnych „prostą”, „przepalanką”, „okowitą”, popularnie zaś „śmierdziuchą”, „szmorgawicą”.

Piwa były albo miejscowej produkcji, albo z dalsza, a nawet z zagranicy sprowadzane, jak z Berna, Wrocławia, a także z Anglii.

Jak świadczą *Lamenty*, piwo sporządzano z pszenicy, ale dla chłopów wyrabiano je z owsa, tatarski, jeżyny. Były to piwa tak liche, że autor *Lamentu* mógł złośliwie dodać, że sporządzano je i z sieczki.

Wina sprowadzano głównie z Węgier, a także z Włoch, Francji, Hiszpanii i z krajów niemieckich i austriackich.

Miasto Nowy Targ posiadało jeszcze z roku 1643 przywilej na składy wina. Tu głównie koncentrował się handel winem węgierskim ze względu na zakazy wyjeżdżania na zakup po wina do Węgier. Rząd austriacki w roku 1801 utrzymał ten przywilej dla Nowego Targu w tej postaci, że nadał miastu prawo propinacji wina.

Karczmarz wiejski czy miejski był nie tylko szynkarzem, ale często prowadził także sklep spożywczy z mięsem, chlebem i innymi artykułami niezbędnego zapotrzebowania albo szynkował owies i siano. Był on też pachciarzem dworskim i w tym charakterze załatwiał wszelkie handlowe interesy między dworem a chłopami.

Charakterystyczne jest zatrudnianie w szynkarstwie kobiet. Kochanką Kallimacha, Włocha, który przed Św. Inkwizycją zbiegł do Polski, była niejaka Świętochna, karczmarka krakowska, pochodząca z rodu Świętków starsządeckich.

Szynki w Choczni z końcem XVII wieku prowadzą: wymieniana kilka razy w aktach prawnych kobieta, nazwiskiem Turalina, oraz jakaś „kowalka”. Podobnie w mieście Skąpe akta wspominają o karczmarkach i Żydzie. W Krakowie szynkowanie piwa prowadziły kobiety w kramach, wydając piwo przez okienko, skąd też nazwano je okienniczkami. Musiało być tych szynkarek sporo, skoro nawet uniwersał podatkowy z roku 1564 naznacza „czopowe” po 6 groszy „od szynkarek, które szynkują gorzałkę”.

„Księga sądowa gromad państwa suskiego” za lata 1699— 1757 zawiera trochę interesujących szczegółów, dotyczących roli karczmy w tych czasach. W roku 1700 „zamek i sąd wójtowski” wydają zakaz wchodzenia do karczmy z siekier-

kami, a zezwalają wchodzić jedynie „z laseczką tak cienką jako palec”. Siekierkę obowiązuje jest karczmarz wziąć w przechowanie, inaczej winowajcom grożą kary. Przyczyna tego zakazu wywołana była tym, że „siła poddanych swoich, jako też i obcych, z siekierkami chodzą do karczmy i wiele tego bywa, że się zabijają i kaleczą”. Stałymi bitnikami w karczynie pańskiej są niejacy Rusiniacy, toteż sąd skazuje ich na plagi i przykucie do tacek w celu wykonania przymusowych robót w ogrodzie pańskim.

Poszanowanie monopolu propinacyjnego wymuszane jest srogimi karami. Karczmarz Mikołaj Włoch „cudze gorzałki przeniósł i szynkował przy pańskiej”, za co karany był więzieniem i grzywnami. Ale nic mu to nie pomogło, bo się nie poprawił. Przy rewizji znów znaleziono u niego baryłkę obcej wódki. Sąd wójtowski obliczył szkodę za parę lat wstecz na 1280 zł, a ponieważ tak wielka szkoda była, przeto karczmarz „zasłużył gardło”, ale „z miłosierdzia” skończyło się na dekrete odsadzającym go od zagrody i chałupy, mocą którego wyrzucony został z chałupy i wyświecony z „państwa suskiego”, synowie zaś jego, złapani jako pomocnicy, ukarani kajdanami i konfiskatą zboża. Innego karczmarza, niejakiego Cipcę, przyłapano w roku 1707 na przemycaniu wódki z Kęt. Jakkolwiek był 22 lata karczmarzem, to jednak sąd nie miał żadnego względu na niego, lecz za karę zadekretował zabranie mu bydła, sprzężaju, budynku i gruntu na rzecz zamku, „a to jemu na ukaranie, drugim na pokajanie”. Inni znów chłopci, jak Garnarczyk, Dupak, Pająk, Karl, Kankutek, Kawa, Sikora, Kwak, Błauciak, Włoch, za sprowadzenie wódki obcej na swoją potrzebę dostali karę po 20 grzywien, z zagrożeniem, że jeśli szynkowali tę wódkę, to spotka ich taka sama kara jak Cipcę. Karczmarze dworscy moralnością nie grzeszyli. Taki Jędrzej Hereńczyk, będąc wójtem przysięgłym i karczmarzem, uczynił z karczmy dom publiczny, utrzymując w nim wyświeconą z „państwa suskiego” Zofię Mikołajczankę i chował tę „rozpustną białogłową dla swywoli”. Nadto w

szynku miary sprawiedliwej nie przestrzegał, choć cechowane naczynia otrzymał. Wreszcie dwór z niego profitu nie miał, bo żadnej powinności nie odbywał, czynszów nie płacił, choć z karczmy miał dochody znaczne, bo trudnił się też szynkowaniem owsa, siana i innych rzeczy. Sąd wójtowski zasądził go za spółkę z Mikołajczanką, aby przez cały post w każdą niedzielę podczas mszy krzyżem leżał w kościele, za sfalszowanie zaś kwart, kwaterek i garnców pozbawił go funkcji szynkarza. W roku 1731 tenże sąd zagroził Stypułom i Brożynie z Tarnawy srogimi karami za branie wódki do domu z cudzych karczem: „jeżeli by gorzałkę skąd do swego domu brały, to jest z cudzych karczem lub browarów, lub miast, to konfiskacja gruntu i statków, do tego takiego obiwszy, wypędzić z państwa suskiego, co sądem stwierdzamy”.

Mimo że stanowe prawo szlacheckie z karczmy uczyniło pogardliwą instytucję, z której szlachcicowi godziło się tylko ciągnąć zyski, nie godziło jednak do niej wstępować, to jednak propinacja odgrywa dużą rolę w życiu politycznym początkowo samej szlachty, a w drugiej połowie XIX stulecia także w życiu politycznym chłopów. Propinacja była po pańszczyźnie drugim najobfitszym źródłem z bogacenia się szlachty, dawała tedy niejednemu szlachcicowi środki pieniężne na opłacanie kosztów polityki. Politykowaniem jedni szlachcice zdobywali urzędy i godności, przy pomocy piwa, wódki itp. „papki”, drudzy zaś mieli sposobność do obżarstwa i pijaństwa na koszt kandydatów. Już kronikarze Gallus i Boguchwał, opisując postrzyżyny Ziemowita przez Piasta, wspominają, że działały się tam cuda, bo według Galla piwo, według Boguchwała miód został przez „gości” cudownie pomnożony, tak że wszyscy zebrani na elekcję mieli co pić pod dostatkiem. Ta najstarsza uczta zadecydowała — jak mówi podanie — o wyborze Piasta na księcia.

Obraz spustoszenia obyczajowego w polityce, wywołanego trunkami, daje Kitowicz w *Opisie obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*. Zwyczajem politycznym sejmującej

szlachty było objadanie się i picie w ciągu trwania sejmiku na koszt zamożnych „panów”, ubiegających się o urzędy i godności. Na sejmikach stosowano system uprawiany przez koczujących Cyganów. Szlachta lokowała się w specjalnie na ten cel zbudowanych szałasach. Kucharze panów kandydatów i trybunów szlacheckich przygotowywali potrawy, różne wołowiny, wieprzowiny, drób, podawane pieprzno, słono i kwaśno, „aby się lepiej do trunków zaostrzało pragnienie. Od rana dano wódki raz, drugi i trzeci, postawiono na stole kilka bochnów chleba, kilka brył masła i kilka pieczeni w zrazy pokrajanych, co naprędce w stojaczki między siebie rozerwano; kto czuł po tym posiłku pragnienie, dano mu piwa, zresztą od obżarstwa wstrzymowano ich, aby mogli utrzymać się przy zmysłach i władzy do roboty sejmikowej, na którą ich podług czasu do kościoła lub na cmentarz, gdzie się miał sejmik odprawić, zaprowadzono nauczonych, co mają utrzymować lub czemu mają przeszkadzać.” Po sesji znowu cała zgraja sejmująca wracała do garkuchni, gdzie traktowanie odbywało się do białego dnia. „Ordynaryjnie taką szlachtę — pisze Kitowicz — pojono winem z gorzałką zmieszany, dla prędszego zawrotu głowy, i piwem dla ochłody pragnienia. Pijąc tedy na przemianę raz owę mieszaninę wina z gorzałką, drugi raz piwo, prędko się i niewielkim kosztem popili. Popiwszy się, wywracali się, i tam zaraz, gdzie który spali przy stole, pod stołem, pod płótem, na środku ulicy, w rynsztoku, w błocie, gdzie kogo nogi taczające się zanosły.” Przy tej sposobności jeden „urodzony” okradał drugiego „urodzonego”, a kandydat miał kłopot z wypłatą odszkodowań dla swych popleczników za skradzione pasy, czapki, szable, a czasem i całe ubranie, ściągnięte z pijanego przez trzeźwiejszego „brata szlachcica”. Gdy się sejmik skończył i wybory załatwiono, „elita rycerska”, z honorami zwożona przez kandydatów na sejmik, wracała pieszo do domu, bo kandydaci, zwinąwszy propinację i garkuchnię, zniknęły jej z oczu. Stare prawo polskie ustaw prohibicyjnych nie znało.

Te obyczaje polityczne w XVII wieku odżyły w Galicji w wieku XIX, gdy szlachta galicyjska wraz z jej satelitami demokratycznymi współpracowała w Centralnym Komitecie Wyborczym (popularnie zwanym „Centralnym Komitetem dla rozbojów wyborczych”), nad „unarodowieniem” wyborów do parlamentu w Wiedniu i do Sejmu galicyjskiego.

Nim jednak Komitet ten zawiązano, już przy pierwszych wyborach sejmowych w roku 1861 wódka i karczma stały się motorem polityki „unarodowionej”. Ówczesny poseł powiatu myślenickiego, włościanin Leśniak, żalił się w Sejmie, iż jego kontrkandydat, Konopka, wyborców w Myślenicach „traktował”.

Można się domyślić, jakimi argumentami w tej traktierni wyborczej topiono lody w sercach analfabetów-wyborców i zapalano miłość chłopów do dzierżawcy dóbr ziemiańskich Konopki. Przy kilku następnych wyborach deprawacja osiąga szczyty. Karczmarze szlacheccy zamieniają wyborców w bydłęta, a agitatorzy stańczykowski prowadzą ich upojonych wódką do urn wyborczych albo spiwszy ich do nieprzytomności zostawiają w karczmach pod ławami lub w rowach przydrożnych, gdzie ci nieszczęśnicy „głosują”, wydając jęki towarzyszące ekekcjom żołądkowym. W Rzeszowie, w Żywcu podpite stańczykowskie popychadła znaczone są krzyżykami przy pomocy kredy przez „komitetowych” opozycji, po czym, po wymarszu z miasta do najbliższej propinacji, spadają na „krzyżaków” razy, zadawane kijami przez chłopów, w ten sposób odpłacających zdradę, „pamularstwo” i sprzedajność polityczną.

A oto obrazek z kurialnych wyborów sejmowych w roku 1913 w Wadowicach. Do walki wyborczej w kurii włościańskiej stanęły tu dwie partie: ludowa i obszarnicza. Propagandę wyborczą ludowców cechowały entuzjazm i uczciwość. Natomiast obszarnicy agitowali „praktycznie”. Poza naciskiem, wywieranym z urzędu przez aparat urzędowy wydziału powiatowego „na trzeźwo”, użytkowali do celów wyborczych... propinację. Postęp w użyciu tego środka sprowadził się do tego,

że alkoholem pojono nie w publicznej propinacji, lecz wynajęto na ten cel lokale stowarzyszenia rzemieślniczego w Wadowicach. Tu odbywało się bezpłatne rozdawnictwo „posiłku” w postaci tradycyjnej kielbasy wyborczej i gorzałki. W zaglądaniu częstym do tej traktierni celowali głównie wójtowie i pisarze gminni. Toteż niektórych z nich, słabiej na nogach się trzymających, pod pachy prowadzono do urny wyborczej. Przy pomocy takich środków obszarnicy zdobyli jednym głosem większość mandat dla swojego kandydata, ubijając biednego chłopca-ludowca swoim „grossbauerem”. Cóż dopiero działo się w tych powiatach, gdzie z chłopem czy inteligentem walczył o mandat szlachcic — „Stańczyk” czy „Podolak”? Zwycięstwo wadowickie uczczono dalszą pijatyką. Na drugi dzień w rowie przydrożnym za Wadowicami spostrzeżono wóz, którego pasażerowie-wyborcy wygodnie w różnych stronach rowu chrapali, konie zaś, zerwawszy uprzęż, pasły się w trawach dworskich. Z „papierów urzędowych”, które porozsypywane były w rowie, wynikało niedwuznacznie, że katastrofa przydarzyła się pewnemu wójtowi, wracającemu z wyborcami z wadowickich wyborów sejmowych. „Kielbasy wyborczej” też w czasie wyborów było w bród, tak że parobcy wiązali ją na końcach batogów i takim symbolem „czystości” wyborów wywijano na rynku i przed c.k. starostwem. Piekarz Grzybek całą noc chleb piekł, by było co jeść „na przegryzkę”. Odżył czasy saskie! Role się tylko zmieniły. Za Sasów „panowie” deprawowali drobną szlachtę, za galicyjskich namiestników-„roda-ków” szlachta i spanoszeni chłopci, więksi i mniejsi obszarnicy deprawowali chłopów. Gdy w roku 1911 wybierano posłów do parlamentu wiedeńskiego w powszechnym głosowaniu, akcję wyborczą w Wadowickiem w wielu okręgach popierało starostwo też przy pomocy „poczęstnej” w karczmach, za którą rachunki propinator i hurtownik piwny w Wadowicach starostwu przedłożył i tam je zapłacono. Na tle zarzutów z powodu tej korupcji miał ówczesny redaktor „Przyjaciela Ludu”, Sanojca, proces karny w Makowie, gdzie przez godzinę spisywano

wykazy b. propinatorów, przemienionych na koncesjonowanych szynkarzy, którzy wódkę wyborczą bezpłatnie szynkowali, a starostom rachunki wystawiali. Świadcami Sanojcy mieli być nawet ci wyborcy spod Myślenic, którzy popiwszy tej wyborczej wódki oddali głosy z wdzięczności... na Franciszka Józefa, cesarza austriackiego, w przekonaniu, że starosta tym objawem wdzięczności najlepiej się zbuduje, a oni za wódkę w taki sposób najsolelniej podziękują.

Nie tylko sejmikowanie, ale i sprawowanie sądownictwa zakrapiane było tradycyjną gorzałką lub miodem. Tradycja ta była dawną, skoro już za Kazimierza Wielkiego nakazywano sądy sprawować tylko rano, na czczo, aby po pijanemu nie sądzono. Później jednak przepis ten poszedł w zapomnienie. Widocznie w miasteczkach należących do dóbr jaworowskich sprawiedliwości nie wymierzały pijackie sądy „na czczo”, bo „instruktarz” z roku 1765 urządzający stosunki w tychże dobrach nakazuje: „Urząd miejski, gdy jaką sprawę sądzić będzie, nie po pijanemu, ale po trzyźwu, na stole w urzędowej izbie nie kwarta gorzałki lub konew miodu, ale krucyfiks i Sakson być ma...”

Pijackie urzędy miejskie nie należały do rzadkości. Celował w pijaństwie burmistrz, radni i pospólstwo w Wadowicach, toteż rząd wdał się w to urzędowanie i wydając w roku 1727 „ordynację dobrego rządu w miasteczku JKMcI Wadowicach”, zarządził, co następuje:

„Ponieważ zaś praktykuje się, że tak p. burmistrz i radni, jako i pospólstwo zamiast wezwania Ducha Św., aby był pomocą do obrad, ile wprzód się mocno napiją, a potem pijani zasiadają i swary, hałasy z zgorzeniem ludzi robią, więc serio się przykazuje, aby p. burmistrz i rada dali z siebie przykład, trzeźwo się zachowali pod karą grzywien czworo czternastu i więzienia osobistego przez niedziel dwie i prywatności z urzędu na zawsze. Że zaś się to w pospólstwie praktykuje, że pijani przychodzą, to na tych moc mieć będą p. burmistrz i radni sądzić wedle występku.”

Ordynacja ta zgodna była z wymogami, jakie Groicki w *Porządku sądów miejskich* stawia radzie miejskiej. Otóż radni powinni być ludźmi „dobrej sławy, Boga się bojący, sprawiedliwość i prawdę miłujący, kłamstwa i złość w nienawiści mający. Tajemnic miejskich nie objawiający, w słowach i w uczynkach stali, łakomstwem się brzydzący, darów nie naśladowujący, mierni, nie pijanice, nie dwujęzyczni, nie pochlebcy, nie błaznowie, nie natrętowie, nie cudzołożnicy, nie oni, których żony rządzą, nie lichwiarze, nie fałszerze, nie zwadliwi.”

Powinnością przysiężników było sądzić trzeźwo, a przychodziło temu z pomocą prawo magdeburskie, które przepisywało, iż ludzie na załatwienie spraw przed sądem „nie dalej mają sądu czekać, jedno od wschodu aż do południa. Przyczyna tego jest, iż każdy sąd trzeźwo ma być sprawowany.” W Wadowicach te postanowienia — jak widać z „ordynacji dobrego rządu” — wcale nie obowiązywały. Sąd urzędował wprawdzie „od wschodu do południa”, lecz w stanie pijanym, bo zapewne przedtem od południa do wschodu garncami piwo i gorzałkę do gardeł przelewał zamiast modlić się do Ducha Św.

Nie lepiej było i po wsiach, gdzie sądy wójtowskie zasądzały winnych na karę zafundowania urzędowi sądzącemu sprawę kilku garnców wódki. W sądowej księdze ponikiewskiej zapisano w roku 1765, że przy ugodzie Lenia z Garncarczykiem wypił urząd, strony i świadkowie trzy garnce gorzałki, bo „każdemu trzeba było gardło zapchać i natłoczyć aż po Widełki”. Karne „achtle” piwa i „garnce” gorzałki były też regularnie stosowane w sądownictwie gromadzkim „państwa andrychowskiego”.

Także tacy ważni urzędnicy miejscy, jak kat (oprawca) i jego pomocnik (hycel) tudzież policjant (ceklarz), wykonujący torturowanie podsądnych, w stanie pijanym męczyli ich, na co narzekał Groicki w *Porządku sądów miejskich*. Apelowal on do sędziów, „aby człowiek bez baczności, bez dobrego rozsądku, jako inna bestia nie zginął. W czym zaprawdę w miastach, w miasteczkach mały jest porządek, większy snadź tam, gdzie

się sprawy toczy o trochę zgniłej majątności niż tam, gdzie ubogiego człowieka ciało szarpają, targają, ciągną, pieką, męczą: wielokrotnie tylko przy obecności jednego albo dwu opitych ceklarzów, gdzie rzadko bywa człowiek poważny a baczny... Sam przy tym okrutny kat, a jeden albo dwa opili ceklarze bywają, z których potem wyznania człowiek bywa na śmierć skazan."

* *
* *

Różnicę między propinacją „kmiącą”, „mieszcząską” i „królewską” a „szlachecką” poznać można najlepiej na przykładzie wspomnianego starostwa barwałdzkiego. Starostwo to kupił od Fr. Ksawerego Branickiego z końcem XVIII wieku Starowieyski, burgrabia krakowski. Gdy „królewszczyzna” przeistoczyła się w dobra szlacheckie, od tej chwili zaczął Starowieyski wprowadzać „szlacheckie porządki”. W Barwałdzie spędził z gruntów chłopów, a oddał je Żydowi-pachciarzowi. W Choczni, gdzie już dwóch chłopów miało własne karczmy, założył dwie „austerie”, spędziwszy z gruntów chłopów. Jedną wybudował w centrum wsi, drugą zaś na granicy Inwałdu, jako pułapkę na klientelę chłopską ze wsi sąsiada „brata-szlachcica”. W Wieprzu ustanowiony był dozorca oraz pachciarze Rynger i Chołociński, sprawujący nadzór nad propinacją w całym kluczu barwałdzkim. W roku 1798 wydał Starowieyski kursorię propinacyjną, w której zagroza konfiskatami majątkowymi, w niedostatku zaś majątku osądzeniem na 10 kijów każdego, kto by cudzą wódkę w granice jego „państwa” sprowadzał. Ludności wsi Wieprza, Roczyn, Tomic, Jaroszowic i Gorzenia wzbronil „wesela, tańce lub inne ochoty” sprawiac w karczmach mieszczan wadowickich i andrychowskich, nakazując je odprawiac w pańskich karczmach, a chłopci, „odebrawszy błogosławieństwo kapłańskie przy ślubach lub ochrzcizszy dziecię, zaraz powinni do swojej wsi wracać i tam przy trunku pańskim ochotę sobie w karczmach pańskich

sprawiać”. Za przekroczenie tego nakazu zagroził „stroffem” po 2 reńskie, aresztem i chłostą. Długi karczemne ścigał z chłopów dworską egzekucją, a chłopu Guzdkę z Choczni pokarał obiciem kijem za to, że wraz z żoną w dzień targowy poważył się pić w karczmie „królewskiego” miasta Wadowic. Tę gorliwość w eksploataowaniu propinacji hamowały mu nieco władze austriackie. Zagrabione pod karczmy grunta nakazały mu chłopom zwrócić, względnie zapłacić, zabroniły mu nieprawnych egzekucji, zmusiły go też do zapłacenia Guzdkowi odszkodowania za niesłuszną karę, przy czym butnego panka, usprawiedliwiającego swój postępek chęcią umoralnienia chłopów (!), pouczyły, że skoro chłop ma wolność iść do miasta na targ, to wolno mu też w miejskiej karczmie wódki się napić, a jeśli chciał Guzdkę umoralnić, to kij nie był środkiem do tego odpowiednim.

Zyski z propinacji to był największy i najpewniejszy dochód szlachcica obok robocizn pańszczyźnianych. Z zysków tych czerpią korzyści także i mieszczanie.

Mieszcząski monopol propinacyjny w Żywcu mieścił w sobie zakaz fabrykacji trunków poza miastem Żywcem. Monopol ten w XVI wieku przełamali panowie Żywiecczyzny, Komorowscy. W obrębie mili od miasta Wadowic nie wolno było nikomu trudnić się propinacją. To „prawo milowe” miasto utraciło w roku 1523 po procesie przed sądem ziemskim w Zatorze. Szlachcie polecono „przysiąc na dawność a starodawne używanie piwa, warzenie i szynkowanie”. Zainteresowani szlachcice wraz z sześcioma świadkami zaprzysięgli, że według ich najgłębszego przekonania słuszność jest po stronie szlachciców, którzy w jednej mili od miasteczka Wadowic dobra a statki swe mając „weselili się” wolnościami, swobodami, piwa warzeniem i szynkowaniem. Według takiej procedury sądowej można było w drodze wykazania nie tyle istotnej prawdy, ile przekonania o prawdzie, unicestwić stare przywileje miast w zakresie propinacji, nadane jeszcze przez książąt oświęcimskich. Propinacja mieszcząska ograniczyć się musiała tyl-

ko do granic samych miasteczek tudzież do miasteczkowych obywateli i gości.

Rewizja przeprowadzona w dobrach księstw Zatorskiego i oświęcimskiego w roku 1564 wykazała, że gorzałkę produkowali mieszczanie w Zatorze, w Wadowicach i w Oświęcimiu. Mieszczanie ci opłacali administracji dóbr opłaty od „garnców gorzałczanych”. Pod „garncem” rozumiano kocioł, który np. w Gorzeniu zawierał 70 garnicy wypalanej gorzałki. Opłata wynosiła od garnca 2 zł. Zdaje się, że każdy mieszczanin produkujący gorzałkę posiadał jeden taki kocioł-garniec. Według ilości garnców można obliczyć, ilu mieszczan trudniło się gorzelnictwem. W Zatorze było takich garnców 6, w Wadowicach 3, w Oświęcimiu 2. W Myślenicach w roku 1762 naliczono aż 45 garnców gorzałczanych, prócz tego było jeszcze kilka browarów piwnych, stanowiących wspólną własność mieszczan, w których dokonywali kolejno warki piwa.

Przykładem rozwoju w miastach piwowarstwa i szynkarstwa w połowie XVII wieku jest Limanowa. Właściciel miasta, stolnik Przyłęcki, uregulował warkę piwa. Każda warka wynosiła 19 ahteli po 70 garnicy piwnych, co odpowiadało 2660 litrom. Warki miały być wykonywane dwa razy w tygodniu. Karczmarze, których było 12 (między nimi wójt i pisarz), mieli osobne uprawnienie na kolejną warkę. Potem w roku 1644 przybyło do tej kolejnej warki jeszcze 7 mieszczan (między nimi cyrulik, kościelny i organista). F. Bujak w monografii pt. *Limanowa* oblicza, że roczna produkcja piwa wynosiła wówczas w Limanowej mniej więcej 2700 hektolitrow. Oczywiście część tej produkcji wypito w mieście, reszta zaś sprzedawana była do „państw” sąsiednich, które piwa nie produkowały, lecz sprowadzały je w celu szynkowania. Cyfra wyprodukowanego piwa wskazuje, że pijaństwo stało na odpowiadającej interesom limanowskich mieszczan wyżynie. Zapewne i sama Limanowa wstrzemięźliwością nie grzeszyła, skoro dla podtrzymania tradycji nawet proboszcz limanowski, ks. Jan Duszyński, w testamencie swym z roku 1834 przegna-

czył na stypę dla księży i szlachciców beczkę dobrego wina i wołu, dla organistów zaś i parafian z Limanowej i okolicznych wsi „dobrej gorzałki beczkę największą”. Po wypiciu tych trunków zapewne łyż za zmarłym fundatorem łąły się obficie!

Mieszczkański monopol propinacyjny ochraniały także konstytucje sejmowe z lat 1633 i 1677. Według pierwszej szlachcic tracił szlachectwo, jeśli będąc w mieście osiadły, handlem i szynkami miejskimi się bawił. Taki szlachcic i jego potomstwo nie mogli nabywać dóbr ziemskich, gdyby zaś je nabyli, każdy szlachcic mógł prosić, aby ziemskim „prawem kaduka” dobra te jemu nadano. Druga konstytucja była powtórzeniem poprzedniej i dostosowaniem do tych, „którzy po miastach abutuntur praerogativa Nobilitatis, monopolia, szynki, handle i opificia mechanica traktują”.

Za to szlachcic był panem sytuacji na wsi. Propinacja na wsi stała się monopolem szlachcica, na straży którego stał on sam, wykonywał go zaś za pośrednictwem swoich karczmarzy.

W aktach grodzkich oświęcimskich dochował się „jurament karczmarzy” z jedenastu wsi ziemiańskich księstwa Zatorskiego, zawierający szczegółowe cyfry ilości wypitych „achteli” piwa i „garnców” gorzałki w zimowym kwartale, od 17 grudnia 1658 do 17 marca 1659 roku, w czternastu karczmach szlacheckich. To zeznanie złożyli karczmarze w celach podatkowych. Tekst owego „juramentu” jest następujący:

„Ja przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu w Trojcy Świętej jedynemu, żem więcej nie wyszynkował przez ten kwartał, który się począł od dnia siedmnastego miesiąca grudnia w roku tysięcznym sześćsetnym pięćdziesiątym ósmym, a kończący się dnia siedmnastego miesiąca marca w roku terażniejszym, tysięcznym sześćsetnym pięćdziesiątym dziewiątym, piwa i gorzałki Pańskiej tylko jako przeze mnie do grodu oświęcimskiego opiewa attestatia i znikąd piwa ani gorzałki nie brałem. Tak mi panie Boże pomagaj i Męka Pana Chrystusowa.”

ATTESTATIA

	piwa	achteli	41	gorzałki	garnicy	37
Strisow						
Klecza	"	"	8	"	"	8
Woźniki	"	"	18	"	"	24
Brzeźnica	"	"	10	"	"	12
Witanowice	"	"	52	"	"	63 $\frac{1}{2}$
Radocza	"	"	5	"	"	9 $\frac{1}{2}$
Jaszczurowa	"	"	11	"	"	20
Sleszowice	"	"	27	"	"	37
Górny Barwałd	"	"	18	"	"	26
Bachowice 1)	"	"	13	"	"	15 i 2 kw.
2)	"	"	11	"	"	6
3)	"	"	6	"	"	7
Frydrychowice 1)	"	"	10	"	"	25
2)	"	"	7	"	"	4 i 3 kw.

Z wykazu tego wynika, że w czternastu karczmach wyzinkowano w jednym kwartale 237 achteli piwa oraz 295 garnicy i 1 kwartę gorzałki.

Licząc	achtel	piwa	według	cen
z roku	1652,	po	4 zł,	przepili
w tych karczmach	na piwie			948 zł
Licząc	zaś	garniec	gorzałki	według
cen z roku	1666,	po	1 zł 18 gr,	prze
pito na gorzałce				472 zł 12 gr
				Razem 1420 zł 12 gr

Gdy zaś wiertel (korzec) zatorski lub oświęcimski pszenicy w tym czasie kosztował 2 zł, okazuje się, że w tych 14 karczmach szlacheckich w jednym kwartale przepili chłopci dorobek swej pracy odpowiadający wartości 700 korcy pszenicy, licząc więc w tym stosunku za cały rok przyjąć można, że przepili dorobek pracy odpowiadający 2800 korcom pszenicy. Przeciwnie zatem zostawiali chłopci w roku w jednej karczmie szlacheckiej dorobek odpowiadający wartości 200 korcy pszenicy.

Nic więc dziwnego, że karczma była krową dojną dla szlachcica.

Z lustracji starostwa barwałdzkiego z roku 1765 widać, że Franciszek Ksawery Branicki miał z tego starostwa 8000 zł rocznego dochodu, w czym sama propinacja przynosiła 3000 zł. Obliczenia wykazują, że chłopci ze wsi tego starostwa przepijali na trunkach barwałdzkich tyle, iż wartość przepitego alkoholu równała się połowie wartości całej pańszczyzny w czynszach i robociźnie. Niezależnie od tego zarabiała od nich i wadowicka propinacja. We wsiach szlacheckich i duchownych, gdzie propinacji lepiej pilnowano i do picia zmuszano, dochody te były olbrzymie.

Zmuszanie do wypijania wyznaczonej gorzałki praktykowane było np. w królewskiej opoczyńskiej, a dopiero dekret sądu referendarskiego z roku 1593 postanowił, że poddani do picia piwa „nie mają być przymuszani nad wolą ich”.

W kluczu brzozowskim biskupstwa przemyskiego istniał system tzw. narzutów, polegający na zmuszaniu poddanych do kupowania nadmiaru produkcji dworskiej, a w szczególności także wódki i piwa. Lustracje tych dóbr stale napomykają, że narzuty są niesprawiedliwością, że dają okazję do zatargów i waśni i że należy je znieść, mimo to jednak narzuty utrzymują się w dobrach tych długo jako środek eksploatacji chłopów z gotówki, ku pożytkowi przemyskiego biskupstwa. W Ponikwi (zatorskiej) tudzież w Gorzeniu gromady uiszczają do dworu stałą opłatę zwaną za suche piwo. Było to odszkodowanie za niepobieranie dworskiego piwa na szynk.

Obserwujące regułę św. Augustyna zakonnice norbertanki ze Zwierzyńca posiadały w księstwie Zatorskim wieś Mucharz, gdzie zbudowały w połowie XVIII wieku wspaniałą karczmę z łamanego kamienia, podobną do małego zamku. Lud nazwał ową karczmę Czartakiem, być może dlatego, że stanęła ona na miejscu dawnego Czartaka, czyli strażnicy książęcej, albo też z tej racji, że widział w niej siedlisko sprawców nieszczęść — czartów. W roku 1911, gdy ówczesnym panom

Mucharza odmówiono koncesji na karczmę, Czartak opustoszał, wichry zrzuciły z niego dach, a do roku 1942 sterczały tylko kamienne ściany i kominy. Literaci wymyślili legendę, produkt poetyckiej fantazji, jakoby owa budowla, przez lud uznana za czarci przybytek, była przed wiekami świątynią ariańską. Prawdą zaś jest, że wówczas, gdy w Polsce zawiązała się sekta ariańska, Czartaka w Mucharzu jeszcze nie było, a na tym miejscu rosły lipy graniczne. Tu, na granicy wsi, zwierzyńskie norbertanki wprawdzie nie paliły okowity, ale za to paliły... czarownice. Krakowski Urząd Wojewódzki na wniosek konserwatorów otoczył opieką Czartak, jako rzekomą zabytkową świątynię ariańską, nie pozwalając właścicielowi rozebrać jej murów. Jakkolwiek popełniono tu urzędową omyłkę co do charakteru budowli, to jednak wyszła ona sprawie na dobre, gdyż pod pretekstem ochrony świątyni ariańskiej w rzeczywistości niechcący ochroniono przed zagładą ponure szczątki klasztornej „świętej karczmy”. Można by mieć nadzieję, że dzięki opiece konserwatorów zwaliska Czartaka jeszcze przez długi czas sterczeć będą jako pomnik propinacyjnej działalności ku chwale sióstr zakonnych św. Norberta. Niestety, Niemcy Czartak rozebrali, a kamienie zużyli do budowy fabryki amunicji w Mucharzu. Dziś po Czartaku nawet ślad nie pozostał. Nic jednak nie szkodzi, że poeci i artyści malarze w dziełach swych przekazali potomności pamięć o Czartaku. Tylko z rymów o nim i podpisów pod widokami trzeba wykreślić słowa „świątynia ariańska”. Wymaga tego uzgodnienie rzeczywistości z legendą. W tym przybytku bowiem nigdy nie było przezacnych arian polskich. Tam siedział czart w klasztornej okowicie, która niejedno życie chłopskie zatrzała i niejednej chłopskiej rodzinie za życia piekło zgotowała.

* *

*

Po zaborze Galicji rząd austriacki, przeprowadzając reformy włościańskie, ukłócił także przywileje propinacyjne. Pa-

tentem z 3 czerwca 1775 roku zakazano przymuszania chłopów do wykupywania wyznaczonych im przez dwór kontyngentów wódki. Patentem z 24 kwietnia 1783 roku zakazano szynkowania wódki na kredyt, a tym samym egzekwowania chłopów za długi karczemne. Nie znaczyło to, że chłopci mają być wolni w zupełności od płacenia tych długów, tylko że dług karczemny obowiązani byli złożyć do kasy podatkowej. Karczmarz tracił więc wiarygodność na rzecz kasy podatkowej, a jeśli od chłopca wziął zastaw w postaci sprzętów rolnych lub bydła, musiał oddać kasie podatkowej zastaw i jeszcze do tego zapłacić karę równającą się podwójnej kwocie długu ubezpieczonego zastawem. Rozporządzeniem z 13 listopada 1788 roku zniesiono obowiązek chłopów do zaopatrywania się w dominium w trunki, a odtąd chłopci mogli na domową potrzebę sprowadzić trunki, skąd chcieli, pod warunkiem jednak opłacenia we dworze akcyzy od sprowadzanej wódki. Jako resztkę dawnego prawa propinacyjnego pozostała jeszcze dworom wyłączność produkcji alkoholu na swoim terenie i monopol zakładania w swych wsiach karczem i szynkowania w nich trunków. „Rząd sprzyjał jednak krajowi”, gdyż w roku 1807 wydał *Fabriksbejuginis* na fabrykę wódek Baczelesowi ze Lwowa, a w roku 1819 Wolfowi Sobelowi w Rzeszowie.

Statystyka gorzelń za rok 1836 wykazała ich w Galicji 4790. Niemal więc każdy szlachcic był gorzelnikiem. Pod wpływem podatków ilość tych gorzelń zmniejszyła się, tak że w roku 1874 było ich tylko 598. Wyłączność produkcji alkoholu uchylona została ustawą z roku 1875, i to bez odszkodowania dla posiadaczy monopolu produkcji. Odtąd dworom pozostała jedyna odwieczna świętość nietykalna — karczma wraz z monopolem wyszynku. Policyjnymi przepisami wzbroniono też dokonywania w karczmach wypłat zarobków robotnikom, sądy zaś nie uznawały za ważne zapłat dokonywanych przez dwory asygnatami na pobór wódki i innych trunków w dworskich karczmach. Z tymi ograniczeniami „święta karczma” utrzymana została dla dawnych posiadaczy propinacji na czas do koń-

ca 1910 roku. Z dniem 1 stycznia 1911 roku propinacyjne wyszynki zostały zniesione, a tytułem odszkodowania za utratę tego przywileju kraj zapłacił obszarnikom kwotę 124 400 000 koron w ratach, z których ostatnią pobrali już w czasie wojny światowej w 1915 roku.

Ten kwitnący przemysł szlachecki osławił Galicję. Według obliczeń St. Szczepanowskiego, w pracy *Nędza Galicji*, w latach osiemdziesiątych z karczem, należących do „arendarzy” i pachciarzy, żyło 150 000 osób. W roku 1902 w Galicji szynków było 21 046, a szkół ludowych 4048.

„Wiadomości Statystyczne”, wydawane przez Wydział Krajowy we Lwowie, opublikowały w roku 1876 tablice statystyczne do sprawy propinacyjnej. Według tych tablic opodatkowany dochód z propinacji wódki, piwa i miodu wynosił w roku 1874 w całej Galicji kwotę 3917311 złr 21 centów. Na ten dochód „pracowało” 23 269 szynków. Zagęszczenie szynków było tak znaczne, że jeden szynk w Galicji przypadał przeciętnie na 233 mieszkańców, a przeciętny dochód na jeden szynk wynosił 226 złr. Między propinatorami znajdowało się 96 miast i miasteczek, posiadających wyłączne uprawnienia propinacyjne w miastach lub współuprawnienia z obszarnikami, kamerą, funduszem religijnym albo z proboszczami, jak to było w Lanckoronie, Czarnym Dunajcu, Tymbarku i Oświęcimiu. Dochód tych miast i miasteczek z propinacji wynosił w 1874 roku 1 101 518 złr 11 centów. Spośród przeszło 600 gmin wiejskich gminne prawo propinacyjne dochowało się zaledwie w 35 gminach wiejskich, a w szczególności w 26 gminach wiejskich powiatu nowotarskiego, w Tatarach pow. Samborskiego, w Zubińsku i Czystohorbie pow. sanockiego, w Libuchowej i Rosochach pow. staromiejskiego, w Łosińcu pow. turczańskiego, w Zarzycu Małym pow. wadowickiego oraz w Podstolicach i Świątnikach Górnych pow. wielickiego. Dochód tych wszystkich wsi z propinacji za rok 1874 wynosił 5227 złr 73 centów. Propinacja pozostała nadto przy sołtysach na Podhalu z marnym dochodem 245 złr 5 centów. Wartość

konsumpcji piwa i wódki w roku 1874 wynosiła kwotę 19 886 057 złr, przeciętnie na głowę 3 złr 65 centów. Prenumerata roczna tygodnika wynosiła 2 złr, na co nie było można się zdobyć, wódka natomiast pochłaniała więcej.

Cyfry powyższe są dowodem ugruntowania się niesprawiedliwego przywileju, przysparzającego pożytków dzierżycielom władzy nad ludnością poddańczą. M. Bobrzyński w książce *Prawo propinacji w dawnej Polsce* nazywa te pożytki rodzajem podatku, nałożonego na ludność gminy wiejskiej lub miejskiej na rzecz pewnej osoby fizycznej lub prawnej, niegdyś pana i właściciela tejże gminy i jej obszaru, nazywa je też prawem publicznym, „które, jak wiele takich praw niegdyś, poszło na usługi osoby prywatnej i przybrało wszystkie znamiona prawa prywatnego. Dla tego samego wszystkie te prawa propinacji są rażącym anachronizmem wobec dzisiejszych pojęć i stosunków, które nie dopuszczają, aby jakkolwiek część prawa publicznego była udziałem osoby prywatnej i służyła jej prywatnej korzyści, które nie dopuszczają poddaństwa i opodatkowania obywateli państwa na rzecz jednego obywatela. Duch czasu, pojęcia nasze prawne, organizacja polityczna prą i zmagają nas do zniesienia tych uprawnień propinacyjnych, które powinny były zniknąć razem z uchYLENIEM stosunków poddańczych.”

W Galicji duch czasu spóźnił się o 78 lat. W roku 1848 skasowano poddaństwo gruntowe, natomiast pańszczyźniane poddaństwo propinacyjne przetrwało jeszcze do roku 1910.

Sejm galicyjski złośliwie nazywano „sejmem propinacyjnym”. I słusznie. Przecież nie było jednej sesji sejmowej, żeby nie poświęcono sporo czasu na zajęcie się tym „klejnotem szlacheckim”, jakim była propinacja. Czy to był jakiś Garapich, czy „regimentarz” Koła Polskiego w Wiedniu, każdy miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Grono posłów lepiej myślących, przeważnie księży, zaproponowało na sesji w roku 1875 uchwalenie ustawy o położeniu tamy opilstwu. Przy tej okazji księży nawymyślali szlachcie. Wódz szlachty polskiej, Grochol-

ski, bronił właścicieli propinacji. Jego zdaniem „właściciel propinacji nigdy nie chciał ludu rozpijać, nie było w jego interesie rozpijanie ludu, bo ci, którzy się trudnili propinacjami, mogą powiedzieć, że pijak nie jest bynajmniej korzystny dla propinacji. Nie dla pijaków stoi propinacja, ale dla trzeźwych, bo pijak przepije swój dobytek i nie ma za co dalej propinacji zasilać." Przeoczył p. Grocholski, że aby zostać pijakiem, trzeba zacząć pić na trzeźwo.

W owym czasie biskupi obrządku greckokatolickiego zainicjowali walkę z karczmą metodą obrzydzania ludowi wysiadania w karczmach i doradzania, aby jeśli już chce pić, pił u siebie w domu. Poseł Grocholski kwestionował taką walkę z alkoholizmem, albowiem nie chodzi tu o to, aby lud nie pił, ale chodzi o to, aby nie pił u Żyda i w dworskiej karczmie, duchowieństwo uczy bowiem: „bierz sobie wódkę do domu i tam pij, chodź do miasteczka, ale nie pij w karczmie". Grocholski żądał też odebrania wójtom wykonywania policyjnego nadzoru nad karczmarzami dworskimi. Szykarz, karczmarz, jak i jego pan mieli być izolowani od nadzoru miejscowych władz.

Polemizował z Grocholskim włościański poseł Kuzara: „Zastanawiając się nad zdaniem p. Grocholskiego, przychodzę do przekonania, iż tak być nie może, jak on twierdził. Wiem o tym, że porządny człowiek, poczciwy i trzeźwy, nigdy się nie upije. Nie widziałem nigdy porządnego człowieka w szynkowni. Zdaje mi się, że pijaństwo rozpościera się tylko u niegodziwych ludzi. Uznaję zgubne skutki pijaństwa, bo z niego kradzież, podpalenie i inne wszelkie zbrodnie pochodzą. Otóż sądzę, że należy nałożyć karę na tego, kto jest pobudką do tego pijaństwa. Takim jest arendarz, bo ten siedzi przy baryłce, wygląda opatrności, aby mógł coś utargować. Porządny człowiek nie pójdzie do niego, ale gdy spotka drugiego, to go zaprosi, poczęstuje, a arendarz ciągnie go do dalszej zguby, prowadzi go do nieszczęścia i naród do straty."

Hr. Golejowski, polemizując z radcą sądowym, posłem Ko-

walskim, atakującym propinatorów, wprowadził na salę widmo... cara rosyjskiego. „Powątpiewam — mówił — aby posłowi Kowalskiemu chodziło tak o miłość ludu, może raczej o to, aby właścicielom większych posiadłości można było uszczerbek zrobić w ich majątku. Są to zasady nihilistów i socjalistów w państwie rosyjskim. Widzimy takie dążenia także i w Rosji. Zasady nihilistyczne tak się tam rozwieliły, że cesarz rosyjski widział się spowodowanym — jak dzienniki wiedeńskie donoszą — wydać manifest, w którym wzywa szlachtę i dobrze myślących ludzi w państwie rosyjskim, aby walczyli przeciw takim tendencjom i starali się wpływać, by takich zgubnych teorii między ludem nie rozpowszechniano i nie obalamucano go. Poleciał swemu rządowi walczyć przeciwko socjalizmowi i nihilizmowi. Zabierać cudzą własność na korzyść ludu dla popularności to nie jest moralność, to jest demoralizować go, a tego miłością ludu zwać nie można, a taką teorię wygłosił poseł Kowalski."

Uchwalona wówczas, a fałszywie nazwana, ustawa o „zniesieniu" propinacji przewidywała przedłużenie tego przywileju szlacheckiego na lat 26, z tym iż termin 26-lecia zacznie się dopiero po 10 latach, przeznaczonych na obliczenie odszkodowania, które kraj będzie musiał wypłacać z funduszu propinacyjnego. Ponadto ustawa zastrzegła, iż mimo zniesienia propinacji każdy obszarnik i jego spadkobiercy zachowają na wieczne czasy przywilej posiadania jednej karczmy. A więc nie było to zniesienie, ale raczej petryfikacja szlacheckiego przywileju propinacyjnego.

W dziesięć lat później, pod naciskiem rządu centralnego, postanowiono ten wieczysty przywilej skasować za wypłatą propinatorom świadczeń pieniężnych.

Z tych to czasów pochodzi określenie, często w publicystyce powtarzane — „święta karczma". Słowa te padły w Sejmie w czasie lamentacji, wywołanych projektem skasowania przywileju wieczystej karczmy dworskiej. Wypowiedział te słowa poseł hr. Lasocki, przedstawiciel kurii chłopskiej okręgu

wyborczego Myślenice — Jordanów — Maków. Przemawiając za utrzymaniem w ręku szlachty przynajmniej po jednej wieczystej karczmie dla każdego dworu, tak w Sejmie ubolewał:

„Odstępując od owej ustawy, nad którą przez 10 lat setki głów zdolnych i kraj miłujących pracowało, naruszając prawo własności, krzywdzimy uprawnionych, narażamy kraj na straty i cofamy się wstecz pod względem społecznym, ekonomicznym, jako też moralnym, pod żadnym zaś względem nie uznaję, byśmy zniesieniem niby to przywileju o krok jeden poszli naprzód. Nie zwykłem — powtarzam — bronić interesu mojego, gdy niezgodnym z interesami ogółu, lecz gdzie idzie o byt i prawa tysiąca właścicieli, a przy tym o interes kraju i całego ludu wiejskiego, walczyć przeciwko niezdrowym zachceniom będę i oświadczam z góry, że jako przeciwnik zniesienia prawa do karczmy uczynię cokolwiek będzie w mojej mocy, ażeby status quo nadal utrzymanym zostało. Ta karczma jest nietykalną, spuścizną, świętą! (Wesołość i poruszenie.) Tak jest, panowie. Obstawać przy niej jest obowiązkiem świętym! Jej nam odstąpić nikomu nie wolno, bo przez utrzymanie w naszym ręku karczmy wpływać możemy na dobrobyt i moralność ludu! (Wesołość.) Jeżeli odstąpimy od tego nabytego prawa, to w dalszym ciągu odstąpimy od niejednego i wszelkiego prawa tak prywatnej, jak i natury publicznej. Nie ma tedy poszanowania praw własności w ogóle. Nie ma autonomii. Nie ma nic wreszcie dla nas świętego. Byłbym nie przemawiał, gdyby nie ci panowie, którzy niby to o wolność, moralność i oświatę dbający, a w rzeczy samej wszystko poświęcić gotowi, by szkodzić interesom właścicieli ziemskich, prawu propinacji, a to bez względu, że owa szkoda jeszcze dotkliwszą będzie dla ludu, którego się mienią być jedynymi obrońcami wobec uprzywilejowanych. Jako szlachcic, obywatel, a przedstawiciel ludu w tej Izbie, postanowiłem przeciw insynuacjom podobnym i nieproszonej opiece zaprotestować.”

O treści tej mowy hr. Lasockiego poinformował chłopów „Przyjaciel Ludu” przed wyborami w roku 1889. Przestrzegł lud przed takimi posłami, jak hr. Lasocki albo ks. Chotkowski, który przy rozprawie w Radzie Państwa nad projektem prawa o niepodzielności gruntów włościańskich wyraził się: „byleśmy utrzymali bogatszych chłopów, a biedni niech giną jak pędraki po zjedzeniu kartofli”.

Sejm na każdej sesji wybierał specjalną komisję propinacyjną z 25 posłów złożoną. Praca w tej komisji nigdy nie ustawała. Nieraz przy nikłym komplecie Sejmu 1/3 część Sejmu zasiadała w komisji. Od roku 1866 do roku 1875 komisja propinacyjna stanowiła atrakcję dla posłów szlacheckich, a wybór do tej komisji uważany był za zaszczytny. Nic też dziwnego, że do takiego Sejmu przyłgnęła nazwa „sejmu propinacyjnego”.

* *
 *

Obok zatrucia organizmu i zamroczenia umysłów propinacja we wsiach szlacheckich sprowadziła jeszcze inne katastrofy.

Jedną z nich była lichwa, wywołana przy szafarstwie alkoholu posługiwaniem się pośrednikami i zastępcami, jako że dostojność szlacheckie oraz prawa nie pozwalały szlachcicowi osobiście trudnić się interesami przemysłowymi i handlowymi, a przy tym tych „placówek przemysłowych i handlowych” było tyle, że wyręczanie się zastępcami i pośrednikami stało się koniecznością. W roli zastępcy dworu występuje tzw. arendarz, czyli pachciarz-Żyd, który w stosunku do szlachcica staje się kurą znoszącą mu „złote jaja”. Gdzie ta kura ziarno zbiera, gdzie się żywi, to sprawa dla szlachcica obojętna, byle tylko miał zawsze dochody, i to duże.

Arendarz nie tylko szynkuje wódkę dworską. Staje się on przedstawicielem wszelkich komercyjnych dworskich monopolów. W imieniu dworu kupuje od chłopów ich krescencję gospodarczą. W imieniu dworu poza monopolem sprzedaży wódki i piwa wykonuje monopol sprzedaży soli czy zboża na przednówku albo też kieruje monopolem młynnym, a na wschodzie dzierżawi od panów nawet cerkwie, prawo poboru opłat za obrzędy religijne i robi interesy na użyczaniu kluczy od cerkwi. Delegaci rządu austriackiego, Haugwitz i Procop, którzy podróżowali po Polsce, w opisie dróg polskich zazna-

czyli, że wszystkie karczmy na drodze z Krakowa do Warszawy znajdowały się w rękach Żydów. Te brudne i nędzne żydowskie zajazdy były utrapieniem dla podróżnych.

Jakiś Niemiec, który w XVIII wieku zwiedzał Polskę i napisał książkę *Obraz narodu polskiego*, takie spostrzeżenia odnośnie do owych komercjalistów poczynił: „Bez księdza i bez Żyda szlachcic polski się nie obejdzie, jak cień za nim idą. Czego Żyd na nim nie wymoże, zrobi kapelan, zwykle mnich z najbliższego klasztoru,” Żyd jest wynalazcą kredytu dla chłopów, udziela mu tego kredytu pod zastaw ruchomości, a że zazwyczaj, jako „niewierny”, nauk św. Tomasa z Akwinu o procencie nie zna i z nimi się nie liczy, zwłaszcza że jego przywileje graniczą co do wysokości odsetek wcale mu nie zakreślają, więc za wypożyczone 48 groszy, czyli grzywnę, liczy tygodniowo 1 grosz procentu, po roku zatem odsetki są większe niż suma kapitału. Nieprzytomny, zapity chłop zadłuża się z lekkomyślności, długi jego wzrastają, często w sposób podstępny zwiększone. Wierzytelności pachciarza mają charakter wierzytelności publicznych, które dominium na wniosek pachciarza egzekucyjnie ściągają z chłopów. Gdy egzekucja nie odnosi skutku, grożą chłopom kary dworskie za lekkomyślne długi, przed którymi to karami ratuje się zbiegostwem w odległe strony, nawet za granicę Polski, albo waleś się jak żebrak. Uczuć ludzkich nikt takim nędzarzom nie okazuje, toteż giną nieraz z głodu. W roku 1714, w dzień św. Jakuba, przybyło do Choczni aż pięciu takich wędrownych nędzarzy. Wszyscy zmarli z głodu, bo im widocznie nikt jeść dać nie chciał, a na jednego z nich tylko proboszcz Adamkiewicz oleje św. na drogę wieczności nałożył.

Arendę propinacji zajmuje się *Instruktarz ekonomiczny*, wydany w roku 1786 drukiem jako podręcznik racjonalnego gospodarowania. Nieznany autor podręcznika radzi, aby pilnowano, by „swój chłop nadto nie pił”, jednak, aby „faworyzować obcym, sprawiedliwość im czyniąc i karczmy na traktach i przejazdach zręcznych stawiając”. Celem przyciągnięcia

i przynęty dla obcych doradza, aby w dobrach drogi do karczmy robić i naprawiać. Karczmy doradza oddawać karczmarzom osadzonym na niewielkiej a dobrej roli, wystrzegać się zaś puszczenia propinacji w arendę Żydom.

„Żyd-arendarz — mówi *Instruktarz* — musi żyć z tego z całą rodziną, musi trzymać szkolnika dla dzieci, musi posag zbierać dla córek i synów, musi się przykładać do składek dość znacznych kahału, do którego należy, a to na opłacenie prowizji i długów tegoż kahału, na utrzymanie w nim starszych, musi się przykładać do ekspensów prawnych tegoż kahału, musi się przykładać do nabożeństwa, do szkoły, sam na sprawy i kłótnie musi łożyć, a przez nikczemność i przekleństwo swoje ani całej sprawiedliwości, ani półsprawiedliwości otrzymać nie może, nawet u własnych dyspozytorów, bez podarków i opłaty. Pytam się, nie mając ani ziemi, ani kapitałów, skąd bierze na tak wielki ekspens, jeżeli nie z zysku na arendzie?”

„Tenże Żyd niezmiernych borgów, czyli kredytu, pozwala, przez co poddaństwo się rozpija, rozhultaja, woły, konie, krowy chłopów sprzedają, koniec po tym, że albo arendarzowi defalkować potrzeba, albo surowo egzekwować poddaństwo, przez co chłop zniszczony, bez sprzężaju, nie robi sobie, nie robi panu, nie opłaca czynszu, młodzież z głodu rozchodzi się, a co najgorsze, tenże sam momentalny zysk z arendy na dziesięć lat upada, bo chłop nie mając za co pić, musi arenda być zmniejszona.”

„Arendarze oszukują poddanych, przypisują kreski, parobków, żony i dzieci gospodarzów rozpajając, tym samym niszczą subordynację, wytepiają pracowitość, która jest najpierwszą cnotą poddanego, a głód i ubóstwo aż do trzeciego pokolenia zaszczepiają.”

Puszczanie propinacji w pacht Żydom było zjawiskiem powszechnym, zwłaszcza w majątkach magnackich na wschodnich kresach. Jedynie województwo sieradzkie w roku 1786

zabroniło pod karą 500 grzywien i sześciu niedziel więzy oddawać Żydom w dzierżawę propinację.

W roku 1776 zabroniono Żydom trudnienia się propinacją w miastach królewskich. Podobną, choć ostrzejszą, reformę przeprowadziła austriacka ordynacja żydowska z roku 1789, zakazująca Żydom przebywania na wsi, o ile nie trudnili się rzemiosłem lub rolnictwem, a nadto zabraniała im brać w dzierżawę szynki. Ograniczenia te uchylono w roku 1848. Szlachta galicyjska z wolnościowych postanowień konstytucji korzystała skwapliwie, sprowadzając Żydów do swych „państewek” — i odtąd też „każdy szlachcic miał swojego Żyda”. Postacie te, z których rąk chłop pił szlachecką wódkę, weszły w temat niejednej powieści, stały się też centralnymi figurami niejednego dramatu na scenie i... w życiu. Porównywano je z pajakami, albowiem mimo braku kultury i oświaty (niejeden z nich był analfabeta) okazywali tyle energii życiowej, sprytu, tyle bezwzględności, kolidującej często nie tylko z kodeksem karnym, ale i z zakazami dekalogu, że omotani przez nich alkoholicy więcej, utracjusze lekkomyślni, powolutku w ich uściskach ginęli, jak muchy na siatce pajęczej.

Różne instruktarze przekazywały, aby właściciele propinacji urządzali karczmy wygodne i porządne. Na czym ta wygoda i porządność ma polegać, bliżej nie wyjaśniały. Chodziło tu zapewne przede wszystkim o to, by karczma była dostatecznie duża, celem pomieszczenia jak największej ilości szukających w niej rozrywki, i aby deszcz przez dziurawy dach nie lał się tym gościom za kołnierz lub zimno nie wypłaszało ich do domu. O przestrzeganie czystości i higieny w tym zakładzie nie dbano wcale; władzą sanitarną, czuwającą nad porządkiem, był sam właściciel karczmy. Opowiadali starzy ludzie, że wybudowana w Choczni przez burgrabiego krakowskiego, Jana Biberstein-Starowieyskiego, austeria była tak wewnątrz zabrudzona, zakopcona i źle oświetlona, że wchodzący nie poznawał gości, na zewnątrz zaś tak była zagnojona, że nawet sięgał do okien, a smród już z dala ułatwiał orientację

pijacom, że karczma niedaleko. O higienie naczyń do picia nikt też nie myślał. Wspomniany *Instruktarz* z roku 1786 doradza sprawianie blaszanych naczyń do picia, pocechowanych, które należy przykuć do ściany. Zwyczaj przykuwania „kwaterek” do łańcuszków umocowanych w ścianach lub na szynkwasię przetrwał do XX wieku. Naczynia tego nigdy nie myto, a gdy z powodu częstej jego cyrkulacji blacha nie wytrzymała i wódka wyciekała, wyrzucano stare, a przymocowywano nowe. Zarobki szynkarza dworskiego kalkulowano na 5% od utargu. Autor *Instruktarza* obmyślił nawet tablice z rubrykami dla zapisywania długów karczemnych. Był to „kredyt”, znaczenie zaś tego wyrazu pijacy wyprowadzali nie z łacińskiego credo, lecz od kredy, którą na balasach szynkwasu i ściankach szafek analfabeta karczmarz kreskami znaczył habet i debet poszczególnych chłopskich klientów.

Propinacja i karczma były smutnej sławy „uniwersytetami”, zaszczepiającymi między chłopstwem pojęcia prawne. Arendarz zaś był „profesorem”, nie tylko bowiem szynkował „liquory” pańskie, on je — jak to było odwiecznym zwyczajem — kredytował i praktycznie klientów uczył prawa, zwłaszcza wekslowego. Za podpisanie się na świstku ostemplowanego papieru otrzymywał chłop „kredyt”, którego czasem wcale nie oglądał. Po takim kredycie uczył go wierzyciel przy pomocy sądów procedury cywilnej i ordynacji egzekucyjnej, zapoznawał go z prawem hipotecznym i urzędzeniami księgi gruntowej, w której hipotekował mu długi na gruncie. W karczmie zapoznał się chłop z instytucją procentu, jak się go płaci „z góry”, a jak „z dołu” i wedle jakiej „stopy”. Dowiadywał się, co to jest zastaw ruchomy, co hipoteczny, a gdy pouczano go już o licytacjach, edukacja jego była skończona. Niejeden tak wyszkolony „prawnik” kończył swój żywot pod płotem, bo alkohol i nauka prawa majątek mu zjadły.

Gdy w roku 1908 urządzano w Wiedniu cesarski jubileusz i do pochodu przed zamkiem cesarskim zbierano „krajowe delegacje i okazy”, włościanin-poseł, Michał Olszewski, w „Ga-

zecie Chłopskiej" proponował, aby do Wiednia przywieźć dla pokazania cesarzowi prawdziwy okaz karczmy galicyjskiej wraz z jej arendarzem i jego klientką, aby jego cesarsko-królewska apostolska moc przyglądała się tej „rzeczywistej rzeczywistości”.

Rzeczywistość ta znana była wiedeńskiemu parlamentowi, z którego wychodziły ustawy ochronne przeciw nieuczciwym interesom kredytowym, a „ustawa o położeniu tamy opilstwu” musiała wisieć na ścianie w każdej karczmie galicyjskiej, co jednak nie przeszkadzało, by w jej obliczu ci, których miała chronić, nieprzytomni pod ławami leżeli.

Propinatorzy, karczmarze wyglądali na tle nędzy galicyjskiej jakby rachityczne potworki kapitalistyczne, naśladowujące metody i tricki wielkich rekinów kapitalistycznych. Nic dziwnego, że dochodziło do konfliktów między nimi a niezbyt łaskawie traktowaną klientką.

* *
* *

Walkę z propinacją podjęła lepiej myśląca część inteligencji miejskiej i duchowieństwa. W Rzeczypospolitej Krakowskiej zawiązywano wzorem Wielkopolski i Śląska bractwa wstrzemięźliwości. Związki te przeszczepiano także na teren Galicji. Dziesiątki tysięcy chłopów „ślubowało” w kościołach, iż wódki pić nie będą, toteż propinacja marniała, a szlachta musiała karczmy i browary zamykać i ograniczać. W roku 1844 ujął się za szlachtą galicyjską urząd gubernialny, a odbywszy konferencję z biskupami wyjednał u nich wydanie kurendy, w której zalecono plebanom, by złagodzili nacisk moralny wywierany na parafian co do ślubowania wstrzemięźliwości. Propinacja, na straży której stanął autorytet dostojników kościelnych, co prawda będących także właścicielami gorzelń i karczem, stała się „krajową świętością”, zaś szlachcic polski i Żyd faktor lub arendarz stali się — jak pisał Szczepanowski w bro-

szurze *Wódka i propinacja* — parą braci syjamskich, połączonych węzłem organicznym, którym była karczma.

Czasem do spółki tej przyłączał się proboszcz, posiadacz karczmy. W „Kurendzie”, organie kurii biskupiej w Tarnowie, z roku 1868 wspomniane są karczmy proboszczowskie w Lenczach, Marcyporębie i Zebrzydowicach. W zebrzydowskiej parafii proboszcz, ks. Józef Foks, wybudował nową karczmę w roku 1867 kosztem 300 złr, które mu parafianie złożyli.

Propaganda trzeźwości w Galicji chromała ze względu na sprzeciw szlachty-propinatorów. Rozmach nowy dał jej list pasterski biskupa tarnowskiego, Pukalskiego, z 22 stycznia 1876 roku, w całości poświęcony walce z pijaństwem ludu wiejskiego. Ostro w nim piętnował nieczne praktyki szynkarzy i wiejskich lichwiarzy, którzy wódką i procesami wekslowymi, za kredytowaną wódkę na weksle, tysiące rodzin chłopskich licytacjami spędzali z gospodarstw. Duchowieństwo miało nakaz wpływać na ludność wiejską, aby:

- 1) unikała niepotrzebnego chodzenia na targi i jarmarki, z których niemal połowa ludzi wracała w stanie nietrzeźwym,
- 2) aby kumowie po chrzcie dziecka zaniechali zwyczaju „oblewania” chrzcin w karczmach,
- 3) aby proboszczowie dawali śluby w dni czwartkowe, by odzwyczać ludność od przeciągania pijatyk weselnych obowiązkiem przestrzegania postu piątkowego,
- 4) aby wesel nie odprawiano w karczmach i by z wesel wódkę rugowano,
- 5) aby wpływno na młodzież, by unikała niedzielnych zabaw tanecznych w karczmach.

Duchowieństwo parafialne tworzyło po parafiach bractwa wstrzemięźliwości z osób, które odprzysięgły się od wódki. Praktyki te uderzyły po kieszeniach propinatorów, toteż znowu wywierano nacisk na biskupa Pukalskiego, aby nakazał złagodzić propagandę trzeźwości. Biskup ulegał temu naciskowi. W nowej instrukcji nakazano księżom unikać wszystkiego, co by mogło rozjątrzać umysły, nie pochwalano tych księży,

którzy śluby trzeźwości stawiali na równi z przysięgą albo głosili, że łamiący śluby nie będą przypuszczeni do obrzędów religijnych, że „miernych w używaniu rozpalających trunków” nie przyjmie się do bractwa wstrzeźliwości. A wreszcie grozi skarceniem tym, którzy w gorliwości źle rozumianej podburzali lud przeciwko wyrabiającym wódkę lub nią szynkującym.

Propinatorzy odnosili się z nienawiścią do księży młodych, entuzjastów walki z alkoholizmem. Taki wikariusz długo musiał czekać na awans proboszczowski, bo szlachta, mając prawo prezenty, nie uwzględniała przy obsadzie probostw księży, którzy jej dochody z propinacji ukrócali.

Jakby na ponizenie Galicji i Bukowiny, jako krajów pijackich, Rada Państwa uchwaliła specjalnie tylko dla tych krajów ustawę o położeniu tamy opilstwu. W każdej szynkowni w tych krajach musiała ustawa ta — z podpisem cesarskim — wisieć w ramkach na widocznym miejscu. Treść jej była następująca:

U s t a w a

z dnia 18 lipca 1877 roku, zawierająca przepisy mające na celu
położenie tamy opilstwu. (Obowiązująca w
Królestwach Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim i
w Księstwie Bukowińskim.)

Za zgodą obu Izb Rada Państwa postanawia, co następuje: § 1. Kto w gospodach lub szynkowniach, na gościńcu lub jakichkolwiek miejscach publicznych, oczywiście pijany, tak że wywołuje zgorzenie, pokazuje się tudzież, kto w miejscach takich drugiego rozmyślnie upaja, karany będzie aresztem aż do jednego miesiąca lub grzywnami aż do 50 złotych.

Tejże samej karze ulegają utrzymujący gospody i szynkownie tudzież ich pełnomocnicy, gdy gościom pijanym lub, z zastrzeżeniem istotnej potrzeby, oczywiście niedorośłym, przebywającym bez towarzystwa osób starszych, napoje wyskokowe wydają lub wydawać pozwalają.

§ 2. Należności za napoje wyskokowe, w gospodach i szynkowniach gościom wydane, nie mogą być zaskarżane, jeżeli dłużnik, przyjmując napój, nie był jeszcze uiścił się z dawniejszego długu takiego rodzaju, należącego się temu samemu wierzycielowi.

Należności takie nie mogą też być potrącane z innych wierzytelności dłużnika.

§ 3. Umowy względem zastawu i poręczenia, zawarte w celu zapewnienia należności, które na mocy powyższego paragrafu nie mogą być zaskarżone, są nieważne.

§ 4. Przepisy §§ 2 i 3 ustawy niniejszej nie stosują się do należności od osób zamiejscowych, którym w gospodach dano gościnę.

§ 5. Kto usiłuje obejść §§ 2 i 3 ustawy niniejszej za pomocą aktu pozornego lub tym sposobem, że każe sobie wydać dokument, w szczególności zaś deklarację wekslową, karany będzie aresztem od jednego tygodnia aż do dwóch miesięcy lub grzywnami aż do 200 złotych.

§ 6. Kto w przeciągu roku będzie karany za opilstwo trzy razy, temu władza administracyjna powiatowa wzbronić może na jeden rok uczęszczania do gospód lub szynkowni w miejscu zamieszkania i najbliższej okolicy.

Przekroczenie tego zakazu będzie karane aresztem aż do jednego miesiąca lub grzywnami aż do 50 złotych.

§ 7. Utrzymującym gospody lub szynkownie, kilkakrotnie, a bezskutecznie karanym za przekroczenia w drugim ustępie § 1-go i w § 5-tym nadmienione, władza administracyjna powiatowa odebrać może upoważnienie do utrzymywania gospód lub szynkowni na czas oznaczony lub na zawsze.

§ 8. Osnowa ustawy niniejszej będzie ogłoszona w gminach w kraju w sposób pospolicie używany.

We wszystkich gospodach i szynkowniach przybita ma być takowa w miejscu w oczy wpadającym, każdemu dostępnym, w językach krajowych i utrzymana tak, aby była czy-

teina. Za przekroczenie tego przepisu utrzymujący lokal karany będzie grzywnami aż do 50 złotych.

§ 9. Dochodzenie i karanie przekroczeń w ustawie niniejszej wymienionych należy do sądów powiatowych.

§ 10. Wykonanie ustawy niniejszej poleca się ministrowi sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i handlu.

Luxemburg, dnia 19 lipca 1877.

Franciszek Józef, r. w.

Auersperg r. w.

Lasser r. w.

Glaser r. w.

Chlumecky r. w.

* *

Śmierć propinacji wyznaczyło ustawodawstwo krajowe na dzień 31 grudnia 1910 roku. Z tym dniem skończyła się instytucja, która przez blisko 900 lat trzymała lud i wzbogacała dorobkiem pracy jego wszystkie inne stany. Złożenie szczątków jej do grobu rozwiązywało dotychczasowy „pachciarski” stosunek między właścicielami obszarów dworskich i prawa propinacji a arendarzami karczem. Przemysł szynkarski stał się z dniem 1 stycznia 1911 roku przemysłem koncesjonowanym, dobrodziejem zaś, nadającym owe koncesje, stał się rząd.

Rok 1910 rozpętał walkę o prawo rozpajania i eksploataowania ludności. Stanęli do tej walki w pierwszej linii dotychczasowi karczmarze, w przeważającej części Żydzi. Nie zaniedbała też starać się o koncesje szynkarskie szlachta. Apetyt na posiadanie karczem zrodził się i między obrotniejszymi chłopami. Walka wrzała na wiecach, w prasie, delegacje za delegacjami krążyły to po Namiestnictwie, to po ministerstwach. Humanitaryzm, demokrację, prawa człowieka, interes habsburskiej dynastii, szczęście skarbu państwa, ład i porządek publiczny, w ogóle wszystkie doniosłe hasła i ważne kwestie dotychczasowi pachciarze i arendarze związali z nadaniem dla nich koncesji szynkarskich. Nowi zaś kandydaci na szyn-

karzy zapewniali, że siła i powodzenie ruchu ludowego, przyszłość i szczęście ojczyzny, zaszczepienie wszystkich cnót obywatelskich w narodzie niewątpliwie ściśle się łączy z aktami koncesji szynkarskich dla nich wystawionymi. Oczywiście, że każdy szlachcic, „zubożały” przez skasowanie propinacji, siebie przedstawiał jako najbardziej godnego poratowania koncesją szynkarską. Wśród tego zgiewku wydawało się, że najpilniejszą sprawą publiczną dla Galicji będzie kanonizowanie karczmy na „świętość państwową” i zaprowadzenie kultu tej świętości, przy czym arcykapłanem, świetlanym wzorem i apostołem wszelkich cnót będzie szynkarz. Doszło nawet do tego, że szynkarze i pachciarze ogłoszeni zostali przez kupioną prasę za uciśnionych pionierów cywilizacji i kultury w zacofanej Galicji.

Namiętności rozpały się tak dalece, że Wiedeń oglądał niezwykłą demonstrację chałaciarzy galicyjskich, którzy rządowi grozili rewolucją na wypadek naruszenia ich odwiecznego monopolu wyłączenia szlachciców przy szynkowaniu wódki.

Równocześnie Stapiński, wódz stronnictwa ludowego, pozostającego wówczas w kompromisie politycznym ze stańczykami, od kwestii załatwienia sprawy szynkarskiej uzależnił dalszą kooperację ze stańczykami pod hasłem „wielcy i mali rolnicy łączcie się”. Sprawę załatwiono kompromisowo. Na żądanie Stapińskiego zmniejszono ilość karczem o 7000. Jest to bezsprzecznie wielka jego zasługa, że ilość tych zakładów trucicielskich tak wydatnie obniżono. W zachodniej Galicji większą część koncesji szynkarskich otrzymali chłopci, koncesjami zaś w miastach i na wschodzie kraju pożywiono Żydów i obszarników. Namiestnik Bobrzyński, który jako profesor problemem propinacyjnym naukowo się zajmował, także i na tę sprawę patrzył z punktu widzenia koncepcji „silnego rządu”. Godząc się na danie koncesji chłopom, oświadczył ludowcom, że z ciężkim sercem przychodzi mu to uczynić, albowiem przez ten krok rząd siebie osłabia, straci bowiem najlep-

szą policję, jaką miał w wiejskich karczmarzach żydowskich. Istotnie bowiem ci dworscy pachciarze służyli nie tylko dworom, ale także starostom i żandarmom. Była to tajna „ochrona” polityczna, informująca starannie i dokładnie starostów i żandarmów o wszystkim, co ich interesować mogło i musiało.

System policyjny, polegający na użytkowaniu szynków do celów wywiadu policyjnego i obserwacji — stosowany był na szeroką skalę przez rosyjską „ochronę” i austriacką żandarmerię. Szykarze, jeśli nie byli agentami policyjnymi, to pełnili rolę konfidentów. Do tej samej służby wciągano w większych interesach kelnerów, kelnerki i prostytutki. Policja tych państw wrogo odnosiła się do propagandy trzeźwości i do ruchu etycznego w ogóle, im bowiem w jakiejś miejscowości mniej było szynków i alkoholików, tym trudniej policja wywiadywać się o nastrojach, poglądach i zamysłach ludności, i tym większe było jej zaniepokojenie tym brakiem „wyników” policyjnej służby.

Do uzyskania koncesji szynkarskiej wymagana była przede wszystkim „prawomyślność polityczna”. W roku 1896 zarząd „Kółka Rolniczego” w Choczni starał się w starostwie w Wadowicach o koncesję na wyszynk wina, wino bowiem nie było objęte dworskim monopolem propinacyjnym. Prośby tej starostwo nie uwzględniło, gdy zaś jeden z posłów sejmowych wniósł z tego powodu interpelację Namiestnictwo zarządziło zbadanie sprawy, a wadowicki starosta odmowę udzielenia koncesji w sprawozdaniu swym uzasadnił w sposób następujący:

„Miarodawczą przy odrzuceniu prośby «Kółka Rolniczego» była okoliczność, iż rzeczzone stowarzyszenie z chwilą objęcia przewodnictwa przez przeniesionego od niedawna z Choczni nauczyciela ludowego, Franciszka Wiśniowskiego, gorliwego zwolennika ks. Stojałowskiego i propagatora idei «usamowolnienia ludu» — było ogniskiem agitacji ruchu ludowego i pozostawało w ścisłej styczności z agentami i agitatorami tak

zwanego stronnictwa ludowego. Dom Antoniego Sikory i prowadzony przez tegoż wyszynk wina był miejscem tajemnych schadzek i namów, gdzie prowadzono na wielką skalę agitację wyborczą i nie wahano się od pojedynczych włościan odbierać przysięgi, iż będą działali w myśl postanowień nie zawsze sumiennych i nie wybierających w środkach agitatorów. Z powyższych przeto powodów udzielenie koncesji na wyszynk wina i pozostawienie takowego pod kierownictwem i w domu Antoniego Sikory, pomijając, iż lokal na ten cel jest nieodpowiedni, nie było wskazane.”

Obok tych względów politycznych starostwo nie udzieliło koncesji na wyszynk wina także dlatego, aby nie stwarzać konkurencji dla monopolu propinacyjnego miejscowego propinatora i dla propinacji miejskiej miasta Wadowic. Zdyskwalifikowany na szynkarza Antoni Sikora, wraz z jego lokalem, niebawem wybrany został wójtem, a lokal „potajemnych schadzek”, tak szkodliwy dla zdrowia ludzkiego, przestał być szkodliwy, gdy w nim umieszczona była kancelaria urzędu gminnego. Owe „potajemne schadзки”, z taką grozą odmalowane przez starostę, były to poufne zebrania polityczne, odbywane przy uczestnictwie Jana Stapińskiego.

W chwili likwidacji propinacji galicyjskiej istniało 17 818 szynków. Gdy z dniem 31 grudnia 1910 roku szynki propinacyjne zamknięto, nazajutrz utworzono nowe koncesjonowane szynki w liczbie 10 500. Ubyło tedy 7318 szynków. Był to cios, jaki Bobrzyński zadał tej samej ilości Żydów-karczmarzy. Z reszty miejsc sprzedaży co najmniej 1/5, tj. 2000 koncesji, otrzymali chłopci. Te akty administracyjne spowodowały emigrację żydowską ze wsi do miast i miasteczek. Nie sprawdziła się zapowiedź syjonistów i kahalarzy o urządzeniu z tego powodu rewolucji rządowi austriackiemu. Łudzili się jednak ci szczęśliwi koncesjonariusze, którzy „katolickie” szynki otworzyli, że będą one im złote jaja znosić. Wielu spośród tych koncesjonariuszy zajmowało się goszczeniem we własnej karczmie na swój koszt kompanii przyjaciół (gdy szynkarze-Żydzi od-

znaczeni się trzeźwością), wielu z nich się rozpiło i majątkowo zrujnowało, usprawiedliwiając własne wady, że „Żydy im to uczyniły”. Pomylił się też Stapiński licząc, że w szynkarzach-chłopach, obrotnych, inteligentnych, majątkowo niezależnych, ruch polityczny chłopski znajdzie doskonałe oparcie. Szynkarze-chłopi na całej linii zawiedli.

Wielu czynnych działaczy ludowych, z chwilą pozyskania koncesji na karczmę, przestało zajmować się pracą polityczną. Wielu stało się manekinami w ręku żandarmerii, starostwa i inspektoratu podatkowego. Nikt bowiem tak łatwo i często nie popada w konflikt z przepisami policyjnymi jak karczmarz, toteż nikt tak względów i łaskowości żandarma i starosty nie wygląda jak karczmarz. Ścigani przez żandarmów i starostów, nękanymi grzywnami i podatkami — stawali się natrętnymi klientami posłów, żądając ustawicznych interwencji w swych osobistych sprawach. Jeśli zaś który z nich w stronnictwie ludowym tkwił, to zawsze starał się politykę jego nagiąć do ustępliwości wobec rządzącej w kraju partii, aby uchodzić za „rzeczowo do rządu ustosunkowanego” i do jego organów oraz aby łask ich dostąpić.

Tak karczmarzy „katolickich”, jak i „żydowskich” dobiły ostatecznie podatki i opłaty. W tym względzie szlachcic-propinator miał więcej wyrozumienia dla swego pachciarza niż fiskalna biurokracja dla koncesjonowanego szynkarza. Konanie karczmy koncesjonowanej zaczęło się więc już w tej chwili, gdy ona się rodziła...

* *
 *

Szlachta galicyjska nie była odosobniona w szerzeniu kultu propinacji. Szerzyła go i szlachta na ziemiach polskich zabranych przez Rosję. Dwór i tu przy pomocy kar stał na straży propinacyjnego monopolu. Oto przykład: dziedzic majątności tredowskiej w „Opisaniu powinności” jego poddanych rozkazał, że każdy jego poddany obowiązany jest „wódkę i piwo

brać z karczmy, do której jest przyłączony, pod karą zapłacenia pół talara od garnca wódki i złotego od garnca piwa, a nadto trunki skądinąd wzięte skonfiskowane będą”. Praktykowany w Galicji system płacenia za robotę kwitkami na pobór wódki w karczmie pańskiej (tzw. porcje) znany był i tutaj. Żyd-arendarz i tu był dobrodziejem szlachcica, płacąc mu ogromne sumy za dzierżawę propinacji. Gdy w kraju podnosił się krzyk oburzenia z powodu rozpajania i niszczenia ludu, szlachta na tych swoich „dobrodziejów” zwała całą odpowiedzialność za ujemne skutki propinacji. Pod wpływem tej krytyki rząd Księstwa Warszawskiego zadekretował w roku 1812 zakaz, by Żydzi nie trudnili się szynkarstwem i fabrykacją trunków. W dwa lata później jednak zakaz ten złagodniono, podobno za wstawiennictwem Nowosilcowa, którego w tym celu Żydzi przekupili. Dawniejszy zakaz osiedlania się Żydów na wsi jednak utrzymano. W roku 1821 i ten zakaz złagodniono, pozwalając na wydawanie Żydom na wsi konsensów szynkarskich. Już wówczas propinacyjny dworski monopol przełamano, a karczma stawała się instytucją skarbową, gdyż za konsens trzeba było zapłacić opłatę skarbową od 300 do 500 zł, od roku zaś 1828 opłaty podwyższono od 300 do 1000 zł.

Istotnym ograniczeniem pijaństwa było postanowienie z 1816 roku zabraniające karczmarzom kredytowania chłopom trunków lub szynkowania ich w zamian za produkty. Transakcje z pominięciem tego postanowienia były nieważne, chłop bowiem wolny był od płacenia długu za wódkę, a jeśli płacił produktami, mógł każdej chwili zażądać ich zwrotu i szynkarz obowiązany był produkty te zwrócić. Nadto postanowienie to zagrażało za niestosowanie się do niego surowymi karami aż do utraty koncesji szynkarskiej włącznie. Ukaz z roku 1846, znoszący na terenie b. zaboru rosyjskiego 121 różnych nieokreślonych powinności pańszczyźnianych, wymienia jako zniesiony „obowiązek brania pewnej ilości wódki w czasie żniwa z magazynu dworskiego”. W dobrach skarbowych chłopci w

kontraktach zastrzegali sobie wolność brania trunków, skąd chcą.

Propinacja szlachecka na terenie zaboru rosyjskiego zmarniała o około 80 lat wcześniej niż propinacja w Galicji. Podczas gdy w Galicji poddaństwo propinacyjne przetrwało pańszczyznę gruntową, to na terenie b. Kongresówki poddaństwo propinacyjne przepadło na jakie 35 lat przed zniesieniem pańszczyzny. Gdy w Galicji za zniesienie propinacji szlachta kazała sobie dobrze zapłacić, to w b. zaborze rosyjskim szlachecki przywilej propinacyjny zlikwidował się sam... bez odszkodowania. Szlachta w Kongresówce nie miała odwagi prosić cara, by ją za propinację z funduszków publicznych odszkodował.

* *
*

Z tym wspomnieniem pozgonnym wypadu połączyć wspomnienie o takim patologicznym zjawisku, jak pogrom karczmarzy, jaki przeżywała Galicja w roku 1898. Pogrom objął powiaty: limanowski, sądecki, grybowski, gorlicki i jasielski. Reżyseria tego pogromu była jakby żywcem skopiowana ze wzorów rosyjskich z lat 1881—1882. We wsiach zaczęli się pojawiać jacyś nikomu nie znani emisariusze z wyglądu półinteligenci, przypominający podobnych rosyjskich „kacapów”. Przyjeżdżali to furmankami okazjnymi, to koleją, przybywali też pieszo, zaglądali do kościołów, do karczem i sklepów. Po ich przyjeździe to tu, to tam znajdowano odezwy. Czasem dziatwie, powracającej ze szkoły, ulotkę wręczał jakiś nieznany emisariusz, aby zaniósł ją do domu rodzicom. Forma i treść odezw także przypominały wzory rosyjskie. Podobnie jak w Rosji organizatorzy buntów chłopskich wydawali odezwy do ludu, w których rzekomo car wzywał lud do powstania, tak samo odezwa galicyjska z roku 1898 zredagowana była w formie manifestu cesarskiego i bulli papieskiej do ludu. Cesarz, Franciszek Józef, i papież, Leon XIII, zapowiadali w tej odezwie, że już dość wyzysku żydowskiego i wzywali lud, aby zbu-

rzył wszystkie karczmy i zniszczył dobytek żydowski, przykazując jednak pod grozą wszelkich kar na tym i na tamtym świecie, aby Żydom na zdrowiu i życiu krzywdy nie wyrządzano.

Po takim przygotowaniu lada iskra wywołać mogła pożar. Zaczęło się od Kalwarii Zebrzydowskiej. W dniu 26 maja 1898 roku obchodzono uroczystości mickiewiczowskie. W wigilię uroczystości miasteczko miało być iluminowane. Ponieważ w paru domach żydowskich okien nie oświetlono, wyrostki wytłukły w nich szyby. Że zaś poprzednio krążyły wieści o rozpoczęciu się mającej 26 maja „wojnie z Żydami”, przeto starostwo ściągnęło większą ilość żandarmów. Zbyt gorliwe kolbowanie i aresztowania wśród chłopów podczas capstrzyku podziały drażniący, toteż w drugim dniu chłopstwa zeszło się więcej. Żandarmi natarli na tłum i pobili ciężko starca Feliksa Kluskę z Leśnicy, a gdy na to tłum odpowiedział szemraniem, żandarmi dali dwa strzały, skutkiem których dwóch chłopów padło trupem. Kto wie, co byłoby z żandarmami, gdyby nie ksiądz bernaryn, który krzyknął do żandarmów: „Na Boga, panowie, co robicie? Wszak ludzie nie zające, by tak do nich strzelać, zwłaszcza że się zachowują spokojnie!”, po czym przemówił uspokajająco do tłumu, który też na jego wezwanie rozszedł się.

Wieść o wypadkach kalwaryjskich odbiła się głośnie echem w kraju, a niebawem we Frysztaku tłum rozbijał sklepy żydowskie i bił Żydów. Żandarmeria dała w tłum salwę, od której padło jedenastu ludzi. To jeszcze bardziej zaogniło sytuację i rozszerzyło zaburzenia na inne powiaty.

„Rozkaz cesarski” został we wspomnianych powiatach mniej więcej dokładnie wykonany. Najdokładniej wykonano go w powiecie grybowskim i nowosądeckim. Jednej nocy zebrane tłumy chłopskie, pobudziwszy karczmarzy, załadowały ich na wozy i kazały jechać w stronę miast i miasteczek, a równocześnie porozbierały i poburzyły karczmy. Wódka, piwo, rum znikły z beczek w okamgnieniu. Gdy słońce wzeszło,

oświetliło zwaliska karczem, spośród których sterczały już tylko kominy.

Te akty samosądu chłopskiego spotkały się z represją władz. Rząd wprowadził stan wyjątkowy, do Nowego Sącza demonstracyjnie sprowadzono kata, a w Limanowej interweniowało wojsko. Jakkolwiek „pogrom” był lokalny, w kilku powiatach, to jednak stan wyjątkowy wprowadzono na terenie całej zachodniej Galicji, aby w ten sposób wykorzystać go i użyć do walki z ludowcami i socjalistami, którzy nic wspólnego z rozruchami nie mieli i tę formę walki potępiali. Aresztowano około 1000 chłopów, urządzono ponad 200 rewizji, zawieszono 29 stowarzyszeń — oto był owoc stanu wyjątkowego!

Do Nowego Sącza zjechał kat ze swymi pomocnikami. Obrzydzenie do tego „mistrza św. Sprawiedliwości” było tak wielkie, że nikt mu nie chciał wynająć mieszkania.

Chłopów, biorących udział w burzeniu karczem, sądy karne skazały łącznie na 146 lat więzienia. Niezależnie od tego poszkodowani wytaczali chłopom masowe cywilne procesy o zapłacenie odszkodowania. Likwidowali szkody rzeczywiste, a wielu także urojone, tak że ostatecznie dla niejednego „pogrom” okazał się wcale dobrym interesem, którego koszta pokryte zostały licytacjami majątków porywczych, gorliwych „pogromczyków”.

Przewody sądowe nie dały jednak wyjaśnienia, kto był sprawcą zaburzeń. Autorów i kolporterów odezw podburzających policja nie odnalazła, może dlatego, że trzeba by było ich szukać w pobliżu tych sfer, którym wówczas policja służyła. Pisano, że zaburzenia wywołała agitacja ks. Stojałowskiego. Trzeba jednak stwierdzić, że w powiatach, gdzie były rozruchy, wpływy miało stronnictwo rodziny Potoczków, pozostające pod dużymi wpływami ojców jezuitów. Stojałowski tam wpływów nie miał, tam zaś, gdzie je miał, rozruchów nie było. Nie jest wykluczone, że wypadki roku 1898 mogły być dywersją rosyjskich agentów działających na terenie Galicji.

Sceny z roku 1898 powtórzyły się w dwadzieścia lat później, w roku 1918, w chwili rozkładu Austrii. Widownią ich była głównie tzw. republika tarnobrzaska. Kto te ekscesy wywołał, złą Polsce oddał przysługę. Klauzule mniejszościowe w traktacie wersalskim, narzucone Polsce, uzasadniane bywały wskazywaniami na owe impulsywne samosady, które także dla uczestników ekscesów podobnie przykro się skończyły, jak i owe z roku 1898.

* *
 *
 *

Takie cierpkie owoce rodziła sędziwa instytucja „święta propinacja”, owe zakłady trucicielskie w dziesiątkach tysięcy fundowane przez „oświecone stany”, duchowny i szlachecki, dla ogłupienia umysłów i zamroczenia dusz poddanych, dla zdeprawowania ich charakterów i dla wyzyskania dorobku ich pracy.

Sunt lacrimae rerum!

Spis treści

Klątwy kościelne	7
Święta Inkwizycja w walce z ruchem ludowym.....	40
Tumulty	104
Kacerze	137
Czarownice polskie	160
Tortury	218
Każń.....	242
Rządcy sumień	274
Pieniądz, wiara i polityka	338
Truciciele ciał i dusz.....	368
Bibliografia.....	422
Indeks osób	430